

Historia pamięcią pisana

Biografie
polsko-niemieckie

Część II



redakcja:
Karol Czejarek
Tomasz G. Pszczółkowski
współpraca:
Axel Schmidt-Gödelitz

ISBN 978-83-7549-276-7



9 788375 492767

Historia
pamięcią pisana
Biografie polsko-niemieckie

Życie jest tu i teraz.

*Trzeba żyć tą chwilą, która jest obecnie,
bo ona służy do tego, aby stwarzać przyszłość.*

*Kto żyje przeszłością, traci zarówno teraźniejszość –
bo jej nie przeżywa, jak i przyszłość – bo nie miał jej kiedy stworzyć...*

fragment z tekstu Natalii Ołowskiej-Czajki

*Książkę tę dedykuję nieocenionym i wspaniałym lekarzom:
dr. Tadeuszowi Mendelowi, dr. Jackowi Kuśnierzowi,
dr Alcie Graban i Jackowi Pachlewskiemu,
którym zawdzięczam to, że mogłem nad nią pracować*

Karol Czejarek

Międzywydziałowe Centrum Badań Niemcoznawczych
Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora
ost-west-forum Gut Gödelitz e.V.

Historia pamięcią pisana

Biografie polsko-niemieckie

Część II

redakcja:

Karol Czejarek

Tomasz G. Pszczółkowski

współpraca:

Axel Schmidt-Gödelitz

Pułtusk 2017

Publikacja dofinansowana przez:
Akademickie Towarzystwo Edukacyjno-Naukowe „Atena”,
Fundację Marion Dönhoff, Akademię Humanistyczną im. Aleksandra Gieysztora,
ost-west-forum Gut Gödelitz e.V., Dirk Rossmann GmbH

Książka dokumentuje działalność
Międzywydziałowego Centrum Badań Niemcoznawczych Akademii Humanistycznej
we współpracy z Zakładem Studiów nad Krajami Niemieckiego Obszaru Językowego
Instytutu Germanistyki UW

Komitet Redakcyjny:
Adam Koseski i Axel Schmidt-Gödelitz – współprzewodniczący
Tomasz G. Pszczółkowski – redaktor wersji niemieckiej
Karol Czejarek – sekretarz i redaktor wersji polskiej
Magdalena Czejarek – redakcja tekstów polskich
Dominique Kirste, Piotr Roguski,
Christian Pfeiffer, Jan Rodzim, Krzysztof Gawrychowski

Korekta:
Karol i Magdalena Czejarek,
Magdalena Rodzim,
Tomasz G. Pszczółkowski

Projekt okładki: Barbara Kuropiejska-Przybyszewska

Na okładce wykorzystano obraz Marii Wollenberg-Kluzy „Krzyk nocy”.
Jej wystawy prezentowano m.in. we Francji, Niemczech, Hiszpanii, Szwecji, Holandii,
USA. Mottem twórczości tej wybitnej malarki jest: „Z ciężaru pustki uwalniam
przestrzeń – dla spraw człowieczych”.

Copyright by Akademia Humanistyczna im. A. Gieysztora, Pułtusk 2017

Skład i łamanie: Barbara Gawrychowska

Wydawca:
Akademia Humanistyczna im. Aleksandra Gieysztora,
ul. Daszyńskiego 17, 06-100 Pułtusk,
tel. 23 692 98 15, e-mail: rektorat@ah.edu.pl

Uwaga: wszelkie prawa są zastrzeżone. Każda adaptacja i wykorzystanie książki
wymaga pisemnej zgody Autorów i Wydawcy

Realizacja na zlecenie Wydawcy: Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR

ISBN 978-83-7549-276-7

Objętość:
wersja polska 26,8 ark. wyd.
wersja niemiecka 30,3 ark. wyd.

Spis treści

I. Wstęp

Karol CZEJAREK: Berlin–Warszawa, Warszawa–Berlin	9
Katarzyna GAWOR: Spróbować zrozumieć	13
Tomasz G. PSZCZÓŁKOWSKI: Tak było. Przeszłość w ramach polityki historycznej i poza jej obszarem	15
Axel SCHMIDT-GÖDELITZ: Pokój w Europie: czy wyciągamy wnioski z przeszłości?	19

II. Biografie

Antonina ABRAMIUK: Kawałek mojej historii.	25
Helmuth Julius BAUER: Polsko-niemiecko-polskie przeżycia.....	53
Erhard BRÖDNER: Rysiek.	73
Maria BRYSCH: Z Polski do Niemiec	83
Andreas H. BUCHWALD: Wpływ Polski na moje życie	89
Krzysztof CZAJKA: Hände hoch, czyli Polak w Niemczech.....	95
Katarzyna GAWOR: „Niemiecki” w moim życiu	113
Teresa GRAUER: Po trzykroć Polska.....	119
Harald GRÖHLER: Wspomnienia	125
Olaf HERRMANN: Dziecko okupanta z „Portu Gotów”	133
Barbara HICKETHIER: Powróciłam!	141
Klaus HOHMANN: Mój obraz Polski i Polaków	151
Michał JAMIOŁKOWSKI: Minione, niezapomniane... ..	165
Beata JANKOWSKA: Byłam stypendystką programu ERASMUS ..	171
Rolf KARBAUM: Życie na polsko-niemieckiej granicy	177
Michał Władysław KULIK: Krótka „kronika” mojego życia	189
Ryszard LIPCZUK: Impresje zawodowe polskiego germanisty... ..	193
Ewa ŁASTOWIECKA: Odkąd sięgam pamięcią.....	199
Halina OKOŃ: Te łyzy babci pamiętam	209
Natalia OŁOWSKA-CZAJKA: Berlin–Warszawa EXPRESS.....	215
Agnieszka OZDARSKA: Z moich doświadczeń z Niemcami	233
Christian PFEIFFER: Moje życie zaczęło się nad niemiecko-polską granicą	239
Piotr ROGUSKI: Co zostało z tamtych lat...?	255
Iwona ROSZKOWSKI: „W życiu piękne są tylko chwile, ale warto dla nich żyć...”	261

Julia SCHUCH: Śladami ojca.....	271
Halina STANO: Poszukiwanie prawdy o Niemczech	281
Magdalena ULLRICH: Moje języki	285
Helmut WAGNER: Moje spojrzenie w przeszłość	291
Eckart WEIßER: Wzloty i upadki życia pomiędzy Niemcami a Polską	305

III. Oceny

Peter BRANDT: Niemcy i Polska – moje refleksje	313
Jan CHRIST: Krótkie refleksje pisarza	321
Jerzy JASKIERNIA: O Niemczech i Niemcach	325
Dominique KIRSTE: Spacerem przez Pułtusk	339
Adam KOSESKI: Polska – Niemcy: pamięć czy polityka historyczna? ..	345
Marta MILEWSKA: Dwukulturowość w dydaktyce historii.	351
Jörg PETERSEN: Biograficzna retrospekcja	359
Roman SCHAFFNER: Polska – to kwestia punktu widzenia	363
Janusz SZCZEPAŃSKI: Wszystkiemu winna wojna	373
Dariusz WOJTASZYN: Piłka nożna, NRD i „Ziemie Odzyskane” ...	393

IV. Następne projekty

Tomasz G. PSZCZÓŁKOWSKI: Kultura pamięci w Polsce i w Niemczech.	403
Anna WARAKOMSKA: Zjawisko małżeństw binacjonalnych	407

V. Varia

Sprawozdanie z dwóch rozmów o biografiach.....	415
Lista dotychczasowych uczestników spotkań biograficznych.....	420
Umowa o współpracy	421
Karol Czejarek poleca książki: Eugeniusza Czaplejewicza i Janusza Rohozińskiego oraz album o życiu i twórczości Pauliny Lemke.	422
Koedycje AH i OWF: „Historia pamięcią pisana” i „Polska między Niemcami a Rosją”	426
Polecamy książkę „Niemcy – Polska: Studium komparatystyczno- -kulturowe”	431

VI. O autorach	433
----------------------	-----

I. Wstep

KAROL CZEJAREK

Berlin–Warszawa, Warszawa–Berlin

Jest to już druga książka nt. „polsko-niemieckich” biografii. A w zasadzie trzecia, wliczając w tę kolekcję publikację „Polska między Niemcami a Rosją” (wydaną w r. 2011). Wszystkie trzy książki, których wydawcą jest Akademia Humanistyczna im. Aleksandra Gieysztora, powstały dzięki temu, że Axel Schmidt-Gödelitz, przewodniczący Stowarzyszenia ost-west-forum Gut Gödelitz, któregoś dnia (a było to w roku 2005), zaprosił mnie i innych polskich przyjaciół będących rzecznikami pojednania z Niemcami do Gödelitz na pierwsze pilotażowe seminarium, po którym powstała w ost-west-forum sekcja „polska”, jako ważny element w budowaniu właściwych relacji między Polakami a Niemcami. Ja zostałem z czasem oficjalnym przedstawicielem owf w Polsce, tworząc w międzyczasie w Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora Międzywydziałowe Centrum Badań Niemcoznawczych, pod umownym hasłem: „od wrogości do normalności”. Jestem – z woli JM Retora AH i wyboru kolegów z zarządu – sekretarzem generalnym. Tworząc wspomniane Centrum i przystępując do współpracy z ost-west-forum Gut Gödelitz, miałem żywo w pamięci to, że:

- Niemcy w roku 1939 napadli na Polskę, która to napaść zapoczątkowała II wojnę światową.

Pamiętałem o:

- brutalnej eksterminacji narodu polskiego (nie tylko żydowskiego) w latach 1939–1945,
- okupacji Polski, która na mocy rozkazu Hitlera została przekształcona w Generalną Gubernię i miała być „zrównana z ziemią”,
- dokonaniu (na podstawie tajnego Paktu „Ribbentrop–Mołotow”) *de facto* IV rozbioru Polski i straszliwych gwałtów na ludności cywilnej w latach 1939–1945,
- założeniu NIEMIECKIEGO obozu zagłady w Oświęcimiu i w innych miejscach na terenie Polski,
- totalnym zniszczeniu Warszawy, wypędzeniu jej mieszkańców z miasta i wywiezieniu do obozów koncentracyjnych i obozów pracy przymusowej (po upadku Powstania Warszawskiego),
- że używając przymiotnika „nazistowski”, zawsze mam na myśli jako „niemiecki”. W roku 1933 Niemcy (to fakt, że nie wszyscy) generalnie poparli w wolnych, demokratycznych wyborach Hitlera (a tym samym

ideę III Rzeszy w miejsce Republiki Weimarskiej). Biorą więc odpowiedzialność za poparcie ideologii nazizmu w Niemczech, którą utożsamiał Hitler i jego partia NSDAP. Ich zbrodnie okazały się niewyobrażalnie tragiczne w skutkach.

(Oburza mnie również, kiedy mówimy o Żydach jako „Żydach”, a nie Polakach żydowskiego pochodzenia. A przecież byli oni przed 1939 rokiem obywatelami polskimi).

Dzisiaj Niemcy są nie tylko naszym największym partnerem handlowym, ale państwem, które bardzo aktywnie popierało starania Polski o uzyskanie członkostwa w UE, przyczyniło się do przyznania jej budżetu na lata 2006–2013 i 2014–2020, dzięki czemu Polska nie tylko odrobiła dystans cywilizacyjny, ale jest dziś państwem, któremu udało się:

- przełamać wiekowe uprzedzenia między Niemcami a Polakami,
- rozwinąć współczesną dynamikę partnerskich kontaktów, zwłaszcza gospodarczych,
- doprowadzić do „normalności” wzajemne relacje, zwłaszcza młodego pokolenia, już nieobciążonego przeszłością, ale ponieważ daleko jeszcze do stanu idealnego – ten pozytywny proces musi być kontynuowany! To także idea, która legła u podstaw spotkań „biograficznych”. Bez nich nie byłoby ani tej książki, ani poprzedniej.

Znajdziecie w niej Państwo zwierzenia bardzo różnych ludzi: naukowców rozmaitych specjalności, przedstawicieli różnych zawodów i wszystkich pokoleń. Wystarczy przeczytać notki o autorach poszczególnych tekstów, aby się o tym przekonać.

Zachęcam do zapoznania się nie tylko z biografiami, ale także z ocenami wybitnych znawców tematu, dlaczego ma sens kontynuacja zarówno seminariów, jak i dalszych publikacji ich efektów na ten temat. Ponieważ:

- pojednanie Niemców i Polaków jest ważne dla pokoju w Europie i na świecie!
- Podpisany w roku 1991 „Traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy między Polską a Niemcami” jest tylko podstawą do budowania jak najlepszych relacji między obydwojema państwami i narodami, jednak stereotypy nadal czynią „podziały”, a są one szczególnie groźne, gdyż nie potrzebują żadnego udowodnienia. Tym ważniejsza jest ta książka, ponieważ jej autentyzm i szczerość firmują ludzie swoim imieniem i nazwiskiem (i dziękuję im za to!).

Autorami tekstów są nie tylko uczestnicy dotychczasowych spotkań biograficznych, ale i inni, którzy z różnych powodów nie mogli wziąć udziału w naszych spotkaniach, zapowiadając jednak swój przyjazd na kolejne, jak też wzięcie udziału w innych inicjatywach ost-west-forum i MCBN AH na temat:

„Kultury pamięci w Polsce i w Niemczech”, czy
 „Małżeństw mieszanych”.

Aby książka była dostępna zarówno na rynku polskim, jak i niemieckim, postanowiliśmy ją wydać w dwóch językach, jest bowiem źródłem wiedzy

o losach ludzi, którzy wojny nie wywołali, a doznali jej bolesnych skutków. Jest też dokumentem czasów powojennych oraz przemian, jakie nastąpiły zarówno w Polsce, jak i w Niemczech.

Dziękuję panu profesorowi, dr. hab. – TOMASZOWI G. PSZCZÓŁKOWSKIEMU, germaniście i politologowi, znawcy problematyki polsko-niemieckiej, za to, że zgodził się podjąć redakcji tekstów publikowanych w tej książce w języku niemieckim i je także (gdy trzeba było) przetłumaczyć.

Bardzo wdzięczny jestem swojej żonie – Magdalenie, która podjęła się redakcji i adiustacji wszystkich polskich tekstów, kreśląc też notki autorskie i Varia. Tłumaczenia tekstów z języka niemieckiego na polski dokonali, oprócz niżej podpisanego, Tomasz G. Pszczółkowski i dr Katarzyna Gawor, którą poprosiłem jednocześnie o dopisanie „PS” do mojego wstępu – z punktu widzenia młodego pokolenia.

Panu Axelowi Schmidtowi-Gödelitz dziękuję za to, że przyjął patronat nad książką; również za Jego niezwykle cenne i ważne uwagi, czym podniósł rangę tej książki – jak sądzę – ważnej, jako źródła wiedzy o faktach, które trudno byłoby znaleźć w innych tego typu opracowaniach. Jednocześnie staraliśmy się jako redaktorzy (myślę o Tomaszu G. Pszczółkowskim i o sobie) – nadać tej książce również charakter beletrystyczny, choć jej teksty mają często walor dokumentu historycznego, a w niektórych przypadkach (dział „Oceny”) tekstu naukowego.

Jest jeszcze wiele osób, którym powinienem podziękować, nie wymienię wszystkich, bo ich lista jest długa, natomiast uczynię to odnośnie JM Rektora Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora prof. dra hab. Adama Koseskiego, całego zarządu Fundacji Marion Dönhoff, Prezesa Towarzystwa „Atena”, dyr. Jana Rodzima, szefa Oficyny Wydawniczej ASPRA-JR i jej redaktorów technicznych z panią Barbarą Gawrychowską i Krzysztofem Gawrychowskim na czele. W sposób szczególny dziękuję Prezesowi MCBN, prof. dr. hab. Piotrowi Roguskiemu za wszelką pomoc i inspirację w kierowaniu „Centrum”, a także za cenne rady przy tworzeniu tej książki.

Moim zdaniem – trzeba wciąż domagać się, aby wartości, jakie niewątpliwie stanowi UE we wspólnocie (dziś zachwiana przez Brexit) – nie zostały zaprzepaszczone.

– Aby języka polskiego uczyło się jak najwięcej Niemców, a języka niemieckiego (jak i rosyjskiego – z uwagi na ważność partnera) – uczyło się jak najwięcej Polaków.

Polsko-niemieckie pojednanie dotyczy dziś nie tylko polityków, ale przede wszystkim zbliża zwykłych ludzi, o czym świadczą także organizowane przez nas B I O G R A F I E.

– Mija właśnie 25. rocznica polsko-niemieckiego traktatu o przyjaźni i dobrym sąsiedztwie!

– Stąd spieszę dodać: rozwój naszych obecnych relacji jest prawdziwą historią sukcesu i chciałbym, aby ta książka była tego potwierdzeniem.

(karolczejarek@uw.edu.pl)

KATARZYNA GAWOR

Spróbować zrozumieć

Kiedy moja promotor i jednocześnie redaktor niemieckojęzycznego wydania pierwszej części „Biografii”, profesor Anna Warakomska spytała mnie w roku 2013, czy mogłabym napisać artykuł odnośnie moich związków z Niemcami, gdyż – jak wspomniała – ma zostać wydana książka o tej tematyce, przyznam, że początkowo nie przywiązywałam do tego zadania należytej wagi. Artykuł oczywiście napisałam i nawet przez myśl mi nie przeszło, że ta historia będzie miała swój dalszy, tak bogaty i obfitujący w poruszające wydarzenia ciąg. Dotychczas miałam ogromną przyjemność uczestniczenia w trzech spotkaniach biograficznych, które odbywały się w Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Puławach oraz w posiadłości – Gut Gödelitz – pod egidą przewodniczącego stowarzyszenia ost-west forum Axela Schmidta-Gödelitz.

Spotkania te spowodowały w zasadzie całkowite przewartościowanie mojego spojrzenia na kwestie polsko-niemieckie, ale też, a nawet przede wszystkim, na samych Niemców. Spotykając tych zwyczajnych-niezwykłych ludzi, nauczyłam się ich lubić, cenić i przede wszystkim rozumieć. Słuchając ich jakże osobistych opowieści, widząc emocje towarzyszące przeżywaniu tego swoistego katharsis, kiedy zupełnie obce sobie osoby obnażają nawzajem swoje dusze, mówiąc o rzeczach nierzadko dla nich bolesnych, a nawet niekiedy wstydliwych, nie sposób pozostać obojętnym.

Wywodzę się jeszcze z pokolenia, któremu w dzieciństwie serwowano, w ramach osiągnięcia określonych celów edukacyjnych, seriale o tematyce drugiej wojny światowej, oczywiście odpowiednio nakierunkowane ideologicznie w związku z panującym wówczas w Polsce ustrojem, a zabawa w wojnę była na porządku dziennym. Z tych filmów wyłaniał się oczywiście jednostronny obraz, który przez bardzo długi czas kształtował mój światopogląd na te kwestie. Dopiero spotkania biograficzne odkryły przede mną drugą stronę tego medalu. W moim pokoleniu nadal spotyka się osoby, których bliscy ponieśli śmierć w czasie wojny, bądź też byli przetrzymywani w obozach koncentracyjnych, co do dziś definiuje ich stosunek do Niemiec i Niemców.

Jeśli natomiast chodzi o młodsze pokolenia w Polsce, wydarzenia sprzed siedemdziesięciu lat przestały w zasadzie odgrywać większą rolę w ich życiu

i nie sadzę, aby wielu skłaniały do refleksji. Mam okazję obserwować relacje łączące młodych ludzi z Polski i Niemiec, które pozbawione są jakichkolwiek uprzedzeń czy dystansu. Trudno byłoby wyobrazić sobie lepszy fundament nie tyle budowania, bo ten proces trwa nieprzerwanie od wielu lat i odnosi sukces, ale cementowania polsko-niemieckiego porozumienia.

Młodzież w Polsce tym chętniej uczy się języka niemieckiego, ponieważ wie, iż może jej to w przyszłości nie tylko ułatwić, ale wręcz umożliwić znalezienie pracy. Młodzi Polacy biorą też często udział w programach wymiany studenckiej, a ich wrażenia z pobytów w Niemczech są zazwyczaj bardziej niż pozytywne. Różnice pomiędzy młodzieżą niemiecką a polską zacierają się, albo już się zatarty. Łączą ich te same zainteresowania, problemy, często światopogląd.

W dzisiejszej sytuacji ekonomicznej oraz politycznej porozumienie i poprawne stosunki pomiędzy Polską a Niemcami są już nie tylko elementami pożądanymi i mile widzianymi, ale wręcz koniecznymi. Niemcy zapewniają Polakom tysiące miejsc pracy, co przyczynia się w pewnym sensie do rozwoju gospodarki polskiej, ale też mocno wspiera niemiecką. Powoduje to, że oba kraje są sobie nawzajem potrzebne. Z kolei niezbyt pewna sytuacja polityczna i poczucie ciągłego zagrożenia potencjalnymi atakami terrorystycznymi, nie pozwalają na znacznie szersze pogłębienie tej współpracy.

Wszelkie stosunki pomiędzy rządami, także naturalnie Polski i Niemiec, cechuje ich niestałość w zależności od zmieniającej się sytuacji politycznej, co w konsekwencji może przełożyć się na relacje pomiędzy naszymi narodami. No, ale przeszkody są po to, aby je pokonywać. Rządy pojawiają się i przemijają, lecz obok nich trwają tacy zwyczajni-niezwyčajni ludzie jak ci, których biografie zawarte są w tej książce. Rozumieją oni, jak kluczowy jest proces pojednania, któremu służy gruntowne wyjaśnienie wszystkiego, co nas dzieli, ale i łączy. Przez swoje działania nie ustają oni w wysiłkach, aby zagwarantować dobrą współpracę i pokojowe współistnienie dla obecnych i przyszłych pokoleń.

TOMASZ G. PSZCZÓŁKOWSKI

Tak było. Przeszłość w ramach polityki historycznej i poza jej obszarem

Słowa użyte w niniejszym wstępie słyszy się na co dzień, często jako stwierdzenie wyrastające z prawd głoszonych zwłaszcza przez ludzi starszych, którzy wspominają przeszłość i opowiadają o niej, przy czym nie mogą zapomnieć tego, co się zdarzyło, o jego ówczesnych skutkach i dzisiejszych oddziaływaniach. Młodzi ludzie również, choć nie posiadają doświadczenia życiowego starszych pokoleń, czują się poruszeni tym, co usłyszeli od nich, zwłaszcza gdy pamięć o przeszłości jest wśród ich bliskich żywa, powiadają zatem również: tak było. Różnica wieku odgrywa w podejściu do indywidualnej i zbiorowej przeszłości (np. wspólnot typu rodzina, przyjaciele, sąsiedzi, naród) dużą rolę: starsi ludzie opowiadają młodszym historie swego życia. Być może jednak znaczenie czynnika „wieku” albo raczej „doświadczenia życiowego” jest mniejsze, gdyż charakter ludzi młodych kształtuje dom rodzinny, szkoła, organizacje społeczne i in., które przekazują im swoje wartości i tradycje. Postawy młodszych pokoleń wobec przeszłości grup społecznych, do których należą, są często odzwierciedleniem postaw ludzi starszych. Kiedy w rodzinie często wspomina się tragiczną przeszłość oraz o poniewieranych, poległych czy pomordowanych ofiarach z grona bliskich i dalszych krewnych, także szerzej – narodu, kiedy w trakcie oficjalnych okazji przypomina się o złych czy niesławnych wydarzeniach, a te z kolei są przetwarzane przez artystów i prezentowane publiczności w postaci pomników, utworów literackich i muzycznych oraz filmów, i kiedy wreszcie polityka upamiętniania przeszłości i polityka historyczna kreują określony krytyczny obraz przeszłości, który pokrywa się z tym, który mają skonfrontowani z nim ludzie, wówczas trudno oczekiwać od nich, także od młodzieży, by odrzucała owo rodzinne i społeczne podejście do przeszłości, albo by przynajmniej miała do niej krytyczny stosunek.

Niedawne obchody rocznicy Powstania Warszawskiego i upamiętniające wybuch II wojny światowej na Westerplatte – w trakcie tej ostatniej uroczystości, oprócz nazwisk poległych polskich żołnierzy, odczytano także nazwiska osób z polskich elit, które zginęły w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem w 2010 roku, przy czym osoby te nazwane zostały także „po-

ległymi” – są przykładem tej nowej polityki upamiętniania przeszłości, na którą wielu ludzi może co najwyżej się oburzać. Przykład apelu „poległych” w Smoleńsku, który ma być powtarzany wszędzie tam, gdzie uroczystościom ma towarzyszyć asysta wojskowa, ukazuje jedynie to, w jaki sposób rządzący nie tylko instrumentalizują przeszłość, ale także nią manipulują. W obu przypadkach chodziło o wydarzenia, które są nadal żywe w mrocznej pamięci wielu Polaków – jak by nie było 70 lat po II wojnie światowej! Stosunki polsko-niemieckie, na które przez dziesięciolecia negatywnie oddziaływały wspomniane wydarzenia historyczne, wydawały się po roku 1989 zmieniać na lepsze. Dziś zdają się na powrót ulegać schematom z czasów Polski Ludowej. W każdym razie są tego oznaki w oficjalnej polityce obecnie rządzących w Polsce.

Po stronie niemieckiej i w niemieckiej polityce historycznej ostatnich 20 lat najwyraźniej niewiele się zmieniło w nastawieniu wobec Polski. Przeszłość zdaje się być w Niemczech rozdziałem zamkniętym. Niemiecki pragmatyzm, myślenie w kategoriach korzyści, interesów gospodarczych i dobrosąsiedzkich stosunków z Polską mają w pewnej mierze zrównoważyć pamięć o zbrodniach i bezprawiu doznanym przez polskich obywateli podczas II wojny światowej, w czasach okupacji, a także na robotach przymusowych – poprzez działania mające na celu zadośćuczynienie ofiarom, a wcześniej także poprzez wspieranie Polaków dotkniętych choćby przez stan wojenny lat 80. przysyłanymi z Niemiec paczkami i darowiznami przyjmowanymi z wdzięcznością.

W obu krajach są ludzie, którzy podzielają oficjalną politykę swych rządów i ją nawet popierają. Czynią tak, ponieważ są przekonani o jej słuszności, albo dlatego, że ufają swym rządzącym, albo też z innych powodów. Są jednak także ludzie, którzy mają inne zdanie lub są krytyczni, albo też nie chcą się dać wtłoczyć w oficjalne ramy państwowej polityki upamiętniania przeszłości, albo też mają zupełnie inne doświadczenia z sąsiednim narodem, wskutek czego ich postawy wobec niego mogą być różne.

W przypadku niniejszej książki, poza nielicznymi wyjątkami, mamy do czynienia z relacjami o minionych wydarzeniach, w których pojawiają się ludzie jeszcze żyjący, ale także już zmarli, o wzajemnych stosunkach między Niemcami i Polakami w czasach wojny i pokoju, o których autorzy wspominają z nostalgią i radością, albo też ze wstrętem i bólem, w każdym razie w sposób emocjonalny. Emocjonalność osób wspominających jest jednak zrozumiała, bo przecież są to ludzie mający do relacjonowanych przez siebie procesów, wydarzeń i ludzi indywidualny stosunek i go nie ukrywają, spisując swoje opowieści we właściwym sobie stylu. Pierwotnie były to, tak jak w przypadku pierwszej książki o biografii Polaków i Niemców, wydanej przez Karola Czejarka i Krzysztofa Garczewskiego pt. *Historia pamięcią pisana* oraz przez Annę Warakomską przy współpracy naukowej autora niniejszego wstępu pod tytułem *Erlebte und erinnerte Geschichte* w 2014 roku

w Pułtusk, zapiski uczestników polsko-niemieckich rozmów o biografiach, które prowadzone były w Gödelitz i w Pułtusk. Autorzy tych relacji zdecydowali się zapisać i podzielić z zainteresowanymi nimi czytelnikami swoimi doświadczeniami z danym narodem, zdobytymi w kontaktach osobistych bądź za pośrednictwem innych ludzi. Każda opowieść biograficzna jest inna, ale mają one jedną cechę wspólną: są mocno zakorzenione w pamięci autorów, którzy nie mogą i nie chcą zapomnieć o przeszłości.

Dziś, gdy symbole Powstania Warszawskiego są przedmiotem komercjalizacji, np. sprzedaje się kotwicę z wpisaną w nią literą P, jako nalepki na samochody czy t-shirty, a coraz więcej ludzi wywiesza w oknach swych domów i na antenach samochodowych 1 sierpnia flagi narodowe, można to oceniać z jednej strony jako znak pamięci i patriotyzmu, z drugiej strony jednak także jako lekceważenie nauk płynących z tragicznej historii powstania, które zakończyło się klęską. A gdy członkowie Obozu Narodowo-Radykalnego – organizacji na pograniczu faszyzmu, do której należą przeważnie młodzi Polacy cieszący się poparciem obecnego rządu, a nawet części polskiego duchowieństwa – w sposób niegodny wykorzystują obchody rocznic narodowych i niegdysiejsze symbole patriotyzmu, to obserwatorowi z zewnątrz przypominają się niesławne czasy w Polsce międzywojennej, zwłaszcza po przewrocie majowym roku 1926, ówczesna pogarda dla parlamentaryzmu, demokracji, wolności i praw ludzi, nie mówiąc o antysemityzmie. W prezentowanej tu książce tego rodzaju paraleli dostrzeganych przez piszącego te słowa nie ma. Wskazanie na sytuację po wyborach z października 2015 roku powinno jednak uwrażliwić niemieckiego czytelnika na jeden z problemów, które wywołują w dzisiejszej Polsce głębokie konflikty i na dokonujący się aktualnie podział w społeczeństwie wskutek narzucania jednej, oficjalnej wizji przeszłości.

Wydarzenia historyczne, jak np. Powstanie Warszawskie, są bardzo różnie oceniane. Według oceny lansowanej przez część historyków i władze państwowe, decyzja o przeprowadzeniu powstania była słuszna. Zwolennicy tego poglądu twierdzą, iż byłoby ono zwycięskie, gdyby wojska niemieckie nie rozprawiły się z powstańcami w sposób wyjątkowo brutalny, zaś znajdujące się na drugim brzegu Wisły oddziały radzieckie udzieliły im pomocy. Podobnie jest z oceną tzw. komunizmu, którym to pojęciem nazywa się dziś okres Polski Ludowej w kraju, którego nawet niegdysiejsi władcy nie uznawali za komunistyczny (wystarczy wspomnieć o nazywaniu PRL „najwesełszym barakiem w obozie socjalistycznym”). Potępienie czasów PRL, które po roku 1989 określa się zbiorczo mianem totalitaryzmu, przynosi obecnie owoce – w polskim parlamencie lewica nie ma swoich przedstawicieli, także ludzie o przekonaniach liberalnych są w mniejszości. Zamiast tego kwitnie konserwatyzm we wszystkich swoich wariantach i odcieniach, w tym narodowo-demokratycznym, narodowo-katolickim, prawicowo-radykalno-klerykalnym i in. W Polsce, jak się wydaje w odróżnieniu od Niemiec, nie

wyciągnięto nauk z przeszłości – nie tylko tej własnej, ale również innych krajów. Przeszłość określa i determinuje myślenie i działania polityków, którzy z kolei swoje lęki, fobie i kompleksy przenoszą na swą klientelę polityczną. Korygowanie historii dokonywane jest jedynie w kierunku apoteozy przeszłości. To oficjalna Polska czasów obecnych, codzienność ludzi w kraju, w którym z jednej strony coraz liczniejsze są przypadki udawania się na emigrację wewnętrzną i zewnętrzną, z drugiej zaś strony tysiące ludzi wychodzą na ulice i protestują przeciwko łamaniu obowiązujących ustaw i reguł demokratycznej wspólnoty.

Autorzy zapisków zebranych w niniejszej książce nie piszą o polityce historycznej. Koncentrują się oni na swych negatywnych i pozytywnych doświadczeniach z danym krajem i jego mieszkańcami. Przedmiotem wspomnień są często wojna i jej okropieństwa (rozstrzeliwania, morderstwa, głód, nędza, ucieczka, wypędzenie, praca przymusowa i in.), które dotknęły Polaków i Niemców. Jest to okres, kiedy oba narody walczyły ze sobą, były po przeciwnych stronach. Po II wojnie światowej nastały czasy przemian polegających na istnieniu obok siebie, zwanym od lat 70. ub. wieku okresem pokojowego współistnienia. Zaś po przełomie roku 1989 rozpoczął się okres bycia razem. Wielu autorów opisało ten proces przeobrażeń w polsko-niemieckim sąsiedztwie w sposób wnikliwy na podstawie własnych doświadczeń. Zapewne otwartość tysięcy Niemców i Polaków, w tym także uczestników polsko-niemieckich rozmów o biografiach wobec sąsiedniego kraju i jego mieszkańców, zdecydowała o tym, że bilans tych przemian od rzeczzonej wrogości do wspólności wypadł ostatecznie pozytywnie. Bilans ten byłby inny, gdyby zamiast życzliwości, wychodzenia naprzeciw i często przyjazności stosunki wzajemne określały niechęć, nienawiść i wrogość – są bowiem w obu krajach ludzie kierujący się dawniej i obecnie tymi negatywnymi emocjami w kontaktach z innymi krajami i narodami. Miejmy jednak nadzieję, że emocje pozytywne, które są przecież stałym składnikiem wszelkiego racjonalnego działania, w obustronnych relacjach przeważą.

AXEL SCHMIDT-GÖDELITZ

Pokój w Europie: czy wyciągamy wnioski z przeszłości?

Niedawno obejrzałem w internecie krótki film pt. *1000 lat granicy niemiecko-polskiej w Europie*.

Zobaczyłem w kilku dosłownie minutach, dokładnie w trzech, jak ta granica zmieniała się na przestrzeni wieków. Moje nieprzyzwyczajone do takiego skrótu oko, ledwie nadążało za wydarzeniami. Na początku zobaczyłem dwa duże sąsiadujące ze sobą kraje – Polskę i Niemcy. Potem Polska stawała się na kolejnych „klatkach stop” coraz mniejsza, aż wreszcie zupełnie znikła z mapy Europy. Dziś Polska znów jest na tej mapie!

Potem klatka po klatce film pokazywał Niemcy. Najpierw były małe, bo podzielone na wiele państewek i księstw, a potem już obszarowo duże; i znów małe, bo podzielone po II wojnie światowej na dwa państwa i wreszcie ponownie duże – gdy oba państwa się zjednoczyły.

Każdej zmianie granic towarzyszyła śmierć i cierpienie milionów niewinnych ludzi i zniszczenie ich wielopokoleniowego dorobku. To powinno prowadzić dzisiaj żyjących do jednego wniosku: już nigdy więcej żadnych wojen i zmian granic! Unia Europejska jest najważniejszym w tej chwili projektem pokojowym, który gdyby był utrwalany i rozwijany, mógłby ten trwający przez całe wieki na naszym kontynencie przelew krwi, zatrzymać!

Powinno to być motto działania dla każdego polityka. Dotyczy szczególnie stosunków niemiecko-polskich, które mają za sobą niezwykle ponurą przeszłość. Szczególna wina Niemców za kształtowanie tych „złych” stosunków pomiędzy oboma krajami została wyrażona symbolicznym ukłęknięciem Willy Brandta przed Pomnikiem Getta Warszawskiego 7 grudnia 1970 roku. Niemiecki kanclerz uczcił w ten wzruszający sposób, zarówno żydowskie, jak i polskie ofiary nazistowskiego okupanta.

Czy dzisiejsi politycy obu naszych państw czują brzemień odpowiedzialności za rozwijanie dobrosąsiedzkich kontaktów także w przyszłości? Czy są świadomi, że trzeba Europę ustawicznie chronić przed wszelkimi powracającymi nacjonalizmami i nietolerancją wobec innych? Czy są świadomi obowiązku stałego pogłębiania integracji naszych państw i narodów pod dachem Unii Europejskiej? Czy też ten cel jest tylko pustym hasłem? Pytań

i postulatów jest oczywiście więcej: co zrobić, aby Niemcy nie dominowały w UE, a Europa stała się wspólnym dobrem jej członków i była zarządzana w sposób demokratyczny, z uwzględnieniem interesów wszystkich jej beneficjentów?

Czy Polska i Niemcy znajdą porozumienie w sprawie wspólnej polityki wobec Rosji i rozwiązania obecnego problemu emigrantów i uchodźców?

Czy oba rządy (niemiecki i polski) czynią wszystko, aby na co dzień zbliżyć do siebie zwykłych ludzi – jak to stało się po drugiej wojnie światowej pomiędzy – również kiedyś odwiecznymi wrogami – Francuzami a Niemcami?

Według mojej oceny, obydwie rządy – Polski i Niemiec – robią wiele, a nawet bardzo wiele, aby na wielu szerokich płaszczyznach budować trwałe pojednanie Polaków z Niemcami. Działania te wspierane są także przez liczne pozarządowe organizacje społeczne i fundacje, które wspomagają z własnej inicjatywy ten proces bez państwowych nakazów i dotacji. Znam wielu ludzi, którzy z pełną świadomością, znając tragiczną przeszłość, budują wspólną przyszłość, aby już nigdy nasze narody i kraje nie stanęły przeciwko sobie. Stanowią oni niezwykle cenny kapitał dla zachowania pokoju w Europie, poprzez liczne inicjatywy i działania, które służą pogłębianiu wzajemnego zaufania i współpracy pomiędzy Niemcami a Polakami. Jest to też celem stowarzyszenia *ost-west-forum Gut Gödelitz*, którym kieruję, a które razem ze swoimi przyjaciółmi z Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusku i działającym w ramach Akademii Międzywydziałowym Centrum Badań Niemcoznawczych, od wielu lat organizuje wspólne konferencje, dotyczące biografii polsko-niemieckich, które umacniają i rozwijają polsko-niemiecką współpracę. Podczas tych konferencji zaproszeni uczestnicy z obu naszych krajów prezentują swoje „polsko-niemieckie” lub „niemiecko-polskie” życiorysy. W ten sposób – o czym wielokrotnie osobiście się przekonałem – tworzą się więzi przeczące obiegowym i wciąż przez to groźnym stereotypom.

Od 20 lat *ost-west-forum* organizuje z powodzeniem nie tylko wspomniane biografie polsko-niemieckie, ale też niemiecko-niemieckie, na których spotykają się ludzie z Niemiec Wschodnich (w tym także b. NRD) ze swoimi „zachodnimi” współbraćmi. Ponadto w 22 miastach w Niemczech spotykają się ludzie na zainicjowanych przez nas „biografiach niemiecko-tureckich”. Nawet w Korei przyjął się nasz „goedelitzki” model spotkań biograficznych, by kojarzyć ze sobą „południowych” Koreańczyków z „północnymi”.

Chcemy te „biografie” kontynuować, a nawet rozbudowywać o nowe inicjatywy, jak choćby o projekt „Kultury pamięci w Polsce i w Niemczech” proponowany nam przez naszych przyjaciół z Polski. To, że otrzymujemy już drugą część „Biografii polsko-niemieckich”, zawdzięczamy naszym polskim przyjaciołom, a nade wszystko: Rektorowi Akademii Humanistycznej

prof.dr. hab. Adamowi Koseskiemu oraz kierownikowi naszego biura w Warszawie, prof. AH Karolowi Czejarkowi i znanemu warszawskiemu germaniście prof. dr. hab. UW Tomaszowi G. Pszczółkowskiemu. Również p. dr Katarzynie Gawor, która znaczną część biografii przełożyła na język polski. Cieszy także fakt, że współredaktorka I części biografii – p. dr hab. Anna Warakomska – jest obecna w niniejszym tomie.

Organizowaniem wspólnych konferencji i seminariów próbujemy informować obydwie nasze narody o postępującym procesie integracji i wpływać na polityków, by o potrzebie kontynuowania tego procesu nigdy nie zapomnieli. Aby niemożliwy był w Europie powrót do narodowych egoizmów, i aby nigdy nie zapomniano o straszliwej zbrodni, jaką zgotował Europie przed 70 laty niemiecki narodowy socjalizm. Naszym celem jest wspieranie procesu pokojowego współistnienia państw, w tym w szczególności Niemców z Polakami.

II. Biografie

ANTONINA ABRAMIUK

Kawałek mojej historii

W okresie wojny była popularna w Polsce taka dziadowska piosenka: *Dnia pierwszego września, roku pamiętnego, wróg napadł na Polskę, z kraju sąsiedniego...* – no właśnie, napadł bez wypowiedzenia wojny i zniszczył życie mojej rodziny oraz moje, wywlekając mnie z domu gdy miałam 10 lat, zawożąc do swojego kraju i zaprzęgając na kilka lat do pracy dla dobra swojego narodu.

A ten rok pamiętny – to rok 1939.

Urodziłam się 3 grudnia 1928 roku we Francji, ale od 1933 roku jestem w Polsce.

Mieszkam wówczas w małym polsko-żydowskim miasteczku uzdrowiskowym – Busko Zdrój. Obie społeczności od dawna żyją tu obok siebie, w zupełnej zgodzie. Katolicy chodzą do kościoła, Żydzi modlą się w bóżnicy, a dzieci uczą się w tej samej szkole.

Mam 10 lat. Są wakacje, piękne, ciepłe i beztrudne, jak to w tym wieku bywa. Mam ukończoną czwartą klasę i już się cieszę na nowy rok szkolny – bo lubię się uczyć. Gromadzę książki do klasy piątej. Mam już swoją, do dzisiaj ukochaną książkę do polskiego pt. „Pieśń o ziemi naszej”, którą już prawie całą przeczytałam, i która – jak się potem okazało – miała mi towarzyszyć na wygnaniu przez długich 5 lat, zastępując mi lekcje języka polskiego. Nawet nie wiem, jak się zdołała uchować, skoro nie uchowały się prawie żadne dokumenty i prawie żadne zdjęcia rodzinne.

Pierwsze dni wojny – jakieś przelatujące pojedynczo samoloty, jakieś huki, gdzieś niedaleko spadła bomba. Nagle w nocy poruszenie, łuna, pali się gdzieś w okolicy. Rano słychać, że Niemcy spalili okoliczną wieś, Broninę. Podobno zamknęto ludzi w stodole i podpalamo, strzelając do uciekających. Niektórzy mieszkańcy miasteczka mieli tam krewnych. Opowiadają, że przyczyną było znalezienie na drodze we wsi zabitego żołnierza niemieckiego, który zginął tam w potyczce z wojskiem polskim. Niemcy zemścili się w ten sposób na ludności cywilnej.

Następnego dnia oczekujemy wejścia tego obcego wojska. Siedzimy w kilka rodzin zbici w gromadkę, strwożeni, w sąsiedniej piekarni, ponieważ ma ona grubsze mury niż okoliczne budynki. Bardzo się boję. Wszyscy inni chyba także. Nagle wpadają. Zieloni, groźni, z karabinami wymierzonymi w nas, coś krzyczą, coś szwargocą – i wychodzą. A więc już są. I nic się stało. Odczuwamy chyba ulgę. Może nie będzie tak źle?

Docierają do mnie strzępy rozmów dorosłych; gdzieś komuś coś zabrano, gdzieś spędzono mężczyzn: Polaków i Żydów, do kopania rowów, pod strażą uzbrojonych żołdaków. Podobno kazano Polakowi zbić jednego z Żydów ponieważ słabo pracuje, a że Polak nie chciał tego uczynić, to Niemiec zbił jego. Próbuje ludzi skłócić, niektórych pobito itp. Ojciec opowiada jak uciekł z łapanek na rynku miasteczka, kogoś dokądś zabrano.

Nowy rok szkolny i moja nauka (w piątej klasie), rozpoczął się z dużym opóźnieniem. Wprowadzono nowy przedmiot – język niemiecki. „Niemka” wypisuje na tablicy ciągi niemieckich słówek do wkuwania. Nawet dość chętnie to robię. Natomiast znacznie mniej podoba mi się wydany przez Niemców nakaz oddania wszystkich podręczników do historii i do języka polskiego. Poruszenie i dyskusje wśród uczniów. Nie wszyscy oddają. Ja moją „czytanke” też schowałam.

Czy były potem stosowane jakieś sankcje z tego powodu – nie wiem, ponieważ potem mnie już w Polsce nie było. Moja edukacja w szkole zakończyła się na początku roku 1940, z wiedzą że: każde zdanie rozpoczyna się dużą literą i kończy kropką, że posiada podmiot i orzeczenie, że istnieje (i co oznacza) rzeczownik, czasownik i przymiotnik, oraz że istnieją ułamki – i wiedza ta musiała mi wystarczyć aż do 1946 roku.

Któregoś dnia ojciec nie wrócił do domu. Został aresztowany w łapanie i wywieziony. Po jakimś czasie przyszła od niego wiadomość, że jest w Niemczech na robotach. A więc żyje. Ale w domu jest ciężko. Zostałyśmy same z mamą i dwuletnią siostrą Krysią.

Kilka tygodni później, na początku 1940 roku, także mama została wyznaczona na wywóz do Niemiec i chyba miała kilka dni na przygotowanie się, ponieważ pamiętam pakowanie. Do dwóch worków, aby było wygodniej, pakowała pościel i trochę ubrania. Starła się zabrać rzeczy wg niej najpotrzebniejsze, bo przecież nie wiedziała dokąd jedziemy, na jakie trafimy warunki, a przede wszystkim, na jak długo. A ja, do jednego z tych worków, wepchnęłam ukradkiem moją książkę do polskiego.

W bardzo mroźny dzień wiozła nas do Kielc, chłopskimi furmankami. Jest ich cały szereg. Ja siedzę w ostatniej furmance. Gdy przejeżdżamy przez tak zwaną „Kolonie Urzędniczą” na skraju naszego miasteczka, widzę jak na jezdnię wybiega Jadzia Chruślińska z mojej klasy. Nie zwraca uwagi na furmanki i nie widzi mnie. Ale ja obrazek ten na zawsze miałam przed oczami, jako pożegnanie ze szkołą i z Polską.

Droga z Buska do Kielc jest dość długa (ok. 60 km). Gdy przejeżdżamy przez niektóre wsie Niemcy doładowują ludzi. Pamiętam, jak w jakiejś wsi wybiegła z przydrożnej chaty mała dziewczynka i krzycząc – mamó! mamó! – podbiegła do naszej furmanki i wgramoliła się na nią. Była to, jak się później okazało, dziewięcioletnia Marysia, której zabierano matkę – panią Kowalową. No i pojechała z nami. Bez przygotowania, tak jak stała, mała wiejska dziewczynka. Pamiętam, a także i z opowiadań mamy wiem, że potem matka Marysi pomagała nam trochę w całym transporcie, ponieważ sama miała niewielki bagaż. Dla mojej mamy była to znacząca pomoc, ponieważ na rękę miała także małe dziecko, a marsz na ewentualne noclegi bywał niekiedy dość długi i męczący. A ponieważ mama miała przygotowane trochę żywności – mogła się odwdziżyć.

Wyładowany w Kielcach na stacji kolejowej zmarznięty tłum, rozlokował się na dworcu i obok dworca. Następnego dnia załadowano nas, zmęczonych i brudnych, do pociągu towarowego. Ścisk i tłok. Po kilku godzinach wyładunek, na krótko, w Radomiu, gdzie prawdopodobnie formowano transport.

A potem była dalsza jazda pociągami, tułaczka po całych Niemczech, z której pamiętam tylko fragmenty. Pierwszy – to duży napis Warschau-West. Potem były kilkakrotnie: Breslau, Bremen i znowu to samo. Kiedy już po wojnie pytałam mamę, czy to możliwe, wyjaśniła mi, że wożono nas przez Niemcy tam i z powrotem przez dwa tygodnie, organizując w różnych miejscach handel współczesnych niewolników.

Przychodzili *bauerzy*, (właściciele gospodarstw ziemskich), oglądali ten materiał ludzki i wybierali dla siebie tych, którzy wydawali im się przydatni. Wybierali oczywiście co mocniejszych i transport po drodze topniał. Gdzieś po drodze odeszła także pani Kowalowa z Marysią. Na moja mamę z dwójką dzieci było mniejsze zapotrzebowanie, dlatego wożono nas po Niemczech bardzo długo.

Z tego okresu pamiętam przede wszystkim ogromne zmęczenie, postoje pociągu przez długie godziny na bocznicach, w zimnie i bez ciepłej strawy, czasem długie marsze do jakichś lagrów, baraki, piętrowe łóżka itp. No i migawki pamięciowe, fragmenty, które teraz gdy to piszę wypływają na wierzch, i które z jakiegoś powodu mocniej utrwaliły się w mej pamięci, jednak bez zachowania chronologii:

– Długi marsz po oszronionych „kocich łbach”. Jestem bardzo zmęczona, bo obciążona plecakiem i torbą. Ledwo idę i zataczam się, ktoś mnie szybko podtrzymuje i pomaga mi. Idąca obok mnie Marysia dygocze z zimna, ponieważ jest bardzo lekko ubrana. Moja mama wyciąga z worka chustę i otula nią Marysię.

– Duże pomieszczenie – przez kilka godzin kobiety, i ja z nimi, obieramy ziemniaki, a jakiś głos ponagla, pokrzykując. Nie umiem tego dobrze robić, a ponadto mam zupełnie zgrabiące z zimna ręce i ziemniaki wymykają mi się z rąk i bardzo się boję.

– Wpędzają nas nagich do dużej sali. Jest pełna sala kobiet. Razem z nami nawet dziesięcioletni chłopcy. Wstydę się mojej nagości. Prawdopodobnie była to łaźnia, ale moja pamięć żadnej kąpeli, żadnej wody nie zarejestrowała. Natomiast to, co dokładnie „widzę” – to ustawiony wzdłuż jednej ze ścian rząd kilku stołów, na których siedzą nagie kobiety poddawane badaniom ginekologicznym przez mężczyzn w białych fartuchach, a w drzwiach wejściowych tłum rechoczących żołdaków. Wszystko to dzieje się bardzo szybko. Nie bardzo rozumiem co się dzieje, wiem tylko że dzieje się coś bardzo złego i staram się nie patrzeć. Dzisiaj myślę o tym, jak musiały się czuć te biedne kobiety. Nie wierzę, aby ten koszmar kiedykolwiek zdołały wymazać z pamięci, skoro został nawet w mojej – ówczesnego dziecka. U nas w domu ten temat nigdy nie został poruszony. Ja po prostu nie odważyłam się go przypomnieć.

Ale są i inne migawki pamięciowe, które świadczą o tym, że wszędzie trafiają się prawdziwi LUDZIE.

– Oto siedzę bokiem na górnym stopniu schodów, smutna, zmęczona i zobojętniała. Jest to jakiś dworzec (chyba Berlin). Obok mnie stoi, zdjęty z pleców mój plecak i niedomknięta torba. Prawdopodobnie są tu także inne osoby z transportu, ale mój umysł ich nie zarejestrował. Może siedzą nieco niżej. Widzę tylko, że w odległości kilku metrów stoi tłum dobrze ubranych Niemców, prawdopodobnie przypadkowych pasażerów, ale nie widzę bagażu. A może przyszli tylko popatrzeć? Spoglądają na nas w milczeniu i ze smutkiem. W pierwszym rzędzie stoi około 15-letni chłopiec, kaleki, chyba z matką. W pewnym momencie podchodzi do mnie i wciska mi paczkę herbatników. Ponieważ ich nie biorę, kładzie je na mojej torbie, ze słowami – *essen, essen*. Znam już to słowo, kiwam więc tylko apatycznie głową, że dobrze. Taki drobny ludzki odruch, ale ileż on dla mnie wtedy znaczył, skoro go do dzisiaj pamiętam i „widzę” sylwetkę tego chłopca.

Ostatecznie wylądowałyśmy w majątku Nortenhof – należącym do Zakładów Rzeszy Hermanna Goeringa, (obecne Huettenwerke), które znajdowały się w odległym o 4 km Watenstedt. Był to duży majątek, przejmowany właśnie przez państwo i przekształcany w zamknięty obóz pracy dla obcokrajowców. Zarząd majątku objął nowo przybyły inspektor – Geiz. Przybył także Jabs z rodziną, jako nadzorca tzw. podwórza, czyli obór, owczarni itp. Był to wyjątkowo wredny człowiek. Na szczęście niewiele miałam z nim do czynienia, ponieważ na ogół przydzielano mi pracę poza jego terenem. Do stałej pracy w podwórzu wyznaczone były inne osoby. Robotami polowymi zajmował się Saxarra i to on zawsze rano rozdzielał robotę. Mówił dość dobrze po polsku, gwarą śląską, dzięki czemu dobrze porozumiewał się z Polakami, a poza tym – był to dość ludzki człowiek.

Z Niemców pozostali w majątku tylko owczarz Hoppe, tzw. szwajcar-maleńki Zuend z ogromną żoną i kupą rozwydrzonych dzieciaków, które bardzo się nam dawały we znaki, dwóch fernali, stary stróż nocny Fricke i polowy Saxarra.

Do całej pracy w tym majątku przewidziani byli więc obcokrajowcy, których liczbę ciągle zwiększano. Leżąca obok wieś – Uefingen – rządziła się własnymi prawami. Chłopi mieli własne gospodarstwa, a niektórzy także Polaków do pomocy.

Żona jednego z fernali wyraźnie uświadomiła moją mamę, mówiąc (także śląską gwarą) – *Hitler powiedział, że po wojnie my nie będziemy musieli pracować – za nas będziecie pracować wy.*

Zaczęto szybko kompletować ten ludzki kontyngent. W ciągu kilku tygodni przywieziono innych Polaków, zarówno samotnych, jak i rodziny. Po kilkunastu miesiącach przywieziono tu także mojego ojca, który po aresztowaniu pracował przy budowie drogi, właśnie w Watenstedt.

Rodziny z dziećmi zakwaterowano w starym budynku dawnych czworaków, z muru pruskiego. Otrzymałyśmy małą „klitkę” na poddaszu, z ukośnym sufitem i miejscem tylko na jedno łóżko, stół i niewielką szafkę, oraz żelazny piecyk. Na noc drugi siennik trzeba było rozkładać na podłodze. Na trzeci już miejsca nie było. Przykre było także to, że ukośny dach-sufit składał się tylko z dachówki i podbitki z desek, bez ocieplenia, a więc latem było bardzo gorąco i duszno, a zimą potwornie zimno. Podłogę stanowił beton, trudny nawet do umycia, gdyż wodę szybko wchłaniał. W tych warunkach żyłyśmy do 10 kwietnia 1945 roku, a więc ponad 5 ogromnie długich lat.

Był głód, ale można sobie było poradzić, kradnąc brukiew lub ziemniaki, przy których się pracowało, i tym głód zaspokoić. Trzeba przyznać że zarówno inspektor Geiz, jak i polowy Saxarra, jeśli mogli – to udawali, że tego nie widzą. W odróżnieniu od Jabsa, który jednego z Polaków posłał do obozu karnego Lager 21, tylko za napicie się w oborze kubka mleka, którego nawet prosiętom nie żałowano. Podobnie także 14-letniego Wieska, który zatrudniony jako fernal, jadąc w pole, zerwał jabłko z przydrożnego drzewa. Trzeba więc było zawsze uważać, aby za byle co w tym obozie się nie znaleźć.

Cały ten olbrzymi majątek obrabiali więc niewolnicy z podbitych krajów, w tym Polacy. Dzieci starsze, które już mogły pracować, były w mniejszym lub większym stopniu także wykorzystywane do pracy, różnej. Inne musiały opiekować się młodszymi. Oprócz Polaków byli tam także Rosjanie i Ukraińcy oraz bardzo dużo jeńców francuskich. Było także dużo Chorwatek. Z nimi nietrudno było się porozumieć, ze względu na nieco podobny język.

Nie potrafię powiedzieć, kiedy kto został przywieziony. Pamiętam jednak niektórych Polaków. Wymienię tu Julię Walczak, która desperacko uciekła od *bauera* w Gryfinie, ponieważ ten ją bił, i przyjechała tu do siostry Heleny Zajęc. A ponieważ majątek, jako państwowy – Zakłady Rzeszy Hermana Göringa – miał pierwszeństwo przed *bauerem*, a inspektor Geiz potrzebował kogoś do pomocy w domu i przy dzieciach, a Julia była młoda i dorosła, to zatrudnił ją w swoim domu. Aby jednak ucieczka od niemieckiego

pana nie uszła jej bezkarnie, to najpierw musiała swój „niecny” postępek odpokutować przez trzy tygodnie w najbliższym obozie karnym – Lager 21 Hallendorf.

Przez pewien okres było tam także dwóch chłopców, uczniów liceum z Kalisza. O ile dobrze pamiętam byli to: Stanisław Kucharski, oraz (?) Dzieran. Chłopcy ci byli namawiani do podpisania *volkslisty*, czego zrobić nie chcieli. Byli oni kilkakrotnie wzywani do biura przez przyjeżdżającego z sąsiedniej miejscowości Broizema, gestapowca, znanego nam jako Hans, gdzie byli przekonywani biciem. Słysząc było ich krzyki oraz wrzaski gestapowców. O ile wiem – listy nie podpisali i za karę, w 1943 roku, zostali dokądś zabrani.

Przytaczam powyższe przykłady dla pokazania, na co Polacy w Niemczech, oprócz ciężkiej pracy, byli dodatkowo narażeni i czego, żyjąc w ciągłym stresie, musieli się stale obawiać.

Rozdano nam po kilka płóciennych kwadracików z dużym fioletowym **P** na żółtym tle, celem naszycia ich na ubraniu, na widocznym miejscu. Polakowi spotkanemu bez tego **P**, nawet na polu groziła dotkliwa kara lub obóz karny. Tylko dzieci nosić **P** nie musiały, po prostu nie zwracano na nie uwagi. Rosjanie nosili napis – „OST.” Francuzi nosili swoje mundury. Każdy był więc w jakiś sposób oznakowany jako obcy.

Nasz dzień powszedni wyglądał następująco: wieczorem, po sprawdzeniu czy wszyscy są obecni, zamykano nasz budynek na klucz. Otwierano go o 5. rano. Obowiązek ten spełniał *wachmann* nadzorujący także jeńców francuskich, których piętrowy budynek koszar znajdował się tuż obok naszego. Codziennie rano rozlegał się dźwięk dzwonka-sygnaturki, uruchamianego przez Saxarrę, zwołującego w ten sposób ludzi po przydział roboty. To on robotę rozdelał, od niego więc zależało czy otrzymało się pracę lżejszą czy cięższą, a także czy bliżej domu, czy na najdalszym polu. To ostatnie było ważne szczególnie dla kobiet z dziećmi, ponieważ podczas przerwy obiadowej musiały zdążyć przyjść do domu i ugotować coś dla dzieci i siebie. A były przecież zmęczone ciężką pracą i niedożywieniem. Praca trwała do wieczora. Często także w niedzielę. A już regułą była praca w drugi dzień każdego świąt.

Ja w pierwszych tygodniach pobytu tam nie pracowałam. Moje pierwsze zetknięcie się z pracą przez cały dzień nastąpiło w kilka tygodni po przyjeździe i było to tzw. przerywanie buraków. Wyprowadzono nas na pole, olbrzymie, równiutkie jak okiem sięgnąć, przynajmniej dla mnie wtedy tak wyglądało i prościuteńkie. W ogóle cały ten teren był „nudny niby słońce”, jak poeta o Polesiu pisał. Różnica jest taka, że tutaj teren był suchy i było niewiele zieleni. Przede mną wyschnięte pole, poprzecinane rzędami buraków cukrowych wysianych maszynowo. Z nieba leje się żar. W rękach mała ręczna haczka. Robota polegała na tym, aby z małych roślinek pozostawiać tylko po jednej, w odległości co ok. 20 cm. A więc najpierw trzeba częściej

tęgo, co posiała maszyna „wyhakać”, a potem pozostałą kępkę oczyścić ręką i pozostawić tylko jedną roślinkę, by buraki miały miejsce do rozrostu. No i rosły pięknie.

Każdy otrzymał do obrobienia kilka rzędów. Moje pomaga przerywać mama, która jest w szeregu obok mnie. Rozebrana do koszulki i majteczek ledwo wytrzymuję ten upał i tę pracę, zgięta lub na kolanach, które po kilku godzinach krwawią i bolą. Często mam krwotok z nosa. I tak przez cały dzień, a potem drugi i następne. Wieczorem bolą obtarte kolana i całe ciało. Nigdy nie byłam silnym dzieckiem.

Praca przy burakach najgorsza była jednak jesienią przy ich wykopywaniu. A wyrosły olbrzymie. Przynajmniej dla mnie takimi były. Liście buraczane sięgały mi powyżej pasa. Po wykopaniu i obcięciu liści, „utyłane” w błocie buraki trzeba było jeszcze znieść na hałdę. Pamiętam, że jakoś zawsze wtedy padał lub siąpił deszcz. W za dużych dla mnie, gumowych butach, uzupełnionych wewnątrz słomą, owinięta workiem, na głowie kapтур z worka nasiąkający deszczem, a od dołu przemoczona mokrymi liśćmi. No, a wieczorem nie czekał na nas, w tzw. domu, gorący grzejnik ani ciepła łazienka, gdzie można by się wysuszyć i ogrzać, ani ciepła strawa. Tę trzeba sobie było po całym męczącym dniu najpierw ugotować. Rano odzież nakładało się jeszcze wilgotną

Praca przy burakach jest *nie do zapomnienia*. Gdy np. w 1976 roku pojechałam na, urządzaną przez zakład pracy, dwudniową wycieczkę do NRD, to na widok (z autokaru) leżących na polach stert wykopanych już, niemieckich buraków, dostałam gęsiej skórki, a następnie silnego bólu głowy; z pierwszego dnia wycieczki nic nie skorzystałam.

Także wiele innych podobnych, raz bardziej, raz mniej ciężkich robót znosiłam z trudem i wszystkie pozostawiły swój ślad, zarówno na moim kręgosłupie, jak i w psychice.

Jedną z najmniej uciążliwych robót był dla mnie zbiór zielonego groszku. Jest na ogół ciepło. I znowu – szereg ludzi wyrывa garściami zasiany w rzędkę groszek, obrywa strąki, a łodygi wyrzuca za plecy. Za każdą osobą tworzy się rząd łodyg. Oberwane strąki oddaje się na wagę. Nie pamiętam jaka była ustalona do wykonania norma (w cetnarach). Wiem tylko, że ja nie miałam z tym nigdy kłopotu. Miałam dość sprytne palce. Dodatkowo mogłam się najeść do syta i to smacznego groszku.– nauczyłam się bowiem świetnie opróżniać z ziaren włożone do ust strąki, używając do tego tylko zębów, bez straty czasu. Groszek był następnie ładowany na przyczepy i odstawiany do fabryki, chyba konserw.

Przy tej pracy można się więc było najeść, w czym nikt nie przeszkadzał, ponadto trochę odpocząć, ponieważ można ją było wykonywać także na siedząco, posuwając się na siedziskach zrobionych z wypakowanych grochowi-nami worków. Tęgo jednego, to znaczy worków, nam raczej nie brakowało. Stale byliśmy w pracy obwiązani workami, na różne sposoby. Mieliśmy tak-

że jakieś stare marynarki, które ewentualnie nakładaliśmy jedno na drugie. Absolutnie nie pamiętam jednak skąd je braliśmy. Niewątpliwie zaopatrywali nas w nie Niemcy i załatwiała to mama.

Przy odległych o 4 km Zakładach Hermanna Goeringa także były duże lagry (obozy) głodujących robotników przymusowych. Czasami potajemnie przychodził do nas ktoś stamtąd, prosząc o „zorganizowanie” czegoś jadalnego.

Nas, jak już pisałam, ratowały ziemniaki. Brukwi było więcej. Ale tłuszczu do niej także nie było. Moja mama radziła sobie w ten sposób, że z tartych ziemniaków piekła na blasze piecyka placki. Oczywiście bez tłuszczu. Było twarde i czarne, ale można je było zabrać ze sobą w pole zamiast chleba. Kiedyś podpatrzył mamę przy jedzeniu tego „rarytasu” Saxarra. Bardzo się dziwił, co to takiego i jak to można jeść. Z propozycji spróbowania jednak nie skorzystał.

Przyznać jednak muszę, że to, iż w miarę bezawaryjnie przetrwaliśmy tam wojnę, trochę możemy zawdzięczać inspektorowi Geizowi. Był raczej przyzwoitym człowiekiem, jak na tamte okoliczności. Jeśli czegoś nie musiał widzieć, to nie widział. Jeśli musiał – to wyzywał i krzyczał na winnego na całe gardło – a głos miał donośny – tak, aby wszyscy, szczególnie Niemcy, słyszeli (bo przecież nigdy nie wiadomo kto doniesie do SS, że pobłąza Polakom) i na ogół kończyło się na niewielkiej karze. A do wyzwisk i obelg, żyjąc wśród wrogiego narodu, musieliśmy się z konieczności, przyzwyczaić. Żyliśmy przecież wśród narodu, który nami pogardzał i dawał nam to odczuć. Nawet dzieci niemieckie swoje własne kłótnie kończyły najgorszym, w ich mniemaniu, wyzwiskiem: *du Pollacke, Russe!* Właśnie w tej kolejności.

O dodatkowe urozmaicenie naszego życia dbał miejscowy policjant – Appel, mieszkający w leżącej obok wsi – Uefingen. Był bardzo złośliwy i bardzo Polaków nie lubił. Wpadał o dowolnej porze, niezależnie od tego czy byliśmy w domu, czy w pracy i przeszukiwał nasze kąty. Wyciągał nasze skromne mienie z pudeł umieszczonych pod skośnym sufitem i robiąc rewizję – rozrzucał wszystko. Nie wiem czego mógł tam jeszcze szukać, gdyż już po kilku rewizjach znał każdą naszą rzecz na pamięć. Może się nudził. Dodatkowo potrafił złośliwie wysypać i wymieszać np. cukier z solą czy mąką, jeśli akurat coś takiego znalazł. Oczywiście nie obeszło się przy tym bez wyzwisk, wśród których powiedzenie – *polnische Schweine* – stanowiło stały repertuar. Jeździł zawsze na rowerze i widać go było już z daleka. Tak bardzo się go bałam, że na widok zbliżającego się Appla dostawałam niekiedy nerwowych drgawek. Po jakimś czasie Appel nagle zniknął i odetchnęliśmy. Pod koniec 1944 roku byłam świadkiem, gdy żona Appla płacząc, skarżyła się ogrodnikowi, że jej mąż poległ na froncie wschodnim. Nie muszę chyba dodawać z jaką radością tego słuchałam i przekazałam innym. Brzydkie uczucie? Z pewnością. Ale nawet nie wiem, czy wtedy powinienam się tego wstydić. Zrozumie to tylko ktoś, kto sam podobnych rzeczy doświadczył.

Osoby, które wojnę znają tylko z opowiadań tego nie rozumieją, przykładając do odczuć dzisiejszą miarę.

W 1943 roku zmieniono mi przydział pracy. Pan *oberinżynier*, kierownik jakiegoś oddziału w hucie, potrzebował Polkę do pracy w domu. Mieszkał w sąsiedniej miejscowości Steterburg. Przydzielono mnie właśnie tam. Rodzina była duża. Najstarszy syn był w wojsku, gdzieś na Łotwie. Pan domu – Wilhelm Werz – oraz dwie córki (21 i 18 lat) i młodszy syn pracowali w tejże hucie, odległej o kilka kilometrów. Wyjeżdżali rano i wracali o 18:10. W domu zostawała żona, matka żony oraz sześcioletnia dziewczynka, a także, wzięta z zachodnich Niemiec na „przechowanie” przed nalotami, dziewięcioletnia Rosemarie. Rodzina nie należała do entuzjastów Hitlera, ale oczywiście kryła się z tym. Była bardzo katolicka, ponieważ pochodziła z Nadrenii, podczas gdy tutejszy teren zamieszkiwali protestanci. W każdą niedzielę cała rodzina obowiązkowo szła do kościoła, a każdego wieczora modliła się głośno przed obrazem Matki Boskiej z lampką oliwną. Do dzisiaj umiem pacierz po niemiecku. Rodzina była raczej przyzwyczajona, co jej jednak nie przeszkadzało w ciągłym okazywaniu pogardy względem „jakiejs tam Polki”. Bywały różne drobne przykrości i docinki, a najgorsza pod tym względem była ruda i złośliwa Rosemarie.

Pracy dla mnie było bardzo dużo, a miałam dopiero 14 lat. Pani domu zajmowała się tylko gotowaniem i zakupami kartkowej żywności, ale te zakupy przynosiłam ja, łącznie dla 9 osób – bo przecież dla mnie też kartki mieli. (Dodam tylko, że nigdy nie dostałam np. ani jednej bułki z tych moich kartek). Było więc co dźwigać. Po chleb i mleko chodziłam sama. Pamiętam, że w jednej torbie miałam siedmiolitrową blaszaną kankę z mlekiem odciągającym i dwulitrową z mlekiem „pełnym” dla dzieci, a w drugiej kilka dużych bochnów chleba, co drugi dzień. To było dla mnie bardzo ciężkie. Miałam wrażenie, że mi ręce wychodzą ze stawów. Wykonywanie pozostałych wszystkich czynności, z wyjątkiem prania, należało do mnie, a więc zarówno obieranie ziemniaków dla 9 osób, jak i dwa razy dziennie nakrywanie do stołu, mycie naczyń, sprzątanie kuchni i łazienki, codzienne sprzątanie głównego pokoju, a raz w tygodniu gruntowne sprzątanie jednego z pozostałych pięciu pokoi, (odkurzaczy nie było), codzienne ślanie wszystkich łóżek, czyszczenie butów, noszenie węgla z piwnicy i wiele innych drobnych czynności. O godzinie 17,45 należało wywietrzyć mieszkanie i nakryć do stołu, po uprzednim rozciągnięciu go, przy którym o 18,10 cała rodzina zasiadała do obiadokolacji. Potem czekało mnie jeszcze zmywanie naczyń i sprzątnięcie kuchni. Z trudem ze wszystkim nadążałam. Ponadto, ponieważ nie miałam rękawiczek, a zima była bardzo ciężka, to podczas noszenia zakupów (około 1,5 km) odmroziłam sobie ręce. Tak bardzo, że miałam na nich otwarte rany. Nogi odmroziłam potem w obozie karnym.

Wstawałam raniutko i chodziłam jak w kieracie przez cały dzień. Jak na moje lata było to o wiele za dużo. Byłam tak bardzo zmęczona fizycz-

nie i psychicznie, że pewnego dnia postanowiłam „nabawić się zapalenia płuc”. W moim umyśle dziecka przewidywałam, że jeśli będę chora, to przecież jasne, że nie będę musiała wstać do pracy, chociaż przez kilka dni. Po prostu już nie wytrzymałam. Była zima. W pomieszczeniu na poddaszu, w którym spałam, woda w kranie zamarzła. W cienkiej nocnej koszuli, którą stanowiła podarowana mi stara suknia balowa którejś z dziewczyn, ułożyłam się na betonowej posadzce, z mocnym postanowieniem „zmarznięcia na kość”. No i zmarłam. Ale potem wpakowałam się z głową w tzw. bety, więc nawet chuchanie ogrzewało mnie, wytwarzając prawie parówkę. Przykrycie miałam solidne, bo gospodyni nie chciała tego trzymać w pudłach. Okazało się, że się nie przeziębiam i na drugi dzień do pracy wstać musiałam. Bozia ustrzegła i naprawiła to, co głupie dziecko chciało zepsuć. Bo przecież zapalenie płuc w tamtym czasie i w tamtych warunkach było groźne. Pracowałam więc dalej, od 6.00 rano do późnego wieczora, gdyż po sprzątnięciu kuchni zawsze było jeszcze coś do zrobienia. Wolne miałam tylko w niedzielę po południu, po sprzątnięciu kuchni po obiedzie. Wtedy mogłam iść do oddalonej o około 5 kilometrów rodziny i wrócić dopiero następnego ranka. Ja wtedy jeszcze **P** nie musiałam nosić (jako dziecko), mogłam więc bezkarnie wszędzie swobodnie chodzić.

W tym okresie aresztowano mojego ojca. W rozmowie z Rosjanami, a język ten doskonale znał, powiedział coś niepochlebnego o Niemcach. Jeden z Rosjan powtórzył to owczarzowi Hoppe, który jako dobry Niemiec, przekazał to dalej. Ojca zabrano do więzienia w Wolfenbuettel.

W południe 30 stycznia 1944 roku Anglicy urządzili na Niemcy pamiętny nalot dywanowy. Po tym nalocie mój „pan i władca” Werz – musiał pracować w niedzielę, mając za to wolne czwartki. Został więc pozbawiony niedzielnego pójścia z rodziną do kościoła. A że był bardzo religijny, chodził we czwartki. W ten sposób któregoś czwartkowego ranka, kiedy jego żona jeszcze spała, wybierając się właśnie do kościoła stanął wściekły przede mną, sprzątającą właśnie główny pokój i zaczął wrzeszczeć. Wprawdzie wtedy już dość dobrze znałam niemiecki język, (wieczorami czytałam na górze zmagazynowane tam niemieckie książki młodzieżowe) ale jego wrzasku nie byłam w stanie zrozumieć i do dziś nie wiem czego wtedy ode mnie chciał. Prawdopodobnie zrobił coś nie po jego myśli. A może buty nie były dość dobrze wyczyszczone. Ten bardzo religijny człowiek tak mnie wtedy pobił, że upadłam i zalałam się krwią, a on, wrzasnąwszy jeszcze – wstawaj! – wziął książeczkę do nabożeństwa i poszedł do kościoła. Ciekawe czy się wypowiadał? Jego religijność nie przeszkodziła mu w wyładowaniu swej złości na polskim dziecku, ponieważ wiedział, że może to uczynić zupełnie bezkarnie.

A potem przyszedł żandarm i zabrał mnie na reedukację do karnego obozu – „Lager 21 Hallendorf”. A w obozie karnym wiadomo jak było. Był bardzo zimny kwiecień. W cienkich drelichach i w za dużych, sztywnych drewniakach, oczywiście bez skarpet, bardzo marzłam, zarówno na długich apelach,

jak i przy pracy. Wożono nas bowiem traktorami, do różnych prac w okolicy. Poza tym były ciągle wrzaski, bicie i duże psy – do których do dzisiaj mam uraz, zarówno do psów jak i wrzasków. Kiedyś np. jedna z więźniarek została „spalowana” przez *wachmankę* tylko za to, że podniosła kawalek surowego ziemniaka, aby go zjeść. Ja starałam się tak lawirować, żeby zejść *wachmanom* z drogi, ale i tak wiele razy zaliczyłam. Bicie pałami śladów nie zostawia, natomiast odrzucenie mnie na kilka metrów, silnym uderzeniem (walnięciem) w twarz za upuszczenie niesionego wiadra z ziemniakami – spowodowało uszkodzenie, delikatnych przecież jeszcze wtedy, dwóch kręgów szyjnych. Ale to zostało ujawnione (zdiagnozowane) dopiero w latach 60. Natomiast związane z tym dolegliwości występowały stale, już od zimy 1945/46 roku, podczas gdy ja nie zdawałam sobie wtedy sprawy z ich przyczyny.

Po kilku tygodniach, w maju 1944 roku, „zwrócono mnie” do macierzystego obozu pracy w Nortenhof i przydzielono do pracy w ogrodnictwie. Mamie o tej mojej przygodzie nic nie powiedziałam. Nie chciałam jej dodatkowo martwić. Dowiedziała się o tym dopiero po wyzwoleniu i naszym wyjeździe z Nortenhofu. Nie mogła mi tego darować.

Ogrodnictwo to prowadziła Frau Ostermann, przy pomocy emerytowanego ojca – byłego fornała, oraz teścia – ogrodnika. Mąż był w wojsku, we Francji. Miała dwoje dzieci, na szczęście dość dobrze wychowanych. Oprócz mnie, na stałe pracował tam też francuski jeniec – Fernand, który na noc także wracał do swoich koszar, pod klucz. Frau Ostermann nie była złą kobietą. Gorszy był jej teść. Pracy jednak miałam dużo, od 5. rano do wieczora. Tu już wodociągu nie było, wodę musiałam przynosić ze studni znajdującej się na trzecim podwórzu, a wody w gospodarstwie potrzeba dużo. Raniutko zaczynałam od karmienia świń, a potem różnie. Po wykonaniu prac domowych szłam do pracy w ogrodzie. Cały dzień, jak w kieracie. Kiedy było mi bardzo ciężko próbowałam sobie wmawiać, że ta praca jest bardzo przyjemna, że sprawia mi dużo radości, że chętnie ją wykonuję. Czasem to pomagało. Wiemy przecież, że nawet ciężka praca, którą wykonujemy z własnej woli, jest mniej przykra.

Była tam także koza, którą musiałam nauczyć się doić. Miałam z tym duże trudności, ponieważ nie potrafiłam dłońią ścisnąć sutków. Pomagałam sobie, dociskając je zgiętym kciukiem, co w końcu musiała zaakceptować zarówno Frau Ostermann, jak i jej koza.

Od czasu styczniowego nalotu dywanowego stawały się one coraz częstsze. W dzień czasami samoloty latały bardzo nisko. Nikomu z nas taki nalot nie przeszkadzał, powodował tylko pożądaną przerwę w pracy. Cieszyliśmy się zawsze, patrząc góry i zazdroszcząc im. Będąc w polu, nie kryliśmy się przed nurkującymi samolotami, aby piloci widzieli, że to nie Niemcy i nie ostrzeliwali nas.

Niektóre naloty były tak silne, że gdy np. bombardowano Hannover (odległy o 60 km), to u nas ziemia drżała. Tylko np. jeden z nalotów na Braun-

schweig (odległość 9 km) pozbawił dachu nad głową 40 tysięcy mieszkańców. Naloty w ciągu dnia nie były jednak dla nas straszne, ponieważ na ogół widać było, że samoloty nie zagrażają nam, lecz lecą dalej, najczęściej w kierunku Berlina. Powodowało to tylko przyjemną przerwę w pracy – lecz nie jej opuszczenie. Tylko więc z daleka mogłam podglądać, czy moja siostra ucieka do schronu. Gdy widziałam, jak trójka maluchów – dwie pięcioletnie Krysie, trzymające za ręczki dwuletniego Dzikka – biegnie w kierunku schronu, ile sił w małych nóżkach, byłam spokojniejsza. Dzieci musiały sobie radzić same. Dorośli byli przecież w pracy.

Gorsze było to, że człowiek zmęczony całodzienną ciężką pracą nie mógł w nocy wypocząć, tylko musiał obowiązkowo uciekać do schronu, niekiedy dwukrotnie. To można wytrzymać przez kilka dni, ale nie miesiący. Ja tego nie wytrzymałam. Okazałam się bardziej nieodporna na brak snu niż nawet na głód. Zasypiałam w schronie stojąc. Błagałam nieraz mamę, gdy mnie w nocy budziła, aby mnie zostawiła w domu. Zawsze usłyszałam wtedy kilka ostrych słów, co mnie szybko stawiało na baczność. Kiedy dzisiaj o tym myślę to podziwiam mamę, jak ona to wytrzymywała. Musiała przecież także ubierać moją małą, zaspaną, przewracającą się siostrę. Chwytałam wtedy poduszkę dla małej i jakiś koc i pośpiesznie wychodziłyśmy z domu, ponieważ samoloty już było słyhać. Dawały się nam we znaki szczególnie małe eskadry, lub pojedyncze samoloty, których należało się obawiać, bo nigdy nie było wiadomo, gdzie tym razem zaatakują.

Wiosną 1945 roku alarmy były już tak częste, że właściwie zawsze było słyhać dźwięk syren i już nie było wiadomo, czy to jest sygnał alarmu czy odwołania. W marcu wiedzieliśmy już, że wojska alianckie zbliżają się, a wojna ma się ku końcowi. Czekaliśmy tak długo, że aż trudno było w to uwierzyć. Niemcy byli zaniepokojeni i już nie byli tacy ważni. Przestali nawet zamykać nas na noc.

Podano do wiadomości – oczywiście Niemcom – że ostrzeżeniem przed czołgami będzie sygnał pełnego alarmu (który odróżniał się od sygnału przedalarmu i odwołania) trwający przez 5 minut. Normalnie sygnał ten trwał krótko, był więc nie do pomylenia. Jesteśmy podnieceni, bo to przecież najwyraźniej świadczy o zbliżającym się końcu naszej niewoli. Pewnej nocy słyhać od zachodu huki i widać błyski. Nikt nie śpi. Niemcy także nie. Boimy się, bo przecież nie wiemy jak ten front będzie przebiegał, ale nie możemy się go doczekać. Jeszcze trochę nie dowierzamy. Rano nikt już do pracy nie wychodzi. W nocy spokój. Następnego dnia przed południem rozlega się głos syreny. Pełny alarm. Stoimy na podwórzu. Oprócz Frau Ostermann i jej teścia – także ja i Francuz Fernand. Nagle dociera do mnie, że ten alarm już chyba trochę zbyt długo trwa, ale jeszcze nie możemy z Fernandem uwierzyć. Może się zaraz skończy. Ale jeszcze trwa. I trwa nadal.

O Boże, przecież to jest alarm przeciwczołgowy!!! To prawda!!! To już jednak koniec!!!

I nagle – ten dorosły francuski żołnierz wystawia Niemcowi język i zaczyna mu przed nosem wymachiwać rękami i podskakiwać z nogi na nogę jak pajac. Ten obrazek warto by było utrwalić. On w ten sposób odreagowywał lata niewoli i upokorzeń.

Noc spędziliśmy na wszelki wypadek w schronie.

A rano już byli Amerykanie. Był to dzień 10 kwietnia 1945 roku.

Bez jednego wystrzału. Najpierw drogą do wsi przejechał jeep, a w kilka minut później – ciężarówka z wojskiem. Część z nich zatrzymała się przy naszym schronie, któryś z żołnierzy wyciągnął gitarę. Swobodne wojsko, jak na biwaku. Mieli czekoladę i inne dobre rzeczy, których nie widzieliśmy od lat. Okazało się, że niektórzy żołnierze mają polskie korzenie, że mówią trochę po polsku. Ci frontowi amerykańscy żołnierze pytali nas wyraźnie, który z Niemców zrobił nam tutaj krzywdę i kogo mają zastrzelić.

Nie poskarżyliśmy się na nikogo. Polacy to nie jest mściwy naród. Nie poskarżyłam nawet na Werza, który mnie pobił i oddał do karnego obozu. Mama wtedy o tym nie wiedziała, bo by chyba nie darowała, jak to matka.

Ja nie widziałam potrzeby zabierania rodzinie ojca za jeden głupi postępek. Przy postawieniu na szali, te dwie sprawy – śmierć Werza i moje „nie-wygody” – nie wydawały mi się równorzędne, chociaż czas w obozie ciężko przeżyłam. Nie wiedziałam wtedy, że fizyczne skutki pobicia będę odczuwać przez całe życie, ale to i tak nic by nie zmieniło.

Nie mściłam się także na owczarzu Hoppe, który doniósł do gestapo na mego ojca. No bo jakaż była ta jego wina? To nie był zły człowiek, ale prosty wieśniak. Uczono go, że niekorzystne wypowiedzi o jego ojczyźnie szkodzą jego narodowi, więc jako dobry Niemiec – zgłosił je. Być może nawet nie zdawał sobie sprawy jakie będą tego konsekwencje. Nieraz potem rozmyślałam na ten temat. Zadawałam sobie pytanie, czy ja na jego miejscu, w ówczesnym świecie, bez dzisiejszej wiedzy i rozeznania nie postąpiłabym podobnie. To wcale nie są tak bardzo oczywiste sprawy.

Tylko jednemu Niemcowi Polacy nie podarowali. Rozliczyli się z nim jednak bez pomocy Amerykanów. Ponieważ „nasi” Polacy nie chcieli tego załatwiać osobiście, to do Jabs’a przyszli trzej młodzi Polacy z sąsiedniej wsi i spuścili mu solidne lanie, ale tak, aby mu nie wyrządzić wielkiej krzywdy. Jemu taka nauczka należała się. Widząc potem, jak jego córka Hanne płacząc, opowiada o tym swemu koledze z Uefingen, myślałam o tym kiedy płakałam ja, gdy byłam poniewierana i bita i gdy, jak przestępcę aresztowano mego ojca.

Zaraz w pierwszych dniach po przejściu frontu, wszyscy ludzie z zachodu zaprzęgali majątkowe konie i odjeżdżali do domu. Polacy musieli zostać. Wprawdzie teraz mieliśmy jedzenia pod dostatkiem, szczególnie mięsa, którego przedtem brakowało, ale do domu jeszcze jechać nie mogliśmy. Tylko naszą klitkę zamieniliśmy na przyzwoite pomieszczenie w opuszczonych francuskich koszarach

Dopiero 1 maja wyjeżdżamy. Cieszę się, że jedziemy do Polski, ale to okazuje się nieprawdą. Po godzinie lądujemy w jakimś opustoszałym lagrze na dwie noce. Zdobywam tam cenny „łup” – w jednym z baraków znajduję, zawieszony w oknie, zupełnie dobry, siwy koc. Z tego koca Niemka uszyła mi kilka tygodni później (za paczkę kawy) spódnicę i żakiet – bez kołnierza, gdyż na kołnierz zabrakło już materiału. Było to moje jedyne ciepłe okrycie, w którym w listopadzie 1945 roku, po pięciu latach poniewierki i harówki dla III Rzeszy, wróciłam do Polski.

Ale na razie jesteście jeszcze ciągle w Niemczech.

Trzeciego maja wiozą nas dalej. Siedzę wysoko na bagażach, w odkrytej ciężarówce. Wyjeżdżamy z jakiejś wsi drogą wiodącą w dół. Przed sobą widzę zalesione wzgórza a wzdłuż drogi, po obu jej stronach, obsypane białymi kwiatami drzewa jarzębiny. Widok, takiej masy zieleni i kwiecica tak na mnie podziałał, że się po prostu, rozplakałam.

Był to zjazd do obozu przejściowego – „Obóz nr 4 w Gebhardshagen” – u podnóża gór Harzu, w którym 5 maja 1945 r. umieścili nas Anglicy.

Wolność przynieśli nam Amerykanie, ale okupację tego okręgu przejęli Anglicy. Sympatycznie ich nie wspominam. Ale to już inna opowieść.

W tym obozie spotkałam wreszcie moich polskich rówieśników, wywiezionych do Niemiec po powstaniu warszawskim, o którym dotychczas nic nie wiedziałam. Rozmawiając z nimi uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem opóźniona. Oni w Polsce jednak się uczyli, jeśli nie w szkole, to na różnych tajnych kompletach. Zdobywali nawet maturę. Jest mi bardzo, bardzo smutno.

Już po wojnie ...

Jesienią zaistniała możliwość powrotu do kraju. Korzystamy z niej. W listopadzie odchodzi pierwszy transport zabierający rodziny. Jedziemy etapami, zawsze z kilkudniową przerwą. Najpierw są to baraki w Watenstedt, potem duże koszary w Lueneburgu, gdzie ze zdziwieniem obserwuję Szkota w spódniczce w kratę i w białych podkolanówkach z pomponami. Z Lüneburga wiozą nas krytymi ciężarówkami przez dwa dni, z nocą spędzoną w jakimś miasteczku, na podłodze zasłanej resztkami brudnej słomy. Jest to długi sznur ciężarówek, co widać na zakrętach. Po drodze mijamy jakieś prawie zupełnie zniszczone miasteczko. A wzdłuż drogi ciężarówka mija co kilka metrów niemieckie dzieci z wyciągniętymi rączkami, wołające – *keeeeks!*, *keeeeks!* Reakcja ludzi jest różna, tych samych osób i zmienia się co chwilę – od satysfakcji, poprzez współczucie do złości. Te same osoby, w jednym momencie wymyślają tym małym, a w następnym – rzucają ten keks. Jest to chyba ogólne odreagowywanie przeżytych własnych upokorzeń.

Na Elbie – głęboki zjazd na most pontonowy.

No, a potem granica. Biało-czerwony szlaban, niewielki baraczek z naszą flagą (a także pękiem jakichś innych małych, czerwonych chorągiewek), a przy nim nasz polski żołnierz w rogatywce, taki bardzo NASZ. I naraz

rozlega się z wszystkich ciężarówek jeden wielki, głośny, prawie chóralny płacz. Słychać szczególnie męskie głosy. Okazało się, że w transporcie było wielu mężczyzn wracających z różnych obozów. Ci twardzi mężczyźni płakali głośno jak dzieci. A co dopiero mówić o nas. Było to tak mocne przeżycie, że i dzisiaj nie mogę o tym ani mówić, ani pisać spokojnie, ciągle to przeżywając.

Następny jest Szczecin. W PUR-ze (dla niewtajemniczonych – był to Państwowy Urząd Repatriacyjny) otrzymujemy dowód rejestracji powrotu do Polski. Dla mnie jest to nr 12845, z dnia 24.11.1945 r – i był to wtedy jedyny mój dokument poświadczający mój pobyt i pracę w Niemczech. Będąc w Niemczech nie mieliśmy żadnych dokumentów, ponieważ byliśmy w zamkniętym obozie pracy. Z polskich dokumentów zachowały mi się tylko dwa świadectwa, z trzeciej i czwartej klasy, które potem były podstawą do wyrobienia dowodu osobistego. Metryki także nie miałam. Jej kopia została w Busku, w szkole, w której potem stacjonowali Niemcy. A ja urodziłam się we Francji.

Spędziłam pełne 5 lat na zbyt ciężkiej, jak dla dziecka, pracy, pośród niechętnego, raz mniej raz bardziej okazującego swą wrogość – narodu, oznakowana literą **P**, jako gorszy gatunek człowieka i dość często określana mianem *polnisches Schwein*.

W sumie zabrano mi 6 najważniejszych w rozwoju dziecka lat oraz zdrowie. Ale także cały dorobek życia rodziców. Teraz nie było do czego wracać. Wracaliśmy do pustki.

Mama przed wojną nie pracowała. Żadnego zawodu nie miała. W Szczecinie, mimo jego zniszczeń, można było znaleźć i zająć jakieś wolne mieszkanie, nawet z wyposażeniem. Ale ponieważ było tu bardzo niebezpiecznie z powodu grasujących różnych band, mama jako samotna kobieta z dziećmi, bała się w nim pozostać. Przyłączyła się więc do znajomych, jadących do Łodzi, licząc że tam będzie łatwiej o pracę niż w małym miasteczku.

Po załatwieniu formalności, z otrzymaną na drogę dość dużą paczką herbatników – niestety niesłodkich – pociągiem z Turzyna pojechaliśmy w dalszą drogę. Do Łodzi jechaliśmy pociągiem towarowym przez dwa dni. Pamiętam tylko, że było bardzo zimno, że brak ciepłej odzieży bardzo się nam dawał we znaki, i że po wyjściu z pociągu na ziemi zostawały ślady stóp, z powodu spadłego w nocy pierwszego śniegu, tzw. „ponowy”. Był dzień 27 listopada 1945 roku.

Znalazłyśmy się w tej zbieraninie ludzkiej, która nie dysponowała takim luksusem, jak własne miejsce pobytu. Dla tego zbiorowiska PUR przeznaczył kilka hal jakiejś nieczynnej fabryki, jako przejściowe lokum dla ludzi przemieszczających się, szukających dla siebie w tej nowej rzeczywistości miejsca. Ulokowano nas w jednej z tych olbrzymich hal, ściśle wypełnionej drewnianymi pryzmami, zajętych przez osoby różnej płci i w różnym wieku. Szczególnie w nocy przeżycia znajdujących się tam ludzi, a były ich

tam dziesiątki, dawały o sobie znać. Ktoś się z kimś kłócił przez sen, ktoś krzyczał, ktoś głośno płakał. Z uwagi na warunki nauczyłam się tam ubierać i rozbierać już w łóżku.

Wyżywienie własne. A skąd miałyśmy je brać, bez pieniędzy? Nasz cały majątek to kilka zaoszczędzonych, z otrzymywanych w przejściowym obozie w Gebhardshagen paczek UNRRA, różnych puszek, ze sprzedaży których żyłyśmy przez pierwsze dni. W lepszej sytuacji byli ci, którzy przyjechali z dawnej wschodniej Polski, czyli „zza Buga”, oni jakiś swój dobytek mieli.

Mama znalazła pracę sprzątaczką w Drukarni Wojskowej przy ul. Gdańskiej. Po miesiącu jednak rozchorowała się. Ja od 17 grudnia 1945 roku zatrudniłam się w tejże drukarni jako odbieraczka. Pracuję na trzy zmiany. Biorę jednak także godziny nadliczbowe, kiedy tylko jest okazja, ponieważ są więcej płatne. Na miejscu dostaję szklankę mleka, a w piekarni obok kupuję bułkę i to jest całe moje pożywienie. Pieniądze oczywiście oddaję mamie. Gorzej z myciem. Ciepłej wody oczywiście nie ma. Bywało i tak, że rano myłam się śniegiem

Brak ciepłej odzieży. Z darów UNRRA otrzymałam stary, ciepławy, zielony płaszcz, ze śmiesznymi bufkami, ale przynajmniej dłuższy niż mój „niemiecki” blezer. Wstydę się w nim chodzić, ale nic na to nie poradzę, ponieważ nic innego nie mam. Rękawiczek i czapki także.

Uczę się na nowo Polski, od cen poczynając. Po tylu latach wszystko jest dla mnie nowe, szczególnie na poniemieckiej wsi. Przyklejam oczy do wystaw.

Dwie rodziny „zza Buga” wyjeżdżają do znalezionych na zachodzie gospodarstw. Mama jedzie z nimi na rekonesans. Znalazła jakiś w połowie zniszczony dom w okolicy Stargardu, więc wyjeżdża tam razem z małą Krysią. Ja upieram się pozostać. Nie chcę jechać na wieś, ponieważ chcę się uczyć. Nie mam jednak pojęcia, jak to zrobić. Nie mogę przecież pójść do piątej klasy razem z małymi dziećmi, a więcej nic nie umiem. Mając więc zaledwie 17 lat, zostałam w Łodzi sama, na tej wspólnej sali.

Zaraz potem rozbolą mnie i ogromnie mi spuchła lewa strona twarzy i szyi. Obwiązywałam głowę jakąś chustą, opuchliznę ocieplałam watą i tak chodziłam do pracy. Ktoś mi powiedział, że to świnka, ale nikt się tym nie zainteresował i nie poinformował mnie, że powinnam się zgłosić do lekarza. Jakoś samo przeszło.

Po jakimś czasie pewna starsza pani (32 lata – hmmm) zdobyła dla siebie pokój i zaproponowała mi wspólne zamieszkanie. Ależ byłam szczęśliwa, mogąc pożegnać tę hałą. Na pierwszym piętrze oficyny ze zdezelowanymi schodami – mały pokój z murowanym paleniskiem, z jednym tylko, żelaznym łóżkiem, wąskim stolikiem i prymitywną szafką. Na noc rozkładałam moją pościel na podłodze. Ale to jednak już luksus.

Poprzez kontaktowy adres odnaleźliśmy się z ojcem, lecz w sierpniu 1946 roku ojciec już nie żył. A życie musiało toczyć się dalej. Śmierć ojca zmobilizowała mnie tak dalece, że odważyłam się pójść do szkoły i zapisać się do klasy szóstej.

Po którejś lekcji młoda nauczycielka, która wtedy uzupełniała także własne studia, zaproponowała mi przeniesienie do „gimnazjum semestralnego dla pracujących”, w którym języka polskiego uczył jej znajomy, także „opóźniony” student. Byłam przerażona. Jak to? Ja, która oprócz czytania nic nie umiem, mam iść do gimnazjum? Postawiła na swoim i umówiła mnie. Podziwiam tych ludzi, że w natłoku spraw własnych, w tych trudnych czasach, potrafili zainteresować się także sprawami moimi. Do dzisiaj jestem im, z największej głębi mego serca, wdzięczna i już od dawna ogromnie żałuję, że nie zapamiętałam ich nazwisk, aby ich odszukać i podziękować. Ale to wszystko trwało zbyt krótko, a ja wtedy byłam bardzo zabiedzona, a i przez długi czas później także nie miałam lekkiego życia.

Zgłosiłam się więc, z duszą na ramieniu. Nie miałam żadnych dokumentów, a jedynie świadectwa – zupełnie zresztą niezłe – z 3. i z 4. klasy szkoły podstawowej w Busku Zdroju... Aby formalnościom stało się zadość urzędowo mi prowizoryczny egzamin, chyba z matematyki i z polskiego. Matematyki nie pamiętam. Z polskiego kazano mi napisać szybkie wypracowanie na dowolny temat. Opisałam mój powrót do Polski, ponieważ to przeżycie najbardziej we mnie tkwiło. Nawiasem mówiąc, chętnie bym to dzisiaj przeczytała. Jeśli wypadło niezłe, to zawdzięczam to tylko mojej „Pieśni o ziemi naszej”, którą wbrew Himmlerowi, zabrałam z sobą na wygnanie do Niemiec.

Zostałam przyjęta – tak po prostu. Otrzymałam legitymację z pieczęcią gimnazjum (co okaże się potem przydatne). Ale semestr trwa 3 miesiące, z których jeden już upłynął, a ja w dodatku pracuję, od godziny 7.00 rano. Mama mi obiadów nie gotuje.

W drukarni pracuję jako odbieraczka, to znaczy – siedzę przy stole drukarki, na który maszyna odkłada duże, zadrukowane arkusze i pilnuję, czy nie ma błędów drukarskich, odkładam stertę tych arkuszy, sortuję je w ryzy itp., a z boku leży mój zeszyt. Intensywnie się uczę, aby nadrobić moje „opóźnienie w rozwoju”. W domu, wieczorami długo nie gaszę światła, co przeszkadza mojej współlokatorce. Wprawdzie się jej nie dziwię, ale to mi wcale nie pomaga. Robi mi awanturę za awanturę i każe się wyprowadzić. Ale dokąd? Jestem wykończona.

Na Boże Narodzenie jadę do mamy na wieś i już nie wracam do Łodzi.

W lutym 1947 r. znajduję pracę w Konsumie milicyjnym w Stargardzie. Kierownikiem jest Lwowianin – pan Braunberger, przedwojenny chorąży, mający córkę w moim wieku. Kochany człowiek. Nauczył mnie liczyć (sumować) na liczydło, co mi się bardzo podobało i w czym go nawet prześcignęłam. Potem nauczył mnie prowadzić księgę buchalteryjną, tzw. „amerykanę”. Liczydło było więc bardzo przydatne, komputerów wtedy nie było.

Po kilku tygodniach już samodzielnie rozliczałam podległe punkty Konsumu w powiecie i na koniec miesiąca sporządzałam bilans, który kierownik przekazywał do Dyrekcji Konsumów w Szczecinie. Zdawałam sobie jednak sprawę z tego, że pomimo iż teraz dobrze wykonuję moją pracę, to po kilku

latach przyjdą ludzie mądrzejsi, wykształceni, z odpowiednimi dyplomami i zajmą moje miejsce. Muszę się więc uczyć, ponieważ do pracy fizycznej się nie nadaję.

Na początku roku 1948 dowiedziałam się o możliwości zapisania się na dwuletnie Uniwersyteckie Studium Przygotowawcze na wyższe uczelnie – tzw. USP, w Szczecinie. Zapewniano zakwaterowanie w bursie oraz wyżywienie. Warunkiem przyjęcia było: ukończone 20 lat, oraz minimum 7 klas szkoły podstawowej i maksimum 2 klas gimnazjum, a także skierowanie przez zakład pracy. Było to przewidziane tylko dla osób chcących studiować, dla umożliwienia im szybszego nadrobienia zaległości. (Dla szybszego zdobycia *matury* istniały właśnie „gimnazja semestralne dla pracujących”). Zdecydowano więc, że po ukończeniu USP absolwent nie otrzyma „świadectwa maturalnego” do ręki. Egzamin maturalny dla poszczególnych grup tematycznych, będzie jednocześnie egzaminem wstępnym na wybraną wcześniej uczelnię i zostanie tam przesłany. (Tak więc ja do dzisiaj oficjalnie nie mam matury, chociaż mam dyplom politechniki). Korzystając z zaległego urlopu, zgłosiłam się więc na organizowany trzytygodniowy „kurs selekcyjny.” Na moje szczęście, nie tyle sprawdzano na nim posiadane wiadomości, ile sposób ich przyswajania.

Muszę tutaj przyznać, że przy składaniu papierów do ww. Studium popełniłam kilka drobnych oszustw, ale sumienie mnie z tego powodu wcale nie gryzie – podałam np., że mam ukończoną szkołę podstawową – „dowodem” była legitymacja z gimnazjum w Łodzi – a także musiałam się o cały rok postarzyć. Takich oszustów z konieczności było wtedy wielu. Każdy kłamał jak mógł, aby „się załapać”, nie czyniąc tym jednak nikomu krzywdy. Były nawet osoby z już ukończoną 1. klasą liceum. Decydenci potem o tym wiedzieli, ale nikt z tego powodu nie robił problemów, ponieważ były to sprawy wtedy nieistotne. W ogóle, gdy wracam myślami wstecz, to ze wzruszeniem przypominam sobie, jak bardzo wtedy wszyscy wszystkim nawzajem pomagali, także urzędnicy. Co się stało z naszym, tak ofiarnym niegdyś i przecież wspaniałym narodem?

Zostałam więc przyjęta i po załatwieniu wszelkich formalności, z dwutygodniowym opóźnieniem zgłosiłam się w bursie i rozpoczęłam ponownie naukę. Zostało przyjętych ponad 400 osób, w tym około 45 dziewczyn. Ludzie byli w różnym wieku. Wielu miało już rodziny. Drugi rok skończyło jednak tylko około 80 osób, ponieważ „odsiew” był kilka razy w roku.

Otrzymywaliśmy wprawdzie wyżywienie, ale kto nie dostawał pomocy z domu – chodził głodny. Mieszkamy w „4” w małym pokoiku, z Renią, oraz z Czesią i Zochą. Te dwie ostatnie potem odpadły. Często przychodzi do nas z innego pokoju Wala, aby nam swym pięknym, czystym głosem, ze wspaniałą dykcją, jak Nina Andrycz, pośpiewać – głównie pieśni „Ordonki”. Niekiedy ze łzami w oczach. Dopiero dużo później dowiedziałam się, że była tutaj pod zmienionym nazwiskiem i imieniem, jako uciekinierka z Wilna. W ten sposób „wyśpiewywała” swój smutek. (Przyczynek do losu Polaków).

Udało mi się ten pierwszy rok zaliczyć, ale kosztowało mnie to wiele wysiłku. Byłam najmłodsza i najbardziej opóźniona, z moimi czterema klasami. Poza tym przez kilka miesięcy musiałam pracować zarobkowo, na co pozwolono mi wyjątkowo. Mama, mieszkająca wtedy już w Stargardzie, potrzebowała pieniędzy w związku z chorobą Krysi. O godzinie 15.00 „maszerowałam” więc do Spółdzielni Harcerskiej „Czyn”, w której, po znajomości, zatrudniono mnie jako pomoc księgowego. Kierownikiem był pan Leon Królak, którego nazwisko znalazłam po latach, w jednej ze wspomnieniowych książek wojennych. Autor informował w niej, że tenże pan Leon, będąc w obozie koncentracyjnym zatrudniony w punkcie pocztowym, wiele innym więźniom pomógł (znowu przyczynek do losu Polaków). Za zarobione tam, także podczas wakacji, pieniądze kupiłam sobie potem bardzo już potrzebne, najtańsze buty.

Wakacje. Przez pierwszy miesiąc bursa jest zamknięta. Ja pracuję nadal, pensję jednak otrzymam dopiero pod koniec miesiąca. I nie mam gdzie spać. Przygarnia mnie, pracująca już, dawna współmieszkanka Czesia do wynajętego pokoiku, a także do wspólnego łóżka. Jest tak ciasno, że śpimy na tzw. „waleta”, a kiedy jedna zajmuje krzesło, to druga siedząc na podłodze, może umieścić nogi tylko pod łóżkiem. Po trzech tygodniach wraca z urlopu kierowniczka naszej bursy i pozwala mi zakwaterować się w jednym z pustych pokoi, nie bacząc na to, że oficjalnie bursa jest nieczynna. Mogę więc uwolnić Czesię od mojej uciążliwej obecności. Co rusz pojawiają się także inni, na jeden lub na kilka dni i bezkarnie z tych pomieszczeń korzystają. Najczęściej są to: Rysiek, Bronek i Julek. Jedzenie zdobywamy różnie. Chłopaki czasem organizują kilka wykopanych gdzieś ziemniaków, albo zdobytych gdzieś, zielonych jeszcze jabłek i z tego wieczorem pichcimy wspólny posiłek, okraszający nasze mądre, niekiedy zapalczywe, dyskusje na różne tematy. Czasem któryś „złapie” jakąś fuchę i wtedy funduje lepszy posiłek.

W następnym roku, a więc po wakacjach, mieszkam razem z Jadzią i znowu z Renią. Kiedyś wieczorem, siedząc już w łózkach dla ciepła i wygody, uczymy się w ciszy. Nagle Renia, której się już znudziło, zaproponowała, że nam coś zaśpiewa. I zaczęła śpiewać – piosenkę mówiącą o ich życiu na Syberii, gdzie spędziła wojnę, wywieziona wraz z rodziną, ze Słonimia. Ja się tylko uśmiechałam pod nosem. A kiedy Renia skończyła – zaczęłam śpiewać ja na tę samą melodię, jakby dalszy ciąg, ale już piosenkę o życiu Polaków w niemieckich lagrach, gdzie ja spędziłam wojnę. Jadzia miała „ubaw”. Ona podczas wojny mieszkała w Polsce (potem skończyła SGPiS w Warszawie, a Renia skończyła architekturę w Krakowie i wróciła do Szczecina).

Ja wybrałam studia na Politechnice Wrocławskiej, na Wydziale Chemii Technicznej, gdzie na rozpoczęcie roku akademickiego 1950/51 zgłosiłyśmy się razem z Wałą. Mieszkamy potem razem w trzysobowym pokoju razem ze Staszka, która zawsze otrzymuje coś dobrego od mamy. Otrzymałyśmy

normalne studenckie stypendium. Musi nam ono wystarczyć na obiady, akademik, tramwaj, zeszyty i na wszystkie inne potrzeby. Pozostałe dziewczyny są w o wiele lepszej sytuacji, niż my – „bidule”. Otrzymują pomoc z domu. A poza tym mają porządne, modne wówczas ciepłe palta zimowe z samodziła – niedościgłe nasze marzenie. Tu muszę dodać, że na zakończenie USP otrzymałam (jako nagrodę) właśnie płaszcz. Wprawdzie niebrzydki, ale tylko jesienny. Musiał mi wystarczyć aż do ukończenia studiów.

Po kilku miesiącach musiałam jednak wystąpić o urlop zdrowotny. Opinia lekarza brzmiała: *anemia wtórna oraz silna nerwica*. Jednocześnie lekarz proponował rezygnację z chemii.

Wróciłam więc do domu na odpoczynek i dla podleczenia się. Mama z Krysią mieszkały wtedy już w Szczecinie, w pokoju służbowym, w osiedlu studenckim, gdzie mama pracowała. Podczas wakacji znalazłam pracę, jako pomoc w księgowości na kolonii dla dzieci, nad morzem, co także na moje zdrowie miało zbawienny wpływ.

Zastanawiałam się, co dalej. Jaki wybrać wydział. Gdybym miała normalne warunki egzystencji, gdyby żył i pracował na rodzinę ojciec, mogłabym wybierać. Wybrałabym wtedy najchętniej psychologię, prawo, lub języki. Ponieważ wiele zaprzyjaźnionych osób z USP studiowało w Warszawie na różnych wydziałach, pojechałam do stolicy, do jednej z koleżanek „na rozeznanie”. Następnego dnia zbiegli się znajomi, aby oprowadzić mnie po Warszawie i poradzić. Każdy zachwalał swój wydział. Wiedziałam, że nie odpowiada mi absolutnie SGPiS – to zupełnie nie mój kierunek. Także ani historia, ani geografia, ponieważ nie chciałam „belfrować”. Musiałam mieć jakiś konkretny zawód, w którym mogłabym szybko zarabiać. Koledzy – Julek Ś. i Walek S., studiujący w Szczecinie, namawiają mnie na Wydział Budownictwa. Boję się, że nie dam rady. We Wrocławiu widziałam kuzyna koleżanki kreślącego coś na desce kreślarskiej i wydało mi się to niezmiernie trudne, co tenże skwapliwie potwierdzał. Zastosowanym przez kolegów ostatecznym argumentem było powiedzenie o kimś znajomym – jeśli ten dureń daje sobie radę – to ty dasz ją sobie na pewno. Niby logiczne, na ogół wiemy przecież, kto jest od nas mądrzejszy, a kto głupszy. Przekonali mnie więc i rozpoczęłam starania o przekazanie moich dokumentów z Politechniki Wrocławskiej do Szkoły Inżynierskiej w Szczecinie.

Po wakacjach okazało się, że teren osiedla studenckiego, przy ul. Ku Słońcu, przejęło wojsko, w związku z czym mama straciła pracę. Nie mamy więc także mieszkania. Mama z Krysią zatrzymała się czasowo u znajomej, ja natomiast u koleżanki – Zochy, która już pracuje. Co dzień chodzę do Urzędu Kwaterunkowego celem wyproszenia przydziału na jakieś mieszkanie dla nas. Lecz wolnych mieszkań nie ma, a ludzi potrzebujących jest wielu. Dwukrotnie otrzymuję przydział na pokój w jednej z ruder Nad Odrą, ale gdy tam docieram pokój jest już zajęty przez „dzikich lokatorów”. Nawet skrycie jestem z tego zadowolona, ponieważ nie wyobrażam sobie zamieszkania tam.

Któregoś dnia widzę z okna, że z przeciwległej oficyny ktoś się wyprowadza. Notuję więc adres i biegnę do UK, gdzie przed odpowiednimi drzwiami stoi już kolejka. Na korytarzu spotykam przypadkowo naszą dawną koleżankę z USP, która teraz pracuje w gmachu jako maszynistka. Wprowadza mnie do załatwiającej przydziały urzędniczki przez sąsiedni pokój. Lecz kolejny raz słyszę odpowiedź, że wolnych mieszkań nie ma. Pytam więc tym razem sprytnie, czy otrzymałabym przydział gdybym sama coś wolnego znalazła. Na jej twierdzącą odpowiedź, podałam adres mieszkania, które właśnie się zwalnia, przy ul. Pocztowej. No i wyszłam z przydziałem na to mieszkanie, z którego jeszcze wynoszono ostatnie meble, tak że ewentualni dzicy lokatorzy nie mieli już szans. To był zupełny przypadek. A właściwie dwa korzystne przypadki. Nie było wtedy chyba w Szczecinie szczęśliwszego ode mnie człowieka.

Mamy więc mieszkanie – dwa pokoje z kuchnią, w amfiladzie, z murowanym paleniskiem i piecem kaflowym w ścianie na dwa pokoje. Wprawdzie z pojedynczymi oknami, od północy, bez łazienki i z ubikacją na półpiętrze dla dwóch mieszkań, ale wreszcie własne.

Pierwsze własne mieszkanie po wojnie. Jest rok 1951

Ale w mieszkaniu nie ma nic. Kupujemy różne stare meble i stopniowo się urządzamy; brakuje nam wszystkiego, łącznie z pieniędzmi. Rozpoczęłam studia na pierwszym roku Szkoły Inżynierskiej w Szczecinie, na Wydziale Budownictwa Lądowo-Wodnego, po przekazaniu tu moich dokumentów z Wrocławia. Mama znalazła pracę, ja otrzymałam stypendium.

Pamiętam, że kupiliśmy od kogoś szafę ubraniową za 60 zł i ja, po pobraniu stypendium, poszłam do domu towarowego, aby kupić szciotkę i kilka wieszaków. Kupiłam je, ale w trakcie pakowania, portfelik z pięknie poskładanymi banknotami stypendialnymi, został mi skradziony. Poszłam z ciężkim sumieniem do pracy mamy, aby jej o tym powiedzieć. Miałam straszne wyrzuty sumienia, że to właśnie ja straciłam tak potrzebne nam pieniądze. Któraś ze współpracownic zaproponowała mamie niewielką pożyczkę. Kiedy już wracałyśmy razem do domu, byłyśmy wprost zdruzgotane. Ale kiedy idąc ulicą Wojska Polskiego, przechodziłyśmy koło sklepu spożywczego, mama bardzo zaimponowała mi. Zobaczywszy na wystawie taniutkie wino, powiedziała: kupmy flaszkę wina i wypijmy za jego (złodzieja) zdrowie. Jak dwie pijaczki. Bez żadnych słów złorzeczenia. Bo tego było dla niej już za dużo.

Śmieszne w tym jest jednak to, że mama w ogóle nie znosiła alkoholu. Ja zresztą także nie. Ale kupiliśmy, mama tak po babsku zagotowała je z cukrem i wypiliśmy. Czy jego zdrowiu to pomogło – nie wiem. Nam jednak łatwiej było pogodzić się z tą stratą.

Powoli i z trudem odbudowujemy naszą egzystencję. Mama pracuje (z przerwami) w różnych zakładach, ale jest słaba i po dwóch latach zostaje w domu. Krysia chodzi do szkoły. Czuje się jednak bardzo źle, ponieważ inne dziewczynki są lepiej ubrane, a jej wszystkiego brak. Mnie zresztą także. Poza tym muszę dużo pracować. Na tym wydziale, dla zaliczenia każdego semestru trzeba wykonać jakąś pracę, prawie zawsze połączoną z kreśleniami, co wymaga czasu. Nie wystarczy więc „przysiąc fałdów” przed egzaminami. Więc nie dosypiam. Dla zarobku wykonuję także różne prace zlecane, często w Zakładzie Geologii i Wiertnictwa. Potem zatrudniłam się w tym Zakładzie na ponad rok, (1952/53) na etacie, w godzinach popołudniowych. Udaje mi się jednak nie powtarzać żadnego roku.

Trzeba tu odnotować, że były to czasy, gdy na uczelni ściśle kontrolowano obecność na wykładach i ćwiczeniach. Należało to do obowiązków tzw. grupowych, którzy prowadzili odpowiedni rejestr. Nieobecność groziła sankcjami. Grupowym naszej grupy (pierwszej) był przez całe cztery lata nieoceniony, uczynny i sprytny nasz kolega A. Haduch. Urządzał to w ten sposób, że każdą nieobecność zaznaczał w swoim notatniku znakiem minus, ale jeśli w tym czasie nie pojawiała się specjalna lotna kontrola, to z minusa robił się plus i w ten sposób na ogół zawsze wszyscy byli obecni. Zdarzyło się, że zostałam przyłapana na jakiejś nieobecności, która w związku z przyjmowaniem dodatkowych prac zdarzała mi się dość często. Przewinienie zostało zgłoszone do Dziekana, którym był wtedy „przeprzyswoity”, bardzo przez nas ceniony i lubiany nasz matematyk – Profesor Pudelewicz. Wezwał mnie na dywanik, no bo cóż mógł w tej sytuacji i w tych warunkach zrobić? Na moje tłumaczenia o konieczności dodatkowej pracy, powiedział: pani Abramiuk, prafta, będzie się pani najadać, prafta, jak pani, prafta, skończy studia. Była to rozmowa z umownym przymrużeniem oka, ponieważ ja wiedziałam, że on tak reagować musi, a on także wiedział, że ja to rozumiem i nie bardzo się tym przejmuję. Sankcji oczywiście nie było. Zresztą zawsze postępował przyzwoicie.

Częściowe załamanie nastąpiło u mnie na trzecim roku, gdy Szkoła Inżynierska przemianowana została na Politechnikę Szczecińską, w której okres studiów wynosi 5 lat. Albo więc, po dodatkowym roku studiów, otrzymam dyplom inżyniera – czyli po czterech, a nie po trzech latach, jak dotychczas – albo, po następnych dwóch latach – dyplom mgr inż. Okazało się więc, że moje studia będą trwać o rok dłużej niż zakładałam. Tak więc ten stracony rok na chemii spowodował utratę dwóch lat, ponieważ moi koledzy już od roku są inżynierami. Ja miałam nim zostać w roku bieżącym. Musiałam to jakoś przezwyciężyć i jakoś przetrwać ten dodatkowy rok, bo przecież szkoda było zmarnować te 3 lata wyrzeczeń i ciężkiej pracy i w efekcie pozostać bez konkretnego zawodu. Czwarty rok był dla mnie najcięższy. Wprawdzie Krysia, po przerwaniu nauki w dziewiątej klasie, zaczęła pracować, ale za bardzo marne grosze, a mama już nie pracowała. Mieszkałam wtedy w aka-

demiku razem z Wandzią. Nie starczało mi na obiady. Ratował mnie, stojący na stołach w stołówce pokrojony chleb i czasem zupa „podkradana” z okienka stołówkowego przez uczynnego kolegę.

Z trudem, jednak dotrwałam do końca. Wykreślanie ostatnich rysunków technicznych do projektu dyplomowego, czyli rysunków hali fabrycznej, na podstawie sporządzonych uprzednio obliczeń technicznych, wykonywałam przez dwa dni i noc, zgięta nad połączonymi dwoma deskami kreślarskimi, z przerwami tylko na posiłki. Popuchły mi kolana, ale już nawet spać mi się nie chciało. Wykreślony duży arkusz składali mi do odpowiedniego formatu, na podłodze, Wandzia O. z Krzysztofem D., (jej późniejszym mężem). Sama nie dałabym rady uporać się z tym. Zanimosiłam pracę. Był to ostatni termin jej złożenia. No i zdałam. W 1955 r. zdobyłam dyplom Inżyniera Budownictwa Lądowego, Politechniki Szczecińskiej.

Tego już Wandzia i Krzysztof mi nie odpuścili. Pierwszą noc po dyplomie kazali mi spać pod łóżkiem, aby tego dnia nie zapomnieć. Cóż miałam zrobić? Spałam. Wygodnie nie było – ale przecież zapomnieć nie chciałam.

Do pokonania została jeszcze walka o miejsce nakazu pracy, który wtedy obowiązywał na dwa lata. Udało mi się pozostać w Szczecinie. Otrzymałam nakaz pracy do Biura Projektów Budownictwa Przemysłowego, jako „asystent projektanta”. Ponieważ dla zostania „projektantem” wymagany był także staż na budowie – przeniosłam się więc do pracy na budowę. Nie wróciłam już jednak do biura projektów, ponieważ stwierdziłam, że kilkugodzinna praca przy desce kreślarskiej stanowi dla mnie dużą trudność, w związku z chorym kręgosłupem. Pozostałam w tzw. administracji.

Od stycznia 1982 roku, skorzystawszy z wydanej wtedy ustawy, w wieku 53 lat przesłam na wcześniejszą emeryturę. Po drodze zdałam jeszcze. uprawnienia budowlane, uprawnienia patentowe, oraz uprawnienia tłumacza przysięgłego.

Mama do końca życia, czyli do 1989 r. mieszkała ze mną.

Moje przeżycia powojenne, chociaż w wielkim skrócie, przytaczam także po to aby czytelnikom starszego pokolenia przypomnieć, a pokoleniom następnym pokazać, jak to życie wtedy w Polsce wyglądało. Takie właśnie mogło przydarzyć się każdemu.

Obecnie, od dawna już mam wygodne mieszkanie, takie jakie lubię.

Na drodze do tego była jednak poniewierka, ciężka praca i mnóstwo wyrzeczeń, co „zawdzięczam” właśnie Niemcom.

Wprawdzie nie „uszkodzili mi rozumu”, ale spowodowali trudności w pełnym wykorzystaniu go, ponieważ do Polski wróciłam z uszkodzonym kręgosłupem, anemią, nerwicą, syndromem KZ, zakodowanym poczuciem niższej wartości itp., z czym przez całe życie musiałam się zmagać. Nie ułatwiało to życia, ani wykorzystania naturalnych zdolności dla zrobienia kariery zawodowej, z uwagi na częste zwolnienia lekarskie. Ponadto, wróciłam do zniszczonego i ograbionego kraju. Dodać należy, że po pięciu latach ciężkiej pracy dla

Trzeciej Rzeszy nie przywiozłam ze sobą nic. Nie miałam nawet przyzwoitej, potrzebnej odzieży. W takich warunkach musiałam odbudowywać moją egzystencję zupełnie od podstaw, jak zresztą wiele innych polskich rodzin.

W tych okolicznościach nie mogłam więc wypracować wysokiej emerytury. Po odpowiednim ograniczeniu innych potrzeb, musi mi ona jednak wystarczyć na życie i leki. Nie wystarcza już jednak na zapewnienie sobie niezbędnej obecnie pomocy, np. w załatwianiu, trudnych dla inwalidki I grupy, codziennych czynności.

Czy zatem powinnam myśleć o zemście na Niemcach za doznane krzywdy? Piszę świadomie – na Niemcach – a nie na nazistach, bo przecież naziści – to nie jacyś przybysze z kosmosu, a mój kraj niszczyli i moich ziomków – Polaków i Żydów – mordowali także zwykli żołnierze Wehrmachtu, zmanipulowani polityką obłąkańców. Jednak pozwalający się do tego stopnia zmanipulować, widocznie podświadomie się na to godzili. Także i tu zdarzały się jednak wyjątki. Gwoli prawdy przytoczę tylko jedno ze znanych mi kilku zdarzeń – jak np. wracając z pracy do małych dzieci, matkę mojej koleżanki, biorący udział w łapance żołnierz zamykający kordon, celowo nieznacznie ją z tego kordonu wyłączył. Być może tym gestem uratował również jej dzieci (3 i 5 lat), ponieważ ich ojciec był już wtedy w obozie, zostałyby także bez matki.

Czy zatem powinnam myśleć o zemście na Niemcach? Broń Boże.

Po pierwsze – nie uznaję odpowiedzialności zbiorowej. Po drugie – nie o wszystkich Niemcach myślę źle. Po trzecie – nie mściłam się nawet na osobach które mi bezpośrednio krzywdę wyrządziły, o czym wspominałam wyżej, ponieważ w moim charakterze nie ma nienawiści ani mściwości. W pierwszym powojennym okresie zarzucano mi w rozmowach prywatnych – „jak ty możesz Niemców bronić”? Tłumaczyłam zawsze, że przecież, jak w każdym narodzie, także i w Niemczech mojej opowieści, przypominając, że wtedy dla zachowania przyzwoitości niezbędna była odwaga.

Od wojny upłynęło wiele lat. Wyrosły nowe pokolenia, zarówno Niemców jak i Polaków, które na temat przeżyć wojennych niewiele wiedzą. Wiedza o tym wykracza poza zakres ich zainteresowań.

Polacy i Niemcy są od zawsze skazani na życie obok siebie. Utrzymanie dobrosąsiedzkich stosunków jest zatem korzystne dla obu stron. Ale dobre sąsiedzkie stosunki winny się opierać na wzajemnym szacunku i wzajemnym rozumieniu się, a także na obopólnym wybaczeniu sobie krzywd i ich zapomnieniu. Takie to proste. Ale czy możliwe? Jak powiedziała pewna pani, z innego życiorysu – *Można przebaczyć, ale nie da się zapomnieć*. Ciężkie doświadczenia pozostawiają przecież w ludziach głęboki ślad do końca życia.

Czas, który upłynął skłania do reanimacji słowa – *przebaczenie*. Nie warto pielęgnować w sobie złości, bo to nikomu nie służy. Rozumiejąc to, moje krzywdy wybaczyłam dawno. Ale co mam zrobić, aby *zapomnieć*, skoro

moja podświadomość jest uparta i stale mi o jakiejś zakodowanej przeżytej traumie przypomina. Zarówno w snach, jak i w różnych momentach – jak np. opisane wyżej, moje nieoczekiwane „spotkanie” z kopcami niemieckich buraków.

Niemcy natomiast – chociaż tego chcą – nie powinni zapominać, że dokonali wiele zła i wyrządzili wiele krzywd. Ktoś powiedział, że *zło nie powinno być zapomniane, ani nieznane*. Wprawdzie dzieci za winy rodziców odpowiadać nie powinny, ale powinny te winy poznać i wyciągnąć odpowiednie wnioski.

O jednym z najcięższych niemieckich grzechów rzadko się przypomina, mianowicie o zabieraniu rodzicom, w podbitych krajach, małych dzieci, celem ich zniemczenia. Najwięcej dzieci zabrano rodzicom w Polsce. Różne źródła mówią o kilkudziesięciu tysiącach. Niewiele z nich zostało po wojnie odnalezionych. Czy matki tych dzieci mogą o nich *zapomnieć*? Polecam do przeczytania autobiografię Alojzego Twardeckiego pt. „Szkoła janczarów”. (Wydana także w Niemczech). Matka odnalazła go, z wielkim trudem, dopiero po wielu latach, wychowywanego w niemieckiej rodzinie jako Niemiec. Wrócił do Polski.

A więc dzieci powinny wiedzieć co uczynili ich ojcowie, aby nie dopuścić do „powtórek”. Oby te moje wspomnienia także się do tego trochę przyczyniły.

Polacy Niemcom krzywd nie wyrządzili, nie muszą więc *wybaczenia* oczekiwać. Wprawdzie w Niemczech funkcjonuje pojęcie *wypędzenie*, jako wielka wina Polaków, ale moim zdaniem należy odróżnić pojęcia: *wypędzenie* i *wysiedlenie*. Przyczyną *uysiedlenia* Niemców z ich wschodnich terenów było przesunięcie granic, nie przez Polaków spowodowane ani zawinione. Nam niemieckie tereny nie były potrzebne. Polska nie знаła pojęcia *Drang nach Westen*. To agresja Niemiec spowodowała, że zabrano nam dużą część Polski wschodniej, a ludzie z zabranych nam terenów musieli znaleźć dla siebie nowe miejsce do życia. Każde przesiedlenie, opuszczenie własnego domu, sprawia ból, jest zawsze trudne i nieprzyjemne, a zwłaszcza podczas wojennej zawieruchy. Ucierpiały na tym obie strony i można dyskutować, która bardziej.

Polacy Niemców z Polski nie wypędzali. Niemieckie rodziny najbardziej ucierpiały, gdy w popłochu uciekały z Polski przed nacierającą Armią Czerwoną. Wiem, że wtedy rozgrywały się dramatyczne sceny, lecz *ucieczki* nie wolno nazywać *wypędzeniem*. Mimo wszystko tym ludziom współczuję, chociaż zapłacił ten, kto zawinił. Najczęściej jednak płaci szary człowiek.

Historia jednak nie wszystkich Niemców czegoś nauczyła. Niektórzy nie potrafią lub nie chcą myśleć. Część z nich nadal jest przekonana o swej wyższości czy „lepszości” i patrzy na Polaków z lekceważeniem, ponieważ ich kraj jest bogatszy. Ponadto w czasie wojny widzieli Polaków tylko jako brudnych parobków i ten stereotyp pozostał. Kiedy np. jeden z moich kolegów, już jako inżynier, pojechał do „swojego” *bauera* w NRD, u którego przez kilka lat, właśnie jako parobek pracował, to *bauer* nie mógł uwierzyć, że

wysiadający z samochodu elegancki pan jest tym Zdzisławem, który przez kilka lat u niego nad stajnią sypiał.

Polacy, z całym szacunkiem dla tych moich Sąsiadów, nie są od nich głupszy. Ani leniwi. Potrafią dobrze pracować. Ale to Niemcy otrzymały pomoc z USA na odbudowę ich kraju ze zniszczeń wojennych. Wyszły na tym nawet lepiej, niż np. Anglia, która po zwycięstwie przejęła niemiecki stary park maszynowy, podczas gdy Niemcy mogli sobie kupić już bardziej nowoczesny. Polsce, mimo dokonania ogromnych zniszczeń, reparacji wojennych Niemcy nie wypłacili. Powinno się ich uczyć w szkole prawdziwej i dokładnej historii o tym okresie. M.in. o tym, że w wyniku rozpętanej wojny, Polska na 40 lat znalazła się w niewoli sowieckiej, kiedy nadal niszczone nasz kraj i ludzi. Że później zabrakło naszych elit, które zlikwidowali Niemcy, poczynając od aresztowania już w 1939 roku profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, a potem sowieci – np. w Katyniu. Gdyby nie te fakty Polska rozwijałaby się równorzędnie z innymi krajami Europy, jak rozwijała się w okresie międzywojennym, nie musiałaby dziś „człapać z tyłu”. Jakie więc Niemiec ma dzisiaj moralne prawo patrzeć na Polaka bez wyrzutów sumienia, z wyższością, jak na ubogiego krewnego. Jakie prawo ma niemiecki polityk do pouczenia Polaków, jak mają gospodarować we własnym kraju? Czy naprawdę uważa ich za głupszych od siebie? Polacy to mądry i pracowity naród, o otwartych głowach. Przypomina mi się, że już w roku 1981, gdy na naszych ulicach szalało ZOMO z pałami, pouczał mnie pewien Niemiec z NRD, że „Polacy powinni się wziąć do uczciwej pracy zamiast strajkować, wtedy żyliby lepiej”. Na moje zapytanie dlaczego sami nie pracują uczciwie, skoro żyją gorzej niż ich ziomkowie w RFN – nie znalazł odpowiedzi.

Nie da się zbudować oczyszczającego pojednawczego mostu między krajami i narodami bez powiedzenia sobie, nawet przykrej, prawdy, bez dokładnego przepracowania faktów i rozliczenia się z nimi.

Czy Niemcy rozliczyli się, np. w relacjach polsko-niemieckich? Według mnie – nie. Zadali ludziom wiele bólu, fizycznego i psychicznego. Po wielu latach wypłacili dla byłych robotników przymusowych niewielkie kwoty jako tzw. *odszkodowanie* i uważają, że mają czyste sumienie. Słowo *odszkodowanie*, zgodnie z jego brzmieniem, oznacza „zlikwidowanie spowodowanych szkód”. Czy jednak spowodowane szkody zostały zlikwidowane? Czy można przywrócić tym ludziom ich stracone lata oraz utracone zdrowie? Przeżyte doświadczenia pozostawiają w ludziach głęboki ślad, co nie jest tajemnicą. Czas może i leczy rany, ale blizny pozostają i uwierają do końca życia. Dobrze by było, aby zebrano te wszystkie blizny i spowodowano aby trochę mniej uwierały. Mogłoby to np. polegać na przyznaniu tym, już niewielu pozostałym „niedobitkom”, dodatkowej emerytury na ich ostatnie lata., aby je mogli godnie przeżyć. Nie uważam tego za łaskę, lecz właśnie za spóźnioną, lecz solidnie wypracowaną emeryturę. (Np. Huettenwerke,

w których pracowałam ja i moi rodzice, istnieją nadal i mają się dobrze). Byłby to ze strony Niemców akt dobrej woli, który by ich niewiele kosztował. Ale ich na to nie stać.

Na zadawane mi czasami pytania, czy lubię Niemców jako naród – niełatwo mi odpowiedzieć. Nie rozdzielam mojej sympatii według nacji, lecz według wartości człowieka. Polaków też nie wszystkich lubię. W Niemczech było i jest wielu wspaniałych ludzi. Irytuje mnie jednak zarozumiałość i buta niektórych – co, jako mieszkanka miasta nadgranicznego, w którym dużo Niemców bywa – często obserwuję. Należałoby im chyba wyprostować wypaczoną psychikę. Tylko jeden z przykładów: Niemcowi przyjeżdżającemu do Polski nie przyjdzie do głowy, aby nauczyć się choćby kilku podstawowych polskich słów. Taki pan, wchodząc np. do sklepu, zaczyna mówić po niemiecku, jakby był u siebie, jakby sprzedawca był zobowiązany jego język znać. To trochę drażni ludzi.

Niemcy i Polacy należą teraz do wspólnej europejskiej rodziny. Zobowiązuje to obie strony do ustawicznego poszukiwania drogi do dobrego współżycia, do poszukiwania sposobu uporządkowania i wyprostowania nie załatwionych jeszcze wspólnych spraw. Jedną z takich dróg uważam za bardzo ważną: to właśnie organizowanie polsko-niemieckich spotkań „biograficznych”.

Niech ten „kawałek mojej historii” będzie cegielką złożoną w dobrej sprawie.

Rok 2015

HELMUTH JULIUS BAUER

Polsko-niemiecko-polskie przeżycia...

1. Dziecięcy bucik...

Noszę w sobie obraz z roku 1978 z południowo-wschodniej Polski, który powstał w ciągu kilku zaledwie godzin, jako nierozzerwalny zbitek dwóch diametralnie odmiennych sytuacji i przeżyć. Historię dziecięcego bucika opowiedziałem moim córkom Lenie Hedwig i Jule Lizie na początku roku 2010, pisząc posłowie do swojej książki „Obrazy, które pozostają na zawsze”. Na koniec obie powiedziały: *Jak skończysz książkę, musisz odnaleźć Krzysztofa i sprawdzić, jak się ma.*

Po ukończeniu doktoratu z dziedziny literaturoznawstwa w roku 1972 oraz zakończeniu nauki zawodu ślusarza, pojechałem latem 1978 roku naszym volkswagenem-busem do Polski. Byłem w tym kraju po raz pierwszy. Spędziłem więcej czasu w Stutthofie niż w Gdańsku, w Białymstoku niż na Mazurach, w Majdanku niż w Lublinie, w Oświęcimiu niż w Krakowie. W Warszawie wówczas jeszcze nie byłem.

Na rozległym obszarze morza kamieni przed Treblinką nie spotkałem żywej duszy. Zabłądziłem i w półmroku nie odnalazłem już właściwej drogi. Na myśl o spędzeniu nocy w moim busie w tym miejscu, ogarnęła mnie panika. Kiedy ujrzałem na horyzoncie pojedyncze światelka, zacząłem jechać w ich kierunku połą drogą, naciskając mocno pedał gazu, aż ujrzałem przed sobą rów. „Zamknij oczy i gazu” – kołyszące się i ślizgające koła ponownie wjechały na twarde podłoże.

Następnego dnia, w lubelskiej katedrze widzę stare kobiety klęczące podczas mszy na kamiennej posadzce. Później podążam przez baraki w Majdanku. Przerażony staję w jednym z bocznych pomieszczeń. Stosy dziecięcych bucików. Takich małych, jak buciki mojej Leny, które zakładałam jej rano, zanim pójdziemy w Berlinie do przedszkola. Stoję oniemiały. Płaczę jak dziecko.

Najpierw nie chciałem ruszyć się stąd. Siedziałem kompletnie zdruzgotany, paląc pod ogromnym kamieniem, który góruje nad parkingiem dawnego obozu koncentracyjnego w Majdanku. W końcu jednak wstałem, by uciec stąd jak najdalej, na południowy wschód. Kiedy jadę przez Zamość, jeszcze nie wiem, że jest to miejsce urodzenia Róży Luksemburg. Nie wiem również, że to miasto w roku mojego urodzenia zostało przeznaczone do całkowitego wyludnienia z mieszkańców polskich i zaludnienia go Niemcami; miało nosić nazwę *Himmler-Stadt*, miasto Himmlera. Nie wiem też, że z okolic Zamościa w roku 1942 zostali deportowani wszyscy Polacy. Tutaj niemieccy *wizjonerzy zagłady* chcieli ludność polską osaczyć na ograniczonej przestrzeni i zdusić biologicznie, aby stworzyć miejsce dla osadnictwa rdzennych Niemców¹.

Czerwony maluch zatrzymuje się przede mną na każdych światłach. Jedzie tą samą drogą. Za Zamościem wyprzedzam go i teraz jedzie za mną. Kalinowice, Jatutów. Wsie rozrzucone po prawej i lewej stronie drogi. Jadę za jednym z PKS-ów. Wtedy to się stało!

Pomiędzy masywnego Ikarusa i mojego busa wbiega na ulicę od prawej strony mały chłopiec. Tuż przed moją szybą – blond czupryna, potem uderzenie i dziecko leci w powietrzu wysokim łukiem. Kiedy mój bus już stoi i zmierzam w tamtą stronę, polski chłop trzyma dziecko w ramionach. Główka Krzysztofa spoczywa na piersi ojca. Mała blondwłosa siostrzyczka patrzy przestraszona w ich stronę. Maluch zawrócił i zatrzymał się przy nich. Pokazują mi gwałtownymi ruchami, że mam zostać na miejscu. Ojciec i syn zostają zawiezieni w kierunku Zamościa. Dziewczynka biegnie połą ścieżką w stronę zrozpaczonej matki. Na środku skrzyżowania leży dziecięcy bucik.

Jest niedzielne popołudnie. Siedzę koło Łabunia na nasypie drogi prowadzącej z Majdanka do Bełżca. Przejeżdża niewiele samochodów. Wciąż pojawiają się mieszkańcy okolicznych gospodarstw. Siadają koło mnie, tworząc krąg, jakby chcieli mnie pilnować. Lub chronić. Nikt się nie odzywa. Proponują mi papierosa. Siostrzyczka musiała opowiedzieć mamie, że braciszek chciał przebiec na drugą stronę ulicy do niej i ojca. I przy tym „dopał” go niemiecki samochód. Czy ojciec i syn dotarli już do szpitala w Zamościu? Czy Krzysztof jeszcze żyje?

Po upływie półtorej godziny przyjeżdża szaroniebieska milicyjna Nysa. Przywieźli prokuratora, który zna trochę angielski. Dmucham w alkomat. Oddają paszport, wizę i dokumenty pojazdu. Potem każą mi jechać za sobą. Na posterunku w Zamościu zamykają mój pojazd w garażu.

Chcę jechać do szpitala, ale przez cały wieczór jestem wciąż przesłuchiwany przez coraz to nowych urzędników w cywilu, mówiących łamanym

¹ Götz Aly/Susanne Heim: *Wizjonerzy zagłady. Oświęcim i niemieckie plany nowego europejskiego porządku*, Frankfurt nad Menem, s. 432–437.

niemieckim, bądź angielskim. Moje kolejne pytania o stan dziecka pozostają bez odpowiedzi. Tego oni nie wiedzą, dziecko jest w Tomaszowie.

Po wielu godzinach pozwalają mi zadzwonić do Juliusza Brniaka w Krakowie. Pracuje jako adwokat ofiar nazistów. Wówczas nie znałem jeszcze Juliusza, ale umówiłem się z nim telefonicznie na pojutrze. Brniak mówi dobrze po niemiecku. Kiedy mu mówię, że mnie tu okłamują, bo wiem na pewno, że dziecko jest w Zamościu, a nie w Tomaszowie, jeden z przesłuchujących zbliża się, grożąc mi. Mówię, że chcą mnie pobić i odgradzam się słuchawką jak tarczą od napastnika. Adwokat po drugiej stronie ma autorytet, który mnie chroni.

Krótko przed północą mówią mi, że konfiskują dokumenty i pojazd. Mam iść do hotelu, który znajduje się w pobliżu i stawić się ponownie o 8 rano. Tej nocy szukam tego dziecka. Jeden z nielicznych przechodniów idących jeszcze ulicą, na pytanie o szpital – wskazał mi kierunek przeciwny do hotelu. W szpitalu odnajduję izbę przyjęć i dyżurnego lekarza w małym pomieszczeniu z kozetką i umywalką.

Doktor Zbigniew Kowalczyk mówi trochę po angielsku, studiował przez rok w Edynburgu. Prowadzi mnie na oddział intensywnej opieki medycznej. Krzysztof leży na boku bez ruchu, w dziecięcym łóżeczku. Oddycha prawie niezauważalnie, nie ma żadnej reakcji oprócz bólu. Doktor Kowalczyk nie potrafi powiedzieć, czy jego mały pacjent przeżyje, to bardzo ciężkie stłuczenie mózgu. O drugiej w nocy jestem w hotelu. Portier przynosi mi do pokoju dwie szklanki wódki.

Następnego ranka czekają na mnie oficer milicji, tłumaczka przysięgła i rzeczoznawca, którego ściągnięto z urlopu. Jazda kontrolna volkswagenem busem. Próbné hamowanie. Przesłuchania. Po południu o wpół do czwartej dostają paszport, wizę, samochód i pisemne oświadczenie, że nie wniosą przeciwko mnie oskarżenia, jestem niewinny, wolny. *Ale przecież dzieci nie są winne*, myślę. W szpitalu odnajduję matkę, ojca, siostrzyczkę i jedną z cioć przy łóżku dziecka; tak jasnowłosego, jak moja Lena w Berlinie. Również słowa i dotyk matki nie wywołują u niego żadnej reakcji. Ale rodzina chce mieć ze mną zdjęcie przed oddziałem. Ustawiają się koło mnie, a mała jasnowłosa Tereska sięga nieśmiało po moją rękę.

Lekarza z dyżuru nocnego jeszcze nie ma, ale kiedy idę do wyjścia z zamiarem wyjazdu do Krakowa, wychodzi mi naprzeciw. Spostrzegł to, czego ja nie czułem. W takim stanie nie można jechać. A już na pewno nie samochodem, którym poprzedniego dnia potrafiło się dziecko. Po tym, jak jeszcze raz odwiedziliśmy Krzysztofa, Zbyszek zabiera mnie do siebie do domu. Dzięki jego żonie Basi, córkom Małgosi i Basi i dziadkom, doświadczam nadzwyczajnej gościnności, dzięki której robi mi się ciepło na duszy. Dopiero na dzień przed terminem upływu mojej wizy – wyjeżdżam. Krzysztof nadal nie reagował. Uczynił to dopiero dwa dni później. Dowiaduję się o tym po przyjeździe do Berlina. W drodze powrotnej spędziłem pół dnia

w Oświęcimiu. W obozowym muzeum przerażony zobaczyłem wystawę NRD: pochwałę niemieckich komunistów – Waltera Ulbrichta.

Pomimo, że Birgit jest w siódmym miesiącu ciąży z naszą córką Jule Lizą, jedziemy wspólnie rok później wyboistymi drogami południowej Polski, do Łabunia – na południowy wschód od drogi na Zamość. Rodzina lekarza jedzie z nami. Już z daleka dostrzegamy blond czuprynę, która wspina się po dachu szopy i wypatruje zielonego busa z Niemiec. Raz w miesiącu ojciec jeździ z synem do lubelskiej kliniki na kontrolę. Jako następstwo wypadku może pojawić się epilepsja. Matka i dzieci wypożyczyły garnki, miski, talerze, szklanki i sztucze od sąsiadów. Na stole wódka, wędzona kiełbasa, kurczaki, grzyby, pomidory, ogórki, boczek i wszystko, co można jeszcze znaleźć we wschodniej Polsce. Jemy, pijemy i weselimy się dwa dni. Jednak nie pozbyłem się widoku bucika. Jest wciąż „obecny” w mojej podświadomości, punkt zwrotny, który niezauważalnie wpływa na uczucia, myśli i czyny.

W burzliwych latach po roku 1968, francuski dramaturg Armand Gatti – *artysta rezydujący*, mieszkał i pracował w Berlinie. Demonstrowaliśmy wspólnie przeciwko amerykańskiej wojnie w Wietnamie i przemocy policji z Berlina Zachodniego wobec studentów. Powstała wówczas sztuka Gattiego *Rosa Kollektive*, w której w premierowym przedstawieniu w roku 1971 grała również moja ówczesna żona, Therese. Sztuka odzwierciedlała jego poszukiwania tego, co pozostało na wchodzie i zachodzie z ideałów i walki Róży Luxemburg i Karola Liebknechta. W miejscu, gdzie odnaleziono ciało zamordowanej Róży w styczniu 1919 roku, Gatti znalazł co prawda hotel Hilton, ale żadnej tablicy pamiątkowej. Tylko promienie niebiesko-srebrnej, obracającej się gwiazdy Mercedesa na dachu europejskiego centrum, przecinały nocną scenę.

Armand Gatti, członek francuskiego ruchu oporu Macquis, został aresztowany w roku mojego urodzenia i w wieku szesnastu lat, w roku 1943, skazany na śmierć, a następnie ułaskawiony i deportowany do obozu pracy koło Hamburga. W swojej sztuce *Siedem możliwości pociągu z Oświęcimia* opisał blakący się po Europie skład, którego pasażerowie, byli więźniowie obozu w Oświęcimiu, nie byli mile widziani w żadnym kraju. Jednocześnie wraz z ukończeniem prób do premiery w Wiedniu, zakończyłem pracę nad książką Daimler-Benz. Ku mojemu zaskoczeniu, Dante, jak nazywają go jego przyjaciele, używając imienia z chrztu, stworzył postać Helmuta Bauera, która co prawda nie pojawia się na scenie, ale o której wiadomo, że wydobywa z mroku na światło dzienne nazwiska, głosy i obrazy kobiet deportowanych do obozu pracy Ravensbrück. Było to pięć lat wcześniej, nim znalazłem w Londynie 30 gwaszów o tematyce deportacyjnej, autorstwa węgierskiej Żydówki Edith Kiss. Potem jeszcze sześć, zanim w styczniu 1993 roku udałem się po raz pierwszy do Ravensbrück, aby zaprezentować dyrektorze tamtejszego muzeum Sigrid Jacobeit cykl obrazów Edith Kiss, poświęconych jej aresztowaniu i pracy przymusowej dla Daimler-Benz

w miejscowości Genshagen. Namalowała w ciągu dwóch miesięcy, latem 1945 roku, tuż po swoim uwolnieniu. Jednak kiedy poeta Gatti chciał pisać ze mną sztukę o ślusarzu, *który popełnił samobójstwo z własną maszyną*, nie zgodziłem się; z tematem życia i śmierci musiałem rozprawić się sam.

2. Dziecko frontu wschodniego²

Urodziłem się jako pierwszy syn ślusarza, Juliusa Christiana Bauera i jego żony Hedwig Marii, z domu Winkler, 18 czerwca 1943 roku w Ulm nad Dunajem. Wychowałem się wraz z dwójką rodzeństwa, o sześć lat starszą siostrą Christą i z moim o trzy i pół roku młodszym bratem, który urodził się rok po powrocie ojca z wojny.

Od 1939 do 1945 roku ojciec służył w Wehrmachcie, najpierw we Francji, a następnie jako sierżant w Rosji na froncie wschodnim. Moja matka (1909 – 1992) była pracownikiem biurowym w żydowskiej firmie tekstylnej Cohn&Ullmann w Ulm. Przestała pracować po urodzeniu córki Christy w 1937 roku. Opowiadała, że w tym czasie rodziny jej żydowskich szefów wyjechały do Amsterdamu. Jak się dowiedziałem (już po śmierci matki) z jednej z książek dotyczących deportacji Żydów z Ulm, zostali oni w czasie wojny deportowani z Holandii i zamordowani w Theresienstadt i Oświęcimiu.

W czasie moich narodzin, 18 czerwca 1943 roku, ogłoszono alarm bombowy i wszystkie dzieci zostały przeniesione do piwnic szpitalnych, noworodki również. Ponieważ, jak powiedziała mi mama, dzieci były *najwyższym dobrem wodza*, matki pozostały na porodówce, a dzieci w piwnicy. Mój przyjaciel Gyuri Feheri skomentował to następująco: „Widać byłeś mile widziany jako *dobro wodza*”. Matka powiedziała mi później, że cieszyła się również z pozostałej dwójki dzieci, ale tylko ja zostałem spłodzony świadomie jako męski potomek, w czasie frontowego urlopu mojego ojca. Spytałem ją: „Jak można było na jesieni 1942 roku koniecznie chcieć mieć dziecko?” „Myśleliśmy, że wygramy wojnę i wszystko będzie lepiej” – powiedziała. Wtedy jeszcze wszyscy mieli w pamięci Stalingrad. Mój przyjaciel, poeta Armand Gatti nazwał mnie kiedyś *dzieckiem frontu wschodniego*. Zauważył, że coraz bardziej koncentruję moje poszukiwania i dokumentację na pierwszych dwóch latach mojego życia.

W lecie 1944 roku zostaliśmy ewakuowani, wskutek rosnącego zagrożenia bombardowaniami, do wsi Neenstetten w jurze szwabskiej. Jedną z nielicznych informacji o moim ojcu z okresu wojny, którą uzyskałem od matki jest to, że powiedział w czasie urlopu do miejscowego nazisty: „Nie wróć na front, jeśli moja rodzina nie będzie tu miała mieszkania”. No i dostaliśmy mieszkanie na pierwszym piętrze, nad kowalem.

² Napisane na podstawie wywiadu, który przeprowadził ze mną mój przyjaciel, węgierski literaturoznawca Györgi Feheri, w roku 2007, <https://www.gesichter-der-kz-zwangsarbeit.de/wie-der-autor-zu-seinem-thema-kam>

Kiedy miałem dwa lata ojciec wrócił z wojny, wydawał mi się zupełnie obcym człowiekiem. Widzę go siedzącego na stołku w kuchni, cały kark miał pokryty czyrakami; wciąż pamiętam, jak matka z bólem wyciskała mu ropne czopy.

W roku 1949 poszedłem do szkoły podstawowej w Ulm-Soflingen, nazywanej wówczas szkołą ludową. Kiedy byłem w trzeciej klasie, nauczyciel powiedział do moich rodziców: „Ten chłopak powinien iść do liceum, jest zdolny”. Więc wysłali mnie do liceum imienia Schubarta w Ulm; wśród dzieci robotników był to wówczas wyjątek.

Nie pamiętam prawie żadnych rozmów o wojnie. Wiedziałem, że ojciec był sanitariuszem na tyłach frontu i kiedy spytałem go, czy strzelał – odpowiedział mi, że czasami strzelali w las, jeśli poruszały się tam *ciemne postaci*, np. przy którymś z obozów sanitarnych. Być może byli to partyzanci. Więc nie celowali w ludzi, jedynie *strzelali w las*, aby ich przepędzić. Nie sądzę, aby specjalnie męczyło go to, co zrobił. Dzisiaj wiadomo już, co oddziały sanitarne robiły i jakie miały zadania. On – jako kierowca – woził również lekarzy. Dzisiaj wiadomo już, dokąd byli wożeni. Sądzę, że ojciec zobaczył takie rzeczy, które wywołały traumę i z którymi nie potrafił się uporać, a już na pewno o nich mówić. „Czy w powietrzu unosiło się to, co nie zostało nigdy wyjaśnione?” – spytał Gyuri.

Również w szkole nie dowiedzieliśmy się w zasadzie niczego o najnowszej historii Niemiec. Nawet o rodzinnym mieście. To było szczególnie przemilczane: w Ulm znajdował się od listopada 1933 do lipca 1935 roku obóz koncentracyjny Oberer Kuhberg, który naziści urządzili w dziewiętnastowiecznych fortyfikacjach. Dowiedziałem się o tym dopiero, studiując w Berlinie, dzięki mojemu bratu Friederowi. Poznał mnie z Otto Hornischerem, który był tam przetrzymywany i po wojnie walczył latami o pomnik pamięci ofiar w tych murach. W szkołach nie wolno było Ottonowi tego opowiadać. Hornischer był przecież komunistą.

Jego żona – Babette, opowiadała mojej matce i mnie, jak sprzedawała podczas wojny artykuły gospodarstwa domowego na rynku przed katedrą w Ulm, aby utrzymać siebie i córeczkę Inge. Nie dostawała żadnych pieniędzy od internowanego ojca. Od mieszkańców Ulm usłyszała, że powinna wraz ze swoim komunistycznym bachorem być wypędzona z miasta.

Całe moje dzieciństwo mieszkaliśmy na ulicy Königstrasse 33, w dzielnicy Kuhberg. Trzeba się było trzymać z daleka od mrocznych murów; mówiono, że koczują tam *ciemne postaci*, lecz my w lecie, w niedzielne popołudnia chodziliśmy często przez Kuhberg do ogrodów parafii metodystów. Dowiedziałem się też dużo później, że w tych kazamatach po zakończeniu wojny zakwaterowano byłych robotników przymusowych, displaced persons. Dopiero po roku 1989 stanął tam pomnik pamięci ofiar.

Najnowsza i współczesna historia niemiecka dotarła do mnie poprzez teatr. Katalizatorem był *Kaukaski krąg kredowy* Bertolda Brechta, który

inscenizował jego uczeń – Peter Palitzsch w sierpniu 1961 roku w Ulm. Podczas prób budowano w Berlinie mur. Pisano wówczas w ulmskiej prasie i mówiono na ulicach, że Palitzsch wraz ze „swoim” Brechtem mają zniknąć z miasta i „spadać” na swój wschód. Sądzę, że na przekór temu, wybrałem *Epicki teatr Bertolda Brechta*, jako temat mojej pracy maturalnej z niemieckiego, która została wyróżniona nagrodą książkową. Wybrałem tom z wydawnictwa Suhrkamp *Sztuki w jednym akcie*, wydane przez Waltera Höllera w roku 1961. Pamiętny omen: dekadę później pisałem doktorat u Höllera na Uniwersytecie Technicznym w zachodnim Berlinie.

Tytuł doktoratu brzmiał: „Pracować i jeść”, a podtytuł „Położenie i walka chłopów, rzemieślników i robotników i ich obraz w literaturze niemieckiej od 1770 do 1850 roku”. Na podstawie tekstów Wielanda, Bürgera, Herdera, Jana Paula, Klingera, Forstera, Moritza Wolffa Weertha, Engelsa, Marksa, chłopów, rzemieślników i robotników. Był to czas rozruchów studenckich, kiedy możliwe było uzyskać tytuł doktora z dziedziny literatury, pracą analizującą literaturę z dziedziny historii gospodarki, społeczeństwa i zagadnień społecznych. Mój promotor Walter Höller posiadał dostateczny autorytet, aby przeforować doktorat poświęcony moim rodzicom, wbrew konserwatywnym głosom rady wydziału uniwersytetu. Jestem mu za to bardzo wdzięczny.

Teraz miałem tytuł doktora. Jednak wówczas wcale nie chciałem podążać tą drogą. Również wtedy, gdy Höller zaproponował, aby przygotować doktorat do wydania. Już od dawna byłem zdecydowany po obronie pracować w fabryce; „służyć ludowi” było hasłem mojego politycznego otoczenia – to, że spowodowane to było moimi wewnętrznymi wyrzutami sumienia, stało się dla mnie jasne wiele lat później, podczas terapii i pobytu w klinikach.

Po maturze, po Wielkiej Nocy 1962 roku, zacząłem studiować we Freiburgu i pojechałem w okresie zaostrzenia zimnej wojny poprzez kryzys kubański do miasta frontowego czyli Berlina Zachodniego, w którym panowała agresywnie antykomunistyczna atmosfera. Zawsze chętnie wracałem po ciągnięciu przez NRD do domu. Tam dobrze się czułem, siedziałem na stołku w kuchni, kiedy matka gotowała, a ja starałem się zapamiętać jej przepisy. A jednak syn przybywał z coraz bardziej odmiennego świata.

Pamiętam, kiedy opowiedziałem ojcu o pisanej na proseminarium pracy o „Cierpieniach młodego Werthera” Goethego. Nie rozumiał, po co to robię. Bo przecież ciągle powtarzałem: „Nie będę nauczycielem”. Z nauczyciela moi rodzice byliby oczywiście zadowoleni, może też z kupca albo inżyniera... I stało się. W tym czasie, kiedy nie mieszkalem już w domu, że ojciec coraz bardziej pogrążał się w depresji i nie mógł pracować. Wciąż widzę jedną z szuflad kuchennego bufetu pełną opakowań leków, ówczesnych antydepresantów. Ostatecznie odebrał sobie życie 10 stycznia 1967 roku. Przy pomocy dźwigu, w swoim miejscu pracy.

Moja siostra przekazała mi to w Bad-Godesberg przez telefon sceniczny. Byłem wówczas z „Trupą aktorską Zurych” na półrocznym tournée te-

atralnym. Nie byłem w stanie opłakiwać śmierci ojca i godnie się z nim pożegnać. Kiedy piętnaście lat później pracowałem jako ślusarz w fabryce Daimler-Benz wozilem jego urządzenie do cięcia szkła w mojej skrzynce z narzędziami, pomimo że nie było żadnego szkła do cięcia. Wciąż i na nowo próbowałem nosić jego buty robocze, choć nie mogłem w nich ani chodzić bez bólu, ani tym bardziej pracować. Do dzisiaj noszę w kieszeni jego scyzoryk z dwoma wąskimi ostrzami i korkociągiem.

Pisząc biografię Edith Kiss pojąłem, że nie tylko warunki pracy doprowadzają do samobójstwa, czy jak miało to miejsce w przypadku Edith Kiss – tragiczne warunki obozu pracy przymusowej. Dopiero trauma skumulowana (Anna Freud), której genezy należy szukać głęboko w dzieciństwie, odbiera pewnego dnia całą radość i energię. Mój ojciec miał dużo większe możliwości niż życie po traumie wskutek przeżyć na froncie wschodnim, jako kierowca w małym zakładzie „Towarzystwo Handlu Szklęm Górnej Szwabii w Ulm”, dokąd wyruszał na rowerze codziennie rano, ze skórzaną teczką i często wracał późnym wieczorem. Był przecież z wykształcenia ślusarzem i mam fotografie, na których widać, że reperuje silniki, rozkłada je, a następnie składa z powrotem. Doskonale pamiętam charakterystyczny zapach garażu, w którym stał jego stół warsztatowy i ciężarówka. Woził mnie jako małego chłopca swoją ciężarówką do fabryk szkła aż do Oberpfalz w Bawarii, do miasta Weiden, do Mannheim-Waldorf i Köln, gdzie szkło lało się z pieców, następnie walcowane i odpowiednio przycięte było pakowane w skrzynie, które przenosił dźwigiem na swoją ciężarówkę. Dzięki niemu poznałem fabrykę od środka.

Przeszłość wojenna, zwana „przed załamaniem”, była tematem tabu, co wiązało się z nastrojami w Niemczech w latach 50., a szczególnie w Szwabii. Chodziło tylko o odbudowę i uczestniczenie w cudzie gospodarczym, nie oglądanie się wstecz.

Rodzice próbowali dorobić się domu i samochodu, ale im się to nie udało, mieli tylko ogródek w Pracht, a w nim trochę ziemniaków, pomidorów, fasolki, szczypiorku, pietruszki, winogron i sałaty. A jednak wciąż dążyli, „aby coś osiągnąć”. I jeśli rodzicom to „coś” się nie udawało, miało się powieść ich dzieciom. Im ma „być lepiej”. Wciąż słyszę moją matkę: „Życie to codzienna walka” – ojciec swoją przegrał, ale rodzina nigdy nie musiała głodować.

Na uniwersytecie również unikaliśmy tematu dotyczącego własnej historii, w każdym razie nie omawiając starszej i nowszej literatury niemieckiej. Aż do roku 1966, który w pewnym sensie był dla mnie rokiem przełomowym. Na ukształtowanie dalszej historii mojego życia zaważyła śmierć studenta, mojego kolegi – Benno Ohnesorge. Został zastrzelony przed budynkiem opery przez policjanta, podczas demonstracji przeciwko wizycie szacha perskiego w Berlinie Zachodnim. Ta śmierć spotęgowała na jeszcze większą skalę protesty studentów.

Dość szybko ukończyłem doktorat, wiedząc że chcę pracować w fabryce, „lewicowy proletariatus”, to była jedna z ówczesnych inicjatyw studenckich „uczyć się od proletariatus”, który wskazywał drogę.

17 lipca 1972 roku miałem ustny egzamin doktorski na Uniwersytecie Technicznym w Berlinie, a 1 września 1972 – rozpocząłem pracę w Osramie, jako niewykwalifikowany nastawiacz maszyn. Milczałem na temat doktoratu i studiów. W zasadzie wyparłem się tego. Fabryki cieszyły się wówczas, że w ogóle ktoś chciał pracować, panowała wysoka koniunktura, więc nie pytali o dokumenty.

Dla mnie decydujący nie był w gruncie rzeczy wymiar polityczny ówczesnych haseł, co zrozumiałem jednak wiele lat później w czasie psychoterapii, kiedy sam zmagalem się z depresją. Szczęśliwie się dla mnie złożyło, że teraz na skutek wymagań politycznych idę do fabryki, powielając los mojego ojca. Wszyscy, którzy szczerze chcą walczyć z kapitalizmem, który wówczas obwiniałem za śmierć ojca-robotnika, powinni uczynić to samo. I doszło do tego, że kiedy po trzech latach zwolniono mnie bezterminowo i paru kolegów, ze względów czysto politycznych, po wygraniu procesu o ponowne zatrudnienie, nie wróciłem, tylko przyjąłem odszkodowanie, aby dzięki tym pieniądząom móc się kształcić na ślusarza. W zawodzie ojca.

Kiedy na skutek niemożności zmobilizowania robotników zakończył się „Ruch zakładowy” w Berlinie Zachodnim, z fabryk zniknęli prawie wszyscy lewicowi intelektualiści, ja jednak stałem się w międzyczasie robotnikiem wykwalifikowanym, chciałem działać politycznie jako robotnik, żyć w robotniczej rodzinie i powrócić do mojej szwabskiej ojczyzny.

W Stuttgarcie w Daimlerze działała wtedy „grupa plakatuowa”, o której głośno było w całych Niemczech. Ich bojowa postawa zrobiła na mnie duże wrażenie, że w ogóle istnieje i działa grupa robotników, która tak zdecydowanie sprzeciwia się konformistycznym radom zakładowym i dba o warunki pracy w fabryce. To „pasowało” mi do tematu mojego doktoratu. Jak zmieniają się warunki pracy i życia ludzi przy wprowadzeniu nowych technologii?

W 1981 roku zacząłem pracować jako ślusarz w Daimlerze. W 1983 r. zimna wojna eskalowała nowymi stanowiskami rakietowymi we wschodnich i zachodnich Niemczech. Na zachodzie wiele osób protestowało przeciwko tzw. podwójnej decyzji NATO³. Przy tym powstała też „inicjatywa pokojowa Daimler-Benz” w zakładzie Untertürkheim, gdzie pracowałem. W roku 1983 wygłosiłem przemówienie przed tysiącami kolegów podczas zgromadzenia zakładowego na staro-nowy temat „Daimler-Benz i zbroje-

³ 12 grudnia 1979 r. NATO ogłosiło umieszczenie nowych komponentów, wyposażonych w głowice nuklearne w Europie Zachodniej, jako przeciwwagę dla sowieckich zbrojeń. A jednocześnie żądało dwustronnych negocjacji między mocarstwami w sprawie ograniczania ich pocisków nuklearnych średniego zasięgu zlokalizowanych w Europie. W praktyce wykluczało to francuskie i część brytyjskich pocisków nuklearnych.

nia”, które zostało opublikowane w gazecie zakładowej. Chciałem pokazać, że Daimler był w czasie drugiej wojny światowej głównym producentem silników do samolotów, czołgów, statków, więc silników dla pojazdów lądowych, statków powietrznych i wodnych, co od stulecia symbolizuje trójramienna gwiazda – i że Daimler oraz inny południowoniemiecki producent MAN, miałyby konstruować wyrzutnie rakietowe dla Pershingów i pocisków manewrujących, które teraz miały stacjonować w Szwabii.

Dotąd mówiono tylko o legendarnych samochodach z wieńcem laurowym i trójramienną gwiazdą, które także w czasie dwóch wojen światowych odnosiły zwycięstwa na torach wyścigowych; „mit Mercedes”, w którym robotnicy nie odgrywali żadnej roli, a zwłaszcza robotnicy przymusowi. Produkcja dla potrzeb wojennych, jako główna atrakcja technologiczna ...

To mnie sprowokowało do zajęcia się ciemną stroną historii koncernu. Było to możliwe tylko poza fabryką. Musiałem się z niej wydostać i Sylwester 1985 roku był moim ostatnim dniem w Daimlerze – tak wtedy myślałem. Osiem lat później mój pierwszy film o Daimlerze nosił tytuł: „Gwiazda i jej cień” (1993), który wymyśliłem na podstawie jednej z reklam Daimlera. Ukazała się ona w Boże Narodzenie 1989 roku. Z kosmosu srebrno-lśniąca gwiazda Mercedesu rzuca gigantyczny cień na planetę Ziemię, a jej środek – na Europę. Ten motyw stopiony z bukiem dziecięcym ze wschodniej Polski jest dla mnie od ponad trzech dekad tematem pracy mojego życia. W roku 1992 po raz pierwszy kręciliśmy sceny do filmu „Gwiazda i jej cień” w Warszawie, Daimler-Benz urządził wtedy w centrum miasta elegancki pokaz pojazdów. Kiedy w roku 1999 kręciliśmy „Dla zarobku i honoru” – sfilmowaliśmy niebiesko-srebrną, obracającą się gwiazdę, która promieniała z dachu domu znajdującego się naprzeciwko Pałacu Kultury i Nauki.

3. Wewnętrzne obrazy

Jako motto mojej książki *Obrazy, które pozostają na zawsze. Kobiety w obozie pracy przymusowej Daimler-Benz Genshagen* (wydawnictwo Metropol 2011), wybrałem zdanie autorstwa Ernsta Blocha: „Samo przypominanie sobie tego jest straszne, ale jednocześnie przypomina, ile jeszcze jest do zrobienia”. Kiedy czterdzieści lat po wojnie zaczęto nieśmiało mówić o milionach robotników przymusowych, stało się jasne, że na wiele rzeczy było już za późno. Poświęciłem tę książkę mojemu ojcu.

Daimler-Benz Genshagen w wizjerze.

W pierwszych miesiącach po upadku muru berlińskiego i otwarciu granicy z NRD, Muzeum Techniki i Pracy zleciło mi badania w Mannheim i zaprowadziło mnie do Ludwigsfelde, aby na dostępnym teraz terenie w puszczy Genshagen w okolicach Berlina, badać byłe zakłady wojenne Daimlera.

W wywiadzie do „Księgi Daimlera-Benza” w roku 1986 Rosjanin Simon Guljakin opowiedział nam o swoich trzech latach wśród niemal 10 000 robotników przymusowych w tych zakładach. Jednak historia 1100 kobiet z obozu pracy przymusowej w Ravensbrück, które od jesieni 1944 roku musiały montować silniki Messerschmittów i bombowców Heinkel, wyszła na światło dzienne dopiero po obszernych poszukiwaniach i dzięki filmowi „Gwiazda i jej cień”. To trwale wystraszyło niektórych menadżerów, troszczących się o wizerunek firmy.

Dzięki finansowanemu przez Daimlera rocznemu kontraktowi, 50 lat po wyzwoleniu obozu pracy przymusowej w Ravensbrück, jako pracownikowi naukowemu zajmującemu się pomnikiem pamięci ofiar z tego obozu, pozwolono mi rozwinąć pierwszy, nadający kierunek model: włączenie koncernu w rozliczenie jego przeszłości w ramach zadań pomnika pamięci ofiar obozu pracy przymusowej. Istotnym wsparciem i podstawą moich badań była wydana w NRD praca Dietricha Eichholtza *Niemiecka gospodarka wojenna 1939–1945*. W jednej z ekspertyz dla Ravensbrück i Daimlera Eichholtz tłumaczył: „Ponieważ wiem, że badanie historii dawnego kobiecego obozu pracy przymusowej w Ravensbrück nie odgrywało przez dziesięciolecia żadnej roli, także w NRD, uważam planowane zbieranie materiałów za celowe. Naszym obowiązkiem jest nadrobienie tych zaniedbań przez pokazanie historii i dnia codziennego jednego z takich obozów” w puszczy Genshagen.

Po roku 1969 Daimler zaprzeczył, jakoby w jego zakładach kiedykolwiek zatrudniano robotników przymusowych, kiedy sekretarz „Comite International de Camps”⁴ (były więzień Oświęcimia) i autor Hermann Langbein ponaglał sprawę uznania odszkodowania dla Polek z Genshagen. Tak były potajemnie sabotowane wcześniejsze opracowania, w sprawie moralnego i finansowego uznania dla dawnych robotnic przymusowych. Ostatecznie odszkodowania zostały wymuszone trzy dekady później poprzez pozwy zbiorowe, wezwania do bojkotów i narastające wówczas problemy z wizerunkiem Daimlera w USA. Wyplacono je przez fundację „Pamięć, odpowiedzialność, przyszłość”. W gorącym okresie trwających latami sporów o odszkodowania dla robotników przymusowych, wygłosiłem na walnym zgromadzeniu akcjonariuszy w roku 2000 przemówienie, które zakończyłem wezwaniem: „uhonorujmy pamięć zmarłych i zamordowanych robotników przymusowych minutą ciszy”.

Już w roku 1934 Goebbels zaproponował Daimlerowi – jako „najważniejszej dla potrzeb wojny wytwórni silników” produkcję wyposażenia dla nazistowskich maszyn latających ogromną halę służącą ostatecznemu montażowi, planowaną w Genshagen od roku 1940. „Nowy gigantyczny projekt” działający od roku 1942 – nazwano „Niemiecką halą”. Od jesieni 1944 roku w zakładzie, który w międzyczasie awansował jako wzorcowy za-

⁴ Organizacja zrzeszająca byłych więźniów obozów koncentracyjnych

kład narodowych socjalistów, pod nadzorem strażniczek z SS, 1100 kobiet, w tym 725 Polek musiało montować legendarne silniki serii DB 601–610. Na pewno po zmontowaniu samolotów typu Jäger Me 109 i Me 110 oraz bombowców He 110, He 111 i He 177 miały one siać śmierć i zniszczenie w ojczyznach tych kobiet.

Kontynuacją tej historii jest to, że Daimler, który po roku 1945 w czasie okupacji sowieckiej utracił swoje wysadzone w powietrze zakłady, a na ich gruzach w Gensahgen – NRD zbudowało własne „Zakłady budowy samochodów”. Po upadku NRD – przejął również w dużej części tonący kombinat i mógł zaprezentować w roku 1990 całostronicową reklamę dotyczącą „Rozkwitu silników na wschodzie”.

4. Trudne spotkania...

Od początku moich działań nie chodziło mi o poszukiwania i dokumentację w tradycyjnym znaczeniu, moim celem było, aby – ze wsparciem uwikłanych w ten problem zakładów – umożliwić „spotkania” i „ponowne spotkania” byłych więźniów z różnych krajów „z miejscem ich przetrzymywania i pracy przymusowej” oraz z tamtejszą niemiecką ludnością, szczególnie z młodzieżą, jak również z pełnomocnikami koncernu.

To nie były łatwe spotkania dla obydwu stron. Nierozwiązany problem „odszkodowań” dzielił gospodarzy i gości, którzy coraz natarczywiej żądali wypłacenia nie otrzymanej cześniej zapłaty. Jednak Daimler aż do roku 2000 finansował inicjowane i organizowane przeze mnie spotkania z byłymi pracownikami z Genshagen. Ponieważ z powodu wieku, chorób i śmierci coraz mniejsza grupa mogła być świadkami tamtych czasów, zacząłem już w roku 1992 zapisywać ich historie w postaci dźwięku, obrazu i filmu, aby być odpowiednio przygotowanym do przyszłej pracy historyczno-pedagogicznej w szkołach i miejscach pamięci ofiar obozu koncentracyjnego. I żeby podczas „ostatniego pożegnania” świadków móc przywołać w pamięci nasze ostatnie lata.

W pierwszym dużym wywiadzie, były rosyjski robotnik przymusowy Daimlera – Simon Guljakin opisał szczegółowo już w sierpniu 1968 roku historykowi – Michaelowi Schmidtowi i mnie, swoje życie i pracę w obozie Genshagen. Simon sformułował mimochodem zdanie „Byliśmy nikim”. Te dwa okrutne słowa towarzyszyły mi każdego dnia. Jednocześnie była więźniarka obozu w Genshagen, warszawianka Henryka Kluka, tłumaczyła w roku 1995, w pięćdziesiątą rocznicę wyzwolenia obozu, że wygłodzeni więźniowie w czasie przejścia przez las Below, gdzie wciąż na drzewach widać blizny po odartej korze, próbowali tą korą zagłuszyć swój rozpaczliwy głód. „Byliśmy prawdziwym dokumentem naszych czasów”.

W czasie żmudnego procesu stopniowego uwalniania się od obrazów pełnych bólu, obrony i oporu pojawiały się wraz z otwieraniem się ran kobiet z Genshagen pytania, które przez dziesiątki lat były tabu. To wymagało starannego, terapeutycznego zbliżenia i odpowiednio kształciłem się w tym

kierunku. Celem pracy było pokazanie na przykładzie zakładów „Daimler-Benz-Motoren-GmbH Genshagen” procesu, który doprowadził stopniowo z całym propagandowym wysiłkiem w jednym z wzorcowych zakładów nazistowskich, od „Piękna pracy” i „Siły poprzez radość” w czasie wojny od roku 1942 do „Normalizacji barbarzyństwa” (Neil Gregor).

Ponad pięciuset zmarłych w Genshof robotników przymusowych Daimlera pochowanych jest na cmentarzu Ludwigsfelde, nie uwzględniono przy tym 130 ofiar nalotu bombowego z 6 sierpnia 1944 roku i 19 zamordowanych kobiet w mogile masowej, które dopiero w 50. rocznicę wyzwolenia obozu otrzymały swoją tablicę pamiątkową. Aż do tego czasu, czyli przez całą epokę NRD, nie było żadnych odniesień dotyczących tych zbrodni ani miejsc upamiętnienia ofiar.

Książka „Obrazy, które pozostają na zawsze” przypomina nam postaci mężczyzn i kobiet, których godność, jak głosi obecnie napis na kamieniu pamiątkowym w Genshagen, została zdeptana. Możemy się tylko cieszyć, że Simon Guljakin i wiele kobiet z Genshagen pozwolili wejrzeć w swoje wewnętrzne obrazy, że węgierska Żydówka Edith Kiss zostawiła nam spuściznę swoich wewnętrznych obrazów w postaci 30 gwaszów z „Albumu deportacji”, próbując się od nich uwolnić. My chcemy je zachować, wykorzystać do edukacji młodzieży w szkołach, kościele, miejscach pamięci, kiedy tych kobiet już nie będzie między nami, aby nie zanikło echo ich głosów, które pobrzmiwa nad gruzami Daimlera w lasach puszczy Genshagen.

5. Jeśli echo ich głosów umilknie – zginiemy

10 kwietnia 2005 roku proboszcz kościoła luteransko-ewangelickiego w berlińskiej dzielnicy Spandau – Peter Kranz, z którego konfirmandkami prowadziłem przez cztery lata projekt młodzież-media, „Praca przymusowa, widzieć i zrozumieć”, wygłosił kazanie z serii „60 lat później”, którego fragmenty chcę przytoczyć.

„Jak pełne gracji są w górach kroki posłańca dobrej nowiny, który głosi pokój. Głosi dobro i wyzwolenie. Mówi do Syjonu: Twój Bóg objął panowanie”. (Izajasz 52, wers 7)

Przed 60 laty, w ostatnich tygodniach przed końcem drugiej wojny światowej, wyzwolono duże obozy koncentracyjne na ziemi niemieckiej: Buchenwald 11 kwietnia – przez armię amerykańską, Sachsenhausen 22 kwietnia – przez oddziały sowieckie i polskie i ostatecznie 30 kwietnia kobiece obóz koncentracyjny Ravensbrück – przez Armię Czerwoną.

Wiemy, że miliony ludzi zostały zamordowanych w obozach koncentracyjnych Trzeciej Rzeszy. Ale także wyzwolenie przyszło zbyt późno dla wielu więźniów, którzy umierali w konsekwencji pobytu w obozach.

Słyszeliśmy w czytaniu, jak posłaniec nadchodzi przez góry, aby obwieścić ludowi Izraela w niewoli babilońskiej pokój oraz wyzwolenie z wygnania i niewoli. Który mówi do ludu Syjonu: Twój Bóg objął panowanie”.

Nie jestem teologiem i nie ważę się zadać pytania, gdzie był Bóg przed objęciem władzy w Jerozolimie? Ani gdzie był przed wyzwoleniem obozów koncentracyjnych? Może powinniśmy raczej zapytać, gdzie były kościoły, gdzie byli chrześcijanie, gdzie byli ludzie?

Jeszcze do maja 1945 roku wielu więźniów uczestniczyło w marszach śmierci, przez które naziści chcieli ukryć przed naciągającymi wyzwoliciełami cały ogrom swoich zbrodni. Kolejne tysiące ludzi było ich ofiarami, gdyż nie byli w stanie przez terror w obozie i pracę przymusową iść dalej.

Eugenia Chałupczyńska-Hamula, z d. Goldberg, jedna z kobiet z Genshagen, która będzie uczestniczyć 18 kwietnia jako gość w projekcie młodzieżowym, opisała to następująco:

„Byliśmy wykończeni, wygłodzeni, brudni i zawszeni, krótko mówiąc – wyglądaliśmy jak duchy. Niemcy obrzucali nas kamieniami. Powiedziano im, że jesteśmy polskimi bandytami. Wodę znajdowaliśmy tylko w korytach do pojenia bydła. Kto zostawał za kolumną był rozstrzeliwany i pozostawał tam na wieczność. Droga, którą szliśmy była usłana trupami. Po tym niosącym śmierć błakaniu się miałam w nocy z drugiego na trzeci maja profetyczny sen: ukazała mi się na niebie Matka Boska. Następnego ranka nadeszła dla nas wolność. Wyzwoliła nas armia amerykańska”.

Posłanką dobrej nowiny dla Eugenii była Maria, w noc przed jej uwolnieniem. Eugenia nie wiedziała jeszcze wówczas, że jej pozostała w Ravensbrück matka umrze dwa dni później. Także po powrocie do Warszawy było mało radości. Z siedmioosobowej rodziny Eugenii powróciły tylko ona i jej siostra. Wehrmacht i SS prawie całkowicie zniszczyły miasto jesienią 1944 roku, po zdławieniu Powstania Warszawskiego, które miało Polakom umożliwić samodzielne wyzwolenie się spod okupacji, przed zdobyciem miasta przez Armię Czerwoną.

Halina Dańko-Wojtczak, która też przybędzie do nas 18 kwietnia, opowiada jak została wysiedlona i deportowana z Warszawy:

„Jest 31 sierpnia 1944 roku. Powstanie Warszawskie trwa już od 31 dni. Miasto broni się, ale coraz trudniej utrzymać pozycje. Niemiecka artyleria niszczy domy, bombardowania powtarzają się co parę minut. Powstańcy otrzymują rozkaz, aby opuścić swe pozycje i przemieścić się kanałami w stronę centrum miasta, żeby tam dalej walczyć. Ludność cywilna Starego Miasta zostaje brutalnie wyciągnięta ze schronów przeciwlotniczych. Także moi rodzice i ja. Widzimy, jak rozstrzeliwują starych, chorych, także kobiety z dziećmi. Tak zginął mój 62-letni ojciec Bolesław Danko na ulicy Ogrodowej 59”.

W tym czasie Wehrmacht i SS rozstrzelali w Warszawie ponad 30 000 cywilów. 600 000 zostało wywiezionych z miasta. 200 000 do obozów pracy

przymusowej. Codziennie docierały ogromne transporty warszawianek do Ravensbrück. (...)

Kiedy przed wielu laty staliśmy z jedną z kobiet z Warszawy, Alicją Protasiewicz, nad brzegiem jeziora Schwedt, patrząc na wieżę kościelną po przeciwnej stronie jeziora w miasteczku Fürstenberg, opowiedziała nam, co myślała i czuła, patrząc z tego miejsca jako młoda dziewczyna w obozie pracy:

„Kiedy wówczas stałam tu nad jeziorem i patrzyłam na kościół na drugim brzegu, myślałam: Mój Boże, kościół jest tak blisko, tak blisko jest miasto, gdzie ludzie żyją normalnie. Modlą się przecież też do Boga, a tuż obok ludzie są zabijani w tak bestialski sposób. Jak mogą do tego dopuścić? Tam ludzie modlą się na mszy, a tu ludzie są zabijani. To jest tak blisko, zaraz za jeziorem. Tego nie mogłam zrozumieć, przecież też byliśmy ludźmi. Dlaczego tam nie wiedzieli, jak tutaj ludzie cierpieli, jak umierali? I prowadzili tam zupełnie zwyczajne życie”.

Czy o tym rzeczywiście nie wiedzieli ani chrześcijanie, ani proboszczowie, ani kościoły?

Przed kilkoma tygodniami stałem z konfirmantkami z naszego projektu na drugim brzegu jeziora, obok kościoła. Patrzyliśmy na Ravensbrück. Niebo było zachmurzone, w powietrzu czuło się śnieg. Nawet przy niepełnej widoczności można było wyraźnie dojrzeć mury obozu i krematorium z jego kominem. Wcześniej zawsze leciał z niego dym. Tak mówią kobiety, które przeżyły. Wydobywał się z niego ogień. W całej okolicy unosił się zapach palonego mięsa. Popiół z krematorium wyrzucano do jeziora.

Być może wielu rzeczywiście nie wiedziało, co działo się w obozach. Ale o tym, że Warszawa ma zostać zrównana z ziemią, bo jej mieszkańcy odważyli się powstać przeciwko okupantowi, pisały wszystkie gazety. O czym były kazania w naszych kościołach 60 lat temu? Tylko nieliczni duchowni opowiedzieli się przeciwko nazistowskiemu terrorowi. (...)

Posłuchajmy ponownie Eugenii:

„W Ravensbrück byliśmy już tylko numerami. Ja miałam numer 68 648, moja mama 68 649 a moja siostra 68 650. Wkrótce przybyli fabrykanci z zamiarem wyszukania pracowników. Byliśmy zawstydzająco dokładnie oglądane i wybierane. Stałyśmy jedna za drugą, nagie. Matki, siostry, ciotki i babki, to nie zdarzało się nawet w domu. A wszystko w obecności strażniczek z SS, niemieckiego oficera i fabrykantów z Daimlera. Oni oglądali nas dokładnie, od stóp do głów. Zaglądali nam nawet do ust, jak bydłu”.

Na jesieni 1944 roku przedstawiciele Daimlera sprowadzili 1100 kobiet, pośród nich 700 Polek z obozu Ravensbrück do pracy przymusowej przy produkcji służącej celom wojennym.

Posłuchajmy ponownie Alicji:

„Starałam dostosować się do zastanych warunków, pomimo że było to niesłychanie trudne, ponieważ praca była ponad nasze siły, a porcje żywnościowe dużo za małe. Kilka miesięcy po naszym przybyciu do Genshagen zmarła moja najlepsza przyjaciółka – Stefania Barenholc, która była wykończona nie tylko psychicznie, ale też fizycznie. Musiałam pracować na jej stanowisku. Niemiecki majster powitał mnie słowami: „Jeśli będziesz płakać, też umrzesz”.

W tych dramatycznych sytuacjach wiele polskich dziewcząt i kobiet znajdowało oparcie w wierze.

Maria Kozłowska, która już nie może do nas dołączyć – siedem lat temu nie obudziła się pewnego ranka – tak opowiadała w 50. rocznicę wyzwolenia obozu w Ravensbrück:

„Piękna, młoda dziewczyna, która pracowała przy mnie, cały czas się modliła. Tak, jakby czuła wewnętrzne powołanie, misję. Jak święta. Zrobiła różańce dla koleżanek. Formowała kuleczki z chleba i robiła z nich różańce. Chciałyśmy oddać jej chleb, który zużyła dla nas, bo przecież potrzebowała co najmniej kromkę chleba na każdy różaniec. Ale nie chciała wziąć od nas chleba.

Robiła to, abyśmy mogły się modlić.

Dla nas jest to cenna pamiątka. Chronię ją bardziej, niż chroniłabym cenny klejnot, jeśli bym taki posiadała. Ogromną perłę nie chroniłabym tak, jak tego różańca. I kiedy umrę, przekażę go córce i wnukom. Żeby wiedzieli, że były tam takie cudowne osoby, w tak nieludzkich czasach. To też nam pomogło przetrwać”.

Halina opowiada:

„Maria Białkowska i jej córka Barbara zrobiły modlitewnik, z którego przepisywałyśmy modlitwy. Pamiętam pewne szczególne wydarzenie. Siedziałyśmy przy stole i sortowałyśmy części silników. Na moich kolanach leżały modlitwy. Opuściłam głowę i modliłam się. Nagle stanął przede mną esesmann ze swoim dużym brązowym psem. Ostro zapytał: „Co robisz?” Wstałam, podałam mu modlitwy i powiedziałam: „Modlę się.” Szybko je przekartkował i rzucił przede mną. Potem odszedł, nie spisawszy nawet mojego numeru.

Sądzę, że pomogła właśnie modlitwa. Jezus nie dopuścił, abym cierpiała, bo się modliłam. Czy to nie był znak? To była bardzo poruszająca chwila. Najpierw mówi do mnie z groźbą w głosie: „Co robisz?” a potem nic złego mi się nie stało. Deo Gratia”. Dzięki Ci Boże.

Przy wersji „Twój Bóg objął panowanie” z proroctwa Izajasza, myślę zawsze o Eugenii, Alicji, Marii i Halinie. Bez posłańca dobrej nowiny, bez obwieszczenia pokoju i wyzwolenia, te polskie dziewczyny trwały w wierze pomimo

terroru SS i pracy przymusowej w obcym kraju, a nawet wywalczyły ją dla siebie wbrew upokorzeniom doznanym od „rasy panów”.

Zofia Ziembicka przeżyła jako 14-latka wojenną wigilię w roku 1944 w Daimlerze:

„W wigilię postawili na środku hali fabrycznej choinkę przystrojoną swastykami i rozkazali nam śpiewać „Cichą noc” po niemiecku. Nauczyli nas tego wcześniej.

Ponieważ jednak nie chcieliśmy śpiewać po niemiecku, a za to zaśpiewaliśmy „Bóg się rodzi” po polsku – pobili nas i zamknęli w piwnicy. To była nasza wigilia”.

16-letniej Janinie Rucińskiej udało się, kiedy musiała w Ravensbrück zebrać się do naga i zabrano jej wszystkie rzeczy osobiste, zachować zdjęcie matki. W opatrunek, który prowizorycznie chronił ranę z Powstania Warszawskiego, zawinęła zdjęcie. Z odpadów aluminium, pozostałych po produkcji silników samolotów bojowych, wycięła małe krzyże i starannie opilała.

Maxi, konfirmanta ze Stowarzyszenia Lutra, napisała w jednym z listów do Janiny:

„Kochana Janino, nazywam się Maxi i uczestniczę od pół roku w projekcie Helmuta Bauera. Sposób w jaki Pani przeżyła, wywarł na mnie duże wrażenie. Uważam, że ukrycie zdjęcia matki wymagało dużej odwagi. Jednak największy podziw wzbudziło we mnie to, że robiła Pani krzyże. I nawet częściowo je Pani starannie opilała.

Pozdrawiam, Maxi.”

Maxi jest smutna, że Janina nie może do nas przybyć, ponieważ złamała nogę, ale wycinane i opilały przez nią z odpadów aluminium krzyże, znajdą się na naszej wystawie ku czci tych kobiet. Tak jak różańce i modlitewniki jej koleżanek.

Emilia Rykiel jako 16-latka napisała tekst, podobny do pieśni żałobnej, który śpiewała na melodię melancholijnej rosyjskiej pieśni *Wolga, Wolga* (Stenka Rasin)

Nazwała swą pieśń „Tęsknota uwięzionego dziecka”:

Ach, ja nieszczęsna, całkiem sama
czy muszę być na obczyźnie
Oddzielona od rodziców
muszę ukrywać moją tęsknotę.

Ach ! Ukochana matko,
niech Niemców trafi szlag !
Ach, mamó, moja droga
Niemcy nas rozdzielili.

Ty jesteś tam i martwisz się zrozpaczona,
gdzie ja zaginęłam, no gdzie
A ja siedzę tu w obozie
I martwię się też o ciebie.

Ach ! Tato, mój kochany
Wszędzie widzę twój obraz
Twoje usta mówią mi,
że do ciebie powrócę.

Ach ! Wy wiatry, które wiejecie z wszystkich stron,
przynieście nam nowinę
Co nowego w naszej Polsce,
czy jest tam dobrze, czy źle?

Och, ty księżycu i wy gwiazdy
oświećcie nasz kraj
i błagajcie ojca w niebie,
aby go pobłogosławił i uwolnił.

Ojcze nasz, któryś jest w niebie
przecież my też jesteśmy Twoimi dziećmi
Pokornie prosimy Cię o litość
zlituj się, ach zlituj się !"

Dla wielu tych, którzy przeżyli obozy pracy przymusowej, wyzwolenie jest związane z konkretnymi osobami, ich osobistymi „posłańcami dobrej nowiny”.

Alicja opisuje moment swojego uwolnienia:

„Kiedy byłam w obozie myślałam, że jeśli przeżyję to piekło, nie będę w stanie normalnie żyć. Myślałam, że poświęcę życie ludziom, którzy potrzebują pomocy i opieki.

Kiedy zostaliśmy wyzwoleni przez Amerykanów, jeden z żołnierzy zaprowadził mnie do opuszczonego domu i postawił mnie przed dużą szafą pełną ubrań. Pokazał mi gestem, że mam sobie coś wybrać, bo przecież wciąż nosiłam strój więzienny. Wybrałam białą bluzkę. Była z delikatnego materiału i bardzo przewiewna, miała tak piękne, szerokie rękawy. Był maj, kiedy stałam w ogrodzie, a ciepły majowy wiatr „wydymał” moje rękawy, wtedy zapomniałam, że chciałam poświęcić życie innym ludziom i zaczęłam prowadzić całkiem zwyczajne życie”.

Czy mogło się udać całkiem zwyczajne życie po obozie pracy?

W lutym nasza młodzież napisała listy do kobiet w Warszawie, zadając im pytania, które pojawiły się w czasie poznawania ich historii.

Nasz konfirmant Tobiasz zadał Alicji pytanie. „Czy po wojnie rzeczywiście wiodłaś całkiem normalne życie?” Alicja odpowiedziała:

„Jeśli człowiek jest w takiej sytuacji, w jakiej my byliśmy w obozie, nie wyobraża sobie normalnego życia.

Wówczas myślałam, że chcę pomagać ludziom, troszczyć się o chorych i upośledzonych. Tak naprawdę myślałam. Ale kiedy byłam wolna, nagle zaczęłam widzieć to inaczej. Odczuwałam ogromną radość życia, nawet promień słońca sprawiał mi niepopisaną radość.

Odczułam ten majowy wiatr jako coś magicznego i on mi wówczas uzmysłowił, jak straszną karą jest być uwięzionym. Wolność jest najważniejsza dla człowieka. Człowiek może głodować, ale musi być wolnym, jak chmury, które wędrują po niebie.

I tak wraz z tymi uczuciami uleciały moje obozowe myśli, ale pomimo to – było w moim życiu zawsze miejsce dla ludzi, którzy potrzebowali pomocy”.

Nie wszystkim udało się po wyzwoleniu, tak jak Alicji. Ich życie było zdominowane przez duchowe i fizyczne cierpienie.

Alicja potrafiła rozwinąć w sobie wiadomość posłańca dobrej nowiny, majowego wiatru, chmur na niebie, przekazać swoim dzieciom i naszej młodzieży. Żyje do dziś z tą leczniczą siłą. Obecnie stara się nauczyć możliwie najwięcej niemieckiego, aby w czasie naszego spotkania w 60. rocznicę wyzwolenia, mogła lepiej porozumieć się z naszymi konfirmantami.

Tę siłę czułem też, kiedy Alicja, nasza tłumaczka Antje i ja odwiedziliśmy Emilię, która w obozie śpiewała swoją „de profundis clamavi”⁵.

Emilia cierpi od lat na chorobę Alzheimera. Jej dzieci ją ubezwłasnowolniły, tzw. odszkodowanie z Niemiec wzięły sobie, a matkę zesłały do prostego domu opieki, daleko poza granicami Warszawy. Tam odnaleźliśmy ją, siedzącą w wąskim ponurym pomieszczeniu, w którym nie było nawet jednej rzeczy osobistej. Z rękami przywiązanymi do fotela, wychudzona i pomarszczona, jak moje wyobrażenie o więźniach w czasie marszów śmierci.

Opiekunki mówią „Nie możemy przecież za nią wciąż biegać i pilnować, żeby wskutek swojej dezorientacji nie narozrabiała”.

Emilia znów jest w sytuacji, gdzie grozi jej coś podobnego jak w obozie. Jedną z jej warszawskich koleżanek, Krystna Usarek sformułowała to następująco: „Dla mnie najgorsze w obozie było nie to, że się umierało, ale to jak obchodzono się ze śmiercią.

Podczas mojego, trwającego latami towarzyszenia tym kobietom w ich bolesnych wspomnieniach, wydały mi się one niekiedy posłańcami dobrej nowiny, które głoszą pokój, dobro i zwiastują wyzwolenie. Wyzwolenie z najgorszej formy barbarzyństwa dla życia w godności i szacunku dla człowieka.

⁵ De profundis clamavi – w tłumaczeniu na polski „z głębokości (głębin, otchłani...) wołałem do (wzywałem) Ciebie, Panie.

Aneks do akapitu pierwszego w części pierwszej „Dziecięcy bucik ...”

Ponad 10 lat po moim kazaniu dotarła do mnie w okresie adwentu 2015 roku dobra nowina ze wschodniej Polski: Krzysztof, którego bucik leżał przed 37 laty na drodze przy Łabuniu, którego znałem jedynie imię, ale nie adres, został odnaleziony za pomocą zdjęcia z roku 1979 z mojej książki. Mieszka z żoną i dwiema córkami nadal w okolicy Zamościa. Mam nadzieję, że w roku 2016 odwiedzę tę rodzinę.

W Internecie pod adresem www.gesichter-der-zwangsarbeit.de można odnaleźć fragmenty „Wewnętrznych obrazów, które pozostają na zawsze”, filmów opowiadających o robotnicach przymusowych „Gwiazda i jej cień”, jak również biografię z obrazami Edith Kiss.

Sukcesywnie będę tam informował o mojej dalszej pracy i planach na przyszłość. Chętnie odpowiem na pytania albo wskazówki do mojej pracy: helmuth.bauer@web.de

(Przełożyła: Katarzyna Gawor)

ERHARD BRÖDNER

Rysiek

Nie, Ryśka nie zapomniałem! W domu, w moim gabinecie umieściłem na ścianie, na prawo od biurka, ramkę ze zdjęciami z okresu dzieciństwa: jedno z ojcem i bratem, drugie z matką, babcią i prababcią (miałem wtedy niecałe dwa lata), późniejsze zdjęcia matki, dziadków (zarówno ze strony ojca jak i matki), własne w wieku dziesięciu i szesnastu lat, z pierwszej komunii świętej, z ogólniaka, zdjęcie lotnicze miasteczka, w którym wyrosłem, no i Ryśka, wtedy może trzynasto- lub czternastoletniego. Wspominałem go zawsze tak, jak się zazwyczaj po siedemdziesiątce wspomina młodość: przeszło, minęło. Niestety!

Ostatni raz widzieliśmy się w 1958 roku; przeszło pół wieku temu. Latem tego samego roku wyjechałem z rodziną do Niemiec, do zachodniego Berlina, gdzie oprócz rodziców matki, którym udało się rok wcześniej dostać zezwolenie na wyjazd, mieszkał jej brat z rodziną; ostatni krewni, którzy mi zostali po wojnie. Zezwolenie na wyjazd przyszło nagle. Najpierw odmowa, która mnie, szczerze mówiąc, nie tak bardzo bolała, bo mimo wielkiego pragnienia, aby zobaczyć kraj, z którego pochodzę, czułem się przecież w Polsce dobrze. Tu, wśród Polaków wyrosłem, chodziłem do szkoły, miałem przyjaciół i dziewczynę. Ale ponieważ obiecałem matce, że „coś z tą odmową zrobię”, zwróciłem się listownie – nie do komisji wojewódzkiej rozstrzygającej takie sprawy i nie do urzędowo najwyższej instancji w Polsce, Przewodniczącego Rady Państwa (którym wówczas był Aleksander Zawadzki), a do pierwszego sekretarza PZPR, do Władysława Gomułki. Że ten ostatni był *de jure* niekompetentny – było oczywiste i wiedziałem o tym dobrze, nie tylko jako student pierwszego roku wydziału prawa, ale to Gomułka był w rzeczywistości, choć z łaski sowieckiej i pod ścisłym sowieckim nadzorem, prawdziwym władcą, „namiestnikiem” Polski. Więc sprytnie sobie pomyślałem, że może on będzie czuł się pochwalebiony, jeśli ludzie się zwracają właśnie do niego. Więc jeśli nawet bez komentarza odeśle list do rozstrzygającego takie sprawy urzędu lub komisji, to oni otrzymają

ten list nie bezpośrednio od petenta, a za pośrednictwem samego „szczytu”, co w komunistycznym *absolutum dominium* mogło stanowić istotną różnicę. I tak się widocznie stało, nie pomyliłem się, a czułem się wprost jak Zagłoba, bo w krótkim czasie otrzymaliśmy wiadomość z biura „Pierwszego Sekretarza”, że podanie przesłano we „właściwe miejsce”, skąd wkrótce przyszło zezwolenie na krótkoterminowy wyjazd. Nie miałem niestety możliwości pojechać z Wrocławia, gdzie wtedy mieszkałem, do odległego około 100 km miasteczka, by pożegnać się z Ryśkiem. Również nie napisałem do niego, więc on o moim wyjeździe nic nie wiedział. Będąc już w zachodnim Berlinie, zachłystywałem się wolnością, od nowych wrażeń kręciło się w głowie; wolność słowa potwierdzał tu nawet zwykły narożny kiosk z gazetami, odzwierciedlającymi całe spektrum ideologii politycznych: od lewicy do krańcowej prawicy (tylko propagowanie hitleryzmu było zabronione). Również w obrębie uniwersytetu lub po prostu na ulicy, nikt nie oglądał się podejrzliwie, czy ktoś nie podsłuchuje. W przeciwieństwie do krajów „socjalistycznych”, tu nie było tej całej wymuszanej frazeologii marksistowskiej i beczelnie zakłamanej propagandy rządowej. Chciałem kontynuować studia, więc podjąłem starania, by uznano moją polską maturę. Musiałem zdać specjalny egzamin. Ryśkowi nadal nie dawałem znaku życia. A później po prostu wstydziłem się swojego milczenia. Z drugiej strony myślałem, że najlepiej będzie zapomnieć tę całą polską przeszłość i nie poddać się tęsknocie. Przecież „żelazna kurtyna” i tak uniemożliwiała normalne kontakty. Skoncentrowałem się więc na codzienności niemieckiej, do której w protestancko-chłodnym Berlinie trudno było mi przyzwyczaić się; chłopcu wychowanemu między Polakami w całkiem innej, serdeczniejszej, „cieplejszej” i katolickiej atmosferze. Pod tym względem czułem się o wiele lepiej właśnie w katolickiej Kolonii, dokąd przeniósłem się (ze względu na „kobietę mojego życia”) po trzech latach. Skończyłem studia, ożeniłem się z Niemką, pracowałem, zostałem ojcem syna, o którym mogę nawet z ojcowską dumą powiedzieć, że „mi się udał”, mam wnuczki. Czułem się więc w Niemczech, w Nadrenii, znów „w domu”.

Ale jakoś Polska, mój „kraj lat dziecińczych...”, nigdy mi z głowy i serca nie wyszła, co na stare lata jeszcze bardziej się spotęgowało. I tak zacząłem odwiedzać ją, co dzięki polskiemu samowyzwoleniu spod upadającego sowieckiego imperium było już możliwe bez żadnych przeszkód i ograniczeń. Polska była teraz wolnym krajem. Pojechałem najpierw z synem, by mu pokazać nie tylko okolice, gdzie wyrosłem, gdzie mieszkałem i gdzie i mieszkał Rysiek. Opowiadałem synowi, gdzie chodziłem do szkół, a później na uniwersytet. Pokazałem też Kraków jako wzór piękności i kultury kraju, który mimo upływu lat „odczuwałem” nadal także za *swój*. Później i żonie, i innym członkom rodziny, w kolejnych podróżach pokazałem Dolny Śląsk. Ale już podczas pierwszej podróży z synem, daremnie szukałem w książkach telefonicznych dawnych przyjaciół. Dopiero wiele lat później, błędząc po interne-

cie, wkliknąłem imię i nazwisko Ryśka. Wśród niewielu osób o tym nazwisku, rozrzuconych po całej Polsce, o różnych zawodach i reklamujących przede wszystkim swoje rzemieślnicze usługi, znalazł się ksiądz, jako proboszcz parafii z miejscowości sąsiedniej do tej, w której wyrosłem. Pomyślałem: śmieszny przypadek, bo nie mogłem sobie skojarzyć mojego przyjaciela ze stanem duchownym, choćby z racji jego wyglądu; chłopiec raczej średniego wzrostu, ciemnowłosy, o klasycznych rysach twarzy („grecki profil”), był tak dobrze wyglądający i przystojny, że panny „sznułem za nim latały”, co mu oczywiście bardzo schlebiało. Był przy tym wesoły, inteligentny, dowcipny, czytany, ale nigdy żadnych skłonności do stanu duchownego nie zdradzał. Matury swego czasu nie zrobił, zamiast do liceum poszedł do szkoły zawodowej, z wykształcenia był ślusarzem, kiedy widzieliśmy się ostatni raz, nie dostrzegłem w nim nic z robotnika. Lecz im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej wzrastało we mnie przekonanie, że może ten ksiądz to właśnie Rysiek? Cieszyłbym się, gdyby tak było, nawet byłbym dumny. Może zaszło coś, co go skłoniło, aby wstąpić do stanu duchownego? Dlaczego nie? Był przecież sumiennym i prawym katolikiem... Tak rozmyślając postanowiłem, że podczas zbliżającego się następnego pobytu w Polsce poproszę w hotelu o wyszukanie numeru telefonu, by zadzwonić. Wydało mi się, że to najprostszy sposób, aby dowiedzieć się: on, czy nie on? Równocześnie obawiałem się: co będzie, jeśli ten ksiądz jest naprawdę „moim” Ryśkiem? Czy po tylu latach spotkanie i wznowienie starej przyjaźni ma sens? A może on po prostu nie będzie chciał spotkać się ze mną? Możliwe, że ma żal do mnie, myślałem, bo przecież to ja nagle zniknąłem, nie dając znaku życia; *mea culpa, mea maxima culpa*. Ale też pocieszałem się tym, że jako ksiądz powinien znać choćby przypowieść o synu marnotrawnym i może przebaczyć... Coraz bardziej życzyłem sobie, żeby to był on i żeby nasza stara przyjaźń odnowiła się. Próbowałem wyobrazić sobie, jak może teraz wyglądać: pewnie siwy, ale nie łysy, z czarnymi brwiami, może z wąsami lub bródką, może z okularami, no i z pewnością nadal szczupły (od dzieciństwa odczuwałem niczym nieuzasadnioną, ale spowodowaną osobistym przeżyciem niechęć do grubych ludzi, tak mężczyzn, jak i kobiet). W duchu już „widziałem się” z księdzem, jak spacerujemy po parku, rozmawiamy, wspominamy dawne czasy i opowiadamy, co każdy z nas w długim czasie rozłąki robił i przeżył. Gorączkowo pragnąłem mieć pewność, ale z drugiej strony czegoś się obawiałem.

Zaraz po przyjeździe wyszukano mi w hotelu numer telefonu księdza i na drugi dzień rano zadzwoniłem. Na przyjemnie brzmiące: *slucham?* przedstawiłem się krótko i powiedziałem, że szukam przyjaciela z lat szkolnych w małym miasteczku uzdrowskim, z lat powojennych; przyjaciel nosi to samo imię i nazwisko co ksiądz.

Nie powiedziałem nic o wyglądzie Ryśka, również o tym, jak staliśmy się przyjaciółmi. A to było raczej niesamowite, bo z początku, jako malcy w drugiej klasie podstawówki, biliśmy się po szkole prawie codziennie.

Wtedy i bez tego miałem wielkie trudności w szkole, zwłaszcza językowe. Czytać i pisać umiałem, ale po niemiecku, pierwszy rok szkolny ukończyłem w niemieckiej szkole powszechnej. Cały 1945 i większą część 1946 roku siedziałem w domu, gdzie dziadek („po kądzieli”) wieczorami był moim nauczycielem. A gdy okazało się, że o wyjeździe, o wysiedleniu do Niemiec, nie było więcej mowy (władze polskie nie chciały wypuścić dziadka jako inżyniera, bardzo im potrzebnego), braliśmy z matką i z młodszym bratem lekcje języka polskiego u sąsiadki pochodzenia górnośląskiego. Niewiele się nauczyłem, bo to, co sąsiadka nazywała „polskim”, było śląską gwarą ludową, mieszaną z niemczyzną, co w niemieckim zwano „Wasserpölnisch”; słusznie zresztą (przynajmniej w jej przypadku), bo była to dla mnie jakby niemczyzna rozcieńczona językiem polskim. Gdy mnie matka zameldowała do drugiej klasy szkoły podstawowej – polskiej, bo niemieckiej nie było, prawie nic nie rozumiałem, zresztą i Niemców w miasteczku pozostała tylko maleńka garstka, starszych fachowców technicznych z rodzinami, ale prawie żadnych małych dzieci. Na szczęście nauczycielką była emerytowana, starsza już dama z Poznania, pani Baumbergerowa, która zlitowała się i po lekcjach krótko po niemiecku objaśniała mi, co mam robić. Myślę, że miała na mnie „czujne oko”, bo jako jedyny w klasie Niemiec, zaledwie półtora roku po wojnie, mogłem mieć „dobre szanse”, aby „odpokutować” choć trochę to, co niestety moi rodacy w latach strasznej, zbrodniczej okupacji w Polsce uczynili. Zostawiano mnie jednak w spokoju i nawet nienawistnego wyzwiska „szwab” prawie nie słyszałem. W klasie byłem niespodziewanie lubiany i uznawany. Po roku wybrano mnie nawet gospodarzem trzeciej klasy. Jednak w pierwszych tygodniach, po szkole, tę samą drogę, co ja przemierzał Rysiek. Szedł krok w krok za mną, nieustannie mnie wyzywając. Dzień po dniu! Zazwyczaj kończyło się to ciężką bijatyką. Raz tak ciężką, że rodzice zostali wezwani do szkoły. Ze strony Ryśka przyszedł jego ojciec, z mojej strony – matka. Na rozmowę zostaliśmy przywołani obaj po kilku minutach. Pani Baumbergerowa osiągnęła niebывały sukces! Rodzice podali sobie ręce, obiecując, że odpowiednio wpłyną na synów. Zwróciła się też do nas z iście chrześcijańskim kazaniem, a my również obaj podaliśmy sobie ręce, obiecując w przyszłości zachować pokój. Procedura ta, będąca w zasadzie chlebem powszednim dla każdego pedagoga, z zazwyczaj rzadko trwałymi skutkami, w tym wypadku sprawiła, że w krótkim czasie staliśmy się prawdziwymi przyjaciółmi. Rozmawialiśmy o lekturach (nie tylko szkolnych), często wyobrażaliśmy sobie wspólne przygody. Po lekturze Trylogii Sienkiewicza przez długi czas każdy miał swoją stałą rolę: Rysiek był Kmiciem (rola mu pasowała, bo był nim z charakteru), ja Zagłobą, a najczęściej towarzyszący nam Jędrzek, ze względu na nazwisko Królikiem zwany, był Wołodyjowskim, panem Michałem....

Ale nie opowiedziałem księdzu o tym wszystkim, o wspólnych rzeczach i wymarzonych przygodach i zabawach z lat szkolnych. Pamiętam,

jak pewnego razu na uroczyste zakończenie roku szkolnego w miejscowym Teatrze Zdrojowym, lekko spóźnieni, nie dostaliśmy już miejsca siedzącego, poprosiliśmy kontrolerkę, by nam otworzyła dawną łożę hrabiowską, służącą teraz wyłącznie miejscowemu sekretarzowi partii. Posługując się powszechną frazeologią komunistyczną argumentowaliśmy, że ten, jako „przedstawiciel i reprezentant klasy robotniczej”, nie zabroni zająć miejsca w łożu dzieciom. Po pięciu minutach siedzieliśmy tam, ku zdumieniu całej szkoły (włącznie z gronem nauczycielskim). Także o tym, że na przekór mojej mamie, Rysiek był mi wtedy o wiele bliższy od rodzzonego brata, a dla matki Ryśka, pani Marty, byłem, jak mawiała – drugim synem, ale o tym wszystkim nie chciałem teraz opowiadać. A może jednak powinienem? Może moje krótkie wywody, że kiedyś byłem kolegą szkolnym i najlepszym przyjacielem niejakiego Ryśka, noszącego to samo nazwisko, co ksiądz, i żyjącego wtedy w małym uzdrowisku karkonoskim, były zbyt lakoniczne, jak na spotkanie po przeszło pięćdziesięciu latach?

Ksiądz przerwał mi, prosząc o powtórzenie nazwiska i powiedział dobitnie: *nie przypominam sobie...*

Trzeba było tę rozmowę zakończyć. W pierwszym momencie odczułem to: „nie przypominam sobie” jak uderzenie w twarz. Ale powstrzymałem się od odłożenia słuchawki. Bo w tej sytuacji, w gruncie rzeczy już beznadziejnej, jednak nie dawałem za wygraną i jakby dając sobie i księdzu ostatnią szansę, wspomniałem, że razem z „moim” Ryśkiem byłem w 1956. roku jakiś czas w Zielonej Górze...

Wspomnienie przygody, prowadzącej do Zielonej Góry, mignęło mi żywcem przed oczami; było czymś, czego, jak myślałem, nie da się wyprzeć ani zapomnieć. Wtedy, po maturze zdanej we Wrocławiu, pojechałem do dziadków, mieszkających jeszcze w „rodzinnym” miasteczku w Kotlinie Jeleniogórskiej, gdzie spotykałem się codziennie z Ryśkiem. Rozmawialiśmy o tym, co będziemy robić w przyszłości, jak zaplanujemy przyszłe życie. I tu, z początkowo bezładnej gadaniny, że najlepiej byłoby „zwiąć za granicę”, rozwinął się realny plan, by tak uczynić. W naszych rozmowach uczestniczył też starszy od nas, prawie trzydziestoletni Henryk, od kilku miesięcy kumpel Ryśka, z bardzo barwną przeszłością. Jako podporucznik Wojsk Ochrony Pogranicza uciekł za granicę, służył we francuskiej Legii Cudzoziemskiej, po jakimś czasie i z niej zdezerterował. Wtedy powrócił do Polski, gdzie odpokutował wcześniejszą dezercję kilkuletnią karą więzienną. Henryk udzielał rad, co do przygotowań; co trzeba wziąć ze sobą na drogę, aż w końcu oświadczył: „pójdę z wami”. Może zaniechalibyśmy urzeczywistnienia tego planu, ale z „fachowcem” przy boku...?! Nic nikomu nie powiedzieliśmy, zamierzaliśmy zgłosić się dopiero z zachodniego Berlina. Dziadkowi powiedziałem, że z Ryśkiem jadę na kilka dni w góry, zaś Rysiek zwierzył się z tych planów macosze; obiecała milczenie i zaopatrzyła go na drogę w całą teczkę prowiantu.

Ponieważ Henryk oświadczył, że wzdłuż granicy z NRD ciągnie się około 30 km szeroka strefa kontrolowana przez WOP, nie znając tam nikogo i nie wiedząc, czy potrzebne są jakieś przepustki, pojechaliśmy pociągiem do Krosna Odrzańskiego, by stamtąd udać się pieszo do rzeki Nysy. Po jej przekroczeniu, zamierzaliśmy dostać się w ciągu dwóch, trzech nocy pieszo do Berlina zachodniego, nieotoczonego jeszcze wtedy murem. Przenocowaliśmy na twardych ławkach w krośnieńskiej poczekalni dworcowej i skoro świt udaliśmy się w drogę. Idąc ostrożnie polami i przede wszystkim lasami, dotarliśmy wieczorem do granicy. Ze skraju lasu mogliśmy lornetką obserwować w odległości kilkuset metrów linię wierzb, a przed nią drogę, którą od czasu do czasu przejeżdżał wojskowy jeep. Na niebie nie było ani jednej chmurki, a księżyc w pełni tak jasno wszystko oświetlał, że o przekradaniu się przez granicę nie mogło być mowy. A więc czekać do następnej nocy. Oddaliliśmy się od granicy i przespaliśmy się w stodole stojącej na skraju pobliskiej wsi. Wczesnym rankiem musieliśmy znowu skryć się w lesie, bo od strony wioski zbliżał się jakiś chłop. Odnaleźliśmy to miejsce, z którego w przeddzień obserwowaliśmy granicę, skryliśmy się w krzakach i oczekiwaliśmy nocy. I znowu to samo: żadnej chmurki, żadnej mgły nad rzeką i księżyc w pełni. Co robić? Czekać na zmianę pogody? Ale nie mieliśmy już żywności. Musieliśmy więc powziąć natychmiastową decyzję: albo spróbować szczęścia, albo zawrócić. Jednocześnie czuliśmy, że jeżeli zawrócimy, to drugiej takiej próby nie podejmiemy. Spojrzeliśmy po sobie i jednomyślnie zdecydowaliśmy: próbujemy. Przeczekaliśmy kolejną jazdę wojskowego jeepa i licząc na to, że teraz mamy około piętnastu minut czasu, przebiegliśmy schylieni przez łąkę, oddzielającą las od przygranicznej drogi. Za drogą wpadliśmy w gęstwinę krzaków. Dwie, trzy minuty staliśmy bez ruchu, wstrzymując oddech, a gdy nic nie było słychać, posunęliśmy się cicho dalej, aż po kilku metrach trafiliśmy na płot z drutu kolczastego. Teraz musieliśmy się przedostać przez ten płot; dwóch rozciągało z całych sił druty, a trzeci się przeciskał. Henryk ostrzegał szeptem, że blisko płotu, bardzo nisko w trawie, prawie niewidocznie, mogą być umieszczone druty wywołujące alarm. W tym momencie usłyszeliśmy ciche głosy i dostrzegliśmy dwa małe czerwone punkciki – żar papierosów. Rzuciliśmy się na ziemię, a jeden z nas musiał przy tym nieszczęśliwie poruszyć właśnie taki drut alarmowy. Na prawo i na lewo, i niewiele później także na drugim brzegu Nysy, wystrzeliły jasnobiałe rakiety. A więc w oka mgnienia z powrotem przez płot. Ci dwaj żołnierze, których słyszeliśmy, krzyczeli teraz: „Ręce w górę i wychodzić!”. Przekradając się prawie bezszelestnie przez krzaki, zobaczyłem na drodze przede mną, w odległości najwyżej dwóch metrów, w pełnym blasku księżyca żołnierza z karabinem wymierzonym w moją stronę. Ale stojąc w głębokim cieniu, byłem dla niego niewidoczny. Z lewej strony słychać było szamotaninę i okrzyk „mam go”, na co przede mną stojący żołnierz pobiegł w tamtą stronę. Nie widząc nikogo na drodze, przeskoczyłem ją w dwóch

susach i schylony pobiegłem do pobliskiego płytkiego rowu, przecinającego na ukos łąkę i schylony oddaliłem się jak najszybciej. Rów prowadził także do lasu, ale w dość dużej odległości od miejsca, z którego kilka minut temu wyszliśmy. Na skraju lasu, stanąłem między drzewami i obróciłem się. Na przygranicznej drodze stało około pół tuzina samochodów wojskowych, słysząc było rozkazy. Pobiegłem dalej, a gdy już nie miałem sił, szedłem już mniej energicznym krokiem. Po jakimś czasie znalazłem się na szerszej leśnej drodze, która prowadziła wprost do śpiącej jeszcze wioski. Przejść czy obejść? Po chwili namysłu zdecydowałem się na przejście. Gdy już minąłem kilka domów, nagle usłyszałem za sobą kroki i głos: „Też do pociągu?” Potwierdziłem, obróciłem się i ze słowami. „Cholera, zapomniałem...” pobiegłem z powrotem. Nieznajomy wołał jeszcze, żebym się pospieszył, a ja za zakrętem wbiegłem na małą dróżkę między dwoma domami i znów znalazłem się w lesie. Obszedłem teraz szerokim łukiem wioskę i trafiłem na tory kolejowe. Szedłem wzdłuż torów, ale nie po torach. Zrobiło się w międzyczasie jasno, zaczęło wschodzić słońce. Nagle zobaczyłem przed sobą postać idącą w tym samym kierunku. Sekunda strachu, a potem radość: to Rysiek. Ucieszyliśmy się bardzo. Rysiek twierdził, że „podporucznik” został schwytany, ale we własnym interesie będzie mówił, że granicę przekraczał sam. Dla nas dwóch rozdział pod tytułem „Ucieczka za granicę” definitywnie skończył się. Maszerowaliśmy do południa, aż byliśmy pewni, że wyszliśmy już ze sfery przygranicznej. Nie kryjąc się, szliśmy teraz drogą i stanęliśmy nagle oko w oko przed dwoma żołnierzami. Pokazaliśmy nasze dowody osobiste i już chcieliśmy iść dalej, gdy nagle jeden z nich zapytał: „A skąd i dokąd idziecie?” Ponieważ obaj nie mieliśmy zielonego pojęcia, gdzieśmy się znajdowali, zaczęliśmy kręcić, bredzić, wzbudzając tym samym podejrzenie i zostaliśmy aresztowani.

Przy pierwszym, jeszcze wspólnym i nieformalnym przesłuchaniu w najbliższym posterunku WOP-u, dokąd zostaliśmy przewiezieni, traktowano nas bez wrogości, raczej z pobłażliwym zaciekawieniem. Dowiedzieliśmy się, że zostaliśmy przypadkowo schwytani, bo – jak Rysiek słusznie przypuszczał – Henryk twierdził, iż był sam. My na pytanie, dlaczego chcieliśmy uciec, odpowiadaliśmy: „żeby poznać świat”.

Przewieziono nas dalej, teraz już rozdzielonych, do Krosna Odrzańskiego, do wielkiego kilkupiętrowego kwadratowego bloku z wewnętrznym obszernym podwórkiem, otoczonym z wszystkich stron ścianami. Był to budynek UB (groźnego Urzędu Bezpieczeństwa). Umieszczono nas w oddzielnych celach, znajdujących się w piwnicy budynku. Po kilku godzinach zaprowadzono mnie na górę, na oddzielne przesłuchanie. W małym pokoiku na pierwszym piętrze oczekiwał na mnie jakiś oficer, któremu powiedziałem to samo, co przedtem na posterunku WOP-u, że chcieliśmy poznać świat. A na pytania, cośmy robili podczas „wypadków czerwcowych” (tak władze PRL-u nazywały antykomunistyczne powstanie robotnicze w Poznaniu

w ostatnich dniach czerwca 1956 r.), odpowiedziałem krótkim „nie”. I gdy przesłuchujący mnie mówił o wyższości systemu socjalistycznego, pytałem w duchu sam siebie, czy ten ubek, nie wyglądający przecież na durnia, wierzy w to, co mówi? Zaprowadzono mnie potem do celi, mającej wymiary najwyższej 4m x 4m, z murowanym szerokim „dwuosobowym” legowiskiem z materacem i kocem, naprzeciw drzwi, naturalnie z małym judaszem. W jednym rogu była toaletka i umywalka, w drugim mały stolik z dwoma zydłami.

W następnych dniach byłem przesłuchiwany raz po raz, zawsze te same pytania, zawsze te same odpowiedzi. Bodaj przy drugim przesłuchaniu poskarżyłem się oficerowi, że tam na dole zanudzę się na śmierć, a obiecaną książkę, którą miałem według regulaminu więziennego dostać i która miała wystarczyć na cały tydzień, przeczytam w trzy, cztery godziny. Zapytałem, czy nie mógłbym dostać od czasu do czasu starej „Prawdy”, którą na pewno ktoś w budynku czyta, mógłbym przecież w ten sposób ćwiczyć się w rosyjskim. I widocznie nawet ubecy ze względów politycznych nie mogli odmówić takiej prośbie lub złośliwie pomyśleli sobie, że i lekturą „Prawdy” też można zanudzić człowieka na śmierć. Ale ważne, że ją otrzymałem. Dzień mijał za dniem, przesłuchania prawie ustały. Codziennie byłem wyprowadzany na półgodzinny spacer po dziedzińcu, zawsze sam. Oznaczało to, jak sobie wyliczyłem, że liczba delikwentów w tym budynku nie mogła być wielka, najwyżej około 30 osób. Po dwóch, trzech tygodniach, do celi wprowadzono młodego mężczyznę, mniejszego wzrostem, ale silniej zbudowanego. Przedstawiliśmy się i baczylem na to, by nie powiedzieć czegoś, co byłoby sprzeczne z zeznaniami przed oficerem śledczym. Ostrożność była w gruncie rzeczy zbyteczna, bo przybysz okazał się takim tępakiem, na jakiego wyglądał. Nie, przepraszam, Władek nie był tępy, był po prostu ciężki (nie gruby!) i powolny: w kościach, w ruchach, jak i...w myśleniu. Rozmawiać z nim nie było o czym, ale umiał grać w warcaby, więc narysowaliśmy na stoliku szachownicę, biorąc jako pionki odkręcone guziki od bielizny. Triki Władka prędko przejrzałem, ale by utrzymać przybysza w dobrym humorze, dałem mu od czasu do czasu wygrać. Mieliśmy teraz dwie książki w tygodniu do dyspozycji, a gdy widziałem, że Władek nie zdąży jej przeczytać oraz jaką mękę mu to sprawia, zaproponowałem, że będę czytał na głos. Gdy Władek czegoś nie rozumiał, objaśniałem tak, że czytanie było często przerywane krótkimi wykładami.

Minęło około siedmiu tygodni. Odbył się jeszcze jedno przesłuchanie, po którym oświadczono mi, że zostanę przewieziony do więzienia w Zielonej Górze, gdzie odbędzie się proces. W karetce, do której mnie zaprowadzono, siedzieli już Rysiek i Henryk, od owej pamiętnej nocy byliśmy pierwszy raz razem. Po serdecznym powitaniu stwierdziliśmy, że nasze przeżycia w budynku UB nie różniły się bardzo, tylko Henryk był przesłuchiwany bardziej wnikliwie.

W Zielonej Górze poznaliśmy prawdziwe życie więzienne, byliśmy w typowym „pierdlu”. Nasza trójka została znów rozdzielona. Ryśka i mnie wsa-

dzono osobno do jednej z cel „młodzieżowych”, tzn., że żaden z oczekujących na swój proces nie przekroczył dwudziestki. W celi, do której mnie zaprowadzono, dość szybko zaprzyjaźniłem się z wszystkimi. Odpowiadając na pytania, za co siedzę, dowiedziałem się, że w żargonie więziennym nazywa się to: „za miedzę”. A moi „współtowarzysze”, z którymi byłem już za pan brat, siedzieli za chuligaństwo, bijatyki, drobne kradzieże, a jeden z nich, listonosz, za to, że nie mając ochoty roznosić listów przy pięknej pogodzie, zakopywał je w lesie. W celi, która zawierała cztery piętrowe łóżka, stół dla ośmiu, małą umywalkę, wiadro z wodą i kibel, służący do załatwiania się *coram publico*, śmierdziało, ale atmosfera międzyludzka była dobra. I znowu ta straszna nuda, przerywana tylko lekcjami udzielanymi więźniom przez starego nauczyciela. Rysiek został pomocnikiem porządkowego, z czego i nasza cela odniosła korzyść, bo raz dostaliśmy wieczorem resztki zupy.

W połowie grudnia, a więc po prawie czterech miesiącach, otrzymałem wiadomość, że nazajutrz odbędzie się rozprawa sądowa. Cała cela pocieszała mnie przyjaźnie, obiecano trzymać kciuki, a dwaj najpobożniejsi, którzy zawsze odmawiali swe modlitwy wieczorne klęcząc, zapowiedzieli modlić się za mnie; pełniący rolę „starszego” w celi, położył mi wieczorem papierosy z poradą: „zapal, jeśli nie możesz zasnąć”.

Następnego dnia, gdyśmy wszyscy trzej, odziani teraz we własne rzeczy, czekali w korytarzu sądowym na rozpoczęcie rozprawy, podszedł do nas starszy pan, przedstawił się jako ławnik i życzliwie zapytał Ryśka i mnie: co będziecie robić dalej? Zapewniał jednocześnie, że ja mogę kontynuować studia na Politechnice Wrocławskiej. Ja nie miałem nigdy żadnych zdolności technicznych i nie byłem w ogóle studentem, ale nie zaprzeczyłem. Wręcz przeciwnie, podziękowałem grzecznie, biorąc te słowa za dobry omen!

W sali sądowej nie było żadnych widzów. Sędzią była kobieta tak bliźniaczo podobna do Tomiry, mojej kochanej sąsiadki, że Rysiek szepnął: „to musi być dobry znak”. Pani sędzia, bawiąc się zwisającym na piersi orłem, zwróciła się najpierw do mnie, następnie do Ryśka i wymieniając po cichu kilka słów z ławnikiem, potakiwała głową. Wszystko to trwało nie więcej niż pół godziny. Gdy sąd udał się na naradę, nawet wachmistrz sądowy powiedział nam, że wygląda to dobrze i możemy liczyć na pozytywny dla nas wyrok. I tak się stało. Rysiek i ja otrzymaliśmy po pół roku więzienia z zawieszeniem kary na dwa lata, do tego pani sędzia życzyła nam wszystkiego najlepszego. A Henrykowi objaśniła, dlaczego on musiał otrzymać dłuższą karę i to bez zawieszenia.

Jeszcze w sądzie pożegnaliśmy się z Henrykiem. Przewieziono nas do więzienia, gdzie odebraliśmy nasze prywatne rzeczy. Opuściliśmy w tym samym dniu Zieloną Górę jako wolni i zaprzysięgliśmy sobie, że do tego miasta nigdy nie powrócimy!

Na wspomnienie Zielonej Góry, i tu się także w żadne szczegóły nie wdawałem, mówiąc tylko krótko o wspólnym pobycie, ksiądz odpowiedział:

w Zielonej Górze nigdy nie mieszkałem.... A po krótkiej przerwie dodał jeszcze: *to przypadkowa zbieżność nazwisk...*, a na moje chłodne z rozczarowania i smutku „no, to przepraszam”, użył jakiejś pożegnalnej frazy, omijając (znacząco?) słowa „do widzenia” lub „do usłyszenia”.

On, nie on? Czy po moich wstępnych słowach ksiądz tylko celowo nie zaprzeczył, że w tamtym i w tamtym miasteczku wyrósł? Byłem i jestem stuprocentowo pewny, że w tej miejscowości (tylko z dwiema podstawówkami, z ogólniakiem i zawodówką) nie było wtedy drugiego ucznia o takim imieniu i nazwisku. Ale wszystkie te rozważania nie mają najmniejszego znaczenia, bo tak czy owak – przyjaciela nie odnalazłem.

W sierpniu 2011 r.

MARIA BRYSCH

Z Polski do Niemiec...

*Przeżywanie różnych rzeczywistości –
jest jakby tworzeniem przez artystę
na nowo wyrzeźbionego dzieła.
Coś się traci – coś się wygrywa*

(Hilde Domin)

Przedśłowie

W kwietniu 2016 roku uczestniczyłam w polsko-niemieckim spotkaniu biograficznym w Pułtusk. Celem konferencji była wymiana doświadczeń związanych z polsko-niemiecką przeszłością.

W roku szkolnym 1996/1997, będąc w klasie maturalnej, brałam udział w wymianie szkolnej mojego gimnazjum Reismanna z Paderborn z Liceum św. Augustyna w Warszawie, której inicjatorami byli p. Karol Czejarek – nauczyciel języka niemieckiego, obecnie profesor nadzwyczajny Akademii Humanistycznej w Pułtusk oraz ks. Josef Kröger. Arcyciekawa biografia „polsko-niemiecka” pana Czejarka znajduje się w t. I biografii pt. „Historia pamięcią pisana” (Pułtusk 2014), natomiast p. Kröger opisuje swoje refleksje z wymiany wspomnianych szkół, z perspektywy jej dziesięcioletniej historii. Warto po te wspomnienia sięgnąć!

Dwadzieścia lat później – zupełnie przypadkowo – trafiłam przez mojego nauczyciela akademickiego – pana Waltera Hungera – który również uczestniczył wtedy w wymianie młodzieży (i opisał ją we wspomnianym tomie) na nazwisko pana Czejarka, jako organizatora konferencji w Pułtusk. Postanowiłam go odszukać i poprosić, abym i ja otrzymała zaproszenie na tę konferencję. Moja prośba została spełniona (za co dziś prof. Czejarkowi bardzo dziękuję). Zresztą pan Hunger był także na jednej z wcześniejszych konferencji „biograficznych” w Gödelitz, gdzie na przemian z Pułtuskim od wielu lat regularnie odbywają się te spotkania, organizowane przez stowarzyszenie ost-west-forum Gut Gödelitz i Akademię Humanistyczną im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusk.

Ślązaczka

Jako Ślązaczka, przyszedłam na świat 11 marca 1978 roku w Bytomiu, na Górnym Śląsku. Moje pierwsze dziesięć lat życia spędziłam w pobliskim Radzionkowie.

Jestem czwartym dzieckiem Elfriede Brysch (z domu Sucker) i Josefa Bryscha (w Polsce to nazwisko pisało się: Bryś).

Moja mama miała 43, a ojciec 52 lata, kiedy urodziłam się ja. Siostra Teresa jest o 23 lata starsza ode mnie, a druga siostra – Urszula – o 22 lata. Brat Arnold – o 14 lat.

Najstarsi siostrzeńcy i siostrzenice są prawie w tym samym wieku, co ja, lecz ta duża różnica wieku wydawała mi się normalna.

Dorastałam wraz z bratem pod opieką rodziców, gdyż siostry wyprowadziły się z domu wcześniej.

Mieszkaliśmy w bloku na czwartym piętrze, przy ul. Tysiąclecia 12. Te bloki zostały wybudowane w latach sześćdziesiątych ub. wieku i były przeznaczone dla robotników z kopalni. W tym miejscu, zanim je wybudowano, rósł piękny las. Był on miejscem moich częstych spacerów z ojcem. Kiedyś, jeszcze przed drugą wojną światową, przebiegała w nim granica pomiędzy Polską a Niemcami. Ja urodziłam się po polskiej stronie tej granicy, co dla mnie wówczas nie miało większego znaczenia; o konfliktach, które dzieliły mieszkańców po jej obydwu stronach dowiedziałam się później.

Język

Moja mama często wspominała, że zaczęłam mówić bardzo wcześnie. Obok takich słów, jak „tata”, „mama”, znalazły się też takie, jak „dziółcha”, „szrank”, „gelynder”, „beitel”, „antryj” i inne. Mówiliśmy wszyscy po śląsku. Kiedyś wyszukałyśmy z mamą aż 20 różnych śląskich nazw na określenie czerwonej kapusty. Czy „śląski” ma swoje korzenie w niemieckim, czy w polskim? – na to jest bardzo wiele „teorii”. Moim zdaniem – tę gwarę da się porównać z dialektem „dolno-”, i „wysokoniemieckim”. Każde, nawet najmniejsze miasteczko ma na „Ślonsku” swoje własne słownictwo. W różnych książkach można na ten temat znaleźć ciekawe artykuły, do których warto zajrzeć. Ojciec np. mówił po „cidrowsku”; jest to odmiana gwary śląskiej, do dziś używana w okolicach Radzionkowa. Mama znów mówiła inną odmianą śląskiego. Tą gwarą mówimy „w domu”, w Niemczech do dziś. W naszym bloku, w Polsce mieszkaly 32 rodziny śląskie, z których każda mówiła nieco innym narzeczem; tylko jedna rodzina była „prawdziwie” polska, w niej miałam serdeczną przyjaciółkę, z którą rozmawiałam tylko „po polsku”.

Dlaczego nigdy w Polsce nie uczyłam się prawdziwego języka niemieckiego (Hochdeutsch)? Bo mówienie w tym języku po wojnie było zabronione na Górnym i Dolnym Śląsku! „Po niemiecku” w rodzinach rozma-

wiano wyłącznie w domu, za „zamkniętymi drzwiami”, by nikt nie słyszał! Gdy moje rodzeństwo było małe, w domu mówiło się „po śląsku” (czyli w ich mniemaniu „po polsku”, bo matka bała się, że dzieci „na ulicy” mogą się wygadać. A gdy kiedyś ojciec słuchał niemieckiego radia, powiedział, że mam o tym nikomu nie mówić. Niedawno dowiedziałam się, że moja siostra Teresa chciała nauczyć się niemieckiego, ale na Śląsku nie było wówczas takiego kursu.

Językiem oficjalnym na Śląsku był polski. Dzieci, które mówiły tylko śląską gwarą były w szkole szykanowane, a ich rodziców wołano do szkół na tzw. rozmowy z dyrekcją. Moja siostra, która została w Polsce, rozmawiała ze swoimi dziećmi wyłącznie po polsku.

Jednak nie sam język odróżniał Ślązaków od Polaków. Np. różnie obchodzono Święta Bożego Narodzenia. Ślązacy uwielbiają wigilijne makówki (specjalnie przyrządzany deser z makiem). Można powiedzieć, że każda śląska rodzina szanuje swoje własne tradycje, do których podchodzi ze szczególnym pietyzmem od wieków.

Czas szkolny

W roku 1985, gdy pierwszy raz poszłam do szkoły, mama niespodziewanie dostała wizę, pozwalającą nam na odwiedzenie mojej babci w Niemczech. Więc po zaledwie kilku dniach pobytu w szkole, pojechaliśmy z mamą na cztery tygodnie do niej. I wtedy po raz pierwszy usłyszałam wokół siebie prawdziwy niemiecki (którego w ogóle nie rozumiałam). Sam wyjazd nie utkwiał mi tak w pamięci, jak te srogie kontrole na granicy, zwłaszcza między NRD a Republiką Federalną Niemiec. Podczas naszego pobytu babcia bardzo namawiała mamę, aby pozostała w Niemczech. Jednak wróciliśmy, ale sam pomysł emigracji pozostał. Właśnie w roku 1985 bardzo dużo rodzin śląskich wyjeżdżało do Niemiec. Było to widoczne w mojej klasie szkolnej; na początku było nas 38, po jakimś czasie już tylko 17.

Trzy lata później razem z mamą ponownie pojechaliśmy do Niemiec, a trzy miesiące później dołączył do nas mój ojciec i reszta rodziny. Tylko kuzyn ze strony matki i moja siostra pozostali w Polsce.

Pamiętam, że do Paderborn dotarliśmy w niedzielę 28 sierpnia 1988 roku. A już następnego dnia zostałam zapisana do szkoły. We wtorek siedziałam w szkole na lekcji. Była to szkoła z internatem dla polskich i rosyjskich dzieci niemieckiego pochodzenia. Niektórzy nauczyciele byli też emigrantami z Polski. Próbowano mnie namawiać, abym poszła od razu do niemieckiej szkoły, ale na to nie odważyłam się. Dość szybko zaprzyjaźniłam się z innymi uczniami i tu poznałam jedną z najlepszych nauczycielek.

Do tej szkoły, gdzie intensywnie uczyłam się niemieckiego, uczęszczałam dwa lata. W czasie przerw rozmawialiśmy „po naszemu”. Stamtąd niemal wszyscy zostali wysłani do Hauptschule, w Niemczech – szkoła najniższego

stopnia, choć ja chciałam od razu dostać się do gimnazjum. „Realschule” było kompromisem i dopiero po 10 klasie osiągnęłam swój cel.

W „Realschule” doznałam „szoku kulturalnego”, bo jako jedyna w klasie nie byłam Niemką.

Po maturze studiowałam krótko chemię, potem literaturę niemiecką, nauki medialne i pedagogikę. Zdobyłam tytuł „magistra”, choć wtedy jeszcze nie myślałam, że w przyszłości będę zarabiała na życie, ucząc innych języka niemieckiego.

Rodzina

Moją babcię – Brigitte Sucker – początkowo pamiętałam tylko z tego, że do Polski przysyłała nam paczki z Niemiec. Z żywnością, np. kakao; czasami też z odzieżą, różnymi owocami czy innymi słodyczami niedostępnymi wtedy w Polsce.

Babcia postanowiła wyemigrować, mając 69 lat. Jej powody wyjazdu są mi nieznane. Wyjechała pomimo dużej rodziny po polskiej stronie i... żelaznej kurtyny. Ale miała prawo, bo była Niemką. Moja rodzina pochodzi z Gliwic, Ciochowic i Toszka. Mama nauczyła się polskiego w wieku 10 lat. Wcześniej rozmawiała w domu i w szkole tylko po niemiecku.

Po wojnie babcia została sama z ośmiorgiem dzieci (i znów była wtedy w zaawansowanej ciąży), ponieważ dziadek Franz Sucker – jako Niemiec – został deportowany do Rosji i już nigdy stamtąd nie powrócił. Wujek Wilhelm zmarł, mając zaledwie dziewięć lat, jeszcze przed deportacją dziadka. Babci udało się wychować zdrowo wszystkie dzieci, które później założyły nowe rodziny i prowadziły szczęśliwe życie.

W 1981 roku babcia wyemigrowała do Paderborn, pod pretekstem wyjazdu do sanatorium. Powodem wybrania Paderborn mógł być też fakt, że mieszkała tam jej kuzynka. W kilka lat później, jej dorosłe już dzieci, dołączyły do niej. Choć w Polsce niechętnie wydawano zgodę na takie wyjazdy, a oprócz tego trzeba było mieć wizę. W Niemczech wszyscy na nowo musieli się uczyć języka, by się zakorzenić.

Imiona

Są one wizytówką pochodzenia. Maria, Katarzyna – to imiona „międzynarodowe”, które wszędzie są traktowane „normalnie”. To był jeden z powodów – jak wiem – nadania mi takiego imienia przez mamę, jak również nadania imion moim siostram: Teresa, Urszula. Inaczej było z moim bratem, ponieważ ojciec postawił na swoim i tak został on – Arnoldem, czego nie chciały początkowo akceptować polskie władze. Mojemu kuzynowi też nie zaakceptowano imienia Reinhard, dlatego w papierach pozostawiono mu imię dziadka. Choć wszyscy i tak wołaliśmy na niego Reinhard.

Rodzeństwo mojej mamy ma, m.in. następujące imiona: Edeltraut, Christa, Heinz, Heinrich; w najmłodszej generacji rodzinnej są m.in. imiona takie, jak: Radosław, Agata, Lenox, Ryan, Ares, Justin, Kevin, Santino, Rocco i Jona.

Do wyjaśnienia pozostała jeszcze kwestia mojego nazwiska. W przedwojennych i powojennych dokumentach znajdują się różne jego odmiany: Bries, Briesch, Bryś. W rejonie, w którym obecnie mieszkam, nazwisko Bryś było bardzo popularne. Mój ojciec opowiadał mi, że nasi przodkowie pochodzili ze Strassburga i nazwisko nasze ma prawdopodobnie pochodzenie francuskie. Faktem jest, że moje nazwisko jest połączeniem spolszczenia „y” i zniemczenia „sch”.

Podróże

Są one częścią mojego życia.

Podróżuję od lat, aby odwiedzać coś znanego, albo poznawać nowe miejsca. Co najmniej dwa, trzy razy w roku odwiedzam Polskę. Gdy byłam w klasie maturalnej brałam nawet pod uwagę studiowanie w Polsce, ale przez różne zawirowania życiowe do tego nie doszło. M.in. dlatego, że nie wiedziałam wówczas, że mam też polskie obywatelstwo. Zamiast pełnych studiów, odbyłam tylko praktykę w moim ulubionym mieście – Krakowie.

Oprócz Polski odwiedziłam też inne kraje w Europie i na świecie. Np. jestem bardzo dumna z praktyki dla niemieckiej ambasady w Ułan Bator we współpracy z Instytutem Goethego w Pekinie. Byłam też m.in. w Wietnamie, dzięki zawartym znajomościom z Wietnamczykami w Polsce i w Niemczech. Dzięki przyjaźni ze swoją uczennicą, którą uczyłam niemieckiego, zwiedziłam też Kenię. W Kenii byłam na jej ślubie z Niemcem.

Dzięki tym podróżom poznałam „kawał świata”. Gdy byłam w Mongolii martwiono się, co ja tam będę jeść. Tymczasem kuchnia mongolska jest znakomita. A co najciekawsze – można tam było kupić wiele polskich towarów.

Przed dwoma laty byłam przez cztery miesiące nauczycielką niemieckiego w hiszpańskiej Murcji.

... i jeszcze coś pomiędzy...

Mam na myśli sytuacje w życiu, w których można spotkać znajome osoby w całkowicie obcym miejscu. Odczuwa się wtedy moment dużego zdziwienia; uczucie przeciwstawne do kulturowego szoku. Np. w Pułtusku spotkałam nie tylko prof. Czejarka, z którym nie widziałam się 20 lat, ale na konferencji siedziałam obok kobiety z Paderborn i okazało się, że jest ona spokrewniona z moją koleżanką z pracy, o czym wcześniej nie wiedziałam.

W Bielefeld spotkałam kiedyś osobę, z którą miałam wspólnych znajomych żyjących w Mongolii! Tak samo, będąc w Wietnamie, spotkałam w Sajgonie Niemca, z którym wcześniej urwał się kontakt w Hanoi. Moja

nowa sąsiadka była spokrewniona z moją rodziną, o czym wcześniej też nie wiedziałam. Kiedyś, będąc w Bytomiu, zobaczyłam nagle w sklepie muzycznym znajomego z mojej klasy z Paderborn. Nie wiedziałam, że pochodzi z mojego rodzinnego miasta.

Mój dzisiejszy zawód

Uczę niemieckiego dorosłych, którzy do Niemiec wyemigrowali lub chcą tu studiować. Choć nigdy nie myślałam o tym, że będę nauczycielką. „Kimkolwiek”, tylko nie nauczycielem! A jednak życie potoczyło się tak, jak się potoczyło.

O wszystkim zadecydował mój pobyt na kursie w Soest, gdzie poszukiwano nauczycielki i ja się tam zgłosiłam. Zaangażowała mnie Pani z ...Warszawy, mieszkająca w Niemczech. Potwierdziła się stara zasada, że „przypadki chodzą po ludziach”...

(Przełożył: Karol Czejarek)

ANDREAS H. BUCHWALD

Wpływ Polski na moje życie

W marcu 1957 roku przyszedłem na świat w Lipsku. Dorastałem w małej wsi, która dwadzieścia lat później zniknęła z map. Owa wieś znajdowała się mniej więcej w środku największego zagłębia węgla brunatnego ówczesnej NRD, w tzw. „Lipskim zagłębiu”, a miejscowość, w której wzrastałem nazywała się Piegel. Tylko na bardzo starych mapach da się tę nazwę jeszcze odnaleźć.

Moje dzieciństwo było związane z przemocą. Jako najstarszy z czworga rodzeństwa – dwojga braci i siostry – obrywałem od rodziców – dosłownie – za wszystko. Bili mnie głównie za niedopilnowanie któregoś z braci lub siostry; uczynili mnie bowiem głównym odpowiedzialnym za każdy ich wybryk. Karę wymierzano wierzbową różgą, po której często pozostawały rany i długo bolące miejsca. W dodatku ojciec mój bił, gdzie popadło, a był bardzo silny. I nie ukrywam, że okrutnie baliśmy się go, gdyż był bardzo porywczy i byle co wyprowadzało go z równowagi.

Dostawałem też lanie od starszych chłopców ze wsi i przyznam, że byłem nawet dumny, że jako „młody” wielokrotnie odgryzałem się im.

To „bicie” przechodziło jakby z pokolenia na pokolenie. Nie zdając sobie sprawy z mechanizmu przemocy, przekazywaliśmy kopniaki i różnego rodzaju „gwałty” dalej, młodszym od siebie i – naturalnie – zwierzętom.

Moi rodzice byli uchodźcami ze Śląska i szczęśliwie wylądowali w Saksonii. Ojciec pochodził z Miłosławic (d. Schwertfelde), a matka – z Ubocza (d. Schosdorf), niedaleko Lubania (Lauban).

Oboje byli bardzo gorącymi wyznawcami luteranizmu, a myśmy – jako dzieci – musieli intensywnie praktykować ich wiarę. Nie pytano nas, czy wyrażamy na to zgodę. Byli „staroluteranami” i należeli do gminy religijnej, która na Śląsk przywędrowała w XVI wieku, choć wielu, zwłaszcza migrantów z Prus była protestantami. Nie uznawali oni – mimo unii pomiędzy religiami – luteranów. Na tym tle dochodziło do częstych konfliktów, zwłaszcza w czasie różnego rodzaju świąt religijnych. Moi rodzice

bezwzględnie przestrzegali tradycji, a ja rosłem w cieniu „owej” surowej pobożności i przyzwyczaiłem się, że każde jej łamanie kończyło się ciężkim laniem. Zwłaszcza przy wybrzydzeniu, gdy jakaś tradycyjna potrawa, nam nie smakowała. A gdy nie chcieliśmy się podporządkować „staroluterańskiej tradycji”, ciągle grożono nam piekłem. Nie pozwalano też bawić się z dziećmi innego wyznania, niż nasze. A w szczególności z katolikami, ateistami, nawet z protestantami.

Ja tymczasem brałem życie tak, jak mnie się podobało, a do surowych kar ojca przyzwyczaiłem się, „jak człowiek do lata, czy zimy”. Starałem się wypełniać oczekiwania rodziców, także w tym, że po lekcjach w szkole musiałem ciężko pracować w „gospodarstwie”, np. pomagając ojcu w stajni, zwłaszcza w oporządzaniu krów, które hodował.

Ale gdy tylko nauczyłem się czytać, porwał mnie tajemniczy świat książek. I odtąd na urodziny czy święta życzyłem sobie w prezencie niemal wyłącznie książki. Wspierała mnie w tym moja babcia ze strony ojca, która była prawdziwym mołem książkowym, może dlatego, iż po wypadku w wieku lat dwudziestu ogłuchła i nie brała większego udziału w rozmowach rodzinnych. Od niej dostałem w prezencie wiele książek i to nie byle jakich, bo takich autorów, jak Daniel Defoe, James F. Cooper, Jules Verne, Robert L. Stevenson i inne.

Pierwszą polską książką, którą „połknąłem” (oczywiście w niemieckim tłumaczeniu), mając wtedy czternaście lat, była powieść Jana Dobraczyńskiego *Jeremia (Wybrańcy gwiazd)*, a zaraz po niej *Quo vadis?* Henryka Sienkiewicza. Obie powieści można było czytać w ówczesnym NRD w niezłych przekładach. Szczególnie przypadła mi do gustu proza Sienkiewicza i przeczytałem chyba wszystko, co było wtedy osiągalne.

„Krzyżaków” odkryłem w pewnym lipskim antykwariacie i byłem poruszony ich nieprawościami wobec Polaków i ...szczerze życzyłem im przegranej w bitwie pod Grunwaldem. W kontekście Krzyżaków już wówczas osądzałem Niemców jako naród, który Polakom uczynił wiele złego.

Takie przekonanie związane było z tym, że mój ojciec, jak i moja matka opowiadali tylko złe rzeczy o wojnie i przeklętej Rzeszy Hitlera, podkreślając w sposób szczególny straszne zachowania Niemców wobec Polaków.

Według mojego ojca, Hitler był antychrystem, który przyszedł, jak przepowiadał św. Jan w Nowym Testamencie, by zniszczyć świat. Oboje rodzice wychowali się na Śląsku w pobliżu byłej granicy z Polską, mieli więc wśród Polaków dużo koleżanek i kolegów oraz przyjaciół (nawet z rodzin szlacheckich), z którymi doskonale się rozumieli.

Także w czasie wojny przyjaźnili się nadal z ludźmi pochodzenia polskiego. Zanim uciekli przed Rosjanami, osiedlili się jako Ślązacy w Saksonii, znajdując przytułek u rolnika w miejscowości Groitzsch, u którego pracowali także robotnicy przymusowi z okupowanej Polski. Szybko weszli z nimi w przyjazny kontakt.

Wydarzyło się nawet coś specjalnego, o czym muszę w tym miejscu wspomnieć. Groitzsch został pod koniec wojny wyzwolony przez Amerykanów, którym próbował się przeciwstawić „Volkssturm” (pospolite ruszenie). Składał się on głównie z bardzo młodych ludzi, albo starców.

Ponieważ nie byli w stanie walczyć przeciwko Amerykanom, zajęli się przeczesywaniem okolicznych wiosek, by zabić ukrywających się w nich mężczyzn zdolnych do służby, a uchylających się od przystąpienia do Volkssturmu. Mojemu ojcu życie w tych dniach uratowała grupa polskich robotników przymusowych. Zaświadczyli, że jest jednym z nich.

Ojciec, gdy nawet nieraz coś mówił krytycznego o obcokrajowcach, nigdy złego słowa nie powiedział o Polakach! Jeden z nich nawet na początku lat sześćdziesiątych zdobył adres ojca i ponownie nawiązał z nim kontakt. Mimo trudności z uzyskaniem w tamtym czasie paszportu, ojciec parokrotnie jeździł w odwiedziny do Polski, a po powrocie – z niezwykle szacunkiem opowiadał nam o Polsce i jej mieszkańcach.

Na początku lat siedemdziesiątych granica na Odrze i Nysie, jak i do Czechosłowacji została otwarta dla tzw. bezdewizowego ruchu przygranicznego. Wtedy i mnie, mającemu wówczas 16 lat młodzieńcowi, udało się po raz pierwszy pojechać za granicę i nawet przez kilka tygodni pozostać u pewnej polskiej rodziny. Bardzo szybko jako tako nauczyłem się polskiego, że mogłem swobodnie (oczywiście popełniając liczne błędy gramatyczne i stylistyczne) rozmawiać i dyskutować o życiu w Polsce i u nas. W każdym razie rozumiałem, co do mnie mówiono i potrafiłem samodzielnie na to odpowiadać.

Pracowałem z Polakami w polu, przy żniwach, wykopkach, także w stajni i było mi z nimi dobrze. Jadałem i piłem z tymi ludźmi, bywałem z nimi w kinie i na innych uroczystościach. Pomagałem nawet ich dzieciom w nauce niemieckiego. Był to dla mnie bardzo pożyteczny czas.

Chodziłem oczywiście także z tą rodziną, u której mieszkalem, w niedzielę do kościoła, choć jako luteranin, nie potrafiłem się tak modlić i przeżywać liturgię jak oni. W moim rodzinnym domu zawsze traktowano katolików jako „bałwochwalców”; choć mój ojciec Polakom to bałwochwalstwo wybaczał, podkreślając, że Bóg będzie na pewno sprawiedliwie sądził każdego za jego czyny, bez względu na to, jakiego jest wyznania.

Ponieważ polskie sklepy świeciły wtedy – a były to lata siedemdziesiąte – pustkami, ciężko było za wymienione pieniądze kupić jakieś „suvieniry”, wobec tego najczęściej kupowałem książki i tak powstała moja „polska” biblioteka. Na czele z Sienkiewiczem, z jego patriotyczną trylogią (którą kupowałem dosłownie „spod lady”, bo wtedy i Polacy kupowali chętnie swoich dawno nie wydawanych klasyków). Mam też oczywiście (i przeczytałem) jego *W pustyni i w puszczy*; jak i jego wspaniałe nowele i opowiadania.

Spodobały mi się też bardzo dzieła Jana Dobraczyńskiego. Te książki nie tylko zdobyły moją bibliotekę, ale zostały przeze mnie przeczytane. Mimo

że nie rozumiałem wszystkich słów, treść całości doskonale była dla mnie czytelna i poprawiała moją znajomość polskiego.

W czasie moich kolejnych pobytów w Polsce zorientowałem się, że w tym kraju jest o wiele więcej wolności niż w NRD i nie wszystko traktowano tak „socjalistycznie”, jak u nas. To mnie zainteresowało. Po cichu podziwiałem odwagę Polaków, tym bardziej, iż spotykałem się z tym nie tylko w mniejszych miejscowościach, jak np. w Kobylinie, czy w nieco większym Ostrowie, ale także w dużych miastach, jak w Poznaniu, Wrocławiu i Warszawie.

Najbardziej fascynującą znajomość, jaką wówczas zawarłem, był ponad siedemdziesięcioletni profesor Stanisław Pomykaj z Poznania. Znał on doskonale niemiecki, ponieważ chodził w latach trzydziestych do szkoły w Berlinie. W jego księgozbiornie znalazłem m.in. *Mein Kampf* Hitlera, który stał obok Biblii i dzieł Lenina.

On sam nazywał siebie „eurokomunistą” i nie można powiedzieć, żeby nienawidził Niemców, mimo iż już na początku wojny 29 jego kolegów – „profesorów” – zostało przez nich zamordowanych. Profesor Pomykaj pokazał mi nawet miejsce w którym zostali straceni i opowiedział dokładnie, jak to było. Miejsce to upamiętnia teraz stosowna tablica (jakich – szczególnie w Warszawie – spotkać można na murach wielu domów). On wtedy – wracając do prof. Pomykaja – jako jedyny, dzięki ostrzeżeniu, uratował się z tej grupy. Przy okazji chciałbym podkreślić, iż nigdy nie spotkałem się w Polsce nawet z najmniejszym potępieniem, czy oznaką nienawiści za to, że jestem Niemcem. Jak zauważyłem – z antypatią wyrażano się o Rosjanach, gdy próbowałem używać tego języka, aby się porozumieć.

Wszędzie, gdzie się pojawiałem w Polsce, zawsze doznawałem wielkiej gościnności, co jest w dużym kontraście z niemieckim chłodem i powściągliwością przy zawieraniu znajomości. I oczywiście z uprzedzeniami, jakie mają Niemcy wobec Polaków, przypisując im różne najgorsze cechy. Muszę z całą mocą temu zaprzeczyć. Takie stereotypy bardzo mnie denerwują, więc słysząc je – zawsze starałem się moich znajomych i kolegów z pracy przekonać, że Polaków cechuje ta sama praworządność i uczciwość do mienia i własności, co Niemców. Wielokrotnie dałem temu wyraz w swoim cyklu powieściowym „o zagłębiu węglowym” (KOHLE SAGA), który chciałbym, aby ukazał się w Polsce.

O tym, aby zostać pisarzem marzyłem od zawsze. Moja nauczycielka „niemieckiego” gromadziła wszystkie moje wypracowania, dając je innym za przykład. Wystukiwałem je od dwunastego roku życia na swojej maszynie do pisania, którą kiedyś otrzymałem na Boże Narodzenie. Marzyłem wtedy o tym, aby pisać westerny i powieści historyczne. Choć moi rodzice bez przerwy powtarzali mi, że jako pisarz nie wyżywię nawet siebie, a co dopiero rodzinę, którą miałem już jako dwudziestojednolatek.

Musiałem na nią zarobić, więc poszedłem do pracy, zająłem się żoną, dziećmi, choć w każdej wolnej chwili nadal dużo czytałem, pisałem,

(najczęściej do szuflady). Zaczęłam też próbować tłumaczyć Sienkiewicza i Dobraczyńskiego.

W 1978 urodziła się moja pierwsza córka, w 1980 druga, a w 1986, po kilku latach chudych, przyszedł na świat „spóźniony” następca rodu, syn. Niedługo potem wypisałem się ze swojej dotychczasowej gminy wyznaniowej, by dzieciom w przyszłości dać wolną rękę wyboru.

W NRD nie mieliśmy samochodu. Wyjeżdżając, jeździliśmy pociągiem lub autobusem. Do Polski wtedy z rodziną też nie jeździłem. Z zaprzyjaźnioną rodziną w Polsce, pozostawaliśmy jednak w kontakcie listownym. Niekiedy jednak towarzyszyłem swojej matce jako tłumacz – w dwu/trzydniowych wypadach do jej starej ojczyzny na Śląsk.

Z wielkim zainteresowaniem śledziliśmy w latach osiemdziesiątych wydarzenia związane z „Solidarnością”. Władze NRD niemile w tym czasie widziały wyjazdy do Polski i zdarzało się, że gdy ktoś wracał po dłuższym pobycie w Polsce, musiał spowiadać się z tego przed funkcjonariuszem Stasi.

Szczególnie wtedy, gdy odbywałem służbę wojskową, rozumiałem, jak ostro i nerwowo organy naszego państwa reagowały (co zresztą opisałem w jednej ze swych książek) na wszelkie wydarzenia w Polsce.

Ponieważ moja obowiązkowa służba wojskowa (którą też opisałem w jednej ze swych powieści) była pełna „tajemnic artyleryjskich”, byłem świadkiem, jak one były strzeżone przed Polakami, zwłaszcza po wyborze krakowskiego kardynała Wojtyły na papieża. Od czasu jego wyboru wojsko i policja była w stanie wyższej gotowości alarmowej.

Dzięki temu jednak poluzowano nieco w NRD wyjazdy na Zachód, zwłaszcza gdy najwyższy urząd w Związku Radzieckim objął Michaił Gorbaczow.

Jak wyglądał polityczny przełom w Niemczech i w Europie Wschodniej – nie będę pisał, gdyż są to fakty na ogół dobrze znane. Mnie w tym czasie nareszcie udało się zrobić prawo jazdy i z pomocą moich rodziców kupiłem pierwszy samochód, którym następnie odbyłem bardzo liczne podróże ze swoją rodziną.

Przede wszystkim odwiedziliśmy moich starych przyjaciół w Polsce, gdzie mieliśmy okazję zobaczyć na własne oczy zachodzące po roku 1990 dynamiczne zmiany.

W roku 1995 kontakty te uległy rozluźnieniu, gdy u mojej żony stwierdzono postępującą sklerozę. Jej stan zdrowia i mnie się udzielił; trzeba było ją kontrolować na każdym kroku. Na szczęście medycyna tradycyjna (ta ludowa) łagodziła proces chorobowy. Opiekując się żoną, nauczyłem się cierpliwości i miałem czas na przemyślenie sobie wielu spraw. Zwłaszcza, gdy z upadkiem NRD moja egzystencja jako pisarza bardzo się pogorszyła. I wtedy przypomniałem sobie przestrogę rodziców, że z samego pisarstwa trudno będzie wyżyć. Musieliśmy więc sprzedać dom, aby mieć pieniądze na lekarstwa. Na szczęście z czasem moje pisarstwo wreszcie zaczynało przy-

nosić owoce, choć – jak dotąd – tylko w regionalnym wymiarze. Napisałem ponad 20 beletrystycznych powieści. Osobiście zajmuję się teraz ich drukiem i sprzedażą i nie narzekam na brak zainteresowania, jak i na dochody. Może dlatego, iż piszę o świecie, którego już nie ma. O przemianach, które w Polsce, jak i w Niemczech, po upadku realnego socjalizmu nastąpiły. Ale i o tym, jak żyło się ludziom przedtem. I nie ukrywam, że zależy mi, aby moje powieści zostały przetłumaczone i wydane również w Polsce. W kraju, z którym nadal wiele mnie łączy i w którym tak wiele się zmieniło i wciąż się zmienia. NA LEPSZE.

(Przełożył: Karol Czejarek)

KRZYSZTOF CZAJKA

Hände hoch, czyli Polak w Niemczech

Jechaliśmy pociągiem pośpiesznym relacji Warszawa Centralna – Berlin Hauptbahnhof. Rozmawialiśmy jak zwykle o literaturze, która nas fascynowała. Nie pamiętam już, czy była to generalnie rzecz biorąc tzw. literatura iberoamerykańska, wówczas bardzo modna, czy pamiętniki Witolda Gombrowicza, nazywanego przez nas Gombrem, również niezwykle modnego. Tuż przed granicą, gdzieś w okolicach Świebodzina, a może Rzepina, zrobiliśmy krótkie podsumowanie, ile słów znamy w języku niemieckim. Wyszło, że wiemy tyle, ile dowiedzieliśmy się z martyrologicznej literatury powojennej: „Hende hoh, polnisze banditen, Hitler kaput”. Dla nas samych, wykształconych i odczytanych młodych Polaków, było to odkrycie. Że tak niewiele wiemy o kraju sąsiada.

Ale dla nas Niemcy nie były wówczas modne. Jechaliśmy do Berlina Wschodniego, jak wówczas nazywano powszechnie stolicę NRD, żeby spotkać Natalkę, naszą wspólną przyjaciółkę z czasów studenckich. Ja i Grześ, mój przyjaciel i partner zaciekłych dyskusji o literaturze, filozofii, socjologii i ogólnie o świecie wówczas nam współczesnym. Był poetą, tłumaczącym wiersze zbuntowanych poetów amerykańskich z generacji beatników, pisarzem, którego książki opisywały fenomen bycia homoseksualistą. On był tym zdumiony, że natura tak go stworzyła i to zdumienie przelewał na papier. Znał świetnie angielski, jak i ja, niemiecki to był dla niego chrapliwy głos Zarah Leander, zatarte napisy reklamowe na murach jego rodzinnego miasta Bydgoszczy, wspomnienia ukochanej matki, która w młodości jeździła na zakupy do Berlina.

Również rudowłosa i piegowata Natalka, powszechnie nazywana przez nas Bubą, nie miała z niemieckim nic wspólnego. Wprawdzie jej mama, szlachcianka z okolic Puław, trafiła po wojnie i parcelacji rodzinnego mająt-

ku do Szczecina i zamieszkała w ponemieckim domku, ale to było wszystko, co Natalę łączyło z Niemcami. Natomiast z nami łączyło ją wiele: podobne poczucie humoru, miłość do literatury, skłonność do kalamburów, przekonanie, że świat to jedna wielka powieść, którą trzeba dopiero napisać. Życie, to literatura – tak nam się wtedy wydawało.

I z tą właśnie Natalką mieliśmy się spotkać w Berlinie. Buba wyjechała do Danii, gdzie pracowała jako opiekunka do dzieci, ale tęskniła do szalonych rozmów z nami. Wrócić do Polski nie mogła, bo nie dostałaby nigdy pozwolenia na ponowny wyjazd na tzw. Zachód, czyli do krajów kapitalistycznych, więc powstał pomysł, żeby spotkać się w stolicy zaprzyjaźnionego z Polską Rzeczpospolitą Ludową kraju, czyli NRD.

Był to rok 1973 lub 1974, między obydwojema bratnimi krajami w ramach wspólnoty socjalistycznej możliwy był ruch bezwizowy, pieniądze można było oficjalnie wymienić w banku po kontrolowanym przez państwo kursie, wystarczyło tylko kupić bilet na podróż w ORBISIE i droga stała otworem.

Tak oto znaleźliśmy się na polsko-niemieckiej stacji granicznej w Kunowicach, gdzie stwierdziliśmy, że poza „polnisze szwajne” i „polnisze banditen” nie możemy powiedzieć nic więcej w języku Goethego.

Spędziliśmy cudowne cztery dni w stolicy NRD, gadając o literaturze i sztuce, jadaliliśmy curry wurst i piliśmy piwo na Placu Aleksandra w barze szybkiej obsługi, tuż obok hotelu Berlin, jedliśmy świetne knedliczki, popijając je ciepłym winem w morawskiej restauracji tuż obok wieży telewizyjnej, która do dzisiaj jest jedną z turystycznych atrakcji Berlina. Buba drwiła z Niemców, których nie lubiła (takie tam standardowe uprzedzenia, jak piwo, brzuchy, kielbaski, „Arbeit macht frei”), Grzałka cytował opinie Manna o faszyzmie, ale Niemcy nie zdominowali na szczęście naszego wspólnego pobytu w NRD. Dla nas liczyła się radość z bycia razem i tworzone wspólnie kalambury.

Niemcy nie były modne dla mojego pokolenia. Nie był to naród i język, którym można było się szczególnie zachwycać. I to nie tylko dlatego, że był to język okupanta, który wymordował tyle ludzi i zniszczył nam stolicę – Warszawę. Beatlesi nie śpiewali po niemiecku, i Rolling Stonesi również. W latach 60. XX wieku, kiedy chodziłem do szkoły, szarą polską rzeczywistość socjalistyczną zalała fala skocznych i kolorowych piosenek z tzw. Zachodu. I wszystkie one miały teksty angielskie. Żeby zrozumieć, o co chodziło w zwrotce „Love love me do” czy „Neinteenght nervous breakdown”, trzeba było wiedzieć nieco więcej niż „hende hoh” w czasie zabaw w wojnę na podwórku.

W liceum, a chodziłem do szkoły średniej z tradycjami – Liceum im. Stefana Batorego w Warszawie, które do dzisiaj ma renomę – uczyłem się dwóch obcych języków: rosyjskiego i angielskiego, obydwa na słabym poziomie. Wynikało to z nastawienia nas, uczniów, do nauki języków obcych, które było nacechowane głęboką niechęcią. Rosyjski, wiadomo, dla mojego pokolenia język okupanta. Musieliśmy się go uczyć, więc nie było motywa-

cji. Do nauki języka angielskiego też nie było motywacji. Po co, jeśli i tak nie można było wyjechać na Zachód.

Fakt, że mogłem zrozumieć piosenki Beatlesów w oryginale zawdzięczam mojej mamie, która stwierdziła, że muszę nauczyć się angielskiego, bo inaczej nie poradzę sobie w świecie. Wysłała mnie do Metodystów, czyli na naukę angielskiego do najlepszej chyba wówczas szkoły mieszczącej się przy Placu Zbawiciela w Warszawie. Chodziłem tam bodaj dwa lata, chyba dwa razy w tygodniu, i robiłem wszystko, by opanować ten język w stopniu doskonałym, jak rodowity Anglik niemal. Starłem się czytać literaturę angielską w oryginale, np. „Three men in a boat (not to say about the dog)”. Kupiłem nawet dramaty Szekspira w oryginale, żeby zrozumieć Mistrza w języku, w którym napisał swoje dzieła, bez pośrednictwa tłumacza Józefa Paszkowskiego, którego teksty zalatywały już wówczas myszką.

Angielski stał się moim pierwszym i najważniejszym językiem do porozumiewania się za granicą. Mówiłem nim w stopniu bardzo dobrym, jeśli nie doskonałym i wzbudzałem tym szacunek i uznanie spotkanych za granicą znajomych i obcych. Oho, młody człowiek z Bloku Wschodniego z taką znajomością angielskiego?! Gdy pojechałem po raz pierwszy do Włoch, a był to rok 1967 albo 1968, brany byłem przez kelnerów za Anglika, a przez Anglików za Szweda. Miłe było to uczucie, że mimo pochodzenia z kraju, w którym za 100 dolarów amerykańskich wieloosobowa rodzina mogła przeżyć na przyzwoitym poziomie miesiąc, dla którego wymarzona Coca-Cola za 2 dolary była szaleństwem, można było zadawać szyku i udawać kogoś innego, nawet jeśli finansowo nie było mnie na to stać.

Zaraz po maturze moja siostra wyjechała do Wenezueli. Tam mieszkał mój stryj Marian, brat mojego ojca, który miał głowę do interesów, ale nie miał dzieci. Po ekscytującej wizycie mojego ojca u niego na początku lat 60. zapadła decyzja, że jedno z dzieci mogłoby pojechać do Caracas i zamieszkać u stryja. Na razie bez konkretnego celu, chodziło o to, żeby pomóc biednym krewnym z socjalistycznej Polski, dać szansę młodym ludziom z bloku wschodniego, niech poznają wielki świat, niech zobaczą, co to kapitalizm. Wybór padł na moją siostrę Elżbietę, która w 1965 roku robiła maturę. Mój starszy brat Jacek Andrzej, rocznik 1945, studiował właśnie medycynę, ja byłem jeszcze w szkole średniej, a dla Bety nie było konkretnego planu. Wysoka, długonoga, szczupła blondyna, miała powodzenie u mężczyzn, co denerwowało moją mamę i zawsze były w domu awantury, gdy za późno wróciła, więc pomyślałem, żeby wysłać ją do stryja Mariana był dla rodziców najlepszy.

Moja siostra to kobieta z charakterem i czasami przypomina mi moją mamę. Stryj Marian szybko zrozumiał, jaki błąd popełnił – sprowadził do swojego domu drugą Romanę (tak miała na imię moja mama), z którą już w przeszłości toczył boje. Beta szybko usamodzielniała się, poznała na dyskotece pewnego Węgra z pochodzenia, którego stryj nie znosił, bo uważał,

że ten „pętał” jest biedny, więc jako młody człowiek bez pieniędzy nie był partią dla mojej siostry, kobiety wysokiej i pięknej, której uroda znalazła uznanie – została miss Wenezueli, a zatem u której stóp leżały legiony niskich, śniadych i owłosionych Wenezuelczyków z dużym majątkiem. Lecz moja siostra postawiła na swoim i wyszła za mąż z miłości za swojego studenta – Wenezuelczyka, węgierskiego pochodzenia.

To dzięki niej zacząłem się uczyć hiszpańskiego. Bo Beta znalazła pracę, jako sekretarka szefa wenezuelskich linii lotniczych VIASA. Dzięki temu miała tanie bilety i wszyscy z rodziny mogli za ok. 150 dolarów polecieć do Wenezueli, tam i z powrotem. Ja również. Było to latem 1970 roku. Leciałem samolotem KLM-u przez Amsterdam i Lizbonę, siostra przysłała pieniądze na podróż, więc wielki świat leżał u mych stóp, mogłem sobie pozwolić na Coca-Colę bez obawy, że wpadnę w dług, gadałem niezłe po angielsku, więc niektórzy brali mnie za Holendra. W toalecie na lotnisku w Lizbonie siusiał obok mnie jakiś Amerykanin, z którym uciąłem pogawędkę na temat aktualnej pogody na Wyspach Kanaryjskich. Odpowiedziałem coś po angielsku, wrzuciłem hiszpańskie słowo i wyszedłem na światowca, dla którego Europa nie ma żadnych granic.

Do angielskiego doszedł więc hiszpański, którym posługiwałem się wcale biegle. Następnym językiem, którego chciałem się uczyć, miał być francuski. Jak każdy wykształcony Polak uwielbiałem ten język, nie znając go w ogóle. I uwielbiałem tę sławną w świecie kulturę francuską. W moim pokoleniu modni byli wtedy Sartre, Camus, Genet, Simon de Beauvoir. A ja zaczytywałem się w dziełach Rimbaude’a, Baudelaire’a, George Sand. Oczywiście w tłumaczeniach. A chciałem koniecznie poznać je w oryginale.

Niemiecki związany był z Poznaniem, skąd pochodził mój ojciec i cała jego rodzina. Dziadek Antoni był jeszcze za Kaisera nadleśniczym w okolicach Czarniejewa niedaleko Poznania, był więc niemieckim urzędnikiem. Moje ciotki pamiętały jeszcze wizytę Cesarza w Posen, a jeden z moich wujów ze strony babki zorganizował powstanie, nazwane później Powstaniem Wielkopolskim i przepędził Niemców z Poznańskiego. Było to, nawiasem mówiąc, jedyne powstanie w Polsce, które zakończyło się powodzeniem.

Mój tata używał często słów, których pochodzenie miałem odkryć dopiero później. Młotek to był „hamer”, śrubokręt „szramcjer”, palto „mantel”. To było słownictwo jego dzieciństwa, którym posługiwał się do późnej starości.

W Warszawie znalazł się w 1940 roku, po tym, kiedy Niemcy utworzyli z Wielkopolski Warthegau i Polaków wysiedlali. Mógł zostać obywatelem Rzeszy, czyli tzw. volksdeutschem, ale on i jego bracia Marian i Antoni postanowili uciec do utworzonego nad Wisłą General Gouvernament. Tata nigdy nie mówił, dlaczego. Nacjonalistą nie był, więc może przeważały względy praktyczne. Nie chciał być mięsem armatnim dla niezwykłych wówczas armii Hitlera. Wolał wyjechać. Bo on nie znoślił wojska, wojny,

strzelaniny, musztry, walki i zabijania. Za względu na swoją chorobę – łuszczycę – nigdy nie był w wojsku. I bardzo podkreślał ten fakt.

Mama była rodowitą warszawianką, taką z dziada pradziada. Mieszkała wówczas z rodzicami i licznym rodzeństwem przy ul. Twardej róg Żelaznej, gdzie babka prowadziła swój interes: piekarnię, kawiarnię i restaurację. I w jednym z tych miejsc moi rodzice się poznali, tak głosi przynajmniej rodzinna legenda. Na warszawskich ulicach była łapanka, przystojny poznaniak wpadł do kawiarni, szukając schronienia, postawna warszawianka zaserwowała mu kawę, co skończyło się w 1941 roku ślubem. Mama nie zносиła swojego rodzeństwa i mieszkania przy ul. Twardej i z radością wyprowadziła się z energicznym i biznesowo zaradnym poznaniakiem dwa kilometry dalej na południe, na ul. Lwowską. Ona miała wtedy lat 33 (była więc według ówczesnych poglądów starą panną), on 28 (był więc mężczyzną w sile wieku). Przeżyli razem prawie 50 lat, zmagając się z wszelkimi przeciwnościami losu, także z okupacyjną okrutną rzeczywistością, Powstaniem Warszawskim, wypędzeniem po jego klęsce do obozu przejściowego w Pruszkowie, powrotem do zrujnowanej stolicy i budowy nowej egzystencji w nowej sytuacji politycznej.

Kiedy się kłócili, a zdarzało się to w ich podeszłym wieku często, odzywał się w moim ojcu stuprocentowy poznaniak. Nazywał wtedy mamę azjatką, bo przecież pochodziła z Warszawy, a dla pradziwego poznaniaka wszystko na wschód od Wrześni leżało w Azji. A w Azji wiadomo: skońcocy Kałmucy z nożami w zębach, brud, ruja i poróbstwo, no i oczywiście mieszkali tam sami oszuści. A poznaniacy, wiadomo, naród uczciwy i pracowity, już za Niemca tak było.

Głęboki sens tych sporów zrozumiałem dopiero wtedy, gdy zamieszkałem w Berlinie i w Niemczech, gdzie uprzedzenia tego rodzaju były na porządku dziennym.

Okupacja i czas Powstania Warszawskiego, a także wygnanie z Warszawy po powstaniu, były częstym tematem rozmów moich rodziców, głównie jako czas tragiczny, kiedy liczyło się przeżycie. Każdy dzień mógł być ostatnim, więc trzeba było się chronić i bronić. I kombinować, jak przeżyć okupacyjny koszmar. Ktoś został zamknięty w więzieniu na Pawiaku, trzeba go wykupić. Ktoś potrzebuje schronienia, trzeba mu pomóc. Ale najważniejsze jest przeżycie. Bohaterowie leżą na cmentarzu, to zdanie często powtarzał mój ojciec. On nie znosił wojny i chronił swoją ukochaną żonę, jak mógł.

Kiedy opowiadali, jak udało im się opuścić palącą się Warszawę po przegranej powstaniu, to głównym motywem był ratunek przed wywózką do Niemiec. Obandażowali się, jakby byli ciężko ranni, ojciec, który znał przecież z dzieciństwa niemiecki, pokazywał strażnikom swoją łuszczycę mówiąc, że jest to tyfus, czyli „fleckfieber”, i tak wylądowali w obozie przejściowym w Pruszkowie na oddziale dla chorób zakaźnych. Kiedy wywożono ich stamtąd wagonami towarowymi, nie wiedzieli, dokąd jadą: Auschwitz?

Wyrzucono ich z pociągu w Zakopanem, gdzie doczekali wyzwolenia Warszawy przez Armię Czerwoną, w styczniu 1945 roku.

Mama wspominała nie tylko tę wojnę polsko-niemiecką, ale także wojnę polsko-radziecką w roku 1920. Jako nastolatka (urodziła się w 1908 roku) kopła rowy nad Wisłą, by bronić stolicy przed armią Tuchaczewskiego, który ruszył na Zachód, by pokonać burżuazyjną Polskę i dotrzeć do Berlina. Fakt, że 25 lat później Armia Czerwona oswobodziła Warszawę, wypędzając z niej Niemców, był dla moich rodziców dużym problemem. Bo oni źle czuli się w socjalistycznej rzeczywistości i gospodarce planowej. Obydwoje byli ludźmi interesu, mieli sklepy, żyli z handlu i bezwzględne czasy stalinowskiej biurokracji z „przeżytkami kapitalizmu”, jakim byli moi rodzice, doprowadziły ich do ruiny. Musieli zatrudnić się w państwowych przedsiębiorstwach, więc do późnej starości wspominali mityczne „dawne dobre czasy”, w których niczego nie brakowało (a jak wiadomo, w socjalizmie brakowało wszystkiego).

Może dlatego Niemcy w opowieściach moich rodziców nie byli potworami. Za Niemca było trudno, człowiek mógł zginąć, ale przynajmniej był porządek. I z Niemcem można było jakoś się dogadać, z Ruskim natomiast nie. Ten to groził tą swoją pepeszą i kazał oddawać zegarki. Kto nie oddał, był zastrzelony.

Dla mnie Niemcy byli wówczas postaciami z niezliczonych filmów i książek, które opisywały tragiczne wydarzenia czasu okupacji i drugiej wojny światowej. Polska lat 50., 60. i 70. – to jedno wielkie rozliczenie z koszmarem okupacji, wojny i zniszczenia. Przeczytałem na ten temat mnóstwo książek nie tylko dlatego, że były one lekturą obowiązkową w szkole. Urodziłem się w Warszawie, mieszkalem (i mieszkam do tej pory) w Śródmieściu, bawiłem się w ruinach zburzonego miasta, Powstanie Warszawskie było w zasięgu ręki, wystarczyło wyjść przed dom w Alejach Ujazdowskich, gdzie znajdował się wjazd do kanału, z którego wychodzili powstańcy ewakuujący się z innych dzielnic Warszawy, zajętych przez Szkopów. A kawałek dalej, w piwnicach kamienicy przy ul. Wilczej 29/31 moi rodzice przeżyli bombardowania. Mama była wtedy w ciąży, brat urodził się 23 maja 1945 roku i do dzisiaj nie potrafi znaleźć sobie miejsca w życiu. Takie przeżycia pozostawiają ślady.

Więc czytałem wszystko, co się dało: książki opisujące heroiczną walkę o wyzwolenie Warszawy, poezje młodych utalentowanych literatów, którzy zginęli w walce z okupantem, wspomnienia uczestników walk. I słuchałem muzyki, pieśni zagrzewających do boju. To, czego dowiadywałem się o powstaniu, we mnie – młodym warszawiaku, wywoływało potężne poruszenie. Znałem relacje o rzezi ludności cywilnej na Woli i o obronie Starego Miasta, o odwrocie oddziałów powstańczych kanałami do Śródmieścia Warszawy i o kapitulacji. I o zniszczeniu miasta po wypędzeniu ludności.

Był to główny temat socjalistycznej propagandy i moje osobiste przeżycie. Niemcy byli wrogami, to oni rozwalili moje miasto i ten wróg miesz-

kał w Niemieckiej Republice Federalnej, czyli EREFEN. I ten wróg chce nam odebrać nasze piastowskie Ziemie Odzyskane, czyli Wrocław (dawniej Breslau), bądź Gdańsk (kiedyś Danzig).

Mój przyjaciel Grzałka patrzył na tę socjalistyczną propagandę z dystansem. Mieszkał w Bydgoszczy pełnej śladów niemieckiej obecności i jego mama jeździła „przed wojną” do Berlina na zakupy. Ten fakt był dla niego czymś szczególnym, jak gdyby ktoś powiedział, że jego przodkowie jeździli do Monte Carlo tracić rodzinne fortuny w kasynie. Niemcy byli w jego opowiadaniach częścią kultury regionu, z którego pochodził. Oni nie byli źli, oni byli częścią miasta, w którym się urodził. Wprawdzie tłumaczył amerykańskich poetów czasu kontestacji i protestów przeciwko wojnie w Wietnamie, ale słuchał też chętnie niemieckich piosenek z lat 20. i 30. ubiegłego wieku, coś w rodzaju „Aach, lieber Heinrich komme!”, oder „Was macht Herr Mayer am Himalaya”. Czy tłumaczył niemieckich poetów, tego nie pamiętam. Ostatecznie najlepiej znał angielski. Cała reszta była pozą i czeską biżuterią.

Do Grzałki właśnie jechałem w 1976 roku. Mieszkał wtedy w Londynie, pracował w hotelu jako recepcjonista (z czegoś musiał żyć w kapitalistycznym Londynie, jako obywatel socjalistycznej Polski) i miał swoje kontakty w londyńskiej bohemie. Zaprosił mnie, żebym przyjechał. Skończyłem wtedy studia na pierwszym roku Wydziału Reżyserii Szkoły Filmowej w Łodzi i wyjazd do Londynu był ciekawą propozycją. Można było zarobić, pracując w hotelu na dalsze studia, poznać ludzi, może nawet nawiązać kontakty z którąś z miejscowych szkół filmowych.

Dla oszczędności pojechałem autostopem z siostrą jego przyjaciela. Jak wszyscy Polacy wówczas pojechaliśmy najpierw pociągiem do Berlina Zachodniego. Ale przed nim był jeszcze Berlin Wschodni, czyli stolica NRD. Pociąg zatrzymał się na stacji Friedrichstrasse, ostatniej przed przekroczeniem muru odgradzającego socjalizm od kapitalizmu. Berlin-Friedrichstrasse był twierdzą, której bronili uzbrojeni w karabiny maszynowe żołnierze, trzymający na smyczach szczekające wilczury. Popatrzyliśmy na siebie z dziewczyną, wiadomo: Niemcy, Auschwitz, nic się nie zmieniło. Poczuliśmy się tak, jak ponad 30 lat temu mogli się czuć moi rodzice w okupowanej Warszawie.

Po gruntownej kontroli paszportowo-celnej dojechaliśmy do dworca Berlin Zoologischer-Garten, była to pierwsza stacja w zachodnim sektorze Berlina. Załatwiliśmy Międzynarodowe Legitymacje Studenckie w ASTA na Hardenbergplatz i pojechaliśmy autobusem do Wannsee, żeby znaleźć okazję, która zabierze nas na Zachód. Ubrani byliśmy zgodnie z ówczesną modą: szerokie spodnie-dzwony a la ABBA, bawełniane koszulki, pomarańczowe plecaki na aluminiowych stelażach, ja miałem długie włosy do ramion i oczywiście mówiliśmy po angielsku. Szybko zatrzymał się Mercedes i miły kierowca obiecał, że zabierze nas do Hanoweru, a może nawet dalej.

Kierowca był małym człowieczkiem, który resztki swoich rudych włosów miał zaczesane na łysinę. Pod nosem miał wąsik a la Hitler. Obok niego sie-

działa jego połowica, tłusta blondyna o niebieskich oczach. Przyjęli nas bardzo serdecznie, wypytywali, dokąd jedziemy i dlaczego Londyn nas interesuje. Rozmawialiśmy po angielsku, oni nie mówili wprawdzie w tym języku perfekcyjnie, ale jakoś można się było porozumieć. Chyba brali nas za młodych Szwedów, bo wyglądaliśmy, jakbyśmy wracali z koncertu zespołu ABBA.

Za Magdeburgiem, tuż przed kontrolą graniczną w Helmstedt, pani poprosiła o nasze paszporty. Było to konieczne, kierowca samochodu odpowiadał na trasie tranzytowej między Berlinem Zachodnim i RFN za swoich pasażerów. Jedno spojrzenie wystarczyło. „Die Polnischen”, syknęła niebieskooka blondyna i powiało mrozem. Szybko okazało się, że nasi gospodarze nie jadą wcale do Hanoweru, tylko zaraz po przekroczeniu granicy skręcają i my musimy wysiąść. Co też się stało – zaraz za przejściem granicznym zostaliśmy wyproszeni z samochodu.

Na stacji benzynowej znaleźliśmy szybko następną okazję, był to również mercedes. Tym razem kierowcą był młody Niemiec, który wymruczał, że jedzie do Kolonii, więc będziemy musieli wysiąść wcześniej. Pędził autostradą, ile się dało, popijał przy tym koniak z butelki i nie odzywał się do nas. Pozostało po nim we mnie wspomnienie kogoś, kto jest bardzo zajęty, redukuje stres alkoholem i jest mu obojętne, kogo wiezie. Mogą być Polacy, byle trzymali język za zębami.

Czechosłowacja, Austria, Włochy, Węgry, Wielka Brytania, Wenezuela, Kuba – przez wiele lat omijałem Niemcy w moich podróżach. Nic mnie tam nie ciągnęło, nikogo tam nie znałem, wszystko inne było bardziej interesujące niż ten przedzielony zasiekami z drutu kolczastego kraj między Odrą a Renem. Aż przyszła chwila, gdy na serio i na długo pojawili się oni w moim życiu. Było to dokładnie w nocy z 11 na 12 grudnia 1981 roku.

Miałem wtedy 32 lata, skończyłem Szkołę Filmową w Łodzi, zrobiłem pierwszy film fabularny dla Telewizji Polskiej, byłem żonaty, miałem syna i szukałem jakiegoś nowego projektu filmowego. Czasy były ciekawe i trudne, związek zawodowy „Solidarność” walczył z rządem, rząd walczył z opozycją, ludzie stali w kilometrowych kolejkach, żeby coś kupić, pieniądze traciły szybko na wartości ze względu na postępującą inflację. Za moje honorarium za film mogłem sobie najwyżej kupić gramofon, a ja potrzebowałem mieszkania dla siebie i rodziny. Koledzy z branży filmowej rozglądali się za jakąś możliwością współpracy z zagranicznym producentem. Byłe koprodukcja dawała szansę na realizację pomysłów i lepszy zarobek. I wtedy pojawił się na horyzoncie młody student z Niemieckiej Szkoły Filmowej i Telewizyjnej z siedzibą w Berlinie Zachodnim.

Przyjeżdżał do Polski już od trzech lat, zaprzyjaźnił się z moim kolegą ze studiów, wspólnie pracowali nad pomysłami projektów filmowych, które mogłyby powstać w polsko-niemieckiej koprodukcji. Mnie to nie interesowało, bo ja chciałem kręcić filmy z Anglikami, ale Wolfgang bywał u mnie w domu. Kiedyś spotkał w nim teściową mojego szwagra, czyli brata żony,

która grzecznie poprosiła, żeby „tego Szkopa” już więcej w jej obecności nie przyprowadzać. Od czasu wojny nie znosiła języka niemieckiego, ani niczego, co miało związek z Niemcami.

Latem 1981 roku Wolfgang zostawił w Warszawie samochód, był to stary mercedes, o którym mówił „Strich Achter”, diesel o zardzewiałej karoserii, który miał zostać w Polsce gruntownie wyremontowany. Po paru miesiącach samochód był gotowy i powstał problem, kto zawiezie go do Berlina. Z jego przyjaciół nikt nie miał na to czasu, więc spytano mnie. Pomyślałem, że pociągiem do Berlina nie pojadę, ale mercedesem chętnie.

Dla wielu Polaków mercedes był samochodem marzeń i symbolem materialnego powodzenia, jest nim zresztą do dzisiaj. Obojętnie, co Niemcy złego nam wyrządzili, mercedes był firmą, która nobilitowała posiadacza. Mknąłem świeżutko wymalowanym na purpurowo samochodem międzynarodową szosą numer dwa na zachód, samochód świetnie trzymał się nawierzchni, zresztą ceniono za to ten model. Jedzie jak niemiecki „Tygrys”, pomyślałem, zupełnie jak we wrześniu 1939 roku po ataku na Polskę.

Myśl może głupia, porównanie bezsensowne, ale przecież do dzisiaj w skojarzeniach z Niemcami przychodzi nam, Polakom, na myśl przede wszystkim wojna.

Im bardziej zbliżałem się do granicy, tym mniej było ruchu na drodze. A Polskie Radio donosiło o zapowiedziach kolejnych strajków ze strony „Solidarności”. Na polsko-niemieckiej granicy zostałem dokładnie przeszukany przez enerdowskich celników, którzy znaleźli w walizce paczkę oznak „Solidarności”. Wziąłem je jako prezenty, były wówczas najbardziej popularnym i poszukiwanym na Zachodzie produktem eksportowym z Polski. „Czy jestem członkiem Solidarności?” – brzmiało pytanie. „Tak, oczywiście, jestem, cały naród, ponad 9 milionów ludzi należy do „Solidarności”, odpowiedziałem po angielsku. Musiałem wypakować wszystko, cały samochód i bagaż zostały drobiazgowo przeszukane. Po dwóch godzinach mogłem jechać dalej, ale „Solidarność” została skonfiskowana.

Jak dojechać do Berlina Zachodniego, nie miałem pojęcia. Wiedziałem, że tę część miasta otacza mur, że są tam kontrole graniczne, ale gdzie i jakie, zero wiadomości. Zapytałem więc w okolicach Placu Aleksandra, na którym przecież już kiedyś byłem, „How can I get to West-Berlin?”. Po angielsku oczywiście, bo niemieckiego nie znałem. Pokazano mi drogę.

Przejsie graniczne znalazłem bez problemu, purpurowy mercedes na zachodniobерlińskich numerach wpuszczony został za szlaban, Berlin Zachodni był tuż, tuż, na wyciągnięcie ręki. Pierwsze zdania po angielsku z uprzejmym enerdowskim celnikiem zwiastowały szybkie zakończenie odprawy granicznej, ale radość była przedwczesna. Musiałem zjechać na bok i rozpoczęła się kolejna bardzo dokładna kontrola prowadzona w wyjątkowo nieuprzejmy sposób przez opryskliwych jegomościów badających każ-

dą dziurkę. Znowu niczego nie znaleźli, bo znaczki „Solidarności” zabrane zostały już wcześniej na polsko-niemieckiej granicy, więc kazali mi zebrać cały kram, a potem wyprosili za szlaban mówiąc, że tutaj to mnie nie przepuszczą, muszę objechać Berlin dookoła i dotrzeć do jakiegoś Dreilinden, bo tam jest przejście graniczne dla takich, jak ja.

Później dowiedziałem się, że próbowałem w swojej naiwności przejechać przez przejście graniczne Checkpoint Charly w środku Berlina, zarezerwowane wyłącznie dla dyplomatów i wojska. Prawdopodobnie przechodnie myśleli, że jestem dyplomatą, a enerdowscy pogranicznicy wzięli mnie za szpiega.

Pojechałem, przeklinając nieuprzejmych gości od faszystów i hitlerowców, jakimś cudem dotarłem w śnieżycy do przejścia granicznego w Dreilinden i tam zaczęła się ponowna kontrola: „Alles raus, alles auf den Tisch, was haben sie mit?” Znowu męczyli mnie dobrą godzinę, choć przecież przez całą drogę jechała za mną łada pełna tajniaków. Kiedy wreszcie wjechałem do Berlina Zachodniego od strony Wannsee i Zehlendorfu, kiedy zobaczyłem przyprószone śniegiem wille i dekoracje bożonarodzeniowe świecące w oknach – poczułem się, jak w raj.

I tak purpurowym mercedesem na zachodniej rejestracji znalazłem się w mieście, w którym do dzisiaj mieszkam.

Dzień później, 13 grudnia 1981 roku, wprowadzono w Polsce stan wojenny. Pomyślałem sobie wtedy: nie wracam!

Najważniejszą myślą było: trzeba przeczekać najgorsze i sprowadzić rodzinę, czyli żonę i syna. A potem zobaczymy, co będzie.

Moi niemieccy gospodarze przyjęli mnie niesłychanie serdecznie. Polacy byli wówczas bohaterami, a „Solidarność” na ustach wszystkich. Podziwiano robotników, którzy dzięki strajkom wymusili zmiany i ustępstwa polityczne, więc i mnie zapraszano na pogadanki, żebym jako bezpośredni uczestnik wydarzeń przybliżał Niemcom, co się w Polsce dzieje. Bo prasa niemiecka i telewizja są „tendencyjne i nie mówią całej prawdy”.

Poszedłem kiedyś na takie spotkanie, które odbyło się oczywiście po angielsku. Grupa brodatych młodzieńców i kobiet bez makijażu, paląc niesłychane ilości mocnego tytoniu, wysłuchiwała z uwagą mojej opowieści o zwalczaniu reżimu komunistycznego, o cenzurze, więzieniu opozycjonistów, prześladowaniu kościoła i o losach Polaków, którzy zmuszeni zostali przez towarzysza Stalina i jego niewyciężoną Armię Czerwoną do wprowadzenia systemu, nazywanego umownie socjalistycznym. A przecież tak naprawdę Polska zawsze była częścią Zachodniej Europy i tylko pod groźbą rosyjskich bagnetów pozwoliliśmy zamknąć się po wschodniej stronie muru berlińskiego. Teraz jest szansa, żeby to wszystko zmienić, a mur najlepiej zburzyć.

Mówiłem z dużym zapałem, przekazując w miarę wiernie, czym żyła wówczas Polska, więc do końca nie rozumiałem, dlaczego moi słuchacze zaczęli zachowywać się nieco dziwnie. Zapytali mnie jeszcze o rolę religii w Polsce i czy klasa robotnicza chodzi naprawdę do kościoła. Odpowiedzia-

łem zgodnie z prawdą, że oczywiście, nawet sekretarze partii chodzą do kościoła, choć się tym nie chwala i chrzczą swoje dzieci. Na tym spotkanie ze mną się skończyło, nie było więcej pytań.

Później dowiedziałem się, że byli to maoiści, którzy dążyli do wyzwolenia klasy robotniczej i chłopskiej z rąk kapitalistów i najchętniej wywołaliby w Niemczech rewolucję kulturalną na wzór rewolucji Wielkiego Przewodniczącego Chińskiej Partii Komunistycznej Mao – Tse – Donga.

W takie środowisko wpadłem, uciekając z komunistycznej Polski: anarchistów, lewaków rozmaitej proweniencji socjalistów, rewolucjonistów walczących z kapitalistycznym establishmentem Europy Zachodniej, marzycieli szukających alternatywnego modelu dla społeczeństwa konsumpcyjnego. Zamieszkałem w berlińskiej dzielnicy Kreuzberg, określanej powszechnie mianem SO36, ta nazwa – to pozostałość dawnego podziału Berlina na okręgi pocztowe: Südost 36. Była to dzielnica przemysłowa, pełna fabryk i małych zakładów rzemieślniczych, ze zrujnowanymi kamienicami czynszowymi z początku XX wieku, które ogrzewane były w większości piecami, na ulicach paliły się latarnie gazowe, a wiele ulic wyłożone były kamieniem, nazywanym w Warszawie popularnie „kocie łby”. Przy Reichenbergerstrasse 36 stała fabryka czekolady, częściowo czynna, ale jej tylna część zamieniona została na mieszkania. Tam czterech członków wspólnoty mieszkaniowej miało na każdym piętrze swój pokój, a raczej była halą fabryczną, mniej więcej 100 mkw każda, które ogrzewane były w zimie żelaznymi piecykami na węgiel. Niektórzy mieli w mieszkaniach oryginalne konstrukcje, na przykład Wolfgang spał na bujanym łóżku podwieszonym pod wysoki na 5 m sufit i miał bujaną kanapę, podwieszoną podobnie. Za meble służyły skrzynie zbite z drewnianych palet i tak właśnie powstały ta kanapa i łóżko, przyłączone do ceglanego sufitu stalowymi linkami i wyłożone materacami. Wszyscy goście podziwiali tę konstrukcję, a najbardziej alternatywne dziewczyny.

Dla mnie wychowanego w zamożnym mieszczańskim domu w samym Śródmieściu Warszawy – Aleje Ujazdowskie – w którym było centralne ogrzewanie i woda z gazowego piecyka w łazience, a w salonie wisiał zabawkowy piętrowy żyrandol, był to szok. Nigdy nie paliłem w piecu, tutaj musiałem się tego nauczyć. Stąd jedno z pierwszych słówek, które opamięnałem: „Eierkohle”, czyli granulatu, albo „Record-Briketts”, czyli węgiel brunatny prasowany w kostki produkowany w enerdowskim Lausitz na południe od Berlina. Moi nowi znajomi przyjechali do Berlina Zachodniego, bo chcieli uciec z mieszczańskich domów swoich zachodnioniemieckich mieszczańskich rodziców. Czasami rodzina odwiedzała ich w tych fabrykach i w tych starych kamienicach bez wygód i dziwiła się, jak można tak żyć. A oni chcieli żyć inaczej niż rodzice, którzy po przegranej wojnie, w obliczu straszliwych zbrodni popełnionych przez Niemców i z inspiracji Niemców, zabrali się do pracy, by odbudować kraj i powiększyć swoje bogactwo. To oni stworzyli w RFN tzw. „Wirtschaftswunder” i zapewnili swoim dzieciom

komfortowe warunki życia, ale teraz te dzieci buntowały się i zadawały nieprzyjemne pytania w rodzaju: „A co robił dziadek w czasie wojny? Słyszeliście wtedy o Auschwitz? Wiedzieliście, dokąd wywozili Żydów?”

Do Berlina Zachodniego przyjeżdżały wszelkie kolorowe ptaki niepodgożone z mieszczańskim modelem życia, z konserwatywnym modelem rodziny, z wieczną pogonią za pieniędzmi i koniecznością robienia kariery. Ale przede wszystkim przyjeżdżali antymilitaryści, którzy nie chcieli iść do wojska. Bo Berlin Zachodni, to było miasto okupowane przez czterech sojuszników, sygnatariuszy Układu Poczdamskiego i w Berlinie stacjonować mogły tylko armie alianckie. Nie było tam żadnych ambasad, tylko Misje Wojskowe, jedną z nich miała również Polska jako kraj, który zwyciężył Trzecią Rzeszę po stronie aliantów. Dlatego Polacy mogli jeździć do Berlina bez wiz i wielu z tego korzystało.

Znalazłem się więc nagle, jako uciekinier z bloku wschodniego, wśród uciekinierów z bloku zachodniego. Napisałem nawet szkic scenariusza na ten temat: po wprowadzeniu stanu wojennego Marcin przyjeżdża nad Szprewę. Chce odwiedzić Carstena, którego poznał kiedyś w czasie wymiany studenckiej. Carsten zaprosił go, żeby przyjechał do niego z wizytą, więc teraz nadarza się świetna okazja. Ale okazuje się, że Carsten przed tygodniem uciekł z rodziną do Nowej Zelandii. W alternatywnych środowiskach bano się wtedy trzeciej wojny światowej, wojny atomowej i wydawało się, że jedynym krajem, który mógł wyjść cało z tego kataklizmu, jest ta zielona wyspa na atypodach. Na szczęście pozostała w mieszkaniu Carstena jego współlokatorka, atrakcyjna komunistka, mająca w Bawarii bogatego ojca dentystę, którego rodzina wzbogaciła się na handlu żydowskim złotem i to ona oferuje uchodźcy z Polski pokój po uchodźcy do Nowej Zelandii... Jakos nikt się tym pomysłem nie zainteresował.

Jednym z pierwszych zdań, jakich nauczyłem się po niemiecku było „Wie lange noch?”. W Kreuzbergu zawsze miały miejsce jakieś demonstracje, starcia z policją, w czasie których anarchiści używali kamieni. Najlepsze były małe, kwadratowe z granitu. Można je było szybko wydłubać i były poręczne w rzucaniu. Mnie nie wolno było tego dotknąć („nas to tylko spiszą” – mówili moi rewolucjoniści – „a ciebie stąd wydalą”). Mogłem tylko stać i patrzeć, jak policja rozgania tłum pałkami i gazem łzawiącym. Czułem się jak widz w teatrze absurdu. Uciekłem z socjalistycznej Polski, gdzie na ulicach demonstranci walczyli z milicją i trafiłem do kapitalistycznego Berlina, gdzie również walczone z rządem i establishmentem politycznym. Ofiarą takich akcji były czasami szyby wystawowe. Szczególnie często tłuczono je w Berliner Banku, na rogu Adalbertstrasse i Kottbusser Tor (jest tam do dzisiaj). Z reguły wstawiane były szybko nowe. I wtedy ktoś napisał sprejem na murze: „Wie lange noch? – Jak długo?”

Dzięki stypendium z Instytutu Goethego zacząłem się uczyć niemieckiego, pięć dni w tygodniu po pięć godzin, w sumie dwa miesiące. Bardzo

chciałem się nauczyć tego języka, więc chodziłem pilnie na Knesebeckstrasse, niedaleko Kudammu, i wieczorem kułem jeszcze słówka i konstrukcje gramatyczne. W nagrodę za dobrą naukę dostałem następne stypendium, kolejne dwa miesiące, dzięki czemu zaliczyłem Grudnstufe eins und zwei. Pod koniec ostatniego miesiąca nauki wziąłem udział w konkursie na opowiadanie ogłoszone przez centralę Instytutu w Monachium i dostałem pierwszą nagrodę. Chcieli mi dać aparat fotograficzny, ale ja poprosiłem o kolejny kurs – Mittelstufe. Długo się zastanawiali, bo kurs był droższy niż aparat, ale docenili moją determinację i dostałem ten kurs. Nauka na kursach Goethego sprawiła, że znałem gramatykę lepiej, niż większość moich znajomych rewolucjonistów. Mogłem więc wtedy zadawać niewinne z pozoru pytania: „A dlaczego mówicie «wegen die Liebe»? A w Goethem uczyli mnie, że «wegen» zawsze używamy z dopełniaczem, więc prawidłowo powinno być «wegen der Liebe»!”. Bo niektórzy z moich alternatywnych gospodarzy mówili gwarą berlińską, która nie uznaje żadnych dopełniaczy.

Ale zanim zacząłem mówić, długo to trwało. Nauka języka, to podstawa, żeby zrozumieć kraj, w którym się mieszka. A Niemcy, które poznałem, były zupełnie inne niż Niemcy znane mi z literatury i propagandy. Na początku węszyłem wszędzie faszystów i hitlerowców. Szczególnie, gdy poszedłem do jakiegoś urzędu, na przykład po wizę pobytową do budynku policji przy Puttkamerstrasse róg Kochstrasse. Uzbrojeni strażnicy przy wejściu, ponure korytarze, czasami niezbyt uprzejmi urzędnicy – prawie wszyscy znani mi Polacy szafowali pojęciami z okresu drugiej wojny światowej. „Szwaby, szkopy, esesmani, hitlerowcy”, najłagodniejszym określeniem było „helmuty” (od ówczesnego kanclerza RFN, Helmuta Kohla). A ówczesny Berlin Zachodni, jako miasto frontowe, wyspa kapitalizmu w samym środku socjalistycznej rzeczywistości, nosił wiele śladów wojny. Czasami w niedzielę chodziliśmy grać w piłkę nożną na trawnik przed spalonym Reichstagem, za którym zaczynał się berliński mur i stolica NRD. Drużyny były międzynarodowe, Turcy, Włosi, Amerykanie, Grecy, Francuzi, kto miał ochotę, ten grał. I zastanawiałem się, jak byłoby tutaj w roku, dajmy na to 1939? Do którego obozu koncentracyjnego trafiłbym jako Polaczek, gdyby przyszła mu do głowy szalona myśl, żeby zagrać w piłkę w międzynarodowym składzie na trawniku przed parlamentem III Rzeszy?

Temat wojny i niemieckich zbrodni był oczywiście stale obecny w rozmowach z moimi znajomymi. Ale dzięki mieszkaniu wśród nich i postępującej znajomości języka poznawałem inne Niemcy niż te z opowieści kombatan-tów i z literatury powojennej. Dużo jeździłem po RFN, bo dzięki współpracy z Wolfgangiem, którego mercedes zdecydował o moim przyjeździe do Berlina, dostaliśmy z publicznej stacji telewizyjnej WDR (Westdeutscher Rundfunk) z Kolonii kilka zleceń na filmy dokumentalne. I z czasem nauczyłem się, że Bawarczyk ma zupełnie inną mentalność niż Saksończyk, skąd pochodzi Szwab i dlaczego jest on stałym bohaterem wielu dowcipów,

dlaczego Kolończyk pije piwo w szklance o pojemności 0,2 litra i jak smakuje prawdziwy Spätburgunder z rejonu Ahrweiler lub z Nadrenii-Palatynatu, co dzieje się 11.11 o godz. 11.11. (am Elften Elften um Elf Uhr Elf) i jak brzmi „Neue Deutsche Welle”.

Po półtora roku starań przyjechała do Berlina moja żona z synem. Bardzo chciałem przybliżyć jej te Niemcy, które poznałem, ale ona źle się czuła nad Szprewą. Nie znosiła niemieckiego, który nazywała szwargotaniem i nie miała zamiaru się go uczyć. Być może odziedziczyła tę niechęć po ojcu, który był partyzantem i walczył na Podlasiu z oddziałami Wehrmachtu. Ale wydaje mi się, że raczej nie lubiła jeździć i poznawać nowych krajów i nowych ludzi. Najlepiej czuła się w mieszkaniu, w którym mieszkała od urodzenia, i w którym mieszkali wówczas również jej rodzice, tam chciała spędzić całe swoje życie. Mieszka tam zresztą do dzisiaj. Zostawiłem więc dla niej swój kolorowy Berlin i wróciłem pociągiem do Warszawy.

Wyjeżdżając 22 grudnia 1983 roku wieczorem z dworca Zoologischer Garten, patrzyłem na samochody jadące przez skrzyżowanie ulic Kanststrasse i Hardenbergstrasse, widziałem w perspektywie ówczesny symbol Berlina, Gedächtniskirche i zastanawiałem się, czy wrócę tutaj kiedykolwiek i czy dobrze robię, że wyjeżdżam, bo wszyscy mi to odradzali. I znowu przyszedł enerdowski celnik, i znowu przewracał moje bagaże do góry nogami, szukając Bóg wie czego, a ja nie miałem poza drobnymi prezentami nic, nawet pieniędzy, bo wydałem wszystko na wesołe życie i projekty filmowe i nie kupiłem sobie żadnego mercedesa, nawet tak starego, jak ten, którym przyjechałem. Wracałem, mając polski paszport, bo nigdy nie chciałem poprosić w Niemczech o azyl polityczny. Ja przecież wyjechałem tylko na chwilę, by odwieźć samochód koledze kolegi.

Warszawa roku 1984 była szara i zabłocona, jak wszystko wówczas. Koledzy z branży filmowej, jeszcze na początku swojej drogi zawodowej, wyśmiewali rządy generała Jaruzelskiego i smutek – beznadziejnego ich zdaniem życia w tzw. komunie – zalewali alkoholem własnej roboty. To był wtedy temat numer jeden: kto z czego robi alkohol i jakie są optymalne składniki w czasach, kiedy cukier był na kartki. W telewizji rządzili pułkownicy i chociaż wspominano tam z sympatią mój pierwszy film zrobiony właśnie dla TVP, to nie miałem jakoś ochoty, żeby zająć się jakimś projektem dla nich. Żeby z czegoś żyć, zacząłem uczyć niemieckiego, w empiku na ul. Foksal. Pani dyrektor pogadła ze mną małe pół godziny i uznała, że mam kwalifikacje.

Przyniosłem więc mój podręcznik z Instytutu Goethego, „Deutsch für Ausländer, Teil 1 + 2” i zacząłem pracę. Żeby trochę urozmaicić naukę uczyłem moich podopiecznych niemieckich hitów, jak np. „Ich bin von Kopf bis Fuss auf Liebe eingestellt” Marleny Dietrich czy „99 Luftballons” Neny, antymilitarystyczny protestsong młodej piosenkarki z Berlina, którą na jakimś przyjęciu poznałem. Wszyscy w empiku patrzyli na mnie trochę dziwnie i szeptali po kątach. Wreszcie pani dyrektor zaprosiła mnie na roz-

moję i poprosiła o korzystanie z podręcznika do nauki języka niemieckiego wydanego w NRD. I wtedy zrozumiałem, że nie mam w tej instytucji czego szukać. Bo w tym podręczniku był inny niemiecki: niesłuchanie konwencjonalny, ze sformułowaniami, których żaden z moich Niemców nigdy by nie użył, z naiwnymi scenkami, które nigdy nie zdarzają się w realu. I niesłuchanie zideologizowany. To był niemiecki socjalistycznej wspólnoty bratnich narodów świata walczących o pokój i demokrację.

Na szczęście odezwał się Wolfgang. Jeden z naszych wspólnych projektów, które zostawiłem w Berlinie przed wyjazdem, został zaakceptowany. Mieliliśmy zrobić długi film dokumentalny, trzy miesiące zdjęć w Niemczech i Turcji, potem montaż. Prawie rok pracy. Podpisałem umowę z Naczelnym Zarządem Kinematografii MKiS, która gwarantowała tej instytucji 20% moich dochodów jako reżysera filmu i w zamian wolno mi było jeździć do Niemiec, kiedy tylko chciałem. Rząd RFN również dał mi wizę na pobyt z tego samego powodu.

Pod koniec 1984 roku wróciłem do Berlina, z którego na dobrą sprawę nigdy nie wyjechałem. Po tym projekcie przyszły następne, pracowałem dla wielu niemieckich stacji telewizyjnych, publicznych i prywatnych, i tak powoli, krok po kroku wrosłem w to miasto, zapuściłem korzenie. Berlin Zachodni to nie Niemcy – ktoś kiedyś powiedział i jest w tym dużo racji. To miasto wielokulturowe i otwarte na nowe pomysły, nawet jeśli dzisiaj ta wielokulturowość stawiana jest pod znakiem zapytania i wiele rzeczy jest skomercjalizowanych.

Zawsze chciałem mieszkać w Berlinie i zawsze na Kreuzbergu. Mieszkam tu już ponad 30 lat! Prawie w tej samej siatce ulic. I zawsze jako Polak, z polskim paszportem. Jakoś było to dla mnie ważne, ale nie ze względów narodowych czy patriotycznych. Chyba z przekory. Bo jako obywatel Polski socjalistycznej, czyli radzieckiej strefy wpływów, miałem gorszą pozycję na Zachodzie niż moi rówieśnicy z Anglii, Francji czy Niemiec. A ja chciałem jeździć po świecie bez konieczności składania sprawozdań kolejnym ekipom politycznym decydującym o naszych losach, dokąd jadę i po co. Marzyłem o wyjeździe do Londynu na występ teatru Petera Brooka, czy do Amsterdamu do Muzeum Van Goghe'a, czy do Berlina, by posłuchać Filharmoników pod batutą Herberta von Karajana – to chciałem jechać, nawet na parę dni. Do 1989 roku było to szalenie trudne, czasem wręcz niemożliwe, zawsze związane z dużymi przeszkodami biurokratycznymi: Wy tłumaczyć urzędnikowi w biurze paszportowym, że chcę pojechać do Berlina tylko na trzy dni, bo właśnie Ella Fitzgerald zapowiedziała swój występ, to była czysta abstrakcja. On patrzył na mnie, jak na idiotę i myślał, że robię go w konia, bo tak naprawdę chodzi o spotkanie z oficerem CIA. Z większym zrozumieniem spotykali się ludzie, którzy szczerze mówili, że jadą do Niemiec, bo chcą popracować na czarno i kupić sobie starego mercedesa, którym będą jeździć „na taksówce”.

Otwarcie muru berlińskiego 9 listopada 1989 roku zastało mnie w mieszkaniu na Kreuzbergu, razem z moją niemiecką towarzyszką życia, Zuzanną. Niedaleko było przejście graniczne na Heinrich-Heine-Strasse i Brama Brandenburska. Tego wieczora i tej nocy byliśmy tam wszędzie, razem z tłumem innych, którzy już wzięli młotki w ręce i walić w betonowe segmenty, wołali: „Die Mauer muss weg!” Wdrapaliśmy się na koronę muru naprzeciwko Bramy Brandenburskiej, spojrzaliśmy na tłum na trawniku, na którym grałem kiedyś w piłkę nożną, jak inni przeskoczyliśmy na drugą stronę muru i poszliśmy w kierunku enerdowskich pograniczników, którzy w luźnym szyku ustawieni byli w strefie, nazywanej popularnie „strefą śmierci” – bo kto znalazł się w niej bez zezwolenia, mógł zostać zastrzelony za próbę nielegalnego przekroczenia granicy. Nie przeszkadzali, gdy przeszliśmy na drugą stronę, na Pariser Platz, na którym dzisiaj fotografują się turyści z brązowym misiaczkiem w koronie, symbolem Berlina. Popatrzyliśmy, co dzieje się na Unter den Linden, ale nie działa się wiele, tłumy napływały do Berlina Zachodniego przez inne przejścia graniczne, więc wróciliśmy.

Tak zaczęła się również dla mnie wolność i droga do Zjednoczonej Europy. Być może dlatego trzymałem się uparcie tego Berlina i tej zaniedbanej dzielnicy Kreuzberg, która jest dzisiaj niesłychanie modna wśród turystów, bo miałem stąd najbliżej do domu, do Polski, do Warszawy, gdzie też mieszkam. Wtedy wystarczyło pójść na Mariannenplatz, tuż obok St. Thomas-Kirche, na zakręcie, gdzie dzisiaj pewien Turek ma na skrawku trawnika swój anatolijski raj, czyli ogródek z warzywami, do 1989 roku stała tam drewniana platforma. Kto się na nią wspiał, widział Berlin Wschodni z wieżą telewizyjną na Placu Aleksandra, a ja widziałem dalej Warszawę. Takiego widoku nie zapewniało żadne inne miasto w Niemczech.

Dzisiaj korzystam z faktu, że Polska jest w Unii Europejskiej.

Mam troje dzieci, dwóch synów mieszkających w Warszawie i będących Polakami i córkę mieszkającą w Berlinie i będącą Niemką, ale to nie ma znaczenia, bo Europa nie ma dla nich granic. Wzrusza mnie, kiedy pytają: tato, jak to było z tymi wizami, kontrolami na granicy?

Stałem się dwujęzyczny – niemiecki znam jak polski, a angielski i hiszpański, którymi tak świetnie się posługiwałem, wyparowały.

Mam mieszkanie w Warszawie i w Berlinie. Obydwa niedaleko dworca. Często jeżdżę pociągiem, czasami nawet dwa razy w tygodniu, bo moja ukochana polska żona Natalia pracuje w Warszawie, a ja w Berlinie. Jest wreszcie tak, jak sobie to – na pewno podświadomie – wymarzyłem: To my decydujemy o tym, gdzie chcemy być. Dzisiaj może być Warszawa, jutro Berlin. To męczące, wiem, dużo jeździmy, ale to cudowne, że mamy te możliwości i że żaden polityk nam w tym nie przeszkadza. Opera w Berlinie, wieczorek taneczny w Warszawie – warum nicht, alles ist möglich.

Kiedy oglądam zdjęcia ze zrujnowanej wojną Syrii, z pięknego kiedyś miasta Aleppo, które wygląda dzisiaj jak Warszawa w 1944 roku po powstaniu, to uświadamiam sobie, że Europa po tych strasznych wojnach nareszcie ma chwilę spokoju. I jak ważną rzeczą jest pokój. I jak ważną rzeczą jest rozmowa i gotowość do zrozumienia drugiej strony.

Warszawa, Berlin, Toskania,
sierpień 2016 roku

KATARZYNA GAWOR

„Niemiecki” w moim życiu

Urodziłam się w roku 1975 w Warszawie i tu spędziłam pierwsze osiem lat mojego życia. Byłam wychowywana głównie przez obie babcie, osoby inteligentne i wykształcone, które usiłowały mi wpoić tradycyjne wartości, to znaczy – grzeczna dziewczynka nie kłamie, za to zawsze zachowuje się przyzwoicie i rozsądnie. Sądzę, że im się to udało.

Od dzieciństwa wiedziałam oczywiście o drugiej wojnie światowej, głównie dlatego, że w Polsce wówczas i nadal do dzisiaj jest bardzo popularny serial o czterech pancernych i ich psie. Oglądając to, można wyciągnąć nieodparty wniosek, iż po pierwsze zwycięstwo zawdzięczamy głównie tym czterem czołgistom i psu, a po drugie, że często ofiarnie wspierali ich żołnierze radzieccy.

Wojna nie była nigdy przedmiotem rozmów w domu, mimo że mój ojciec zawsze interesował się tym tematem i do dzisiaj czyta liczne publikacje na ten temat.

W roku 1983, kiedy miałam 8 lat, wyjechaliśmy z rodzicami do Turcji, gdzie mój ojciec przez 4 lata pracował jako przedstawiciel polskich linii lotniczych. Chodziłam tam do niemieckiej szkoły i miałam fantastyczną i niepowtarzalną możliwość jednoczesnego poznania dwóch tak odmiennych kultur. Do dziś nie jestem w stanie oprzeć się tureckiemu, otwartemu, spontanicznemu i przyjaznemu sposobowi bycia. Chłodnym i stonowanym zachowaniem Niemców byłam jako dziecko mniej zachwycona. Dziś sama zachowuję się w taki sposób. Jestem więc w stanie Niemców doskonale zrozumieć.

Nigdy nie miałam problemów z określeniem swojej tożsamości. Czuję się związana z Polską. Jej kulturą, historią, zwyczajami, choć jestem większą fanką kuchni tureckiej niż polskiej.

Kiedy w roku 1987 musiałam niestety opuścić i Turcję i moją niemiecką szkołę, ponieważ wygasł kontrakt mojego ojca, nie mogłam oczywiście wiedzieć, że te cztery lata, które spędziłam w Istambule, wywrą decydujący

wpływ na moje dalsze życie. Do dzisiaj zarówno Niemcy jak i Turcja są stale obecne w moim życiu, pomimo że nader rzadko odwiedzam te kraje. Pracę licencjacką napisałam o Istambule po niemiecku, pierwszą pracę magisterską – o rozwoju miast tureckich.

Kiedy wróciłam już do Polski moi rodzice chcieli, abym nadal miała kontakt z językiem niemieckim, żeby go nie zapomnieć. Wówczas wcale nie było pewne, czy mi się w przyszłości w ogóle przyda jakiegokolwiek język obcy, może z wyjątkiem rosyjskiego. Wciąż żyliśmy w zamkniętym, komunistycznym kraju i trzeba naprawdę było wykazać się inwencją, wytrwałością i pomysłowością, aby zyskać pozwolenie na wyjazd. Na pewno nie było też łatwo znaleźć nauczyciela dla dwunastolatki, która wprowadzie płynnie, ale nie bezbłędnie mówiła po niemiecku. Ktoś polecił rodzicom młodą Niemkę, żonę Polaka. Spotkania miały miejsce u niej, w jednopokojowym apartamencie młodego małżeństwa. Jeśli jakaś para w takich warunkach dała radę ze sobą wytrzymać, miała prawo z optymizmem spoglądać w przyszłość. Pani była łagodna i miła. Lekcje bardzo mi się podobały, tym bardziej że od czasu do czasu wzbogacane były filmami na kasetach video, głównie komediami z Louisem de Funes w roli głównej, naturalnie z niemieckim dubbingiem. Dlatego kilka lat później dużym szokiem była dla mnie wiadomość, że po pierwsze ten pan jest Francuzem, a po drugie – nie zna prawdopodobnie w ogóle niemieckiego. Te spotkania nie trwały niestety długo.

Potem uczęszczałam na lekcje do teściowej mojej ciotki, która pochodziła z rodziny o niemieckich korzeniach. „Zajęcia” były daleko mniej ekscytujące, szczególnie z powodu braku filmów. Za to starsza dama była przyzwyczajona do dobrze wychowanych dzieci, więc musiałam u niej zawsze grzecznie siedzieć i ładnie się uśmiechać.

Kiedy zdałam do liceum, moi rodzice znów wyjechali na parę lat, tym razem do Chin. Pozostałam w Polsce, bo byłam wtedy głęboko rozczarowana wiedząc, że istniała naprawdę duża szansa na ponowny wyjazd do Turcji. Niestety, tak się nie stało, czego do dziś żałuję.

Wzięłam sprawy w swoje ręce i zaczęłam uczęszczać na kurs do Instytutu Goethego. Ukończyłam go, otrzymując dyplom. Bowiem wówczas miałam już sprecyzowany plan działania: chciałam nauczać języka niemieckiego.

Nauczanie ma długie tradycje w mojej rodzinie. Moja babcia ze strony matki zaczęła już przed wojną pracować w wiejskiej szkole, gdzie uczyła uczniów czterech klas, z których wówczas składała się szkoła. Zdarzało się, że klasa liczyła nawet 70 dzieci. Ponieważ wieś była biedna, babcia zamiast pensji otrzymywała żywność.

Babcia miała też kontakty z Niemcami w czasie drugiej wojny światowej. W roku 1940, podczas łapanki, został pochwycony i wywieziony do Oświęcimia pierwszy mąż babci. Jakiś czas czekała na jego powrót, ale potem zniecierpliwiona, ubrała się elegancko w futro z fok i poszła do gestapo, aby zakomunikować osłupiałemu esesmanowi, że ma życzenie odwiedzić

męża w Oświęcimiu. Moja babcia była wtedy młodą, ładną i jak już wspomniałam elegancko ubraną kobietą. To prawdopodobnie uratowało jej życie. Kiedy nagabywany esesman „doszedł do siebie”, wziął ją pod rękę i szybko wyprowadził na zewnątrz. Proszę tu nigdy więcej nie przychodzić – powiedział zdecydowanie i szybko wrócił do środka. Pierwszy mąż mojej babci zmarł w Oświęcimiu. Po wojnie babcia wyszła ponownie za mąż. Też za nauczyciela.

Moja kariera nauczycielska rozpoczęła się dużo łagodniej. Przez pierwsze dwa lata udzielałam korepetycji, a później nastały złote czasy dla nauczycieli angielskiego i niemieckiego. Gdy Polska od roku 1997 tonęła w głębokim kryzysie, otrzymywałam tak dużo propozycji pracy, że nie byłam w stanie ich wszystkich przyjąć. Polacy nagle zapragnęli, aby ich dzieci uczyły się języków obcych, głównie angielskiego i niemieckiego. Brakowało nauczycieli, ponieważ wcześniej stosunkowo niewiele osób uczyło się tych języków. Dlatego powstały firmy, które zatrudniały nauczycieli i kierowały do konkretnych szkół państwowych lub prywatnych. Wówczas zaczęłam pracować w dwóch państwowych podstawówkach, w najbardziej mrocznej części Warszawy o nazwie Szmulki, gdzie tylko nieliczni mają odwagę opuścić dom po zmroku. Dla mnie było to zupełnie przyjemne miejsce, gdzie w trakcie mojej dwuletniej pracy nie wydarzyło się nic złego, choć mieszkańcy Szmulek prawdopodobnie w tym punkcie nie zgodziliby się ze mną.

Dzieci pochodziły z najróżniejszych rodzin. Uczyłam tam najzdolniejszego ucznia w mojej całej karierze. Chłopiec miał wówczas 10 lat i był uzdolniony we wszystkich możliwych dziedzinach, a szczególnie w sporcie. Pochodził z rodziny robotniczej i wówczas nie był jeszcze zdecydowany, czy w przyszłości chce zostać naukowcem, mechanikiem czy bramkarzem. W jego przypadku rzeczywiście wszystkie te trzy opcje były możliwe. Zaproponowałam mu bezpłatne, dodatkowe godziny i wdzięczna rodzina podarowała mi (jako podziękowanie) małą pomalowaną na zielono szkatułkę z gipsu, która przechowuję na pamiątkę do dziś. Ale były też przypadki tragiczne. Uczyłam też 11-letnią, humanistycznie bardzo uzdolnioną dziewczynkę, której ojciec siedział w więzieniu, matka była alkoholizką, a starszy brat narkomanem.

Naprzeciwko jednej ze szkół znajduje się trzecia co do wielkości bazylika w Europie, gdzie pierwszy raz brałam ślub, a dwa dni po nim – wyjechałam do Niemiec; po upływie zaledwie pół roku „nic nie robienia” – wróciłam do Polski.

Po moim powrocie w roku 2001 wystarczył „jeden telefon” do mojej byłej firmy, aby otrzymać propozycję pracy. Zaczęłam uczyć w prywatnej szkole w Konstancinie i wkrótce zrozumiałam, dlaczego wielu nauczycieli nie chce mieć z prywatnymi szkołami nic do czynienia, mimo że ta praca powinna być dla nich korzystniejsza ze względu na małą liczbę uczniów w klasie. Do szkół prywatnych w Polsce chodzą dwie grupy uczniów – ci,

których rodzice nie wiedzą, że ich pociecha nie powinna chodzić do szkoły prywatnej i ci, których nie chciałaby „trzymać” u siebie żadna rozsądna szkoła publiczna, najczęściej z uwagi na zachowanie. Prowadzenie lekcji w 5-osobowej klasie było często po prostu niemożliwe. Tak długo jak rodzice płacili, nie było żadnych konsekwencji. Wytrzymałam w prywatnych szkołach 5 lat i powiedziałam sobie: nigdy więcej !

Potem rozpoczął się dla mnie bardzo przyjemny okres, który trwa do dzisiaj. Pracuję w szkołach językowych, ucząc najczęściej dorosłych, chociaż i oni zachowują się różnie. Przez kilka lat uczyłam ironiczno-sarkastycznego młodego człowieka, z którym żaden lektor nie mógł wytrzymać. A my rozumieliśmy się doskonale. Rozpoczynałam kursy już o 7:45, ale były osoby, którym ani razu nie udało się przybyć punktualnie; najczęściej jednak słuchacze są zmotywowani i uczenie ich jest przyjemnością.

Obecnie kończę doktorat. Od początku wiedziałam, że jego temat musi być związany z historią, gdyż zawsze się nią interesowałam, ale kiedy myśli się o historii polsko-niemieckiej, pierwszym skojarzeniem jest oczywiście druga wojna światowa. Szukałam jednak pozytywnego tematu. Już jako dziecko, oglądając czterech pancernych, miałam mocne przekonanie, że mimo wszystko, w polsko-niemieckiej historii miały miejsce bardziej optymistyczne wydarzenia, niż tylko wojny. Jako nastolatka czytałam kryminały Joanny Chmielewskiej, która w roku 1939 rozpoczęła naukę w szkole podstawowej. Od klasy czwartej miała lekcje historii prowadzone przez bardzo wymagającą i wspaniale uczącą nauczycielkę, dzięki której cała klasa opanowała dużą wiedzę historyczną, co Chmielewska podkreślała w swojej autobiografii. Dlatego też w jej powieściach można było często odnaleźć wzmianki dotyczące właśnie wydarzeń historycznych. W jednej z nich znalazła się uwaga, iż polscy królowie często poślubiali cesarskie córki. Znalazłam swój „pozytywny” temat. Dlatego dziś piszę doktorat o Habsburżanach na polskim tronie w narracji historycznej i literackiej.

Z racji doktoryzowania się, miałam również możliwość uczenia studentów germanistyki. W semestrze zimowym dostałam grupę składającą się ze studentów pierwszego roku, z którymi prowadziłam ćwiczenia z historii Niemiec. Ponieważ chciałam ich lepiej poznać, spytałam dlaczego zdecydowali się na studia germanistyczne. Odpowiedzi były różne. Niektórzy planowali w przyszłości rzeczywiście pracować jako nauczyciele lub tłumacze z języka niemieckiego, inni po prostu lubili ten język. Był też pewien młody człowiek, który przyznał, że nie miał pojęcia, jakie studia wybrać. Rozpoczął germanistykę, ale widać było że historia Niemiec nudziła go śmiertelnie. Po paru miesiącach zrezygnował, ale mam głęboką nadzieję, że nie z powodu moich zajęć.

W semestrze letnim prowadziłam rozmowy z dziewięcioma młodymi paniami na temat komunikacji międzykulturowej. Było to ich czwarty rok studiów. Moją najaktywniejszą studentką była dziewczyna pochodząca z ro-

dziny polsko-niemieckiej. „Niemiecki tata” poznał „polską mamę” w czasie studiów we Wrocławiu. Kiedy rodzina mieszkała w Niemczech, Alexandra porozumiewała się z mamą po polsku, z tatą i bratem po niemiecku. Teraz brat mówi również płynnie po polsku. Rodzina przeprowadziła się do Polski, ponieważ ojciec otrzymał interesującą ofertę pracy. Alexandra uważa, że poziom nauczania w Polsce jest wyższy niż w Niemczech. Natomiast przyznaje, że młodzi ludzie mają w Niemczech większe szanse zarówno w życiu zawodowym, jak i prywatnym. Jednak zawierane w Polsce przyjaźnie są bez wątpienia dużo głębsze i trwalsze. W Niemczech poznaje się mnóstwo osób, jednak najczęściej powierzchownie. Alexandra chciałaby pozostać w Polsce. Jeśli miałyby pewnego dnia emigrować, to z pewnością nie do Niemiec.

Zapytałam też mojej pozostałe studentki, dlaczego zdecydowały się na studia germanistyczne. Odpowiadały, że już w szkole podstawowej zaczęły uczyć się niemieckiego. Język im się podobał i przyswajanie go nie sprawiało im trudności. Tylko dwie studentki miały rodzinne związki z Niemcami. Jedna pracowała przez rok w Niemczech jako opiekunka, dwie inne chętnie wyjechałyby w przyszłości do Niemiec. Reszta planuje pozostać w Polsce i podjąć pracę, w której mogłyby w pełni wykorzystać swą znajomość niemieckiego.

Przed trzema laty rozpoczęłam też pracę w amerykańskiej korporacji, która między innymi zajmuje się obsługą klienta dla niemieckiego eBaya. Ponieważ chodzi o projekt niemieckojęzyczny, można tu spotkać (oprócz studentów germanistyki, którzy stanowią 80% tej grupy) interesujące osoby z krajów niemieckojęzycznych bądź rodzin mieszanych. Poznałam tam chłopaka, który ma niemieckie imię i mówi fantastycznie zarówno po polsku, jak i po niemiecku. Byłam więc przekonana, że pochodzi z rodziny mieszanej. Kiedy o to spytałam okazało się, że rodzice są Polakami, którzy w czasie, gdy się urodził mieszkali i pracowali w Niemczech, gdzie planowali pozostać, stąd to niemieckie imię. Martin mieszkał tam do siódmego roku życia. To wystarczyło, aby opanować biegle język. Inny kolega ma „polską mamę” i „niemieckiego tatę”. Rodzice poznali się podczas spotkania studenckiego w Niemczech. Lukas mieszkał przez 22 lata w Niemczech, rozpoczął studia, ale ostatecznie zdecydował się na wyjazd do Polski. Niemcy określił jako złotą klatkę, chociaż też przyznał, że młodzi ludzie mają większe możliwości w Niemczech. Uważa jednak, że Polacy są daleko bardziej otwarci i przyjaźni, co według niego jest bardzo ważne. Lukas jest bardzo miły i sympatyczny. Zna imiona wszystkich kasjerek w pobliskim sklepie, a nawet kontrolerów biletów w autobusie, którym dojeżdża do pracy. Nie pytałam o genezę tych znajomości. Ma dwie siostry; starsza studiowała nawet w Polsce, ale później powróciła do Niemiec. Rodzina porozumiewa się w domu po polsku. Kiedy spytałam o tatę, który przecież jest Niemcem, okazało się, że raz rozumie, innym razem nie. Dla Lukasa nie stanowiło to w zasadzie problemu. Cóż, polski ngidy nie był łatwy dla cudzoziemców.

Obecnie młodzi ludzie w Polsce nie mają uprzedzeń do Niemców, a historia nie odgrywa szczególnie ważnej roli w życiu młodego pokolenia. Jeśli chodzi o starsze pokolenie, sytuacja wygląda różnie. Znam pewnego 40-latka, którego dziadek był w Oświęcimiu. Przeżył, ale jego wnuk, który poznał tę tragiczną historię, ma do tej pory wielki uraz do Niemców.

Obecnie, w okresie skomplikowanej sytuacji politycznej i niestabilnej gospodarczo, nie ma w zasadzie wyboru. Musimy starać się o jak najlepsze sąsiedztwo i przyjazne stosunki z Niemcami, aby nie stracić cennego sojusznika, ale też licznych miejsc pracy. Jak już wspominałam, pracuję dla niemieckiego eBaya. Wiele niemieckich firm ma swe filie w Polsce. I ponieważ wszyscy dzisiaj dążą do poprawności we wszelkich możliwych aspektach życia, perspektywy na poprawne współistnienie wyglądają naprawdę optymistycznie, ale wątpię aby było to spowodowane czym innym, niż względami pragmatycznymi. Z tego co wiem, Niemcy chętnie poślubiają Polki. Miejmy nadzieję, że nie tylko dlatego, iż zazwyczaj dobrze gotują.

Kontakty zarówno z Niemcami, jak i z Turcją są ciągle obecne w moim życiu. Wykonując zadania dla niemieckiego eBaya, współpracujemy z Turkami z Istambułu. Dzięki nim na brak zajęć nie narzekamy; co prawda oni nie trzymają się żadnych zasad, wykonują tę pracę według własnego „widzimiś”, ale z wielką fantazją, która często nas zadziwia. Całkiem niedawno jedna z moich koleżanek, która studiowała germanistykę w Warszawie, poślubiła Turka. Zaprosiła mnie nawet do Istambułu, gdzie mieszka z małżonkiem. Mam nadzieję, że niebawem będę miała możliwość ją odwiedzić.

Te dwa kraje – Niemcy i Turcja – sprawiają od niemal 30 lat, że naprawdę nie nudzę się. Wręcz przeciwnie, moje życie jest dzięki temu na pewno barwne i bardziej interesujące.

TERESA GRAUER

Po trzykroć Polska...

Kiedy po skończeniu studiów pojechałam do Polski, aby pracować tam jako *gastarbeiter*, znałam już kraj naszych sąsiadów i cieszyłam się z kolejnej szansy na pogłębienie znajomości kultury i języka ponad to, co mi się już wcześniej udało. Ale chcę zacząć od początku.

Po raz pierwszy przyjechałam do Polski po maturze. Jako dziewiętnastolatka byłam przekonana, że świat stoi przede mną otworem i tylko czeka, abym go odkryła. Chciałam zobaczyć coś nowego, więc zdecydowałam się jechać właśnie do Polski. Tak dokładnie, dlaczego? – nie jestem w stanie powiedzieć. Wydawało mi się to ekscytujące, ale zupełnie nie miałam pojęcia, jak to będzie. Wybrałam się pociągiem na własną rękę, jedynie z dużym plecakiem, kierując się na północny-wschód. Z Dworca Głównego w Tybindze pojechałam przez Berlin i Poznań do Olsztyna, a później dalej – do Skowity. W sumie około 1400 km. Na ponurym i mrocznym dworcu Berlin–Lichtenberg, z którego wówczas jeszcze odchodził ekspres Berlin–Warszawa, rozpoczęła się moja przygoda. Po dwóch tygodniach kursu językowego na Mazurach, które w czasie złotej jesieni przypominały mi Skandynawię, pojechałam dalej do Gdańska. Już wcześniej z Niemiec załatwiłam sobie tam miejsca na praktyki. Z książki do nauczania języka nauczyłam się dwóch zdań: „Mówi Teresa Grauer. Czy Pan/i mówi po angielsku?” Uzbrojona w tę wiedzę, dzwoniłam do różnych instytucji. Jak tylko podchodziła do telefonu osoba mówiąca po angielsku, pytałam o możliwość odbycia praktyki. Ostatecznie otrzymałam je w Nadbałtyckim Centrum Kultury i zaplanowałam zostać tam około 6 miesięcy. Przeżyłam ekscytujący, jeśli nawet stawiający wiele wyzwań okres. Język polski okazał się trudniejszy niż sądziłam, a wiele rzeczy było innych niż w Europie Zachodniej (moja kurtka firmy *Outdoor* mocno rzucała się w oczy). Dopelniaacz i czas przeszły czasowników doprowadzały mnie do rozpacz. Ale spotkałam cudownych ludzi, a przede wszystkim moją współlokatorkę Anię, która studiowała skandynawistykę, mówiła wspaniale po angielsku i po szwedzku, objaśniając mi polski świat

w tych językach. Bez niej musiałabym wcześniej zrezygnować z mojej gdańskiej przygody. Jeszcze dzisiaj pamiętam, jak z anielską cierpliwością uczyła mnie w naszej małej kuchni wypowiadać słowo „szczęśliwy”. Załatwiła mi bilet autobusowy, pokazała miasto i wyjaśniła, dlaczego dla Polaków kościół jest tak bardzo ważny. Poszła ze mną na policję, kiedy najpierw jej, a następnie mnie skradziono portfel wraz z pieniędzmi. Zabrała mnie do swojej rodziny, nauczyła polskiej sztuki picia herbaty i skracala swoim humorem długie zimowe wieczory. W Gdańsku i w Gdyni ukończyłam równoległe praktyki w sumie w trzech instytucjach; zapotrzebowanie na niemiecką maturzystkę nie było zbyt duże. Byłam zaangażowana w małej organizacji młodzieżowej w wymianę polsko-szwedzką, w której uczestniczyłam później również jako opiekunka. W Muzeum Historycznym Miasta Gdańska wykonywałam małe tłumaczenia, grałam na Boże Narodzenie królową śniegu i zajmowałam się niemieckimi turystami. Także w Nadbałtyckim Centrum Kultury robiłam tłumaczenia i zajmowałam się artystami. Pół roku szybko mija i wkrótce nadszedł czas, aby ponownie spakować plecak, pożegnać się z Anią i wrócić do Niemiec.

Znad polskiego morza wyjechałam na studia na niemieckie wybrzeże Bałtyku, do Greiswaldu. Tu spotkałam kolegów, którzy opowiadali rodzinom o konsekwencjach upadku muru berlińskiego i ponownego zjednoczenia Niemiec, zobaczyłam, co oznacza słaby strukturalnie region i poznałam inne Niemcy od mojej ojczyzny w Baden-Wirtembergii. 1 maja 2004 roku, na wyspie Usedom, świętowałam z wieloma ludźmi przystąpienie Polski do Unii Europejskiej i mogłam w czasie studiów obserwować, jak granica stawała się coraz bardziej otwarta. W 2003 roku potrzebowałam jeszcze paszportu, potem do jej przekroczenia wystarczył dowód osobisty, ostatecznie wraz z przystąpieniem do strefy Schengen w roku 2007 – rozebrano płot na plaży, po której do dziś można spacerować między dwoma krajami w tę i z powrotem. Obecnie kolej nadmorska na wyspie Usedom jeździ nie tylko do granicy Ahlbeck, ale dalej – do stacji Świnoujście.

Podczas studiów pojawiła się dzięki programowi Erasmus kolejna możliwość wyjazdu do Polski. Zbyt późno się zgłosiłam i pani z biura wyjazdów akademickich poinformowała mnie trochę ze współczuciem, że pozostały jeszcze tylko „resztki miejsc”. Na szczęście Kraków był również w tej „reszcie”, której nikt nie chciał. Większość pragnęła pojechać do Hiszpanii lub Francji. W tej sytuacji musiałam jeszcze tylko, zgodnie z regułami, złożyć podanie o to miejsce i mogłam w lutym 2006 roku wyruszyć do Krakowa. Kiedy przyjechałam – miasto tonęło w śniegu, ale przeżyłam tam również wiosnę i cudowne lato. Na uniwersytecie odkryłam moje zainteresowanie dla tematu „polityki przeszłości” i mogłam śledzić, jak ustawa lustracyjna w Polsce wywoływała gorące dyskusje. Na jesieni 2006 roku została ostatecznie uchwalona ustawa lustracyjna znacznie poszerzająca krąg osób, które miały być „prześwietlone” w związku z podejrzeniem o współpracę z tajnymi służbami. Między innymi dotyczyła też naukowców – niezwykle kontrowersyjny temat na uniwersytecie.

Mozolnie, kalecząc język, zorganizowałam sobie krótko po moim przybyciu pokój, wprowadzając się do Marty i jej dwójki małoletnich dzieci. Marta, z wykształceniem zaledwie maturalnym, walczyła o pracę i była zostawiona sama sobie, oczywiście z dwójką dzieci i wieloma problemami finansowymi. W tym pięknym, znajdującym się blisko centrum mieszkaniu, od czasu do czasu wyłączano prąd z powodu nieopłaconych rachunków, a telefon służył już od dawna jedynie połączeniom przychodzącym. Powoli zaczynałam rozumieć, jaki wpływ mają pieniądze na życie i wykształcenie. Zrozumiałam, jak wielkie miałam dotychczas szczęście, bo tu – niestety – zdarzało się, że nie było w domu chleba, a córka Marty prosiła rano, abym pożyczyła jej parę złotych, żeby mogła sobie kupić bułeczkę w drodze do szkoły. Podarowałabym jej każdą złotówkę! Do tej pory nie widziałam, żeby lodówka była po prostu pusta. Po moim pobycie – jako uczennicy – w Szwecji, doświadczyłam tu po raz drugi, jak to jest być częścią obcej rodziny. Do dzisiaj Marta jest moją dobrą koleżanką, która rzeczywiście ucieleśnia to, co wiele osób jedynie udaje: patrzy sercem. Status i wpływy osób są jej obojętne.

W sierpniu 2006 roku nie mogłam się niemal oderwać od Krakowa. Letnie wieczory na Starym Mieście, wspaniałe stragany, wycieczki w Tatry, na zachodnią Ukrainę, do Lublina lub po prostu po bliższej okolicy: tęsknię za tym, za polską „lekkością”, w której po prostu żyje się chwilą, która i mnie się udzieliła.

Po tych pozytywnych doświadczeniach w Polsce, wyruszyłam ponownie w roku 2010 na wschód. Jako „gastarbeiterka” zatrudniona w Instytucie Stosunków Zagranicznych, miałam działać, w charakterze kierowniczkii do spraw kulturalnych, wśród mniejszości niemieckiej w Bydgoszczy. Na początku stycznia pociąg, w którym zepsuło się ogrzewanie i którego okna pokryte były kwiatami ze szronu, wlokł się niemiłosiernie z Poznania do Bydgoszczy, czyli dawnego Brombergu. Dzięki położeniu geograficznemu nad Wisłą i Brdą, jak również przez kanał połączony z Notecią, można było stąd dopłynąć statkiem do Odry i dalej do Berlina. To miasto (Bromberg) należało pomiędzy rokiem 1815 a 1920 do pruskiej prowincji Posen i przypadło na mocy traktatu wersalskiego Polsce, gdzie znajdowało się w tak zwanym polskim korytarzu. W czasie drugiej wojny światowej stało się znowu niemieckie, a w roku 1945 – ponownie polskie. Smutną sławę zdobyło na skutek bydgoskiej krwawej niedzieli¹, wydarzenia które miały miejsce zaraz na początku wojny, budzą do dziś kontrowersje wśród historyków. Po wojnie powstały tu zakłady przemysłu chemicznego, które jednak od czasu upadku komunizmu nie przynosiły

¹ **Krwawa niedziela** w propagandzie III Rzeszy na polecenie Josepha Goebbelsa określana jako *Bromberger Blutsonntag* (z niem. *Bydgoska krwawa niedziela*) – wydarzenia, które rozegrały się w Bydgoszczy w dniach 3–4 września 1939 roku, po agresji III Rzeszy na Polskę (kampania wrześniowa), podczas których śmierć ponieśli obywatele polscy, zarówno Niemcy, jak i Polacy – mieszkańcy Bydgoszczy i Pomorza Nadwiślańskiego.

już zysku. Dzisiaj Bydgoszcz próbuje nawiązać do dawnych czasów: miasto reklamuje się jako „mały Berlin” lub też „mała Wenecja” – porównania ambitne, ale mocno naciągane. Bydgoski Uniwersytet Kazimierza Wielkiego konkuruje z potężną i szacowną Alma Mater, w oddalonym jedynie o 50 km Toruniu. Miasto zмага się z bezrobociem i emigracją.

W Bydgoszczy mieszka do dzisiaj mała mniejszość niemiecka. Moją działalność w charakterze kierownika kulturalnego, prowadziłam w Towarzystwie Mniejszości Niemieckiej przy ulicy Żmudzkiej. Moje zlecenie zawodowe brzmiało: przekazywanie aktualnego obrazu Niemiec. Na ten temat organizowałam imprezy kulturalne: odczyty, koncerty i pokazy filmowe aktualnych niemieckich filmów kinowych. Prowadziłam warsztaty w szkołach na temat stereotypów i uprzedzeń, brałam regularnie udział w spotkaniach studentów germanistyki i organizowałam niemiecko-polskie spotkania młodzieży. To wszystko (przynajmniej w teorii), we współpracy i przede wszystkim w służbie niemieckiej mniejszości, o której w Stuttgarcie sądzono, że jest właśnie do tego predystynowana, aby przejąć rolę pomostu pomiędzy Polską a Niemcami. Mowa o grupie ludzi, którzy znają obydwie kultury i w obydwu kulturach czują się swojsko. Niestety, członkowie Towarzystwa Mniejszości Niemieckiej patrzyli te sprawy z innej perspektywy. Spotkałam wiele ludzi, którzy byli rozczarowani zarówno Polską, jak i Niemcami. Od Polski oczekiwano przeprosin za czasy komunizmu, od obydwu – więcej uznania i szacunku. Niemiecka mniejszość, ta którą poznałam w Bydgoszczy w roku 2010, wydała mi się bardzo polska (prawie nikt nie mówił po niemiecku i niespecjalnie okazywał zainteresowanie aktualnymi informacjami o Niemczech), a mimo to była bardzo oddalona od tego wszystkiego, co Polska dotąd dla mnie znaczyła. W domu, jak oceniłam, nikt nie rozmawiał z własnymi dziećmi czy wnukami po niemiecku. Większość powoływała się na swoje niemieckie pochodzenie i próbowała udowadniać, częściowo w sądzie, że ich przodkowie byli Niemcami. Trudne przedsięwzięcie w regionie, który był do 1920 pruski, potem polski, w czasie drugiej wojny światowej okupowany przez wojska Hitlera i po roku 1945 znowu polski. Kto mógł, zmieniał swą narodowość wraz ze zmianą reżimu. Również trudno jest wykazać, że sposób życia był niemiecki. Czy wystarczy jeden napisany po niemiecku list? Kto może dziś potwierdzić, że w domu mówiono po niemiecku? I pytanie, które zawsze sobie zadawano: „po co mi obywatelstwo kraju, którego językiem nie władam i który znam tylko z okazyjnych podróży?”. Odpowiedzi, które otrzymałam nie wydały mi się logiczne: „jako dziecko byłem wymyślany jako Niemiec i wreszcie chcę być Niemcem”. Z niemieckim paszportem łatwiej się podróżuje niż z polskim i wciąż: „ty tego nie zrozumiesz”. Rzeczywiście nie rozumiałam. Natrafiłam tu na światopogląd, o którym sądziłam, że dawno odszedł do lamusa. W biurze, gdzie wisiała flaga Prus Zachodnich (o wymiarach 2x2 metry), miałam przekazać aktualny według mnie obraz Niemiec. Powstawały paradoksalne

sytuacje. Członek niemieckiej mniejszości wyjaśnił po polsku, że Niemcy są bardzo piękne, ale żyje tam zbyt wielu obcokrajowców. Inny opowiedział mi, również po polsku, że Polska jest co najmniej współwinna wybuchowi wojny. Jeśli by spełniono żądania Trzeciej Rzeszy, nigdy by do tego nie doszło. Co miałam powiedzieć, słysząc takie tezy? Spotkałam też przedstawicieli Związku Wypędzonych, szczególnie oddziały z Prus Zachodnich i Wschodnich. Trochę potrwało, nim zrozumiałam, że nazwa Wschodnie Niemcy nie dotyczy nowych landów, lecz dawnych obszarów Prus Wschodnich i Zachodnich. Nie chodziło tu z pewnością o politykę rewizjonistyczną, która kwestionuje dzisiejsze granice, mimo to wyczuwało się na wszystkich zebraniach żal i frustrację. Przedstawiciele związku wypędzonych przynosili członkom mniejszości niemieckiej kawę i miałam na końcu języka, aby powiedzieć, że dziś można w Polsce kupić kawę w każdym supermarkecie. Obydwie strony nie zauważyły, że świat dalej się kręci. Na uniwersytecie w Bydgoszczy i w szkołach wciąż spotykałam ludzi, którzy bez wysiłku i swobodnie poruszali się w przestrzeni niemiecko-polskiej, ale nadal były miejsca, gdzie jeszcze trzeba budować mosty, aby likwidować izolację we wszelkich jej aspektach.

Również w tym mieście nie czułam się swojo. Było mi bardzo trudno nawiązać prawdziwe przyjaźnie, mimo że spotykałam wielu ludzi i śpiewałam w chórze...Mój, dotychczas tak pozytywny obraz Polski, zmienił się. „Doświadczyłam” Bydgoszczy, jako miasta ograniczonego, staroświeckiego i mało kreatywnego. Ale zostałam w nim przez prawie dwa lata. W mieście, gdzie według ankiety przeprowadzonej przez miejscową gazetę, 60% mieszkańców nie czuło się bezpiecznie. W mieście, o którym wielu Polaków w Niemczech mówiło: „ach, przejeżdżam tamtędy – ale jeszcze nigdy nie wysiadłem”. Wysiadać się nie opłaca, ale ruch na ulicach i tak jest ogromny. Liczyłam dni do odjazdu. Nareszcie się stąd wydostać. Do dziś nie mam ochoty pojechać do Bydgoszczy. Kiedy w roku 2003 po raz pierwszy wyruszyłam do Polski, wiedziałam o niej niewiele. Na lekcji historii nauczyłam się, że druga wojna światowa rozpoczęła się od napaści na Polskę.

Być może potrafiłabym jeszcze wymienić Warszawę jako stolicę. I chyba nie tylko przypadkiem „wylądowałam” w Gdańsku. Moja babcia ze strony ojca urodziła się tu, w Wolnym Mieście i uciekła stąd, jak wielu innych, w ostatnich dniach wojny na zachód. Wcześniej zmarła i nigdy jej nie poznałam. Ale słowo Gdańsk padało w naszej rodzinie niejednokrotnie. Zaledwie jeden czy dwa miesiące po moim nieoczekiwanym wyjeździe, stałam pewnego późnojesiennego dnia na Westerplatte i ten abstrakcyjny wybuch wojny, o którym słuchałam w szkole, nagle został umiejscowiony – a ja pojęłam, jak i gdzie rozpoczęła się ta straszna wojna. Jej początek „odnalazł” swoje miejsce, które w dodatku znali wszyscy moi polscy przyjaciele i znajomi. Wszyscy wiedzieli o godzinie 4:45. W gdańskim muzeum widziałam zdjęcia zbombardowanego miasta i spacerowałam tego samego dnia przez miasto, które zostało odbudowane z detalami przez Polaków, obserwowałam

sceptycznie „rodzimych turystów” i powoli zaczęłam rozumieć, jak głęboko tkwi zadra, którą wojna wbiła pomiędzy Polskę i Niemcy. Jak niewiele wiedziałam w wieku 19 lat o stosunkach niemiecko-polskich i historycznych powiązaniach, uświadamiam sobie to również dzisiaj, kiedy wspominam, że po maturze właściwie nie miałam ochoty zajmować się tym tematem. Szkoła, w której robiłam maturę, nosiła imię siostr Scholl, i sama nazwa była programem: na każdym przedmiocie tematyzowano Trzecią Rzeszę. Oczywiście – głównie na historii i na niemieckim, ale też na chemii i matematyce. Każdego roku z okazji Dnia Holokaustu uczniowie obowiązkowo brali udział w imprezie: odczycie, demonstracji ze świecami itp. Pod koniec szkoły już nie mogłam o tym słuchać. Gdybym mogła przewidywać, jak bliski stanie mi się ten temat przez moje podróże do Polski, zostałabym w domu. Zainteresowała mnie jednak historia po roku 1989 i chciałam wiedzieć, jak mogło dojść do upadku muru berlińskiego. Byłam zafascynowana tym historycznym przypadkiem.

W sumie żyłam w Polsce trzy lata. Nawet mówię po polsku, choć nadal myślę końcówki, ale wiele osób uważa, że dorastałam w rodzinie dwujęzycznej. W ekspresie Berlin–Warszawa czuję się dobrze, chętnie spaceruję po Nowym Świecie, po bazarach na Pradze, po Starówce w Krakowie i zaczerpniętym Lublinie. Polska stała się dla mnie czymś w rodzaju drugiej (lub trzeciej) ojczyzny. Być może też dlatego, że widziałam różne, a nie tylko najlepsze strony tego kraju.

(Przełożyła: Katarzyna Gawor)

HARALD GRÖHLER

Wspomnienia

Dzieje mojej rodziny, także moje osobiste, w ogóle całego naszego rodzinnego klanu, wydają się być miniaturą większej całości polsko-niemieckiej historii. W każdym razie są pełne szczegółów dotyczących sąsiedztwa naszych państw. Miałem dwadzieścia dziewięć lat, gdy po raz pierwszy swoim „fiatem 500” pojechałem do Polski. Było to latem roku 1967. Wówczas byłem jeszcze studentem, który nie mógł ukończyć swojej edukacji, bo stale pochłaniało „go” coś nowego – wtedy akurat kultura, historia i sztuka Polski.

Był to czas, kiedy trzeba było najpierw „pokonać” granicę między Niemcami Zachodnimi a NRD, a potem jeszcze między NRD a Polską. Szczególnie we Frankfurcie nad Odrą NRD-owska straż graniczna poddała mnie ostrej kontroli, długo sprawdzając, co wiozłem i przesłuchując – jak w prokuraturze. Wojskowych i celników interesowało, dlaczego – ich zdaniem – tak długo jechałem przez Niemcy Wschodnie (NRD), nim dotarłem do Frankfurtu. Pytali mnie, gdzie zatrzymywałem się po drodze, a także o to, po co jadę do Polski? W porównaniu z tym kontrolę w wykonaniu Polaków w Słubicach, zarówno przy wjeździe, jak i wyjeździe – były zwykłą formalnością, co niezwykle pozytywnie zaskoczyło wtedy zarówno mnie, jak i moją partnerkę, która ze mną jechała. Tego, że Niemcy mogą tak drobiazgowo kontrolować Niemców – szczerze mówiąc – nie spodziewałem się. Myślałem, że to raczej Polacy będą służbistami, a tymczasem byli oni bardzo uprzejmi i wręcz szarmanccy.

Dlaczego wówczas jechałem do Polski? Chciałem swojej przyjaciółce (wobec której miałem poważne plany na przyszłość) pokazać, gdzie spędziłem swoje dzieciństwo, pochwalić się kilkuhektarowym dawnym gospodarstwem moich rodziców, tam gdzie przyszedłem na świat. Byłem też ciekaw, co tam spotkam „po latach”, jak dziś wygląda nasz były majątek i porównać z tym, co jeszcze tkwiło w mojej pamięci.

Przed wyjazdem zostałem ostrzeżony przez rodziców jednego z moich kolegów, że Polacy, którzy już od ponad 20 lat gospodarowali na tych „po-

niemieckich” ziemiach, mogą moje odwiedziny potraktować źle. Sądzą bowiem, że Niemcy tacy jak ja przyjeżdżają na „stare śmiecie” tylko po to, aby przygotować obecnych właścicieli, że kiedyś i tak tam powrócą.

Ja takich myśli nigdy nie miałem!

Ale bardzo chciałem zobaczyć „rodzinną ziemię” i utrwalić w sobie piękno północno-sudeckiego krajobrazu. Nawet przy tej okazji wyznam więcej, w głębi duszy szczerze akceptowałem to, co po wojnie przytrafiło się Niemcom i tym na pewno różniłem się od wielu moich współziomków, którzy długo nie mogli pogodzić się z nowym łaodem i nie przyjmowali do wiadomości, że sami przyczynili się do tego. Krótko mówiąc, jechałem z pozytywnym nastawieniem w te „odwiedziny” ze zwykłej ludzkiej ciekawości, a także po to, aby odświeżyć przeżycia zapamiętane z dzieciństwa.

Chciałem jeszcze raz zobaczyć, założony przez mojego ojca staw, w którym omal nie utonąłem, będąc jeszcze dzieckiem.

Chciałem też sprawdzić, co rośnie na polach, które tata, oprócz naszego gospodarstwa, dzierżawił. Wtedy założył na nich sad z różnymi gatunkami jabłek. Byłem ciekaw, jak będą smakowały pół wieku później?

Ale gdy już jechaliśmy po polskich szosach, zadawałem sobie w myślach dziesiątki pytań: czy obecni gospodarze będą dla nas uprzejmi?

Czy w ogóle otworzą nam drzwi, gdy zapukamy i powiemy, kim jesteśmy?

Czy zaproszą nas do domu i przynajmniej pozwolą obejrzeć miejsca, w których się wychowywałem i które pamiętałem z perspektywy małego dziecka? Czy nie będą mieli nic przeciwko temu, żebym mógł pójść do przydomowego ogrodu i nad staw, w którym omal nie doszło do tragedii?

Gdy dotarliśmy na miejsce, od razu rzuciły mi się w oczy zmiany w stosunku do tego, co pamiętałem. Tam, gdzie kiedyś ojciec miał ogromny murowany magazyn na owoce, teraz znajdował się warsztat samochodowy. Jedynie na wybetonowanym przed nim placu, stała niezardzewiała jeszcze maszyna do sortowania jabłek. „Zaakceptowałem” te zmiany, bo ludzie mieli przecież pełne prawo do tego, aby wszystko co zastali, dostosować i wykorzystać dla do swoich potrzeb?

Obecny polski właściciel nie był już tym, który w 1945 roku przejął to gospodarstwo po moich rodzicach. Tamci w roku 1946 wrócili do Krakowa, skąd pochodzili, sprzedając za dolary pozyskane wcześniej gospodarstwo, mimo, że za posiadanie wówczas zachodniej waluty, zwłaszcza dolarów, groziła w Polsce nawet kara śmierci. My zaś wtedy, gdy byliśmy wyrzucani, to znaczy moi rodzice wraz z najbliższymi – jak wielu innych wysiedlonych wówczas Niemców – powędrowaliśmy do nowego Heimatlandu („ojczyzny”), skąd teraz jechałem w te odwiedziny.

Razem ze swoją przyjaciółką postanowiliśmy w Krakowie odszukać tych, którzy jako pierwsi przejęli majątek po moich rodzicach, choć pierwotnie nie mieliśmy takiego zamiaru. Nazywali się Skibiccy i udało nam się ich odnaleźć. A przy okazji zwiedzić to piękne miasto, czego wcześniej też nie

mieliśmy w planie. I przyznam, że mimo iż studiowałem wtedy historię sztuki na uniwersytecie w Kolonii, to zabytkami, które nagle zobaczyłem na żywo, zostałem oczarowany. Nie tylko przepięknymi obiektami sakralnymi, ale przede wszystkim cudownymi renesansowymi kamieniczkami mieszkalnymi, znajdującymi się pomiędzy Rynkiem a Wawelem!

Byłem pełen podziwu, że nawet podwórka, na które zaglądaliśmy, od wieków wydawały się niezmienione. Jakby zostały zmumifikowane. I od razu pomyślałem, że to byłoby chyba w mojej niemieckiej ojczyźnie niemożliwe, aby z takim pietyzmem zachować w niezmienionej postaci te historyczne, o wielkiej wartości, kamienice. Ale Polacy zawsze słynęli z odbudowy zabytków!

Pani Skibicka, gdy ją odnaleźliśmy, z wielką pasją opowiadała nam o Krakowie i okazało się, że wiedziała również wiele o moim ojcu, który wtedy już od dawna nie żył. Nawet podobno rozstali się w zgodzie, gdy on musiał opuścić, a oni przejmowali jego gospodarstwo! Mój Boże, przyszło mi na myśl, czy to możliwe, że rozstali się w zgodzie? Tym bardziej, że ojciec w ogóle nie garnął się do zawierania znajomości? Był pod tym względem na swój sposób dziwakiem, raczej typem samotnika, a tu nagle dowiaduję się, że powstało między nimi jakieś porozumienie i zgoda na to, co się wydarzyło? Jak to było możliwe?! Ale niezbadane są wyroki boskie...

A może pani Skibicka chciała świadomie zafalszować prawdziwą historię przejścia od moich rodziców ich majątku? I sądziła, że ja – młody wówczas jeszcze człowiek – uwierzę w te „opowieści”? Moja głowa pękała od natłoku myśli! Nie mogła przecież znać lepiej mojego ojca ode mnie? Dzisiaj, gdy piszę te wspomnienia, pani Skibicka również nie żyje. Więc trudno jest po latach zweryfikować jej ówczesne słowa. Ale może pozostawiła po sobie jakiś pamiętnik? Jak go teraz ewentualnie odnaleźć? Chyba, że jeszcze raz wybiorę się w taką podróż?

Moja polsko-niemiecka „przygoda” potoczyła się w międzyczasie dalej. Na wiosnę następnego roku (2016) zostałem zaproszony do Jagniątkowa, do polskiego Muzeum Gerharta Hauptmanna na wieczór promocyjny dwujęzycznej książki, wydanej przez Uniwersytet Wrocławski, a mówiącej o jego polsko-niemieckich powiązaniach. Książka oparta została na osobistych wspomnieniach Polaków i Niemców, którzy znali osobiście tego niewątpliwie wielkiego pisarza, a ponadto na fragmentach prac magisterskich studentów z Instytutu Germanistyki tegoż uniwersytetu. Wybieram się na to spotkanie i może kiedyś powstanie z tego także podobna relacja?! (I może pan Karol Czejarek, który jest inicjatorem tej publikacji, wyda z panem Tomaszem Pszczółkowskim kolejną książkę w ramach projektu „Kultura pamięci w Polsce i w Niemczech”, który zamierzają realizować?). Ale wracam do przerwanej opowieści rodzinnej.

Mój ojciec, który podobno „dogadał się” z panią Skibicką, co jest mimo wszystko możliwe, nie odbył w 1945 roku wspólnej drogi, z całą rodziną

i innymi wysiedleńcami, z Warmbrunn (dziś Cieplice Zdrój) w rejon północnej Bawarii, konkretnie do Fichtelgebirge, gdzie ostatecznie znaleźliśmy się. Tuż bowiem przed zakończeniem wojny został wcielony do Volkssturmu (pospolitego ruszenia). Udało mi się ustalić, że jego zadaniem było śledzenie przez lornetkę wojsk sowieckich idących na zachód, w rejonie śląskiego Głogowa i meldowanie o tym niemieckiemu dowództwu.

Określenie „wojska sowieckie” jest moje, gdyż wówczas na Armię Czerwoną mówiono po prostu – „die Russen” (Ruscy), co było określeniem dla nich pogardliwym. W tym czasie generał – major Reinhard Gehlen sądził, że uda mu się, m.in. innymi przy pomocy Volkssturmu, zatrzymać front na wysokości Głogowa! Ale któregoś dnia rosyjski pocisk artyleryjski trafił w punkt obserwacyjny, w wyniku czego dr Gröhler (jak w rodzinie nazywano mego ojca), został poważnie ranny w nogę i znalazł się w sowieckim łagrze. Tam, gdy dowiedział się, że obóz ma zostać przetransportowany w głąb Rosji, postanowił ze swoim kolegą – mimo poważnej kontuzji nogi – uciec i ukryć się u mojej cioci w Cieplicach (która jako Ślązaczka została w Polsce). I to mu się udało.

W 1946 roku ojciec wraz ze swoimi rodzicami – za staraniem władz angielskich – mógł opuścić Śląsk i dotarł w Westfalii. I dopiero po pewnym czasie dołączył do naszej, liczącej wówczas sześć osób rodziny. Opowiadał nam o tym, co się z nim działo i było to przerażające. Ale takie to były wtedy czasy! Trudne dla wszystkich, w tym również dla przegranych Niemców.

Myśmy naszą „podróż” do Niemiec odbyli pociągiem sanitarnym z setkami rannych, ale przynajmniej jechaliśmy, kiedy tysiące innych ludzi musiało wędrować pieszo, koczując nocami w przydrożnych rowach. Za to do dziś prześladowe mnie zaduch szpitalny, a po nocach nadal śnią mi się pielęgniarki w bieli, ale raczej jako „łapiduchy”, które nie patyczkują się z rannymi.

Do tego pociągu wsiedliśmy z mamą na bocznicy w Jeleniej Górze. Była noc, ale mimo, że mieliśmy „przydział” na ten pociąg, mama musiała błagać obsadę, by zlitowali się nade mną, wówczas jeszcze małym dzieckiem. I udało się! Bo inaczej również i my musielibyśmy pieszo, tylko z małym podręcznym bagażem, wędrować dalej.

Ten pociąg – szpital – włókł się jednak w okropny sposób, jakby w ogóle nie miał lokomotywy. Do tego w nocy było niesamowicie ciemno, bo wszelkie światła były wyłączane, by nie stały się celem ataków bombowych.

Dzieci było kilkadziesiąt w tym pociągu, więc przy dłuższych postojach próbowaliśmy wyrwać się spod matczynej opieki, by choć trochę pobiegać po torach, a czasami też obok wolno poruszającego się pociągu. Nigdy zresztą nie było wiadomo, kiedy ruszy i gdzie będzie następny postój. Była totalna dezinformacja, ale nam – dzieciom specjalnie to nie przeszkadzało. Nie mogłem tylko zrozumieć, dlaczego moja mama niemal ciągle płakała? Tylko ten fetor rozchodzący się od rannych w pociągu był nie do zniesienia i dziś

– mimo upływu tylu lat – czuję go jeszcze „w sobie”. Przypominał gnijące jabłka, choć byłem do tego zapachu przyzwyczajony, jako że zdarzało się, gdy nie były transportowane od razu do sprzedaży, gniły na kompostowni. Ale wówczas, gdy „jechałem” tym pociągiem, marzyłem, aby ten koszmar jak najprędzej się skończył. Żebym mógł znów zobaczyć normalnych, nieobandażowanych żołnierzy, a nie spoglądać tylko na umierających i cierpiących ludzi. Choć ci starali się być dla nas dzieci bardzo uprzejmi, głaskali po głowach, podnosili do góry, dzielili się z nami także swoimi skromnymi racjami żywieniowymi.

Później dowiedziałem się, że na ten pociąg dostaliśmy się dzięki Gehlenowi, który kiedyś kochał się w mojej mamie (jak ustaliłem – był on wówczas szefem SS w naszym rejonie) i od czasu do czasu nawet dzwonił do niej. Nie wiem, czy mój ojciec o tym wiedział? Ale dzisiaj jest to nieważne.

Wreszcie po jakimś czasie udało nam się przesiąść do innego pociągu, którym dotarliśmy do Wałbrzycha (wtedy jeszcze Waldenburg), nasz bowiem wcześniej „skręcił” w kierunku Pragi, a stamtąd do Budapesztu, zabierając po drodze rannych. I pewnie przywiózłby ich wszystkich do Rzeszy, gdyby któregoś dnia nie został zbombardowany i całkowicie zniszczony. Możemy więc mówić nawet o pewnym „szczęściu”, które nas wówczas – dzięki przesiadce – spotkało. Przeżyliśmy szczęśliwie mordęgę deportacji, docierając wreszcie do nowego miejsca przeznaczenia, w którym przebywamy do dziś.

Długo jednak nie mogliśmy się przyzwyczaić do dialektu frankońsko-bawarskiego. Ojcu, kiedy już wrócił, nowy język też wydawał się bardzo prymitywny. Przez jakiś czas i to trwało nawet dość długo, nie rozumieliśmy w ogóle miejscowych ludzi. W przeciwieństwie do tego „polski” wydawał się dr Gröhlerowi (jak wciąż zwracano się do mojego ojca) o wiele łatwiejszy. Moje siostry i bracia oraz ja, nie mieliśmy jednak większego kłopotu z nauczeniem się nowej gwary. Z pewnością pomogły nam w tym nasze nowe koleżanki i koledzy w szkole. Ale w domu rozmawialiśmy „po staremu”, czyli „po śląsku”. To znaczy – ani porządnie po niemiecku, ani po polsku.

Ojciec długo nie mógł się odnaleźć w nowym środowisku. On – właściwie jeszcze nie tak dawno dużego gospodarstwa i sadu – tutaj stał się „gospodarzem” zaledwie niewielkiego ogródka przydomowego, powiększonego o ogródek jego szwagierki, która mieszkała obok. Na tym skrawku ziemi gospodarzył, głównie dbając o warzywa dla domowych potrzeb naszej rodziny. Przez jakiś czas żyliśmy z pieniędzy, które matce udało się pozaszywać w ubraniach i zabrać ze sobą.

Na szczęście miejscowy Ratusz od razu, gdy tylko przybyliśmy, objął nas swoją materialną pomocą. Dr Gröhler, gdy do nas dołączył, chciał początkowo nająć się jako nauczyciel w miejscowej szkole rolniczej, co mu się jednak nie udało. Nawet interwencje w Ministerstwie Rolnictwa w Monachium na nic się zdały. Nie był katolikiem, ani też urzędnikiem wcześniej, był tutaj

„obcym” dla Bawarczyków. Wiedza rolnicza, a zwłaszcza sadownicza, nie była tu nikomu potrzebna. I ponadto dla miejscowych był „Ślązakiem z Polski”, czyli obywatelem jakby drugiej kategorii.

Ale głodu, a było nas pięcioro dzieci w domu, nie cierpieliśmy, natomiast wszyscy musieliśmy pracować!

Początkowo zbieraliśmy grzyby w okolicznych lasach. Suszyliśmy je i sprzedawaliśmy, a także sami jedliśmy w najprzeróżniejszej postaci.

Dla miejscowych dzieci byliśmy tymi, którzy przeżyli wojnę i poznali jej dotkliwe skutki, więc nasi rówieśnicy chętnie rozmawiali z nami o tym, a my cieszyliśmy się, że wojna się skończyła i nie było już słychać odgłosów zbliżającego się frontu, a przede wszystkim strachu przed „ruskimi”.

Zdziwiło nas, że miejscowe domy nie były tak, jak na Śląsku otoczone parkanami. Więc można było biegać i bawić się „w wojnę” dosłownie wszędzie. Zresztą w latach 1945–1947 Europa Środkowa też próbowała się jednoczyć, szkoda tylko, że nie trwało to długo, gdyż wkrótce tzw. żelazna kurtyna znów podzieliła narody. Zachód odseparowywał się od komunistycznego Wschodu. Ojciec żałował, że „jego” Śląsk pozostał po drugiej stronie! Z tego inne dzieci, z którymi chodziliśmy do szkoły, nie zdawały sobie sprawy. A stojące na bocznicach wypalone, bądź zniszczone lokomotywy i wagony towarowe, służyły nam do zabawy w chowanego. Dokładnie wiedzieliśmy, gdzie te „pociągi” stały na bocznicach, bo ojciec w końcu przyjął propozycję Arbeitsamtu (urzędu pracy) i został pracownikiem kolei. To wszystko, co zapamiętałem z tamtych czasów.

Jeszcze może i to, że w tych opuszczonych wagonach kolejowych można było znaleźć dużo prawdziwej amunicji, co było bardzo niebezpieczne, ale nie zdawaliśmy sobie wtedy z tego sprawy. Zdarzyło się, że któregoś dnia kula karabinowa, którą tata odebrał mojej siostrze, wybuchła mu w rękę, pozbywając go kilku palców.

Były to czasy tzw. „czarnego rynku”, wokół handlowano dosłownie wszystkim, czym się dało; to zjawisko nie ominęło także czterotysięcznego miasta przemysłowego Schönwald, leżącego na skraju niewielkiego pasma górskiego „Fichtelgebirge”, w którym los nas osiedlił. Nie bardzo wtedy wiedziałem, co oznaczało słowo Schwarzhandel (handel na czarno), które słyszało się na każdym kroku.

Najgorzej utratę dawnej ojczyzny przeżywali nasi dziadkowie ze strony ojca, którzy wkrótce w ramach łączenia rodzin – dołączyli do nas w Schönwaldzie. Moja prababcia, która przed wojną mieszkała we Wrocławiu (wtedy Breslau), miała do pomocy służące, a tutaj wszystko robiła sama, a w dodatku musiała w 1945 roku przekazać swoje „salony” 24 letniej kobiecie o imieniu Władka, która dostała od swoich nowych polskich władz przydział na to mieszkanie! Dziadkowie musieli wtedy (dopóki nie wyjechali) ograniczyć się do jednego, najmniejszego pokoju. A najbardziej nie mogła pogodzić się z tym babcia, że z Pani – właścicielki mieszkania,

stała się nikim, bo tylko „z łaski” pozwolono jej przez jakiś czas jeszcze pozostać w tym mieszkaniu.

Gdy w 1921 roku na słynnej górze św. Anny na Śląsku, odbywały się uroczystości upamiętniające powstania śląskie przeciwko Niemcom, w domu pradziadków – jak się dowiedziałem – doszło do kłótni między małżonkami; dziadek mimo wszystko sprzyjał Polakom, przeciwnego zdania była babcia! I takie „kłótnie” dzieliły wiele rodzin. Przy okazji dodam, że góra św. Anny jest najwyższym wzniesieniem na Górnym Śląsku i także od wieków miejscem kultu maryjnego śląskich katolików. Moi rodzice często kłócili się też na temat szczególnej sympatii mamy do wspomnianego już parokrotnie Gehlena. Wiadomo, zazdrość małżeńska poróżniła już niejedną rodzinę. Ale wracając do „apelu poległych” na górze św. Anny w roku 1921. Wymienię niektóre nazwiska: Hans (Jan) Sobota, Friedrich Hanke, Eugen Jänisch. Było tak, że jedni umierali za Niemcy, drudzy za Polskę. Biedni byli ci Ślązacy, bo nigdy nie mogli sami stanowić o sobie. W każdym razie temat „polsko-niemiecki” był często obecny w naszej rodzinie (jak i osoba Gehlena!).

Nazwisko to pojawiło w naszej rodzinie „po wojnie”, gdy się okazało się, że to on – po roku 1945. – wpływowy dziennikarz, pomógł matce w znalezieniu pracy dla mojego ojca na kolei! Mało tego, doszło nawet do mojego spotkania z nim. I to w jego posiadłości na Waldstrasse 29, w Bergu; czyżbym – pomyślałem – jemu zawdzięczał swoje życie? Przecież tyle razy zadbał o moją mamę, także o mnie i nawet o dr Gröhlera. Ale dałem temu Panu, to znaczy Reinhardowi Gehlenowi – jak to się mówi – „odprawę”. Po moim spotkaniu z nim, mama zaczęła go unikać i chyba raz na zawsze zerwała z nim wszelkie kontakty.

Dla mnie Gehlen to postać nieciekawa, typowy nazistowski karierowicz, zdecydowanie też antagonistyczny wobec Polaków i Polski.

Te wszystkie wspomnienia odżyły we mnie, i to z wielką siłą, gdy w 1967 roku po raz pierwszy jechałem do Polski. Wracając z tej podróży „w przeszłość,” wiozłem małym fiatem, w prezencie swoim siostram, pestki z jabłek z byłej plantacji mojego ojca. A w podziękę za gościnę, obecnym właścicielom naszego gospodarstwa, wysyłałem przez jakiś czas białe reńskie – znakomite – wina.

Z Polską czuję się także do dziś związany przez „założyciela” Katowic, którym był mój przodek Friedrich Wilhelm Grundmann, a także mój prapradziadek, który nazywał Carl Mauve. Katowice przez długie lata były taką trochę większą wsią. Jeszcze w 1830 roku liczyły zaledwie 294 mieszkańców; dopiero aktywność gospodarcza – wspomnianego Grundmanna – uczyniła z tej wsi prosperujący ośrodek węglowy i produkcji stali! Jeszcze za życia tego dynamicznego, jak byśmy dzisiaj powiedzieli – przedsiębiorcy – nazwano główną ulicę jego nazwiskiem, a wcześniej była to „Industriestraße”(ulica Przemysłowa).

A o tym, że rodowici Niemcy często bratali się z Polakami niech świadczy fakt, że dyrektor generalny „Tiele-Wincklerschen Gruben- und Hütten-

werke” (kopalni i hut należących do Grundmanna) był ożeniony z prostą, zwykłą, pochodzącą ze wsi kobietą, która z domu nazywała się Prusowska i była oczywiście Polką.

W latach 1855–1872 następuje dynamiczny rozwój miasta i już wtedy uważano Katowice za najmodniejsze, a jednocześnie najmłodsze wówczas miasto w Europie!

Szkoda, że współcześni Polacy nie wiedzą o tym, że znaczenie dzisiajszych Katowic zawdzięczają w dużym stopniu Niemcom. Ludzie, z którymi rozmawiałem w Katowicach, nie znali tej „historii”. A zasługi dla rozwoju miasta miał także mój prapradziadek Carl Mauve. On też miał „swoją” ulicę w przedwojennych Katowicach. A mieszkał w słynnej ongiś willi Grundmanna, leżącej na trasie w kierunku dzisiajszych Mysłowic. Była to – jak na owe czasy – niezwykle budowla w neoklasycystycznym stylu, potężna, wyglądająca jak kościół. Mój przodek odkupił ją w 1872 roku za 48 000 Marek + 18 000 Marek zapłacił za działkę, na której została wybudowana. Ten dom, z ogrodem zimowym i specjalnym systemem zaopatrzenia w wodę, przetrwał do lat sześćdziesiątych ub. wieku. Zachował się jeszcze portret mamy – małej wówczas dziewczynki – malowany na jego tle. A autorem portretu był znany wówczas powszechnie polsko – śląski akwarysta Ireneusz Botor.

Dlaczego w ogóle piszę o tym wszystkim? Bo im bardziej posuwam się w latach, czuję w sobie potrzebę opowiedzenia prawdy o tym, jak bardzo to, co polskie było zrośnięte z tym, co niemieckie i odwrotnie. Jedno nie mogło żyć bez drugiego! I oto cała biografia mojej rodziny. Ja też – osobiście – czuję się Niemco-Ślązako-Polakiem!

Jak najbardziej przyznaję się do tego. Chodzi o to, aby następne po nas pokolenia знаły prawdę i zadbały o przyjazną, jeśli nie braterską, wspólnotę z Polakami.

(Przełożył: Karol Czejarek)

OLAF HERRMANN

Dziecko okupanta z „Portu Gotów”

Mój ojciec był w latach 40. pomocniczym meteorologiem na okręcie „Aviso Grille”¹. W albumie znalazłem zdjęcia jego i mojej matki na wybrzeżu gdyńskim. Podpis pod zdjęciem brzmi: „Zaczęło się w kwietniu” (1941). To mógł być też miesiąc „powstania” mojej osoby.

Matka była urzędniczką w administracji Wehrmachtu i często przebywała na podbitych obszarach Europy. Takie życie bardzo się jej podobało. Podróżując z Oslo do Belgradu korzystała niekiedy z Luftwaffe. Oficjalnie i nieoficjalnie. Za karton papierosów czy butelkę wysokoprocentowego alkoholu mogła od czasu do czasu polecieć z Oslo do Narwiku lub właśnie do „Portu Gotów”². Przynajmniej tak wynikało z opowieści, które – jak zawsze – słyszałem przez przypadek, kiedy opowiadała innym ludziom bądź krewnym o swoim życiu. Oczywiście nie wiedziała, że wszystko słyszę.

Jeszcze będąc dzieckiem, dowiedziałem się z podsłuchanej opowieści matki, że najstraszniejszym służbowym przeżyciem była jej obecność przy rozstrzelaniu jeńców w Belgradzie. Jak mówiła, jeden z „delikwentów” był tylko półprzytomny i błagał pokornie o życie. Zastrzelono go na jej oczach. Wystawioną na tę okazję przepustkę (z 28 lipca 1941), która pozwoliła jej przejść wszystkie stanowiska kontrolne, znalazłem później w jej „spuściznie”. W tym czasie moja matka była już ze mną w czwartym miesiącu ciąży.

Życie w Porcie Gotów (czyli w Gdyni), było znacznie przyjemniejsze, a samo miasto szczególnie oczarowało matkę. To nie był tylko romans

¹ Grille – niemiecki okręt wojenny klasy awizo z czasów II wojny światowej. Nazwa kontynuowała tradycję królewskiego jachtu pruskiej admiralicji SMS „Grille”.

² Gotenhafen (w niem. dosłownie Port Gotów) – wprowadzona przez niemieckich okupantów nazwa Gdyni, funkcjonująca w latach 1939–1945.

z przystojnym marynarzem. Była zachwycona nowoczesną architekturą i przestronnymi szerokimi ulicami z dobrze funkcjonującym systemem komunikacji. Nic dziwnego, bo Polacy stworzyli w swoim czasie z niczego największe miasto portowe nad Bałtykiem w ciągu zaledwie 20 lat.

Ostatecznie urodziłem się jako dziecko okupanta w „Porcie Gotów” (Gdyni). Ciążę i poród matka ukryła przed pracodawcą, Wehrmachtem, bo bała się utracić swoją posadę, a tym samym „swobodę podróżowania”. Ponieważ w czasie ciąży przyrost wagi rozłożył się mniej więcej równomiernie na całej jej figurze, było to możliwe. Ciocia w Berlinie, u której była oficjalnie zameldowana, pogłaskała ją po brzuchu i powiedziała z wyrzutem: „Ależ ty przytyłaś.” Szpitalny ginekolog podpisał własnoręcznie wystawione przez nią „zaświadczenie”, które stwierdzało, że nie jest zdolna do pracy od 2 stycznia do 1 kwietnia 1942 roku. To objęło okres porodu i późniejszej koniecznej opieki nad niemowlęciem. Z tego powodu nie pojawiłem się w jej dokumentach osobistych aż do końca wojny. Miejsce na wpisanie dziecka przekreślone było poziomą kreską. Tak nadal było w kwietniu 1944 roku, kiedy jej kenkarta była przedłużana po raz ostatni.

Ja sam spędziłem (na życzenie mojej matki) w „Porcie Gotów” około 6 miesięcy na różnych oddziałach szpitala, aż poprzez czasową opiekę u dziadków w Turyngii i pobyty w różnych domach dziecka i szpitalach – doświadczyłem końca wojny w Austrii. W dokumentach pojawiłem się dopiero po zakończeniu wojny.

Pierwsze dwa lata szkoły spędziłem w Górnej Bawarii. W tym czasie musiałem przyjąć nazwisko rumuńskiego partnera mojej matki (Marinescu). Studiował on prawo w Monachium. Ponieważ miał status prześladowanego, należały mu się większe przydziały żywności i pewne udogodnienia w kontaktach z władzami. To była wówczas wspólnota służąca określonej celowi w czystej formie. Dopiero w 1950 roku, po przeprowadzce do Monachium, mogłem przybrać moje prawdziwe nazwisko.

Mimo że musieliśmy mieszkać wtedy we trójkę w jednym pokoju, był to najszcześniejszy okres mojego wczesnego dzieciństwa. Ale już wówczas pojawiały się w moim życiu nieuporządkowane określenia: „prześladowanie”, „uciekinier” i „nazista”. Moja osobista rola nie pozwalała w tym wieku (miałem sześć lat) na znalezienie użytecznych wyjaśnień. Jednak już wtedy wiedziałem, że za tym kryje się coś złego.

Pamiętam, że kiedy jako dziecko pytany byłem o miejsce urodzenia, podawałem „Port Gotów”, często spotykałem się z niezrozumieniem mieszkańców bawarskich Alp. Dzieci były jeszcze bardziej bezpośrednie. Pytały żartując, czy „wyleciałem sroce spod ogona”. To mnie szczególnie denerwowało, bo sam nie mogłem sobie wyobrazić, gdzie się urodziłem – nie wspominając już o okolicznościach temu towarzyszących. Od początku nie miałem więc ojczyzny, którą mógłbym „zlokalizować”. To mnie bardzo dęczyło, bo wszyscy inni koledzy wiedzieli mniej więcej, gdzie znajdowały się

ich (w większości bawarskie) miejsca urodzenia. Sytuację zaostrzał fakt, że byłem określany jako dziecko uciekinierów, co nie było zgodne z prawdą. Zorganizowane przez matkę pobyty w kilku szpitalach i sierocińcach, nie były porównywalne z ucieczką z niemieckich obszarów wschodnich. Nigdy nie mieliśmy dokumentów uchodźców, nie było też żadnego finansowego za-dosćuczynienia. Pomimo to – mnie także traktowano, jako dziecko uchodź-ców. Szczególnie brutalna była bawarska „kultura powitalna”. We wszystkich miejscach zamieszkania, do których zostaliśmy skierowani, właściciele, najczęściej chłopci, szybko nas zagospodarowywali. Ostatecznie zostaliśmy zakwaterowani w Fischbachau na obrzeżu Alp, u samotnej starszej pani.

W 1950 roku przeprowadziliśmy się do Monachium. Tu nie było już ważne, kto skąd pochodził. Musiałem tylko uważać, aby dobrze przelitero-wać moje miejsce urodzenia. Na pytanie, gdzie to leży i tak nie potrafiłem odpowiedzieć. Wstydziłem się tego. Ale w latach 50. nie znałem geografii na tyle dobrze, żeby samemu to odkryć. W nowych atlasach nie było już „Portu Gotów”. O tym że miasto mojego urodzenia nazywało się przed i po wojnie Gdynia, nikt mi wówczas nie powiedział. Nie jestem wcale pewien, czy matka o tym wiedziała.

Dla mnie powoli stawało się to jasne dopiero w liceum. Wtedy dowie-działem się nareszcie, że moje rodzinne miasto jest położone niedaleko Gdańska. A to leży w Niemczech, jak matka zawsze podkreślała. Dopiero później przyznała, że to co było uwarunkowane wojną, już nie istnieje. Pola-cy okupowali moją ojczyznę. Tak mi to tłumaczono. Znowu poznałem nowy, wrogi obraz!

Lekcje historii były aż do lat 60. kształtowane przez fobię nauczycieli tamtych czasów. Wyczerpująco i długo opowiadali oni o Wielkiej Rewolu-cji Francuskiej i męczyli się aż do początków pierwszej wojny światowej. Niestety, potem nie było czasu na poznanie najnowszej historii. Uczniowie nie mieli możliwości, aby odwiedzić w ramach wycieczki szkolnej położony w pobliżu, zaraz za bramami Monachium, obóz pracy przymusowej w Da-chau i zapytać o przyczyny jego powstania. Na szczęście dzisiaj jest inaczej.

Wtedy rozpocząłem poszukiwania na własną rękę. Zaopatrywałem się na pchlich targach w oryginalną literaturę, jako że była bardzo tania. Mam do tej pory komentarze prawnicze z tamtych czasów dotyczące prawa mał-żeńskiego (1938) i prawa karnego (1943). Tam znalazłem i takie zdania: „Prawo karne dotyczące Polaków wynika z obowiązku podporządkowania się niemieckiemu panowaniu. Pozycja Polaków i Żydów, z punktu widzenia prawa państwowego, wymaga od nich całkowitego posłuszeństwa w stosun-ku do niemieckości”.

Moja matka ostrzegła mnie w latach 60. żebym nigdy nie jeździł do Pol-ski. Zatrzymano by mnie tam ze względu na miejsce urodzenia i musiałbym jako „rodowity Polak” odbyć w Polsce służbę wojskową. Odważne stwierdzenie, którego jednak wówczas nie mogłem podważyć.

Debaty parlamentarne o ponownym zbrojeniu RFN w latach 50. śledziłem w radiu uważnie i z oburzeniem. Nie mogłem zrozumieć, że niecałe dziesięć lat po zakończeniu wojny, ktoś chce się znowu zbroić. Na ulicach Monachium wciąż jeszcze widywało się ruiny po tej okrutnej wojnie. Dlatego później odmówiłem uczestnictwa w służbie wojskowej. A służbę zastępczą odbyłem na sali operacyjnej Chirurgicznej Kliniki Uniwersyteckiej w Bonn, trzy miesiące dłużej niż moi służący w wojsku koledzy, ponieważ musieliśmy odsłużyć też ewentualny „czas rezerwy”. Jednak żaden z moich kolegów ze szkoły nie został zaciągnięty jako rezerwista. To były jawne szykany, aby zdyskredytować służbę zastępczą.

Po maturze i służbie zastępczej studiowałem w Bonn nauczanie w szkole podstawowej i średniej. Później także nauczanie w szkołach specjalnych na kierunku pedagogiki dla niedosłyszących i opóźnionych w rozwoju.

Aż do roku 2006 nauczałem w szkole dla opóźnionych w rozwoju i z upośledzeniami mowy w Bitburgu (Eifel), przez ostatnie osiem lat – jako zastępca dyrektora szkoły.

W późnych latach 70. moim hobby stały się krótkofalówki, a po kilku latach – dostałem nawet licencję na krótkofalówkę, która mi umożliwiła nawiązywanie kontaktów z krótkofalowcami na całym świecie – również przekraczające polityczne granice. Na początku roku 1982, udało mi się nawiązać połączenie morsem z Gdynią. Bardzo ucieszony opowiadałem zaprzyjaźnionemu krótkofalowcowi alfabetem morsa, że urodziłem się w Gdyni. Josef (SP2ZT) był tak miły i przysłał mi przetłumaczony przez swoją ciotkę list i dwie pocztówki. Bardzo ucieszyłem się z listu, ale rozczarowały mnie pocztówki ukazujące miasto z lotu ptaka: nieskończenie beznadziejne dzielnice z wielkiej płyty! Pojąłem wówczas, że na skutek znacznych zniszczeń wojennych nic nie zostało z miasta, które tak imponowało mojej matce. O tym, że tak nie jest, dowiedziałem się dopiero później.

W 1990 roku nawiązałem kontakt krótkofalowy z wykładowcą uniwersytetu w Kazaniu (nad Wołgą). W roku 1991 zorganizowałem wymianę 25 krótkofalowców i młodzieży z regionu Bitburga i Kazania. Niemiecka grupa była zakwaterowana u rodzin w Kazaniu, a kazańscy krótkofalowcy – u naszych rodzin. Każdy taki pobyt obejmował 13 nocy. W tym czasie były to działania pionierskie, ponieważ w byłym Związku Sowieckim takie grupowe podróże były ściśle organizowane i kontrolowane, możliwe jedynie w połączeniu z zakwaterowaniem w miejscowych hotelach. Niemieccy uczestnicy byli poruszeni gościnnością Tatarów. Gospodarze często przynosili się wieczorami do krewnych, aby udostępnić nam łóżka. Dla wszystkich uczestników szybko stało się jasne, że to nie mieszkańcy obcych krajów stanowią problem, lecz ówczesni politycy.

Od kiedy przeszedłem na emeryturę w roku 2006, wciąż jeżdżę z moją przyczepą campingową, na około pięć miesięcy w roku, na wschód. Kiedy po raz pierwszy dotarłem do polskiej granicy, jechałem najpierw tylko

wzdłuż Odry i Nysy i spoglądałem przy tym ze strachem na rzekę. W tym czasie wciąż krążyły dowcipy o Polakach. Ale w okolicach Görlitz zebrałem się na odwagę i odważyłem się po raz pierwszy przekroczyć granicę mojej ojczyzny.

Ostatecznym przyczynkiem do tej „próby odwagi” stała się wydana wówczas książka Steffena Möllera „Viva Polonia”. To pomogło mi ostatecznie wyrzucić za burtę cały propagandowy balast zimnej wojny. W czasie tej pierwszej podróży spotkałem w Katowicach mojego późniejszego przyjaciela – Bogusława, krótkofalowca, który mieszkał kilka lat koło Bitburga i wrócił do Katowic. Dzięki krótkofalowce spotkałem tam jeszcze przypadkowo dwóch innych polskich krótkofalowców, którzy zaprosili mnie spontanicznie na kolację do pobliskiej restauracji. Potem jeszcze spędzaliśmy razem czas. Z Katowic pojechałem jeszcze do Krakowa i Opola. Oczywiście byłem też w Oświęcimiu i w Krzyżowej. Moje serce znowu mocno zabiło. Ale nigdzie nie spotkałem się z wrogością. Wszędzie stykałem się z sytuacją, w której nie zaprzeczając przeszłości – była woła wspólnego patrzenia w przyszłość.

Już w czasie tej pierwszej podróży pozbyłem się strachu i znikły całkowicie wszelkie moje uprzedzenia. I wtedy zdecydowałem, że w czasie następnej podróży do Polski pojadę wzdłuż wybrzeża Bałtyku i odwiedzę nareszcie moje rodzinne miasto.

I tak uczyniłem w 2012 roku. Ze Szczecina pojechałem do Malborka, ale moim głównym celem był Gdańsk. W Stogach znalazłem znośny plac campingowy i spędziłem tam ponad dwa tygodnie. Po kilku dniach zdobyłem się na odwagę i pojechałem z Dworca Głównego w Gdańsku do Gdyni. Wielu przyjaznych Polaków bardzo mi pomogło znaleźć informację turystyczną. Młoda urzędniczka nakreśliła mi plan zwiedzania. Dobrze dogadywaliśmy się po angielsku. A potem zapytałem z bijącym sercem, czy przetrwał jakiś szpital z lat 40. To było nieco niezrozumiałe pytanie, ze względu na tak odległy okres. Ale starsza pani, która przysłuchiwała się naszej rozmowie, podeszła do nas i wyjaśniła, że istnieją nawet dwa szpitale z okresu przedwojennego i obydwa spełniają jeszcze w pełni swoje zadania w służbie zdrowia. Wtedy wyjaśniłem, że Gdynia jest moim miejscem urodzenia. Na to oświadczyła, że na pewno jest to szpital sióstr miłosierdzia na Placu Kaszubskim. Bo jest to jedyny szpital, który zawsze prowadził oddział ginekologiczny, z zamkniętą salą porodową. Tu musiałem zrobić krótką przerwę, ponieważ tak się wzruszyłem, że miałem łzy w oczach. W wieku 70 lat odnalazłem nie tylko moje rodzinne miasto, lecz nawet dom mojego urodzenia. Teraz nikt już nie mógł powiedzieć, że „wypadłem sroce spod ogona”. Mogłem podać miasto, ulicę i numer domu. Pokazano mi drogę na mapie i bez trudu odnalazłem „swój” szpital. Wszedłem do niego i wmieszałem się na korytarzu pomiędzy pacjentów i odwiedzających, ciesząc się, że wreszcie odnalazłem ojczyznę.

Następnego dnia poszedłem na obrzeże Gdyni, które znałem z albumu mojej matki i wyspałem tam do woreczka piasek, muszelki i przedmioty wy-

rzucane przez morze. W czasie mojej wędrówki przez moje rodzinne miasto szybko stwierdziłem, że nie jest to miasto z wielkiej płyty, które pamiętałem z pocztówek. Zdziwiłem się, że Gdynia została zniszczona w czasie wojny tylko w 17%. Pozostało wiele budowli z lat 30., które zostały świetnie odrestaurowane. Te przestronne, szerokie ulice, o których wspominała moja matka, wciąż jeszcze istniały. Jest to więc na pewno miasto, z którego można być dumnym. Od tej pory na tyle mojego samochodu i przyczepy kempingowej połyskuje naklejka ze sloganem z informatora turystycznego: „Gdynia – moje miasto.”

Kiedy już odwiedziłem południe i północ Polski, postanowiłem: głównym celem mojej następnej podróży do Polski będzie centrum kraju. Urzeczywistniłem to w roku 2015. I znowu Steffen Möller miał swój wkład w tę podróż: „Ekspedycja do Polaków – podróż ekspresem Berlin–Warszawa” i książka, która ukazała się krótko przed podróżą „Viva Polonia – Polska dla zaawansowanych”.

Ponieważ czytałem już nieco o twierdzy Kostrzyn i oglądałem film o wykopaliskach w obrębie Starego Miasta, spędziłem tam cały dzień. To jest kolejny dobry przykład tego, jak młodzi Polacy się angażują, aby zmierzyć się ze wspólną przeszłością. Przypadkowo był w tym samym czasie pewien starszy pan, który wcześniej mieszkał na starówce. Oprawdając nas, spontanicznie opowiadał o każdym domu, położeniu rynku i innych budynkach publicznych. Również to miasto mogło wciąż żyć, gdybyśmy w roku 1932 wybrali innego prezydenta.

Jadąc przez Poznań i Łódź, dotarłem do głównego celu tej podróży: do Warszawy. Tam podążała za mną krok w krok nasza wspólna okrutna historia. Kiedy pytałem przechodniów o drogę, czekałem ze strachem na reakcję. Nie mogłem przecież zaprzeczyć, że jestem niemieckim turystą. Ale i tu wszyscy byli bardzo przyjaźni. W tramwaju nawet pilnowano, abym wysiadł na właściwym przystanku, a potem prowadzono do skrzyżowania, aby pokazać mi właściwą drogę. Tak było za każdym razem!

Ale mimo to, unosił się nade mną duch zbrodni popełnionych przez pokolenie moich rodziców. Jednak właśnie w Warszawie wyraźnie czułem, że nikt nie czynił mnie w najmniejszym stopniu odpowiedzialnym za tę straszliwą przeszłość. Z jej detalami zostałem szczególnie jaskrawo skonfrontowany w Muzeum Powstania Warszawskiego.

Z wdzięcznością dałem się poprowadzić na Umschlagplatz, a potem przed pomnik Bohaterów Getta. Tutaj, przed Muzeum Historii Warszawskich Żydów, Willy Brandt po raz pierwszy poprzez symboliczne padnięcie na kolana uznał naszą historyczną winę, wyrażając tym samym nadzieję na przebaczenie. Z satysfakcją zobaczyłem, że na tym samym terenie mały pomnik upamiętnia ten historyczny gest.

Każdego dnia, jadąc do centrum – mijałem na cmentarzu „pewien” pomnik, którego znaczenia początkowo nie potrafiłem zrozumieć. Po wizycie

w Muzeum Powstania Warszawskiego stało się dla mnie jasne, że wielkie „P” rozłupane u stóp kotwicy, było symbolem powstańców. Następnym razem wysiadłem na przystanku na Woli, i poszedłem na ten cmentarz. To był bardzo duży cmentarz. Bardzo dużo miejsca zajmowało miejsce pamięci ofiar Powstania Warszawskiego, przede wszystkim ludności cywilnej Warszawy. Na obrzeżu alei ciągnęły się granitowe płyty – stele, z tysiącami nazwisk. To ofiary naszego ówczesnego oblędu. Na końcu tego pola steli wznosił się duży pomnik przy którym najwyraźniej odbywały się też święta ku czci pamięci. Ponieważ nie jestem miłośnikiem dużych uroczystości, lecz preferuję osobiste gesty, też zdecydowałem się złożyć wiązankę pod pomnikiem. Sprzedawcy kwiatów przy wejściu pomogli mi. Mogłem nawet wybrać szarfę z napisem. Jako tekst wybrałem: „Przebaczcie, jeśli możecie.” To była moja osobista prośba, daleka od wszelkich działań publicznych.

I tak, będąc już w podeszłym wieku, udało mi się odkryć *moją* Polskę, z cudownymi ludźmi, tak okrutnie doświadczonymi dwiema dyktaturami. Kiedy teraz znów wybiorę się do Polski, pojadę po trosze „do domu”, do „mojej ojczyzny”. A piasek, z tym co wyrzuciło morze w Gdyni, moje dzieci rozsypią kiedyś, zgodnie z moim życzeniem, nad moją urną.

(Przełożyła: Katarzyna Gawor)

BARBARA HICKETHIER

Powróciłam!

I.

Powróciłam! Właśnie to czułam w czasie mojego pierwszego pobytu w Polsce w roku 1994. Po moim urodzeniu (25.12.1943) przebywałam w Polsce, na Śląsku tylko rok i miesiąc. Ucieczka mojej matki, jej siostry i dwojga małych dzieci, krótko przed zakończeniem drugiej wojny światowej była męcząca. Wiodła do Bawarii, do wsi pomiędzy Ulm i Augsburgiem przez Czechosłowację, z niewielką przerwą w Austrii, w samym środku zimy, w styczniu 1945 roku. Już wówczas można było przewidzieć, że wojna niedługo się skończy i dorośli byli przekonani, że będą mogli wrócić do ojczyzny.

Kiedy w kolejnych miesiącach i latach stało się jasne, że taki powrót nie będzie możliwy, wówczas w rodzinie ojczyzna była przywoływana często i gloryfikowana w opowiadaniach. Dorośli zachwycali się wielkomiejskim życiem w Bytomiu, rodzinnymi wycieczkami w okolice miasta, ale też rodzinnymi wypadami do teatru do Katowic, Krakowa, Wrocławia, wyjazdami nad Wisłę i Bałtyk, do sanatorium w Sopocie, a przede wszystkim w Karkonosze – na Śnieżkę. Moja mama lubiła sport, chętnie wędrowała i jeździła na nartach. O tym dużo i chętnie opowiadała, a te opowieści kształtowały moje wyobrażenie o krajobrazie Śląska. Opowiadała o swoich przeżyciach podczas wędrówek z przyjaciółmi, wymieniała nazwy wielu miejscowości, gdzie odpoczywali, zachwycala się ideą rajdu gwiazdzistego na nartach w górach i wciąż – pięknem okolicy. Te opowiadania towarzyszyły mi od najwcześniejszych lat. Jednak nie było żadnych zdjęć, ponieważ nie zostały one zabrane podczas ucieczki, wszystkim wydawało się, że ojczyznę opuszczają na krótko.

Więc pozostały tylko barwne opowieści, które pobudzały moją wyobraźnię. Dopiero wiele lat później kalendarz z widokami Górnego Śląska ilustrował opowiadania mamy. Nasza rodzina spotykała się z innymi rodzinami uciekinierów i najczęściej były to kobiety. Połowa wsi składała się z uciekinierów. Matka i jej siostry pracowały u chłopów, żeby wyżywić rodzinę. Tak

nawiązano kontakty z innymi, bo praca w polu miała niewiele wspólnego z naszym byłym miejskim życiem. Dzieci szybko nawiązywały kontakt z innymi imigrantami i miejscowymi dziećmi. Tak dorastałam beztrudnie jako jedynaczka z kuzynami, kuzynkami i z wiejską młodzieżą. Większość – to znajomi i przyjaciele z zakładów mojego ojca w Bytomiu, którzy także stamtąd uciekli. Mama chodziła w latach 50. na spotkania innych wypędzonych. Ale ostatecznie i ona przestała tam chodzić i nie uczestniczyła w „polityce” tego związku. Ponieważ jednak chciała utrzymać kontakt z żyjącymi – raczej na północy Niemiec – Ślązakami, przeprowadziłyśmy się na początku lat 60. na obrzeża Zagłębia Rury, do Hagen w Westfalii. Wydawało się też, że będąc miała tam szansę na lepszą edukację.

II.

Studiowałam w Dortmundzie w Szkole Plastycznej, a moim celem było zostanie graficzką. Tam zetknęłam się ze znaną i sławną polską grafiką tamtego okresu, która wówczas wydawała się w porównaniu z grafiką niemiecką czy szwajcarską – niekonwencjonalna i kreatywna.

Poznałam wielu twórców plakatów i ilustratorów poprzez ich dzieła, a ich styl miał na mnie znaczący wpływ i to przez dłuższy czas. Do dziś przechowuję egzemplarze czasopisma *Polska*, w których drukowano wiele z tych plakatów i ilustracji, mam jeden z nich z roku 1962.

Mój cel studiów zmienił się dzięki bardzo zaangażowanemu i będącemu wzorem do naśladowania wykładowcy, który uciekł z NRD do „studiów wolnej sztuki”, ponieważ nie zgadzał się z porządkami realnego socjalizmu. Kiedy został zatrudniony w szkole w Zachodnim Berlinie, przeprowadziłam się tam i ja z innymi studentami.

Mój stosunek do polityki i wiedza o jej zależnościach były do tej pory znikome, ponieważ w licznych raportach ze Śląska prawie nie omawiano przyczyn naszej tam nieobecności. Także przedstawienie ucieczki i bombardowanie Drezna były dla nas raczej jednorazowymi, choć bardzo tragicznymi wydarzeniami. To szybko zmieniło się w Berlinie, w tym również mój cel zawodowy. Po studiach artystycznych chciałam uczestniczyć w procesie społecznym przez pedagogikę sztuki, ale nie na rynku sztuki. W ramach seminarium o funkcji estetyki w kapitalizmie, poznałam mojego męża, który właśnie skończył studia i zajmował się nowoczesnymi formami estetycznego wpływu na społeczeństwo poprzez media. (Kilka słów o moim mężu: również jego rodzina pochodziła z terenu dzisiejszej Polski, a konkretnie ze wschodniej części Gubina. Po ucieczce w roku 1945 osiadła w pobliżu Berlina, w Lausitz. Matka przeprowadziła się z nim w 1956 roku do Berlina Zachodniego, gdzie w tym czasie zaszło wiele zmian w „przemyśle” kulturalnym). Dawało się odczuć krytyczne spojrzenie na sztukę, w którym i my uczestniczyliśmy z naszymi projektami i wystawami, np. w Międzyna-

rodowym Centrum Sztuki – krytyczną wystawą o oddziaływaniu reklamy w Nowym Społeczeństwie edukowanym sztuką. (*Funkcja edukacji sztuką w społeczeństwie, m.in. przez telewizję*).

Już w czasie studiów mieliśmy możliwość prowadzić seminaria dokształcające dla nauczycieli z zakresu estetyki reklamy i mediów, ponieważ wówczas niewielu wykładowców wiedziało, jak funkcjonują w społeczeństwie media przyszłości, np. reklama, telewizja, radio. I jak należało o tym nauczać. W mojej pracy w szkole była możliwa edukacja świadomości politycznej uczniów jedynie w ograniczonym zakresie. Bardzo ważne okazało się w tamtych latach podjęcie tzw. inicjatywy najemców, która uchroniła przed zburzeniem dom (z racji podobno koniecznego poszerzenia ulicy), w którym mieszkaliśmy (dom czynszowy z końca XIX wieku), ale też dwanaście innych domów. Chodziło o to, aby choć tyko w dziedzinie, która bezpośrednio nas dotyczyła, angażować się i wstawiać za czymś w dobrze pojętym interesie społecznym. Nie akceptować, lecz dążyć do zmian. Wtedy poznaliśmy Axela Schmidt-Gödelitza, który przyczynił się właśnie swoim społecznym zaangażowaniem i dziennikarską przenikliwością do sukcesu tego pomysłu. Ten sukces zespolił naszą wspólnotę tak, że próbowaliśmy nawet wspólnie kupić ten dom. I chociaż nam się to ostatecznie z różnych względów nie udało, uświadomiło to nam, że razem możemy coś zdziałać i być politycznie aktywnymi w codziennym życiu.

III.

W roku 1990, po zjednoczeniu, zaangażowany nauczyciel muzyki z mojej szkoły nawiązał kontakt z gimnazjum muzyczno-plastycznym w Katowicach. Pomiedzy rokiem 1994 a 1997 jeździłam wspólnie z kolegami do tamtejszej szkoły i tak niezwykle dynamicznie rozwinęła się wymiana uczniów i nauczycieli. Polscy nauczyciele i uczniowie przyjeżdżali do Berlina do naszej szkoły, a my jeździliśmy z grupami swoich uczniów na plenery do Polski. W czasie tych podróży zwiedzaliśmy przepiękny Kraków, niezwykłą kopalnię soli w Wieliczce, wstrząsający Oświęcim.

Te przyjazdy wywarły na mnie głębokie wrażenie. Zetknęłam się z wieloma rzeczami, o których jako dziecko słyszałam bardzo często, a co w międzyczasie zostało zepchnięte do podświadomości i były to nie tylko wyobrażenia *pięknej ojczyzny*, w niej szczególnej roli kultury, ale też sposobu życia, o którym mówiono w czasach mojego dzieciństwa. Czułam się jak w domu – powróciłam – i to nie tylko z powodu serdecznej gościnności, jakiej wszyscy doświadczaliśmy.

Więc jako osoba dorosła zwątpiłam nagle, czy było słuszne, że przed laty moja rodzina opuściła Górny Śląsk. Może otrzymałabym tam bardziej gruntowne, obszerne i kompleksowe wykształcenie plastyczne, takie, jak np. to, które obserwowałam u uczniów z Katowic. Mogli oni spędzać dwanaście

godzin w tygodniu na lekcjach plastyki, a czas wolny – na interesujących warsztatach, przy tym w atmosferze dużo większej swobody sprzyjającej znacznie większej kreatywności. O wiele większej, niż w naszym zachodnio-berlińskim, uregulowanym systemie szkolnym, który doskwierał również mnie, jako nauczycielce. Zawodowo spotkałam w Katowicach bardzo interesujących pedagogów, zaangażowaną dyrektorkę szkoły i wielu uzdolnionych uczniów. Mogłam się wówczas ubiegać o posadę nauczyciela w ramach tzw. wymiany, co poważnie rozważałam. Ale miałam już wówczas troje dzieci, a mój mąż pracował na uniwersytecie w Hamburgu. Wiele rzeczy było dla mnie w Polsce i sympatycznych, i bliskich, a jednocześnie wydawały się odległe i trudne do osiągnięcia.

Mój urodzony w 1975 roku pierwszy syn spełnił moje skryte marzenie i studiował w latach 1999/2000 w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Były więc znowu okazje do odwiedzin w Polsce. Teraz przyjeżdżałam do kogoś, kto mógł mi w krótkim czasie pokazać ekscytujące, codzienne życie miasta, które już wcześniej poznałam, nawet jeśli tylko powierzchownie. W Akademii Sztuk Pięknych nasz syn rysował sceny z miasta w dużych formatach, fotografował i przede wszystkim uczył się polskiego.

IV.

Z jedną z młodszych sióstr mamy i jej dwiema córkami, z którymi wychowywałam się w Bawarii, postanowiłam pojechać do Bytomia. Ciocia pokazywała nam miejsca swojej młodości i domy, w których mieszkała rodzina moich dziadków z siedmiorgiem dzieci. Miałam jeszcze silniejsze wrażenie, że jestem w domu, że znam ulice, kawiarnie, kina, kościoły, place zanim zobaczyłam je naprawdę po raz pierwszy.

Babcia prowadziła mały sklepik z owocami, także południowymi. W tym miejscu zobaczyłam suterенę naprzeciwko kościoła, gdzie wcześniej znajdował się sklep i potrafiłam sobie dobrze wyobrazić, jak spełniona czuła się babcia, mając tyle dzieci i sklep, który prowadziła w zasadzie samodzielnie. Dziadek pracował w sądzie, więc obejrzałam teraz ten potężny budynek. Pamiętam, jak dziadek pokazywał mi w dzieciństwie, w jaki sposób ostrzyć ołówki nożem. To było dla niego istotne, chyba w związku z wykonywaną pracą w sądzie. Jego pisma były estetycznie wysmakowane, niezwykle staranne i czytelne. Widzę tu pewien związek z moim rysowaniem i malowaniem. To było „powiązanie” rzemieślnicze. Moje obrazy na początku studiów powstawały pod wpływem „skrytualnym” (nie mogłam znaleźć innego wyrażenia, być może stworzyłam jakiś neologizm). Raczej pisałam je kredą niż malowałam. W Bytomiu, w czasie tej podróży szlakiem wspomnień rodzinnych, które powstały z opowiadań, wiele rzeczy wydawało się innych. W tym obrazie miasta wciąż brakowało domów, wiele było zniszczonych i nosiło jeszcze po tylu dziesiątkach lat ślady, kiedy przemysł węglowy

był przepotężny i to on określał wizerunek miasta. Ale były też ulice i place, które pokazywały typowy charakter śląsko-polskiego porządku miejskiego, np. budynek szkoły w zdecydowanie żydowskim charakterze i basen miejski w stylu Bauhausu³.

V.

O czymś jednak nie mówiliśmy w czasie tego pobytu: o bliskości tego miasta do Oświęcimia. Matka mi co nieco opowiadała, ponieważ pracowała w czasie wojny, jako księgowa mojego ojca, który zarządzał przedsiębiorstwem handlu bydłem. Dlatego był często na dworcu, aby pertraktować z rolnikami przywożącymi bydło z głębi kraju do tego przemysłowego miasta i by dopilnować transportu bydła, które przyjeżdżało częściowo z zachodu Niemiec bądź tam zmierzało. Na dworcu mama widziała też przejeżdżające pociągi towarowe z ludźmi, którzy byli transportowani do obozu. Raczej domyślała się niż wiedziała, co się działo i niekiedy, nawet jeśli rzadko – przekazywała coś do jedzenia. Więcej nie mogła. Zauważyła też, jak z jej otoczenia znikali żydowscy uczniowie i koledzy z klubu sportowego, miała na ten temat swoje zdanie i nawet wyraziła je w kręgu znajomych, że wraz z Hitlerem nic nie stało się lepsze ...

W czasie mojego pierwszego pobytu w Katowicach w roku 1994 pojechałam z kolegami do Oświęcimia i byłam szczególnie wstrząśnięta, kiedy przebywałam w pomieszczeniach, gdzie Josef Mengele, obozowy lekarz, przeprowadzał swoje eksperymenty na ludziach. Nadal niemal wyczuwalne było cierpienie tamtych nieludzkich działań. I tu pojawił się własny biograficzny wątek. Przez 17 lat wychowywałam się w Grünzburgu, gdzie rodzina Mengele, posiadająca duże przedsiębiorstwo produkcji maszyn rolniczych, była pracodawcą dla wielu mieszkańców, także dla moich krewnych. Jedna z siostrzenic Josefa Mengele była moją koleżanką szkolną, a ojciec mojego chłopaka pojechał na zlecenie tej rodziny (oczywiście w tajemnicy) do Ameryki Południowej, aby zaopatrzyć ukrywającego się tam Josefa Mengele w pieniądze przedsiębiorstwa. Tego wszystkiego wówczas nie wiedziałam. Przez wszystkie lata nie mówiono nic o tym niepojętym okrucieństwie, stało się to znane dużo później w tym małym szwabskim miasteczku.

Dopiero w latach 90. mogłam moje krytyczne spojrzenie na społeczeństwo wyrażać w życiu prywatnym i próbowałam wtedy dać moim dzieciom

³ **Bauhaus** – uczelnia artystyczno-rzemieślnicza powstała w Weimarze z połączenia Akademii Sztuk Pięknych i Szkoły Rzemiosł Artystycznych w 1919 r., później od 1925 r. działająca w Dessau (dziś Dessau-Roßlau) i w latach 1932–1933 w Berlinie. Została utworzona przez Waltera Gropiusa. Określenie *Bauhaus* używane bywa również potocznie i nieściśle jako nazwa stworzonego przez nią kierunku architektonicznego jako jednego z prądów w obrębie niemieckiego modernizmu, przy czym sporne jest, czy można mówić o szkole Bauhausu (*Bauhaus-Schule*) jako dającym się jednoznacznie określić jednolitym zjawiskiem.

przykład zaangażowanej postawy obywatelskiej. Trójka moich dzieci nauczyła się zawodu grafika, dwoje w wolnym zawodzie, w dziedzinie niekomercyjnej. W ten sposób przeniósł się także zachwyt na temat polskiej sztuki plakatu. Mają krytyczną świadomość, która przejawia się w ich sposobie życia i ma wpływ na pracę. Mój najstarszy syn np. pełnił zastępczą służbę wojskową we Francji, w ramach Akcji Znak Pokuty – Służby dla Pokoju, ASF⁴ w jednym z prowadzonych przez nich obiektów. Działal na rzecz Niemiecko-Polskiej Współpracy Młodzieży⁵, Fundacji im. Friedricha Eberta⁶, Instytutu Europy Wschodniej Wolnego Uniwersytetu Berlina⁷ oraz wielu innych instytucji. Średni syn mieszka w Norwegii i tworzy graficzne prezentacje projektów kulturalnych, a nasza córka żyje w alternatywnym domu w Berlinie-Friedrichshain i pracuje w małym biurze graficznym.

VI.

W szkole raczej przekazywałam świadomie postawy prospołeczne niż je narzucałam. Z uczniami jeździłam teraz zamiast na wycieczki do Włoch – do Polski, np. do małej wsi w pobliżu Poznania, gdzie spędziliśmy tydzień na pracach artystycznych (rysowanie, malowanie, rzeźbienie w drewnie). W ten sposób starałam się urzeczywistnić to, co poznałam w szkole w Katowicach. Inne projekty plastyczne z wieloma uczniami naśladowały plenery polskiego liceum plastycznego w Katowicach (pojechaliśmy do Bambergu, na wyspę Sylt, pracowaliśmy też artystycznie w berlińskim zoo).

Jako nauczycielka byłam odpowiedzialna nie tylko za wychowanie plastyczne lecz również – po dalszym kształceniu – za przedmiot *zabawa w przedstawianie*. Pierwszą dużą sztuką teatralną, którą inscenizowałam z uczniami było *Tango* Sławomira Mrożka. Sztuka traktowała o młodym człowieku, który sprzeciwiał się bezpruderyjności swoich rodziców, ponie-

⁴ Aktion Sühnezeichen Friedensdienste (Akcja Znak Pokuty – Służby dla Pokoju, ASF) została założona przez przedstawicieli niemieckiego Kościoła protestanckiego jako wyraz żalu z powodu cierpień zadanych przez Niemców ofiarom II wojny światowej i pragnienia naprawienia w niewielkim nawet stopniu krzywd wyrządzonych przez Niemców, w tym także chrześcijan.

⁵ Polsko-Niemiecka Współpraca Młodzieży (PNWM, niem. Deutsch-Polnisches Jugendwerk) jest organizacją międzynarodową, utworzoną w 1991 roku przez rządy Polski i Niemiec w celu wspierania kontaktów między młodzieżą z Polski i Niemiec. W praktyce oznacza to, że PNWM dofinansowuje spotkania i projekty młodzieżowe oraz pomaga w ich zorganizowaniu: udziela informacji o sąsiednim kraju, wydaje i udostępnia publikacje metodyczne i krajoznawcze, a także ułatwia znalezienie partnera.

⁶ Fundacja im. Friedricha Eberta (niem. *Friedrich-Ebert-Stiftung*) – niemiecka fundacja o profilu socjaldemokratycznym. Głównym celem jej działania to reprezentowanie podstawowych wartości i ideałów opartych na zasadach demokracji społecznej.

⁷ Wolny Uniwersytet Berliński (niem. *Freie Universität Berlin, FU Berlin*) – jeden z czterech największych uniwersytetów Berlina, który ma swoją siedzibę w Dahlem (południowo-zachodnia część miasta).

waż to odbierało mu możliwość buntowania się przeciwko nim, gdyż bunt stał się dla nich konwencją. Śmierć babci, którą sam zainscenizował, podaje mu myśl, że może mieć władzę nad życiem i śmiercią. „Można przekraczać granice, przecież tego mnie uczyliście”. To, że kompleksowość pojęcia wolności, o której mowa w tej sztuce jest dziś nadal aktualna, uczniowie być może pojęli na całe życie.

Inną inscenizacją, którą opracowałam z uczniami sama, była literacko-muzyczna *rewia* na temat *Obczyzna-ojczyzna*. Pierwsza idea powstała na początku roku szkolnego 2001/2002 i została *prześcignięta* przez rzeczywistość 11 września 2001 roku. Tutaj w tle pokazane zostało wyobrażenie stosunku Niemców do innych kultur, w tym także do polskiej.

W tych latach mogłam urzeczywistnić mój zachwyt plakatem, który przejął wiele inspiracji od polskiej grafiki lat 50. i 60. Tworzyłam plakaty zarówno na moje własne wystawy, jak i na spotkania teatrów szkolnych w Berlinie. Otrzymywały swe estetyczne oddziaływanie z niekonwencjonalnej kreatywności, którą czerpałam jako wzór z polskich plakatów.

Podróże do Polski objęły zarówno okolice Gdańska, Sopotu, jak i gór w Zakopanem. Wiele wspomnień i przeżyć było przy tym związanych ze szczególnym stylem architektonicznym Zakopanego i pięknym krajobrazem górskim Tatr. Do tej podróży moja mama zachęcała jedną z moich uczennic, która pochodzi z Poznania, jest artystką i od wielu lat mieszka w Berlinie. W roku 2013 byłam pierwszy raz kilka dni we Wrocławiu, w którym urodziłam się siedemdziesiąt lat wcześniej. Byłam zafascynowana przede wszystkim nowoczesnymi konstrukcjami ze stali i betonu Hali Targowej autorstwa Richarda Plüddemanna i Heinricha Küstera, jak również Hali Stulecia Maxa Berga. Były to przykłady architektury mojego *rodzinnego miasta*, które już omawiałam na lekcjach o architekturze na podstawie ilustracji, a teraz mogłam zobaczyć je w rzeczywistości.

VII.

W roku 2011, kiedy moja matka skończyłaby 100 lat, zaczęłam wreszcie zajmować się jej biografią i napisałam o niej i o naszej rodzinie książkę. Przy tym zajęłam się jeszcze raz intensywnie moimi śląskimi korzeniami. Jak bardzo są one częścią mnie samej i w wielu punktach intuicyjnie współczesne. Wtedy dopiero w pełni pojęłam tak pełną zmian historię Górnego Śląska. O powstaniach pod koniec pierwszej wojny światowej i podziale terytorium opowiadała mi mama, również o tym, że jako dziesięciolatka w roku 1921 zostałam wysłana w okolice Hanoweru, gdzie nawet pracowałam w pewnym domu. Poznanym tam dialektem hanowerskim po powrocie do domu budziłam niemalże zdziwienie. Pisałam o tym, jak mój ojciec prawdopodobnie po roku 1939 oprócz zakładu handlu, w którym pracował w Bytomiu, posiadał też majątek w pobliżu Krakowa, gdzie też sam hodował bydło. Jak matka w okresie wojny, prowadząc samodzielnie filię również w Bytomiu,

musiała zarządzać dużymi sumami pieniędzy. I jak dużą wzięła na siebie odpowiedzialność, kiedy ojciec dostał powołanie do wojska na początku roku 1943, a ona dała sobie radę, uciekając ze mną i krewnymi i przewożąc te pieniądze dla mojego ojca.

Ze smutkiem, ale i zadowoleniem czytam początek naszej rodzinnej książki: „Urodziłam się w Bytomiu, na Górnym Śląsku, w pięknym dużym mieście z ponad stu tysiącami mieszkańców.” Tak mama rozpoczęła zapis, o który ją prosiłam. Chciałam dowiedzieć się czegoś o czasach przed moim urodzeniem:

„Przyszła na świat 3 maja 1911 roku, a więc w tak zwanych czasach cesarskich. W lecie 1914 roku w chwili wybuchu pierwszej wojny światowej miała trzy i ćwierć roku, kiedy wojna zakończyła się w listopadzie 1918 roku – siedem i pół. Dzieciństwo i młodość przypadały na czasy tzw. Republiki Weimarskiej, kiedy nastąpił jej kres – miała zaledwie 22 lata. Na wczesne dzieciństwo cień rzuciła wojna, czas młodości zdefiniowała Trzecia Rzesza. Na koniec lat spędzonych w Bytomiu – urodziła córkę (moje narodziny), a krótko przed końcem drugiej wojny światowej – uciekła z Bytomia. Miała wtedy 34 lata.”

Pisałam dalej:

„Górny Śląsk jest nadal krainą zielonych upraw i bogatych złóż węgla, śnieżnych równin i nieprzebranych lasów. Tam znajduje się góra św. Anny z sanktuarium św. Anny, do którego ludzie pielgrzymują od pokoleń. Podobnie jak Czarna Madonna z Częstochowy – jest symbolem głębokiego katolickiego poczucia istnienia. Jest symbolem ojczyzny. A po ucieczce stała się symbolem tęsknoty za tym, co zostało utracone. Czerń Czarnej Madonny jest bardziej wieloznaczna, jest symbolem węgla, *czarnego diamentu* wydobywanego na Górnym Śląsku, w trójkącie pomiędzy Gliwicami, Bytomiem a Katowicami. Czarna Madonna jest symbolem głębokiej wiary, ciężkiej pracy i połączenia mocy przemysłu i zdominowanego przez rolnictwo obszaru.

Górniki, dźwięki stali, dymiący komin, odbłask pieca hutniczego, który rozświetlał nocne niebo obrazowały energię tego wschodniego Zagłębia Rury nowoczesnych przemysłowych czasów. Ale nawet jeśli obraz Górnego Śląska spletał się z obrazem robotników przemysłowych, których ciężka praca wypierała wiele z tego, co było ważne dla Górnego Śląska, nie było niemieckiego obszaru, na którym w świecie baśni i legend były tak mocno osadzone religijne wyobrażenia ludzi. Często były to historie zabarwione humorem, w których pobrzmiwał akord etniczny, były to wiersze Josepha von Eichendorffa⁸, piosenki związane z Górnym Śląskiem, „Komu Bóg chce okazać życzliwość” lub „O doliny rozległe, o wzgórza”. Stały się one elementami poczucia więzi ojczyznianej z Górnym Śląskiem. Do tego dochodzi Barbórka 4 grudnia jako święto górnika, patronka Śląska św. Jadwiga i Karkonosze ze swymi podaniami ...

⁸ Joseph Karl Benedikt Freiherr von Eichendorff (ur. 10 marca 1788 w Lubowicach, zm. 26 listopada 1857 w Neisse) – poeta niemiecki epoki romantyzmu.

Wszystko to odgrywało rolę w opowiadaniach mojej matki i jej sióstr, w nich żyła tęsknota za pozostawioną, utraconą ojczyzną. To była tęsknota za naturą i szczególnymi tradycjami, ale też za wielkomiejskim życiem i za przeżyтыми tam wydarzeniami kulturalnymi – wciąż wzbogacanymi poprzez opis barwnego życia rodzinnego z sześciorgiem rodzeństwa.

VIII.

Teraz dopiero znam tę część Polski. Na bazie intensywnego uczucia bliskości w stosunku do tego obszaru (który kiedyś był też niemiecki), jak również do innych części Polski powstał związek, który ożywiam, myśląc o nim i oglądając jego obrazy. Jeśli nie byłoby to takie trudne, szczególnie w starszym wieku, można byłoby pogłębić ten związek poprzez naukę języka polskiego. Dzięki temu mogłabym łatwiej porozumieć się z ludźmi, także bez tłumacza.

W Warszawie, którą poznałam ostatnio, czułam obycie w świecie szczególnie ludzi młodych oraz to, że różnice językowe nie stanowiły dla nich żadnej bariery w kontaktach międzynarodowych. Warszawa jest niesamowicie różnorodnym miastem, gdzie silniej niż w Berlinie można zderzyć się z nowoczesnością i gdzie krok po kroku natykamy się na przeszłość w sposób bolesny, ale też pozytywnie poruszający.

Ten tekst w jego obecnej formie powstał po wizycie w Warszawie i udziale w niemiecko-polskich rozmowach biograficznych. Ten mały odstęp w czasie pozwolił mi przemyśleć ponownie to, co głęboko przeżyłam. („Życie biegnie do przodu, jego zrozumienie do tyłu”).

Zaprezentowane biografie poruszyły mnie bardzo. Historie życia zostały tak otwarcie opowiedziane, że możliwe było silne ich współprzeżywanie. W niektórych momentach płakaliśmy, wyczuwaliśmy też humor, który znajdował swe miejsce pomimo powagi tych opowieści, przed wszystkim we wzajemnych stosunkach. Te opowieści zabraliśmy ze sobą. Cieszyliśmy się gościnnością i podniosłością Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztor w Pułtusk. Za to dziękuję, że ten powrót był możliwy.

Wspomnienia i poszukiwania na potrzeby tego tekstu, przypominanie sobie zasłyszanych opowieści rodzinnych i lektura tekstów zawartych w pierwszym tomie książki biografii polsko-niemieckich stały się impulsem i wyostrzyły moją świadomość na niemiecko-polską historię i nasze w niej życie. Chciałabym zakończyć fragmentem z mojego dziennika z dnia 3 kwietnia 2016 roku, krótko po rozmowach w Pułtusk:

„Doświadczam Warszawy bardzo intensywnie i żywotnie, miasta, w którym nigdy wcześniej nie byłam, gdzie wszyscy podążają ulicami, a wielu z nich... tańczy. Doświadczam następujących po sobie placów, które są po prostu szerokimi ulicami. Nie dla samochodów, lecz dla ludzi. Miasto idealne. W jednej z restauracji na Starym Mieście odkrywam małą taśmę fotograficzną

o starej Warszawie i staje się dla mnie jasne, że siedzę dokładnie tam, gdzie ludzie przed 70 laty musieli się ukrywać i podczas Powstania bronić się przed terrorem. I kiedy im się nie udało, Niemcy zrównali to miasto z ziemią. A to, co widzę, malownicze stare domy, rozsiane między nimi kościoły – ponownie znartwychwało. Dla mnie, dla nas wszystkich jako przestroga, co ludzie mogą zdziałać zarówno w imię zła, jak i dobra. Ludzie, którzy teraz tańczą na ulicach pomiędzy domami”.

KLAUS HOHMANN

Mój obraz Polski i Polaków

Urodziłem się w grudniu 1938 roku, jako czwarte spośród pięciorga dzieci wysokiego urzędnika, doktora Josepha Hohmanna i jego żony Ilmy z domu Elsinghorst. Ze strony ojca wywodzę się z chłopów, leśniczych i nauczycieli, a ze strony matki od akademików, przedsiębiorców i innych osób wolnych zawodów. Mój ojciec zaczynał jako kontroler dużych zakładów i specjalista do spraw dewiz, przeniósł się następnie do pruskiej administracji finansowej i został pod koniec lat czterdziestych kierownikiem urzędu skarbowego w Arnsberg. Ja jako nauczyciel w liceum wykładałem do roku 2002 niemiecki, historię, wiedzę o społeczeństwie i będąc niezwiązanym z tą dziedziną, prowadziłem też przez wiele lat plastykę.

Moje pierwsze, dziecięce doświadczenia z Polakami przypadają na lata wojny w okresie pomiędzy latem 1943, a końcem kwietnia 1945. Są one urywkowe i po dziecięcemu pozbawione refleksji. Po zbombardowaniu Dortmundu nasza rodzina została zakwaterowana, dzięki pomocy ciotecznego dziadka, w izbach parobków barokowego zamku o nazwie Schwarzenraben koło Lippstadt. Mój ojciec nadal pracował w Dortmundzie jako zastępca kierownika urzędu skarbowego. Od czwartego do szóstego roku życia zamek Schwarzenraben stał się moją ojczyzną. W gospodarstwie rodziny von Kettler pracowało też wielu Polaków. Nie wiem, w jakim stopniu czynili to na własne życzenie, a w jakim była to praca przymusowa. Najprawdopodobniej w ich przypadku w grę wchodziła wyłącznie praca przymusowa. Społeczeństwo mieszkańców zamku, pracujących w gospodarstwie cudzoziemców i uciekinierów spod bombardowań, było społeczeństwem spiskowców. Dominującą osobowością była baronowa Maria Freifrau von Kettler, urodzona jako hrabina von Eltz. Wzbudzała podziw swoją energią i męstwem. Wciąż widzę ją przed sobą w męskich kozakach i z fajką. Jej męża zaciągnięto do Wehrmachtu. Cudzoziemskich pracowników traktowała tak po ludzku, jak pozwalały na to okoliczności i surowe przepisy. W jednej z izb parobków mieszkał polski student Józef ze swoim ojcem. Ponieważ jeden

z nich potrafił reperować zegary, byli bardzo lubiani. Baronowa nie traktowała ich inaczej niż zakwaterowanych w zamku Niemców. Należy odnotować, że moja matka miała skłonność – przez swoją nienawiść do nazistów – do lekkomyślnych wypowiedzi i na szczęście w odosobnieniu zamkowym pomimo napomnień zamkowego duchownego, jezuity, była chroniona przed lojalnością państwową. Wymówki księdza z tygodnia wyczuwała w jego niedzielnych kazaniach. Przykład lekkomyślności mojej matki: W wigilię roku 1944, mój starszy urodzony w 1934 roku brat i ja, ścieliśmy pod choinką małą gipsową figurkę Hitlera (inne figurki były nie do dostania), bo Hitler był przestępcą. W zasadzie nie wiedziałem nic o Hitlerze, pomimo modlitwy za wodza w szkole i tym podobnych wydarzeń, ale już mój brat rozumiał dużo więcej. Dopiero dużo później dotarło do mnie, jak łatwo mogłem doprowadzić moich rodziców do zagłady, gdybym prostodusznie wypaplał o naszym czynie w szkole.

Pomiędzy moim najstarszym bratem i siostrą (obydwójce byli dużo starsi) a moimi rodzicami toczyły się zacięte dyskusje, ponieważ oni co innego słyszeli w szkole, Hitlerjugend, Związku Niemieckich Dziewcząt niż w domu. Nic o tym nie wiedziałem. Mnie matka kształtowała poprzez wyjątkowo liberalne myślenie, właściwe jej rodzinie. Mój ojciec wstąpił krótko przed moim urodzeniem do NSDAP, pod silnym naciskiem partii, jako ważny urzędnik i z troski o swoją rodzinę. Matka powiedziała, że dzień wstąpienia do partii był najgorszym w jego życiu. Dopiero niedawno dowiedziałem się z dokumentów denacyfikacji, że mój ojciec po wstąpieniu do partii nadal brał udział w rozmowach niektórych współpracowników w biurze dyrektora naczelnego, którzy odmawiali przystąpienia do partii i w zaufanym kręgu otwarcie i obszernie krytykowali system nazistowski, i że chronił ich tak samo, jak kierownik urzędu skarbowego. Ojciec nie został w drodze wyjątku przez aliantów zwolniony, pomimo przynależności do partii i mógł, jako wysoki urzędnik, nadal sprawować swój urząd. Nie rozmawiał na ten temat z nami, dziećmi, a my nie pytaliśmy. Z wielu rozmów z osobami trzecimi i z książek wiem, że wzajemne częściowe bądź całkowite milczenie rodziców i dzieci przed rokiem 1945, jest powszechnym zjawiskiem w moim pokoleniu.

Powróćmy do lat z zamku Schwarzenraben! W zamku pracowali też Polacy i być może sowieccy jeńcy z okolicznego obozu. Ich obecność była dla nas, najmłodszych dzieci, czymś naturalnym, nie powodującym refleksji. Przyjmowaliśmy w tym wieku wszelkie fakty do wiadomości, także wojnę. Do roku 1945 nie wiedziałem, że istnieje też pokój. Wśród robotników przymusowych rzucał się szczególnie w oczy pewien starszy mężczyzna, ponieważ był całkowicie zapuszczony. Nazywaliśmy go polskim dziadkiem. Podczas gdy my – dzieci, łącznie z tymi z rodziny von Kettler, drażniliśmy wrednie i bezwstydnie dwóch niemieckich urzędników z powodu ich niskiego wzrostu i prostoduszności, utrzymywaliśmy w stosunku do tego mężczyzny wstydlivy dystans.

Kilka miesięcy po moich piątych urodzinach rodzice posłali mnie do szkoły w sąsiedniej wsi. Jednak lekcje prawie nie odbywały się aż do przedwczesnego zamknięcia szkoły z powodu nalotów bombowych. To chroniło mnie przed nazistowskim zaślepieniem nauczycieli. Uświadomiłem to sobie dopiero później, ponieważ wpłynęło ono na starszego brata. Kiedy wspomniany cioteczny dziadek zabrał nas kiedyś razem do obozu z pojmanymi oficerami i amerykański oficer poczęstował nas nieznanym rarytasem, kromką białego chleba z masłem i miodem, brat zakazał mi, ku mojej rozpaczy, ją przyjmować. Oficer chciał nas jakoby otruć. Te bzdury mogły pochodzić tylko od nauczycieli. Z tego samego powodu nie przyjęliśmy po zakończeniu wojny pomarańczy od oglądanych ze zdumieniem czarnych żołnierzy, pomimo że nas te nieznanne owoce niesamowicie kusiły. Jeszcze dzisiaj czuję niezmienny gniew na tych dawnych nauczycieli, którzy zatruli myślenie powierzonych im dzieci. Niewielki wpływ szkoły pozwolił zachować mi naturalne współczucie. Zupełnie bez refleksji odczułem to krótko przed zakończeniem wojny, kiedy niemieccy żołnierze wiedli jeńców koło zamku, a mnie napłynęły łzy do oczu. Inne odczucia miałem wkrótce potem w stosunku do robotników przymusowych. Na Wielkanoc 1944 roku blisko zamku przejeżdżały, kierując się do oddalonego o kilka kilometrów Lippstadt, sprzymierzone jednostki wojskowe, aby zetrzeć się z 300 000 niemieckich żołnierzy w bitwie Ruhrkessel. Polski student Józef pobiegł z białym prześcieradłem do pobliskiej drogi i oznajmił, że w obrębie zamku nie ma niemieckich żołnierzy. Tak doszło do zupełnie nieproblematicznej okupacji. Dla mnie Józef stał się teraz bohaterem. Ale bezpośrednio potem uwolnieni, nieprawdopodobnie wygłodniaли więźniowie z pobliskiego obozu szturmowali kuchnię zamkową. Ponieważ połykali zawartość torebek z przyprawami, zwijali się z bólu na podłodze na oczach nas – dzieci. Irytowało mnie takie zachowanie dorosłych, znałem mniej więcej jego przyczyny, ale odczuwałem raczej niechęć niż współczucie. Dużo silniejsze wrażenie uczynili amerykańscy żołnierze. Wstyd szybko uleciał i często „oblegaliśmy” ich, aby zdobyć biały chleb czy gumę do żucia.

Kiedy uwolnieni robotnicy przymusowi ukradli z jednej ze stodół w obrębie zamku wóz z zapasem kartofli, a Amerykanie przyprowadzili ten wóz z powrotem, stali się prawdziwymi nowymi bohaterami i po raz pierwszy owi robotnicy wydali mi się wrogami. Dopiero jako nastolatek, który więcej rozumiał, uwolniłem się od tego powszechnego wyobrażenia.

Innym Józefem z mojego dzieciństwa był polski robotnik przymusowy, który pracował u mojego ciotecznego dziadka jako parobek i mieszkał w izbie nad stajnią. Mój wujek, urzędnik zatrudniony przez rodzinę von Kettler, jako nadleśniczy i rządca mający swą siedzibę w pobliskim zamku Eringerfeld koło Büren, był bardzo katolicki, myślał politycznie w duchu narodowego socjalizmu i był nadczłowiekiem. Bardzo źle traktował swojego polskiego parobka. Dowiedziałem się o tym od rodziców, jednak dopie-

ro po zakończeniu wojny. Dla mnie Józef, którego uważałem za człowieka bardzo miłego, był takim samym pracownikiem jak niemieccy robotnicy leśni w Eringerfeld. Mojego wujka podziwiałem w tych dziecięcych latach bezgranicznie. Parobek zemścił się na moim wuju, zdradzając Amerykanom miejsce zakopania broni myśliwskiej, która została zniszczona. Został przywódcą brutalnej, plądrującej bandy, którą Amerykanie ostatecznie ustawili do pionu w Zagłębiu Ruhry. Zachowanie tego Polaka wzmocniło moje niekorzystne postrzeganie robotników przymusowych.

Jak się okazało, mój dziecięcy pogląd na robotników przymusowych zależny był od różnych warunków życia, z czego nie zdawałem sobie sprawy. Często słyszało się później, że wielu z nich pozostawało w dobrych stosunkach z rodzinami gospodarzy. Od listopada 1945 roku spędziłem pięć lat w Bad Sassendorf koło Soest, a od 1950 aż do matury w roku 1958 w Arnsberg, historycznej stolicy dawnego Elektoratu Kolonii Sauerlandu. Już jako uczeń liceum zacząłem postrzegać powszechny sposób myślenia, jako bardzo wąski i pełen uprzedzeń. Przyczyniła się do tego codzienna lektura gazety Frankfurter Allgemeine i żywiołowe dyskusje w domu. Początkowo podzielałem jednak uprzedzenia w kwestii stosunku do uciekinierów i homoseksualistów, śmiejąc się i opowiadając żarty na ich temat. Rozpowszechniony był na przykład żart, że wszyscy uciekinierzy są arystokratami, bo pochodzą „z” czyli „von” skądś. Posiadali sto, względnie tysiąc morgów wiatru przed dworem. Jednocześnie przesiadywałem chętnie, bez wiedzy moich rodziców, u rodziny uchodźców, która zamieszkiwała izbę, obok mojej na strychu i pochłaniałem bezkrytycznie ich dwa grube tomy o drugiej wojnie światowej.

Dopiero później zrozumiałem, że i w tym wypadku chodziło o niedorzeczną, całkowicie zniekształcającą rzeczywistość nazistowską tandetę. Ojciec rodziny, później poważany człowiek interesu, miał się dopiero zdystansować w stosunku do narodowego socjalizmu.

Okolo roku 1955 miała miejsce w RFN rewolucja kulturalna, mianowicie dogonienie nowoczesności w sztuce, muzyce, architekturze, ekspresjonizmie, jazzie, w architekturze stylu budowania domów, było to dla mnie objawieniem. Chłonałem jak opętany wszystko, co nowe.

Nietknięty, to znaczy niezmienny pozostał obraz Europy Wschodniej, łącznie z Polską.

Moje pokolenie myślało o sobie, jako o Europejczykach. Już np. w liceum moja klasa gorąco dyskutowała o głosowaniu z roku 1955 w Saarland, mającym zdecydować, czy ten obszar pozostanie częścią Niemiec, czy z racji pojednania – chce podlegać Francji. Za tym ostatnim opowiadał się premier tego kraju Johannes Hoffman (CDU), który daremnie przeciwstawiał się Konradowi Adenauerowi.

Jeśli dobrze pamiętam, jako jedyny broniłem Hoffmanna. Zdewaluowane przez nazistów wyrażenia „naród”, „kraj ojców” czy „ojczyzna” – były

tabu. Żaden nauczyciel nie ważył się ich używać. Niemieckie symbole narodowe nic mi nie mówiły. Nie wszyscy koledzy z klasy mieli w tej kwestii tak zdecydowane zdanie jak ja. Jeśli chodzi o sport myśleliśmy naturalnie bez oporów narodowo. Kiedy padła zwycięska bramka w mistrzostwach w meczu z Węgrami, z zachwytem prawie wyleciałem tyłem przez otwarte okno.

Jednak wschód nie zaliczał się do Europy. Był to jednolicie wrogi i stwarzający zagrożenie obszar za żelazną kurtyną. Zimna wojna była czymś normalnym. Odrzucenie komunizmu dotyczyło NRD bardziej, niż pozostałych państw satelickich Związku Radzieckiego.

Żaden inny komunistyczny polityk obok Stalina nie był w RFN tak znienawidzony i pogardzany jak Walter Ulbricht. Polska była krajem, na rzecz którego Niemcy stracili swe terytoria i która ich wypędziła. Zajęcie Szczecina wbrew postanowieniom konferencji w Poczdamie uważane było za ciężkie naruszenie prawa. To, że Polska sama była ofiarą zaboru Ziemi zupełnie umknęło ze świadomości. Pozostałe wschodnie państwa wydawały mi się, jak większości Niemców Zachodnich, szarą planszą. Na tym tle wyłaniały się jaśniej i jaśniej osiągnięcia RFN, rozwój gospodarczy, integracja milionów uciekinierów i wypędzonych i zapewnienie społecznego pokoju. Z drugiej strony byłem sceptyczny w stosunku do organizacji wypędzonych, ponieważ przejawiali oni tendencje prawicowe. O Polakach mówili często pogardliwie, jako o Polaczkach. Propaganda nazistowska miała tu niewątpliwie długofalowe działanie. Wyjątkiem w tym stosunku do Polski był postrzeganie Poznańskiego Czerwca z roku 1956. Dobrze pamiętam bezgraniczną wściekłość, ogarniającą mnie na myśl o krwawym stłumieniu tych zamieszek.

Na lekcjach historii nie zajmowano się zbyt intensywnie najnowszą historią. Tyczyło to również krajów wschodniej i południowo-wschodniej Europy. W szkole często przemilczany był w owym czasie okres nazistowski. Jednak bądź co bądź nauczyciel w szkole średniej przerobił z nami dwa krótkie, opublikowane pod nazwiskiem Stalina pisma teoretyczne. Poza tym słyszeliśmy w naszym otoczeniu opowieści o przeżyciach wojennych Niemców i ich wypędzeniu. Panowało jedynie ogólne niesprecyzowane wyobrażenie, że rządy nazistów były zbrodnicze. Zналиśmy mało konkretów zbrodni niemieckich.

Dlatego będąc w szkole średniej, przeżyłem szok, gdy otrzymaliśmy rozkaz od angielskiego okupanta, aby całe klasy obejrzały w kinie film dokumentalny Alaina Resnaisa „Noc i mgła”, który ukazywał potworne warunki niemieckich obozów koncentracyjnych w Polsce. To było, jak sądzę w roku 1955, krótko po ukazaniu się tego filmu. Wciąż i na nowo ukazywały się w „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, w czasopiśmie „Zeit”, a później w „Spiegel”, które były czytane przez moją rodzinę, sprawozdania z konkretnymi informacjami o zbrodniach nazistowskich, ale również o masowych mordach stalinowskich. Jest dla mnie niezrozumiałe twierdzenie, że do lat 60. mało wiedzano o tych rzeczach. Tak samo nie rozumiałem, dla-

czego wielu intelektualistów starało się zrelatywizować zbrodnie zarówno nazistowskie, jak i stalinowskie. Kręciłem tylko głową na niektóre aspekty późniejszej debaty o totalitaryzmie. Dopiero z dużym opóźnieniem nastąpiła osobista, prawna i kulturalna ciągłość z czasami nazistowskimi poprzez rzekomą godzinę „zero”. Dla mnie stało się to jasne, kiedy znajomi nam prawnicy musieli ustąpić z urzędu z powodu ich obciążenia czasami nazistowskimi i działali dalej jako adwokaci. Te ujawnienia postrzegane były jako powód do wstydu, nie prowadziły jednak do wykluczenia społecznego.

Polskę przedstawiano na lekcjach historii jako anarchistyczną republikę szlachecką, w której każdy Polak był własną partią i poprzez własną nieudolność umożliwił w XVIII wieku rozbiory Polski. Z tym związany był powszechny stereotyp o „polskim gospodarzeniu”¹. W starszej niemieckiej literaturze dobrze znany był mi obraz podejrzanego, niesolidnego Polaka, jak u Theodora Fontana², w osobie polskiego rządcy.

Studia germanistyczne i historię ukończyłem w Göttingen, Freiburgu i Münster. Tutaj też nie mówiono wiele o nazistach i czasach powojennych. Wyjątkiem był powtarzany co dwa lata wykład znanego historyka z Göttingen Percy Ernsta Schramma o drugiej wojnie światowej i ćwiczenia o systemie obozów pracy przymusowej. Byłem bardzo wstrząśnięty wiele lat później, kiedy wyszła na jaw nazistowska przeszłość podziwianego przeze mnie na równi ze Schrammem, wpływowego profesora z Göttingen, Hermanna Heimpela. Równie niewiele można było się dowiedzieć o marksizmie, leninizmie i stalinizmie.

Dopiero podczas stażu od roku 1963 miałem okazję zająć się intensywniej tymi tematami, dzięki solidnemu przygotowaniu tematycznemu wymagane do zawodu nauczyciela. Wówczas media zaczęły w sposób różnorodny donosić o epoce od roku 1933. Dla mnie poprzez to nie zmienił się obraz wrogiego wschodu. Po odwiedzeniu przez moją grupę biblioteki niemieckiego wschodu, utwierdziłem się jednak również w mojej niechęci do organizacji wypędzonych i byłem wzburzony ilością ultraprawicowej i nazistowskiej literatury na regałach.

Pierwsze pobyty edukacyjne zawiodły mnie, jako młodego nauczyciela, do Austrii i czterokrotnie do Czechosłowacji. Oprócz tego miałem możliwość spędzenia wraz z żoną w roku 1973 urlopu u jednego z naszych tamtejszych opiekunów, z którym zaprzyjaźniłem się zaraz pierwszego wieczoru w Pradze. Obszernie przygotowująca lektura i doświadczenia z miejsca po-

¹ Polnische Wirtschaft (pol. *polskie gospodarzenie*) – stereotypowe określenie funkcjonujące w społeczeństwie niemieckim, dotyczące organizacji społeczeństwa polskiego. Według tego stereotypu domyślnie „polnische Wirtschaft” oznacza skrajną niegospodarność, brak planowania i manier oraz brud.

² Heinrich Theodor Fontane (ur. 30 grudnia 1819 w Neuruppin, zm. 20 września 1898 w Berlinie) – niemiecki pisarz, dziennikarz, krytyk oraz farmaceuta. Był przedstawicielem poetyckiego realizmu.

bytu ukazały mi dużo więcej ponad wiedzę przekazywaną w szkole o historii, kulturze, a przede wszystkim literaturze wieloetnicznego i wielokulturowego Cesarstwa Habsburskiego. Studia historyczne w Münster były raczej nakierunkowane prusko i z punktu widzenia Niemiec oderwanych od cesarstwa, co kształtowało i mój pogląd aż do tego czasu. Teraz stał się mi bliski również obszar zachodnio-galicyjski, polski i kultura jidysz, obecna w Galicji Wschodniej i w Polsce.

Kiedy w roku 1988 wziąłem udział po raz pierwszy, jeszcze jako osoba towarzysząca, w wyjeździe edukacyjnym do Polski, a w roku 1989 objąłem kierownictwo programu rocznej wymiany uczniowskiej, również ten kraj szybko zmienił swoje oblicze. Przede wszystkim fascynowała mnie początkowo najwcześniejsza faza ścisłych stosunków niemiecko-polskich od roku 1000 n.e. Moja nastawiona na Europę znajomość ponadnarodowej, europejskiej kultury obejmowała teraz w dużo większym stopniu też Polskę. Musiałem nauczyć się mieć zrozumienie dla powstałego na bazie wydarzeń historycznych, silnie narodowego myślenia polskich kolegów. Przypominam sobie dosyć zaciętą późniejszą dyskusję z jednym z kolegów, który ostro podkreślał różne charaktery narodowe i niezależne osiągnięcia kulturalne, podczas gdy ja negowałem te różnice. Inni polscy koledzy opowiadali się po mojej stronie. Od początku wymiany wciąż pojawiał się w rozmowach nie lubiany i bezowocny temat przyporządkowania obydwu narodom nośników kultury. Pod tym względem panował radośnie europejski, ale nie szowinistyczny duch.

Do najsilniejszych przeżyć tej podróży należała wizyta w klasztorze Maksymiliana Kolbe w Niepokalanowie. Doszło do ożywionej rozmowy z wiekowym ojcem Hieronimem, który jeszcze znał Kolbego. Panorama historii Polski znajdująca się w kościele zadziwiła mnie i uświadomiła, jak łączą się w Polsce świadomość narodowa, mity historyczne i wiara katolicka. Zupełnie inaczej zadziwił mnie w Warszawie kościół św. Stanisława Kostki. Grób zamordowanego przez służbę bezpieczeństwa w roku 1984 księdza Popiełuszki i jego czczenie w kościele jak świętego, jak również plakaty Solidarności na płotach wokół terenu kościoła były prowokacyjną oznaką władzy, którą miały zarówno związki zawodowe jak i kościół katolicki w tym komunistycznym państwie. Nie spodziewałem się tego typu niedostępnej dla władzy, chronionej przez robotników enklawy w państwie komunistycznym.

Wymiana pomiędzy niemieckim gimnazjum Reismanna a warszawskim liceum św. Augustyna świeckiego stowarzyszenia PAX³ odbywała się najpierw nieoficjalnie od roku 1976 poza zaakceptowanym programem, jako

³ Stowarzyszenie „Pax” – świecka organizacja katolicka utworzona oficjalnie w 1947 przez Bolesława Piaseckiego i innych działaczy przedwojennego Ruchu Narodowo-Radykalnego Falanga. Początkowo zrzeszała katolików gotowych do współpracy z siłami komunistycznymi, po 1956 przybrała bardziej kompromisowe stanowisko (m.in. współpraca z byłymi żołnierzami AK), od 1979 część działaczy wspierała NSZZ „Solidarność”.

wizyta w szkole podczas pobytu w Warszawie. Były to czasy reform Edwarda Gierka, sekretarza generalnego partii komunistycznej. W ciągu dwóch kolejnych lat powstały pierwsze w bloku wschodnim niezależne związki zawodowe i doszło poprzez porozumienia sierpniowe 1980 roku do patu pomiędzy rządzącymi a Solidarnością. Państwa Zachodu zwróciły teraz baczniejszą uwagę na Polskę. Pomimo, że w Polsce panował od 1981 pod rządami Jaruzelskiego stan wojenny, wymiana z Warszawą ustabilizowała się w tym roku, dalej w latach 1982, 1984 i 1985. Jeszcze w tej fazie wymiana zyskała oficjalny charakter. W roku 1980 możliwy stał się przyjazd kolegów z Liceum św. Augustyna wraz z dwudziestoma uczniami do gimnazjum Reismanna. W następnym roku dwóm uczniom pozwolono na wyjazd do Paderborn. W roku 1985 dwudziestu kolegów z Warszawy przebywało w gimnazjum Reismanna. Kiedy gimnazjum świętowało w roku 1988 stulecie swego istnienia, wzięła w nich udział duża grupa nauczycieli i uczniów ze św. Augustyna. Zaczęło się od przypadkowego spotkania zastępcy dyrektora gimnazjum Reismanna, Josefa Krögera, wówczas wyższego stopniem nauczyciela szkoły średniej z dwoma polskimi kolegami. Kröger i zastępca dyrektora Walter Hunger, później wyższy stopniem nauczyciel w gimnazjum Grabbego w Detmold, byli w tych latach decydującymi osobami w kwestii obustronnej wymiany po niemieckiej stronie. Fundacja Roberta Kocha w Stuttgarcie, która jest aktywna na wielu polach, uznała w roku 1984 poprzez swoje wsparcie, że ich działania polegające na nawiązaniu stosunków z Polską były pionierskimi. To, że wsparcie wyjazdów edukacyjnych kontynuowane było w kolejnych latach, pokazuje wysoki stopień tego uznania.

Moja podróż edukacyjna do Polski w roku jubileuszowym szkoły Reismanna 1988, w której uczestniczyła też moja przedostania córka, doprowadziła mnie najpierw do Instytutu Zachodniego w Poznaniu. Dyrektor Instytutu opowiadał nam o zamordowaniu oficerów Armii Krajowej w Katyniu przez Wehrmacht i o polskim zwycięstwie nad Krzyżakami pod Grunwaldem, jako zwycięstwie narodowym, choć w tej bitwie przeciwko niemieckiemu zakonowi uczestniczyli też niemieccy mieszczaństwo. Młody polski pracownik dał nam ironicznie do zrozumienia, że dyrektor jest komunistycznym reliktem. Dwa lata później dyrektor został zwolniony. Kolejna wizyta w Instytucie pokazała, że mity się skończyły. Zauważyłem, że do roku 1989, także w Czechosłowacji, prywatne wypowiedzi w obszarze komunistycznym często różniły się zaskakująco od tych oficjalnie nakazanych.

W roku 1989 w podróży do Polski towarzyszyła mi zastępczyni dyrektora szkoły średniej, Karola Hennemeyer, która w konsekwencji zaangażowała się silnie w wymianę, m.in. jako gospodarz przyjmujący kierownictwo szkoły. Najpierw podróż odbyła się w ramach PAX. Swobodna organizacja zgodna z dewizą: „jakoś to będzie”, była dla nas Niemców nieco niecodzienna, ale jednak się sprawdziła. Rozpoczęła się regularna wymiana uczniów, którym towarzyszyli nauczyciele i tłumaczka lub doktor Czejarek, jako tłumacz

i nauczyciel w jednej osobie. Ponieważ niemieckie grupy zwiedzały też inne miejscowości, przebywały jedynie kilka dni w Warszawie. Jednak zostały nawiązane też prywatne kontakty. Jedna z niemieckich uczennic zdecydowała się studiować w Warszawie. Także dwoje z czworga moich dzieci wzięło udział w wymianie uczniowskiej z Polską i powstał związek z polską rodziną, ponieważ ich dwaj synowie mieszkali u nas i na odwrót, nasza najmłodsza córka spędzała u nich kiedyś wakacje, wówczas jeszcze w innej miejscowości. Również mój syn przebywał raz prywatnie w Warszawie. Regularnie przyjmowaliśmy u siebie polskich uczniów. Mieliśmy z nimi podobnie jak z angielskimi uczniami z orkiestry szkolnej z partnerskiego miasta Bolton zawsze dobre doświadczenia w odróżnieniu do zdystansowanych uczniów francuskich. Kiedyś mieszkano u nas na skutek szczególnych okoliczności przez wiele dni kilku uczniów, z którymi się dobrze bawiliśmy.

W roku 1989 pobyt w Polsce przypadł na ostatnią fazę strumienia uchodźców z NRD. Dzięki radiu kierowcy autobusu, mogliśmy śledzić dramatyczną sytuację w praskiej i warszawskiej ambasadzie RFN. Nie odbyło się spotkanie z ambasadorem Winfriedem Lipscherem, ponieważ musiał jechać do przepełnionej uchodźcami ambasady. Uczniowie odczuli na wyciągnięcie ręki dramatyczne wydarzenia historyczne i polityczny przełom. Przyjaźń pomiędzy radcą ambasady i moim kolegą Krögerem pochodząca ze wspólnych czasów pobytu w Paderborn była szczególnym akcentem tej wymiany. Lipscher był ważną osobą w niemiecko-polskiej wymianie kulturalnej i dlatego pozostawał dłużej niż było to w zwyczaju w służbie dyplomatycznej w Warszawie.

Powrót do Niemiec na początku października 1989 roku był bardzo szczególnym wydarzeniem. Nasz kierowca autobusu w okolicy Berliner Ring zuchwale przebił się na przód kierowanej przez milicję ludową kolumny autobusów z Wolną Młodzieżą Niemiecką⁴ w mundurach. Ci młodzi ludzie mieli wiwatować Honneckerowi w czasie przemarszu WMN z okazji czterdziestolecia powstania NRD. Chłopcy i dziewczyny machali do nas radośnie, aż ich towarzysze z ostatniego autobusu, któremu podporządkował się nasz kierowca, ukrócili to machanie rygorystycznie z groźnymi minami. Na granicy ponownie trzeba był znosić szykany służby celnej NRD. Miesiąc później upadł mur berliński.

W kolejnym roku 1989, kiedy św. Augustyn świętował czterdziestolecie swojego istnienia, pojechał kwartet, dyrektor szkoły Knut Koch, koledzy Lilli Schwanitz i Walter Hunger jak również ja, jako delegacja ze szkoły Reismanna do Warszawy, gdzie jako goście zostaliśmy i ugoszczeni i przyjęci. Najpierw zostaliśmy stylowo zakwaterowani w klasycystycznym budynku na płaskim terenie, miejscu obrad PAX. Do programu należały pertrakta-

⁴ Freie Deutsche Jugend (Wolna Młodzież Niemiecka, FDJ) – komunistyczna organizacja młodzieżowa Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

cje z wymienioną w międzyczasie dyrekcją, w centrali stowarzyszenia PAX, a dotyczyły oficjalnej wymiany pomiędzy dwiema szkołami.

Szczególnym aspektem podróży były kilkugodzinne odwiedziny w drodze powrotnej paru rodzin pochodzenia niemieckiego we wsi w okolicy Opola. Również te kontakty stały się możliwe dzięki przypadkowemu spotkaniu Josefa Kögera i odbywały się bez wiedzy strony polskiej. Małe grupy były podejmowane obiadem i kawą, wymienianą na różne artykuły spożywcze i prowadzone były intensywne rozmowy z gospodarzami. Często młodzi ludzie wracali do autobusu bardzo poirytowani. Słuchali tylko niekorzystnych rzeczy na temat polskiej strony i nie mogli uwierzyć, że nikt z tych Niemców nie był jeszcze nigdy w pobliskim Oświęcimiu i nawet panował pogląd, że przecież ci więźniowie nie mogli być tacy całkiem niewinni. Potrzeba było przekonujących rozmów, aby wytłumaczyć ten punkt widzenia, powstały na bazie od dawna zakorzenionego wyparcia niemieckości i zawężenia postrzegania do własnych doświadczeń. Na Śląsku potrzeba było jeszcze kilku lat, aby oczyścić atmosferę, przynajmniej w przypadku starszych pokoleń. Dla naszych uczniów te krótkie pobyty były lekcją życia na temat różnych doświadczeń i wynikających z tego różnic w postrzeganiu świata. W czasie pierwszej, prowadzonej przeze mnie podróży, nie byłem gotowy do kontynuowania tych odwiedzin po kryjomu. Wkalkulowałem w ryzyko, że przyłączenie ich do programu może wywołać irytację, co też rzeczywiście raz miało miejsce. Uznałem, że nadszedł już czas, aby oficjalnie zmierzyć się w otwartej dyskusji z problemem polskich obywateli pochodzenia niemieckiego, właśnie w myśl pożądanego pojednania się obydwu narodów.

Dzięki przyjazdom szkolnym i prywatnym poznałem polskie miasta i krajobrazy. Poruszył mnie spokojny rozległy krajobraz zbiegu Narwi i Bugu. Na szczęście odbudowa historycznych centrów miast była już w znacznym stopniu zakończona. Odwiedzając odbudowaną warszawską Starówkę, miało się za każdym razem wrażenie poruszania się pomiędzy starymi budynkami, co było silniejsze niż przecząca temu wiedza. Szczególne wrażenie zrobiły na mnie w Polsce, podobnie jak na północy Niemiec, ceglane budowle gotyckie. We Wrocławiu w czasie mojego pierwszego krótkiego pobytu żałowałem ogłoszonego w roku 1945 fortecą miasta, co spowodowało jego daleko idące zniszczenia. Po kilku latach Wrocław został odbudowany. Ogólnie zyskałem własny pogląd na duże kulturalne osiągnięcia Polski po zniszczeniach w czasie drugiej wojny światowej. Kontrast w stosunku do moich doświadczeń z NRD był ogromny, gdzie dostrzegało się postępujący upadek miast i wyburzanie. Inny był odbiór wsi i rolnictwa. Na niektórych terenach widok wsi przypominał rolnictwo z okresu mojego dzieciństwa lub obraz wsi XIX wieku, co wiązało się z utrzymaniem rozdrobnienia ziemi w epoce komunistycznej. Rozmowy z polskimi kolegami, którzy pochodzili ze wsi, uzupełniły wiedzę o ekonomicznych i socjopolitycznych trudnoś-

ciach transformacji. Podziwiałem uparte dążenie tych kolegów, aby ukończyć studia pomimo ubóstwa, by zdobyć miejski zawód. W przeciwieństwie do stereotypowego obrazu polskiej gospodarki ukazał mi się obraz wielu Polaków, którzy z energią, pomysłowością i inicjatywą torowali sobie drogę do nowoczesnego, wolnego społeczeństwa. Prywatny pobyt w Szczecinie w czasie jednego z urlopów na Darß⁵ w Macklenburg-Vorpommern⁶ był związany z odwiedzinami krewnych państwa Czejków. Zaskoczyło nas miejsce pracy mężczyzny (gospodarza domu) w postaci biura wyposażonego bardzo nowocześnie, gdzie odbierano „gadanię” ze statków, tak że nie istniały w zasadzie żadne przeszkody komunikacji z Zachodem. Jeszcze bardziej zaskoczył nas w Szczecinie stosunek do niemieckiej przeszłości miasta, którą traktowano jako oczywistość, widoczną też na całkowicie niemieckojęzycznych oznakowaniach obiektów w Muzeum Historycznym, które ma swą siedzibę w odbudowanym gotyckim ratuszu. Nieoczekiwana dla mnie była też wielkomiejska struktura rozplanowanych jak w Paryżu dzielnic miasta z XIX wieku z jej rozchodzącymi się gwieździste szerokimi ulicami. To był dopiero początek renowacji domów, co jednak znacząco nie wpływało na odniesione wrażenia. Po raz pierwszy usłyszałem o specyficznym klasowym społeczeństwie polskich uchodźców, którym wolno było przejmować wartościowe nieruchomości, i tych później przybyłych, którzy cierpieli na skutek rosnących, wysokich czynszów.

Inną wielką niespodzianką był dla mnie wywalczony przez krakowskich robotników kościół „Arka” w dzielnicy Nowa Huta. To dotyczyło nie tylko robiącej wrażenie budowli z ogromnym krzyżem w środku, lecz najbardziej piet⁷ w krypcie, które obrazowały okresy cierpienia narodu polskiego. Dotychczas byłem zazwyczaj sceptyczny w stosunku do rodzimej, współczesnej sztuki sakralnej. Rzeźby w krypcie są jednak nie tylko wspaniałymi dziełami sztuki, lecz poruszają patrzącego bezpośrednio, częściowo w sposób szokujący. Są dla mnie od tamtej pory kwintesencją artystycznie aktualnej współczesnej sztuki sakralnej.

Pomimo tego, co czytałem, widziałem na zdjęciach czy filmach, także pomimo wcześniejszych przerażających wizyt w innych obozach koncentracyjnych, pobyt w Oświęcimiu i Brzezince był za każdym razem nad wyraz przynębiający. Zawsze nie miałem, biorąc pod uwagę, to co się tam dzia-

⁵ Darß (*Darss*) – środkowa część półwyspu Fischland-Darß-Zingst leżącego na południowym wybrzeżu Morza Bałtyckiego. Półwysep znajduje się w powiecie Vorpommern-Rügen w Meklemburgii-Pomorza Przednim. Nazwa *Darß* była wcześniej używana także jako nazwa całego półwyspu.

⁶ Meklemburgia-Pomorze Przednie (niem. *Mecklenburg-Vorpommern*, skrót *MV*) jest krajem związkowym położonym w północno-wschodniej części Republiki Federalnej Niemiec.

⁷ Pietà [pjeta] (w polszczyźnie, poza literaturą specjalistyczną dominuje pisownia pieta), z włoskiego *pietà*, ‘miłosierdzie’, ‘litość’; z łac. *pietas*, ‘miłość zgodna z powołaniem’) – w sztukach plastycznych przedstawienie Matki Boskiej trzymającej na kolanach martwego Jezusa Chrystusa.

ło, zrozumienia dla opowieści z różnych stron na temat interpretacji tego strasznego miejsca.

W fazie wymiany około roku 1990, w Polsce panowała niezwykła bieda. Mieliśmy zawsze w autokarze jako prezenty wiele artykułów, które dla większości Polaków osiągały horrendalne ceny. Moje dzieci często były poruszone, kiedy przepychano je w kolejkach sklepowych do przodu, aby mogły zostać wcześniej obsłużone. Jedna z moich córek była tak zakłopotana, że rozdała zakupione przed chwilą bułeczki czekającym dzieciom. Ja też kiedyś zawstydziłem się, kupując chleb dla naszej grupy po niewyobrażalnej dla mnie niskiej cenie, a dla mieszkańców stosunkowo wysokiej. Przy każdych odwiedzinach zwracaliśmy też naszym uczniom uwagę, że w Niemczech nie jest czymś niegrzecznym lecz regułą, opróżnianie całego talerza. Zaproszenia do dyrektora szkoły Jana Górskiego i polskich kolegów pozwoliły mi doświadczyć ograniczonych powierzchni mieszkalnych, w porównaniu do warunków ich niemieckich kolegów, ale również nad wyraz wspaniałomyślnej gościnności, pomimo trudnych warunków materialnych.

Polscy uczniowie jeździli z reguły z Paderborn na trzy dni z niemieckimi chłopcami i dziewczętami do jakiegoś ośrodka wypoczynkowego lub do innych, znanych miast. Sam byłem obecny podczas dwóch takich wspólnych pobytów, od roku 1995, aż do mojego przejścia na emeryturę w roku 2002. Pilotowałem polskie grupy dwa razy do Erfurtu, do Weimaru i Jeny, trzy razy do miast Frankonii i dwa razy do Berlina. Za każdym razem przeważnie przejmowałem kierownictwo. Tak dochodziło do wielu rozmów, ale przede wszystkim objawił mi się szybki kulturalny i społeczny przełom w Polsce od czasu przemian. Podczas gdy polska młodzież była do roku 1989 surowo kontrolowana, bardzo posłuszna i w razie wykroczeń typu spożywanie alkoholu zagrożona wydaleniem ze szkoły, a przy okazji małych okazjonalnych wykroczeń ostro krytykowana, ich zachowanie zrównywało się z niekiedy zbyt swobodnym ich niemieckich partnerów. Przykładem i lustrem przemian społecznych było zachowanie w kościele. Początkowo trzykrotne przeżegnanie się przy wejściu, niekiedy na kolanach było oczywistością. W kolejnych latach prawie przestali przyklękać, a przeżegnali się pośpiesznie lub wcale. W końcu niektórzy uczniowie nie wyjmowali rąk z kieszeni, co w zasadzie należałoby zganić tak samo, jak w przypadku niemieckich uczniów. Także stosunki z nauczycielami stał się dostrzegalnie bardziej otwarte, aż do szyderczych piosenek w autokarze. Postrzegaliśmy tę liberalizację ogólnie jako korzystną, ale widzieliśmy też jej wady. Niemieckie dziewczęta były w czasie pierwszych spotkań zachwycone grzecznością polskich chłopców, którzy im pomagali przy zakładaniu okryć lub otwierali drzwi, do czego były zupełnie nieprzyzwyczajone. Również ta grzeczność zanikła zupełnie u niektórych chłopców. W konsekwencji nie dostrzega się różnic w zachowaniu większość niemieckiej i polskiej młodzieży.

Nie doświadczyłem w Polsce uprzedzeń czy ekstremalnych ataków słownych w stosunku do niemieckich nauczycieli i uczniów, wręcz odwrotnie – ujmującą grzeczność i uprzejmość. Nie jesteśmy w stanie stwierdzić, w jakim stopniu dla polskich rodzin było ciężarem przyjęcie niemieckich uczniów. Z drugiej strony nie zawsze łatwo było ulokować polskiego ucznia u niemieckiej rodziny. Jest dla mnie jednak pytaniem otwartym, czy stały za tym istniejące jeszcze resentymenty. U rodzin goszczących panowała zazwyczaj bardzo miła atmosfera. Skargi na polskich uczniów zdarzały się sporadycznie.

Towarzystwo PAX zmieniło po przemianach w kraju swą nazwę, odcinając się od przeszłości. Przemianowali się na Civitas Christiana. W trakcie obchodów pięćdziesiątego jubileuszu istnienia szkoły, w roku 1999, na który zostałem zaproszony wraz z żoną, obok innych świeckich i duchownych gości, również arcybiskup warszawski otrzymał odznaczenie honorowe jako wyróżnienie. Miało to pokazać nową normalność pomiędzy Civitas Christiana a Kościołem katolickim. Niezwykle były dla nas niewymownie tradycyjne elementy tych obchodów, których już nie spotyka się prawie w niemieckich szkołach. Zaskoczyło mnie, to że też otrzymałem, zupełnie nieprzygotowany, odznaczenie honorowe i musiałem przemówić jako przedstawiciel gimnazjum Reismanna, co ku mojej uldze udało mi się bez zająknięcia.

Spotkałem w czasie uroczystości jednego z synów naszej znajomej warszawskiej rodziny, który niósł flagę w poczcie honorowym. Podobnie, jak jego brat, był jednym z najlepszych uczniów. Moja żona i ja nie wiedzieliśmy, że te uroczystości były łabędzim śpiewem szkoły, która wkrótce miała przestać istnieć. Została zlikwidowana przez... Civitas Christiana. Związki z gimnazjum Reismanna pozostały już tylko wspomnieniem.

Jednak wszyscy ci młodzi ludzie, którzy wzięli udział w wymianie mogą przyczynić się do zmniejszenia uprzedzeń. Niestety, niemieckie postrzeganie Polski jest jeszcze silnie zogniskowane na przestępczości w pobliżu granicy, a nie na zadziwiająco szybkich przemianach i wzmocnieniu pozycji Polski, na szybkiej gospodarczej modernizacji i twórczej ekonomicznej energii wielu Polaków, na liberalizacji na przekór siłom narodowo-konserwatywnym, do których trzeba jeszcze zaliczyć PAX i Civitas Christiana, i aktywnej, istotnej roli Polski w polityce europejskiej, ale też na szczęście, że po pojednaniu niemiecko-francuskim nastąpiło niemiecko-polskie. Sądzę, że bardziej widoczne dla wielu Polaków niż Niemców.

(Przełożyła: Katarzyna Gawor)

MICHAŁ JAMIOŁKOWSKI

Minione, niezapomniane...

Biografie rzadko kiedy bywają interesujące. Składają się głównie z etapów, które tworzą ciąg mniej lub bardziej logicznych, niekiedy pełnych nieoczekiwanych zwrotów w życiu danego człowieka. Interesujące są, być może jako retrospektywa dla jednostki, której dotyczą, nieinteresujące z kolei dla pozostałych, gdyż my wszyscy, przyszliśmy na świat, mieliśmy mniej lub bardziej udane dzieciństwo i wszyscy poszliśmy do szkoły. Gdy jednak okres szkolny w istotny sposób wpływa na kształt dalszych etapów życia, jak stało się to moim udziałem, czy nawet ma niedeterminujący wpływ, wtedy biografie mogą wszelako stać się interesujące.

Jako szczęśliwe dziecko, moich wówczas też jeszcze szczęśliwych rodziców, przyszedłem na świat 6.02.1975 roku w Warszawie. Jak się należy „zarekrutowano” mnie do szkoły w wieku lat siedmiu i do klasy pierwszej i drugiej uczęszczałem do szkoły podstawowej przy ulicy Polnej, następnie, nie wiedzieć czemu, przeniesiono mnie do szkoły podstawowej przy ulicy Sadowej, gdzie chodziłem do klasy trzeciej i czwartej. Jako czwartoklasista miałem stosowne do mojego wieku obowiązki szkolne, które nie obciążały mnie aż tak bardzo, tak więc wiosną 1986 roku moje myśli wybiegały już w kierunku zbliżających się wakacji. Nic nie wskazywało na to, że mające niebawem nadejść wydarzenia przyjmą taki obrót, że mój dotychczasowy porządek świata nie tylko stanie na głowie, ale runie z łoskotem w otchłanne przepaści nieoczekiwanych zmian, a ja wraz z nim, jak samotny biały żagiel, rzucę się w wir pomyślnych i niepomyślnych dla mnie wiatrów.

Gdy pamięcią sięgam w ten odległy już nieco czas, nasuwa mi się pewne wspomnienie, które pamiętam jak dziś. W pewne zapadające już w zmrok popołudnie, w dwupokojowym mieszkaniu moich nieżyjących już dziadków, które znajdowało się w krótkiej, ciemnej uliczce w samym sercu stolicy, spotkało się czworo ludzi: troje już dorosłych i jeden dorastający. Właściciele mieszkania, ich córka i jej syn, czyli ja. Matka moja, która wówczas miała zobowiązania zawodowe w pewnym państwowym przedsiębiorstwie,

którego nazwa obecnie mi umknęła, powróciła do domu jeszcze bardziej poważna niż zazwyczaj, co już samo w sobie wyglądało dość ponuro i złowroźnie. Po krótkiej rozmowie ze swoimi rodzicami, a moimi dziadkami powody jej nadmiernej powagi stały się dla mnie niestety jasne. Zawołano mnie, wskazano wolne krzesło i bez zbędnej zwłoki i dalszych ceregieli złożono oświadczenie o cierpko brzmiącej treści:

„Nadchodzą zmiany. Duże. Będiesz uczył się w innej szkole. Wyjeżdżamy”. Wieść ta spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Nowa szkoła – sobie myślę – to nie takie nieszczęście. W końcu jedną zmianę mam już za sobą, więc mam doświadczenie w tej materii. Jednak druga informacja, uzupełniająca tę pierwszą, zbliżona była raczej do festiwalu świetlnych ogniów, a nie do gromu z jasnego nieba, gdyż usłyszałem: „Wyjeżdżamy do Berlina”.

„Jak to?...” – zaskomlałem. „Jak to do Berlina, teraz?!” Setki pytań nasuwały się same: Po co, na co, co ja tam będę robił? „Kiedy?” „W sierpniu” – rzuciła sucho moja matka i spojrzała na mnie wzrokiem nieoczekującym refleksji zwrotnej, tak więc rzecz była rozegrana.

Pakowanie – tak brzmiało hasło na ostatnie sierpniowe dni. Wszyscy pakowali, wszyscy ganiłi, wszyscy biegali przed sobą, za sobą i obok siebie. Kufry wielkie, samochód mały. W końcu udało się! Powoli, kilometr za kilometrem powlekliśmy się małym fiatem mojej matki do Berlina, wówczas jego wschodniej części, czyli Berlina Wschodniego.

Po pozornie krótkim poszukiwaniu adresu, które z mojego punktu widzenia ciągnęło się w nieskończoność, dotarliśmy do naszego nowego mieszkania w dzielnicy Lichtenberg, ulica Ericha Kuttnera 7 brzmiał dokładny adres. Wielkie bloczysko, rama H, jak się należy. Architektoniczne rozwiązanie mieszkania miało charakter groteskowo-egzotyczny, składało się bowiem z łazienki przylegającej do kuchni oraz długiego korytarza, przypominającego tor w kręgielni, z którego raz to na lewo, raz to na prawo, jak gałęzie z drzewa sterczały mniejsze i większe izby. Pierwszy pokój z lewej strony stał się moim azylem, następny z prawej – królestwem mojej matki. Spore pomieszczenie u schyłku korytarza po stronie prawej stanowiło pokój centralny czyli miejsce spotkań domowników oraz przebywających w domu częściej niż często rozmaitych gości.

Jednak „problematyka” położenia naszego mieszkania z wielkiej płyty była niczym w stosunku do problemu mojej niekompetencji językowej w przestrzeni języka niemieckiego. Nieprzespanych nocy, w wyniku przerażenia komunikacyjną niekompetencją na początku mojej przygody w NRD, nigdy nie policzyłem, niemniej ich liczba jest bez cienia wątpliwości imponująca. Jednakże, ku mojemu sporemu zaskoczeniu, okazało się niebawem, że wiedziano jak mi pomóc. Okazało się, że organizowane są kursy językowe dla dzieci obcokrajowców, głównie dyplomatów, a więc, także i dla mnie. Pełen nowej energii i nadziei, wspierany przez mamę odnalazłem miejsce, które od tej pory miało współwyznaczać mój los. Tym miejscem okazała się

szkoła z wejściem głównym i wejściem bocznym, wyznaczonym dla nas, douczających się. Sensem istnienia tejże placówki oświatowej było świadczenie usług dydaktycznych dla młodych ludzi, których czekał dłuższy pobyt w NRD, a założeniem głównym było przygotowanie ich do kontynuacji nauki w klasycznych szkołach. Przy organizacji tych kursów pomyślano dosłownie o wszystkim, a głównie o tym, żeby płaszczyzną komunikacji był wyłącznie język niemiecki, dlatego w obrębie jednej grupy nie było dwóch przedstawicieli jednego narodu. I tak komunikowaliśmy się: Japończyk, Węgier, Irakijczyk i ja, Polak, na początku nogami i rękami, a potem powoli, powoli, coraz bardziej, coraz bardziej odważnie po niemiecku... Po upływie kilku miesięcy wysłano nas do szkół, które miały stać się naszymi szkołami macierzystymi, czyli tymi, do których mieliśmy uczęszczać, w celu dokonania wzajemnego oglądu. Początkowo jedynie w soboty, gdyż wówczas w NRD szkolny tydzień trwał sześć dni, zmiany nastąpiły nieco później. W szkole przyjęto mnie dość ciepło, choć bez spektakularnego entuzjazmu, nie wiedząc zarazem, co począć z polskim intruzem, który wdarł się w środku roku szkolnego do uporządkowanej enerdowskiej szkoły. Dopisano mnie zatem gdzieś na końcu listy w dzienniku klasowym, uściśnięto dłoń i wskazano wolne miejsce obok oświeconego, samotnie mającego gdzieś w tylnych ławach ucznia. Tym samym, w moim rozumieniu, stałem się częścią klasowej społeczności, choć jedynie jako element towarzyszący, nie posiadający wszelkich pozostałych praw jak pozostali. Obchodzono się ze mną z rozważą, jak to z weekendowymi dziećmi bywa, a ja – ja powoli kontynuowałem naukę języka niemieckiego. Od poniedziałku do piątku kurs, w sobotę szkoła. Wszystko toczyło się jak niekończący się sen, który jak niebawem okazać się miało, kończył się pobudką jakby rodem z thrillera. Był nią końcowy test kompetencji językowych, które podobnie jak egzamin, składano w mowie i piśmie. Znowu nade mną zebrały się ciemne chmury, a wraz z nimi wróciły bezsenne noce.

Najważniejszy dzień w życiu – dzień prawdy: egzamin końcowy! Wynik przyzwoity, a może i więcej, gdyż zdecydowano, by już w semestrze zimowym posłać mnie do mojej macierzystej szkoły jako pełnowartościowego ucznia, czyli uczącego się z klasą zgodnie z planem.

Nowa szkoła, która w moim ówczesnym rozumowaniu stała się „moją”, była czteropiętrowym gmachem ze sporym terenem wokół niej i halą sportową, znajdującą się z prawej strony. Dwa pierwsze piętra przypisano szkole podstawowej, właściwie jej pierwszym klasom, piętra wyższe – klasom starszym. Tym szkolnym konglomeratem kierował pewien dyrektor, dobry i pomocny człowiek, niestety w pełni oddany płynnym substancjom zmieniającym nastrój, co niezdarnie przed nami, młodymi wtenczas, ukrywano. Panem hali sportowej był nauczyciel wf-u, który uczył nas także historii, człowiek nerwowy, o wyczekująco-wnikliwym spojrzeniu, przed którym lęku nie kryli nawet niektórzy nauczyciele, o uczniach nie wspominając.

Nasz wychowawca, wyprostowany, wzorowy, rzeczowy, o jasnym umyśle, uczący „przedmiotu” (to na zawsze pozostanie dla mnie tajemnicą), czyli matematyki. Moja nowa klasa, w mojej nowej szkole składała się z trzydziestu osób. Poczucie przynależności do niej wzrastało we mnie bardzo powoli, albowiem byłem nie tylko jedynym obcokrajowcem w całej klasie, ale i w całej szkole. Niemniej jednak życie szkolne wciągało mnie coraz bardziej, a to za sprawą rozmaitych przedmiotów, których w niej nauczano. Te warto podzielić na dwie grupy: przedmioty pierwszej i drugiej rangi. W pierwszej grupie znalazły się matematyka, fizyka, język niemiecki, którego uczono trójtorowo: literatura, język ojczysty i ortografia z gramatyką. Osobą zaś odpowiedzialną była nasza nauczycielka, sroga strasznie, która na każdego spozierała z góry przeszywającym spojrzeniem i bezustannie obarczała nas co i rusz nowymi zadaniami. Po niemieckim – zaraz rosyjski, z naciskiem na dobre wyniki, co było wolą bardziej polityczną niż dydaktyczną. Te przedmioty uzupełniała wiedza o społeczeństwie, skrojona rzecz jasna na socrealistyczną modłę i była także przedmiotem ukonstytuowanym na polityczne zamówienie. Jako drugi język obcy, o dziwo – angielski, z podręcznikiem od pierwszej do ostatniej strony ukazującym nieludzką twarz kapitalistycznych reżimów. Biologię i chemię przybliżała nam nieco nieobliczalna pani, której mąż, zgodnie z obiegową plotką, „dał nogę” na zachód, w związku z czym ta nieszczęsna kobieta regularnie odbierała wizyty enerdowskiej tajnej policji, a zaręczam, że nie były to wizyty przyjazne. Uzupełnić tę listę należy o lekcje muzyki, gdzie zapiewaliśmy pieśni o katiuszach. Zajęcia praktyczne, na których – ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu – oczekiwano ode mnie umiejętności rzemieślniczych. I wreszcie wspomniany wcześniej wf, chociaż w wykonaniu tegoż nauczyciela nie wiem, czy można ten przedmiot zakwalifikować jako uzupełniający.

Życie naszej małej szkolnej społeczności wzbogacano o wyjazdy i wycieczki, które stanowiły dla nas odmianę, kojącą od szarej codzienności. Dla nas, to znaczy tak uczniów, jak i nauczycieli, którzy z nami wyjeżdżali i również razem z nami (choć w oddzielnych pomieszczeniach) – noce zamieniali na dnie. W czasie ich trwania dyskutowaliśmy o wszystkim, przebudowywaliśmy świat i czuliśmy się jak u progu nadchodzącej, wielkiej rewolucji. Na ten czas przypadają też moje pierwsze doświadczenia natury dziewczęco-chłopięcej, z piękną istotą, której imienia zdradzić się nie ważę, powstawały prawdziwe przyjaźnie – prawdziwe, gdyż trwają do dziś!

Spokojne, ulotne chwile wypełniały dni, które przemieniały się w tygodnie i miesiące, a te z kolei wypełniały lata, na które przypadał okres zawodowych zobowiązań mojej matki w NRD, czyli lata 1986–1990. Rok 1990 stał się w trójnasób rokiem końcowym w moim ówczesnym życiu, gdyż wtedy skrzyżowały się drogi zakończenia szkoły podstawowej, zakończenia mojego pobytu w NRD oraz końca Niemieckiej Republiki Demokratycznej jako samodzielnego państwa. Rokiem końca małej republiki, która

zapisywała już nowe karty historii z niecierpliwością i beckettowskim oczekiwaniem zerkania ku ponownemu zjednoczeniu obu niemieckich państw. Niemcy wschodni i zachodni powoli składali wspomnienia czterdziestoletniej historii NRD do albumów historycznych wspomnień, a my – mama i ja, z nimi równolegle, pakowaliśmy nasz pomnożony o czteroletni pobyt w NRD dobytek do małego fiata i wyruszyliśmy w powrotną podróż. Za nami snuły się wspomnienia o przygodzie w państwie, w małej republice, której już nie ma, dziecięcej przygodzie, o pierwszych życiowych doświadczeniach, o smaku dzieciństwa, o czasie, który wspominam dziś często i często wracam doń pamięcią, a obecnie opisuję go w krótkim, choć dla mnie samego, wzruszającym wspomnieniu, mając zarazem nadzieję, że wbrew temu, co napisałem w pierwszym zdaniu – niniejsze wspomnienia okażą się dla niejednej i niejednego z Państwa choć trochę interesujące.

BEATA JANKOWSKA

Byłam stypendystką programu ERASMUS...

Nazywam się Beata Jankowska. Ukończyłam Germanistykę na Uniwersytecie Warszawskim oraz Dydaktykę Języków Obcych w Akademii Humanistycznej w Pułtusk. Poznałam tam wspaniałych nauczycieli: w Pułtusk – prof. Karola Czejarka, a w Warszawie prof. Roberta Małeckiego. To oni uświadomili mi, że człowiek powinien rozwijać się nie tylko podczas studiów, ale powinien też dążyć do spełniania swoich marzeń.

Jestem wykwalifikowaną nauczycielką języka niemieckiego. Chciałabym opowiedzieć o moich kontaktach z ludźmi z Niemiec i o swoich doświadczeniach.

Pochodzę z Mazur, z byłego terenu Prus Wschodnich. Moja babcia Maria urodziła się na Ukrainie. Kiedy miała 10 lat, została po drugiej wojnie światowej razem ze swoimi rodzicami, przymusowo przesiedlona na Mazury w wyniku akcji „Wisła”. Mazury zamieszkiwało wtedy 90 % ludności pochodzenia niemieckiego. Po śmierci mojej prababci, babcia szukała oparcia u innych ludzi. Pomoc znalazła u Niemców, nawet w nauce języka niemieckiego. Mój dziadek Bogdan zawsze podziwiał babcię za to, jak dobrze posługiwała się niemieckim.

Dom, w którym do dziś mieszka, został od sąsiadów odkupiony. Poprzedni właściciele pochodzili pierwotnie z Niemiec i sprzedali go, kiedy znów wracali do swojej ojczyzny. Wtedy wiele ludzi na zawsze opuszczało Mazury.

Przez pięć lat mieszkałam razem z moją siostrą Anią i rodzicami u babci w Babiętach. Jest to miejscowość położona w pobliżu lasów i rzeki Strugi Babięckiej, w której latem kąpały się wszystkie miejscowe dzieci.

To był piękny czas. Myślę, że nie ma nic wspanialszego, zwłaszcza dla małych dzieci, jak mieszkanie na wsi. Babcia posiadała wtedy duże gospodarstwo rolne, a w prowadzeniu go pomagali jej wszyscy domownicy.

W latach 80. i 90., co roku babcia gościła znajomych z Niemiec. Goście przyjeżdżali nie tylko w odwiedziny, ale przede wszystkim pragnęli zobaczyć swoją starą ojczyznę. Powspominać odległe czasy, spotkać ludzi i popatrzeć na domy, w których kiedyś mieszkali. Tak jak dawniej podziwiali piękno mazurskiej krainy. Jako dziecko zapamiętałam, że i ja, i moja siostra zawsze otrzymywałyśmy dużo prezentów.

Przypominam sobie tę nieco świąteczną atmosferę, jaka panowała podczas tych wizyt. Babcia przygotowywała kawę i stawiała na stół ciasto. Czasem, jeżeli odpowiednio wcześniej wiedziała o odwiedzinach, gotowała dla gości obiad. To ona uczyła mnie pierwszych niemieckich słów, a goście bardzo cieszyli się, słysząc w moim wykonaniu pierwsze próby porozumiewania się w ich języku.

Moja ciocia, Dorota – najmłodsza z czwórki dzieci – pracowała w latach 80. minionego wieku w restauracji „Orbis” w Mrągowie. Tam nawiązała wiele kontaktów z turystami z Niemiec. Odwiedzali oni również moją babcię w Babiętach. Na początku lat 90. ciocia wyjechała do Niemiec „za pracę”. Obecnie jest szczęśliwą mężatką i mieszka we Vlotho, niedaleko Herfordu.

Kiedy ukończyłam 13 lat, zabrała mnie do siebie na wakacje. To był mój pierwszy wyjazd do Niemiec. Przypominam sobie, że tam wszystko było inne, ładniejsze i lepsze. Do szczęścia brakowało mi tylko znajomości języka. Odkryłam zupełnie inne życie, na znacznie wyższym poziomie. Byłam zachwycona i chciałam koniecznie uczyć się niemieckiego w szkole. To się jednak nie udało, ponieważ wtedy musiałam uczyć się rosyjskiego, który był językiem obowiązkowym.

Moja starsza siostra Ania po ukończeniu germanistyki, również wyjechała do Niemiec i wyszła tam za mąż. W zeszłym roku została mamą Nicolasa, a ja jego matką chrzestną. Mieszkają w Bad Lippspringe, niedaleko Paderborn i naucza niemieckiego na miejscowym uniwersytecie.

Naukę niemieckiego rozpoczęłam dopiero w szkole średniej, w Technikum. Miałam znakomitych nauczycieli, którzy na nowo rozbudzili we mnie chęć uczenia się tego języka.

Wszystkie dotychczasowe doświadczenia sprawiły, że podjęłam studia na germanistyce. Wcześniej uczyłam się w Nauczycielskim Kolegium Języków Obcych w Szczytnie, gdzie studiowała również moja siostra. Następnie w roku 2010 rozpoczęłam studia magisterskie w Akademii Humanistycznej w Puławach, na kierunku: Dydaktyka Języków Obcych. W 2012 r. rozpoczęłam naukę na Uniwersytecie Warszawskim. Pracę magisterską pisałam na temat: „Zwyczaje i obyczaje na Mazurach na podstawie wybranych dzieł Ernesta Wiecherta”.

Podczas studiów magisterskich na Uniwersytecie Warszawskim, dowiedziałam się o Erasmusie i postanowiłam spróbować swoich sił, aby otrzymać stypendium. Ale żeby mieć pieniądze na pobyt w Niemczech i na wszystkie opłaty związane ze studiami, postanowiłam w czasie wakacji wyjechać do

Niemiec i popracować tam jako opiekunka. Pracowałam w miejscowości Alsdorf, oddalonej 15 km od Akwizgranu.

Drugim ważnym czynnikiem, który zdecydował o podjęciu takiej decyzji, była możliwość doskonalenia języka niemieckiego, ponieważ nie czułam się zbyt pewnie w mówieniu. Mimo, że mam niemieckojęzycznych krewnych (wujek i szwagier), niezbyt często rozmawiamy w tym języku.

Opiekowałam się 79-letnim panem, z którym spędzałam każdą wolną chwilę, rozmawiając z nim na różne tematy. Zajmowałam się głównie domem, ale kiedy czuł się gorzej, pomagałam mu w chorobie przetrwać najtrudniejsze chwile. Pan Hubert cierpiał na demencję, depresję oraz na chorobę Parkinsona.

Pierwsze dni pracy nie były łatwe. Poznawałam dom i jego zwyczaje oraz najbliższe otoczenie. Pan mówił cicho i niewyraźnie. Czasem miałam problem, żeby go zrozumieć, więc się z tego powodu złościł.

Podczas pełnienia mojej służby, uległ wypadkowi, łamiąc lewe biodro. Spędził całe dwa miesiące w szpitalu. Czułam się winna, bo być może niewystarczająco uważałam na niego. Rozmowy z jego córkami bardzo mi pomogły, bo żadna z nich za ten wypadek mnie nie obwiniała. Więc nadal mogłam pracować, a moim zadaniem było teraz zająć się kotem, domem i odwiedzaniem chorego. Te odwiedziny w szpitalu nie zawsze należały do przyjemności. Pan Hubert przyjmował wiele lekarstw, które – niestety – miały też działanie uboczne. Zdarzało się, że mnie nie poznawał, brał za inną osobę i kategorycznie żądał, abym poszła sobie i nigdy nie wracała.

Kiedy okazało się, że długo jeszcze nie wyjdzie ze szpitala, zaczęłam się bać, że jego córki odeślą mnie do Polski, bo tu nie będę już potrzebna. Potrzebowałam pieniędzy na studia. Dzięki Bogu w domu był jeszcze kot i ktoś musiał się nim zająć.

Po dwóch miesiącach Hubert wrócił do swojego domu. Pamiętam, że był tym przerażony i na początku trudno go było przekonać do powrotu. Kiedy znów usiadł w swoim starym fotelu, powiedział, że musi się na nowo przyzwyczaić. Kot nie od razu rozpoznał swojego pana. Na początku wcale nie podchodził do niego i nie dawał się głaskać. Było to trochę smutne.

Szczególnie ciężkie były dla mnie ostatnie dwa tygodnie przed wyjazdem. Wstawałam pięć, sześć razy w nocy do pana, ponieważ od chwili wypadku nie był w stanie obyc się bez pomocy. Każdy dzień był dla mnie coraz bardziej wyczerpujący.

Odwiedziny w szpitalu i rozmowy z pielęgniarkami uświadomiły mi, jak bardzo pan Hubert i inni pacjenci cierpieli. Bez wsparcia trzech wspierających córek (Gabi, Martiny i Alex) nie poradziłabym sobie. Mogłam każdego dnia dzwonić do nich i poprosić je o pomoc. We wrześniu skończyła mi się umowa i musiałam wracać do Polski. Chciałam także przygotować Huberta na przybycie nowej opiekunki. Pamiętam, że nazywała się Ela; wytrzymała

zaledwie miesiąc. Nigdy nie zapomnę pożegnania. Hubert miał łzy w oczach prosząc, żebym została.

Opiekując się nim, nauczyłam się bardzo wiele. Kiedy jest ciężko, nie wolno się poddawać! Pan Hubert zmarł w roku 2015.

W 2014 roku pojechałam do Bambergii na studia. Na moje stypendium wybrałam Bawarię, ponieważ zawsze fascynował mnie ten region Niemiec. Chciałam lepiej poznać panujące tam obyczaje i kulturę.

Do ubiegania się o stypendium potrzebowałam dużo dokumentów i oczywiście dobrych ocen z poprzedniej uczelni. Po trzech miesiącach przyszła wiadomość: „Serdeczne gratulacje, jedziesz do Bambergii!”

Od tego momentu rozpoczęłam przygotowania. Jeszcze przed moim wyjazdem poznałam Julię, moją „tandem – partnerkę”. Julia była pozytywnie zaskoczona, że tak dobrze znam niemiecki. Ale nie byłam do końca pewna, czy moje dotychczasowe umiejętności językowe wystarczą. Jak będzie na uniwersytecie? I czy podołam wszystkiemu?

Po przybyciu odebrała mnie z dworca, pokazała miasto i uniwersytet. Bardzo mi pomogła w tych pierwszych dniach. Nowe doświadczenia, nowi ludzie. Po prostu wspaniale. Ale też zaczęło przybywać obowiązków.

Mój pobyt w Bambergii rozpoczął się już w marcu. Zaraz po przybyciu wzięłam udział w kursie językowym, który prowadziły dwie nauczycielki: Stephenie Kahl i Petra Avram, które nas wspierały i pomagały.

Kurs trwał 3 tygodnie. Ćwiczyliśmy przede wszystkim gramatykę, mieliśmy też zajęcia z realioznastwa. Kurs był przeznaczony dla obcokrajowców, którzy chcieli doskonalić swoje umiejętności językowe. Studenci pochodzili m. in. z Węgier, Ukrainy, Polski, Danii, Belgii, Chin, Południowej Korei. Przyjechali również studenci ze Stanów Zjednoczonych i Francji. Po zajęciach często słyszałam ich rozmowy prowadzone w języku angielskim. Znajomość niemieckiego wśród obcokrajowców była bardzo zróżnicowana.

Marzec był „po brzegi” wypełniony różnymi zajęciami, nie tylko w ramach kursu. Wszystko było bardzo dokładnie zaplanowane przez Uniwersytet (wycieczki, spotkania dla studentów itd.). Nie brakowało przeróżnych imprez. Czasem byłam tak zmęczona, że chętnie kładłam się spać, zamiast po raz kolejny wybrać się na miasto.

Moje pierwsze spotkania z innymi obcokrajowcami były bardzo interesujące. Poznałam m.in. Merta z Turcji. Na początku byliśmy w tej samej grupie językowej. Po paru zajęciach Mert zmienił grupę, ponieważ poziom językowy B2 był dla niego za wysoki. Nasza pierwsza rozmowa odbywała się w języku angielskim. Mój angielski był jednak nienajlepszy i zaproponowałam, żebyśmy rozmawiali po niemiecku, chociaż wszyscy zagraniczni studenci rozmawiali głównie po angielsku.

Wreszcie rozpoczęły się zajęcia na uczelni. Przede wszystkim interesowali mnie studenci z Niemiec, ponieważ nie miałam jeszcze okazji ich poznać.

Sprawiali wrażenie zamkniętych w sobie, skoncentrowanych, często milczących. Miałam wiele pytań i zdecydowałam się wreszcie kogoś zagadnąć. Okazało się, że na moje pytania chętnie odpowiadali. Kiedy się z zewnątrz obserwuje Niemców, można stwierdzić, że się dystansują od cudzoziemców. Wykładowcy byli zawsze dobrze przygotowani do zajęć. Najczęściej przynosili różne materiały i zachęcali studentów do dyskusji.

Podczas zajęć poznałam dwie bardzo interesujące osoby. To moi wykładowcy: Carola Jansen i Armin Gertz. Carola prowadziła zajęcia: „Czytanie i rozumienie gazety”. Jej hobby – to języki obce, m.in. polski. Każdego roku odwiedza nasz kraj. Była w Gdańsku i też brała udział w kursie językowym. Jest zawsze bardzo pomocna i otwarta na obcokrajowców. Po zakończeniu każdego semestru organizuje międzynarodowe spotkanie dla studentów w swoim domu.

Armin Gertz naucza realioznawstwa. Jego korzenie sięgają Polski. Studiował w Polsce i pracował jako nauczyciel niemieckiego. Armin organizuje również, podobnie jak Carola spotkania, ale tylko z polskimi studentami – potrafi bardzo dobrze mówić w naszym języku. Doradzał nam, w jaki sposób powinniśmy nawiązywać nowe przyjaźnie z Niemcami.

Bardzo mnie zdziwiło, że jest w Niemczech tak wiele świąt i wolnych dni. Czas w Bambergii płynął bardzo szybko. Jest to piękne miasto, pełne historii i kultury, miasto wina i piwa. Mogłabym tam zostać na zawsze.

Moja siostra, tak jak ja, również pokochała Bambergię. Często razem zwiedzamy i wciąż na nowo poznajemy to miasto.

Język niemiecki był zawsze obecny w moim domu, a przyjaźń z Niemcami uczy nas tolerancji, pozwalając w ten sposób poznawać inną kulturę. Pod tym względem oba kraje – Polska i Niemcy – bardzo się różnią, ale zawsze możemy żyć w zgodzie i nawzajem się szanować.

Serdeczne podziękowania dla Pana Karola Czejarka, mojego byłego wykładowcy z Akademii Humanistycznej w Puławach, który przekonał mnie do wzięcia udziału w konferencji na temat biografii polsko-niemieckich. Dzięki temu pokonałam własne lęki.

ROLF KARBAUM

Życie na polsko-niemieckiej granicy

Moje osobiste życie jest ściśle związane z Polską. To „związanie” dotyczy trzech głównych faz. Pierwsza – to okres cierpienia, łez, nienawiści, antypatii, rozpacz i złości. To czas od zakończenia drugiej wojny światowej do końca lat pięćdziesiątych, a nawet początku sześćdziesiątych. Druga faza – to okres do ok. roku 1970. Pierwszych dobrowolnych i chciwych kontaktów, pierwszego powojennego wzajemnego zbliżania się, także ciekawości z naszej strony, jak żyją sąsiedzi. Faza ta kończy się mniej więcej 10 lat później i znów następuje między nami wzajemna niechęć, nacechowana podejrzliwością, pełna dramatycznych sytuacji (związanych z politycznymi wydarzeniami, jakie miały u was miejsce). Po tych politycznych przemianach, jakie nastąpiły w Polsce jesienią 1989 roku, następuje faza trzecia, tj. okres rzeczywistego zbliżania się naszych narodów, chęci bycia ze sobą razem i mam nadzieję, że ta faza jest nadal w ciągłym rozwoju, a proces nieodwracalny. Stało się bowiem w tym czasie coś, co jeszcze w czasie mego dzieciństwa i młodości wydawało się być niemożliwym i nieosiągalnym. Dlatego jestem szczęśliwy, że mimo woli byłem świadkiem tych przemian i ich współuczestnikiem.

Urodziłem się i wzrastałem w Görlitz, mieście, które po II wojnie światowej, czyli w roku 1945, również zostało podzielone na dwie części. Przyszedłem bowiem na świat we wschodniej części tego miasta, które dzisiaj nazywa się Zgorzelec. Nysa Łużycka, która przecina miasto mniej więcej w połowie, stała się na podstawie Konferencji Poczdamskiej w sierpniu 1945 roku, granicą wschodnią dla Niemieckiej Republiki Demokratycznej (utworzonej w 1949 r.), i zachodnią dla Polski. 6 lipca 1950 roku granica na Odrze i Nysie Łużyckiej została oficjalnie uznana przez Niemiecką Republikę Demokratyczną i Polską Rzeczpospolitą Ludową na mocy wzajemnego

porozumienia. Podpisanie tego układu miało miejsce w dzisiejszym Domu Kultury w Zgorzelcu, a podpisali go wówczas w imieniu swoich państw premierzy rządów Polski i NRD: Józef Cyrankiewicz i Otto Grotewohl. Republika Federalna Niemiec, uznała granicę wschodnią z Polską dopiero 7 grudnia 1970 r. Skutki decyzji z sierpnia 1945 r. są powszechnie znane, ale mimo wszystko przypomnę je: Polacy na mocy Układu Poczdamskiego stracili na Wschodzie prawie jedną trzecią swego przedwojennego terytorium. Około 1,5 miliona etnicznych Polaków zostało wtedy z tych terenów przymusowo wysiedlonych na „zachód” na niemieckie dotąd ziemie leżące na wschód od Odry. Ok. 5 milionów Niemców, jeszcze przed zakończeniem wojny uciekło przed zbliżającym się frontem z zachodniej i północnej Polski (z Pomorza i Prus Wschodnich). Dalsze ok. 3,5 miliona Niemców zostało z tych terenów po zakończeniu wojny wysiedlonych, bez prawa powrotu. W nazewnictwie NRD nazywało się to „planowym przesiedleniem”.

I to są początki moich polsko-niemieckich wspomnień z tamtego okresu. Przez Görlitz przetoczyły się wówczas niezliczone rzesze tych ludzi. Wielu z nich próbowało w mieście zatrzymać się, licząc, że wkrótce będą mogli wrócić do swych opuszczonych domostw i ziem. Miasto wtedy dosłownie pękało w szwach. Do dziś mam w pamięci łzy dorosłych, których spotkał ten okrutny los; opłakiwano nie tylko utratę ziem, ale i poległych, w działaniach wojennych na Wschodzie, członków i bliskich tych rodzin. Był to też niekończący się temat rozmów, który utkwiał mi w pamięci z czasów dzieciństwa. Także moja matka często płakała, gdyż mój ojciec dosłownie na tydzień przed zakończeniem wojny, też zginął. I zdarzało się, że płakałem wtedy razem z nią. Ale i tak mieliśmy szczęście, gdyż my nie byliśmy wypędzeni. Mojej matce udało się jeszcze przed zakończeniem wojny przeprowadzić z dziećmi (mam jeszcze siostrę) ze wschodniej części miasta – Oststadt (czyli dzisiejszego Zgorzelca) do południowej – Südstadt (dzisiejszego Görlitz). Inaczej mówiąc, do tej części miasta, które leży po zachodniej stronie rzeki. Gdy wróciliśmy tu, po krótkotrwałej ewakuacji, zastaliśmy nasze mieszkanie – na szczęście – niezniszczone. Było to tym bardziej cenne, gdyż wtedy każdy metr powierzchni mieszkalnej w mieście był „na wagę złota”. Przypominam sobie też, że gdy w tym czasie odwiedzałem któregoś ze swych kolegów szkolnych po lekcjach, to zwykle mieszkali oni w mieszkaniach zasiedlonych przez kilka rodzin. A miejscem naszych zabaw były wtedy wąskie korytarze w tych mieszkaniach, w których rodziny trzymały swój dobytek w zamkniętych na kłódkę staromodnych, potężnych drewnianych szafach.

Było oczywiste, że w tamtym okresie rozmawiało się w niemieckim Görlitz o Polsce i o Polakach bardzo źle. Większość rodzin, które wtedy poznałem, utraciła nie tylko cały swój majątek na Śląsku, czy w b. Prusach Wschodnich, skąd przybyli, czyli z ziem, które wcześniej były ich ojczyzną, ale zaznały też gwałtów dokonanych na ludności cywilnej w trakcie wypę-

dzenia. Zrozumiałe były zatem i pretensje i żale tych rodzin do Polaków, którzy w tym procederze, razem z Rosjanami uczestniczyli. Przepędzeni, na ogół nie wiedzieli, co tak naprawdę było przyczyną ich tragicznego losu. Pamiętam ludzi w Görlitz, którzy wieczorami gromadzili się nad rzeką, spoglądając na wschód, gdzie pozostawili cały dorobek życia. Niektórzy przez rzekę mogli nawet dostrzec domy (znajdujące się w dzisiejszym Zgorzelcu), w których jeszcze kilka dni wcześniej mieszkali, a które musieli opuścić. Denerwowano się tym bardziej, iż miasto po drugiej stronie rzeki było wtedy niemal puste, mieszkańców było w nim niewielu, którzy z kolei też zostali do niego przesiedleni wbrew ich woli z ziem utraconych przez Polskę na Wschodzie. I pamiętam, że wszyscy wtedy liczyli, że to może się jeszcze zmienić. Że kiedy wszystko się uspokoi, każdy będzie mógł wrócić na poprzednie miejsce zamieszkania. W każdym razie kontakty między Niemcami a Polakami były w tym okresie zupełnie niemożliwe. Zamiast nich – obie „socjalistyczne” i „braterskie” strony – wybudowały liczne wieże strażnicze, a uzbrojeni „po zęby” żołnierze, w dzień i w nocy pilnowali granicy. Dodatkowo chronił ją wysoki drut kolczasty. Jakiegokolwiek jej przekroczenie było niedozwolone i groziło śmiercią. Podobnie było w samym mieście, pod żadnym pozorem mieszkańcy Görlitz, czy Zgorzelca nie mogli nawzajem przekraczać mostów na Nysie. Jeszcze w latach sześćdziesiątych, gdy wracałem ze swoją przyjaciółką (która dziś jest moją żoną) z pewnej potańcówki i na tylko moment przysiedliśmy nad rzeką, zostaliśmy natychmiast skontrolowani i arogancko zapytani przez patrol wojskowo-policyjny: „a wy co tutaj robicie?”. W tamtym czasie nawet we śnie nie pomyślałbym, że ta sytuacja pomiędzy naszymi krajami może się kiedykolwiek zmienić. Zналиśmy wówczas tylko ostre „akcje” policji i wojska wobec mieszkańców, szczególnie regionów przygranicznych. Nikt wówczas nawet nie pomyślał, że to się kiedykolwiek zmieni! Że ludzie naszych dwóch państw staną się kiedyś sobie bliscy! Że będą chcieli wzajemnie poznawać się, że się zaprzyjaźnią, będą się ze sobą spotykać, rozmawiać i będą nawet zdolni nawzajem sobie przebaczyć, zapomnieć o koszmarze niedawnej wojny? W każdym razie trudno było sobie wtedy wyobrazić, że między Niemcami a Polakami rozwinie się wkrótce wzajemna sympatia, zaufanie i współpraca. Polska w okresie całej mojej młodości była dla mnie krajem zupełnie nieznanym, egzotycznym, który chciałem odwiedzić po to, by zobaczyć, jak w niej żyją ludzie. Ale, że to kiedyś nastąpi wydawało mi się wówczas tak odległe, jak „Ameryka od Europy”. Mimo że w szkole już wówczas uczono nas inaczej. Na lekcjach mówiono o braterskim sąsiedztwie, o wspólnej drodze do socjalizmu, o potrzebie rozwijania przyjaźni po obu stronach Odry i Nysy, ale raczej w kontekście wymuszonego braterstwa broni. Nigdy natomiast nie wspomniano na żadnej lekcji o przyczynach, które doprowadziły do rozdzwieniu między Polakami a Niemcami. I tak przyzwyczajaliśmy się przyjmować te kłamstwa za dobrą monetę, dopiero z czasem każdy w tych sprawach wyrabiał sobie

własne zdanie. W moim przypadku stało się to wtedy, gdy kilka lat później odbyłem pierwszą podróż do nieznanego mi dotąd bliżej sąsiedzkiego kraju. Było to latem 1966 roku, kiedy razem z żoną postanowiliśmy wybrać się do Polski w ramach naszej podróży poślubnej. Żeby zrealizować nasz pomysł, trzeba było wtedy pokonać wiele przeszkód. Przede wszystkim mieć uwierzytelnione przez tłumacza przysięgłego zaproszenie z Polski. Następnie uzyskać zgodę władz NRD na wyjazd. Wreszcie trzeba było mieć zapewnienie na piśmie od osoby zapraszającej, że pokryje ona ewentualne koszty naszego pobytu w Polsce. Dziwne w tym wszystkim było to, że przecież nasza podróż miała odbyć się do „bratniego kraju”. Ale w końcu szczęśliwie udało nam się przekroczyć granicę. Postanowiliśmy najpierw odwiedzić naszych znajomych, którzy mieszkali po drugiej rzeki, czyli w Zgorzelcu. Chcieliśmy zobaczyć jak żyją, posłuchać co mówią, jaką mają perspektywę. Potem dopiero ruszyliśmy w dalszą drogę. Odwiedziliśmy wtedy wiele miejscowości, przede wszystkim w Sudetach, które kiedyś należały do Niemiec, a były miejscami młodości naszych rodzin. I tak np. zatrzymaliśmy się w domu moich dziadków w Greiffenbergu (obecnie Gryfów Śląski). Pojechaliśmy oczywiście też do Wrocławia (kiedyś Breslau), którego odbudowa w tamtych latach dopiero się zaczynała. Przez dłuższe chwile kilkakrotnie usiedliśmy – wpadając w zadumę – nad brzegiem Odry, która we Wrocławiu – na szczęście – nie była, jak w Görlitz rzeką graniczną. Jednego, czego nigdy nie zapomnę z tej podróży i co zrobiło na mnie wielkie wrażenie było to, że wszędzie „po drodze” trafialiśmy na wspaniałych, przyjaźnie nastawionych ludzi. Choć porozumiewaliśmy się z nimi przy pomocy gestów i języka migowego, gdyż wtedy nie znaliśmy jeszcze żadnego polskiego słowa. Oczywiście, nie znając języka, nie mogliśmy zawrzeć żadnej trwalszej znajomości, ale nasza ciekawość, jacy są Polacy, jak żyją w bliskim od nas, a jednak wciąż „dalekim” sąsiedzkim kraju, została zaspokojona. Wracając z tamtej podróży do domu, przyrzekliśmy sobie, że będziemy odtąd odwiedzać ten piękny i przyjazny kraj. Pragnęliśmy, aby kiedyś nastąpił taki czas, w którym bez przeszkód ludzie będą mogli przekraczać granicę, zaprzyjaźniać się ze sobą, jak sąsiedzi mieszkający we wspólnym domu. Ale na razie w tym zakresie nic się nie zmieniało.

Druga faza moich doświadczeń z kontaktów z Polakami, da się określić dokładną datą. To był 1 stycznia 1970 roku. Tego mroźnego, zimowego dnia, granica pomiędzy Niemiecką Republiką Demokratyczną z Polską Rzeczpospolitą Ludową, została po raz pierwszy otwarta dla tzw. „małego” ruchu granicznego. Wystarczyło pokazać dowód osobisty, aby ją przekroczyć bez jakichkolwiek innych formalności. Już pierwszego dnia skorzystaliśmy z tej okazji. W naszej kolekcji domowej do dziś zachowało się zdjęcie sprzed Domu Kultury w Zgorzelcu, na którym jesteśmy z naszym niedawno urodzonym synem, który leżał wtedy jeszcze w wózku. Na jego odwrocie zapisałem datę: 1.1.1970.

Oczywiście, nie tylko my skorzystaliśmy wtedy z możliwości udania się do Polski, ale bardzo dużo ludzi z obu stron granicy. Były to wtedy jednak przeważnie „przejścia” w celach komercyjnych. Oba nasze kraje były wtedy źle zarządzane i w kryzysie. Ludzie przede wszystkim szukali towarów, których w swoim kraju nie można było dostać. Zdarzały się dni, kiedy przez granicę przechodziło więcej ludzi (i to z całej NRD), niż było wówczas mieszkańców Görlitz (ok. 80 tys.). Skutkiem tego ulice naszego miasta były często zapchane, a korki dochodziły do kilkukilometrowych i zaczynały się daleko przed miastem. Zaś ludzi na granicy stojących „z dowodem w rękę” było tak dużo, że na jej przekroczenie trzeba było stać w kolejce wiele godzin. Ja pracowałem wówczas jako wykładowca w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Görlitz, która znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie granicy, więc mogłem z jej okien obserwować, co się „na granicy” dzieje, szczególnie w soboty i niedziele. Zdarzało się, że nie mogłem w weekendy (zajęcia wtedy odbywały się jeszcze w soboty) dostać się do uczelni. Ludzie stojący w kolejce, po prostu nie chcieli mnie przepuścić i nie pomagało tłumaczenie, że idę tylko do pracy, a nie do Polski. A gdy wracałem z uczelni, często widziałem tych samych ludzi już wracających z Polski, „obowiązkowo” w czarnych skórzanych kurtkach i z torbami pełnymi zakupionych „za granicą” towarów, wśród których królowały elektryczne wiertarki; w NRD nie można było wówczas ich dostać.

W drugą stronę, to znaczy z Polski do NRD, także wędrowało codziennie tysiące ludzi „na zakupy”. Szczególnie towarów tekstylnych, ale głównie kupowano buty. Zdarzało się, że do sklepów po naszej stronie wpuszczano z czasem tylko określoną liczbę ludzi jednorazowo, a reszta musiała czekać w kolejce na „wejście”. Görlitz, jako miasto leżące gdzieś „na uboczu” okręgu drezdeńskiego, nie było wtedy zaopatrywane przez władze w tzw. pierwszej kolejności. Rozdzielniki towarów, które wówczas obowiązywały, najpierw kierowane były do Berlina, jako stolicy NRD, a w dalszej kolejności do stolic okręgów, a dopiero na końcu tej piramidy „rozdzielnictwa” znajdowały się mniejsze miasta (takie, jak nasze) i wieś. Szczególny kryzys zaopatrzenia widoczny był w roku 1972. Przybywający Polacy nie kupowali tylko dla siebie, ale brali od razu wielokrotność danego towaru, czyli od razu kilka par butów, czy większą ilość sweterków, które następnie odsprzedawano w Polsce dla zysku. Dochodziło z tego powodu do wielu napięć i niezadowolonych między Polakami a Niemcami. Niemcy buntowali się, że Polacy wykupują im towary, których potem nie ma dla nich, mimo iż w międzyczasie zwiększono przydziały do Görlitz, jako miasta granicznego. Ale to była sytuacja bez wyjścia, bo im więcej towarów przydzielano miastu, tym więcej przybywało po nie Polaków. W tej sytuacji nasi handlowcy zaczęli organizować sklepy wyłącznie dla Niemców, szczególnie w okresie przedświątecznym (np. na Boże Narodzenie), ale to nie był dobry pomysł i na szczęście szybko się z niego wycofano. Nie była to sytuacja, w której zawią-

zywałyby się przyjazne kontakty między ludnością naszych krajów. Ludzie wzajemnie oskarżali się. Niemcy mówili o „leniwych Polakach”, a Polacy określali Niemców „faszystami”. Nie służyło to także Polakom pracującym w niemieckich fabrykach, np. w Fabryce Kondensatorów w Görlitz, czy w licznych zakładach tekstylnych w naszym mieście. W tym czasie – można by to tak określić – przyjazne kontakty między Niemcami a Polakami nie miały charakteru masowego, mimo że zdarzały się już małżeństwa mieszane, które dawały początek głębszym rodzinnym kontaktom. Ale w sumie był to jeszcze okres, który nie służył szerokiej, bezinteresownej komunikacji. Raczej „nakazowej”, ze względu na potrzebę zatrudnienia brakujących w naszym regionie rąk do pracy. Również z racji oficjalnych kontaktów wynikających ze współpracy władz, organizacji społeczno-politycznych i innych przedsięwzięć podejmowanych przez rządy i „braterskie” partie. Ale ważne było, że wielu Niemców mogło wreszcie bez większych przeszkód jeździć do Polski i odwiedzać miejsca, które kiedyś należały do ich rodziców, a które dotąd znali tylko z opowiadań. Stąd i ja ze swoją żoną wyjeżdżaliśmy często do Polski, zachwycając się poznaczonymi miastami i pięknym krajobrazem waszego kraju. Ta faza moich osobistych kontaktów z Polską skończyła się, gdy w Polsce rozwinął się ruch opozycyjny „Solidarność”. Niczego bardziej nie obawiali się wtedy przywódcy NRD. Bali się, że idea tego ruchu przeniesie się do NRD. Ich reakcją było zamknięcie w 1980 r. granicy pomiędzy Polską a NRD i nastąpił powrót do sytuacji sprzed roku 1969. Co oznaczało także zamknięcie „małego” ruchu granicznego. Aby przekroczyć granicę między naszymi „braterskimi krajami” potrzebna była z powrotem wiza i kilkumiesięczne starania się u władz o paszport. I w ten sposób znowu żyliśmy przez następne dziesięć lat w ostro podzielonym na dwie części mieście: bez możliwości sąsiedzkich kontaktów – powtarzam – dwu „braterskich” państw. Nie tylko osobiste kontakty zostały brutalnie przerwane, ale także większość kontaktów oficjalnych. I to wszystko działo się pod sztandarem niby rozwijającego się socjalizmu, chronionego dzielnie przez „Układ Warszawski”. W każdym razie strasznie bano się, że przedostanie się zaraza „Solidarność” do NRD, a to może oznaczać koniec „demokratycznych, ludowych rządów”.

Po tym dziesięcioletnim drastycznym oziębieniu stosunków z Polską, wraz z polityczną zmianą w Europie Wschodniej, upadkiem Muru Berlińskiego w listopadzie 1989 r. – zaczyna się w moim życiu trzecia faza niemiecko-polskiego sąsiedztwa. Jestem szczęśliwy, że dożyłem tej chwili, tym bardziej, iż jest ona o wiele bogatsza, niż kiedykolwiek mogłem o tym marzyć.

Już na jesieni 1989 r., zaraz po upadku Muru, przywrócono ponownie mały ruch graniczny. I obywatele naszych krajów znów mogli swobodnie przemieszczać się ze Wschodu na Zachód i odwrotnie. Znów „wędrowano” przede wszystkim w celach komercyjno-handlowych. Wzdłuż granicy, jak grzyby

po deszczu, powstawały dziesiątki – legendarnych już dziś – tzw. „Polenmärkte” (polskich stoisk sprzedażnych, podobnych do niemieckich „pchlích targów”). Można było kupić dosłownie wszystko, także rzeczy – jak np. „Mein Kampf” Hitlera, które dotąd spoczywały gdzieś na strychach domów lub w piwnicach. Na takim „targu” sam zresztą wziąłem po raz pierwszy do ręki tę książkę. Ludzie z obu stron granicy masowo odwiedzali te stoiska i znowu, jak kiedyś – w miejscowościach przygranicznych tworzyły się korki i panował ogromny tłok. Ludzie czekali na granicy w długich kolejkach na przejście za okazaniem dowodu osobistego. Różnica między poprzednim okresem, a obecnym – polegała jedynie na tym, że teraz towarów nie brakowało. Ale moi współziomkowie traktowali nadal przyjeżdżających na zakupy Polaków z wielką rezerwą. Wynikało to głównie z tego, że prawie żaden Niemiec nie znał jeszcze wtedy nawet jednego polskiego słowa, zamiast tego – w sklepach pojawiły się tablice z napisami w języku polskim, ostrzegające Polaków przed kradzieżą, za dokonanie której będą ścigani przez policję. Ale muszę przyznać, że ogromna liczba Niemców też podróżowała w tym czasie do Polski.

Nasze podzielone granicą miasto Zgorzelec i Görlitz, przedstawiało w tym czasie smutny obraz. Zabytkowe Stare Miasto (mówię teraz o naszej stronie) było niemal niezamieszkałe. Tynki ze starych domów odpadały, a historyczne fasady coraz bardziej niszczały. Z okien, w których nie było szyb, wyrastały małe brzoźki. Wiele dachów zapadało do wnętrza tych budynków. Wyglądało to wszystko fatalnie. Na szczęście coś wreszcie zaczęło się w tamtych latach zmieniać. Zabytki zaczęto odrestaurowywać, najpierw u nas, ale wkrótce – stosunkowo szybko i w Polsce. Kto dzisiaj odwiedza „stare miasta” zarówno w Görlitz, jak i w Zgorzelcu, nie może się nadziwić, że jeszcze 25 lat temu, było tu inaczej.

Na początku (tej „trzeciej” fazy) granica, która dzieliła nasze miasto, była granicą zewnętrzną UE, z wszystkimi związanymi z tym niedogodnościami dla tych, którzy ją wówczas przekraczali. Lecz zainteresowanie kontaktami Niemców z sąsiednim krajem było duże. Szybko rozwinęły się kontakty zarówno między ludźmi, ale przede wszystkim między organizacjami społecznymi, fundacjami i stowarzyszeniami, szczególnie sportowymi; także między szkołami i przedszkolami, kościołami różnych wyznań i coraz częstsze były wzajemne kontakty w sferze kultury. Ta wszechstronność szybko „przeszła” na spotkania całych rodzin. Tym bardziej, że te kontakty były oficjalnie wspierane przez władze, jak w naszym przypadku – przez władze miejskie Zgorzelca. Zaczęto organizować na szeroką skalę tzw. „wymianę” w wielu dziedzinach na zasadach wzajemności i podejmowano inicjatywy, które niejednokrotnie miały charakter ponadregionalny. I tak już na początku lat dziewięćdziesiątych, powstała w naszym mieście np. wspólna komisja koordynacyjna (tzw. „Koko” – Koordinierungs-Kommission), która do dzisiaj nie przerwała swej działalności. W jej ramach raz w miesiącu spotykali się ze sobą Polacy i Niemcy z obu części miasta dla omówienia bieżących

spraw i współpracy. Powstanie tej komisji do dziś uważam za coś szczególnie ważnego. A w tamtym czasie był to szczególny „krok naprzód” w stosunkach niemiecko-polskich w naszym regionie. Tym bardziej, że w owym czasie nie istniały jeszcze żadne oficjalne porozumienia na szczeblach rządowych. Po ośmiu latach działania „Komisji”, w maju 1998 r., burmistrzowie naszych dwu miast, mając do tego upoważnienia swych samorządów, uroczystie proklamowali wspólnie: Görlitz i Zgorzelec „Miastem Europejskim”. Miasto leżące w samym centrum Europy, w dodatku graniczne, obciążone skutkami wojny. Stało się to 50 lat po jej zakończeniu, kiedy Görlitz i Zgorzelec wspólnie ogłosiliśmy miastem pokoju i przyjaźni oraz współpracy polsko-niemieckiej! Intencją proklamujących to miasto, jako „zjednoczone” (Europejskie), było danie przykładu do naśladowania innym miastom granicznym w ramach integrującej się Europy. Tym bardziej uważam, że było to wielkie wydarzenie, gdyż stało się to w roku, zanim Polska przystąpiła do UE.

W tym samym roku – 1998 – zostałem wybrany burmistrzem miasta Görlitz. Od samego początku swojej kadencji miałem jeden główny cel: umocnić i rozwinąć wszechstronne kontakty i współpracę z miastem „po drugiej stronie” – Zgorzelcem. (Można to też inaczej wyrazić: umocnić i rozwinąć znaczenie „Miasta „Europejskiego Görlitz – Zgorzelec”). Było to możliwe, gdyż z burmistrzem Zgorzelca, Mirosławem Fiedorowiczem znalazłem szybko nie tylko „wspólny język”, ale i solidnego partnera oraz przyjaciela, którego główny cel był całkowicie zbieżny z moim. Darzyliśmy się w każdym razie nawzajem wielkim zaufaniem, mówiliśmy sobie zawsze prawdę w oczy, gdy trzeba było – potrafiliśmy o każdym problemie rozmawiać ze sobą szczerze i dyskutować tak długo, aż znaleźliśmy wspólne rozwiązanie. Na każdej ważnej uroczystości, czy to po jednej, czy po drugiej stronie miasta, obaj zabieraliśmy głos. Zawsze przyjmowaliśmy też wspólnie wszystkich ważniejszych gości, którzy przybywali do naszego „europejskiego miasta”. Szybko zdobyliśmy uznanie i zaufanie dla naszej sprawy m.in. przedstawicieli Brukseli i Strassburga. Wspólnie też – jako burmistrzowie – podróżowaliśmy do wielu krajów europejskich, chcąc przenieść naszą ideę wspólnoty i współdziałania, gdzie się tylko dało. Razem np. udaliśmy się z wizytą do papieża w Watykanie i do królowej Szwecji Sylwii. Prezentowaliśmy naszą ideę, m.in. w Belgradzie, burmistrzom rozpadającej się Jugosławii, zachęcając ich – na naszym przykładzie – do budowania pokoju i wzajemnego zaufania w warunkach wojny. I oczywiście byliśmy też razem w Warszawie, Wrocławiu, Berlinie i Dreźnie, aby zaprezentować i tam naszą ideę, szukając w tych miastach także partnerów do współpracy. Ale przede wszystkim pragnęliśmy, aby ta współpraca stała się praktyką nie tylko naszych instytucji i podmiotów gospodarczych, ale i każdej rodziny. Wciąż nasze miasto było granicą Unii Europejskiej. Gdy miałem coś do załatwienia oficjalnego w Zgorzelcu, mój samochód służbowy był przepuszczany przez granicę bez żadnych formalności, ale zdarzało się też,

że byłem traktowany jako normalny obywatel i wtedy, jak i inni, czekałem na odprawę w długiej kolejce. Marzyłem wtedy o granicy bez tych formalności, dla wszystkich bez wyjątku ludzi.

Przejęci naszą rolę, wspólnie wznieśliśmy toast noworoczny w obecności naszych rodzin, w Sylwestra 1999/2000, stojąc razem na granicznym moście. Życziliśmy sobie nawzajem, aby po wszystkich naszych przeżyciach wojennych i przykrościach zaznanych w dzieciństwie, już nigdy nic nie rozdzieliło Polaków i Niemców. I cieszyliśmy się, że minione 10 lat dały tak wiele pozytywnych efektów w codziennej współpracy. Mieliliśmy też wtedy nadzieję, że nadejdzie kiedyś taki dzień, gdy most na którym wówczas staliśmy, stanie się rzeczywistym mostem łączącym ludzi, jak wszystkie mosty świata, i że przejście przez niego nie będzie wiązało się z żadnymi formalnościami. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że ta chwila nastąpi wkrótce. Duży postęp na drodze naszej wymarzonej wspólnoty przyniosły wspólne starania, aby uzyskać dla Görlitz-Zgorzelec, jako jednego miasta – tytuł „Miasta Kultury Europejskiej 2010”. Niestety, aby tytuł ten przyznać duetowi Görlitz-Zgorzelec, zabrakło zwolenników, zarówno w Niemczech, jak i w Polsce. Mimo to byliśmy przekonani, że warto się o ten tytuł starać. I rzeczywiście, od któregoś momentu staliśmy się centrum zainteresowania mediów. Zwróciły one uwagę i spopularyzowały jedność naszej współpracy, jako ważnego miasta granicznego Polski i Niemiec. Niestety, jurorzy w Brukseli, decydujący o tym, komu przyznać tytuł „Europejskiej Stolicy Kultury”, nie docenili naszych starań. Może nasz projekt w tamtym okresie, aby podzielone miasto, należące dwóch różnych państw, uzyskało taki tytuł, był jeszcze przedwczesny i zbyt śmiały?

Dalszym poważnym krokiem w realizacji naszej wspólnoty, stał się dzień 1 maja 2004 roku – data przyjęcia Polski do Unii Europejskiej! Nigdy nie zapomnę nocy z 30 kwietnia na 1 maja. Most graniczny na naszej rzece wypełniony był ogromnym tłumem ludzi, przede wszystkim młodymi i to z obu stron granicy. Wokół widziało się tylko roześmiane i radosne twarze. Obserwowałem, jak ludzie dla siebie obcy, nieznani sobie wzajemnie, obejmowali się, ściskali i całowali, głośno śpiewali i tańczyli. Panowała powszechna radość! Tej nocy mogłem zobaczyć swego zaprzyjaźnionego burmistrza tylko z daleka, gdyż tłok uniemożliwił nam się zbliżenie się do siebie i wspólne świętowanie. Europa tej nocy, na naszych oczach stała się o kawałek ziemi bardzo ważnego kraju większa. Zaprosiłem z okazji tego wydarzenia wszystkich burmistrzów miast, z którymi Görlitz miał podpisane umowy tzw. partnerstwa. Oni także tej nocy świętowali razem z nami. Od tego dnia nasza współpraca stała się jeszcze wydajniejsza i mogła odbywać się już bez jakichkolwiek formalności. Dotyczyło to także granicy! Osobiście rozpieła mnie duma, że zrobiony został milowy krok naprzód w naszej koegzystencji. O kilka ładnych lat – naszą inicjatywą współpracy w ramach Miasta Europejskiego – wyprzedziliśmy te wydarzenia.

Na jesieni tego roku otworzyliśmy nowy, odrestaurowany most tzw. Altstadtbrücke (most staromiejski), bardzo istotny także dla „łączenia” obydwu części naszego miasta. Przez wiele lat zabiegaliśmy na linii Warszawa-Berlin, Drezno (któremu podlegamy jako stolicy Saksonii) oraz Wrocław (będący miastem wojewódzkim dla Zgorzelca) o budowę tego mostu. Ogromnie dużo było z tym związanych biurokratycznego „zachodu”. Ale odbudowę tego mostu, jako burmistrzowie uznaliśmy za coś bardzo ważnego w naszych działaniach. I wspólnie też zabiegaliśmy po tej decyzji o uzyskanie zgody i środków finansowych na tę inwestycję. To jest wspólne dzieło – symbol naszych wspólnych działań. Tym bardziej, iż most znajduje się w historycznym miejscu łączącym „Via Regia” z Nysą. Tędy bowiem przed wiekami przechodził słynny europejski szlak handlowy łączący Santiago de Compostela w Hiszpanii z Kijowem na Ukrainie. Owo „przejšcie” na Nysie spinał przed wiekami ten szlak. Most wielokrotnie ulegał zniszczeniu przez wojny, które o niego się toczyły. Także 7 maja 1945 roku, został po raz ostatni (mam nadzieję) wysadzony w powietrze, aby uniemożliwić armii sowieckiej przejście na drugą stronę. Był to już zupełnie niezrozumiały akt nazistów, którzy jeszcze się łudzili, że nie dopuszczą dzięki temu Rosjan do Berlina i Łaby. Wówczas – w 1945 r. – miasto miało siedem mostów, które wszystkie zniszczono. Dzisiaj tych mostów jest pięć. Do tego dochodzi jeszcze autostrada łącząca Polskę i Niemcy i jeden most kolejowy, który również przebiega przez „gminę” Zgorzelec, gdyż samo miasto Görlitz położone jest nieco z boku tych przejazdów. O potrzebie budowy dalszych mostów przez rzekę, obecnie intensywnie rozmawiamy. Są one bowiem najlepszym symbolem zrastania się nie tylko naszego miasta, ale naszych państw i narodów. Służą też przede wszystkim mieszkańcom. Nikt już dzisiaj, przekraczając je, pewnie nie pomyśli o tym, ile trudnych lat należało przezwyciężyć, aby marzenia się spełniły. Zdecydowało o tym również przystąpienie Polski do strefy Schengen z dniem 21 grudnia 2007 r. Po tym dniu ustały wszelkie kontrole pomiędzy krajami UE, także między naszymi państwami i to na całej długości granicy. I tak oto przekraczamy dziś, bez jakichkolwiek problemów, każdy most w strefie Schengen, niepytani o zawartość naszych walizek i toreb. A jeszcze nie tak dawno przekraczanie granicy było koszmarem. „Cud”, który na moich oczach się dokonał, był jeszcze w czasach mojego dzieciństwa niewyobrażalny. Polega on na tym, że nie ma obecnie żadnych formalnych przeszkód, aby nasze miasto „europejskie” stało się jednym organizmem. Już dzisiaj stanowią o tym liczne kontakty i wspólne przedsięwzięcia, sięgające indywidualnych rodzin. Mieszkańcy naszego miasta przekraczają rzekę, by po jej drugiej stronie robić zakupy, udać się na organizowane tam imprezy kulturalne, sportowe, czy religijne, lub aby po prostu sobie pospacerować i spotkać się ze znajomymi. Nawet dzieci są odprowadzane obecnie do przedszkoli po drugiej stronie rzeki. I dzieje się tak w obu kierunkach. Wiele młodzieży ze Zgorzelca studiuje obecnie w Wyższej Szkole Inżynierskiej Zittau-Görlitz, umawia się na spotkania w restauracjach

po jednej czy po drugiej stronie. Krótko mówiąc, wszystko w mieście nabrało ponownie ludzkiego wymiaru! Nawet małe dzieci traktują dziś Zgorzelec jako „swoje” miasto, nie zastanawiając się nad różnicą pomiędzy nazwami Görlitz i Zgorzelec. Tu się urodzili i są ciekawi historii miasta, której uczą się w szkole (po obu stronach rzeki) tak samo chętnie, jak innych przedmiotów. Ten ciągle pogłębiający się proces zrastania miasta w jeden organizm jest dla nich zupełnie czymś naturalnym i mam nadzieję – umocni się jeszcze w przyszłości. I sądzę, że pewnego dnia mieszkańcy Zgorzelca i Görlitz zastanowią się, czy potrzebują aż dwóch oddzielnych władz miejskich, skoro są jednym „europejskim” miastem? Po tym, jak przez ostatnie 25 lat udało się rozwiązać wspólnie wiele kwestii dotyczących zarządzania miastem, pytanie o jeden urząd miejski chyba wydaje się być zasadne! Gdy 15 lat temu na jednej z sesji miejskich wyszedłem z tą inicjatywą, zostałem przez sceptyków ostro skrytykowany. Jestem jednak przekonany, że prędzej czy później zagadnienie to stanie na porządku obrad radnych z jednej i drugiej strony, zwłaszcza jeśli Europa nadal utrzyma tempo obecnego integrowania się.

Obecnie w Zgorzelcu zaczyna się budowa międzynarodowego centrum spotkań i pamięci na terenie byłego obozu dla jeńców wojennych (stalagu VIII A). Inicjatywa realizowana jest pod nazwą „Europejskie Centrum Edukacji i Kultury Zgorzelec-Görlitz – Meetingpoint Music Messiaen”. Aż siedmiu partnerów ze Zgorzelca i Görlitz postanowiło w tym przedsięwzięciu, wspartym przez Unię Europejską, ze sobą ściśle współpracować, w tym oczywiście władze powiatów (Landkreisen) Görlitz i Zgorzelca, władze gminy i miasta Zgorzelca oraz Stowarzyszenie Meetingpoint Music Messiah Görlitz. Ideę wsparł także słynny dzisiaj na cały świat francuski kompozytor Olivier Messiaen, który więziony był w tym stalagu wspólnie z polskimi, rosyjskimi, belgijskimi, francuskimi, serbskimi, włoskimi i kanadyjskimi jeńcami wojennymi. W obozie ukończył m.in. swoją słynną kompozycję „Kwartet na koniec wojny”, która w obozie – 15 stycznia 1941 r. – miała swoją prapremierę. Budowa tego „Centrum” i to w miejscu byłego obozu, jest najlepszym dowodem, że sprawa pamięci o przeszłości w kontekście przyszłości, jest dla obydwu miast sprawą wielkiej wagi. Świadczy też o wzajemnym zaufaniu do siebie.

Artykuł swój chcę zakończyć cytatem Elisabeth Hermann. Cytat ten odpowiada dokładnie mojemu przekonaniu o wspólnocie naszych dwu narodów w zjednoczonej Europie.

„Jedźcie jak najczęściej w odwiedziny do Polski. Podziwiajcie ich odbudowane miasta, kościoły i klasztory oraz pijcie tam wspólnie wino z okolic Zielonej Góry. I zwróćcie baczną uwagę na to, co u nich nowego i jak jednocześnie dbają o tradycję, zabytki i o własną historię. Docańcie wysiłki Polaków w budowaniu przyszłości, w dbałości zarówno o młode, jak i starsze pokolenia. Pozwólcie się zaskoczyć ich osiągnięciami i uszanujcie przy tym każdorazowo ich zwyczaje i pomysły. Nauczcie się wreszcie poznawać ich, rozmawiając i przebywając z nimi jak najczęściej. Śmiejcie się też i radujcie

wspólnie z nimi. Bądźcie dumni, tak jak Polacy ze wspólnej Europy, w której oby już nigdy nie było granic i zawsze panował pokój i współpraca między wszystkimi narodami tworzącymi Unię. To jest prawdziwa Europa, a nie Bruksela, która pieniędzmi próbuje słabszych podporządkować silniejszym. Próbujmy wspólnie budować nasz europejski dom, w którym każdy będzie równy, szanowany i będzie miał zagwarantowane pełne prawa demokratycznego rozwoju. W tym dziele Polacy i Niemcy mają do spełnienia rolę nie do przecenienia!”¹

(Przełożył: Karol Czejarek)

¹ Elisabeth Herrmann: *Versunkene Gräber (Przelamywanie przeszłości)*, Verlag Goldmann, 1. Auflage München 2014, S. 443–444.

MICHAŁ WŁADYSŁAW KULIK

Krótką „kroniką” mojego życia...

P o dziewięciu latach od zakończenia drugiej wojny światowej, przychodzę na świat w polskim Szczecinie. Moje rodzinne miasto jest bardzo zburzone, a ogólne warunki życia są surowe, ale nie chodzimy głodni. W 1958 roku rodzi się mój brat, Paweł Jarosław i nasza mama musi iść do pracy.

Szczecin, przed wojną Stettin, jest pięknym miastem. Szczególnie podziwiamy liczne tereny zielone. Niemieckie ślady w mieście są usuwane, ale np. pokrywy studzienek kanalizacyjnych z napisem „Stettiner Wasserwerke” odnajdujemy do dziś. Po kilku dziesięcioleciach będą podlegać ochronie zabytków. W piwnicach znajdujemy niemieckie napisy, jak np.: „LSR” lub odłamki talerzy z niemieckimi napisami. Dla nas – dzieci – jest jasne, że Szczecin kiedyś był niemiecki, ale skoro Niemcy byli przedstawiani jako wrogowie, nie zastanawialiśmy się nad tym zbyt wiele.

Mamy rok 1969. Krótco po przyjęciu do Liceum nr 6 muszę wybrać między dwoma tzw. językami zachodnimi, pomiędzy angielskim i niemieckim. Myślę sobie, że skoro Niemcy są naszymi sąsiadami, powinienem wybrać niemiecki, chociaż do NRD jeszcze nie możemy jeździć. Ta spontaniczna decyzja o nauce języka obcego w liceum zdecydowanie wpłynęła na moje życie. Ale języki nie należą do moich ulubionych przedmiotów.

Grudzień 1970 i styczeń 1971 – to czas niepokoїв i strajków w największych zakładach przemysłowych Wybrzeża, a także w Szczecinie. To jest okres, kiedy przebudzam się i zauważam, że istnieją także problemy dotyczące całego społeczeństwa.

Po maturze rozpoczynam studia na Politechnice Szczecińskiej, na kierunku „Budowa okrętów”. Od trzeciego roku studiuję według indywidualnego programu i biorę udział w badaniach naukowych.

W 1975 roku jedziemy z moimi kolegami z uczelni na praktykę do Związku Radzieckiego. Oficjalnie jesteśmy praktykantami, a mimo to nigdzie nie pracujemy. Generalnie bramy zakładów pracy są dla nas zamknięte. Jedynie

przez kilka godzin możemy zwiedzać jedną ze stoczn i Instytut Naukowy w Odessie. Zamiast praktyki – interesująca wycieczka. Duże przeżycie! Wracając do Polski, zatrzymujemy się na trzy dni w Kijowie. Wędrujemy po mieście i zwiedzamy je. Szczególne wrażenie wywierają na nas kasztanowce ze złotymi liśćmi. Jest piękna, wrześnieowa pogoda, nad brzegiem Dniepru podziwiamy złote kopuły cerkwi. Napotkana przypadkiem Ukrainka opowiada nam o „głodomorze”. W domach w Polsce nie mówi się o tym ze strachu przed władzami.

Mamy rok 1976. W Polsce ponownie niespokojnie. W czerwcu, w Radomiu i Ursusie, dochodzi do strajków. W Polsce wprowadzone są kartki na cukier. Intelktualiści w Warszawie zakładają KOR (Komitet Obrony Robotników). W lipcu wybieram się do Niemiec Zachodnich. Przed rokiem spotkany stamtąd student przysyła nam zaproszenie i z kolegą ze studiów jedziemy. Po drodze 6 dni spędzamy w Berlinie Zachodnim. Pierwszy raz dowiadujemy się o „moście powietrznym”, o 17 czerwca 1953, a przede wszystkim możemy zobaczyć Mur Berliński. Ulice Berlina są bardzo czyste. W Polsce mamy czyste mieszkania, a wszystko, co jest na zewnątrz naszych domów uważamy, że do nas nie należy i nie musimy o to dbać. W kolejnych dwóch miesiącach zwiedzamy Saarbrücken, Landau, Monachium, a nawet Wiedeń. W Landau, podczas spaceru z babcią mojej niemieckiej znajomej, słyszę o bombardowaniu niemieckich miast i pojmuję, że Niemcy podczas drugiej wojny światowej także cierpieli.

Jesienią jestem z powrotem w domu. Miesiąc potrzebuję, aby „zaakceptować” różnicę między „kolorowym” Zachodem a „szarym” Wschodem.

Kolega, z którym byłem w Niemczech, przypomina mi, że wkrótce kończymy studia i wkraczamy w dorosłe życie. Proponuje, abyśmy wstąpili do partii (PZPR).

Po dwóch latach robię dyplom i zostaję pracownikiem naukowym Politechniki Szczecińskiej. Ponieważ znam niemiecki, zaproponowano mi naukowy pobyt w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Wismarze. Pracujący na tej uczelni matematycy prowadzą z nami badania dotyczące wytrzymałości konstrukcji stalowych.

Połowa roku, pomiędzy październikiem 1979 a marcem 1980, to interesujący i praktycznie spędzony czas w NRD. To mnóstwo dyskusji z niemieckimi przyjaciółmi i całkowity brak pojęcia o istnieniu Stasi.

Lato 1980 jest słoneczne i gorące. Już w lipcu krążą pogłoski o strajkach w Polsce. A w sierpniu są strajki w całym Szczecinie. Najważniejszym postulatem strajkujących są wolne i niezależne związki zawodowe. Żądania nie idą dalej, ponieważ niewyobrażalne jest to, aby ten polityczny system skończył się za naszego życia. Jesień 1989 i cały rok 1981 to dyskusje, zebrania i spory pomiędzy społeczeństwem a władzą.

Grudzień 1981: mój syn kończy 11 miesięcy. Jest już końcówka roku i jest oczywiste, że społeczeństwo nie znajdzie wspólnego z władzą rozwią-

zania kryzysu. We wtorek, 8 grudnia występujemy większą grupą z partii. W niedzielę, 13 grudnia wprowadzony zostaje stan wojenny. Pogoda tej niedzieli jest piękna: słońce, śnieg i mróz. Sieć telefoniczna zostaje wyłączona. Następnego dnia, w poniedziałek, rozpoczynamy strajk. Wieczorem jadę do domu narąbać drewna do pieca. Rąbiąc drewno w piwnicy, rozważam, czy zostać w domu, czy wrócić do strajkujących kolegów. Mimo wszystko wracam i całą noc przesypiamy w naszym Instytucie. O świcie przychodzą stoczniowcy i opowiadają o spacyfikowaniu stoczni przez polskie wojsko i milicję. W ten sposób kończy się okres ciągłych zebrań i dyskusji. Poświęcamy się ponownie naszej pracy naukowej.

W 1987 roku jadę do Hamburga, do Instytutu Okrętowego, aby dokończyć część teoretyczną mojej pracy doktorskiej. Ciekawy okres. Mogę przyspieszyć swoją pracę naukową i poznać wielu ciekawych ludzi. Po jedenastu miesiącach, w hanzeatyckim mieście Hamburgu, jestem z powrotem w rodzinnym mieście. W Polsce następuje przełom. Tadeusz Mazowiecki tworzy pierwszy niekomunistyczny rząd. Z moim bratem zakładamy małą firmę produkcji filmów. Produkujemy filmy promocyjne i reklamowe. Nasz główny problem – to brak profesjonalnej kamery oraz sprzętu do montażu. Jeden z naszych tzw. video-artów p.t. „Dwa”, pokazany zostaje w Berlinie na VideoFest'94.

Nasz pierwszy telewizyjny film dokumentalny „Woda” opowiada o mieszkańcach rybackiej gminy Stepnica nad Zalewem Szczecińskim. Przed Wojną w Bad Stepenitz urodził się niemiecki malarz impresjonistyczny Manfred Schatz.

W 1995 roku, szukając w Międzyzdrojach (dawniej Misdroy) tematu do kolejnego filmu dokumentalnego, otrzymujemy berliński numer telefonu Britty Wuttke, która w 1940 urodziła się w niemieckim Misdroy. Jej rodzinie, jednej z niewielu, udało się po wojnie zostać w polskich Międzyzdrojach. Rodowita Niemka, z miłości do rodzinnego miasta, została Polką. Dzięki Britcie, podczas kręcenia filmu, dowiadujemy się o historii Pomorza i o tym, jak bardzo splecione są ludzkie losy.

Pomiędzy produkcjami komercyjnych filmów promocyjnych i reklamowych kręcimy w roku 2000 film dokumentalny o niemieckim malarzu, Manfredzie Schatze, pt. „Fascynacja ruchem”.

W roku 2002, w „Kosmosie literackim” pokazujemy, że Stanisław Lem, dzięki tłumaczeniom na język niemiecki uzyskał światową sławę. Spotkanie z tym pisarzem i filozofem jest dla nas źródłem wielu przemyśleń. Lem opowiada nam o swoim udziale w targach książki. Czuł się tak, jakby łyżką stołową „dolewał” swoją wiedzę do oceanu wiedzy powszechnej. A co ja, zwykły zjadacz chleba, mogę powiedzieć o swojej pracy?

W 2004 roku Polska staje się członkiem Unii Europejskiej, a w końcu 2007 – wstępuje do przestrzeni układu w Schengen. Polacy kupują domy w Niemczech, Niemcy znajdują swoje miejsce w Polsce. Proces tego roz-

mywania się granicy, miejmy nadzieję, że także w głowach współobywateli, ukazuje nasz film „Dyfuzja”.

Historia Pomorza jest wyjątkowo interesująca. Jak bardzo losy Polaków i Niemców się splatają, opowiada Britta Wuttke w kolejnym filmie „Spłoty jednego warkocza” (2012). Ten film otrzymuje w 2014 r. nominację do polsko-niemieckiej nagrody dziennikarskiej im. Tadeusza Mazowieckiego.

Kolejnym przyczynkiem do historii polsko-niemieckiego pogranicza jest film „Ogród po drugiej stronie rzeki”. Polacy przywykli do tego, że Niemcy szukają śladów swoich rodzin w Szczecinie i na wschód od Odry. Zaskakujący jest przypadek Marka Brzezińskiego, przypuszczalnie jedyne Polaka, który szuka śladów swojej rodziny po zachodniej stronie Odry.

Teraz Polacy i Niemcy wspólnie kształtują nasz dzień powszedni. Wyjątkową rolę w tej dziedzinie spełniają artyści, o których kręcimy obecnie film „Art location”.

Wszystkie filmy robię wspólnie z moim bratem, Pawłem Kulikiem. Jest on kamerzystą, a także reżyserem. Tworzymy jeden zespół. W naszych planach są następne filmy dokumentalne, a nawet fabularne.

Szczecin, 31.01.2016

RYSZARD LIPCZUK

Impresje zawodowe polskiego germanisty

Z językiem niemieckim zetknąłem się dopiero w szkole średniej, w Liceum Ogólnokształcącym im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie, a były to lata sześćdziesiąte ubiegłego stulecia. Niemieckiego uczyła nas pani profesor Jadwiga Czarnocka, osoba spokojna, zacna, rzetelna, a jej metody nauczania można by z dzisiejszej perspektywy uznać za dosyć tradycyjne. Oto przykład: dyktowała nam obszerne teksty w języku niemieckim, które należało opanować pamięciowo lub z niewielkimi, własnymi modyfikacjami. Jakie to były teksty? Pamiętam, że raz był to życiorys poszukiwacza Troi Heinricha Schliemanna, innym razem streszczenie utworu „Ole Bienkopp” Erwina Strittmatters – autora z NRD, który pisał powieści o tematyce wiejskiej. W roku 1952, nasza pani Profesor – wobec panującej wówczas presji ideologicznej – zrezygnowała z pracy nauczycielskiej, a wróciła do niej – właśnie w Liceum Czarnieckiego – w roku 1954 i pracowała tam do swojej emerytury, czyli do roku 1978. Faktem jest, że przez takie pamięciowe uczenie się duża część słownictwa niemieckiego i struktur niemieckich utrzymywała się, pozostawała w głowie, pozwalała na wypowiedzianie się w tym języku. Inny przykład: żeby nauczyć się najważniejszych przyimków łączących się z biernikiem lub celownikiem, należało zapamiętać trzy rytmiczne grupy: *in, auf, an; über, unter, hinter; vor, neben, zwischen!* Pani Profesor Czarnocka dbała również o to, żebyśmy coś wiedzieli o kulturze i literaturze niemieckiej. Przy całym swoim spokojnym usposobieniu potrafiła wykazać się dużą aktywnością i energią, organizując ze swoimi uczniami przedstawienia teatralne na podstawie utworów niemieckich klasyków.

Nie jest więc przypadkiem, że jej wychowankowie „szli” na germanistykę. Z mojej klasy 11 b aż trzy osoby w tym samym roku ubiegały się o indeks studenta na germanistycę warszawskiej (germanistyka w Lublinie

powstała znacznie później). Ja i moja koleżanka Ewa pomyślnie zdaliśmy niełatwy egzamin wstępny z niemieckiego i polskiego. Alicji za pierwszym razem nie udało się, za to w następnym roku również została studentką filologii germańskiej Uniwersytetu Warszawskiego, później pracowała na etacie w Katedrze Germanistyki w Lublinie.

Profesor Jadwiga Czarnocka zmarła w Chełmie w roku 1998, w wieku 84 lat.

Wspomnę jeszcze o mojej nauczycielce języka polskiego – pani profesor Zofii Książek, osobie wielkiej uczciwości i bezinteresowności. I choć przyszło jej uczyć w latach dosyć ograniczonej wolności słowa, to omawiając z nami poszczególne utwory, potrafiła przemycić jakąś myśl nie do końca zgodną z ówczesną – „jedynie słuszną” – ideologią. Pani profesor Książek zmarła 21 lipca 2015 roku. Żyła ponad 107 lat!

Studia germanistyki na Uniwersytecie Warszawskim rozpocząłem – jako siedemnastolatek – w roku 1965. Pierwszy rok studiów stanowił dla przestraszonego przybysza z prowincji dosyć trudne wyzwanie: wykłady w języku niemieckim, lektury w języku niemieckim. Z historii literatury niemieckiej, surowy pan docent polecił wszystkim na początek omówić pisemnie określony utwór. Ja otrzymałem tekst jakiegoś naturalisty (chyba Johanna Schlafa), i tragedia ... Przedstawiając główną bohaterkę wywodzącą się z biednych warstw społecznych, nawiązałem do ... współczesności, tej lepszej, w której człowiek ma szansę na wszechstronny rozwój ... Komentarz (pisemny) pana docenta był adekwatny do moich wniosków: powinienem zająć się czymś innym niż studiowaniem germanistyki! Nie było to zachęcające.

Surowy pan magister (obecnie znany emerytowany profesor) konsekwentnie odpytywał ze znajomości „Nibelungenlied” czy „Schimmelreitera”, i wcale się wtedy nie czułem komfortowo. Doszło kiedyś do takiej oto sytuacji: magister konsekwentnie po kolei odpytywał z jakiejś lektury, a ja jej w ogóle na oczy nie widziałem. Kiedy przyszła kolej na mnie, zacząłem w tym stresie coś improwizować (trochę to niepodobne do mnie), powiedziałem dwa zdania na temat wymowy tego utworu. Nie wiem jak to się stało, ale byłem uratowany!

Wybitna pani profesor od literatury barokowej wykladała (po niemiecku) z „szybkością karabinu maszynowego” (tak się o jej wykładach w studentckim gronie mówiło). A kiedy doszło do egzaminu, nie potrafiłem odpowiedzieć na zadane mi przez nią pytanie, po czym otrzymałem drugie, i znów nic. Wtedy pani profesor była już ... bliska załamania: to niedobrze, oj niedobrze ... Sytuacja dla mnie stawała się krytyczna ... I wtedy otrzymałem kolejne pytanie, bodajże o motyw zachowania jakiejś postaci w utworze Opitza (a może Gryphiusa?). I zacząłem analizować psychologię tegoż zachowania, po czym pani egzaminatorka ... wpadła w zachwyt sugerując, że powinienem wybrać seminarium magisterskie z literatury! Po chwili zastanowienia wpisała mi do indeksu ocenę bardzo dobry minus!

Dramatyczny, choć w sumie bardzo pozytywny przebieg miał dla mnie ów egzamin. A na seminarium z literatury i tak się nie zdecydowałem, historia literatury wydawała mi się czymś trudnym do ogarnięcia, niezgłęzionym morzem, gąszczem ...

Czasem nadchodzi mnie, bardzo już zaawansowanego stażem i wiekiem naukowca, profesora zwyczajnego, językoznawcę, refleksja, czy nie powinienem był jednak wybrać literatury! Bo jakieś skłonności do niej dają się zauważyć: autorstwo kilku tomików-reportaży, autorstwo tomików (żartobliwych zwykle) wierszyków, tłumaczenia kilku wierszy Ilse Sareckiej, niemieckiej pisarki z Uckermünde. Chociaż i z tematami językoznawczymi czasem daję sobie radę.

W każdym razie studia germanistyczne na Uniwersytecie Warszawskim ukończyłem pomyślnie i dosyć szybko – w wieku 22 lat – w roku 1970, należąc pod koniec studiów do najlepszych studentów na roku. Zachęcony przez życzliwą Panią Ałę, opiekunkę roku, do kontynuowania edukacji na wyższym stopniu, czyli na drodze do doktoratu, wybrałem się do tworzonej właśnie – pod kierunkiem (wówczas) docenta Eugeniusza Klina – katedry germanistyki w Toruniu. W Warszawie nie było wówczas możliwości pozostania na stażu naukowym. Zostałem więc jednym z pionierów nowej germanistyki na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, na początku zajmując się urządzaniem księgozbioru, przenoszeniem książek, ich katalogowaniem itp. Pamiętam, że znaczna część księgozbioru pochodziła ze spuścizny po zmarłym profesorze Uniwersytetu Wrocławskiego Mieczysławie Urbanowiczu.

Kiedy Toruń opuścił profesor Klin, przenosząc się do Zielonej Góry, ktoś musiał w okresie „interregnum” przejąć w Katedrze obowiązki kierownicze, i ... wypadło na młodego doktora, czyli na mnie (doktoryzowałem się u profesora Jana Czochralskiego w Warszawie w r. 1977). Moim najbliższym współpracownikiem była Monika Posor, która podobnie jak prof. Klin, przybyła do Torunia z Wrocławia. To ona przyjęła mnie, kiedy po raz pierwszy, zaraz po studiach, zjawiłem się w Toruniu. Monika, literaturoznawczyni po doktoracie, bodajże w latach osiemdziesiątych wyjechała z Torunia, razem ze swoim niemieckim mężem (przez kilka lat pracował na toruńskiej germanistyce), do Lipska. A po jakimś czasie otrzymałem wiadomość o jej śmierci. Była taka wersja, że stało się to na skutek przebywania w słynnym lipskim budynku uniwersyteckim, nazywanym „Weißzahn” („Ząb Mądrości”), naszpikowanym azbestem. Może tak było, socjalizm ...

Moja droga naukowa również wiodła przez tenże Uniwersytet, noszący wówczas imię Karola Marksa – był to rok akademicki 1973–74. Moim opiekunem naukowym był sławista profesor Gert Jäger z TAS, czyli Theoretische und Angewandte Sprachwissenschaft. Miałem też możliwość słuchania wykładów wybitnych lipskich germanistów, jak Rudolf Große, Wolfgang Fleischer, a przede wszystkim Gerhard Helbig, z którym konsultowałem moje naukowe próby „rozgryzienia” liczebników. Od profesora Helbiga

przejąłem metodę (składniową) podziału części mowy, którą do dzisiaj próbuję propagować wśród moich szczecińskich studentów.

Ważnymi etapami w mojej germanistycznej edukacji były letnie kursy językowe w Niemczech. Jeszcze w NRD (Rostok, Weimar) – zorganizowane wspaniale, atrakcyjnie, z wielkim rozmachem i fantazją. Ogromna liczba uczestników z różnych stron świata, w tym również z Polski i z wielu „naszych bratnich” krajów, jak Związku Radzieckiego, Czechosłowacji, Jugosławii, Węgier, Bułgarii, ale też z Francji, Hiszpanii, Włoch, Portugalii, Norwegii, Danii, Szwecji, Afganistanu, Wietnamu, Algierii, a nawet z Madagaskaru! Nie wszyscy wtedy zdawali z tego sprawę, że te międzynarodowe perfekcyjnie zorganizowane spotkania służą promocji Niemieckiej Republiki Demokratycznej, która była przeciwstawiana kapitalistycznym, „gorszym” Niemcom Zachodnim! I rzeczywiście: letni kurs językowy w RFN, w pięknym Münster, różnił się wyraźnie od tych w NRD: bez rozmachu, bez tylu atrakcji, za to oszczędzano na każdym kroku. W ten sposób przejawiała się „wyższość” socjalistycznej NRD nad burżuazyjnym, wyrachowanym Zachodem!

Zaznaczmy, że mój pierwszy wyjazd za granicę, a konkretnie do NRD, wiązał się właśnie z udziałem we wspomnianym letnim kursie językowym w Rostoku, skąd wyniosłem takie wspaniałe wrażenia. Byłem wtedy po czwartym roku studiów.

Mój udział w kursach językowych, ale też w obozie pionierskim w NRD (Trassenheide na wyspie Uznam) opisałem w książce-reportażu „Germanista w podróży” (Szczecin, Wydawnictwo Albatros 1998), a późniejsze eskapady, również w ramach dużego europejskiego programu Tempus (którym kierowałem) z udziałem Uniwersytetów w Giessen, Antwerpii, Brukseli, i – niezwykle ważne wydarzenie w moim życiu naukowym – pobyty naukowe w ramach Fundacji im. Alexandra von Humboldta (Münster, Mannheim, Kilonia, Lipsk) – w innej mojej książeczce „Raport nie tylko z Monachium” (2001). Na pewno wiele zawdzięczam pod względem naukowym profesorowi Franzowi Hundsnurscherowi z Uniwersytetu w Münster.

W roku 1986 habilitowałem się w Poznaniu, w roku 1990 zostałem profesorem uniwersyteckim na UMK w Toruniu. I stało się: na konferencji w Zielonej Górze podczas rozmów zakulisowych, dwaj profesorowie – germaniści ze Szczecina, zaproponowali mi pracę na Uniwersytecie Szczecińskim! W Toruniu akurat zaczynało mi być „ciasno”, nie czułem się dobrze w Katedrze, miałem problemy mieszkaniowe, wkrótce więc zmieniłem razem z rodziną i miejsce pracy, i miejsce zamieszkania. Był to rok 1993. Szczecińska germanistyka została założona parę lat wcześniej przez docenta Karola Koczego, który przybył tu ze Śląska. Po rezygnacji z kierowania Instytutem przez jego założyciela, Instytut przeżywał kryzys – przejściowo kierował nim dojeżdżający z Zielonej Góry prof. Augustyn Mańczyk. Na trzy lata zostałem jego następcą, a potem wybrany na następną kadencję. Wyrwałem jeszcze tylko rok – nie było łatwo! Po kilku latach znów „wy-

padło na mnie” – dyrektorowałem szczecińskiej germanistyce kolejne dwie kadencje – w latach 2005–2012.

Wymienię jeszcze – w porządku alfabetycznym – niektórych profesorów niemieckich, z którymi współpracowałem lub jeszcze współpracuję: Hermann Bluhme, †Peter Braun, Ulrich Drechsel, Petra Ewald, Sascha Feuchert, Wolfgang Gladrow, Regina Hartmann, Franz Hundsnurscher, Silke Jahr, Erwin Leibfried, Klaus Dieter Ludwig, †Peter Nelde, Hansjürgen Pötschke, Karl-Heinz Ramers, Günther Richter, Gisela Ros, †Burkhard Schader, Jürgen Schiewe, Winfried Ulrich, †Heinz Vater, †Andrzej de Vincenz, Johannes Volmert, Werner Westphal, Erika Worbs, Barbara Wotjak.

Mam wrażenie, że na rozwoju germanistyki szczecińskiej moja działalność zostawiła pewne piętno: obecnie Instytut Filologii Germańskiej w Szczecinie jest liczącym się ośrodkiem germanistycznym w Polsce, silnym kadrowo, o znaczących osiągnięciach naukowych. Dobrze prosperuje założone jeszcze przez profesora Koczego czasopismo „Colloquia Germanica Stetinensia”, utworzona została z mojej inicjatywy seria wydawnicza „Stettiner Beiträge zur Sprachwissenschaft” (wydawnictwo Dr. Kovač w Hamburgu, dotychczas ukazało się sześć tomów), wspólnie z partnerami z Niemiec (głównie: Rostok, Greifswald) organizowane są konferencje naukowe, w Instytucie goszczą nie tylko naukowcy, ale i pisarze z krajów niemieckojęzycznych, w tym z Austrii i Szwajcarii. Instytut ma znakomite kontakty z redakcją międzynarodowego czasopisma bibliograficznego „Germanistik” z siedzibą w Tybindze (teraz już częściowo w Monachium) – dostajemy stamtąd regularne pokaźne dary książkowe. Od roku 2000, a więc już ponad 15 lat (!) figuruję na okładce tego szacownego i ważnego periodyku jako członek komitetu doradczego i przedstawiciel polskiej germanistyki w tym zacnym, międzynarodowym gronie. A zostałem „wypatrzony” i zaproponowany przez redaktor naczelną panią Ewę Dubowik-Baradoy, która ukończyła swego czasu studia (polonistyczne) na UMK w Toruniu. Nie tylko ja, ale i kilku innych pracowników Instytutu jest stałymi recenzentami tego czasopisma.

Powstawały i nadal tworzone są w Instytucie materiały dydaktyczne: podręczniki do nauki języka niemieckiego dla studentów, last but not least słowniki niemiecko-polskie – stanowią one znaczący wkład w kształcenie językowe polskich studentów germanistyki, służą lepszemu poznaniu i propagowaniu języka i kultury naszych zachodnich sąsiadów.

EWA ŁASTOWIECKA

Odkąd sięgam pamięcią...

Pradziadowie

Rok 1864. Wojna austriacko-pruska o należący do Danii – Szlezwik Holstyn. W bitwie pod Sadową, wioską w regionie czeskich Pardubic, dywizja pruskiego generała von Francka zostaje rozbita i wzięta do niewoli. Prusy jednak zwyciężają. Generał odmawia repatriacji do Prus, wzdraga się na myśl o małżeństwie aranżowanym przez rodzinę. Rozterki powierza dziennikowi oprawionemu brązową skórą ze złożonymi inkrustacjami. Strony wypełnia gotyk, kreślony czarnym tuszem. Bardzo drobne pismo skrywa emocjonalny krajobraz – przesmyk między uczuciową pustką i jękami rannych. Rozbitek życiowy dociera na Śląsk Cieszyński, do skrawka ziemi z pogmatwaną historią. Czuje podświadomą więź z tym miejscem. Kupuje ziemię w okolicy Żukowa. A kiedy w jego życiu pojawia się panna Wrabel (zamożna) i wraz z nią pragnienie bliskości, zawiera związek małżeński. Mają jedynego syna – Andreasa, który żeni się z moją prababką Jadwigą, urodzoną 11 sierpnia 1860 r. Jako dziecko zapamiętałam dobrze tę drobną, szczupłą, ruchliwą staruszkę, w czerni. To ona z wielkim przejęciem wręczyła pamiętnik von Francka swojemu najstarszemu wnukowi Wilusiowi, bratu mojej matki. Ślęczenie nad drobnym, choć wyrobionym i czytelnym pismem na pożółkłych stronach, wymagało benedyktyńskiej cierpliwości, a Wilusia pochłaniał zawód sędziego i boje o zgodę rodziców na ślub z Milką. Mama również miała wiele razy pamiętnik w ręku i zawsze sobie obiecywała, że przy pomocy lupy odczyta słowo po słowie. Ale wybuchła wojna i dziadek za namową kamrata, z którym grał w bilard, spalił pamiętnik, bo „Niemcy badali wszystkich do trzeciego pokolenia”, a wybór von Francka podobać się nie mógł.

Fotografia Andreasa długo spoczywała w albumie moich dziadków. Przedstawiała urodziwego kawalerzystę w twarzowym husarskim stroju, na koniu. Odziedziczył pokaźny ziemski majątek. Na jarmark woziło się „całe fury” wszelkich dóbr, gęsi, kur, świń, krów, warzyw, owoców. Andreas in-

kasował gotówkę i wyjeżdżał „w interesach” do Ostrawy lub Wiednia. Wracił z czarującym uśmiechem, wymachując nieodłączną laseczką, bez grosza. Z „interesów” nie zrezygnował, nawet gdy zabrakło płodów rolnych. Nie zawahał się wystawić na sprzedaż konie, ostatnie krowy, a potem pola, łąki i lasy. Mimo to prababka Jadwiga nigdy nie powiedziała pod jego adresem złego słowa. A służby ubywało i coraz większe jarzmo spadało na jej wątłe ramiona. Sama zajmowała się chrzcinami swych dzieci i ich pogrzebami, które odbywały się co roku. Raz jeden urodziła kopiąc kartofle. Zawinęła niemowlę w fartuch i powlokła się do domu. Wezwana akuszerka Spiałkowska odcięła pępowinę i umyła dziecko. Pan mąż bawił wówczas w Ostrawie. Kiedy wrócił, zamiast awantur i wymówek, usłyszał słowa uwielbienia: „o, jest mój najmilszy gołąbeczek”. Z dwanaściorga dzieci jedynie trójka dożyła względnie późnego wieku. Moja babka Anna, urodzona 26 maja 1890 roku, była najstarsza i pamiętała dostatek, który stopniowo zamieniał się w ruinę. Wcześniej musiała włączyć się do prac domowych, a potem nawet iść na służbę do zamożnego rolnika, który umiał gospodarzyć i zapewnić rodzinie chleb. Nie mogła zrozumieć tego absurdalnego stosunku matki do ojca i jej zaślepienia miłością bezwarunkową.

Generał von Franck, który przegrał bitwę i jego syn Andreas, który przegrał życie, spoczywają na żukowskim cmentarzu.

Dziadkowie

Babka Anna, mając 16 lat, podjęła pracę w Cieszynie, w charakterze piastunki dwójki dzieci u blacharza Tanerta na Przykopie. Tam poznała mojego dziadka Konrada Zwecka. Był on czeladnikiem u majstra, malarza Romana Hessa i odnawiał mieszkanie Tanertów. Dziadek nosił nazwisko ojczyma, ponieważ ojciec – Konrad Kucharski wcześniej osierocił rodzinę. „Przeziębił się”, odnosząc do klienta uszyte ubranie i zmarł na zapalenie płuc. Dziadek Konrad urodził się 24 listopada 1886 roku. W Cieszynie nie mówiliśmy dziadek, babcia, tylko starzyk, starzyczek, starka, stareczka. Nie mógł oderwać wzroku od Anny, którą nazywał Ana. Pobrali się po roku. Zamieszkali razem z babką Jadwigą na Szysztocie, blisko mostu Jubileuszowego, w jednej izbie z kuchnią, ale okna wychodziły na ogród. Mieli jeden mebel – łóżko, które wzięli na „abzählung”. Lecz byli bardzo szczęśliwi. Kiedy dziadek odkrył, że teściowa ich w nocy „szpieguje”, co należało do humorystycznego repertuaru jego wspomnień, wynajęli pokój na Zamkowej 14, na parterze u państwa Matuschków. Tam urodził się Wiluś, moja mama i Zofinka. Było ciężko.

W 1913 roku dziadek Konrad został powołany na rok na manewry do Bośni. Babka Anna była w ciąży ze Sztefinką (moją mamą). Wiluś miał 3 lata. I znów głód. Niedaleko mieszkała teściowa Anny, moja druga prababka Maria Zweck z Schamayów, urodzona 1 maja 1851 roku, ale nie lubiła swojej syno-

wej. Nigdy jej nie pomogła, chociaż wiedziała dobrze, że żyje w nędzy. Kiedyś, siedząc w podwórzu z koszykiem pełnym czereśni, zwróciła się do przechodzącej obok Anny: „to sem pojedła”. W cieszyńskim styku kultur czechizmów nie brak. Anna tej sceny nigdy nie mogła zapomnieć i gdyby nie pani Matuszkowa – umarłaby z głodu. Mama do końca życia modliła się za dobroczyńców swoich i dobroczyńców rodziców, zawsze pamiętając o pani Matuszkowej.

Kiedy wybuchła I wojna światowa było jeszcze gorzej. 25 grudnia 1914 roku urodziła się moja mama – Sztefinka. Babka Anna chodziła aż na pastwiska po mleko i mięso dla pani Matuszkowej, w zamian otrzymywała ciepłą strawę i... dobre słowo. Wreszcie przyszło wybawienie: praca pielęgniarki w lazarecie wojennym na Zaolziu, w Alei za kościołem. Kilkuletni Wiluś z malutką Sztefinką codziennie szli po matkę do lazaretu.

Dziadek niechętnie opowiadał o swoich wojennych przeżyciach, dominował w nich ból „operacji na żywca”, ale nigdy nie zapominał opowiedzieć, jak on, żołnierz armii austriackiej, z zasady nie celował do wroga, „tylko troszeczkę powyżej” bo przecież, jak mawiał, „po drugiej stronie mógł być taki sam ojciec, jak ja”. Wreszcie powrócił. W Wiedniu kupił dla Sztefinki wózek, lalkę, która zamykała oczy i miała prawdziwe włosy.

Po wojnie dziadek uzyskał papiery mistrzowskie i otworzył własną firmę. Szybko wyrobił sobie markę. Najpierw przeprowadził się z rodziną na piętro, a potem odkupił dom od Matuszków. Domem zajmowała się babcia. Musiała wykarmić pięcioro dzieci, trzech uczniów, dwóch czeladników, w sumie dwanaście osób. Doświadczenie nauczyło ją dobrze traktować służącą, młodą dziewczynę, będącą w trudnej sytuacji życiowej. Zawsze podawała tyle na stół, by wszyscy byli syci. Babka miała co robić: bez ciepłej wody w kranach, bez pralki, zmywarki, kuchennego robota. Podłogi były cyklinowane i woskowane, pokoje ogrzewane węglem w kaflowych piecach.

Wszystkie dzieci były muzykalne i grały na różnych instrumentach. Wilusia wysłali na studia prawnicze do Krakowa, Eduśka do seminarium duchownego, moja mama skończyła nauczycielskie seminarium, Adelka szkołę handlową, Zofinka zmarła. Najmłodszy Konrad był absolwentem Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie, a po wojnie skończył drugi fakultet – fizykę jądrową.

Rodzice

22 lipca 1939 roku, w domu dziadków odbyło się wesele moich rodziców. Ojciec – Karol Taska, urodzony 14 stycznia 1905 roku, pochodził z Zaolzia, z rodziny ewangelickiej. U matki miał szczególne względy i na przykład, czasem, w tajemnicy przed innymi, dawała mu jajeczko do wypicia. Bieda była straszna. W smagłej karnacji rodziny ojca dopatrywałam się domieszki południowej krwi. Kiedy po latach brałam udział w konferencji kardiolo-

gicznej w Buenos Aires, ze zdumieniem wyczytałam nazwisko jednego z organizatorów – Taska. Chciałam zamienić kilka słów na temat naszych korzeni, ale później, po prezentacji – doktor Taska był niestety nieuchwytny.

Ewangelik dla mojej babuni, aktywnej członkini Sodalicji Mariańskiej był szokiem, ale od pierwszego wejrzenia polubiła go. Pozycję inżyniera osiągnął dzięki niebywałym wyrzeczeniom. Pracował od 14. roku życia w trzynieckiej hucie, szkoły kończył dzięki korepetycjom. Odmawiał sobie wszystkiego, miał tylko jedną pasję – góry. Uprawiał narciarstwo, z suchą bułką w kieszeni i szklanką mleka kupioną w schronisku na Skrzycznym, Pilsku lub Białym Krzyżu. Kiedy osiągnął pewną stabilizację – ożenił się. Rodzice zamieszkali w Porębie Orłowskiej. Mama nie była przygotowana do pełnienia jakichkolwiek prac domowych. Gotowaniem i sprzątaniem zajmowała się służąca, ogrodem ogrodnik. Była bardzo szczęśliwa, ale to szczęście trwało zaledwie sześć tygodni. A potem wybuchła wojna i rodzice zostali wysiedleni. Wrócili do Cieszyńska na garnuszek do swoich rodziców. Młodsza siostra mamy, kilkunastoletnia, piękna Ada, spotkała na ulicy koleżankę z klasy, która zbliżyła się do niej, uderzyła w twarz i wycedziła: ty polska świniu. Istnieje wiele sytuacji, które obnażają nasze myśli, na co dzień ukryte w zakamarkach mózgu, lecz wojna czyni to w sposób najdotkliwszy.

Ojca wysłano do obozu pracy w Magdeburgu, mama była wtedy w ciąży. Zdjęcie mamy w albumie i podpis: „... a potem wojna, pustka i samotność, bezbrzeżna tęsknota i ból”. Rozpacała, ale też wysłała błagalny list w języku Goethego do komendanta obozu. Ojciec powrócił. Dziadek na powitanie osobście przyrządził gulasz po węgiersku, może zbyt pikantny... I kolejne zdjęcie z albumu: balkon w domu dziadków, mama w sukience w kratkę, z krótkim rękawem, w ciemnym fartuszkusku obszytym falbanką. Ojciec z rozwianym włosiem, obejmuje ją prawą ręką, lewą trzyma na brzuchu, w którym byłam ja.

Ja

Urodziłam się w tym domu na Zamkowej 14, w dniu imienin mamy 26 grudnia 1940 roku, dwie godziny po północy. Byłam żarłocznym dzieckiem. Pokarmu brakowało. Mleko często mieszało się z krwią.

W Cieszyźnie ogłoszono akcję antropometryczną. Wezwano i mamę. Popatrzyli, pomierzyli i zakwalifikowali na wyjazd do Niemiec w celu reprodukcyjnym. I znów mama wyprosiła zwolnienie.

Kiedy mój ojciec dostał pracę w fabryce rowerów, przenieśliśmy się do Dziedzic. Zamieszkaliśmy w wynajętym mieszkaniu na parterze, piętro zajmowali państwo Łowińscy. Dom otaczał rozległy, zdziczały ogród. Mama otrzymała małe poletko na uprawę warzyw. Czasem jeździliśmy do Trzyńca, do moich ciotek, po wsparcie w postaci mąki, cukru czy cervesu. Kiedyś do przedziału w pociągu wsiedli oficerowie niemieccy. W domu mówiło się po

polsku, ale rodzice chcąc wymienić ze sobą uwagi, które nie były przeznaczone dla moich uszu, posługiwali się niemieckim. Z tych zaszyfrowanych dialogów domyślałam się jedynie słowa: schau – popatrz, bo zawsze padało wtedy, gdy patrzyli na mnie. A w tym pociągu, wioząc zakazany towar i widząc Niemców, zdrętwieli. Za to ja wykazałam się refleksem i pokazując palcem mijane pola, domy, szczebiotałam: Muti! Vati! Sytuacja była rozładowana, a rodzice nie mogli wyjść z podziwu, że mają tak bystre dziecko.

Najboleśniej los doświadczył wujka Wilusia, który najlepsze lata swego życia zmarnował w obozie dla jeńców wojennych w Murnau, a potem wyjechał do Stanów, poruszając niebo i ziemię, aby ściągnąć żonę Milkę i jedyną córkę Hanię. Ale ówczesne władze polskie nie wyrażały na to zgody przez długich dziesięć lat. Kuzyn mamy zginął w Katyniu.

I znów zdjęcie z albumu: ja na balkonie w domu dziadków, buzia szeroko otwarta coś krzyczy, ręce wyrzucone w górę, palce rozcapierzone, jasny fartuszek, warkoczyki, kokardki i podpis „Hurra! Wojna skończona!”

Do przedszkola chodziłam do Sióstr Boromeuszek, które prowadziły również dom starców. Prosto z bramy wiódł długi mroczny korytarz, oświetlony jedynie nikłym światełkiem pod krzyżem Chrystusa. Bałam się potwornie. Natomiast szkołę lubiłam bardzo, wakacje zawsze mi się dłużyły, mimo że też były ciekawe. W 1948 roku weszłam na Giewont. W zimie jeździłam „na narty”, latem nad Bałtyk. Ale i tak nie mogłam się doczekać, kiedy znów zaczną się lekcje. W liceum zapisałam się do klasy łacińskiej z myślą o medycynie, ale potem miałam różne humanistyczne pomysły. Zaważył argument ojca, że zawód lekarza można wykonywać w każdym zakątku świata, ale i tak przez wiele lat miałam do rodziców pretensję, że za bardzo wtrącali się do moich wyborów. Dziś jestem głęboko przekonana, że zawsze mieli rację. Było to małżeństwo z miłości, co w niczym nie przeszkadzało powstawaniu drobnych konfliktów z błahych i wręcz śmiesznych powodów. Padały z jednej i drugiej strony bezsensowne w moim odczuciu argumenty, które zawsze zmierzały do „chrześcijańskiego podziału”. Oręże mamy stanowiło odszczepienie Lutra (jakby winę za to nie ponosiły grzechy kościoła lecz jej skądinąd ukochany Karolek), natomiast ojciec wytaczał większego kalibru działo: podstępną rzeź hugenotów w noc Świętego Bartłomieja. I niezmiennie to wydarzenie z 1572 roku w Paryżu, które dziś nazwalibyśmy ludobójstwem, kończyło słowny spór. Lecz gdy w tym momencie była planowana podróż do Trzyńca, zwycięstwo przechylało się na korzyść mamy, oświadczała bowiem, że do „tych czarnych wron nie pojedzie” (choć rodzinę swojego męża darzyła wielkim szacunkiem i wdzięcznością, zwłaszcza za pomoc w czasie wojny). Ciche dni zawsze mijały, pojawiała się słońce i wracało „karolkowanie, stefuchnowanie” wraz z innymi miłosnymi hymnami.

Na studia do Warszawy wyjechałam nie mając jeszcze osiemnastu lat. Nie było łatwo. Akademik w sąsiedztwie hotelu robotniczego na Kole – okropny, żelazne, zielone łóżka, pastowana na czerwono podłoga, łazienka

na piętrze, ale bez prysznicza, ten w piwnicy czynny jeden raz w tygodniu. Dojazd na uczelnię z dwoma przesiadkami, a zajęcia od 8. do 20. z 3 godzinną przerwą w ciągu dnia; ani wrócić, ani odpocząć. Po zaliczeniu krytycznego, pierwszego roku poczułam się pewniej i zaczęłam sobie pozwalać na rozwijanie zainteresowań własnych: literatura, teatr, opera, jazz jamboree, kino. Nigdy później nie udało mi się w tak krótkim czasie przeczytać tylu pięknych i wartościowych książek. Starannie je wybierałam, bez banałów. Nigdy też nie obejrzałam tylu sztuk teatralnych, nie mówiąc już o filmach, zwłaszcza polskich. Oczywiście kosztem obowiązkowych zajęć w Akademii Medycznej. Chyba odezwał się jakiś szczątkowy gen pradziadunia Jędrusia. I mało brakowało, aby mnie wyrzucili, gdyby nie spotkany na tanecznym wieczorku student Politechniki Warszawskiej Józef Łastowiecki, któremu zresztą muzyka w tańcu kompletnie nie przeszkadzała. Kiedy przedstawiłam go moim rodzicom, spodobał się. Po roku codziennych spotkań w akademiku lub w Bibliotece Głównej na Koszykowej, pobraliśmy się. Na poślubny tydzień pojechaliśmy z plecakami do Wisły. Przezornie zapakowałam jarzyny, mąkę cukier, masło, jajka, kociołek, wałek do ciasta i małą stolnicę. W górach zbieraliśmy grzyby i jagody. Na ognisku w kociołku gotowałam zupę grzybową, a na desce gniotłam pierogi z jagodami. Mój mąż był wniebowzięty. Od 14. roku życia tułał się po stancjach, w akademiku też się nie przelewało i stale był głodny. Nie dziwiło mnie, że pochłaniał zupę z salaterki, pierogi znikwały w błyskawicznym tempie. Sądzę, że już wtedy w jego podświadomości pojawiła się myśl, że przy mnie nie zginie.

Jego rodzice, Stanisława i Marian, mieli dziewięciohektarowe gospodarstwo w Wyczółkach pod Siedlcami. Ich życie składało się z wyrzeczeń i ciężkiej pracy. Nie znali pojęcia urlop, odpoczynek, podróż. Najdalszą odbyli do Cieszy na nasz kościelny ślub, którego termin zaplanowaliśmy w krótkiej przerwie między sianokosami i żniwami, wypadło 6 lipca. Mieli pięcioro dzieci, jedna dziewczynka, Jadzia, zmarła na banalne zapalenie wyrostka robaczkowego, pozostałą czwórkę wysłali do szkół. To stanowiło główną radość ich życia, nie było im żal, że nikt nie pozostanie na roli.

Nigdy nie słyszałam, żeby o kimś mówili źle, mieli jakieś pretensje do losu, który ich nie oszczędzał. Byli prostymi ludźmi, ale zawsze dostrzegałam w nich jakąś wyjątkowość, odmienny od środowiska sposób rozumienia świata. Swoją testament przekazali dzieciom ustnie, bez pisemnych oświadczeń. Gdybym musiał iść do notariusza, mówił ojciec, to by znaczyło, że źle wychowałam dzieci.

W czasie wojny ukrywali pięcioosobową rodzinę Berko Żebrowicza, handlarza bydła z Krzymosz: od sierpnia 1943 do marca 1944 roku, między poprzednią i następną kryjówką. Najpierw jednak z polecenia kierowniczkii szkoły z Pruszyńska – pani Jagiełłowej, przyjęli pod swój dach nauczyciela

francuskiego dwudziestopięcioletniego Orła Kielmana. Zamieszkał w niewykończonym pokoju. Ale zrobiło się ciasno, kiedy z tego samego poręczenia zjawił się Berko z żoną, córką Różą, dwoma synami i jedną synową. Druga nie zdołała uciec, jak jej mąż Jasek, z transportu do Auschwitz. W sasku, choć jeszcze przed zimą, było chłodno i zarazem duszno. Ojciec przygotował miejsce na strychu drewnianej obory.

Początkowo Orzeł Kielman patrzył nieufnie na Żebrowiczów. Byli obcy, zwiększali zagrożenie dekonspiracją. Ale wtedy pojawiła się miłość: właśnie Orła i Różę.

Wychodzili w ciągu dnia na podwórko: senior Berko w jarmulce, otulony tałesem, odmawiał duszą i ciałem modlitwę. Pewnego dnia późnego lata w kuchni kręciła się Róża, ubrana w czarną sukienkę w duże białe grochy. Nagle mama zauważyła za oknem sąsiada – Ludwika Kondraciuka. Z niesłychanym refleksem dosłownie zdarła z Róży letnią sukienkę, rzuciła na dziedzie, a dziewczynę wypchnęła do niewykończonego pokoju. Sąsiad już otwierał drzwi do kuchni i z zaciekawieniem pytał, jakich to gości ma Marianowa. „Coś się sąsiadowi przywidziało” – odparła i machając sukienką rzuciła ją na inne miejsce. Kondraciuk kiwał z niedowierzaniem głową, ale nie drążył tematu. Był przyzwoitym człowiekiem i strasznym gadułą. A życie kulturalne na wsi ograniczało się do rozmów, wspomnień, ploteczek, dzielenia się informacjami z frontu czy gospodarskim doświadczeniem. Bo mimo wojny, ziemi i inwentarza nie wolno zaniedbać. Ojciec zakładał, że jakoś to będzie, mama drżała ze strachu. Za ukrywanie Żydów groziła śmierć. Niedaleko za Stokiem Ruskim, duże gospodarstwo Wielogórskich zostało otoczone nad ranem, podpalone, a wszyscy uciekający z płomieni zastrzeleni: gospodarze i ukrywający się u nich Żydzi. Ktoś doniósł. Nie jesteśmy lepsi od innych. 98.8 procent naszych genów nie różni się od genów szympansa. A może jednak tych genów jest więcej? W każdym razie niebo nad tą pięcioosobową gromadką Żydów pozostało otwarte.

Ja nie wiem, czy potrafiłabym ryzykować życie własnych dzieci dla innych. Nie daj Boże doświadczyć takiej próby. Rodzice mojego męża zawsze byli dla mnie bohaterami.

Po wojnie Orzeł Kielman wstąpił do UB. Zamieszkał z żoną Różą w normalnym domu. Na świat przyszło dziecko. Pomagał wychwytywać akowców, których skazywano na śmierć. Długo to nie trwało, bo któregoś dnia został zastrzelony na ulicy. Żebrowiczowie wyjechali do Francji, a potem podobno do Izraela. I wszelki śluch po nich zaginął.

Nasz start w latach sześćdziesiątych nie należał do łatwych. Ani mieszkania, ani pieniędzy, bo pensja asystenta Politechniki Warszawskiej starczała do połowy miesiąca. Przez rok wynajmowaliśmy niewielki pokój. Spodziewałam się dziecka. Zmądrzałam na tyle, że już w wakacje po trzecim roku

przygotowywałam się do przedterminowego zdawania egzaminu z farmakologii. Ale do macierzyństwa nie byłam przygotowana kompletnie. Wyobrażałam sobie, że na zajęcia będę syna zabierała ze sobą i poproszę portiera, żeby mi na czas ćwiczeń przypilnował dziecka. Problem rozwiązał się sam, bo nie pozwolono mi mieć dziecka w wynajmowanym pokoju i musiałam go oddać pod opiekę obcej kobiety. Po roku otrzymaliśmy „mieszkanie” w barakach, bez kuchni i łazienki, w których przedtem mieszkali budowniczowie Pałacu Kultury i Nauki. Tu w kwietniu przyszedł na świat drugi syn, a mnie pozostały do dyplomu jeszcze 4 egzaminy. Codziennie prałam na tarze i gotowałam na kuchence podłączonej do gazowej butli czterdzieści tetrowych pieluch i średnio dziewięć par śpioszków; ręcznie tarłam sok z marchwi. Końcowy egzamin zdałam ostatniego dnia letniej sesji. Na dwuletni staż podyplomowy czekałam pół roku. Kiedy otrzymałam etat w Szpitalu Wolskim, zaczęły się problemy z opiekunką do dzieci. Początkowo nie mogłam się zdecydować na żłobek, o który zresztą też nie było łatwo. Zwierzyłam się, naiwna, starszej o rok koleżance. Ujęła to krótko: „bo pani ma bardzo trudne warunki”.

W końcu nasze warunki bytowe uległy poprawie. Mąż podjął się naprawy skomplikowanych urządzeń w hucie szkła na Kubie, w San Jose. Budowę ukończono wcześniej, ale wspomniane urządzenia pracowały źle. Zbliżała się kolejna rocznica rewolucji, więc sprawa była absolutnie priorytetowa.

W ciągu siedmiu tygodni udało się uzyskać od Szwedów nie tylko pełną dokumentację tej budowy, ale i pomyślnie ją zakończyć. Po prostu problem polegał na złożeniu błędnego zamówienia u szwedzkiego projektanta, a oddanie huty szkła było dla Kubańczyków sprawą wagi państwowej.

Ten poważny zastrzyk gotówki, łącznie z pomocą Rodziców, pozwolił na zapisanie się do własnościowej spółdzielni mieszkaniowej Politechniki i po roku wprowadziliśmy się do wymarzonego M6. Mój organizm był wyczerpany, siły obronne osłabione, przyplątało się uporczywe, nawracające, wymagające długotrwałego leczenia zapalenie opłucnej. Ale żyłam. Jedyne co mi pozostało, to marzenia, jak w bajce o rybaku i złotej rybce. Od najmłodszych lat chciałam mieszkać w stolicy, co wydawało się dziecinną mrzonką. Zamieszkałam. Zaczęłam śnić o dalekich podróżach. Z tych marzeń powstała moja pierwsza książka „Zemsta skorpiona”. Krajów, do których wysłałam moją bohaterkę nigdy nie widziałam, chociaż od wielu lat mogłabym sobie na to pozwolić. Moim następnym marzeniem było posiadanie domu z ogródkiem.

Po stażu otrzymałam pracę w rejonie, potem w Przychodni Studenckiej. Uzyskałam zgodę na rozpoczęcie specjalizacji I stopnia z interny. Nie byłam dobrą matką. Dbałam o wartościowe posiłki, higienę, czystość w mieszkaniu, ale na nic nie miałam czasu. W każdej wolnej chwili siedziałam w fotelu obłożona książkami i uczyłam się, jak nie do kolokwium to do egzaminu. Ten ostatni zdawałam z koleżanką pracującą w klinice, zresztą bardzo dobrze przygotowaną. Przyszliśmy na egzamin z kierownikami specjalizacji, ona

ze swoim profesorem, ja z ordynatorem. Na samym początku przykreść. Egzaminator na widok profesora zerwał się z miejsca i wylewnie go przywitał. Mojego ordynatora potraktował jak powietrze. Zdałam, ale wracając do domu łykałam łzy. Potrzebowałam „przerywnika”, był nim pomysł napisania „Limby”. Dyrektor ZOZ-u dla Szkół Wyższych zaproponował mi przejście na etat do szpitala.

W 1981 roku, mój mąż otrzymał kontrakt w Iraku, a po niemałych staraniach i mnie się to udało. Wspomnienia opisałam w „Na scenie szpitala Al Kindi w Bagdadzie”. Wyjątkowość tego okresu w moim życiu zaspokoila (na pewien czas) głód wrażeń. Pod względem zawodowym zdobyłam doświadczenie, nieosiągalne wtedy w kraju. I po raz pierwszy zetknęłam się z nowoczesną kardiologią! Tam, w Iraku!

Po powrocie zabrałam się do drugiego stopnia z interny, (a byłam już po czterdziestce). Koleżanka w moim wieku, pracująca w Przyszpitalnej Przychodni, skomentowała: „daj spokój w tym wieku, to już nie ta głowa”. Miała w pewnym sensie rację.

Największym wstrząsem była dla mnie śmierć mamy. Objawy banalne, ale kiedy w najprostszy sposób ją zbadałam, zrozumiałam, to koniec. Nic nie pomógł szpital ani operacja. W tych ostatnich dniach mówiła: Ewunia, nie martw się, bo wiem, że kiedy się ocknę, będę już w innej rzeczywistości.

Kiedy umarła, przez 10 lat wydawało mi się, że ktoś ukradł mój największy skarb.

Odbyłam potrzebne staże, zdałam kilka kolokwiiów i ostateczny egzamin złożony z trzech części: praktycznej, testowej i teoretycznej.

Wtedy rozpoczęliśmy z mężem budowę domu naszych marzeń. Przez siedem lat nie byliśmy na żadnym urlopie. Lubię swój dom i ogród. Tu żyję, pracuję i odpoczywam.

Miałam marzenie, wydawało się – mało realne: „zdobyć” bardziej twórczą pracę, która umożliwiałaby wgląd w tajemnice serca; tej cudownej automatyzowanej pompy, uruchamianej przez biochemiczne mikrosygnały. Spełniło się! 1 października 1986 roku otrzymałam etat w Zakładzie Diagnostyki Nieinwazyjnej Instytutu Kardiologii.

Dziś nie mogę powiedzieć, że czuję się osobą całkowicie spełnioną, popełniłam wiele błędów, które kiedyś wydawały się nie do uniknięcia, lecz z pewnością spełniłam oczekiwania moich Rodziców.

*

W Cieszynie „za moich czasów” żyła sobie pewna staruszka. Nazywano ją Justką (od nazwiska Just). W jej oknie długo tkwił portret cesarza Franciszka Józefa. Opowiadano o niej niestworzone brednie, że schyla się po każdy pyłek na podłodze, śpi w trumnie, a swoją kurkę, która codziennie znosi jej jajeczko, trzyma w łóżku. Tę trumnę wymyślono prawdopodobnie dlatego, że w Zaduszki „urządzała” na rodzinnym grobie instalację tysięcy, sztucznych, własnoręcznie robionych kwiatów. Sama zaś siadała skromnie

na ławeczce, zwrócona do tłumu, który przystawał, bo nikt nie przeszedł obojętnie przed tym widowiskiem. Rozpierała ją duma. W jakimś momencie zdałam sobie sprawę, że bywam idiotycznie pedantyczna, niczym śp. Justka, bo na przykład: jeżeli zauważę jakiś paproszek na dywanie w czasie gimnastyki, podniosę go, choć mógłby poczekać godzinę do odkurzenia, to samo jest w ogrodzie. Dopieszczam swój dom i wymarzony ogród najlepiej jak potrafię, ale czy nie zasługują na to moje marzenia? Dlatego, wydaje mi się, że wyjątkowym draństwem jest wypędzanie ludzi z własnych domów z powodu wojen czy innych rodzajów przemocy. Manifestacyjne uwielbienie cesarza Franciszka Józefa w powojennym Cieszynie wydawało się śmieszne, dziś patrzymy na to inaczej. Zabór austriacki, w przeciwieństwie do pruskiego, a zwłaszcza rosyjskiego, dopuszczał autonomię, mieliśmy przedstawiciela w parlamencie. Cesarz nie tylko z własnych funduszy wybudował nam ratusz, który do dziś cieszy oko, ale i osobiście przybył na jego otwarcie. Podobnie, jak i my przed wiekami połączyliśmy się z Litwą w Rzeczpospolitą Obojga Narodów, utworzył unię z Węgrami, którzy się przed tym zaciekle bronili (zapewne żałując tego później, zwłaszcza w 1956 roku). W moim odczuciu to były pierwsze nieśmiałe próby przyszłego zjednoczenia Europy. Jestem szczęśliwa, że dożyłam tej chwili. Oczywiście są problemy, ale uczymy się, jak ich nie tworzyć, lecz je rozwiązywać. Żałuję tylko, że nie dożyli tego moi Rodzice.

HALINA OKOŃ

Te łzy babci pamiętam...

Urodziłam się w styczniu 1947 roku, ale historię mojej rodziny, związaną z II wojną światową i okupacją niemiecką, znam odkąd sięga moja wczesnodziecięca pamięć. Mieszkając z rodzicami w Gałęzowie, na wsi w powiecie chełmskim, w pobliżu domu dziadków Godulów – rodziców mojej mamy, często bawiłam się z ciotecznym bratem na podwórku babci. Była tam ogrodzona płotkiem niewielka rabatka, pełna piwonii, które szczególnie w maju miały pełno pąków. Ta rabatka, codziennie pielęgnowana przez babcię, zawsze budziła naszą ciekawość. Kiedyś zainteresowaliśmy się właśnie tymi pąkami i w tajemnicy przed babcią, pozrywaliśmy je i wręczyliśmy jej okazały bukiet w podarku. Jakież było nasze zdziwienie, gdy babcia rozplakała się i powiedziała: „tu jest grób moich trzech synów, a waszych wujków, którzy zginęli w czasie wojny. Dwóch z nich 24 sierpnia 1943 r. rozstrzelali Niemcy, a trzeciego – nieco później – 23 grudnia 1943 r. – Ukraińcy”.

Wtedy upłynęło zaledwie 9 lat od tej tragedii i wspomnienia były bardzo bolesne zarówno dla dziadków, jak i moich rodziców. Właśnie te łzy babci pamiętam i później razem z nią wiele razy modliłam się żarliwie w miejscu zboczonym krwią jej synów. Do dzisiaj stoi tam drewniany krzyż upamiętniający to miejsce, postawiony przez rodzinę Birusów, dawnych sąsiadów Godulów, najdłużej mieszkających w Gałęzowie. Grób trzech wujków znajduje się w Klesztowie, gdzie po ucieczce Niemców w 1944 r. zostali pochowani, bo wcześniej nie pozwalały na to władze okupacyjne, mające siedzibę w Chełmie. Każda wigilia Bożego Narodzenia w naszej rodzinie była przepełniona łzami, smutkiem i modlitwą za wszystkich zabitych przez okupanta członków rodziny babci ze strony mamy. Rodzina mojego taty też doświadczyła ogromnych cierpień w czasie wojny.

Sama rodzina Godulów straciła łącznie dziewięć osób. Byli to: Helena, z domu Beć, którą 25 września 1942 r. wraz z mężem i czwórką dzieci Niemcy rozstrzelali w Wygnanowicach, niedaleko Piask k. Lublina. Dziad-

kowie Godulowie: Mateusz, ur. w 1875 r. i Rozalia ze Stankiewiczów, ur. w 1879 r., stracili z rąk Niemców córkę z mężem i czwórką dzieci oraz dwóch synów z rąk Niemców i jednego z rąk Ukraińców.

Rozstrzelaną 25 września 1942 roku w Wygnanowicach rodziną Beciów byli: Helena Godula-Beć, ur. 1899 r. i jej mąż Jan Beć, ur. w 1892 r. oraz czworo ich dzieci: Stanisław Beć, ur. w 1918 r., Kazimiera, Bolesław i Stefan, który miał 15 lat (dat urodzin Kazimierzy i Bolesława nie znam). Wszyscy zostali rozstrzelani za przechowywanie osoby pochodzenia żydowskiego (nie znam jej nazwiska), którą Niemcy, jak zapamiętałam, razem z nimi rozstrzelali.

Z tej egzekucji uszły z życiem trzy osoby, ponieważ były poza domem: Mieczysław Beć, ur. w 1920 r., oraz dwie dziewczynki: Janina Beć, ur. w 1930 r. i Danuta Beć, ur. w 1932 r., obecnie Grzelczyk, dziś 83-letnia mieszkanka Szczecina. Pozostała jako ostatnia ofiara tych tragicznych zdarzeń. Ofiara, bo mimo że przeżyła, to została w wieku 10 lat sierotą, przysięgniętą przez dziadków Godulów. Po roku przeżyła z nimi drugą tragedię, gdzie 24 sierpnia 1943 r. była świadkiem rozstrzelania wujków Godulów: Tadeusza, ur. w 1908 r., Czesława, ur. w 1922 r., a 23 grudnia 1943 r. Seweryna, ur. w 1911 r., zabitego przez Ukraińców na łące w pobliżu domu.

Świadkami tej tragedii, poza 11-letnią Danusią, byli również Rozalia i Mateusz Godulowie oraz ich córka Leontyna Pióro, z domu Godula, ur. w 1917 r. – moja mama. Mój ojciec, Edward Pióro, ur. w 1904 r. w Rogatce k. Dubienki nad Bugiem, ocalał, gdyż przed otoczeniem domu przez Niemców orał pobliskie pole. Niemcy wyprowadzili wszystkich z domu na podwórze i tam na oczach bliskich, aby zwielokrotnić ich cierpienie, dokonali egzekucji, nie wyjaśniając powodów, tylko krzycząc „polscy bandyci”.

Tę tragedię opisał mój mąż, Zbigniew Okoń, m. in. w „Ziemi Chełmskiej” w 1975 roku. Czesław (1918–1943), Tadeusz (1908–1943) i Seweryn (1911–1943) Godulowie należeli do oddziału partyzanckiego Armii Krajowej. Do oddziału tego należał również Zbigniew Skorupa. Był on łącznikiem między komendantem oddziału AK w Żmudzi a komendantem obwodu AK w Chełmie. 24 sierpnia 1943 r. Zbigniew Skorupa na rowerze Seweryna Goduli pojechał do Chełma. Seweryn Godula oficjalnie pracował w sklepie w Gałęzowie i Pograniczu i – jako jedyny we wsi – miał zezwolenie na posiadanie roweru, wydane przez Niemców. Rower ten oddał partyzantom ogromne usługi, stał się jednak przyczyną kolejnej tragedii. W Chełmie Zbigniew Skorupa miał przekazać swemu dowódcy meldunki oraz pieniądze przeznaczone dla rodzin partyzantów. W Kamieniu k. Chełma został zatrzymany przez 3-osobowy, rowerowy patrol niemiecki. Jeden z gestapowców przystąpił do sprawdzania dokumentów zatrzymanego – i do rewizji. Skorupa zastrzelił rewidującego go Niemca, zaś z drugim zaczął mocować się w przydrożnym rowie. Hitlerowcowi pośpieszył z pomocą miejscowy agent gestapo. Do obezwładnionego Polaka oddał kilkanaście strzałów, a jego ciało kazał zakopać przy drodze. Po sprawdzeniu dokumentów Skorupy, z karty

rowerowej odczytano nazwisko i adres Seweryna Goduli. Po ściągnięciu posilków z Chełma hitlerowcy otoczyli jego dom. Seweryn nie stracił zimnej krwi, błyskawicznie porozumiał się z ojcem i zabrawszy broń znajdującą się w domu, wyskoczył w rosnące tuż za oknem krzaki bzu. Zdążył jeszcze ustawić na parapecie otwartego okna kwiaty. To zmyliło Niemców, którzy bijąc i katując domowników, wypędzili ich na podwórze, zdemolowali mieszkanie, ale broni nie znaleźli. Rozstrzelali Tadeusza i Czesława. Skatowanej rodzinie kazali położyć się twarzą do ziemi, czekając na wyniki rewizji, którą kierował młody gestapowiec. Wówczas Leontyna Pióro, kierowana nadludzką intuicją, powiedziała do dowodzącego Niemca, że to jakaś pomyłka. Ten zawahał się, pokazując jej w odpowiedzi kartę rowerową Seweryna. Wówczas odpowiedziała, że rower ktoś ukradł bratu rano sprzed sklepu, a Seweryn poszedł właśnie zameldować o tym Niemcom do Żmudzi. Skłamała również, że mąż jej, Edward Pióro, przebywa na robotach w Niemczech, a ona czeka tylko, żeby do niego pojechać.

Tą rozmową uratowała przed pacyfikacją nie tylko swoją rodzinę, ale najprawdopodobniej i wieś Gałęzów. Niemcy, ulegając prośbom i lamentom kobiet, pozwolili zakopać ciała pomordowanych „w dole na podwórku”.

Edward Pióro, ps. „Kloc”, więzień Majdanka, do końca września 1943 r. ukrywał się w lesie, niszcząc na rozkaz dowódcy ślady swojej i szwagrów przynależności do partyzantki. Seweryn nie rozluźnił kontaktów z partyzantami. 23 grudnia 1943 r., gdy wracał do domu, na święta, z Nowej Kajetanówki, został zamordowany przez oddział ukraińskich nacjonalistów, którzy pod lasem urządzili na niego zasadzkę. Nie dał się ująć żywcem. Zmasakrowane jego ciało Ukraińcy zakopali na łące. Ojciec mój, dzięki pomocy partyzantów, w nocy 6 stycznia 1944 roku, odkopał ciała Seweryna i pomordowanych 24 sierpnia 1943 r. szwagrów i pochował je w ogrodzie przed domem, w zrobionych przez siebie trumnach.

W 1944 r. na cmentarzu w Klesztowie, w skromnym pogrzebie, w gronie rodziny, kilkunastu współtowarzyszy partyzanckich walk i mieszkańców Gałęzowa, złożono w jednym grobie Czesława, Seweryna i Tadeusza Godulów. Spoczywają tam do dzisiaj.

Ojciec mój, dwukrotnie wysiedlany ze swojego gospodarstwa, był więźniem obozu koncentracyjnego na Majdanku. W pierwszym okresie istnienia tego obozu, kiedy jeszcze nie numerowano więźniów, był jednym z ocalałych. Zwolniono go dzięki staraniom miejscowego proboszcza i właściciela majątku w Husynnem – Suprety, u którego ojciec „pracował przy koniach”. Po powrocie z obozu, wycieńczony do granic możliwości (wagi 37 kg), był karmiony w domu przez siostry jak niemowlę, najpierw kleikami, a potem dopiero czymś innym, gdyż najedzenie się do syta prowadziło do śmierci.

Rodzina Piórów też wycierpiała niemało; mój tato był więźniem obozu koncentracyjnego, jego siostra pracowała u rolnika w Niemczech i wróciła dopiero po wojnie (nie znam nazwy miejscowości – ciocia nie dożyła czasów

odszkodowań, ale w czasie, kiedy przebywała na robotach przymusowych w III Rzeszy, jej dwaj synowie, pozbawieni opieki, zachorowali na gruźlicę i obaj zmarli. Opłakiwała ich do końca swego życia. Nazywała się Stanisława Rudnicka, z domu Pióro, ur. w 1901 r. w Rogatce.

Bolesław Pióro, ur. w 1900 r., brat taty, też był w obozie na Majdanku. Po wojnie cała rodzina poszukiwała go, ale nie uzyskała z nim kontaktu. Dużo później otrzymali wiadomość następującej treści: „Szer. Bolesław Pióro, s. Antoniego i Walerii, ur. 04.05. 1900 r. w Rogatce, utalentowany muzycznie, harcerz, członek podziemnej Polskiej Organizacji Powstańczej, później „Wasteja” w latach 1939–1940, pseudonim „Słowik”. Więzień obozu koncentracyjnego na Majdanku, później robotnik niewolniczej pracy w Niemczech (w Braunschweig). W 1946 r. śmiertelnie ranny od wybuchu miny. Pochowany tam z synem na miejscowym cmentarzu. Podpisał: „Janusz Wasteja” – Jan Steć”.

Niestety, kiedy otrzymałam tę wiadomość od innego członka rodziny taty, nie mogłam tego sprawdzić, gdyż tato i jego trzy siostry już nie żyli. Wiem o rodzinie, o jej tragedii sporo, jednak zarzucam sobie, że nie notowałam tego, co opowiadali rodzice, sądząc że wszystko zapamiętam. Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że bardzo przeżywałam te traumatyczne wspomnienia. Wpadałam w panikę, gdy upadał mi chleb. Szybko go podnosiłam, bo tato, opowiadając o głodzie w obozie i w czasie wojny w ogóle, uczył mnie i siostrę szacunku do kromki chleba. Do tego stopnia byłam wstrząśnięta opowieściami bliskich, że długo nie mogłam czytać literatury o tematyce wojennej. Dopiero kiedy założyłam rodzinę i urodziłam dziecko, świadomie sięgnęłam po tę niechcianą wcześniej literaturę.

Mimo tylu cierpień, moi rodzice nigdy nie wypowiadali się z nienawiścią o Niemcach. Czasem nawet wspominali, że raz czy dwa jakiś Niemiec, który zobaczył chore dziecko, przynosił lekarstwo lub dawał coś do jedzenia. Mój tato nikomu nie życzył źle, a mnie i siostrze tłumaczył, że wszystko, co się w życiu wydarzyło, to wola Boska – i godził się z nią. Ja zaś lubiłam uczyć się w liceum języka niemieckiego, ale potem ten język przeze mnie nieużywany, uległ zapomnieniu. Dziś zdecydowanie oświadczam, że w najmniejszym stopniu nie mam zrozumienia dla takiego bestialstwa i poniżania innych narodów przez hitlerowskie Niemcy, ale też wiem, że nie wszyscy ludzie są źli, a moi rówieśnicy w Niemczech nie byli tego sprawcami, są jedynie ich spadkobiercami. Nie sądziłam, że kiedyś o tym napiszę, ale po rozmowach z Państwem Czejarkami, Magdą i Karolem, podjęłam się tego, starając się upamiętnić cierpienia moich dziadków po stracie dzieci i wnuków oraz cierpienia mojego taty, a także tej wtedy 11-letniej Danuty Beć-Grzelczyk, która po wyjściu za mąż, urodziła dwóch synów. Dziś Danuta Beć-Grzelczyk ma też dzieci, wnuki i prawnuki. Wszyscy mieszkają w Szczecinie i nieraz wyjeżdżają do Niemiec w celach turystycznych, a także zarobkowych.

Myślę również, że potomkowie Mieczysława Becia, który ocalał z hitlerowskiej egzekucji w Wygnanowicach, też poznają historię swoich bliskich, o których niewiele wiedzą. Jego córka, Emilia, jej syn Artur i wnuk Arkadiusz Sugierowie, niedawno spotkali się ze mną i z moją rodziną i zainteresowali losem swych dziadków, pradiadków i prapradziadków.

Pracując w Powiatowym Domu Kultury w Chełmie, często uczestniczyłam w spotkaniach, zorganizowanych przez pracowników Powiatowego Domu Kultury w Zamościu, z gośćmi z Niemiec w celu wyjaśniania zawiłych spraw dotyczących naszych narodów. Było to na początku lat siedemdziesiątych XX wieku. Zamojszczyzna szczególnie ucierpiała przez Niemców w czasie II wojny światowej. Wśród uczestników tych spotkań były Dzieci Zamojszczyzny i obawiano się reakcji ludzi na zwielokrotnione przez wojnę, wiekowe uprzedzenia polsko-niemieckie. Ale na Sali wyczuwało się duże zrozumienie dla celowości organizowania takich spotkań. Nawiązywano indywidualne kontakty z Niemcami i wtedy poznawało się ludzi, którzy bardzo krytycznie oceniali politykę hitlerowskich Niemiec. Dziś oceniam tamte spotkania jako odważne działania, gdyż w tamtym czasie Polska nie była krajem otwartym na świat.

Potem pracowałam w szkole i z grupą młodzieży wyjechaliśmy w maju 1987 roku na kilkudniowy pobyt w okolicy Berlina. Zwiedzaliśmy Berlin Wschodni, Poczdam, płynęliśmy wspólnie z grupą młodzieży niemieckiej statkiem po Odrze – i tak powoli nawiązywały się kontakty uczniów szkoły polskiej z uczniami NRD.

Wtedy nikt nie myślał, że coś się zmieni. Teraz możemy prowadzić wspólny dialog, „od wrogości do normalności”.

Halina Okoń, z domu Pióro, wnuczka Godulów,
siostrzenica i siostra zabitych Godulów i Beciów.

NATALIA OŁOWSKA-CZAJKA

Berlin–Warszawa Express

To będzie opowieść o tym, że nic nie jest w życiu takie, jakim się wydaje. Oraz o tym, że kiedy już naprawdę jesteście przekonani, że coś jest właśnie takie, jakie jest, wtedy natychmiast wydarza się coś takiego, co pokazuje nam, że jest zupełnie inne.

Prolog

Tak, trochę mieszkam w Berlinie. Tramwaj, który łączy moje dwa mieszkania, odjeżdża z Dworca Centralnego w Warszawie co kilka godzin i po pięciu i pół godzinie dowozi mnie do mojego drugiego mieszkania.

Mówię na niego tramwaj, ponieważ i tu, i tu jestem w stanie dojść na dworzec nieomal w kapciach, zająć wygodne miejsce w pociągu i przetransportować się w czasie i przestrzeni do tego drugiego świata, zaledwie kilka przystanków. Trochę pracuję, trochę czytam, trochę głaszczę psa, który jeździ ze mną.

Dużo jest tego podróżowania. Trzeba się tego nauczyć i trzeba nauczyć się, jak funkcjonować w dwóch domach, w dwóch rzeczywistościach. Ja mam jedną praktyczną radę – najważniejsze jest, aby w każdej kuchni rzeczy ułożone były tak samo. No i żeby zawsze te rzeczy odkładać na swoje miejsce.

Pamiętam wypowiedziane drżącym głosem pytanie mamy: ale ty się tam nie wyprowadzasz? Jakby był w niej strach i niewypowiedziane: ale ty nie będziesz mieszkać na stałe w Niemczech?

Oboje moi rodzice są sprzed wojny.

Oboje mieliby powody, aby nie lubić Niemiec i Niemców.

W moim życiu długo nie było Niemiec. Ale teraz są: w myślach, uczynkach i w...

Tata

Był ciemny, późnowrzesniowy wieczór. Tata, ja oraz mój mały brat wyszliśmy z mszy świętej w kościele świętego Michała na Mokotowie. Wiał wiatr, latarnie rzucały niewiele światła, mieliśmy udać się na capstrzyk (trudne słowo dla małego dziecka), który był planowany jeszcze tego wieczoru. Ludzie szli, kuląc się przed wiatrem, tata trzymał nas za ręce, gdy nagle usłyszałam, jak ktoś za nami głośno krzyczy: Mocny! Mocny! Odwróciliśmy się wszyscy troje, a mężczyzna podbiegł do mojego ojca i obaj padli sobie w objęcia.

To mógł być rok 1984. Miałam dziewięć lat, mój brat cztery. Mężczyzna, który wołał do mojego ojca, był jego kolegą z powstania warszawskiego. Nie widzieli się od wojny. On nawet nie wiedział, jak mój tata naprawdę się nazywa. Wołał go więc powstańczym pseudonimem – Mocny. Może dlatego wcześniej nie mógł go odnaleźć? Dopiero po latach zobaczył go na uroczystościach kapitulacji Mokotowa – 27 września. Pułk Baszta walczący na Mokotowie ma w kościele świętego Michała swoją kaplicę, gdzie co roku obchodzona jest kapitulacja Mokotowa. Z tamtego dnia zapadł mi w pamięć ten mocny, serdeczny, milczący uścisk dwóch mężczyzn. Było w tym jakieś niewypowiedziane wzruszenie, jakie zapanowało pomiędzy nimi. Byłam mała i niewiele rozumiałam z tego wszystkiego, było ciemno i późno, ale tę chwilę zapamiętałam na pewno do końca życia.

Pewnie powinnam wtedy coś więcej z tego zrozumieć, bo tata często brał mnie ze sobą na różne uroczystości związane z powstaniem warszawskim. Pamiętam upalny dzień 1 sierpnia na Powązkach Wojskowych, gdy wśród tłumu mój tata z białą-czerwoną opaską Baszty na ramieniu, w berecie z orzełkiem na głowie, ciągnął mnie za rękę w kierunku powstańczych kwater, gdzie pochowano kolegów z jego pułku, z Baszty. Było gorąco, na ziemnych grobach leżały kwiaty, ludzie dźwigali wieńce, paliły się znicze. Byłam tylko z nim, wokół morze ludzi. Nagle ojciec podjął decyzję, że stanie na warcie w poczcie sztandarowym, poprawił białą-czerwoną opaskę i beret, wziął na ramię sztandar i nagle w tym tłumie zostałam zupełnie sama. Miałam cztery lata i ogarnęło mnie przerażenie, bo nie wiedziałam, co się wydarzy dalej, a tatę bardzo szybko straciłam z oczu. Wtedy podeszła do mnie pani, w takim samym berecie i z taką samą opaską jak mój tata i wzięła mnie za rękę. Jej silny uścisk i pewność siebie przegoniły mój strach i razem poczekałyśmy, aż tata odstawszy swą wartę przy grobach i przekazawszy następcy sztandar, powrócił do nas. Ta pani była koleżanką taty z Baszty – Teresa Nowak – pseudonim Grenadier.

Wtedy nie byłam jeszcze z tego wszystkiego dumna i nie rozumiałam, jak powoli to wszystko staje się częścią mnie; piosenki, które nucił mój tata, przedwojenna Warszawa, powstańczy pseudonim. Jak każde dziecko, myślałam, że tak jest u każdego w domu, przyjmowałam rzeczywistość taką, jaka była, jakby to było normalne, podobnie jak wszystko inne, co robiliśmy: wyjazdy na wczasy, podróże wodolotem z Gdańska na Hel.

Tata niechętnie opowiadał o wojnie i o powstaniu, uważając, że jeśli ktoś wraca do przeszłości, to jest już stary. A on chciał być młody, miał dwoje małych dzieci – ja urodziłam się, gdy miał 51 lat, a mój młodszy brat pięć lat później. Pamiętam, jak tata oburzył się w tramwaju nr 4 na Placu Dzierżyńskiego (on zawsze mówił – Placu Bankowym, do którego od przedwojnia dojeżdżał przez Most Kierbedzia), gdy jakaś pani powiedziała: ma pan ładne wnuki. Zaprotestował gwałtownie. Bardzo nas kochał i za swoje dzieci oddałby wszystko. Nie chciał być dziadkiem. Był przecież Mocny.

Po zdarzeniu pod kościołem św. Michała opowiedział mi jednak, skąd wziął się pseudonim Mocny. Jego ojciec, a mój dziadek Michał, zmarł bardzo wcześnie – w roku 1930. Rodzinna legenda głosi, że krawiec Michał Ołowski, mający „pierwszorzędny zakład krawiecki ubiorów męskich” na Starym Mieście Nr 16, w domu zachowała się jeszcze jego karta wizytowa – założył się z kimś, że przepłynie w lutym Wisłę. Był honorowy, więc przepłynął, ale wkrótce dostał zapalenia płuc i zmarł. Mój tata miał wtedy sześć lat, a jego brat Edek – zaledwie trzy. Babcia Bronisława została wdową, a ponieważ nie pracowała, więc jej dalszą „karierą życiową” musiało być powtórne zamążpójście, w czym posiadanie dwójki małych dzieci nie było szczególnie pomocne. Ojciec trafił do szkoły z internatem, mieszkał też okresowo u wielu ciotek – sióstr swojej matki. Mały chłopiec pozbawiony stałego nadzoru, a zwłaszcza wsparcia ojca, częściowo wychowujący się na Pradze na ulicy Brzeskiej, musiał walczyć o swoje.

Jako dziecko bez ojca w tej „dzikiej” dzielnicy nie miał łatwo, w bursie – również nie, choć były też jasne momenty – tata dostał cukierka od Piłsudskiego. Było to na jakimś koncercie dla dzieci z ochronek w Teatrze Wielkim.

W dzieciństwie tata często się bił, walcząc o swoją pozycję w grupie. Pewnego razu zadarł z chłopcem, który dowodził innymi chłopakami w okolicy i umówił się z nim po szkole. Popłynęła pierwsza krew. Sekundanci rozdzielili walczących, zrobili przerwę, po czym ojciec zapytał przeciwnika – mało ci? – na co przeciwnik odpowiedział: mało! Szczepili się ponownie ze sobą, a takich rund odbyło się jeszcze kilka. Na koniec tego kotłowania obaj walczący podali sobie ręce, a potem... stali się najlepszymi przyjaciółmi. Tata opowiadał mi o tym, ale niestety nie zapamiętałam imienia tego chłopca, czego dziś bardzo żałuję. Niestety – i tę przyjaźń na śmierć i życie przerwała wojna.

Wywalczywszy swoją pozycję i pokazawszy wszystkim, że jest silny i mocny, już w czasie okupacji (ojciec konsekwentnie rozróżniał wojnę i okupację) kontynuował swą edukację, mając przy sobie wiernego przyjaciela. Ukończył Gimnazjum Wolframa na Miodowej, a następnie rozpoczął naukę w Liceum Władysława IV na Pradze.

Babcia zrealizowała swój cel, wychodząc ponownie za mąż (za montera PASTA), po czym powtórnie owdowiała, a w czasie okupacji przeniosła się do Jeziornej (dziś część Konstancina), gdzie prowadziła sklep pasmanteryj-

ny. W domu do dziś znajdują się walizki z tamtych lat – tekturowe, ciemne, z klamerkami przy uchwycie, a w nich kłębowisko pocztówek, tasemek, guzików, koronek i mulin, które stanowiły niegdyś towar z tego sklepu. Dom, w którym wówczas mieszkali, stoi do dziś.

Do Gimnazjum Wolframa na Miodową mój ojciec dojeżdżał w czasie okupacji z Jeziornej rowerem. Kto zna Warszawę i okolice – ten wie, że rowerem z Konstancina do centrum Warszawy jest niemały kawał drogi (dziś wspaniała ścieżka rowerowo-rolkowa), a ojciec trasę tę pokonywał codziennie (i niestety – nie w tak komfortowych, jak dziś, warunkach).

Pewnego razu po drodze zahaczył o Wilanów. Nie wiem, czy przyciągnęła go tam jakaś randka – opowiadał mi bowiem, że podczas jednej z nich nieśmiała panienka, z którą się spotkał, tak bardzo wstydziła się powiedzieć, że potrzebuje iść do toalety, że aż popuściła siusiu, które kropelkami spływało po jej pończoszce na bucik i na ziemię – nie trzeba dodawać, że nie umówił się więcej z tą panną. Tego dnia z rowerem przeżył jednak chwile prawdziwej grozy. Zobaczyli go Niemcy, którzy akurat też tam byli i pewnie nie rozumieli, co może robić w pałacowych ogrodach młody chłopak z rowerem i chyba niekoniecznie chcieli o to pytać. Zaczęli go gonić, aż w pewnym momencie znalazł się w sytuacji bez wyjścia – przed nim znajdowała się goła ściana pałacu i okna z zaciągniętymi drewnianymi okiennicami. Nagle niespodziewanie i błyskawicznie jedna z tych okienic na parterze uchyliła się i ktoś wciągnął go do środka, zatrzasnął szybko okno. Ojciec został uratowany, czego nie można powiedzieć o rowerze, którego już nigdy nie odzyskał. Czym jednak był rower wobec faktu, że trwała wojna, a on miał to szczęście, że nic mu się wówczas nie stało!

Nie wiem, co skłoniło ojca do udziału w konspiracji. Myślę, że jak wielu młodych chłopców, nie do końca zdawał sobie sprawę, w co się pakuje. Kiedy jednak wybuchło powstanie, był już żołnierzem AK i rozpoczął powstańczą walkę. Walczył tam, gdzie od razu trafił do konspiracji – w ramach Pułku Baszta, kompania B3, na Mokotowie.

Było lato, oni tacy młodzi, nieprzygotowani i nieuzbrojeni. Miał wówczas 19 lat. Mokotów i ciągnące się tam wówczas tereny willowe, pola i ogródki działkowe, które dawały im przynajmniej możliwość zjedzenia czegośkolwiek – ojciec zrywał pomidory z krzaków, albo czołgał przez pola, przemieszczając się pomiędzy jednym stanowiskiem walki a drugim.

Tak zastała go walka na barykadzie i w okopach w parku Dreszera. Razem z nim był wtedy jego nieodłączny przyjaciel (Jasiek? Stasiek? Jurek? Boże mój, jak chciałabym dziś to wiedzieć). Coś mu się jednak nagle stało i nie wytrzymał napięcia, które towarzyszyło im od wielu dni. Zaczął się zachowywać impulsywnie i nerwowo. Krzyczał, że nie będzie jak szczur w norze chował się przed Niemcami, że wyjdzie i im pokaże. Jak powiedział, tak zrobił – wychylił głowę z okopu i natychmiast dosięgła go niemiecka kula. Skonał w ramionach mojego ojca.

W powstaniu ojciec był dwukrotnie ranny. Raz, gdy kula przeszła jego ciało pod obojczykiem. Drugi raz, kiedy weszła w nogę od strony piszczeli i w jego ciele rozszarpała się na dwa odłamki. Na ciele miał pięć głębokich blizn – dwie przy obojczyku, a trzy na nodze. Oglądałam te blizny jak relikwie, dotykałam ich, zupełnie nie doceniając wówczas tego – czym dziś tak chętnie szasta się w mowie – że jego rany, to krew przelana za Ojczyznę.

Po latach i ja zamieszkałam na Mokotowie i dopiero wtedy zrozumiałam, że tam gdzieś w ziemię wsiąkła jego krew. Mieszkałam kilkaset metrów od parku Dreszera, w którym on siedział w okopach i w którym zginął jego – bezimienny dziś dla mnie – przyjaciel, w pobliżu Królikarni, przy której także walczył.

Przed kapitulacją Mokotowa ojciec próbował ewakuować się kanałami z innymi powstańcami. Pomimo, że trwała wojna i część systemu kanalizacyjnego nie działała, w kanałach panowały straszne warunki, przede wszystkim smrodliwe wyziewy, które powstańcy znosili z największym trudem, ciemno, ślisko, strach. Teresa Grenadier była jedną z kobiet, która towarzyszyła mu w tej znoej wędrówce. Opowiadał, że koleżankom z oddziału było szczególnie ciężko; pojawiły się owrzodzenia, załamania nerwowe, zwątpienie i rozpacz.

Powstańcza „przygoda” ojca zakończyła się w ten sposób, że trzymając broń w rękach nad głową musiał wyjść z kanału i poddać się Niemcom. Wychodził jako jeden z wielu i trzymaną nad sobą broń cisnął na stos broni ułożony przez jego poprzedników. Za to, że bronią rzucił, otrzymał od Niemca kopniaka. Miał sporo szczęścia, że tylko tyle, niedaleko stamtąd, przy ulicy Dworkowej, wszyscy wychodzący z kanału powstańcy, w tym jego koledzy, zostali rozstrzelani.

Ojciec został jeńcem wojennym. Przetransportowano go i skoszarowano na terenie Niemiec, w obozie pod Magdeburgiem – Altengraben, nr jeniecki 45267. Miał sporo sprytu, skoro został tam pisarzem, co dawało mu różne przywileje (m.in. w dostępie do jedzenia), ale temu i ja, i mama nigdy nie mogłyśmy się nadziwić, po pierwsze ze względu na to, że tata bazgrał jak kura pazurem, a po drugie ze względu na to, że mimo wielu posiadanych talentów, nie był poliglotą i wyjątkowo słabo posługiwał się niemieckim.

Opowiadał, jaki los czekał tam pojmanych żołnierzy radzieckich, których nie chroniła konwencja genewska o traktowaniu jeńców wojennych, ponieważ ZSRR nie było jej stroną. Ludzie ci spali pod gołym niebem na mrozie, przemarzali, nie dostawali jedzenia i lekarstw, nie mieli żadnych warunków do zachowania higieny czy leczenia ran.

Obóz wyzwolili Amerykanie. Zachowało się zdjęcie ojca: małe, portretowe, w towarzystwie czarnej, okrągłej, uśmiechniętej buzi amerykańskiego żołnierza. Jak każdy, także i tata miał wówczas wybór – mógł wrócić do kraju, albo udać się na emigrację. Dowódca jego oddziału wyjechał do Anglii. A on ani chwili się nie zawahał i wrócił! Nie mógł żyć bez swojej ukochanej Warszawy.

Przede wszystkim starał się odnaleźć resztę rodziny. Ale to jego odnaleziono i dano do zrozumienia, że za działalność w czasie wojny, czekają go tylko represje. Czym prędzej wyjechał do Gdańska, doszczętnie po wojnie zrujnowanego, ale to tam, w portowym mieście, mógł się zaciągnąć do pracy i przy okazji – przysłużyć odbudowie miasta. Po latach uhonorowano go pięknym wielkim dyplomem, który wisiał na ścianie w jego gabinecie – dyplomem Pioniera Odbudowy Gdańska.

Na Politechnice Gdańskiej skończył studia inżynierskie i zdobył wymarzony zawód elektryka. Bardzo ciężko pracował, biorąc dodatkowe godziny w stoczni, aby utrzymać rodzinę, którą założył. Z tego okresu pokazywał jeszcze jedną bliznę – na przedramieniu. Na jego zawsze opalonych rękach, wyróżniało się jasne okrągłe wgłębienie. Ojciec przysnął kiedyś z papierosem, zmęczony po zajęciach na uczelni i po pracy w porcie. Papieros zgasł, wypalając głęboką ranę w jego rękę.

W Gdańsku tata musiał się meldować na UB, jednak nie został aresztowany (wiem, że jeden z jego kolegów siedział do 1956 roku, potem mieszkał w Rzeszowie, nawiązali kontakt po 40 latach od wojny). Gdańsk stał się jego domem na wiele lat. Został absolwentem Politechniki Gdańskiej i stopniowo wrastał w to miasto, w którym mieszkał wraz z pierwszą żoną i trójką dzieci.

Po wojnie spotkał go jednak jeszcze jeden cios. Zapalenie płuc, które już wcześniej zaważyło na jego losach, powodując śmierć ojca, tym razem zabrało mu również brata Edwarda. Edward był harcerzem, ochoczo zaangażował się w odbudowę stolicy – Warszawy. Jego marzeniem było przejechać się tunelem WZ, którego był wielkim entuzjastą. Tunelem tym przejechał, ale już w trumnie. Po pracy przy (od)budowie stolicy, w ramach zabawy grał w siatkówkę, a dla odpoczynku położył się na trawie spocony, pijąc chłodną wodę... i tak nabawił się zapalenia płuc. Nie było wówczas antybiotyków, które mogłyby go wyleczyć, a choroba ta, nie po raz ostatni zaważyła na losach mojej rodziny.

Mama

Moja przedwojenna mama była piękną, szczupłą blondynką o dużych niebieskich oczach. Ukończyła studia na Politechnice Gdańskiej na Wydziale Chemii Organicznej. Zawsze prymuska, laureatka olimpiad – między innymi „olimpiady łacinniczej”, za którą otrzymała pełen komplet dzieł Mickiewicza, w przepięknym wydaniu, które do dziś cieszy oko i serce.

I ta oto piękna blondynka pewnego razu stała na dworcu w Olsztynie i czekała na pociąg do Gdańska. Pociąg się spóźniał, pasażerów było dużo, spóźnienie przeciągało się do 2 godzin i ludzie zaczęli ze sobą rozmawiać (to były te czasy, że nie mogli wyciągnąć smartphone'ów, sprawdzić pocztę elektroniczną ani Facebooka). Tata „zagaił” ją wówczas, a konwersacja

okazała się na tyle ciekawa, że był niepokieszony, gdy nie dojeżdżając do Gdańska, mama wysiadła w Pasłęku. Przed wyjściem zdążyła jednak – być może nieopatrznie, a być może zalotnie – powiedzieć mu, że do Gdańska wraca następnego dnia.

Następnego dnia, tata wyszedł na wszystkie pociągi przyjeżdżające z tego kierunku, aby wypatrzeć „swoją” Krysię.

Chociaż historia ta, nie dość że prawdziwa, to jeszcze szalenie romantyczna, tata wstydził się jej niezmiernie, więc opowiadał wszystkim, że mamę poznał na Politechnice Gdańskiej, której obydwójce byli absolwentami. Chyba nie lubił pokazywać tej romantycznej części swojej natury, może według niego kłóciła się ona z byciem mocnym. Od niego nigdy nie usłyszałam tej historii. Za to kilkakrotnie opowiedziała mi ją mama, którą nie wiedzieć czemu – strasznie ona bawiła.

W Pasłęku mama odwiedziła swoją rodzinę – mieszkających tam jej rodziców i rodzeństwo. Ona była najstarsza, przysła na świat 27 marca 1939 roku. Dziadek ze strony mamy, jego bracia oraz jego ojciec, wszyscy byli kowalami. Kuźnię prowadzili w Gostyninie pod Płockiem, ale najwyraźniej nie ograniczali się wyłącznie do działalności rzemieślniczej, skoro wszyscy znaleźli się, na przygotowanych przed wojną przez późniejszych volksdeutschów listach i byli przeznaczeni do likwidacji.

Gdy wybuchła wojna, mój dziadek został zmobilizowany i opuścił swoją żonę. W kampanii wrześniowej przeżył oblężenie Modlina, opisywane niejednokrotnie jako piekło.

Babcia z moją mamą Krysią przenieśli się do Płocka i tam szukała schronienia w kościele mariawitów, gdzie zamieszkała.

Dziadka wzięto do niewoli, a w jej ramach – do pracy przymusowej. Stamtąd udało mu się jednak powrócić, ponieważ za poradą lekarza, zaczął symulować padaczkę. Trafił do Płocka, nie było już bowiem mowy, aby mógł zostać z rodziną w Gostyninie. Z czwórki braci, dwóch już nie żyło – zostali aresztowani przez hitlerowców i wywiezieni do lasu w Wólce Łąckiej, gdzie ich rozstrzelano. Starszy brat Stanisław, który wówczas uniknął rozstrzelania, został aresztowany i trafił do Auschwitz jednym z pierwszych transportów. Przeżył obóz. Mama opowiadała o nim, że był bardzo pogodnym i dobrym człowiekiem.

Dziadkowi udało się połączyć z babcią i razem zamieszkali przy kościele mariawitów. Moja babcia mieszkała przez ścianę z niemieckim telegrafistą i jego rodziną. Wychowywało się tam małe dziecko, a jego rodzice postanowili, że mały powinien uczyć się polskiego. Poprosili o to sąsiadkę – w efekcie moja babcia nauczyła się niemieckiego, a maluch radził sobie z polskim niestety dość słabo.

Znajomość ta miała jednak przynieść doraźną korzyść – gdy front i Niemcy „zwijali się” z Polski, telegrafista przekazał babci informację o tym, że wkrótce będą tu działania wojenne i nadejdzie front. Wszyscy, którzy mogli,

skryli się w piwnicy. Również moja mała mama i jej dwie młodsze siostry, w tym świeżo urodzona kilkutygodniowa Basia. W piwnicznych warunkach niedoboru wszystkiego, łącznie ze światłem i słońcem, dziecko zapadło na jakąś chorobę – być może na zapalenie płuc – i zmarło. Był to wielki cios i dla babci, i dla mojej mamy, która jako pięcioletnia dziewczynka w 1944 roku niewiele z tego wszystkiego rozumiała, poza tym, że straciła ukochaną małą siostrzyczkę. Skryci w piwnicy ludzie obawiali się o swoje życie, nie było lekarstw dla małego dziecka. Basia umarła, mając zaledwie sześć tygodni.

Nadal panował strach przed Niemcami. Mama szczególnie dobrze zapamiętała sytuację, gdy stłoczeni w piwnicy ludzie nagle zobaczyli, że otwierają się drzwi i w plamie światła, która powstała w ten sposób, stoi Niemiec z gotowym do rzucenia odbezpieczonym granatem. Zobaczył siedzących ludzi. To był moment, chwila zawahania, ale nie rzucił, zamknął za sobą drzwi i pobiegł dalej.

Czasami wracam myślą do tej sytuacji. Co nim wtedy kierowało? Co zadecydowało, że tego granatu nie rzucił? Co było takiego w twarzach tych zbitych w kupę ludzi, że mimo iż była wojna, nie unicestwił ich trzymanym w rękę granatem?

Nie wiem kto to był, ale jestem mu za to ogromnie wdzięczna.

Mama doczekała szczęśliwie końca wojny jako szczupła i wyrośnięta, jak na swój wiek sześciolatka. Poszła od razu do drugiej klasy, choć nie umiała ani czytać, ani pisać.

Po zakończeniu wojny dziadek podjął jednak decyzję o przeniesieniu się na ziemię odzyskane. Zostawił Gostynin i wyjechał – i tak cała rodzina „wyładowała” w Pasłęku. Mama uczestniczyła tam w odgruzowywaniu miasta oraz w wykopkach (zajęcia bardzo „odpowiednie” dla drobnej, wyniszczonej wojną panienki, ale wtedy nikt tak nie myślał), ukończyła szkołę podstawową i liceum.

Tam też zastała ją śmierć Stalina i łzy Ukrainki – rusycystki, która w sposób szczególny uczyła ich miłości do rosyjskiego, tropiąc swoich podopiecznych i powodując, że kilku z nich wysłano na roboty do kopalni za to tylko, że samorzutnie utworzyli drużynę harcerską, którą uznano za nielegalną organizację wywrotową. Chłopcy z dobrych domów znaleźli się w skrajnie ciężkich warunkach, z dala od bliskich.

Właśnie stamtąd mama chciała się wyrwać jak najszybciej w szeroki świat. Mimo swoich ewidentnych uzdolnień humanistycznych, zdała na studia techniczne i podjęła je na Politechnice Gdańskiej, opuszczając w ten sposób na zawsze swój rodzinny dom. Miała wówczas siedemnaście lat.

Jednak tego dnia, gdy pociąg spóźnił się z Olsztyna, odwiedziła swoją rodzinę, a gdy wracała, spotkała kogoś, z kim miała stworzyć rodzinę aż do czasu, gdy rozłączyła ich śmierć.

Ja

Moi rodzice pobrali się 17 września 1974 roku w Gdańsku. Mama miała długie blond loki i sukienkę z Mody Polskiej, w której w przyszłości miałam w szkolnym przedstawieniu zagrać Balladynę. Tata miał na sobie wiśniowy garnitur, w którym mama osobiście przeszyla piękne stębnowania. Tworzą ładną parę na zdjęciach. Zrobiono je na moło w Sopocie, gdzie po ślubie wszyscy udali się na spacer i gdzie niedaleko odbył się poczęstunek.

Po ślubie rodzice zamieszkali w Gdańsku Wrzeszczu, przy ulicy Hibnera.

Ja przyszłam na świat 10 maja 1975 roku w Olsztynie.

I tak na drodze życia moich rodziców po raz wtóry i w całkowicie dla nich niezamierzony sposób, ponownie pojawił się Olsztyn – ten sam, gdzie dwa lata wcześniej spóźnił się pociąg.

Tata zajmował się re-elektryfikacją wsi. Jeździł w teren z krokiewką i wytaczał nowe linie energetyczne. Mama była wtedy w zaawansowanej ciąży i nie chciała zostawać sama w Gdańsku. Kiedy zatem jego praca wymagała wyjazdu, i ona pojechała w tzw. „teren”. Zatrzymali się w ośrodku wypoczynkowym w Szyprach, a kiedy „wszystko się zaczęło” trafiła do najbliższego szpitala – Szpitala Wojewódzkiego w Olsztynie. Do porodu pojechała ciągnikiem. Nota bene – w późniejszym czasie spotkała kiedyś tego pana, który ją tam zawiózł i który całą tę historię zapamiętał, a ze spotkania bardzo się ucieszył.

W taki oto sposób w swoją pierwszą podróż w życiu – z Olsztyna do Gdańska – udałam się zaledwie parę dni po urodzeniu. Tata wiozł mnie nową syreną 105, którą kupił na spółkę z mamą jeszcze przed ślubem. Dostał na to specjalne zezwolenie od wojewody, w związku z pracą „w terenie” (kiedy zaczęłam studiować prawo i usłyszałam tę historię nie mogłam zrozumieć nie tego, że auta były na kartki, ale tego, jak rodzice mogli być tacy nieroztropni, aby kupować samochód bez żadnej umowy między sobą i bez zawarcia związku małżeńskiego!). Syrenka pozostała z nami aż do roku 1993.

Rok po moim urodzeniu, tata, który zawsze czuł się warszawiakiem i który za Warszawą po prostu bardzo tęsknił, podjął starania, aby zamienić mieszkania. Nie udało się to z Warszawą, ale przenieśliśmy się do odległego o 20 km od Warszawy Wołomina w 1976 r.

Oboje rodzice podjęli tu pracę – tata najpierw w Zakładzie Poszukiwań Nafty i Gazu, a następnie w Przedsiębiorstwie Elektryfikacji i Technicznej Obsługi Rolnictwa ELTOR, Mama zaś w Centralnym Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Przemysłu Stolarki Budowlanej Stolbud, popularnie zwanym „Kobrá” – od pierwszych liter nazwy – COBR. Pracowali w swoich zakładach pracy aż do emerytury, która dla żadnego z nich nie zakończyła życia zawodowego.

Tata zdobył uprawnienia rzeczoznawcy majątkowego, biegłego sądowego, zaś mama zajmowała się tłumaczeniami z rozlicznych języków, które знаła.

Czytam te skróty (COBR, ELTOR), obecne w moim życiu od dzieciństwa i sama nadziwić się nie mogę, że tak wyglądał świat!

Wołomin – to nie był dla taty szczyt marzeń, więc kiedy na świat miał przyjść mój brat, tata postanowił, że urodzi się on w Warszawie. Dopiął swego i był szczęśliwy, że ma syna warszawiaka!

Z czasem zrozumiałam, że nie byliśmy taką samą rodziną, jak wszystkie dookoła... Niby żyliśmy tak samo – w socjalizmie wszyscy mieli żyć tak samo – z tymi samymi meblami, w tym samym przedszkolu, co dzieci z sąsiednich bloków, ale jednak czułam i wiedziałam, że jest inaczej.

Nikt w mojej klasie, ani z innych znajomych mi dzieci, nie miał rodziców, którzy przeżyli wojnę.

Ja i Niemcy

Wojna nie była obecna w naszych codziennych rozmowach, choć był to czas, gdy w telewizji (czarno-białej) – przed południem można było oglądać wiele filmów wojennych. Dzieci na podwórkach nadal bawiły się w wojnę, a każde z nich potrafiło powiedzieć po niemiecku „hende choch” i „raus”, nawet jeśli nie rozumiało w ogóle, co to znaczy.

Ale od najmłodszych lat Niemcy kojarzyli mi się z wojną, z drugą wojną światową jako częścią życia mojego kraju i częścią życia moich rodziców i nigdy nie myślałam, że to się może zmienić.

Kiedy przyszłam na świat, rodzice byli już dojrzałymi ludźmi i bardzo chcieli mieć córkę. Wcielali w życie wszystkie pomysły, które wiązały się dla nich obojga z przyjściem na świat wymarzonego malucha, u mojego ojca – dotyczące sportu i zabawy, a mojej mamy – dotyczące wiedzy i kultury.

Innym dzieciom czytało się wówczas na dobranoc bajki, mama czytała mi mitologię Parandowskiego.

Inne dzieci jeździły na wieś do babci, ja z mamą – do muzeów i operetki, a z tatą – na basen i na rower.

Oboje rodzice bardzo dużo pracowali, soboty były wówczas także robocze i prawdziwe rodzinne spotkania naszej czwórki odbywały się tylko w niedzielę.

Wtedy pojawiały się rozmowy o historii. Podczas jednej z nich usłyszałam o Katyniu. Również o Jałcie, Churchillu, Sowietach.

Z perspektywy czasu wiem, że żadne z moich rodziców nie obwiniąło Niemców, ani też nie miało do nich jawnie negatywnego stosunku. W domu nie mówiło się źle o Niemcach.

Mama знаła siedem języków i bardzo szybko zapragnęła, żebym także ja zaczęła się uczyć języków obcych. Pierwszym był rosyjski. Pokazywała mi bukwy, kupiła rosyjski elementarz i kiedy szłam do piątej klasy, gdy rozpoczynała się nauka tego języka, znałam już wszystkie litery. Rosyjski był wte-

dy obowiązkowy. Ten obcy język bardzo mi się podobał, ale nie widziałam w znajomości go większego sensu – nikt przecież w okolicy, wśród dzieci czy nauczycieli, w Wołominie czy w rodzinie, po rosyjsku nie mówił, więc nauka tego języka wydawała mi się rodzajem zabawy – taka sztuka dla sztuki.

Z czasem mama wpadła też na pomysł, abym mówiła w kolejnym języku – angielskim.

Pomysł dość egzotyczny – w okolicy nikt, oprócz mojej mamy, nie mówił w obcych językach, a za granicę się przecież nie wyjeżdżało. W domu nikt nie miał paszportu.

Z nauki angielskiego nic nie wyszło, jedynie przekonałam się, że nie należy się uczyć języka obcego z własnym rodzicem.

W roku 1980 przyszedł na świat mój brat, rok wcześniej rodzice zaczęli budować dom – bliźniak, na działce ok. 300 m². W taki oto sposób zaczęli coraz bardziej wrastać w Wołomin, który początkowo dla mojego taty był tylko bazą wypadową do ukochanej Warszawy.

Lubiłam wspólne chwile z ojcem, nasze wypadki do stolicy. Wsiadaliśmy do pociągu, ojciec wyciągał gazetę i rozdzielał jej strony tak, abym ja miała część i on część. Całą drogę w pociągu czytaliśmy. Ojciec czuł się w Warszawie jak ryba w wodzie. Prowadził mnie praskimi podwórkami (gdzieś między Brzeską, Żąbkowską a Białostocką, albo Stalową czy Inżynierską) w taki sposób, że nie wiedziałam, kiedy i dlaczego nagle znajdowaliśmy się na jakimś podwórku lub klatce schodowej.

Kiedy miał do załatwienia sprawę, zabierał ze sobą małą Natalkę (czyli mnie), a ja jako kilkuletnie dziecko byłam w miejscu, w którym regularnie bywałam do dziś – w sądzie przy Alei Solidarności 58 i przy Alei Solidarności 127. Pamiętam siebie posadzoną na sądowym parapecie na jednym z korytarzy obitym ciemną boazerią.

Za to mama często zabierała mnie do operetki i opery, korzystając z tego, że zakład pracy taty miał wykupiony abonament w operze – rzecz dziś zgoła niesłychana. Mam wrażenie, że z tego abonamentu dla wszystkich pracowników Eltoru, korzystaliśmy tylko my – nigdy nie słyszałam, aby ktoś ze znajomych taty, albo z moich kolegów lub koleżanek wybierał się do opery.

W Wołominie poszłam także do liceum, w którym z kolei należało się zdecydować, jakich języków będę się dalej uczyć. Do wyboru miałam angielski i niemiecki lub angielski i rosyjski. Nie miałam wątpliwości, że chcę się uczyć nadal rosyjskiego, który dzięki temu „pozostał” ze mną po dziś dzień.

Zastanawiam się, dlaczego nie wybrałam wtedy niemieckiego. O ile prościej byłoby mi z tym właśnie dziś.

W liceum zaczęłam prowadzić drużynę harcerską. Biegając w mundurze po leśnych polanach, gdzieś jakby po drodze, z wyróżnieniem ukończyłam wołomińską szkołę i przyszedł czas wyboru przyszłej drogi życiowej.

Mama marzyła, bym została inżynierem (i to od wod-kan, brrrr...), za to tata uważał, że wybór mam prosty – medycyna albo prawo. Nie dyskutowałam z nim wówczas, miałam pełną świadomość, że do egzaminu na prawo będę musiała się mniej uczyć niż na medycynę. I tak studia prawnicze stały się faktem.

Gdy już byłam na studiach, Związek Harcerstwa Polskiego zorganizował program „Brytyjscy Partnerzy”, którego celem była wymiana harcerskiej młodzieży. Moi przyjaciele z tamtego okresu są ze mną do dziś i mieli duży wpływ na to, jak postrzegam świat. Te spotkania z 1996. i 1997 roku, to były moje pierwsze doświadczenia w poznawaniu zachodniego stylu życia. Ale moja droga na zachód jakoś wcale nie wiodła przez Niemcy, choć tak byłoby przecież najbliżej.

Moi rodzice nie skupiali się na przeżywaniu wojny, ani na nienawiści do Niemców. Swoje pojęcie o sąsiadach zza Odry kształtowałam na podstawie literatury, szczególnie lubiałam powieści historyczne.

Delikatnie rzecz ujmując, byłam w swoim podejściu do Niemiec i Niemców dosyć zachowawcza, podchodziłam do nich z dużą rezerwą. W sumie nie wiadomo dlaczego, skoro przez bardzo długi czas nie spotkałam na swej drodze żadnych Niemców osobiście i nie miałam z nimi żadnych doświadczeń.

Mówię oczywiście o moim życiu bardziej świadomym, bo pierwszy raz Niemcy w moim życiu pojawiły się wówczas, gdy moi rodzice wybrali się syrenką na wczasy do Karl – Marx – Stadt w DDR.

Miałam wtedy dwa lata i byłam całkiem „wygadany” maluchem. Mama opowiadała mi jednak, że bawiące się tam ze mną niemieckie dzieci, przyszły do niej na skargę, że ja nie umiem mówić! A ja z czasem zrozumiałam, że Niemcy byli też dla nas „niemi”, czyli nie mówiący, bo przecież mogliby długo do nas mówić w tym swoim języku i nie zostać zupełnie zrozumiani, jakby nie mówili w ogóle, jakby byli niemi. I vice versa.

W moim świadomym życiu nie miałam zatem bardzo długo żadnych kontaktów z Niemcami. No, może raz przez pół minuty. W domu w Pasłęku, który był starym poniemieckim domem, z drewnianą klatką schodową, z ubikacją na półpiętrze, bez ogrzewania, mieszkała pani Eryka. Mama powiedziała mi o niej tylko tyle, że nie opuściła Pasłęka, kiedy inni Niemcy uciekali po wojnie. Ona została. Pani Eryka nigdy nie nauczyła się mówić dobrze po polsku, zawsze była inna. Jako dziecko byłam tam z rodzicami przejazdem. Na schodach spotkałam młode, kolorowo ubrane osoby mówiące w obcym języku, które zaprosiły mnie do mieszkania Pani Eryki. Była to jej, przybyła z RFN, rodzina. Nic nie rozumiałam z tego, co mówili, ale dostałam wtedy słodczy – gumy rozpuszczalne, o których istnieniu wcześniej nie miałam pojęcia. Ci ludzie bardzo mile uśmiechali się do mnie. To mógł być rok 1981. Nic zatem dziwnego, że skoro był to czas „okolicy” stanu wojennego, to ludzie z tego innego świata z rozczerleniem patrzyli na dzieci, które nie znały podstawowych dla nich dóbr.

W swoim dorastającym życiu, czytałam, czytałam i czytałam. Po polsku, po angielsku i rosyjsku, a z czasem po hiszpańsku (tego języka zaczęłam się uczyć na studiach). Kiedy więc w 1998 roku byłam na praktyce w zagranicznej kancelarii prawniczej, która przerodziła się w moją pierwszą pracę (i to od razu w korporacji) i kiedy zaczęłam wreszcie korzystać z dobrodziejstw takiej korporacji, tzn. zyskałam możliwość zapisania się na lekcje języka obcego, poprosiłam o język niemiecki. Był jednym z dwóch do wyboru, a angielski już znałam.

W ten sposób poznałam „swojego” pierwszego Niemca w życiu. Był to mój nauczyciel Ralf, przemiły człowiek, który o sobie powiedział tylko tyle, że gdy upadał Mur Berliński, on siedział właśnie w czołgu w Szczecinie, w ramach wojsk sprzymierzonych Układu Warszawskiego. Pewnie nawet potrafił coś po polsku i to zadecydowało, że w Polsce uczył niemieckiego. Moje postępy w niemieckim wówczas nie były szczególnie satysfakcjonujące (szkoda!), a i możliwość korzystania z takich lekcji bardzo szybko się skończyła.

Po wielu latach, podczas wakacji nas Sri Lance spotkałam Niemkę. Skałałam w morzu przez wysokie fale, a ona obok mnie robiła dokładnie to samo. Dowiedziawszy się, że jestem z Warszawy, zachwycona, wykrzyknęła, że to bardzo piękne miasto, ponieważ jej tata odwiedzał je w latach siedemdziesiątych. O moim nastawieniu do Niemców z tego okresu najlepiej świadczy odpowiedź, jakiej jej wówczas udzieliłam – „Piękna to Warszawa była przed wojną, dopóki jej Niemcy totalnie nie zniszczyli”.

Ślady podobnego mojego nastawienia znalazłam też ostatnio w wywiadzie – rzece z prof. Bartoszewskim. Sięgnęłam po tę książkę na półce. W środku znalazłam szereg swoich adnotacji na marginesach i wykonanych ołówkiem podkreśleń, wskazujących – jak to dziś oceniam – na mój walczący stosunek wobec Niemców, mocno podbarwiony negatywnie.

Ale, jak napisałam na początku, nic w życiu nie jest zawsze takie samo, więc i to miało się wkrótce zmienić.

Ja i Berlin

To była miłość od pierwszego wejrzenia po sześciu latach znajomości.

I wywróciła w moim życiu dosłownie wszystko, chyba nawet sposób oddychania, nie wspominając już o odżywianiu, pojmowaniu sztuki i świata, czy widzeniu światła.

I nagle przez tę miłość, w moim życiu znalazł się również Berlin, razem z przepięknym przytulnym mieszkaniem przy Oranienstraße, z mnóstwem zaskórników i odkryć. I znaleźli się Niemcy i niemiecki.

Na Berlin patrzyłam oczami mojego Ukochanego i trudno chyba o piękniejsze różowe okulary. W brudnym i niezbyt przyjemnie pachnącym Kreuzbergu, w całym Berlinie i Brandenburgii, pokazywał mi miejsca, które mały zapachami, oszałamiały, zachwycały.

Co lubię w Berlinie?

- Mojego Ukochanego, który dziś jest moim mężem, a który posiada cudowną i niespotykaną umiejętność (a posiada ich wiele!) – potrafi pięknie żyć,
- Zieleń, a najbardziej, kiedy nad Landwehrkanal kwitną kasztanowce,
- Jeziora – bo przecież nawet nie trzeba wyjeżdżać z miasta, żeby nad jeziorem się znaleźć lub w jeziorze wykąpać (podobno w Olsztynie jest aż 10 jezior w samym mieście – i w ten oto sposób Olsztyn pojawia się w mojej opowieści po raz trzeci),
- Rower – bo wszędzie można dojechać, zrobić piknik, zatrzymać się, zadumać i odkryć nieznany, nowy kawałek świata,
- Sztukę – bo cudownie jest spontanicznie odkrywać nowe wystawy, muzykę, operę,
- Kina na świeżym powietrzu i oglądanie wśród cykających świerszczy światowych arcydzieł,
- Schowany przy Tempelhofie klub tenisowy, założony w 1848 roku, kiedy my lizaliśmy jeszcze rany w trakcie Wiosny Ludów
- I jeszcze lubię to, że jestem bezimienna, że mogę wyjść kiedy chcę i ubrana w co chcę, a miasto żyje dokoła, wciągając mnie i pociągając swoją niezwykłością.

No i lubię w Berlinie mojego Anioła. Mój Anioł ma jakieś 60 lat i czasem bołą go stawy. Ma za to piękny uśmiech, a jest aniołem, ponieważ sam z siebie potrafi dawać dobro. Nieproszony. O Aniele jeszcze opowiem.

Czego nie lubię w Berlinie?

– głośnych imprez z tłumem ludzi i mnóstwem brudu, jak np. obchody 1. Maja w dzielnicy SO36, chociaż lubię, że jest po nich bardzo szybko posprzątane;

– Ale najbardziej nie lubię tego, jak przedstawia się drugą wojnę światową. Byłam kiedyś na wystawie w Historisches Museum pokazującej sposób spenetrowania przez ideologię hitlerowską różnych warstw społeczeństwa – mundury dla nauczycieli, pielęgniarek, teorie eugeniczne. Wspólnym mianownikiem dla wszystkich eksponatów stało się to, że podpisane były, jako pochodzące od nazistów i odzwierciedlające ich przekonania. Z całej wystawy wynikało, że całe zło i cała ta skomplikowana struktura, wymyślona została przez nazistów – jakieś ufoludki, które pojawiły się na terenie dzisiejszych Niemiec w latach trzydziestych, a po czterdziestym piątym – chyba po prostu wyparowały, nie mając żadnej narodowości, nie mówiąc żadnym językiem i uwalniając te tereny znów dla Niemców. Naziści, istoty chyba w ogóle mające niewiele wspólnego z Niemcami, nie wywodzące się od nich, wstydliwie (albo wręcz skrętnie) zapomniane. Taki sposób przedstawiania rzeczywistości, jakby za wojnę odpowiadali tylko jacyś naziści, jakiś inny rodzaj człowieka, nie

odpowiada mi i na to nie godzę się! Kiedy to widzę, znów wraca wojująca z Niemcami Natalia.

Czasem mój tramwaj przyjeżdża bardzo późno. Zanim dojdzie się do domu, jest już prawie północ. Kiedyś wróciliśmy tak z moim Ukochanym i ze świadomością, że w domu nie ma nic do jedzenia, a była to sobota, więc perspektywy dostania czegokolwiek były niewesołe. Wdrapaliśmy się na trzecie piętro razem z bagażami, otworzyliśmy mieszkanie i zaczęliśmy „zasiedlać” pokoje po kolejnej dłuższej nieobecności.

Po kilku minutach domowego krzątania się, usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Nie wydawało nam się normalne, aby tak późno ktoś jeszcze mógł przyjść i czegoś chcieć. Ale pukanie się powtórzyło. Krzyś otworzył drzwi. Na progu stał Anioł – trzymał w ręku talerz, a na talerzu chleb. Uśmiechnął się szeroko i powiedział, że to dla nas, bo córka pracuje w piekarni niedaleko Kudamu i przyniosła ten chleb. Na pewno nam się przyda. Ja osłupiałam. A chleb przydał nam się, jak nigdy – w Berlinie w niedzielę sklepy są zamknięte...

Mojego Anioła widzimy głównie na schodach. Czasami taszczy ciężkie zakupy do góry i wtedy mu pomagamy. Mieszka naprzeciwko nas, na tym samym piętrze. Wtedy z tym chlebem przyszedł do nas po raz pierwszy. Pierwszy raz w ogóle, chociaż mój Ukochany mieszka tam już długo i Anioł też.

Drugi raz przyszedł do mnie całkiem niespodziewanie, w tydzień po tym, jak umarła moja mama. Anioł spotkał mnie i Ukochanego na schodach i łamanym niemieckim zapytał, czy wszystko dobrze. Nie było dobrze i to chyba było po mnie widać. Owego piątku rozległo się pukanie do drzwi i tym razem Anioł stał na progu z obiadem – na talerzu dymiące, świeżo przygotowane potrawy. Domowe. Specjalnie dla mnie, bo Anioł wiedział, że nie mam już mamy, która ugotowałaby mi obiad.

Mój Anioł mówi po niemiecku z silnym tureckim akcentem, a może ktoś mógłby powiedzieć, że w ogóle po niemiecku nie mówi. I co z tego? Ma pięcioro dzieci i 17 wnucząt. W niedzielę wszyscy przychodzą na rodzinny obiad i cały korytarz zastawiony jest obuwem w różnych rozmiarach, a wszędzie pachnie domowym jedzeniem.

Nie dziwię się mojemu Aniołowi, że chociaż mieszka w Niemczech od dziesięcioleci, nie mówi dobrze po niemiecku. Akceptuję to. Przecież ja i Anioł i tak potrafimy się porozumieć.

A niemiecki jest trudny. Kiedy zaczęłam mieć dwa domy, pojawiła się konieczność porozumiewania w tym języku, w świecie wokół domu, bo ze sobą ja i Ukochany rozmawiamy po polsku.

Chciałam się uczyć niemieckiego w Warszawie. Znalazłam native speaker (jak to jest po niemiecku?). Artur był dużo młodszy ode mnie, świeżo po studiach. Zakochał się na Erasmusie i przyjechał tutaj za swoją miłością. Jest Tadžykiem wychowanym i wykształconym w Niemczech.

Niestety, w takim rozjeżdżonym życiu nie ma miejsca na naukę.

Teraz nie uczę się wcale.

W taki oto sposób prawdziwym nauczycielem niemieckiego stał się dla mnie świat dookoła, zwłaszcza świat literatury, a szczególnie poezji.

Mój Ukochany wprowadził mnie do niemieckiego przez najpiękniejszy ogród. W ogrodzie kwitły kwiaty słów wymyślonych i spisanych przez Rilkego, Loriota, Tucholsky'ego. Kwiaty w tym ogrodzie kołysały się kusząco w rytm piosenek śpiewanych przez Maksa Raabe.

Jeszcze niedawno powiedziałabym, że nie mówię po niemiecku. Może zresztą nie mówię. Ale kocham ten język i wytwory jego kultury (gdyby mi to ktoś powiedział sześć lat temu, nie uwierzyłabym...).

I ta moja miłość zaowocowała, w odniesieniu do Rilkego, czymś takim (Cytaty niemieckie za „Rilke Projekt”, które pozwoliłam sobie przetłumaczyć):

Życia nie musisz rozumieć

*Nie musisz z życia nic rozumieć
A wtedy świętem stanie się
Niech się po prostu uda umieć
Jak dziecko w kwiatach się wyszumieć
I z woni bzu unieść
Naręcza kwiatów by je mieć*

*Aby je zbierać i przechować
Nie idzie dziecku zbytnio w smak
Po włosach sływa woń kwiatowa
Choć miło było tam się schować
Młodymi dniami rozkoszować
Ale już nowych wyzwań czas*

*Zaczęło się od posiłku
I stało się nagle święto – nie wiadomo jak
Wysokie płomienie trzepotały
Nad głosami, co ćwierkały
Zmieszane pieśni tryskały
brzęcząc ze szkła i odbłyśków
i wreszcie z dojrzałych tak w takt zmysłów
Zaczął się taniec*

*I wszystkich z sobą porwał
 Jak bicie fal
 o ściany sal
 by dać się spotkać i dać się wybrać
 dać się pożegnać i znowu się spotkać
 i cieszyć blaskiem i gasnącym światłem
 tak się kołysać w rytm letniego wiatru
 z sukien kobiecych i dźwięczących taktów*

*Wprost z ciemnego wina i tysięcy róż
 Płynie szemrząc godzina
 wprost do sennych zórz*

Pożegnania

*Gdzieś daleko kwitnie kwiat rozstań
 Rozsiewa nieustannie pyłek
 Który wdychamy
 I tak wraz z nadchodzącym wiatrem
 wnika w nas
 Pożeganie*

Kocham Berlin.

Mam tu przyjaciół, mam też niemiecką przyjaciółkę w Warszawie.

Rozmawiamy trochę po polsku, trochę po niemiecku.

Nigdy bym nie pomyślała, że mogę pokochać Niemcy.

A tak się stało.

Moje wyśnione i wymarzone miejsce jest w Bawarii, nad jeziorem Starnberger See, gdzie w jeziorze odbija się śnieg Alp, a w wieczornej mgle tulą się odległe światła.

Morał

Życie jest tu i teraz.

Trzeba żyć tą chwilą, która jest obecnie. Bo ona służy do tego, aby stwarzać przyszłość.

Kto żyje przeszłością, traci zarówno teraźniejszość, bo jej nie przeżywa, jak i swoją szansę na przyszłość, bo nie miał jej kiedy stworzyć.

I trzeba mieć oczy i uszy otwarte, bo to ważne dzieje się JUŻ.

Epilog

To ja – stoję na peronie, mam na czerwonej smyczy psa, na plecach plecak, a na ramieniu żółtą torbę. Zaraz przyjedzie mój tramwaj, jest sierpień 2014 roku, niedziela, tramwaj zapchany, w wakacje wielu ludzi jeździ do B, jak mówię dziś na to moje miasto, i wraca ostatnim pociągiem. Miejsce wypada mi w środku, pomiędzy dwójką ludzi. Upraszam psa, aby położył się pod ławką i pociąg rusza.

Jeszcze uronię parę łez za moim Ukochanym, aż wreszcie mój sąsiad od okna, ten z lewej, zagadnie mnie o psa. Że grzeczny.

I powie, że właśnie wraca z wyprawy do Saksonii. Opowie parę słów o OST WEST FORUM.

I że zazwyczaj, jak jedzie pociągiem, to z nikim nie rozmawia.

Bardzo sympatycznie przegadaliśmy znaczną część drogi.

Tym sąsiadem był profesor Karol Czejarek.

Jestem mu wdzięczna, że mogłam napisać ten artykuł, bowiem dzięki temu – dotarłam do kolegi ojca z gimnazjum Wolframa oraz Baszty, z powstania warszawskiego, Pana Mieczysława Chackiewicza, który mieszka w Rzeszowie. Pojechałam tam do niego. Wspaniały człowiek, choć też doświadczony wojną i okupacją. Jesteśmy w kontakcie. Polubiliśmy się. Właśnie skończył 90 lat.

A co Polacy i Niemcy powinni naprawić? Uważam, że to Polacy powinni naprawić stosunki między sobą, sami uszanować wersje historyczne i role, które pełnili. Wtedy nie będzie kłopotów z obwinianiem kogokolwiek za historię, a bieżące stosunki z innymi narodami się ułożą. Także z moimi ulubionymi Niemcami.

AGNIESZKA OZDARSKA

Z moich doświadczeń z Niemcami

Nazywam się Agnieszka Ozdarska. Urodziłam się 22 października 1979 roku w Żaganiu, małym miasteczku na zachodzie Polski. Jest ono położone w połowie drogi między miastami Cottbus i Wrocław, leży około 100 metrów nad poziomem morza, 40 km od granicy polsko-niemieckiej i 100 km od granicy polsko-czeskiej. Architektonicznie Żagań jest bardzo podobny do wielu niemieckich miasteczek, można spotkać tam grupy niemieckich turystów. Dorastałam w Żaganiu i jestem z tego bardzo dumna. Mieszkalam tam do osiemnastego roku życia.

W roku 2004 obroniłam na Uniwersytecie w Zielonej Górze pracę magisterską zatytułowaną: „Motyw samotności i strachu w życiu i prozie Franza Kafki”. Moją drogę zawodową rozpoczęłam trochę wcześniej, w roku 2001. Na początku zostałam zatrudniona w niemieckiej firmie w Nowej Koperni, która zajmowała się recyklingiem odpadów drzewnych. Po trzech miesiącach zmieniłam miejsce pracy. Od tego czasu pracuję jako nauczycielka języka niemieckiego.

Należę do pokolenia, które historię Polski i Niemiec odkryło dzięki swoim dziadkom. Naturalnie miałam do dyspozycji również wiele książek, ale to opowiadania moich dziadków były najbardziej interesujące. To właśnie oni pokazali mi „wady i zalety” stosunków polsko-niemieckich. Babcia ze strony mamy zawsze mówiła, że podczas drugiej wojny światowej doświadczyła wiele dobrego ze strony Niemców. Byli oni z pewnością bardziej przyjaźni niż Rosjanie. Doświadczenia te zbierała już jako młoda, piętnastoletnia dziewczyna. Uczyła się wtedy w szkole w Przemyślu. Pierwszego września 1939 roku miała rozpocząć naukę w trzeciej klasie gimnazjum. Wyruszyła w drogę do Przemyśla, na dworcach panował ogromny chaos. Gdy udało jej się dotrzeć na miejsce, zastała ją tam wojna. Przemyśl został podzielo-

ny na dwie części, których granice stanowiła rzeka San. Południową zajęli Rosjanie. Północna należała do Niemców. Szkoła, do której uczęszczała babcia, znajdowała się po stronie rosyjskiej. Uczniowie tej szkoły zostali przepędzeni, a budynek zajęty, więc kontynuowanie nauki było niemożliwe. Następne tygodnie babcia spędziła z siostrami, a w międzyczasie starała się o przepustkę, aby przedostać się na stronę niemiecką. Chciała koniecznie pojechać do domu, do Krajna, by przekonać się, czy wszyscy z jej rodziny żyją. Nie było to proste, ponieważ chętnych na taki wyjazd było mnóstwo. Próbowala bardzo często, aż jeden dzień okazał się być tym szczęśliwym. Rano weszła do budynku, gdzie Komisja Niemiecka wydawała zezwolenia i znowu ujrzała tłum ludzi. Zaczęła płakać, ale nie myśląc długo, zdobyła się na odwagę, podeszła do niemieckiego oficera i powiedziała po niemiecku, że chce dostać się do domu, tu jest sama i nie wie, co się stało z jej rodziną. Po chwili wyjęła legitymację z nazwiskiem Ginter. Gdy niemiecki oficer zobaczył to nazwisko, wziął babcię pod rękę i zaprowadził na poczekalnię. Powiedział, że wszystko załatwi i kazał czekać. Całą tę sytuację obserwował rosyjski żołnierz, który natychmiast wyprowadził babcię na zewnątrz. ale po chwili ponownie pojawił się niemiecki żołnierz i przekazał jej przepustkę na drugą stronę rzeki. To pierwsze miłe wspomnienie związane z Niemcami.

Po drugiej stronie rzeki każdy musiał przejść kwarantannę, trwała ona około dwóch tygodni. Na ten czas moja babcia trafiła do siostr Benedyktynek, gdzie poznała bardzo miłą rodzinę z córkami. Pewnego dnia zjawił się jakiś mężczyzna i poinformował wszystkich, że jutro w Żurawicy oddalonej od Przemyśla o 7 kilometrów, o godzinie 9.00 będzie podstawiony pociąg do Krakowa. Jeśli ktoś jedzie w tamtą stronę, musi to zrobić we własnym zakresie. Nie było to łatwe, panował wtedy silny mróz. Na dworcu w Żurawicy nadal panował nieopisany chaos i nie można było kupić biletu. W pewnym momencie zrezygnowana usiadła na ławce, żeby odpocząć. Poczula, że zasypia, kiedy nagle podszedł do niej Niemiec, zaprowadził ją do pociągu i kazał czekać. Po chwili wrócił z biletem. Dzięki niemu dotarła do Kielc, a potem do Krajna, gdzie znajdował się jej rodzinny dom.

Następne pozytywne wspomnienia związane są z rokiem 1944, gdy Niemcy zatrzymali się na linii Wisły i zajmowali domy oraz majątki Polaków w okolicy Krajna. Był okres Bożego Narodzenia, kiedy w rodzinnym domu mojej babci zakwaterowano ośmiu niemieckich oficerów. Dom był dość duży, zadbane i składał się z dwóch większych izb, więc rodzinie babci pozwolono zostać w jednej z nich. Niemcy przynieśli słomę do izby, w której mieszkali i po swojemu urządzili się w niej. Byli zachwyceni, ponieważ był to czas świąteczny, a moja prababcia bardzo dobrze gotowała i chętnie częstowała ich każdą potrawą. Atmosfera w domu była smutna, ponieważ ojciec mojej babci został zatrzymany i nie było go w domu. Niemieccy żołnierze próbowali rozweselić babcię i nawet przystroili choinkę pierniczkami. Byli naprawdę mili i kulturalni.

Pewnego dnia, gdy Komisja sprawdzała warunki zakwaterowania niemieckiej armii, żołnierze ci robili wszystko, aby móc zostać w domu rodzinnym babci. Nawet na czas kontroli przenieśli piec z sąsiedniej izby, a potem go zwrócili.

Było jeszcze jedno zdarzenie, które znacząco wpłynęło na moje pozytywne nastawienie do Niemców. Znam je również z opowiadań mojej babci. Był 4 czerwca 1943 roku; dzień, w którym mój dziadek Tadeusz miał być rozstrzelany. Była noc, moja babcia w ciąży, kiedy Niemcy po raz kolejny zapukali do drzwi moich dziadków. Babcia starała się zachować spokój. Kazali dziadkowi ubrać się i pójść przed budynek szkoły. Byli już tam inni mężczyźni, razem jedenastu. W międzyczasie pukali również do innych domów. Ludzie wiedzieli dobrze, co oznacza ta wizyta, niektórzy próbowali uciekać, ale wtedy najczęściej ginęli od razu. Przed budynkiem szkoły rozstrzelano jeszcze „tylko” dwóch mężczyzn. Uwolniono dziewczęciu, a wśród nich uratował się mój dziadek.

4 czerwca 1993 roku odbywały się w Krajinie, w tym samym miejscu, uroczystości upamiętniające te tragiczne wydarzenia. Dziadek pojechał tam razem z babcią. Bardzo chciał zobaczyć swoich kolegów spod muru i spotkać się z nimi. Było to jednak dla niego zbyt wielkie przeżycie i tego samego dnia zmarł. Było to równo 50 lat po tych wszystkich wydarzeniach.

Jako dziecko starałam się koncentrować tylko na pozytywnych stronach w kontaktach polsko-niemieckich.

Moja przygoda z Niemcami miała swój początek, gdy skończyłam szesnaście lat. Pierwszy raz pojechałam na wymianę uczniowską do Niemiec, do Cottbus. Nie zapamiętałam dobrze tego wyjazdu, ale to co utkwilo w mojej pamięci – to fakt, że mieszkalam na obrzeżach miasta, w pięknym domu u bardzo miłej dziewczyny. Jej cała rodzina była bardzo przyjazna i chciała ze mną rozmawiać tylko po rosyjsku. Byli przekonani, że w polskich szkołach nauczają się tylko języka rosyjskiego. Wokół domu było bardzo dużo zieleni, a w domu zawsze pięknie pachniało. Zapach ten „pochodził” ze środków piorących, które wtedy nie były dostępne w Polsce. Podczas tamtego pobytu miałam okazję po raz pierwszy zobaczyć film *Men in Black*. Ogromne kino mieściło się w centrum handlowym. Było to dla mnie duże przeżycie, ponieważ w Żaganiu i w okolicy nie mieliśmy ani kina, ani dużego centrum handlowego. Nie byłam też przyzwyczajona, aby wszystkie zakupy robić pod jednym dachem. W Polsce mieliśmy wiele małych sklepików w okolicy, ale nie tak dużo pieniędzy. W czasie tego pobytu zdarzyła się tylko jedna kłopotliwa dla mnie sytuacja. Drugiego dnia chciałam się wykąpać. Poszłam do łazienki, a tam okazało się, że jest tylko zimna woda. Natychmiast poinformowałam o tym rodzinę, a oni odpowiedzieli, że tylko raz w tygodniu podgrzewają wodę i do końca mojej wizyty muszę korzystać z zimnej. To było moje pierwsze niezbyt miłe doświadczenie, ale takie, które nie miało negatywnego wpływu na moje dalsze stosunki z tą właśnie rodziną. Bardzo długo korespondowaliśmy ze sobą.

Czas, gdy uczęszczałam do szkoły średniej, był dla moich rodziców trudny. Choć obydwoje pracowali, nie mogli pozwolić sobie na wiele rzeczy. Szczególnie przeżywali to, że z powodu braku pieniędzy musieli rezygnować z wyjazdów wakacyjnych: mego i mego siostry. Wtedy właśnie wpadli na pewien pomysł i znaleźli inne rozwiązanie, abym razem z siostrą mogła rozsądnie spędzić letnie ferie. Nawiązali kontakt z nauczycielem z małej miejscowości nieopodal Żagania, który organizował wyjazdy zagraniczne do Niemiec dla młodzieży, w ramach akcji: „Polskie uczennice pomagają kobietom na wsi”. W ten sposób czternaście dziewczyn z Polski, a wśród nich i ja, mogłyśmy spędzić wakacje w okolicach Münster. W organizacji tych letnich spotkań od kilku lat pośredniczył ruch katolicki z biskupstwa Münster. Ja i pozostałe trzynaście dziewcząt pomagałyśmy na wsi zarówno w ogrodzie, jak i przy opiece nad dziećmi. Dla mnie był to pierwszy pobyt na zachodzie Niemiec. Wszystko było dla mnie inne niż w Polsce. Domy i ulice były pięknie zadbane, dookoła było dużo zieleni. Zaskakujące były dla mnie relacje międzysąsiedzkie, które wówczas w Niemczech bardzo pielęgnowano. Bardzo się temu dziwiłam, ale podobało mi się. Zawsze, gdy jeździłam rowerem na zakupy do miasta, wszyscy sąsiedzi serdecznie mnie pozdrawiali. To właśnie te serdeczne kontakty dodawały mi wtedy wiele odwagi, ponieważ był to dla mnie bardzo trudny czas. Znalazłam się w miejscu oddalonym od domu o prawie 900 kilometrów, a w okolicy 60 kilometrów nie było żadnej z trzynastu dziewcząt, które razem ze mną przyjechały z Polski. Moje umiejętności językowe były zbyt słabe i musiałam nosić przy sobie cały czas słownik. Rodzina, u której mieszkałam, była dla mnie bardzo miła i chciała mi pomóc ale ja cały pierwszy tydzień przeplakałam. Pocieszali mnie jak mogli, o każdej porze mogłam zadzwonić do moich rodziców. Gdyby posiadali wtedy samochód, z pewnością wróciłabym do domu. Na szczęście przetrwałam to.

W gospodarstwie musiałam wykonywać dość dużo zadań. Należało do nich m.in. prasowanie i maglowanie. To było... jedno z moich ulubionych zajęć. Mogłam w specjalnie urządzonym do tych czynności pokoju włączyć sobie głośno radio, nikogo nie słyszałam i miałam spokój. Ale tu przypomina mi się pewna sytuacja, która była dla mnie trochę dziwna i krępująca. Któregoś dnia prasowałam, tak jak zawsze stertę różnych ubrań. W kieszeni dziecięcych spodni coś znalazłam. To była duża suma pieniędzy. Nie myśląc zbyt długo, poinformowałam o tym Heinricha i Elizabeth (właściciele domu), natychmiast oddając im pieniądze. Ale na ich twarzach nie zauważyłam żadnego zdziwienia. Wówczas pomyślałam, że nie darzą mnie zbyt dużym zaufaniem. Czułam się i dziwnie, i źle. Dziś wiem, że chcieli wtedy wiedzieć, z kim mają do czynienia. W Niemczech w tym okresie było jeszcze wiele stereotypowych uprzedzeń do Polaków.

W domu Heinricha i Elizabeth było osiem osób, w tym czwórka dzieci. Musiałam sprzątać i przygotowywać śniadania. Bardzo wcześnie wstawałam

i piekłam świeży chleb, który w Niemczech był dużo droższy niż w Polsce. Prace w ogrodzie również należały do moich obowiązków. W chlewni musiałam umyć 109 okien. Na szczęście były małe. Po tygodniu zaczęłam przygotowywać również obiady. Zawsze gdy jedliśmy obiad, dzwonił do mnie ktoś z Polski. To nie było miłe, ponieważ kiedy wracałam do stołu, wszystko było już zjedzone. Po krótkim czasie zorientowałam się, co powinnam robić, więc już podczas przygotowań posiłków starałam się coś przekąsić. Z biegiem czasu zrozumiałam, że rodzina chciała traktować mnie normalnie, a nie jak specjalnego gościa i tak właśnie było. Ale u nas w Polsce taka sytuacja nie zdarzyłaby się na pewno.

Po moim przyjeździe, podobnie jak inne dzieci w domu, otrzymałam miesięczny karnet wstępu na basen. Popołudniami, kiedy miałam wolne, mogłam się tam naprawdę odprężyć. Ale muszę tu również zaznaczyć, że w mojej głowie kłębiły się myśli: po co ci ludzie zatrudniają dziewczynę z Polski, aby wykonać te wszystkie prace domowe? Przecież mają czwórkę dzieci, które mogłyby pomóc im, tak samo jak ja. Czasami czułam się wykorzystywana. Podczas, gdy ja wykonywałam wiele obowiązków domowych, dzieci miały wolne, a byliśmy prawie w równym wieku. Czasami było mi trudno się z tym pogodzić.

W Niemczech wiele rzeczy było dla mnie zupełnie nowych. Przede wszystkim to, że moja rodzina u której gościłam cały miesiąc, świetnie organizowała sobie czas wolny. Zawsze mieli jakiś ciekawy pomysł, aby się nie nudzić. Przed podróżą do Niemiec myślałam, że większość czasu spędzę z rodziną w domu, ale nie zawsze tak było. Często graliśmy w golfa albo w kręgle, jeździliśmy 30 kilometrów na lody. W weekend zawsze było jakieś święto, na przykład: święto ulicy albo urodziny któregoś z członków rodziny. To, że mogłam poznawać nowych ludzi, nową kulturę i ciągle doskonalić moje umiejętności językowe, a przy tym spędzać tak miło czas, było dla mnie fascynujące. Pewnego razu poznałam mężczyznę, który był dyrektorem banku. Był tak miły, że zaproponował mi, abym odbyła praktykę w banku w Ochtrup. Nie przyjęłam tej propozycji, ponieważ wiedziałam, że z „moim niemieckim” nie poradzę sobie. Podczas tych spotkań największe wrażenie zrobili na mnie ludzie z najbliższej okolicy, którzy byli bardzo otwarci i kontaktowi. Chociaż byłam Polką, nigdy nie dali mi odczuć, że mają „coś” przeciwko Polakom.

Z biegiem dni odkrywałam u naszych sąsiadów coraz więcej pozytywnych stron. Czasami wszyscy jeździliśmy do Holandii. Rodzina, u której mieszkalam, traktowała mnie wówczas jak własne dziecko. Raz zaproponowali swoim dzieciom i mnie, że możemy sobie kupić, co chcemy i dostaliśmy na to dość dużo pieniędzy. To było bardzo miłe. Natychmiast zapomniałam o mojej tęsknocie za Polską i świetnie się bawiłam. Innym razem pojechaliśmy na coś w rodzaju wystawy kwiatów. Znajdowała się ona w okolicy miasta Ochtrup. Takie inicjatywy wpływają w Niemczech na jakość życia

i klimat między ludźmi. Byłam bardzo zdziwiona, że tak wielu Niemców jest zainteresowanych ekologią. U nas w Polsce nie był to główny temat rozmów. W tym czasie ukazał się o mnie artykuł w lokalnej gazecie. Wielu ludzi z okolicy rozpoznało mnie podczas tej imprezy i chcieli ze mną rozmawiać. Przed wywiadem rodzina, u której mieszkałam, była bardzo niespokojna i ciągle mnie wypytywała, co powiem o nich dziennikarzowi. Ale wówczas przez moje słabe umiejętności posługiwania się językiem niemieckim nie mogłam w pełni wyrazić tego, co czułam i bardzo się z tego cieszę, ponieważ z perspektywy wielu lat wszystko wygląda inaczej.

Pod koniec sierpnia ferie w Polsce miały się ku końcowi. Musiałam wrócić do domu i dobrze przygotować się do egzaminów maturalnych. Pobyt w Niemczech pomógł mi wybrać kierunek studiów, czyli język niemiecki. Jestem pewna, że akcja „Polskie uczennice pomagają kobietom na wsi” w dużym stopniu przyczyniła się do pogłębienia porozumienia polsko-niemieckiego. W akcji tej brały udział młode dziewczyny, dla których kontakty z Niemcami nie były zbyt mocno skomplikowane. Wszystkie koleżanki, które wracały ze mną do Polski, chciały przeżyć taką przygodę jeszcze raz. Chciałyśmy tworzyć nową i lepszą przyszłość bez uprzedzeń.

Germanistykę studiowałam przez pięć lat i był to dla mnie najpiękniejszy okres mojego życia. W tym czasie wiele razy wyjeżdżałam do Niemiec. Podczas studiów odbyłam dwutygodniową praktykę w gimnazjum Alexandra Humboldta w Bawarii, w mieście Schweinfurt. Mieszkałam w domu Reinholda Jordana – nauczyciela geografii. Praktykę tę zorganizował mój wykładowca literatury, który wcześniej pracował w tym gimnazjum jako nauczyciel. Był to człowiek, który pomagał ludziom na całym świecie. Najpierw był z całą rodziną w Afryce. Po wielu latach dotarł do Polski i pokazał młodym ludziom na mojej uczelni, że stosunki polsko-niemieckie nie muszą być skomplikowane. Trzeba tylko tego chcieć. Do dziś stawiam go sobie za przykład.

Dziś sama pracuję jako nauczycielka i mam coraz częściej możliwość dokładnego obserwowania relacji pomiędzy młodymi ludźmi. Nie myślą oni zbyt wiele o przeszłości. Dobrze się rozumieją. Mają ze sobą dużo wspólnego i lubią przebywać razem. Młodzież obydwu krajów jest z pewnością na właściwej drodze do normalności...

CHRISTIAN PFEIFFER

Moje życie zaczęło się nad niemiecko-polską granicą

1. Dzieciństwo znaczone doświadczeniami z dwóch ucieczek

Urodziłem się w lutym 1944 roku, jako czwarte dziecko chłopskiego małżeństwa Anneliese i Kurta Pfeiffera w Biegen, w pobliżu Frankfurtu nad Odrą (Frankfurt/Oder). Nasze gospodarstwo od roku 1648 należało do rodziny mojej matki. Znamy tę dokładną datę, gdyż w księdze kościelnej, właśnie wtedy zapisano ślub mojej pra-pra-prababci. Mój ojciec także wychował się w gospodarstwie rolnym, które leżało po dzisiejszej polskiej stronie Frankfurtu nad Odrą. Do mojej najbliższej rodziny należała też, odkąd pamiętam – Dora Mudrack – siostra mamy.

Moje dzieciństwo do listopada 1944 r. przebiegało jeszcze bardzo spokojnie i „pokojowo”. Zawdzięczaliśmy to (ja, moja siostra i dwaj bracia) m.in. temu, że na naszym gospodarstwie tworzyliśmy zgodnie współpracującą ze sobą społeczność z zatrudnionymi u nas Polakami. Byli to czterej jeńcy wojenni, skierowani do nas do pracy – zgodnie z zarządzeniem władz niemieckich – gdyż w czasie wojny brakowało w rolnictwie „niemieckich” – męskich przede wszystkim – rąk do pracy.

Między moją matką, a tymi bardzo pracowitymi mężczyznami, wytworzyła się w czasie ich pobytu u nas bardzo dobra współpraca i atmosfera. W związku z czym mama zaproponowała przyjazd na gospodarstwo ich żonom i dzieciom, co zapewniało całym rodzinom bezpieczeństwo i dobre wyżywienie. Trzech spośród czwórki mężczyzn przyjęło tę propozycję, w wyniku czego – jako dzieci – byliśmy przez te rodziny bardzo rozpieszczani. Widocznie chciały w ten sposób okazać swoją wdzięczność, że w środku wojny mogli żyć – w zgodzie z Niemcami – w jednym gospodarstwie.

Ten „pokojuowy” nastrój trwał, jak już wspomniałem, mniej więcej do końca 1944 roku. Wtedy to coraz większe rzesze niemieckich uciekinierów ze Wschodu dowodziło, że rosyjskie oddziały znajdowały się coraz bliżej. W Biegen czuło się to wyraźnie poprzez bliskość autostrady Frankfurt/Oder – Berlin, która przebiegała niedaleko naszej wsi, a którą „przewalała” się rzeka ludzi. Według relacji tych uciekinierów – sowieckie wojska miały przekroczyć Odrę – w marszu na Niemcy – najdalej za dwa, trzy miesiące. Stąd matka postanowiła udać się z nami do rodziny w pobliżu Brunshwiku (Braunschweigu), konkretnie do Schöppenstedt, gdzie jej bliscy krewni mieli również duże gospodarstwo rolne. „Ucieczka” pociąganiem nie wchodziła w rachubę, gdyż wolno było zabrać ze sobą bardzo ograniczoną ilość bagaży, stąd wykorzystaliśmy w tym celu dwa nasze najlepsze konie, które miały zostać zaprzężone do specjalnie do tego celu przebudowanej dużej furmanki.

Lecz nim jeszcze udaliśmy się w tę podróż, dotarła do nas w połowie grudnia 1944 r. straszna wiadomość, że nasz ojciec, który w tym czasie był kapitanem i dowódcą batalionu na froncie w Rumunii, został ciężko zraniony przez granat. Wtedy mama podjęła natychmiast decyzję o odwiedzeniu go – w czasie świąt Bożego Narodzenia – w szpitalu na Śląsku. I dopiero po jej powrocie mieliśmy udać się do Schöppenstedt. To wszystko uzgodniła z niejakim Kowalczykiem, który „szefował” polskim robotnikom pracującym w naszym gospodarstwie. Mieszkał on i pracował u nas razem ze swoim piętnastoletnim synem. Matka właśnie jemu zleciła przygotowanie naszej ucieczki i uzgodniła z nim także, jak i z innymi pracującymi u nas Polakami, że będą mogli, po naszym wyjeździe sami rozstrzygnąć, dokąd chcą się schronić przed Rosjanami. Kowalczyk natychmiast wziął się do pracy i z pomocą dużego dywanu z naszego pokoju stołowego zrobił plandekę nad furmanką i wyposażył ją we wszystkie niezbędne do podróży rzeczy (miejsca do spania, zapasy żywności, także dla koni itd. itp.).

Ale mama nie wróciła od razu do nas z wyjazdu na Śląsk do ojca. W szpitalu zaraziła się błonicą. Ponieważ brakowało leków, przez jakiś czas walczyła ze śmiercią i długo jeszcze nie była w stanie podjąć podróży powrotnej. A tymczasem Rosjanie byli coraz bliżej Frankfurtu nad Odrą. Wtedy ciocia Dora z panem Kowalczykiem, nie czekając na powrót naszej mamy, zdecydowali zawieźć nas, czyli czwórkę dzieci – do Schöppenstedt. W połowie stycznia zatem 1945 r. rozpoczęła się nasza – wtedy już wówczas niebezpieczna – i ekstremalnie trudna ucieczka. W wozie jechali pan Kowalczyk, jego 15-letni syn, nasza ciocia i my – czyli czwórka dzieci i jeszcze jakaś starsza nasza krewna. Nie pamiętam z tej „podróży” żadnych bliższych szczegółów, gdyż miałem wtedy dopiero 11 miesięcy. Co jednak miało i swoje zalety, gdyż kobiety w mijanych po drodze wsiach, widząc inną kobietę z małym dzieckiem na rękach, chętniej dawały nam mleko i chleb, a często także nocleg w swoim domu lub w stajni, bądź w stodole. Podobno noce tej zimy były bardzo chłodne.

Gdy po trzech tygodniach dotarliśmy do Schöppenstedt, okazało się, że była tam już nasza mama. Dojechała na miejsce pociągiem, będąc przekonana, że Kowalczyk wspólnie ze swoim synem i naszą ciocią, na pewno bezpiecznie przeprowadzą tę ucieczkę. Panu Kowalczykowi i jego synowi, za ich duże oddanie i pomoc, podziękować mogliśmy jedynie dwoma rowkami i dwoma plecakami wyładowanymi żywnością. W lutym 1945 r. oboje udali się w długą drogę powrotną do Polski. Niedługo po ich wyjeździe, przyjechał do nas ojciec – o kulach, z jedną sztywną nogą, załamany rezultatem wojny i swoim kalectwem. Ale ważniejsze było, że wspólnie i bezpiecznie doczekaliśmy się jej końca i znów byliśmy razem.

Rok później moi rodzice, także ciocia Dora i czwórka dzieci, wróciliśmy do naszego gospodarstwa, które znajdowało się teraz w sowieckiej strefie okupacyjnej. Minęły cztery lata, nim zniszczone budynki zostały odrestaurowane i gospodarka wróciła „mniej więcej” do poprzedniego stanu. My, dzieci wspominamy ten czas dobrze, gdyż w zniszczonych zabudowaniach wspólnie z dziećmi naszych sąsiadów, mogliśmy wymyślać sobie różne zabawy, a zwłaszcza „gry w wojnę” i do woli korzystać z otaczających wieś lasów. Ja miałem tę przewagę, że jako najmłodszy z rodzeństwa byłem przez wszystkich najbardziej hołubiony i mogłem też do woli siedzieć na kolanach mamy albo cioci Dory. Lubilem się przytulać, aż pewnego dnia – czego nigdy nie zapomnę – jedna z sąsiadek z przekąsem powiedziała do mamy: „żeby ośmiolatek bez przerwy siedział na kolanach, to chyba przesada, która do niczego dobrego nie doprowadzi”. I nie zapomniałem do dziś, co moja mama odpowiedziała jej na to: „Gdybym go przekupywała prezentami, to byłoby to może niewłaściwe, ale okazywanie w ten sposób dziecku miłości, to chyba nic złego. A miłości nigdy nie jest dość. Może później, gdy już dorośnie, będzie także obdarowywał nią innych?!”. Ale ta uwaga sąsiadki zawstydziła mnie na tyle, że wyrwałem się wtedy z objęć matki i uciekłem z pokoju.

Miałem także szczęście do swego rodzeństwa. Jako najmłodszemu, pozwalali mi praktycznie na wszystko i byli zawsze dla mnie bardzo mili. A gdy czasami wybuchła między nam jakaś awantura, w obronę brał mnie zawsze Ulli, najstarszy z braci. Również na Ginę, swoją siostrę, nie mogę powiedzieć w zasadzie złego słowa. Była mi w wielu sytuacjach zawsze bardzo pomocna. Choć płakała z byle powodu, wtedy ojciec przedrzeźniał ją, a ona rozplakiwała się jeszcze bardziej. Miałem to często za złe ojcu, choć w zasadzie był człowiekiem bardzo sprawiedliwym i dobrym dla nas. Mój brat Jochen, trzeci w kolejności z naszego rodzeństwa, zawsze był troszkę zawadiaką. Gdy bił się z innymi, musiałem trzymać jego okulary. Ja sam raczej unikałem bójek. Pewnego dnia zostałem za to ukarany policzkiem przez Jochena. Natychmiast Ulli stanął w mojej obronie, wołając przy tym ojca, który z kolei ukarał za to „policzkiem”... Ulliego. Ale to był wyjątek. W zasadzie rodzice nie bili nas i nie karali za byle co. Ja tylko raz – jak sobie przypominam – dostałem porządne lanie, ale o tym później.

Z czasu spędzonego w Biegen, w pamięci pozostały mi dwie niebezpieczne historie.

Zimą lubiliśmy zjeżdżać na sankach z górki „na brzuchu”, z głową wychyloną do przodu, aż na zamrożone jezioro w pobliżu naszej wioski. Kto najdalej wyjeżdżał – zostawał zwycięzcą. Mnie udało się raz dojechać aż do dużej dziury wyrąbanej w tafli zamrożonego jeziora, pewnie po to, aby ryby dostawały powietrze. Oczywiście nie zdążyłem wyhamować i wpadłem do tej przerębli, znikając na moment pod lodem. Na szczęście uratowały mnie grające w hokeja dzieci, które wyciągnęły mnie z wody.

Zdarzało się, że zimą w NRD często pod wieczór wyłączano prąd. Przez godzinę, albo i dłużej musiała wtedy wystarczyć w domach świeczka. A ja miałem wtedy (jako sześciolatek) ostry zakaz zapalania czegokolwiek w swoim pokoju. Ale któregoś wieczoru złamałem ten zakaz i włożyłem zapaloną świeczkę do papierowej lampki wyciętej z książki z bajkami. Zrobiłem to na tyle nieostrożnie, że zapalił mi się rękaw popelinowej koszuli nocnej, którą miałem już na sobie. Próbowalem ugasić płomień, ale dmuchając, jeszcze bardziej wzniecałem płomień. Na szczęście zauważył to jeden z naszych pracowników i podniósł alarm. Mój ojciec wpadł do pokoju i gołymi rękami ugasił pożar. Po tym wydarzeniu trzeba było sprzedać kilka kaczek, by kupić ojcu za uzyskane pieniądze (i to aż w Zachodnim Berlinie), skuteczne lekarstwo na oparzenia.

Lecz po tych wydarzeniach, nagle skończyło się moje „szczęśliwe” dzieciństwo. Mój ojciec, wraz z innymi rolnikami – jak się zorientowałem – zaprotestował przeciwko planowanej przez władze kolektywizacji wsi i nie chciał przystąpić do mającej powstać spółdzielni rolnej (LPG, tak się w skrócie w NRD nazywały). Z tego powodu ukarano też mojego najstarszego brata; mimo uzyskanych bardzo dobrych wyników w nauce – nie przyjęto go do gimnazjum. Gdy policja jeszcze zagroziła ojcu więzieniem, jeśli dalej będzie sprzeciwiał się programowi SED, rodzice zdecydowali, oczywiście z ciotką Dorą – o ucieczce z NRD.

Nastąpiło to 23 października 1952 roku.

Tego dnia pan Schulz, rolnik który od czasu zakończenia wojny pracował w naszym gospodarstwie po ucieczce ze Śląska, odwiózł mnie i ojca, bryczką zaprzęzoną w dwa konie, na dworzec w Jakobsdorf. Ojciec był ubrany w swój najlepszy garnitur, co było dla mnie wielkim zaskoczeniem. Przed dworcem ojciec i pan Schulz padli sobie w ramiona, a żegnając się, mieli łzy w oczach. Gdy zapytałem ojca, dlaczego płacze, odpowiedział, że z powodu muszki, która mu wpadła do oka. Dopiero gdy dotarliśmy do Berlina, powiedział mi prawdę. Tego samego dnia przybyła do Berlina także moja mama z częścią rodzeństwa, zaś pozostała część dojechała z ciotką Dorą. Dla bezpieczeństwa jechaliśmy do Berlina bez bagaży i to trzema oddzielnymi pociągami, a stamtąd już razem (na jednym bilecie) do Tarnung, miasteczka znajdującego się już po zachodniej stronie granicy. I tak po raz drugi staliśmy się uciekinierami. Ale tym razem nie było już powrotu na pozostawione

„spółdzielni” gospodarstwo. Uświadomiłem sobie, że prawdopodobnie nigdy już nie zobaczę miejsc i nie wrócę do tak ulubionych przeze mnie zabaw mojego szczęśliwego dzieciństwa. Ale tą decyzją rodzice, a szczególnie ojciec – zaimponowali mi.

2. Jak stałem się książkowym mołem

Kilka tygodni później przetransportowano nas bezpłatnie amerykańskim samolotem wojskowym do Frankfurtu nad Menem. Wymiotowałem w czasie lotu, jak jeszcze nigdy przedtem. Również moje rodzeństwo w widoczny dla wszystkich sposób, przeżywało ten lot. Żebyśmy się nie bali, jakiś amerykański oficer na pocieszenie dał nam po 5 marek w monecie. Z Frankfurtu nasza podróż do rodziny prowadziła przez Ulm do Vöhringen, by zakończyć się rocznym pobytem w gospodarstwie rolnym w Illertissen. Potem rodzice wydzierżawili gospodarstwo w Kirchweidach, w górnej Bawarii, gdzie spędziłem następne 12 lat. Ukształtowały mnie jednak przeżycia w stacji „przejściowej” w Vöhringen, które miały wpływ na moje całe dalsze życie.

W szafie bibliotecznej mojego wujka Siegfrieda natknąłem się na gruby tom Wälzera: „Opowieści o niemieckich bohaterach” (*Deutsche Heldensagen*). Dowiedziałem się z książki, którą przeczytałem jednym tchem, m.in. o niezwykle bohaterskich wyczynach Siegfrieda i innych germańskich wodzów, którzy dzielnie potrafili nie tylko walczyć o władzę, ale przy tym kochać i walczyć o upragnione kobiety. Ta książka tak mnie pochłonęła, że zupełnie zapomniałem o smutkach związanych z drugą „ucieczką” i zmianie miejsca zamieszkania. Czytałem potem wszystko, co mi wpadało w ręce, w każdej wolnej chwili. A gdy mi zabierano książkę, śniły mi się po nocach bohaterskie historie naszych przodków i wielokrotnie w snach stawałem się jednym z nich. Od tego czasu odkryłem w sobie owego wspomnianego już wcześniej „mola książkowego”. W każdym razie czytanie stało się moją pasją. A i później, będąc już na „nowym” gospodarstwie w górnej Bawarii, często zamiast odrabiać lekcje, czytałem, udając, że się uczę. Bo dopóki rodzice wiedzieli, że odrabiam matematykę, niemiecki, czy uczę się angielskiego, nie musiałem im pomagać w stajni, stodole, ani zamiatać podwórza. Zatem „odrabianie lekcji” było najlepszą tarczą, przed – co tu dużo mówić – uciążliwymi pracami w gospodarstwie, których zawsze pełno. Do dziś zresztą zawsze mam „pod ręką” coś do czytania i uciekam przy każdej okazji w świat literatury.

Naturalnie próbowali wtedy rodzice, także ciocia Dora ingerować w mój świat czytelnicy, chcąc ograniczać moje „nocne” czytanie, tym bardziej, że codziennie bardzo wcześnie musiałem wstawać, najpóźniej o piątej rano, aby o wpół do szóstej już wsiadać na rower, którym dojeżdżałem na pociąg do Mühldorf, gdzie znajdowała moja się szkoła. A ponieważ zdarzało mi się spóźniać na dworzec, gaszono mi światło najpóźniej o 20:30. I patrzono

„z ulicy” w górę, na okna mojego pokoju, czy przestrzegam ich nakaz, czyli wcześniejszego udawania się na spoczynek. Światło – owszem – wyłączyłem, ale pod pierzyną czytałem dalej za pomocą latarki, o której posiadaniu rodzice moi oczywiście długo nic nie wiedzieli, aż pewnego dnia zasnąłem przy jej świetle. I latarka świeciła jeszcze rano, gdy matka chcąc mnie obudzić, weszła do pokoju. Zabrała mi ją, i aby móc czytać dalej nocami, musiałem sobie wymyślić jakieś nowe oszustwo.

Gdy miałem 13 lat zdarzyła mi się jeszcze inna dramatyczna przygoda związana z moją pasją. Pamiętam, że fascynowała mnie wówczas twórczość Theodora Storma. Pewnego dnia zabrałem jedną z jego znakomitych książek na pastwisko. I oczywiście czytałem, zamiast pilnować krów. Zaczytany, oparty o drzewo, nie zauważyłem, jak wszystkie krowy uciekły mi z pastwiska i weszły w owies naszego sąsiada; za nic nie dawały się stamtąd wypędzić. Awantura była oczywiście wielka, bo narobiły dużo szkód sąsiadowi, który natychmiast poskarżył się na mnie do rodziców. Rodzicom bardzo zależało, aby mieć jak najlepsze stosunki z sąsiadami bo sami byli tylko dzierżawcami gospodarstwa. Nakrzyczeli na mnie i właściwie na tym się skończyło.

Muszę przy okazji opowiedzieć jeszcze jedną historię z czasów dzieciństwa. Rodzice mojego szkolnego kolegi zaprosili mnie, abym każdego dnia, kiedy przyjeżdżam do szkoły do w Mühldorf, (ok.6:30), przychodził do nich przed lekcjami na śniadanie. Po drodze kupowałem więc świeże bułki (za co pieniądze mi oczywiście zwracano) i w ten sposób miałem zapewnione tzw. drugie śniadanie, po którym z ich synem, a moim najlepszym wtedy kolegą Enzo, ok. 7:30 udawaliśmy się razem do szkoły. W zamian za to, moja mama przekazywała za moim pośrednictwem rodzinie kolegi produkty z naszego gospodarstwa. Najczęściej świeże jaja, ale często też warzywa z naszego ogródka, jak rzodkiewki, ale i inne rzeczy, których w „mieście” wtedy nie było.

Pani Amarotico chciała mi zawsze za to zapłacić, bo: „jako uchodźcy potrzebujecie przecież pieniędzy na wszystko”, powtarzała. Ale mama kategorycznie zabroniła mi przyjmować pieniądze. Ale któregoś dnia Enzo mi uświadomił, co moglibyśmy sobie za to kupić – i praktycznie namówił mnie, aby wziąć za te produkty zapłatę. Kupiliśmy za nie dwie latarki, którymi można było regulować światło, zmieniając kolory na zielony, bądź czerwony. A za resztę, która nam wtedy pozostała kupiliśmy kolegom z klasy lody, a sobie jeszcze opowieści, bardzo popularnej wówczas książki obrazkowej „Przygody myszki Mickey”. Kilka tygodni później, gdy faktycznie rodzice moi wpadli w kłopoty finansowe i nie wstydzilem się już brać pieniędzy za przynoszone produkty, podniosłem nawet cenę jajek. Ale któregoś dnia zadzwoniła pani Amarotico do mojej mamy, oświadczając, że rezygnuje z naszych jajek, bo ich cena stała się wyższa od tych, które może dostać „w mieście”. I wszystko wydało się, a gdy wróciłem do domu, dostałem jedyne w życiu lanie od mamy. Bardzo żałowałem, że ją zawiodłem. Ale ta przygoda wiele mnie nauczyła. Na całe życie!

Pozostanę jeszcze przez chwilę w tych dwóch latach, kiedy po ucieczce „wylądowaliśmy” najpierw w Illertissen, a potem w Kirchweihdach. Chodziłem wówczas do trzeciej i czwartej klasy szkoły podstawowej. Problemem był dla mnie dialekt, najpierw szwabski (potem też bawarski), którego nie znałem, przez co z trudem mogłem się porozumiewać ze swoimi kolegami i koleżankami w klasie. Nie rozumiałem ich i często za to otrzymywałem szturchańce. Zwłaszcza od dwóch chłopców, którzy koniecznie chcieli mi udowodnić, że są silniejsi ode mnie i należy ich słuchać. Wtedy – jak pamiętam – tylko jeden z uczniów z całej klasy – Wolfgang Tögel – stawał w mojej obronie. Dla wszystkich innych byłem po prostu obcym, dzieckiem „przesiedleńców”, które trzeba traktować z przymrużeniem oka.

Przytrafiło mi się wtedy pewne zdarzenie, o którym chcę opowiedzieć. Otóż pewnego dnia moi koledzy szkolni zaprosili mnie do wspólnej zabawy. Była to gra „w berka”, polegająca na tym, aby – gdy się było „berkiem” – klepnąć uciekającego przed tobą współuczestnika zabawy w plecy, uwalniając się w ten sposób z roli „berka”. Bawiliśmy się na podwórzu gospodarczym znajdującego się w pobliżu budynku szkolnego. I będąc „berkiem”, chcąc sobie skrócić drogę przed uciekającym przede mną „kolegą”, przeskoczyłem przez kopę siana, wpadając do znajdującego się tuż za nim głębokiego gnojowiska, o którym nie wiedziałem, że tam jest. Koledzy zrobili mi to specjalnie, aby w ten sposób jeszcze bardziej mnie ośmieszyć. Ociekając tym śmierdzącym gnojem, musiałem biec „przez całe miasto” do domu, zanim mama mnie przebrała w inne ubranie. Wspominam o tym dlatego, aby podkreślić, że nie były to czasy łaskawe, zwłaszcza dla dzieci „przesiedleńców” czy „uciekinierów”, takich jak my.

Po przeprowadzeniu się z Illertissen do gospodarstwa w Kirchweihdach przeżyłem raz jeszcze podobne zdarzenia. Dialekt Bawarczyków, był zupełnie niepodobny do szwabskiego. Znowu – poprzez język – byłem dla miejscowych „przesiedleńcem”. I znowu musiałem walczyć o swoją pozycję. Na szczęście – w klasie był wtedy tylko jeden silniejszy ode mnie – małomówny Franz.

Wszystkich innych bez najmniejszego trudu kładłem „na łopatki”. Co oczywiście spowodowało, że zaczęli czuć przede mną respekt. Ale prawdziwego przyjaciela wśród współuczniów mi to nie zapewniło. Nikt nie zapraszał mnie na swoje urodziny (które w Niemczech są największym świętem rodzinnym), jak i wcześniej w Illertissen do domu. I w Kirchweihdach byłem takim samym obcym dla wszystkich, jak w Illertissen.

Stąd pierwsza książka, jaką napisałem miała tytuł „Kryminalizacja młodych obcokrajowców” (*Die Kriminalisierung junger Ausländer*). Wspólnie z Peterem Alexisem Albrechtem chcieliśmy wyjaśnić, dlaczego w latach 70. nie udało się w Niemczech integracja młodych Turków z młodymi Niemcami. I dlaczego tak wielu Turków zeszło na drogę kryminalną? W tych rozważaniach, pomogły mi w znacznym stopniu moje własne, wcześniejsze

przeżycia. Może były nieco inne, ale w zbliżony sposób przeżywałem na sobie nieakceptowanie przez bawarskich i szwabskich katolików, moich ewangelickich poglądów i zwyczajów. Nie chciano, abym bawił się z ich dziećmi i z nimi się przyjaźnił.

W szkole w Kirchweidach, doświadczyłem jeszcze innych upokorzeń: nauczyciele karali uczniów uderzeniem kija za nieposłuszeństwo. Chłopców uderzano po palcach z zewnętrznej strony rąk, dziewczynkom wymierzano karę w wewnętrzną część dłoni; a zdarzało się, że trzeba było ściągnąć skórzaną portkę, jakie wówczas się nosiło, a które miały z tyłu klapę. Klasa ryczała ze śmiechu, który przypominał jodłowanie, gdy ktoś, na oczach innych dostawał taką karę. Z pobytu w Kirchweidach zapamiętałem także lekcje religii.

Jako jedynego ewangelika w klasie, sadzano mnie ostentacyjnie w ostatniej ławce, a czas wykorzystywałem wtedy na odrabianie innych lekcji. Choć zdarzało się, że z uwagą przysłuchiwałem się lekcji, zwłaszcza, gdy nauczyciel religii, mocno już starszy siwy, około 60-letni mężczyzna, rysował słowami uczniom obraz piekła i straszył moich katolickich kolegów karą boską. Zdarzało się, że przynosił ze sobą fotografie piekła, przedstawiające bardzo plastycznie ludzi smażących się w wiecznym ogniu piekielnym. W takich momentach byłem szczęśliwy, że jestem ewangelikiem, bo piekło jest tylko dla katolickich grzeszników, a nie dla wyznawców mojej religii. Surowy nauczyciel przestrzegał też swoich katolickich uczniów, aby nie bawili się genitaliami, a dotykali je tylko podczas koniecznego mycia. Bo w przeciwnym razie, muszą się z tego spowiadać.

3. Gimnazjum – albo moja długa droga do edukacji

Dopiero w gimnazjum wyszedłem z roli „samotnego ewangelika”. Moja klasa w połowie składała się z dzieci przesiedleńców, którzy też byli ewangelikami. Z tym, że byłem jedynym, który zaledwie od dwóch lat był uchodźcą. Wszyscy inni byli w Bawarii już od zakończenia wojny, albo trafili tu nawet trochę wcześniej, gdy jeszcze trwała wojna. Co miało oczywiście wpływ na traktowanie mnie przez kolegów. Byłem członkiem chyba najbiedniejszej wówczas rodziny wśród innych. Tylko na wyżywienie nie narzekałem, w końcu mieliśmy własne gospodarstwo, w którym nie brakowało jedzenia, ale na inne rzeczy ciągle brakowało pieniędzy.

Było np. w zwyczaju, że zimą klasa wyjeżdżała ze szkołą na 2 tygodnie, na tzw. zimowiska w Alpy. Tam nie tylko odpoczywano, ale jednocześnie odbywały się zajęcia lekcyjne. Aby jechać – trzeba było mieć odpowiednie buty narciarskie, oczywiście dobre narty i pieniądze na wyciągi. A na to moich rodziców nigdy nie było stać; musiałem zatem zostawać w szkole i uczęszczać do jednej klasy zastępczej, składającej się z takich uczniów, jak ja. Po dwóch tygodniach wracała moja macierzysta klasa, opalona, pełna wrażeń itp. Pamiętam, że długo nie mogłem się w klasie po tych powrotach odna-

leżć. Wyraźnie doskwierała mi ta sytuacja, w której było się „tym biedniejszym”. Nie mogło się opowiadać o przygodach narciarskich itd. itp. Miałem 16 lat, gdy po raz pierwszy dane mi było pojechać razem z klasą na zimowisko. Na szczęście do dziś nie tęsknię specjalnie za wyjazdami na narty. Ale to, że wtedy nie mogłem wyjeżdżać na obozy, bardzo mnie deprymowało, a ponadto denerwowało, że byłem gorzej ubrany od innych; moje ubranie zawsze było wcześniej noszone przez moich braci. Przypominam sobie doskonale, gdy jako już czternastoletniemu młodzieńcowi, po raz pierwszy kupiono mi nowe buty. Było to wtedy, gdy mojemu ojcu na targu udało się korzystnie sprzedać młodego byka. Wracając małym garbusem naszego sąsiada, ojciec poprosił go o zatrzymanie się przed sklepem obuwniczym. Ten, nie wyłączając silnika, czekał na nas na ulicy. Na szczęście pasowała mi od razu pierwsza para, którą podał sprzedawca. Dwa tygodnie później z dumą wystąpiłem w nich na konfirmacji.

Ale wracając jeszcze do moich pierwszych dwóch lat pobytu w Ruperti-Gymnasium Mühlendorf, muszę powiedzieć, że przebiegły one pod ręką okropnego wychowawcy. Był niezwykle ostry i nietolerancyjny, dla mnie perfidny wręcz sadysta. Brał np. nasze wypracowania z niemieckiego pod światło lampy, a gdy stwierdził, że było w nim cokolwiek wymazywane gumką i poprawiane, darł je na strzępy i nakazywał pisać na nowo. Wypracowanie – twierdził – nie może być poprawiane. I tak – niemal każde, które w szkole podarł mi w klasie pan Kopp, musiałem w domu wieczorami przepisywać od nowa. Ile wylałem przy tym ze złości łez, tylko ja wiem; szczególnie, gdy następnego dnia pan Kopp znalazł kolejny błąd. I znów trzeba było wszystko przepisywać od początku. Pocieszała mnie w tym ciocia Dora. Z niezwykłą cierpliwością dyktowała mi każde wypracowanie słowo po słowie. W tym dyktowaniu była dla mnie skarbem. Gdyby nie ona, chyba zrezygnowałbym z gimnazjum. Niestrudzenie pocieszała mnie i pomagała nie tylko w niemieckim, ale także odrabiała ze mną matematykę, angielski i inne przedmioty. I mimo tego, miałem w tym okresie beznadziejne stopnie za naukę. Ledwie – przyznam – przechodziłem z klasy do klasy. Mój ojciec rozważał wówczas, czy nie przenieść mnie do Hauptschule (10-letniej szkoły powszechnej w Niemczech) i po niej zdobyć jakiś zawód. Ale zdania w tej sprawie były w rodzinie podzielone. Mama, ciocia Dora i też mój brat Ulli, który akurat wrócił do domu na ferie z całorocznego pobytu w internacie w Illertissen uważali, że powinienem kontynuować naukę w gimnazjum. Byłem kiedyś niechętno świadkiem takiej rozmowy między nimi z ojcem. Argumentowali, że nie jestem głupszy od pozostałej trójki rodzeństwa. W końcu ojciec ustąpił i pozostawił mnie w gimnazjum.

To, że ojciec nie zawsze mógł decydować o wszystkim w rodzinie, przekonałem się, gdy jeszcze mieszkaliśmy w NRD, kiedy jako sześciolatek syłałem z moją ówczesną koleżanką Gundą kwiatki młodej parze. Panna młoda była moją daleką kuzynką. Gdy już byliśmy w kościele i siedziałem obok

mamy słyszałem jak w przysiędze ślubnej młoda żona przysięgała mężowi, że będzie mu posłuszna aż do śmierci. Wtedy szepnąłem do ucha mamy: „Ale ty też nie zawsze słuchasz taty”. Ona odpowiedziała mi: „i tak jest prawidłowo. Kościół pod tym względem jest jeszcze zacofany, ale to się na pewno kiedyś zmieni”.

Po tym, jak moi rodzice wspólnie zgodzili się, że pozostanę w gimnazjum aż do matury, moje wyniki nauczania poprawiły się. Ja także uwierzyłem w to, że niekoniecznie muszę się wlec „w ogonie” klasy. Ale osiągając maturę, nie wiedziałem jeszcze, co ew. chciałbym studiować. I zdawałem sobie sprawę, że jeśli nie pójdę na studia, będę musiał odbyć zasadniczą służbę wojskową. Zdecydowałem się świadomie na pójście do Bundeswehry, tym bardziej, iż w międzyczasie miałem jakąś wiedzę na temat czasów nazistowskich i rządów Hitlera. Zostały one wprowadzone przez zwyciężonych, dzięki zaangażowaniu się Churchilla i innych w koalicję antyhitlerowską, ale światu wciąż groziły inne niebezpieczeństwa, które wymagały posiadania silnych armii. Zatem chciałem włączyć się w tworzenie militarnych gwarancji bezpieczeństwa, aby niekoniecznie USA były jedynym gwarantem pokoju. Moim celem było wtedy nauczyć się w wojsku jak najwięcej, a w przyszłości stać się oficerem rezerwy. Udało mi się dojść w wojsku do stopnia porucznika. Przyznam, że wpływ na moje ambicje wojskowe miała też przeszłość wojskowa ojca, który był oficerem rezerwy, a nie chciałem być gorszy pod tym względem od niego. Choć miałem świadomość, że służył w czasie wojny innym celom, niż tym, które mi przyświecały. Zresztą bardzo dużo opowiadał mi o swoich przeżyciach wojennych, niczego przy tym nie upiększając. Miałem więc wiedzę o masowych rozstrzeliwaniach osób cywilnych i obozach koncentracyjnych. I jako 17-letni już chłopiec, któregoś dnia dowiedziałem się od swego wujka chrzestnego Heinza, który był największym przyjacielem ojca, o jego roli w pamiętnych wydarzeniach 20 lipca 1944 roku (zamachu na Hitlera) w Niemczech. Dowódca dywizji mojego ojca należał do bezpośrednich członków organizujących zamach. Wiedział on, że mój ojciec nie należał do zwolenników nazistów, a w wojsku służył z pobudek patriotycznych, a nie z przekonań politycznych. I pewnego dnia ów dowódca dywizji wtajemniczył ojca w to, co miało się wydarzyć 20 lipca. Ojciec tego dnia miał dowodzić oddziałem ochrony budynku radia, z którego w Berlinie jeden ze spiskowców, po udanym zamachu, miał poinformować o tym naród w swoim przemówieniu. Krótco przed tymi wydarzeniami, ojciec otrzymał urlop i polecenie wyjazdu do kraju.

A w związku z tym, że szosy były już wtedy zapchane uciekinierami, zdecydował 20 lipca, w godzinach wczesnorannych udać się z Frankfurtu nad Odrą do Berlina pociągami, na umówione miejsce zbiórki oddziału specjalnego. Ale pociąg, którym jechał został zbombardowany przez atak lotniczy. Udało mu się wprowadzić z dużym opóźnieniem dotrzeć na miejsce zarekwizowanym samochodem, ale wtedy nadawano już komunikaty o nieudanym

zamachu. Zatem w porę zdążył, rozwiązując wcześniej oddział, wrócić do Biegen. A ponieważ nikt go nie zdradził, nic mu się po tym nie stało. Ale Heinz, mama i ciocia Dora naturalnie wiedzieli, po co tego dnia udawał się do Berlina. Jednak ojciec nigdy nie chciał, aby o tym wydarzeniu i o roli, jaką tego dnia miał spełnić, w ogóle wspomniano. To było najdramatyczniejsze jego przeżycie w czasie wojny. Ze mną rozmawiał na ten wiele lat później.

Oceniając dzisiaj swoje pójście do Bundeswehry, mogę z dumą podkreślić, iż nigdy nie żałowałem tego kroku. Wiele się w wojsku nauczyłem, także przewycięzania własnych słabości, a przede wszystkim zdobyłem umiejętności kierowania i nauczyłem się odpowiedzialności za ludzi, choć były to małe zadania. W mojej pamięci np. pozostanie na zawsze wydarzenie, gdy grupę 300 żołnierzy przygotowywałem po manewrach na poligonie do uroczystej defilady w Bambergu, a w nagrodę zostałem przez dowódcę tych manewrów osobiście zaproszony na bal po poligonowy. Dla mnie, wówczas 20-latką, było to dużym wyróżnieniem. Doskonale pamiętam też dzień mojej promocji oficerskiej. Miało to miejsce pewnego piątkowego popołudnia, po czym wieczorem mieliśmy dostać czas wolny do własnej dyspozycji. Ale o godz. 16 (a promocja miała być o 17), nasz dowódca zarządził ostatnią próbę defilady ze śpiewami. I okazało się, że zarówno nasz krok defiladowy, jak i śpiew nie wypadły wtedy najlepiej i – chcąc nas ukarać – zarządził alarm atomowy. Jak na złość – wcześniej spadł duży deszcz i cały plac apelowy tonął w kałużach, a my – w naszych wyjściowych mundurach! Na komendę „padnij”, ja i moi dwaj koledzy, z którymi mieszkalem w pokoju – Wilderich i Enzo – nie posłuchaliśmy tego polecenia. Zostaliśmy w pozycji stojącej. Nasz dowódca wyzywał nas od najgorszych, groził najstraszniejszymi konsekwencjami i już sądziliśmy, że nie otrzymamy promocji. Wtedy nagle otworzyło się okno komendantury, pod którą odbywały się „te ćwiczenia” i obserwujący całe zajście dowódca garnizonu poprosił nas wraz z naszym dowódcą do siebie, dla wyjaśnienia zajścia. Gdy już sądziłem, że spotka nas najgorsze za niewykonanie rozkazu, okazało się, że cała nasza trójka otrzymała pochwałę. Gdyż polecenie rzucenia się w kałużę w mundurach wyjściowych, uznano za szykanę, która nie powinna była się zdarzyć. Naszą reakcję na taki „rozkaz” uznano za prawidłową. Byliśmy tak wzruszeni decyzją dowódcy garnizonu, że mieliśmy łzy w oczach, gdyż jednak coś się przez te lata zmieniło w armii. Nie było już tego bezdusznego traktowania żołnierzy, jaka charakteryzowała dawny tzw. pruski dryl wojskowy.

4. Wreszcie własne zawodowe życie

Gdy z dzisiejszej perspektywy spoglądam na swoje dzieciństwo i młodość, nawet z uwzględnieniem negatywnych przeżyć, których zaznałem z powodu dwukrotnej zmiany miejsca zamieszkania (w związku z przesiedleniem się moich rodziców), to nie mogę ich inaczej określić, niż jako udane.

Jako najmłodsze dziecko w rodzinie miałem dużo przywilejów. Ulli – mój najstarszy brat – miał pod tym względem o wiele gorzej, podobnie Gine i Jochen. Ja natomiast mogłem już korzystać z ich doświadczeń. I jako najmłodszy z całej czwórki – korzystałem z tego. Ale były i negatywne strony tego zjawiska. Hołubiony i chroniony przez wszystkich, rozwijałem się wolniej od nich. Gorzej się od nich uczyłem, byłem też mniej odporny na stresy. Gdy np. w pewnym czasie mogłem do woli czytać wpadające mi w ręce książki, moje rodzeństwo musiało pomagać rodzicom w gospodarstwie. Ale ta pozycja „najmłodszego” też spowodowała, że długo nie mogłem znaleźć własnej drogi życiowej. Długo np. nie wiedziałem, kim tak naprawdę chcę być w życiu. Wprawdzie Ulli podsuwał mi dużo propozycji zawodów i książek na ten temat, ale szczerze mówiąc – nie interesowały mnie one. Nie rozumiałem ich, co ujawniało się w czasie dyskusji, jakie Ulli ze mną prowadził, chcąc mnie wciągnąć w jakiś konkretne zainteresowania, a w konsekwencji wybór zawodu. Krótko mówiąc, moi bracia i siostra, o wiele szybciej wiedzieli, czym w życiu chcą się zajmować i do czego poprzez odpowiednie szkoły – przygotować.

Rodzicom w tym czasie wiodło się dobrze, choć zaczynali bardzo skromnie w każdym nowym miejscu zamieszkania. Skorzystali oczywiście z pomocy kredytu, jakiego udzielano przesiedleńcom, ale ich pracowitość szybko przyniosła pożądane efekty w prowadzonych przez siebie gospodarstwach. Krowy dawały po prostu więcej mleka od krów innych rolników, a do tego rodziły zdrowe cielaki, które nawet trafiły w którymś roku na wystawę do Monachium, Frankfurtu i Mühlendorfu, gdzie wyróżniono je medalami, a ojca z tego tytułu obsypano nagrodami za wzorową hodowlę. Pozwoliło to rodzicom dość szybko wyjść z długów finansowych, a nasze warunki egzystencji z roku na rok stawały się coraz lepsze. Potwierdzała się stara prawda, że solidna i systematyczna praca, prędzej czy później przynosi pożądane efekty.

Problem miałem ja, gdyż rolnikiem, ani hodowcą bydła, nie chciałem zostać i długo nie wiadomo było, co ze mną w ogóle będzie. Jeśli chodzi o noty szkolne, to nie były one specjalnie gorsze od tych, które osiągał Ulli, który długo był dla mnie wzorem i któremu zawsze chciałem dorównać.

W wieku 26 lat chciałem np. dostać stypendium „narodu niemieckiego” (des Deutschen Volkes), by móc studiować w renomowanym angielskim London School of Economics and Political Science (LSE), by napisać pracę doktorską nt. angielskich teorii, eksponowanych wówczas filozofów Hobbesa i Locke’go. Ale nie udało mi się tego celu osiągnąć, gdyż zabrakło mi konsekwencji i wiary, że jest to możliwe. I wtedy po raz pierwszy doświadczyłem losu dziecka zbyt długo otaczanego specjalną troską. Na szczęście stało się wtedy dla mnie jasne, że nie mogę wiecznie korzystać z prawa najmłodszego w rodzinie, któremu wszystko wolno. Postanowiłem się z tego stanu „błogości” wydostać. Wówczas dokonała się we mnie pewna

istotna wewnętrzna przemiana. I zrozumiałem, że muszę wreszcie zbudować swoją własną perspektywę dla siebie. Postanowiłem uzyskać to poprzez co najmniej roczny pobyt za granicą i wypróbowanie tam samodzielnego życia. Miałem 26 lat, gdy postanowiłem zerwać z prowadzonym dotąd tzw. beztróskim życiem. Był rok 1970, gdy zdecydowałem się na tę „przemianę”. Nawet spisałem sobie wszystko, czego od siebie odtąd będę wymagał, lecz niestety ten tekst gdzieś mi zaginął. Ale do Londynu wyjechałem. Po latach trafiłem na spektakl teatralny w Monachium, który zaczynał się mottem: „Chciałbym być tym, kim komuś udało się zostać”. Przyjąłem je jako swoje. I tak zupełnie niespodziewanie zostałem w życiu tym „kimś”. Jak bohater owego spektaklu. W poszukiwaniu mojej kariery zawodowej pomógł mi także psycholog prof. Eysenck. Z powodu swego żydowskiego pochodzenia musiał uciekać z nazistowskich Niemiec do Londynu i tam stał się sławny. Udałem się kiedyś na jeden z jego wykładów, w którym dowodził, iż przestępczość ma podłoże genetyczne, a rasa czarna, jest generalnie mniej zdolna od białej. To samo dotyczy zdolności mężczyzn i kobiet. Powoływał się przy tym na swoje różne publikacje, w tym m.in. na dopiero co wydaną książkę „Crime and Personality”. Gdy opowiedziałem o tym swemu ówczesnemu opiekunowi naukowemu dr Healey’owi, zapytał mnie, czy nie podjąłbym się krytyki tych tez. Było to oczywiście dla mnie zaszczytne wtedy zadanie, po dopiero ukończonych studiach prawniczych. Przez następne sześć tygodni zajmowałem się „teoriami” Healey’a. Sprawdzałem, czy źródła na które się powołuje są miarodajne, a głoszone tezy do przyjęcia. I stosunkowo szybko doszedłem do wniosku, jak bardzo jego „teorie” oderwane są od rzeczywistości. 25-stronicowa rozprawa krytyczna była moją pierwszą pracą naukową, ogłoszoną w języku angielskim. Napisałem ją, korzystając z pomocy mojego amerykańskiego kolegi Roba Gage’a, który „językowo” mi ją poprawił. Mój opiekun naukowy wysłał ją potem do prof. Eysencka, ten jednak nigdy na tę krytykę nie odpowiedział. A wspominam o tym dlatego w tym miejscu, że tym samym przyczynił się do wyboru mojej drogi życiowej jako naukowca.

Czas pobytu w Londynie wykorzystałem przede wszystkim dla pogłębienia swojej wiedzy z zakresu kryminologii. Po powrocie do Niemiec kontynuowałem swoje prawnicze zainteresowania i zdałem 2 egzaminy państwowe z tego zakresu. Wspecjalizowałem się w udzielaniu pomocy prawnej skazanym opuszczającym zakłady karne, chcąc ułatwić im powrót do normalnego życia. Miałem też sporo szczęścia, bo zaprzyjaźniłem się z prof. Schüler-Springorum, specjalistą od prawa młodych przestępców, który w tym czasie objął katedrę Kryminologii na Uniwersytecie Monachijskim. Wkrótce stałem się jego asystentem na uczelni w zakresie prawa młodzieżowego, a także społecznym przedstawicielem w Stowarzyszeniu Sądów Młodzieżowych (der Deutschen Jugendgerichtsvereinigung). Odkryłem w sobie pasję, której z pełnym przekonaniem chciałem się w swoim dalszym życiu

poświęcić, czyli pogłębianiu współpracy sądownictwa z policją w rozwiązywaniu przestępstw kryminalnych młodocianych.

Przez następne osiem lat byłem całkowicie oddany tej problematyce. Gdy w 1975 roku poznałem studentkę prawa Annę, która wkrótce została moją żoną, zainteresowania moją profesją, także poprzez moją żonę, jeszcze bardziej wzrosły. W 1985 r. zostałem dyrektorem „des Kriminologischen Forschungsinstituts Niedersachsen KFN” (Kryminalnego Instytutu Badawczego Dolnej Saksonii). Rok później „die Deutsche Jugendgerichtsvereinigung” (Niemieckie Stowarzyszenie Sądów Młodzieżowych) wybrało mnie, jako następcę po prof. Schüler-Springorum, na swego przewodniczącego, którym byłem następne 10 lat. W 1995 roku, w czasie pobytu w Nowym Jorku zapoznałem się z projektem „Community Foundation”, wspaniałą ideą pracy nad kryminalnie zagrożoną młodzieżą. Tę ideę przenieśliśmy do Niemiec, powołując fundację o podobnych, jak w Ameryce zadaniach. Jako społecznemu przewodniczącemu fundacji, udało mi się – wykorzystując do tego liczne wykłady – nadać stowarzyszeniu ogólnoniemiecki charakter. Dzisiaj fundacja ma 340 filii w całych Niemczech.

Miałem jeszcze jedno marzenie i ono się spełniło – polityka, która zawsze mnie interesowała. Gdy w grudniu 2000 roku zadzwonił do mnie niespodziewanie Sigmar Gabriel, ówczesny premier Dolnej Saksonii z pytaniem, czy objąłbym w jego rządzie tekę ministra sprawiedliwości, nie zastanawiałem się długo, tylko przyjąłem propozycję. Funkcję tę pełniłem z pasją do końca kadencji jego gabinetu, tj. do marca 2003 roku, przyczyniając się do rozszerzenia prawa dla ofiar młodych przestępców, jak też wzmocnienia roli mediacji z młodymi przestępcami, by sprowadzić ich z kryminalnej drogi, na którą wkroczyli.

5. ...I jeszcze jedna niemiecko-polska historia

Zdarzyła się ona w roku 1986 w Hanowerze, podczas dużego międzynarodowego kongresu naukowego. Mieszkałem wówczas przejściowo w domu naukowców (Leibniz-Haus) miejscowego uniwersytetu, ponieważ nasz dom, w którym mieliśmy zamieszkać, był jeszcze w remoncie. Za sąsiada miałem wówczas polskiego profesora Uniwersytetu Warszawskiego, który brał udział w kongresie. Któregoś dnia zaprosiłem go na kolację i opowiedziałem historię naszej bezpiecznej ucieczki, którą zawdzięczaliśmy polskiemu robotnikowi o nazwisku Kowalczyk oraz jego synowi. Mój gość długo po mojej opowieści milczał, po czym zapytał, czy może opowiedzieć swoją „wojenną” przygodę z Niemcami, która nie była tak szczęśliwa dla niego, jak moja. Dlatego dopiero teraz po raz pierwszy zdecydował się odwiedzić Niemcy. Dowiedziałem się, że w 1944 roku, jako 6-letnie dziecko mieszkał wraz ze swoją matką w małym polskim mieście powiatowym. Jego ojciec,

który był wówczas szefem Armii Krajowej tego regionu, rzadko odwiedzał rodzinę, a jeśli już – to potajemnie nocą, aby nie być rozpoznanym. I wtedy, gdy mały Adam (jego imię zmieniłem) miał swoje 7. urodziny, matka poszła z nim do piekarni, aby na popołudnie zamówić urodzinowy tort, który zamierzali zjeść z przyjaciółmi. W cukierni, oprócz nich, był jeszcze jeden żołnierz niemiecki, który pił kawę i czytał gazetę.

Ekspedientka, która знаła Adama i jego mamę, złożyła mu życzenia urodzinowe i wyraziła żal, że pewnie tata – z wiadomych względów – nie będzie mógł przyjść na to przyjęcie. Okazało się, że żołnierz „ze sklepu” znał polski i domyślił się, że chodzi o dowódcę miejscowego AK i doniósł o wszystkim Gestapo. W nocy, gdy Adam czekał na swego ojca i kiedy zobaczył go, stojąc za firankami w pokoju, wybiegł przed dom, aby się z nim przywitać. Wtedy zza krzaków wybiegło trzech SS-manów, którzy odepchnąwszy dziecko, zaczęli okładać go kolbami do nieprzytomności. Po czym zawlekli do samochodu i odjechali. Następnego dnia zmasakrowane ciało ojca Adama znaleziono porzucone na polach przedmieścia. I to był powód, dla którego Adam przez długie lata wzbraniał się przed wyjazdem do Niemiec. Dopiero obecnie renomowana konferencja naukowa, na którą go zaproszono z referatem, skłoniła go do zmiany stanowiska. I teraz siedzieliśmy przy butelce wina, oboje płacząc, otwierając zaraz następną, przebaczyliśmy sobie, opowiadając nasze wojenne biografie. Ponieważ było krótko przed świętami Bożego Narodzenia, spontanicznie zapytałem Adama, czy przyjmie zaproszenie do nas z całą rodziną na te święta? Adam skinął głową i tak narodziła się jeszcze jedna niemiecko-polska – trwająca do dziś – rodzinna przyjaźń.

Podczas wspólnych świąt okazało się, że najstarszy syn Adama zainteresowany jest rocznym pobytem w niemieckiej szkole w Hanowerze. Załatwiliśmy mu roczny pobyt w rodzinie, która miała dzieci w podobnym do niego wieku, z którymi wspólnie uczęszczał do szkoły, pozostając oczywiście z nami w stałym kontakcie. Poprzez nasze liczne rozmowy i spotkania rozwinęła się w nim również chęć pozostania prawnikiem. I po maturze podjął stosowne studia i został wziętym adwokatem.

Byłem bardzo wzruszony, gdy po latach poprosił mnie na świadka na swój ślub. Na przyjęciu weselnym w Krakowie, miałem okazję opowiedzenia wszystkim gościom, jak do tego doszło. W jaki sposób pan Kowalczyk i jego syn wpłynęli na to, że przeżyłem szczęśliwie przesiedlenie, i ponieważ dzięki nim spotkałem też polską rodzinę, z którą pozostaję w braterskiej przyjaźni.

(Przełożył: Karol Czejjarek)

PIOTR ROGUSKI

Co zostało z tamtych lat...?

Ilekoć pytano mnie o cel moich podróży do NRD, tylekoć miałem kłopot ze znalezieniem „właściwej” odpowiedzi. Pytania i odpowiedzi modyfikował czas oraz rozmówcy, zawsze jednak czułem na sobie ciężar skomplikowanych stosunków polsko-niemieckich. Nastawienie obywateli obu ówczesnych państw socjalistycznych (PRL i NRD) do siebie było z gruntu negatywne, każda strona miała swoje powody, ale w sferze ideologicznej budowano złudzenia, że łączy nas przyjaźń oparta na nowych zasadach. Kto żył w ustroju „sprawiedliwości społecznej” wie, że za tą fasadowością kryły się stare uprzedzenia jak i nowe animozje i że retoryką socjalistyczną nie dało się upudrować rzeczywistości. W porównaniu z NRF (dawna nomenklatura) NRD w opinii Polaków stała na „straconej pozycji”: pierwszą republikę idealizowano, drugą – pogardzano. Każdy marzył o wyjeździe do Niemiec zachodnich, rzadko kto, poza robotnikami budowlanymi i handlarzami, planował wyjazd do „gorszych”, czyli wschodnich Niemiec. Moje podróże, głównie do historycznej Saksonii, miały charakter naukowo-turystyczny, co wśród moich rozmówców wywoływało niedowierzanie, z reguły zdziwienie, a na pewno zaskakiwało. Przykładów można by przytoczyć wiele. Kilka z nich.

W latach siedemdziesiątych minionego wieku w czasie wielogodzinnych podróży pociągiem z Warszawy do Drezna, Lipska czy Berlina wschodniego, gdy przedział z rodakami wypełniał się rozmowami o handlu, przemyśle, opłacalności lub nieopłacalności pewnych transakcji, nieokiełznanym cwaninactwie naszych w kiwaniu celników, rewanżowałem się współpasażerom opowieściami o polsko-saskiej przeszłości, wspólnych królach, entuzjastycznym przyjęciu powstańców listopadowych w drodze do Francji, pozytywnym stereotypie Polaków, niemieckich pieśniach o Polsce (Polenlieder)... Oczywiście większość moich słuchaczy nigdy o tych faktach nie słyszała, nie bardzo mi dowierzając! Wtedy odwoływałem się do argumentu *a posteriori*,

nie do podważenia, pytałem, czy ktoś z obecnych odwiedził Stary Cmentarz Katolicki (Alter Katholischer Friedhof) w Dreźnie w dzielnicy Neustadt, całkiem blisko dworca kolejowego Dresden-Neustadt, na którym niektórzy wysiadali. Milczenie wyjaśniało wszystko, na twarzach zjawiało się słabo skrywane powątpiewanie, po co marnować czas i nogi na „jakis” niemiecki cmentarz, skoro potrzebne są na załatwienie wielu innych spraw, chociażby do przeprowadzenia doraźnych interesów. Szedłem więc za ciosem i opowiadałem o zachowanych starych nagrobkach z polskimi symbolami, znakami i nazwiskami, świadczącymi o naszej obecności w tym mieście. „I dla cmentarza przyjeżdża pan do Drezna?” – padało pod koniec podróży. Moje „tak” nie wywoływało wśród rodaków chęci zainteresowania się cmentarzem, jak i innymi zabytkami wspólnej przeszłości, ale rozwiązywało języki, by dopomóc mi w zdobyciu dodatkowych środków finansowych, przecież każdy wiedział, że 150 marek NRD, które legalnie można było nabyć jednorazowo w banku, nie wystarczyło nawet dla naukowca, żyjącego o chlebie i wodzie. Życie nie zna próżni, więc na planowany dwutygodniowy pobyt w Dreźnie musiałem mieć odpowiednie pokrycie, co znaczyło, że kupiłem resztę na czarnym rynku w Warszawie. Problemem wszystkich podróżujących wówczas były kontrole graniczne, właściwie bez znaczenia, gdzie im się człowiek poddawał. W relacjach PRL–NRD obowiązywała zasada, którą określiłbym mianem „zdwojonej podejrzliwości”. W tzw. demoludach podejrzany był praktycznie każdy podróżny, ale na tej granicy wyczuwało się dodatkową nerwowość. Obie strony, kontrolujący i kontrolowani, doskonale wiedziały, że toczy się nieustająca walka o wszystkie posiadane przedmioty, które jedni chcieli wywieźć/wwieźć, a drudzy – powołując się na prawne zakazy, ograniczenia, reglamentacje – im w tym przeszkodzić. Nie miejsce tu, by rozpisywać się nad sposobami przekraczania granicy, życie toczyło się ze zmiennym szczęściem, trzeba ją było jakoś przekroczyć, nie tracąc tego, co skrzętnie ukryło się w bucie, nogawce czy w rękawie. Mój sposób kamuflażu pieniędzy przed celnikami wywoływał zawsze salwy śmiechu wśród bywalców pociągów. Jednak działał, a przyswoił mi go za którymś razem życzliwy przemytnik. Polegał na tricku psychologicznym, czyli „poświęceniu mniejszego na rzecz ochrony większego”. Przewożąc w bucie 600 marek NRD, zawsze miałem „pod ręką”, czyli w kieszeni marynarki, spodni czy w portfelu, oprócz legalnej wymiany „nadprogramowy” banknot 10–20 markowy, który posłusznie wykladałem na wezwanie celnika do ujawnienia przewożonych środków dewizowych. Zaskoczony tym faktem urzędnik musiał zareagować spisaniem protokołu konfiskującego mi nielegalnie wwożoną sumę. Operacja trwała na tyle długo, że o dalszej szczegółowej kontroli nie było mowy. Tym sposobem zaliczyłem liczne dłuższe pobyty w NRD. Gorzej było z wywozem zakupionych rzeczy. Trzymanie się limitów nie załatwiało wcale sprawy, mały bagaż wzbudzał największe podejrzenie. Jak twierdzili zgodnie handlarze, jeśli chciałeś przewieźć coś dla siebie cennego, musiałeś przekro-

czyć dozwolone ilości rodzynek, pieprzu, czekolady... i od razu ujawnić przy otwieraniu walizki. Konfiskata zabierała cenny czas celnikom, a buciki dla dziecka, z reguły schowane w rękawie palta, wjeżdżały spokojnie do kraju.

Po raz pierwszy granicę PRL–NRD przekroczyłem w 1975 roku w okresie zadziwiającego eksperymentu, jakim był bezwizowy ruch między dwoma socjalistycznymi krajami, wyłącznie na podstawie ważnego dowodu osobistego. Pracowałem wtedy jako redaktor wydawnictwa i pilnie uczęszczałem na kursy języka niemieckiego. W celu szlifowania języka postanowiłem wybrać się na wczasy do NRD, które otrzymałem ze Stowarzyszenia Dziennikarzy. Miejscem przeznaczenia była, o ile sobie przypominam, miejscowość Waltersdorf w Saksonii, koło miasta Zittau. Ciesząc się z wyjazdu, opracowałem szczegółowy plan podróży, który przewidywał dojazd pociągiem z Warszawy do Drezna i dalej do Zittau, a stamtąd autobusem. Gdy dotarłem do Waltersdorfu, mocno zmęczony, było sobotnie letnie popołudnie, około osiemnastej. Typowa wieś letniskowa, ruch miejscowy niewielki, po głównej ulicy snuło się kilka osób. Postanowiłem sam przemierzyć wieś wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu budynku przypominającego dom wczasowy. Moje poszukiwania nie przyniosły jednak rezultatu, więc chcąc nie chcąc trzeba było kogoś zapytać. Przed gospodą siedziało kilku starszych mężczyzn i do nich zwróciłem się łamaną niemczyzną o pomoc. Nie zrozumieli mnie absolutnie, wyjąłem więc skierowanie na wczasy, z którego powinni wyczytać, o co mi chodzi. Oglądali papier wiele razy, kręcili głowami, zaczęli też mówić po serbołużyczku, jako że z moich ust padło wiele słów polskich. Z tych tłumaczeń układał mi się dość ponury obraz. Okazywało się, że w miejscowości Waltersdorf nie ma domu wczasowego, a ja powinienem trafić do innego „dorfu” w Saksonii Szwajcarskiej, oddalonego o ileś tam kilometrów... Co robić? Słońce chyliło się ku zachodowi, ja głodny i okrutnie zmęczony, a „do domu daleko”. Pytam, czy można tu przenocować? Zaprzeczają, ale widzę, że ludzie bardzo poczciwi, zatroskani, chcący pomóc. Jedyne ratunek, mówią, to wrócić na stronę polską i tam szukać. Jak? Do Zittau i przez most. A daleko do Zittau? Będzie 10 km, tylko że nic już o tej porze nie jeździ. Mam 150 legalnych marek, więc proponuję opłatę za dowóz trabantem do granicy. Słowiański honor nie pozwolił im jednak pozostawić innego Słowianina w potrzebie i bez pobrania pieniędzy zostałem dowieziony do przejścia granicznego. Podziękowaniom nie było końca, wybawili mnie przecież z dużej opresji. Pogranicznik NRD-owski sprawdził mój dowód i mostem dotarłem do wsi Sieniawka. Było już ciemnowo, około dwudziestej pierwszej. Kierowałem się na oświetlony budynek, którym okazała się miejscowa restauracja, jak to w soboty tętniąca życiem, pełna ludzi. Dobra nasza, myślę, dadzą coś zjeść i poradzą co dalej, jestem przecież w ojczyźnie. Kelnerki zajęły się moją opowieścią, nakarmiły, ale nie znajdowały rozwiązania. U nas hotelu nie ma, strefa przygraniczna, musi pan iść na posterunek milicji, niech decydują. Gdy skończyłem jedzenie, przybiega jedna z nich i mówi: nieda-

leko jest szpital dla psychicznie chorych, takie nasze wariatkowo, może tam pan spróbuje?! Co było robić, gdy innego wyjścia nie ma? Zabieram plecak i wędruję wskazaną drogą, przynajmniej syty. Na bramie strażnik cierpliwie słucha, ale cały czas kręci głową. Apeluję do jego uczuć, by nie odganiał zbłąkanego. Wreszcie bierze słuchawkę, wykręca numer i zgłasza problem dyżurnemu lekarzowi. Słyszę jego wstawienniczy głos, po czym oddaje mi słuchawkę. Jeszcze raz opowiadam, co mi się przytrafiło, nie szczędzę szczegółów, maluję grozę noclegu gdzieś w polu. W końcu zapada decyzja lekarza: „Portier wpuści pana do izolatki, niech się pan zamknie od środka i nikogo nie wpuszcza, rano panu otworzy”. Co za ulga! Wczesnym rankiem zbudził mnie portier i skoro świt wyruszyłem w odwrotną stronę szukać właściwego „dorfu”. Zaspany pogranicznik machnął ręką i znalazłem się ponownie w NRD. Nie do wiary! Bardzo podobał mi się wówczas ten socjalistyczny bezwizowy eksperyment, trwający jednak niezbyt długo. Napięcie pojawiło się tyle, że ideologia musiała skapitulować przed praktyką dnia codziennego. Na właściwą wolność w ruchu granicznym między Polską a Niemcami, już bez NRD, przyszło czekać 30 lat.

Wśród pamiątek przechowuję liczne dokumenty z minionych podróży do bratniego kraju za Odrą. Jednym z najwcześniejszych jest pozwolenie ministerstwa spraw wewnętrznych NRD z dnia 5 listopada 1975 roku na przeprowadzenie badań w archiwach Merseburga, Drezna i Poczdamu. Wystąpiłem o nie w związku z pracą nad doktoratem poświęconym, jak roboczo podałem, „Literackiej działalności Polaków w Niemczech po upadku powstania listopadowego”. Nacisk na „literacki” charakter kwerend miał osłabić podejrzliwość decyzyjnych urzędników, co nie było takie proste w kraju z gruntu policyjnym. Wydając ogólne zezwolenie nie pozbawiali się przecież wybiórczej kontroli lub wprost – szykan. Do codziennych praktyk w archiwach i bibliotekach krajów socjalistycznych należały odmowy wydania konkretnych pozycji, widniejących oficjalnie w katalogach, ale z najprzeróżniejszych powodów „chwilowo” lub trwale niedostępnych. Posługiwano się przeróżnymi wybiegami: „cimeliów”, „czasowych ograniczeń”, „prac konserwatorskich”, „zaginięć” itd. Nigdy nie wiedziałem, jaki będzie efekt złożonego zamówienia. Na szczęście większość moich zamówień była realizowana, a bibliotekarze okazywali się miłymi i służącymi pomocą (w ramach swych skromnych możliwości) ludźmi.

Duże wrażenie, poza pozyskiwanymi materiałami, mało znanymi lub nieznanymi w ogóle polskim badaczom, wywierały na mnie każdorazowe pobyty w Sächsische Landesbibliothek zu Dresden. Połowę sporego kompleksu biblioteki zajmowało wówczas wojsko sowieckie. Przez okno na korytarzu pierwszego piętra można było obserwować ćwiczenia rekrutów, słyszeć wydawane rozkazy, gęsto przeplatane wojskową łaciną, śledzić codzienne zwyczaje i obyczaje „bratniej armii”. Otoczenie biblioteki należało oczywiście do Rosjan, tam mieszkali i odpoczywali. Było na co patrzeć, a w bibliotece...

co czytać i notować. Te pobyty, głównie w Dreźnie i Lipsku, zaowocowały dwiema pozycjami: drukowanym doktoratem pt. *Tulacz polski nad Renem. Literatura i sprawa polska w Niemczech po upadku powstania listopadowego. 1832–1845*, wydaną przez PIW w 1981 roku oraz albumem-monografią grobów polskich na cmentarzu katolickim w Dreźnie. Pozycja pt. *Cmentarz polski w Dreźnie* ukazała się w wydawnictwie Śląsk w roku 2000.

Dzień pracy każdego badacza wyglądał w owym czasie podobnie: dzień powszedni w bibliotece, soboty i niedziele w placówkach kulturalnych. Moje pobyty w Dreźnie ograniczały się praktycznie do bytności w archiwum państwowym na Archivstr. 14, w Sächsische Landesbibliothek zu Dresden, w weekendy odwiedzałem regularnie cmentarz katolicki przy Friedrichstr. 54 w dzielnicy Neustadt, Zwinger i Gemäldegalerie Alter Meister. To była strawa dla ducha. Z zaspokojeniem potrzeb ciała miało się większe problemy, zwłaszcza z zapewnieniem sobie noclegów, które należało na wiele miesięcy przed przyjazdem zamawiać. Mam w zbiorach kilka pocztówek z drukowanymi odmowami z centralnego Informationszentrum na Prager Str., niedaleko Hauptbahnhof, informującymi mnie, że w proponowanym przeze mnie terminie pobyt „im Hotel/Interhotel/Fremdheim/Privatquartier”, czyli w kontrolowanych przez władze punktach noclegowych, nie jest możliwy! Cóż było robić? Pisałem do różnych osób i instytucji, w tym do polskiego Centrum Kultury. Dopiero interwencje niezapomnianej, niestety nieżyjącej już, pani Elżbiety Zimmermann skutkowały.

Pani Elżbieta była żoną kompozytora Udo Zimmermanna i prowadziła w Dreźnie otwarty dla Polaków dom. Dla mnie jako badacza związków polsko-niemieckich w XIX wieku symbolizowała zadziwiającą ciągłość pięknych postaw Polek, które na obczyźnie zatroskane były o dobro rodaków, sprawując też pieczę nad wszelkimi zabytkami polskości. Nawet w warunkach NRD-owskiej rzeczywistości udawało się jej wskrzeszać przeróżne inicjatywy kulturalne, organizować spotkania, propagować kulturę polską. W okresie moich badań nad grobami polskimi na Alter Katholischer Friedhof w Dreźnie służyła mi pomocą w sprawach bytowych, pośrednicząc w załatwianiu noclegów i drobnych wsparć finansowych. Ratowanie resztek pomników polskich, zabezpieczenie ich dla potomności, leżało jej bardzo na sercu. Na ile mogła, zabiegała o zainteresowanie sprawą odpowiednie władze, prasę i lokalne instytucje kulturalne. Mam jeszcze wycinek z dziennika „Sächsische Zeitung” z 16/17 listopada 1989 roku, w którym pojawiła się obszerna informacja o moim wraz z prof. Janem Kosimem spotkaniu w drezdeńskim Klubie Inteligencji na temat polskich grobów. Spotkanie zorganizowała pani Elżbieta. W 2007 roku sama spoczęła na cmentarzu, w którego ratunek włożyła wiele serca i wysiłku, pochowana wśród grobów rodaków z XIX wieku.

Moje związki z Drezniem nie ustały po zakończeniu prac nad doktoratem i monografią o „cmentarzu polskim”. Nie tylko polubiłem to miasto, ale i zaprzyjaźniłem się z ludźmi. W pamięci pozostał mi młody wówczas student po-

lonistyki berlińskiej, pochodzący z Drezna, Jürgen B. W 1989 roku przyjechał wraz z prof. Aloisem Hermannem i grupą koleżanek oraz kolegów na Uniwersytet Warszawski na półroczną praktykę językową. Jako pracownik Wydziału Polonistyki UW zostałem ich opiekunem. Jürgena od samego początku polubiłem, najlepiej mówił po polsku, interesował się bardzo kulturą i literaturą polską, ciekawiło go wszystko. Czasy były dość burzliwe, sklepy świeciły pustkami, w polityce zachodziły rewolucyjne zmiany. W czerwcu 1989 roku po ośmiu latach przerwy wznowiony został tygodnik „Solidarność”. Zdobywałem go regularnie. Któregoś razu zaprosiłem Jürgena do siebie do domu. Rozmawialiśmy o różnych sprawach, ale jak ognia unikał tematów politycznych. Gdy zobaczył na biurku egzemplarz tygodnika, jakaś nieodparta siła ciągnęła go do niego. Zapytał, czy może przejrzeć. Jakże wtedy byliśmy wszyscy przeniknięci strachem i podejrzliwością. W Polsce wiele się działo, szykowały się zmiany ustrojowe, w NRD reżim trzymał się jeszcze i mógł wiele zaszkodzić ludziom, zwłaszcza z powodu kontaktów z Polakami. Rozumiałem Jürgena, był typem naukowca, wiele mógł osiągnąć w życiu, pod warunkiem, że nie naraził się władzy, a o to nie było trudno, wystarczył jeden donos. Gdy wyjechał, kontakt się urwał, wkrótce samo NRD przestało istnieć...

Jeszcze krótko o ulotnych wrażeniach, gdzieś kołaczących się po zakamarkach pamięci. Pierwsze kroki po przyjeździe na Dworzec Główny w Dreźnie kierowałem z reguły do Informationszentrum na Prager Str., oddalonego o jakieś 300 metrów. Po drodze znajdowała się samoobsługowa restauracja z ciepłymi daniami. Rozpoczynałem poranny posiłek od niezastąpionej *Solljanki*, typowej „eintopf suppe”, ostrej w smaku gęstej zupy według rosyjskiej receptury z wkładem mięsnym. Inne obfite danie odkryłem w dość obskurnej restauracji „am Zwinger”. Co czwartek serwowano tam w godzinach popołudniowych *Schweineschnitzel*, czyli naszego schaboszczaka. Schodziło się z reguły starsze towarzystwo o zdrowych jeszcze żołądkach, by przy paru piwach i schabowym spędzić niejedną godzinę. Było na co popatrzyć. W ogóle zaopatrzenie w NRD zdecydowanie przewyższało ofertę sklepów polskich, nie tylko co do artykułów spożywczych. Zwłaszcza buty, w tym buty dla dzieci, były obiektem pożądania, należało je każdorazowo kupić. Łatwo powiedzieć kupić i przywieźć, ale jak? Co innego dla siebie. Buty dziecięce szmuglowano najprzeróżniejszymi sposobami, o czym pisałem wcześniej.

Nie mogę pominąć jeszcze jednego zapamiętanego na dobre wrażenia, mianowicie zapachowego. Na jednej z uliczek Lipska prowadzącej z Dworca Głównego do rynku mijalem sklep z wyrobami tytoniowymi. Sam nie paliłem, więc nie interesowała mnie zawartość sklepu, ale „dopadał” mnie po drodze i długo jeszcze towarzyszył tak intensywny, przejmujący, a jednocześnie „pociągający” zapach cygar, że pewnie i dzisiaj rozpoznalbym go bez trudności.

Dawna NRD już nie istnieje, przeszła do lamusa historii, ale pozostały miasta i miejsca. Czas chyba najwyższy, by je ponownie odwiedzić!

IWONA ROSZKOWSKI

„W życiu piękne są tylko chwile, ale warto dla nich żyć”...

(opowiadanie to poświęcam moim córkom)

*

Kiedy byłem mały,
zawsze chciałem dojść na koniec świata,
kiedy byłem mały,
pytałem, gdzie i czy w ogóle kończy się ten świat...

W życiu piękne są tylko chwile,
w życiu piękne są tylko chwile,
tak, tak

Kiedy byłem mały,
pytałem, co to życie, co to jest życie mamo...

Widzisz, życie – to ja i Ty,
ten ptak, to drzewo i kwiat,
odpowiadała mi ...

W życiu piękne są tylko chwile...

(fragment piosenki Ryśka Riedla i Dżemu: „Naiwne pytania”)

*

Tekst tej piosenki, to moje pytania, moje wątpliwości, moje uczucia i odczucia. Ta piosenka – to po prostu ja i moje życie.

Maj 1988, lotnisko we Frankfurcie. Czy tutaj kończy się mój świat? Czy tutaj będę przeżywać te chwile, dla których warto żyć?

Na razie czuję tylko strach, ogromny strach. Lękam się tego kraju, języka, którego nie znam, mojego – przez rok niewidzianego – męża. Teraz czuję tylko lęk, tęsknota przyjdzie trochę później.

Jedziemy do Monachium, gdzie mieszka moja ciocia, siostra ojca. Mąż z ciocią rozmawiają właściwie tylko ze sobą, jakby mnie wcale nie było. Rozmawiają o mnie, ale nie ze mną. Słyszę obce słowa : Übergangsheim, Registrierungsschein, Arbeitslosengeld... Oczywiście nie znam nie tylko ich znaczenia, ale i pisowni.

Czuję, że coś się dzieje jakby obok mnie. Biorę w tym fizyczny udział, ale moja głowa jest gdzie indziej. Czuję się, jak w próżni. Niby jestem, a jednak mnie nie ma.

Już wtedy ogarnia mnie samotność. Nie tylko jestem sama z moimi myślami, jestem także samotna.

Następnego dnia jedziemy do Murnau, tam mieszka mój mąż. Parę godzin spędzam z córką w pokoju męża, który musiał iść do szkoły, ma jeszcze dwa miesiące kursu języka. Sama boję się wyjść z pokoju, bo może ktoś mnie zagadnie, a ja nie rozumiem, o co chodzi. Gram z córką w różne gry, które przywiozłyśmy ze sobą. Zmęczona Madzia w końcu zasypia. Przeglądam książki, gazety i znajduję list. List od „przyjaciółki” mojego męża.

Tak skończył się mój „małżeński świat”.

Ocean pytań, tysiące oceanów pytań oczekujących odpowiedzi, pytań retorycznych; pytania, pytania, pytania...

Chęć natychmiastowego powrotu do Polski, ale znowu strach. Przez wiele lat jest on moim towarzyszem życiowej podróży. Czasem jedynym towarzyszem, jakiego mam, więc może dlatego nie widzę, że nie jest on najlepszym doradcą.

Zostajemy w Niemczech. Na trzy dni musimy jechać do Norymbergi, do „obożu”. Brzmi niezbyt zachęcająco, ale taka jest kolej rzeczy. Zostajemy tam z córką same, mąż idzie do szkoły.

Bogu dziękuję, że w obozie jest wielu Polaków. Mogę z kimś porozmawiać, a Madzia ma koleżanki do zabawy. Często się przewraca i to tak niefortunnie, że w ciągu trzech dni niszczy pięć par rajtuz. Skąd ja wezmę dla niej nowe rajtuzy? „Naiwne pytanie”.

Wieczorem, dzień przed wyjazdem do Straubinga, do „Übergangsheim”, przyjeżdża mąż. Śpi u kolegi, ale samochód zostawia na parkingu w pobliżu naszego obozu. W nocy do pokoju, w którym mieszkam z córką i starszą panią z Rumunii, wpadają trzej uzbrojeni „po zęby” policjanci, a może żołnierze? Wrzeszczą w nieznanym mi języku, zaglądają do szafy, pod łóżko. Córce wystaje spod koca tylko czubek nosa, jest tak wystraszona, że cała chce się schować. Rumunka coś im tłumaczy, a ja stoję nieruchomo i mam przed oczami kadry z wojennych filmów. Te karabiny – to kałasznikowy? Sytuacja robi się straszna.

Szukali mojego męża. Okazało się, że jego samochód był jedynym autem na parkingu, więc byli przekonani, że śpi nielegalnie w naszym pokoju.

„Nielegalnie, nielegalny” – to słowa, których wcześniej nie znałam, nie używałam w odniesieniu do człowieka. Od tamtej pory wiem, że człowieka też można nazwać „nielegalnym”. A czy ja jestem legalna? „Naiwne pytania”.

Straubing, Übergangsheim. Wielu Polaków, Rumunów. Mam z kim porozmawiać po polsku. Język niemiecki jest nadal dla mnie czarną magią. Ale tu nie jest mi tak bardzo potrzebny. Zawsze znajdzie się ktoś, kto przetłumaczy w razie potrzeby. Nowe słowo „Hausmeister”. To chyba jakiś wielki szef, on tutaj rządzi. Wszyscy czują przed nim respekt. Z nim musisz dobrze żyć – mówią ci, którzy są tutaj dłużej. Więc staram się uśmiechać, kiedy przechodzi, kiedy coś do mnie mówi, mimo że go nie rozumiem.

Jeśli jest ktoś obok, kto mi przetłumaczy – jestem spokojna. Jeśli jestem sama – boję się, że ja do niego uśmiecham się, a on być może obraża mnie, czy mówi coś złego.

Postanawiam, że najważniejszą dla mnie sprawą jest jak najszybsze nauczenie się języka niemieckiego. Dlaczego byłam taka..., no właśnie, jaka? Głupia, naiwna? Dlaczego nie uczyłam się jeszcze w Polsce, mimo że miałam zamiar tutaj przyjechać. Spóźnione pytania.

Córce ta niezajomość języka wcale nie przeszkadza, jest tutaj przecież wiele polskich dzieci, z którymi się bawi. Kiedyś przybiegła z podwórka krzycząc: „Mama, mama, nauczyłam się czegoś po niemiecku; „spodnie” to po niemiecku „galoty”.

Dobrze, że czasem jest się z czego pośmiać, bo tego najbardziej mi brakuje. Czy córka zachowa w pamięci mamę, która ciągle się czegoś bała? Jaka ona będzie w przyszłości? Czy dobrze zrobiłam, zostając tutaj? Przede wszystkim dobrze dla mnie, mimo rozpadu małżeństwa, ale czy dobrze dla niej? Tak bardzo potrzebowałam kogoś, kto mógłby mi jednoznacznie odpowiedzieć na te pytania. Naiwne pytania.

Dostaję wezwanie (w Polsce nigdy nie dostałam „wezwania”) do Arbeitsamt. Jedzie ze mną kolega męża, jako tłumacz. Już po drodze mówi, że wezwał mnie „najgorszy” urzędnik, pan Huber. Boją się go WSZYSCY. A on daje mi skierowanie na kurs języka do państwowej szkoły. Ma ona dobrą opinię wśród uchodźców, bo niewiele trzeba się uczyć, za to często chodzi się z nauczycielami na kawę. Każdy oczekujący na kurs byłby szczęśliwy, ale nie ja. JA NA-PRAWDĘ CHCĘ SZYBKO NAUCZYĆ SIĘ JĘZYKA NIEMIECKIEGO. Kolega mówi, że jak pan Huber każe, to muszę iść na ten kurs. Następny kurs będzie już w innej szkole, w której trzeba się uczyć, a nie tylko pić kawę i jest dopiero za miesiąc. Staram się wytłumaczyć panu Huberowi, że ja chcę do porządnej szkoły! Zupełnie bezradna, nie wiedząc jak go przekonać, tupnęłam nogą, mówiąc: „Nein, nein” i znieruchomiałam, widząc przerażoną minę kolegi i zdumioną minę pana Hubera, który... roześmiał się i zgodził na kurs w innej szkole.

Uczę się szybko, zachłannie, ale jednak to trwa. Chciałabym wszystko na raz. Tym bardziej, że odczuwam tę nieznajomość języka na własnej skórze. Dorabiam, sprząając remontowany duży sklep „Hafner”. Niby rozumiem, czego ode mnie oczekują, ale pewnego dnia, zamiast szczotki przynoszę szefowej odkurzacza. Śmiech na sali. A sala duża, sprzątaczk, robotnicy budowlani. Wielu ludzi miało udany, wesoły dzień, bo ja nie rozróżniam szczotki od odkurzacza. Nawet nie miałam im tego za złe. Na siebie byłam wściekła, że za wolno się uczę, a skoro nie znam języka, to po co idę do pracy. Zostałam jednak do końca remontu i sprząwania po nim. A po otrzymaniu zapłaty ubrałam się „jak stróż w Boże Ciało”, poszłam do sklepu i kupiłam sobie spódnice. To była taka mała rekompensata. Ale za co? Za moją nieznajomość języka? W każdym razie poczułam się lepiej, a to było ważne.

Córka chodzi już do przedszkola, radzi sobie z językiem niemieckim bardzo dobrze. Jeździmy często do Polski. Auto jest załadowane pod sam dach. Wozimy WSZYSTKO. A ja do tego dokładałam jeszcze moje tęsknoty i samochód naprawdę staje się ciężki. Po latach dowiaduję się od córki, że i ona też dokładała swoje tęsknoty. Wyjeżdżając z Niemiec była smutna, że opuszcza na jakiś czas koleżanki, a wyjeżdżając z Polski była smutna, że opuszcza babcię, dziadka, rodzinę. Już wtedy zadawała elementarne pytanie: „Kim ja jestem, Polak czy Niemiec mały?”

Chyba dobrze, że opowiedziała mi o tym dopiero po latach. Ciężaru odpowiedzialności za jej rozterkę wcześniej nie umiałabym udźwignąć.

Mamy znajomych Polaków, których mąż poznał, będąc w Straubingu w „Übergangsheim”. Dobrze, że ich mamy. Spędzamy ze sobą prawie każdą sobotę. Córka ma kolegę do zabawy, mąż kolegę do alkoholu, a ja koleżankę do babskich pogaduszek. Jestem wdzięczna za tych nowych przyjaciół. Oprócz córki i męża nie mam tu żadnej rodziny. Przyjaciele stali się bardzo ważni, chyba nawet ważniejsi niż w Polsce. Miałam szczęście, że właśnie na nich trafiłam. Byliśmy przez wiele lat bardzo blisko ze sobą związani. Nawet po naszym rozwodzie mogłam na nich liczyć, mimo że byli także przyjaciółmi męża. Życie nas teraz rozdzieliło, ale jestem im bardzo wdzięczna, że byli i nadal gdzieś tam są. Teraz wiem na pewno, że bez nich nie dałabym sobie rady.

Mimo „rozbitego” małżeństwa zachodzę w ciążę. 9 miesięcy spędzam w domu, jestem na zasiłku, na Arbeitslosengeld. Snuję się po domu, myślę, czytam, myślę, czytam i tak w kółko. Pod koniec ciąży, trzy dni przed tym, jak będę wymeldowana z zasiłku, z Arbeitsamtu dostaję wezwanie. Tego urzędu każdy się boi. Ten urząd to pieniądze na życie, więc na każde wezwanie należy się stawić.

Toczę się (przytyłam w ciążę 24 kg), więc rano idę tam, mąż w pracy, muszę iść pieszo. Pytam, dlaczego musiałam dzisiaj przyjść, skoro za trzy dni i tak będę wymeldowana? Pani urzędniczka zadaje mi pytanie życia: „Czy nie zmieniła pani adresu?”. Radzę sobie już dużo lepiej z językiem, więc mówię,

że moim obowiązkiem jest o każdej zmianie powiadomić urząd, więc gdybym zmieniła adres, to bym o tym ich zawiadomiła. A to wezwanie na dzisiaj, na godzinę 8.00 rano uważam za szykanowanie mnie. Nie czekając na odpowiedź – wyszłam. Skutki poznałam parę dni po urodzeniu drugiej córki. Arbeitsamt zażądał zwrotu pieniędzy za 7 dni, z powodów bliżej mi nieznanych. Nie byłam w stanie, tuż po porodzie dociekać, o co chodzi. Musiałabym pójść do adwokata, a mając kilkudniowe dziecko, było to niemożliwe.

Właśnie: „adwokat”! W Polsce nie miałam nigdy do czynienia z adwokatem. W Niemczech każdy ma, a nawet musi mieć swojego adwokata. To też ważna osobistość, tak jak Hausmeister.

Wynajmujemy mieszkanie. Wyprowadzka z „Heimu” jest też bolesna. Polubiłam niektórych współmieszkańców, a teraz będę znowu sama. Jednak kiedyś trzeba się wyprowadzić, a poza tym znajdujemy mieszkanie trzypokojowe. W Polsce mieszkaliśmy w dwupokojowym, (38m²) razem z moją mamą. Więc teraz to mieszkanie – to luksus, mimo że jest na poddaszu, a kuchnia jest bez okna. Trzy pokoje, szczyt moich marzeń. W tym samym domu mieszkają także polskie rodziny. Ulga! Będzie z kim porozmawiać, poprosić w razie czego o pomoc. I znowu spotkanie z rządzącym Hausmeisterem. Córka idzie z kolegą, dzieckiem z innej polskiej rodziny, na plac zabaw koło domu. Za chwilę wracają i wołają już z daleka: taki pan powiedział, że nie możemy tam się bawić. Dobrze, że mąż jest w domu, mój niemiecki jest dużo lepszy, ale nie na tyle, żeby wyklócać się z obcymi ludźmi. Znowu pojawia się w moim życiu ważny pan Hausmeister. Na pytanie męża, dlaczego nie pozwolił dzieciom bawić się tu, odpowiedział, że jest to podwórko dla rozważnych dzieci!!! Widocznie był to Hausmeister – dyplomata. Mógł przecież powiedzieć, że to podwórko nie jest dla polskich dzieci.

I znowu naiwne pytania. Co ja przez tę emigrację do Niemiec zrobiłam mojemu dziecku? Czy poprawa warunków bytu jest w życiu najważniejsza? Czy mieszkanie trzypokojowe jest ważniejsze od rodziny, od bycia „u siebie”, w swoim kraju? Dużo, za dużo pytań i żadnej odpowiedzi.

Staram się organizować przyszłość. Przyszłość zawodową. Gdy Ola pójdzie do przedszkola, ja pójdę do pracy. Chcę do pracy, do ludzi!

Piszę pisma do ministerstwa o uznanie zawodu. Jestem nauczycielką nauczania początkowego. Jestem świadoma, że nie znam na tyle języka niemieckiego, by uczyć w szkole, ale przecież się nauczę, to jeszcze trzy lata, zanim młodsza córka będzie w przedszkolu.

Ministerstwo odpowiada nawet szybko. „Matury pani uznać nie możemy, między innymi dlatego, że chodziła pani tylko 12 lat do szkoły. Zawodu nauczyciela także nie. Uznajemy pani zawód, jako „pomoc pedagogiczną”.

Koniec marzeń o pracy w szkole! Przyszłość zawodowa staje się dla mnie jedną wielką niewiadomą. Dowiaduję się, że mogę iść do szkoły (Fachakademii) i po pomyślnym zdaniu egzaminów uzyskać tytuł „Erzieherin”, czyli przedszkolanki. Na szczęście część przedmiotów i egzaminów zostaje mi

uznana, więc nie muszę chodzić do szkoły 5 lat. Zdaję na koniec egzaminy i dostaję z ministerstwa oficjalne pismo, że jestem „Staatlich anerkannte Erzieherin”.

Piszę kolejne podania o pracę. Nie dostaję ani jednej odpowiedzi. Ani jednej! Nikt nie chce sprawdzić, kto się kryje pod nazwiskiem „Roszkowski”. (Po latach dowiaduję się, że wiele firm ma program komputerowy, który w pierwszej fazie odrzuca wszystkie obco brzmiące nazwiska).

Czytam w gazecie powtarzające się ogłoszenia instytucji, do których wysłałam podanie o pracę. Nie rozumiem, co się dzieje. Przecież się zasymilowałam, mówię dobrze po niemiecku, zdałam egzaminy na „2”, jestem miła i kontaktowa. Ale nie nazywam się Müller, Bauer lub Huber.

Nazwisko można zmienić, ale duszy nie. Jestem Polką, mówię po polsku, nawet w sklepie. Ile razy słyszałam polskich uchodźców mówiących do siebie łamanym niemieckim. Ja tak nie chcę. Uczę córki pisać i czytać po polsku. Z „Elementarza” Falskiego. Po latach starsza córka mi dziękuje, właśnie za to. Oraz, o ironio losu, że zostałam w Niemczech, mimo wszystkich przeciwności losu, bo tutaj – jej zdaniem – ma zapewnioną lepszą przyszłość.

Młodsza córka chodzi już do przedszkola. Ja udzielam się w „trójce rodzicielskiej”. Pomagam podczas organizowania festynów, przywożę zawsze coś słodkiego z Polski. Chyba mnie panie przedszkolanki lubią, bo dostaję ofertę pracy właśnie w tym przedszkolu. Wprawdzie tylko, jako pomoc przedszkolna (mimo uznanego zawodu przedszkolanki), ale i tak jestem szczęśliwa. Wreszcie praca! Po roku zmiana, to samo przedszkole, ale ja „awansowałam” na przedszkolankę. Lubię moją pracę, koleżanki, dzieci, ale coraz częściej czuję, że coś jest ze mną „nie tak”. Trudno mi nazwać, co się dzieje. Nic mnie nie boli, a mam uczucie, że jestem chora. Nie śpiam po nocach, nie mogę jeść, oczy wciąż podpuchnięte. Przypomina mi to mój stan, kiedy byłam u mojej cioci w Monachium. Niby jestem, a mnie nie ma. Najgorsze jest dla mnie to, że nie mogę opiekować się dziećmi. Zmuszam się, by powiedzieć jedno słowo, zmuszam, żeby coś ugotować, zmuszam, żeby żyć. Dzisiaj wiem, że to dzieci mnie uratowały i matczyne poczucie odpowiedzialności za nie. Przywożę z Polski moją mamę, aby mi pomogła, bo wiem, że sama nie dam rady. Wtedy pojawia się w mojej głowie po raz pierwszy słowo „depresja”. Zaczynam bardzo dużo czytać na temat tej choroby. Planuję terminy u lekarza i psychologa, jednak są one bardzo odległe, mam czekać dwa miesiące. W pewien piątek, po pracy siadam w fotelu i mam wrażenie, że on mnie połyka. Że zagłębam się coraz bardziej i bardziej, aż chwytam się poręczy, żeby nie zniknąć w jego czeluściach. Te trzy dni, aż do poniedziałku, wymazałam z pamięci. Nie wiem, co robiłam, gdzie byłam. Fotel „połknął” mnie na trzy dni, a potem wypuł na powierzchnię. W poniedziałek idę do lekarza, u którego mam termin za dwa miesiące. Mówię, że będę czekać cały dzień, ale nie wyjdę stąd, dopóki mnie lekarz nie przyjmie. Czekam od 8.00 do 16.30; w poczekalni czuję się pewnie, wiem,

że ten lekarz mi pomoże. Niepewność dotyczy tylko tego, co mam właściwie powiedzieć. Nareszcie mogę wejść do gabinetu. Lekarz, z pochodzenia Egipcjanin, mówi cichym, miłym głosem. „Proszę powiedzieć, co pani jest?”. Jeszcze w poczekalni biłam się z myślami, nie wiedziałam, co mi jest, a teraz słowa płyną niczym górski potok. To wystarczyło, żeby lekarz postawił diagnozę. Depresja! „Nie ma żadnych wątpliwości, pani ma głęboką depresję, która wymaga leczenia farmakologicznego oraz spotkań z psychologiem”. Dostaję receptę oraz kilka nazwisk psychologów. Ale tak naprawdę, godna polecenia jest tylko jedna pani psycholog. Jeszcze tego samego dnia dzwonię do niej i znowu mam szczęście. Pani ma dwa razy w tygodniu godzinę czasu na rozmowy telefoniczne z pacjentami. Termin: za trzy miesiące. Nie pamiętam, co jej mówiłam, jakich argumentów użyłam, bo dostaję termin za dwa dni. Spotykamy się cztery lata z małymi przerwami. Pierwsze spotkanie jest trudne, mało mówię, dużo płaczę. Dostaję dwa, a nawet trzy terminy tygodniowo. Po jakimś czasie osuwam się z psychoterapią, a psychoterapeutka ze mną. Przyznaje, że miała obawy, czy ma podjąć współpracę z Polką. Jej pacjentami do tej pory byli tylko Niemcy.

Jestem jednak nadal bardzo chora. Psychoterapia i tabletki nie czynią cudów. Nie widząc szybkiej poprawy, postanawiam wrócić do Polski. Po podjęciu tej decyzji, jest mi lżej, ale na krótko. Starsza córka ma 15 lat i nie chce wracać. Były mąż mieszka w Monachium, ożenił się, ale córka nie chce u niego mieszkać. Dopiero po ustąpieniu depresji uświadomiłam sobie, w jak fatalnym byłam stanie, kiedy zgodziłam się, żeby córka mieszkała u koleżanki. Mama Lisi jest psychologiem!

Młodsza córka też jest zrozpaczona, ale jeszcze za mała, żeby się przeciwstawić mojej decyzji.

Jesteśmy w Polsce dwa miesiące, trwają ferie letnie. Sytuacja nie jest tak wspaniała, jak myślałam. Zżerają mnie wyrzuty sumienia wobec dzieci. Jestem zagubiona. Tak naprawdę znowu nie wiem, co mam robić. Krótko przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego wracam do Niemiec. Młodsza córka chyba jest spokojniejsza. To tutaj, a nie w Polsce jest jej miejsce. Tylko gdzie jest moje miejsce? Gdzie szybciej wyzdrowieję? Z czego mamy żyć? Znowu pytania, tysiące pytań. Wyjeżdżając do Polski, straciłam pracę, teraz jestem na zasiłku. Mimo depresji, odnajduję w sobie siły na walkę z chorobą. Jeżdżę na jogę dla ludzi z depresją, szukam pracy na parę godzin tygodniowo (nie mam siły pracować więcej niż 2–3 godziny dziennie) i oczywiście jedyne, co znajduję – to sprzątanie. Dwa razy w tygodniu w jednym domu, dwa razy w drugim. Potem jeszcze dwa razy w tygodniu w gabinecie dentyścym. Do gabinetu zabieram czasem Olę, trochę mi pomaga. I znowu wyrzuty sumienia, jak mogę zabierać dziecko do pracy i oczekiwać, że będzie ze mną sprzątać.

Sama jednak nie mam siły, a pieniędzy brakuje.

Ola chodzi po lekcjach do świetlicy. Prowadzi ją bardzo miła pani, też „obcokrajowiec”, bo z byłej DDR. To dzięki niej dostaję w świetlicy pracę. Parę godzin tygodniowo, ale zawsze to coś, jednak za mało, żeby zrezygnować ze sprzątanía. Trzy lata pracuję w świetlicy, sprzątam jeden dom i gabinet. Nie mam czasu ani dla dzieci, ani dla siebie, bo muszę zarabiać na życie. Nieoczekiwanie dostaję cały etat w przedszkolu. Rezygnuję ze sprzątanía i wreszcie zaczynam żyć. Niedługo! 2001, 2003, 2004 – starsza córka choruje. Ma również głęboką depresję. Żyje na krawędzi życia, a razem z nią i ja, i młodsza córka.

Nadchodzą ciężkie lata, dużo cięższe niż byłam w stanie kiedykolwiek sobie wyobrazić. Młodsza córka usuwa się w cień. Wie, że ja potrzebuję teraz dużo siły dla jej siostry, dla całej naszej trójki. U młodszej córki zostanie w przyszłości też zdiagnozowana depresja. Tabletki i bardzo dobry psycholog pomagają. Dzięki Ci Panie Boże. Od tego momentu wracam coraz częściej do wiary. Nie wierzę w Kościół, księdza, ale w mojego Boga, który pomaga mi z tych dramatycznych sytuacji wyjść na prostą. Który zachował przy życiu moje dzieci i mnie. Przecież musi istnieć Bóg, skoro żyjemy. Przestaję myśleć pesymistycznie, przestaję martwić się na zapas, cieszę się chwilą. Jestem wdzięczna za każdy dzień, za każdą chwilę. Za to, że mam dwie ręce i dwie nogi, że moje dzieci są wreszcie zdrowe. Wdzięczna za wszystko! Zaczynam dostrzegać w nawet najtrudniejszej sytuacji coś pozytywnego. Teraz już wiem, że „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”. Stare, mądre przysłowie, a tak długo potrzebowałam, żeby je zrozumieć i przede wszystkim zaakceptować.

Moi rodzice mieszkający w Polsce pomagają mi jak mogą, zapominając o swoim życiu. Jest to pomoc ogromna, bez nich nie poradziłabym sobie. Zawsze będę im wdzięczna. Dostrzegam także ciężar tej pomocy, całkowitego poświęcenia się dla mnie. Nie mówię mamie o wszystkich problemach. Nie zawsze może pomóc na odległość, a chciałaby bardzo. Codzienne telefony są uciążliwe, pytania, na które nie umiem odpowiedzieć. Ojciec jest trochę inny, pyta, pomaga, ale nie na siłę. Zostawia mi więcej „oddechu”. Jestem zmęczona, bardzo zmęczona. Nawet dziś, po wielu latach, czuję to fizyczne i psychiczne zmęczenie, które mi wtedy towarzyszyło.

Nie pytam, czy tutaj kończy się mój świat, ale jestem przekonana, że tak jest. Praca, dom, dom, praca. Pogodziłam się z życiem i jestem szczęśliwa. Nawet chyba nie miałam wtedy siły na nic więcej.

Ojciec jednego z moich podopiecznych w świetlicy jest z pochodzenia Turkiem. Namówił mnie do kandydowania do tzw. Rady Migracyjnej. „Tylu Polaków jest w Straubingu, a ani jednego nie ma w tej Radzie, niech pani to zmieni”!

Zostałam członkiem Rady. Nowi ludzie, nowe wyzwania, nowe cele, które chciałam osiągnąć. Na początku istnienia Rady odbywało się wiele zebrań, wiele rozmów, ale nic z tego nie wynikało. Po roku „opiekę” nad

Radą obejmuje pan Roman, jako pracownik Urzędu Miasta. Zawsze służy pomocą, tylko trzeba go o nią poprosić, przyjść z własnym pomysłem. I ja taki pomysł miałam! Chcę mieszkańcom Straubinga przybliżyć nas, Polaków. A że literatura towarzyszy mi od dawna, wymyśliłam spotkanie literackie polsko-niemieckie. Mój wujek jest poetą, organizuje Światowy Dzień Poezji w Warszawie, może dałoby się go zaprosić do Straubinga. Idę z tym pomysłem do Romana i...działamy. Znajduję młodego poetę ze Straubinga. Z córkami tłumaczymy wiersze wujka i cioci na niemiecki, a młodego – na polski. Spotkanie z mieszkańcami Straubinga i poetami jest bardzo udane. W rewanżu wujek zaprasza Romana z jego zespołem oraz młodego do Warszawy. Jest to dla mnie sprawdzian mojej wytrzymałości fizycznej, bowiem plany w Warszawie są bardzo napięte. Boję się tłumaczenia „na żywo”, a na koncertach muszę tłumaczyć teksty piosenek oraz rozmowy członków zespołu z publicznością. Pobyt w Warszawie mnie wykańcza fizycznie, ale jestem zadowolona z siebie, że dałam radę.

Zaczynam nowe życie. Jestem ślimakiem, który odważył się opuścić muszlę. Uczę się mówić „nie”, biorę życie w swoje ręce, nie czekam, aż ono mi coś przyniesie. Uczę się „zdrowego egoizmu”. Mając ponad 50 lat, zmieniam pracę. Przez 12 lat pracowałam w instytucji, w której mobbing był na porządku dziennym. Przez pięć lat każdej jesieni chorowałam na zapalenie płuc. Aż w końcu powiedziałam: „nie!”. W nowej pracy nie mam wolnych weekendów, świat pracuje też w nocy, ale nie żałuję. Jestem w końcu coś warta, liczą się ze mną i z moim zdaniem. Żałuję, że nie odeszłam z poprzedniej wcześniej. Widocznie czas był nie ten. Nauczyłam się wiele. To duży skarb wiedzieć, czego się NIE chce, a dzięki tamtej pracy to wiem.

Życie toczy się trochę szybciej. Oprócz pracy i domu jest też wiele projektów, a poza tym są i zawsze będą dzieci. Mam większy kontakt z Polską nie tylko poprzez rodzinne kontakty, ale także ludzi, których poznaję przy realizacji projektów. Wspaniałych ludzi. I zadaję sobie wciąż pytania: „czy tutaj kończy się mój świat?” W życiu piękne są chwile i dla nich właśnie warto żyć.

PS. Nie wiedziałam dokładnie, w jakiej formie napisać te moje wspomnienia. Oczywiście nie napisałam wszystkiego, byłoby tego bardzo dużo. Skoncentrowałam się na kilku. Nie piszę nic o sytuacji politycznej i w Polsce, i w Niemczech w tamtych latach, bo nie to było wtedy dla mnie najważniejsze. Mimo upadku muru i wielkich zmian. Nie piszę też o historii rodziny. Moja babcia (ze strony mojej mamy) w roku 1944 wyszła za mąż za oficera niemieckiego!!! „Za karę”, że ożenił się z Polką, został wysłany na front, do Rygi (był pilotem) i tam zginął. Oczywiście historia ich miłości sięga lat wcześniejszych, podobno 1942 roku. Babcia pracowała na pocztach w Warszawie, gdzie dziadek wysyłał listy. Babcia będąc w zaawansowanej ciąży, po śmierci dziadka, opuszcza Bad Schandau, gdzie mieszkał jej teść i wraca jesienią 1944 roku do Polski. Moja mama przychodzi na świat w Czechosłowacji. Dostaje pozwole-

nie na zamieszkanie w Bieruniu Starym, gdzie otwiera szkołę. Po paru latach otwiera również w tej małej miejscinie bank. Jest przewodniczącą Polskiej Ligi Kobiet i z tej racji wyjeżdża często za wschodnią granicę. Utrzymuje np. kontakty z Panią Tiereszkową, rosyjską kosmonautką. Ale zanim to wszystko nastąpi, w latach 50. jest więziona i torturowana. Chciano ją tym zmusić do zeznań. Uważano za szpiega, gdyż miała za męża faszystę.

Nie mam wielu informacji o dziadku z Bad Schandau, w domu na ten temat nie mówiło się zbyt wiele. Może babcia chciała nas chronić? W Bad Schandau jeszcze kilka lat po wojnie mieszkał mój pradziadek. Po śmierci moja mama dziedziczy $\frac{1}{4}$ domu i właściwie wszystko, co do dziadka należy. Ale nie ma jej tam na miejscu, więc to „wszystko” zamienia się w „nic”. Dziadek był człowiekiem bardzo zamożnym (np. jego pościel miała wyszyte monogramy). Moja mama dostała pościel z monogramem ... notariusza, który zarządzał majątkiem. Widocznie uważał, że ta była od dziadkowej lepsza.

JULIA SCHUCH

Śladami ojca...

Tęsknota wyraża się poprzez język, który zawiera to, co znajduje się we wnętrzu i wydobywa na zewnątrz to, co zostałoby we wnętrzu rozetrwane (lato 2007).

Istota leży w tym, co nieskończone

Polska – lub właściwie słowo „Polska” – jest dla mnie związane z ciepłym uśmiechem. Kiedy ktoś opowiada coś o Polsce – nieważne o czym – uśmiecham się nieświadomie.

A ten uśmiech zawdzięczam przede wszystkim mojej babci ze strony ojca. Znam historię moich przodków w dzisiejszej Polsce, ale czuję to powiązanie nie w związku z tym; jest to raczej uczucie, które ma swą genezę w moich dziecięcych przeżyciach. Babcia wychowała się w Gdańsku, kochała to miasto jeszcze przed drugą wojną światową, a opuściła je, aby przenieść się do swego ukochanego męża, który pracował w Berlinie. Aż do roku 1944 często odwiedzała rodziców i rodzeństwo, jednak pod koniec wojny wszyscy żyjący jeszcze członkowie rodziny uciekli. Po wojnie babcia powróciła tu jeszcze tylko raz (w roku 1988). Kiedy jednak opowiadała o Gdańsku czy o Polsce – co czyniła często – wtedy jej twarz promieniała. Byłam małą i nie znałam kulis, ale dla mnie Gdańsk był czymś nieskończenie dobrym, bo uszczęśliwiał moją babcię.

Również mój ojciec wiele czerpał z tego uśmiechu. W ślad za swoją matką, z jego wewnętrznym zainteresowaniem historią i niesprawiedliwością, zawsze był bliski Polsce. Już pod koniec lat 70. – wtedy byłam jeszcze małą – pojechał wypchanym pod dach samochodem na Śląsk, aby tam wesprzeć pewną rodzinę. Najczęściej wyjeżdżał nocami – pamiętam to, bo kiedy machałam mu na „do widzenia”, miałam uczucie, że „to jest dobre”. Jednak bardziej pamiętam jego powrót: widać było, że jest zmęczony, ale też jednocześnie promieniał. Czymś przepełniony. Nie potrafiłam tego zdefiniować, to było potwierdzenie uczucia, które i mnie dotyczyło. Dziś wiem, że te pierwsze podróże do Polski zaspokajały i karmiły jego przywiązanie i przyjaźń do ludzi z Polski. Z prywatnych transportów z pomocą, wynikły zakrojone na dużą skalę transporty dla

dwóch parafii w Gdańsku. Trwały one wiele lat i zaowocowały wymianą uczniowską; mój ojciec uczył w liceum. I tak dojrzała w nim myśl, aby włączyć w ten projekt swą wielką pasję, jaką jest teatr, by jeszcze bardziej zintensyfikować tę wymianę. Powstały dwie niemiecko-polskie produkcje teatralne obydwu szkół, które stworzyły związek, i które robiły niesamowite wrażenie. Były wyróżniane i podziwiane przez publiczność.

Nie chodzi o podziw. Wiem, że mojemu ojcu zależało na tym, aby u swoich uczniów i uczennic obudzić uwagę, która staje się ich osobistym udziałem. I wiem, że i jemu, i innym biorącym w tym udział osobom udało się to, gdyż tego rodzaju wielkie projekty można jedynie wtedy zrealizować, jeśli wielu ludzi ma wspólny cel. Można to nazwać celem edukacyjnym, ale to słowo nie oddaje całej złożoności problemu, jest to w dużo większym stopniu dawanie przykładu wartości.

Jest to przykład, który przenosi się w swojej autentyczności i rozprzestrzeniając się, staje się poprzez to osobistym udziałem każdego człowieka.

Nasi rodzice dawali nam swoim zachowaniem przykład, tworząc podstawę tego, kim dzisiaj jesteśmy.

Kiedy widziałam, jak promieniała moja babcia i mój tata – budziły się we mnie niezwykle ciepłe uczucia. Stały się skarbem, który dużo, dużo później wypełniłam treścią. Tak czułam się w wielu momentach życia, nie wiedząc, ani nie rozumiejąc, jak to zachować we wnętrzu, by kiedyś móc to wydobyć, pytać, być może nawet wątpić, stwierdzić związek, a wreszcie połączyć i – co ważniejsze – odnaleźć coś takiego, jak spokój.

Przyszłam na świat w roku 1972 w Emsland. Mój starszy o rok brat urodził się jeszcze we Freiburgu, gdzie studiowali moi rodzice. Dorastaliśmy jak bliźnięta w małej wsi, byliśmy całkowicie odmienni, a jednocześnie tak nieskończenie sobie bliscy. Po pięciu latach pojawiła się nasza młodsza siostra, była późnym dzieckiem i zawsze była tą „małą”, ale wywalczyła sobie w rodzinie własne miejsce.

Moi rodzice należeli do tej „grupy”, która się przeprowadziła, co w latach 70. było swego rodzaju stygmatem. Nie brali oni udziału w takich aktywnościach, jak np. stowarzyszenie strzeleckie. Dawali nam – dzieciom wszystko, co było możliwe do spełnienia. Wychowywali nas na ludzi uczciwych, kształtując poczucie samodzielności. Dużo od nas wymagali, ale to były dobre i mądre wymagania, ponieważ ich oczekiwania pokrywały się całkowicie z naszymi. Pozwalali na dużą dążność wolności w szkole. Na żadne z nas nie była wywierana presja, jeśli chodzi o oceny, również co do wyboru zawodu. Pojawiały się krytyczne pytania – jednak jeśli mogliśmy uwiarygodnić swoje zdanie, rodzice je akceptowali. Mieliśmy możliwość naprawdę swobodnego rozwoju, a również – co uważam za jeszcze ważniejsze – możliwość dokonywania korekty bez utraty własnej twarzy.

Obydwoje dali nam ze swej strony wiele dobrych przykładów. Nie było żadnych kazań, ale dużo przeżyliśmy i mogliśmy tak wiele dla siebie z tego

wydobyć. Zostaliśmy wychowani w wierze katolickiej i wszyscy troje chodziliśmy do prowadzonego przez zakonnicę liceum.

Nigdy się nie buntowałam. Powaga i refleksyjność były moimi cechami od wczesnego dzieciństwa. To ćwiczyło mój dar obserwacji i wyczucia innych. niesprawiedliwość doprowadzała mnie do szału. Nie lubiłam chodzić do szkoły. Przedmioty, a przede wszystkim religia i niemiecki, w których chodziło o to, aby wyrobić sobie pewien sposób myślenia, bardzo lubiłam, natykałam się jednak wciąż na „prefabrykowane” opinie, w które miałam wierzyć i je prezentować. Często jednak tego nie czyniłam, co stało się w pewnym sensie kamieniem węgielnym mojego poczucia wyobcowania. Moment kluczowy nadszedł w czasie mojego aktywnego czasu w parafii. Byłam członkiem czasopisma młodzieżowego i sama doświadczyłam, jak mój nieprovokujący, lecz pobudzający do myślenia artykuł, został ocenzone i nie wydrukowano go. Z tym mogłam się jeszcze pogodzić, ale historia miała swój dalszy ciąg. W zespole planowania tygodnia wiary dyskutowaliśmy o treściach. Chciałam więcej, niż tylko śpiewać i modlić się. Chciałam tu zaoferować również forum do różnych refleksji i ewentualnych pytań. I wcale nie chodziło mi o to, aby kwestionować wiarę lub ją niszczyć, chodziło mi o szukanie i znalezienie prawdziwych odpowiedzi. Końcem tej dyskusji była wypowiedź, lub mówiąc precyzyjniej – pokorna prośba jednej z moich rówieśnic, abym nie odbierała jej tego, co jeszcze posiada i abym po prostu zamilkła. Jeśli wówczas znałabym Camusa, potrafiłabym dużo lepiej wytłumaczyć sobie, co się wtedy wydarzyło. W konsekwencji odmówiono mi zgody na kierowanie grupą. Nie jestem posłuszna, nie jestem do zaakceptowania jako kierownik grupy młodzieżowej. Był to dla mnie głęboki cios. Osądzili mnie i skazali, nie wiedząc nawet w ogólnym zarysie, jaka jestem. Nie miałam żadnej możliwości korekty. W konsekwencji stałam się krytyczna w stosunku do kościoła jako instytucji.

W roku 1992 zdałam maturę. Długo nie wiedziałam, czy mam zdecydować się na socjologię, czy na studia nauczycielskie. Zdecydowałam się na perfekcyjną mieszkankę: zostałam nauczycielką w szkole głównej¹ – i to była słuszna decyzja. Zdecydowałam się na studia, które były w odległej od mojej rodzinnej miejscowości – Koblencji. Decydujące w tym wypadku było pragnienie zbudowania sobie samodzielnego życia. Studiowanie możliwie jak najbliżej domu i spędzanie weekendów u rodziców, uznałam w tym punkcie za szkodliwe. Moim marzeniem był Freiburg (na południu Niemiec), ponieważ znałam dobrze i kochałam to miasto, dzięki urlopom i pracy wakacyjnej w hotelu przyjaciół moich rodziców. Koblencja – oddalona o 350 km od Lingen – była mi zupełnie obca, ale jej wybór nie był złym rozwiązaniem. Studia były dla mnie oczywiście ważne. Lecz jeszcze ważniejsze

¹ Hauptschule – szkoła główna, jedna z czterech ponadpodstawowych szkół w Niemczech, obejmująca 5–9 rok nauki.

było dla mnie zbudowanie własnego, całkowicie samodzielnego życia. Do tej samodzielności zaliczałam również niezależność finansową, oczywiście w miarę możliwości. Tak więc zaczęłam sobie szukać pracy. Udzielałam korepetycji, opiekowałam się dziećmi, pracowałam u notariusza jako kelnerka i w urzędzie do spraw młodzieży, udzielałam lekcji gry na gitarze i wczesnego nauczania muzycznego w szkole muzycznej, organizowałam i prowadziłam integrację dla niepełnosprawnych w ich czasie wolnym, nauczałam pedagogiki studentów pierwszego semestru. Każda z tych prac kształtowała mnie, i z każdej coś wyniosłam. Zajmowałam się też sprawami, które nie należały do mojego osobistego życia, ale właśnie należały do życia. I to uważam za pozytywne i ważne. Zdobywałam wiedzę o sobie, ale również o ludziach i ogólnie o samym życiu. Ważnym dla mnie okazał się okres, kiedy opiekowałam się po raz pierwszy osobą upośledzoną:

„...Dziecko gorzko płakało, opiekunka stała obok, nie było żadnej próby pocieszenia go. Stałam na środku podwórza i miałam kompletną pustkę w głowie, ponieważ właściwie już chciałam podejść i wziąć chłopca na ręce, ale nie zrobiłam tego, bo nie chciałam nikogo obrazić! Gdy tak stałam i analitycznie rozważałam, co będzie właściwe – w pewnym momencie przez to podwórze przeszła upośledzona dziewczynka, która zazwyczaj nigdy nie oddalała się od swojego opiekuna. Wzięła chłopca na ręce i nagle „wszystko było dobrze”. Myślenie jest dobre, ale działanie o wiele lepsze.

Przedmiotami na moich studiach – obok tych obowiązkowych (pedagogicznych i dydaktycznych) – były matematyka, muzyka i religia katolicka. To ostatnie wybrałam, gdyż myślałam, że znajdę odpowiedzi na pytania, które jeszcze wciąż były we mnie. Nie otrzymałam ich i w konsekwencji świadomie nie zdobyłam kościelnego pozwolenia na nauczanie religii, przedmioty takie, jak etyka i filozofia są mi dużo bliższe. Wszystko traktowałam bardzo poważnie. Matematyka, której mieliśmy się uczyć, nie miała nic wspólnego z matematyką, której potrzebowałabym w moim zawodzie – stąd brakowało mi motywacji, aby się naprawdę przyłożyć. Obłąkałam wiele kolokwiumów, ale naprawdę chciałam opanować ten przedmiot. Moja postawa nie ukryła się przed profesorem matematyki, który ją oczywiście całkowicie odrzucił, w konsekwencji czego musiałam w niesprawiedliwy sposób walczyć o mój pierwszy egzamin państwowy. Jednak nareszcie miałam motywację, aby uczyć się treści tego przedmiotu, który chciałam zaliczyć. Kiedy w roku 1998 rozpoczęłam staż nauczycielski w Palatynacie, mogłam spojrzeć wstecz na sześć lat, które dały mi to, na co miałam nadzieję: całkowicie samodzielne życie. Już nie tylko powaga i refleksyjność są moimi cechami. Ciekawość, śmiech, poznawanie ludzi i uczenie się ich kochania. Podobnie muzyka, czytanie, sztuka i przede wszystkim morze – wszystko to należy do mnie. I tak często noc była moim dniem. Morza – Północne i Bałtyk – przyciągały się magicznie, a ja cieszyłam się tym, co następowało, co ofiarowało mi życie.

Myślałam o stażu nauczycielskim, wiedziałam już na wstępie, że kolejne półtora roku będzie trudne, ponieważ staż nie jest miejscem, gdzie samodzielni – być może też indywidualiści – są chętnie widziani. I to w moim przypadku miało się potwierdzić. Jednak w tak ostry sposób, jakiego się jeszcze wówczas nie spodziewałam. Po każdej próbie nauczania słyszałam od nauczycieli przedmiotowych, że nie nadaję się do tego zawodu. Niekiedy mówiono to ogródkami, innym razem – dosłownie, częściowo uzupełniając zachętą do zakończenia tego stażu i poszukania sobie innego zawodu. Nie chodziło im o moją wiedzę, oni odnosili się do mojej nauczycielskiej osobowości. Ponownie zostałam oceniona i skazana. Nie słuchałam tego, w głębi mojego jestestwa wiedziałam, że to jest właściwy dla mnie zawód i nie mają racji w tym, co mówią. Jednak całkowicie „postawiłam” siebie pod znakiem zapytania. Zdałam mój drugi egzamin państwowy, mimo że z powodu oceny – wydawało się to już prawie niemożliwe. Na szczęście przeprowadzał go bezstronny egzaminator i chociaż był zaprzyjaźniony z jednym z moich kierowników seminaryjnych – przeprosił mnie. Nie czułam zadośćuczynienia, te półtora roku pozostawiło głębokie bruzdy; wróciły wspomnienia, które były niekiedy bardzo głęboko ukryte.

Wciąż jeszcze, szukając zrozumienia, objęłam w lutym 2000 roku moją pierwszą posadę nauczycielki w Koblencji. Nie chciałam właściwie tam powrócić, marzyłam o Szlezwiku-Holsztynie, ale rozsadek podpowiadał mi, aby brać tę posadę. Niestety – źle się czułam w tej szkole. Moim zdaniem – kierownictwo szkoły obchodziło się zarówno z uczniami, jak i nauczycielami jednakowo nieludzko. Miałam poczucie uwięzienia w tym systemie i myślałam nawet o rezygnacji. Nie mogłam znieść żadnych dalszych zależności. Ale ostatecznie zostałam tu, próbując szukać w tym – w moim odczuciu – chorym systemie niszy i miejsca, gdzie mogłam przekazywać moim uczniom to, co było dla mnie ważne. I udało się to – bez większych trudności. Zapobieganie przemocy i interwencja leżały mi już w trakcie stażu na sercu i są ważne do dzisiaj. I niech tak pozostanie. Tu decydujące są dwie rzeczy: nie podzielałam postawy „I tak nie da się nic zrobić !”, poddawanie się jest czymś, co nie wchodzi w moim przypadku w grę. A jednocześnie wiem, że w czasie każdej udanej prewencji czy interwencji – skutecznie chronię ofiarę. Nikt nie ma pretensji, że jest tak ukształtowany. Często decyduje o tym brak alternatywy, zbyt niska samoocena, aby przyznać się do słabości. Tu leżą punkty odniesienia, jak również przyczyny takiej czy innej postawy.

Początkowo byłam w tej kwestii całkowicie nieuksztaltowana i chwilami działałam intuicyjnie, reagując na to, na co natrafiałam. W ciągu pierwszych dwóch lat powstał pierwszy projekt, który polegał na omówieniu i zajęciu się w czasie specjalnej dyskusji tym, co było ważne dla klasy. Nie chodziło tylko o konflikty, chodziło też o życzenia i szybko byłam przy zasadzie samorefleksyjności, wczuwania się w myśli i uczucia z perspektywy kolegów szkolnych. Moim celem było obudzenie u moich uczniów świadomości

tego, kim się jest – ze wszystkimi mocnymi i słabymi stronami. To, że może się to udać jedynie w odniesieniu do innych, w sensie szacunku, uwagi i respektu – czyni ten cel tak kompleksowym.

W 2004 roku przeniosłam się do wybranej przez siebie szkoły, w socjalnym punkcie zapalnym Koblenckiej. Szkoła z dziećmi migrantów, szkoła z wieloma uczniami z problemami wychowawczymi, szkoła z uczniami takimi, jakich lubię – i szkoła z dobrym kierownictwem. Objęłam piątą klasę, a moja forma „rady klasowej” stawiała się coraz bardziej precyzyjna; ta praca była satysfakcjonująca. Przypadek zrzucił, że podjęłam następną decyzję: pozostanę w tej szkole, ale jednocześnie stworzę sobie „drugą podporę”. Wahałam się pomiędzy kształceniem się na hospitantkę lub na trenerkę w dziedzinie przeciwdziałania agresji. W obydwu przypadkach było dla mnie jasne, że nie mogę podjąć tej decyzji na ślepo, lecz muszę sama sprawdzić, kto będzie „mnie kształcił”. Nie podjęłabym się dalszego kształcenia, jeśli istniałoby niebezpieczeństwo, że znowu będę „niewidoczna”. Trafiłam na świetnego trenera przeciwdziałania agresji i uspokajania, który podzielał moje poglądy i akceptował moją postawę wewnętrzną. Już miesiąc później rozpoczęłam kształcenie, które rozwinęło mnie pod każdym względem. To był szczęśliwy przypadek. Swoje pierwsze doświadczenia natychmiast przenosiłam do szkoły i obok programu pierwszej prewencji, sama zaczęłam kształcić mediatorów. Doskonaliłam radę klasową i zaczęłam wprowadzać w trudnych klasach program przeciwdziałający agresji. Tym programem zostali objęci uczniowie, którzy z powodu swojego zachowania prawdopodobnie nie ukończyliby szkoły. To odniosło sukces. Mniej sprawdził się trening uspokajający. Tu powodzenie mogła zapewnić ścisła współpraca wychowawcy z grupą, co jest podstawą treningu. Byłam niezadowolona, chciałam więcej, chciałam kolejnej zmiany. I tak powstały dyskusje klasowe bazujące na pedagogice konfrontacyjnej. Wprowadziłam je w każdej klasie, cała szkoła miała więc spójny system, który działał prewencyjnie i interwencyjnie. Z biegiem lat stawały się zbędne programy przeciwdziałania agresji i łagodzenia sytuacji, a później zbędni sami mediatorzy. Byłam zadowolona.

Pracowałam osiem lat w tej szkole, następnie przeniosłam się do podobnej w Bonn. Również w tej szkole, w każdej klasie znajdowali się przedstawiciele co najmniej ośmiu narodowości. Często przeważali uczniowie niemieckiego pochodzenia. Tę „kolorową mieszankę” odebrałam jako bardzo wzbogacającą. Wrogość wobec innych nie powinna mieć miejsca, ale wciąż pojawiają się rasistowskie powiedzenia, nie mają one jednak wspólnego celu. Jeden ma uprzedzenia w stosunku do Niemców, drugi w stosunku do Turków, jeszcze inny nie lubi Arabów... Kiedy sięga się do przyczyn, są nimi złe doświadczenia, które były swego rodzaju katalizatorem, jednak gdy zagłębić się w tę historię, każda taka wypowiedź jest bezpodstawna i ostatecznie okazuje się, że jest to własne niezadowolenie, lub konkretnie – tęsknota za czymś. Przybliżanie młodym ludziom obcych kultur uważam za

nieskończenie ważne. W naszej szkole odbywa się to niemal automatycznie. Nawet nie wszyscy nauczyciele mają niemieckie pochodzenie, wielu ma tło migracyjne, niektórzy nawet nie znają dobrze niemieckiego. Uprzedzenia można likwidować tylko wówczas, kiedy czyni się to w oparciu o inne doświadczenia i wiedzę na ten temat.

W dwóch poprzednich szkołach uczestniczyłam bardzo aktywnie w ich rozwoju. I stąd logicznie wynikało, że latem 2005 roku ubiegałam się o wolną posadę zastępcy dyrektora w mojej szkole, mimo że nie przewidywały tego moje plany życiowe. Wręcz przeciwnie, nigdy nie chciałam być w zarządzie szkoły. Ale nadszedł czas, aby sprawdzić, ile z tego co chciałabym zrobić – jest możliwe do realizacji.

Zdecydowanie nie planowałam mojej drogi zawodowej, chociaż zawsze miałam i mam do tej pory wiele pomysłów. Co mnie jeszcze czeka na tej drodze – nie chcę wiedzieć. Ale wierzę, że również w przyszłości będę dokonywała właściwych wyborów. To, że jeszcze nastąpią zmiany, wiem na pewno, ponieważ szukanie wyzwań jest częścią mnie samej.

W odróżnieniu od tego, jak prosta była moja droga zawodowa – nie dotyczyło to mojej prywatnej drogi życia. Chadzałam okrężnymi drogami, „ładowałam” w ślepych uliczkach, upadałam i spadałam jeszcze niżej, ale nigdy się nie poddawałam. Przy tym wszystkim, co zostało mi zaoferowane – mój upór, moja wojowniczość i mój optymizm – prowadzą mnie do celu. Od 2009 roku mieszkam w Bonn razem z moim mężem i dwojgiem wspaniałych pasierbów (straszne słowo !) i dotarłam do tego wyznaczonego przez siebie celu. Dotarłam w życiu. Dotarłam w moim życiu. Dotarłam we wspólnym życiu.

Moje polskie korzenie nie odgrywają w moim życiu zasadniczej roli. Ale mają wpływ na otwartość i na wszystko, co nieznane i wyculają na pewno „na polysk tego świata”. Kiedy zdecydowałam się wziąć udział w rozmowach biograficznych, miałam jedynie mgliste pojęcie o tym, co mnie spotka. Mój ojciec przybliżył mi to w serdeczny sposób i ostatecznie była to decyzja spontaniczna. Biografiami ludzi, którzy mnie interesują, zajmowałam się zawsze. Również w moim zawodzie za decydujące uważam to, aby wiedzieć lub przynajmniej domyślać się, jaką biografię dany uczeń nosi ze sobą i w sobie. Niektóre przeżycia są tak kształtujące i rozstrzygające, że określają dalszą drogę każdego człowieka. Ale są to nie tylko przeżycia, często są to opowieści bliskich ludzi, które kształtują nasze uczucia. A my przekazujemy je dalej, jak w moim przypadku z babcią i ojcem. Nie wiedziałam wiele, jedynie to, co od nich przejęłam. Z tego powstało moje wewnętrzne przyjazne uczucie w stosunku do Polski. Przeniknęło ono we mnie wraz z promieniami mojej babci, a teraz jest moim uśmiechem. Innym powodem mojego udziału w rozmowach, było pragnienie, aby tą pełną uczucia wiedzę zapełnić treścią.

Wcześniej byłam z ojcem trzy razy w Gdańsku. Pierwszy raz pojechałam, aby przywieźć potrzebne leki. Zostaliśmy tylko na jedną noc; zobaczyłam

przepięknie oświetlony Długi Targ – a było to ciepłe światło, a ulica spokojna. Również następnego dnia mieliśmy trochę czasu, niektóre wrażenia zabrałam ze sobą, ale to było raczej wspomnienie atmosfery, na którą natrafiłam.

Latem 2010 roku pojechałam z koleżanką na tydzień do Gdańska. Tego lata moje życie legło w gruzach, jeszcze przez długi czas nie zostało ułożone, wszystko było w nieładzie – jednak miałam pewne przekonanie i uczucie: jest dobrze! A co jeszcze „nie jest dobrze, będzie dobrze”.

Ten czas pobytu w Gdańsku uczynił tę podróż szczególną. Ponieważ na pewno podążylabym śladami mojej babci, jednak tego lata – połączyłam je z własnymi. Miałyśmy niewielki kontakt z mieszkańcami, ale wiele zwiedziłyśmy; pojechałyśmy też do Sopotu i na półwysep helski. Nie było miejscowości, która by mi się nie podobała, było przepięknie. Kiedy wracałyśmy do domu, miałam wrażenie, że jeszcze dużo pozostało do zobaczenia.

Jest potrzebą serca mojego ojca, aby pokazać nam – dzieciom – Gdańsk i Mazury. Jesienią 2012. pojechaliśmy wspólnie z moimi rodzicami i z moim mężem, na prawie dziesięć dni do Gdańska. Pominęliśmy Mazury, nie starczyłoby na nie czasu. Ojciec pokazał nam nie tylko miasto i otoczenie (Malbork, Karlsberg, Frombork, Sztutowo, Oliwę i Sopot), opowiadał nam też o historii, rozwoju i o życiu w dzisiejszej Polsce. Było wiele momentów i miejsc, które wywarły na mnie głębokie wrażenie. Jednym z nich był spacer z moim mężem na sopockim moło, które było jednym z ulubionych miejsc babci (tam poznała dziadka). Ale pobyt w Sztutowie był dla mnie wstrząsający. Tam przeżyłam coś, czego nie da się zapomnieć nigdy – w najróżniejszych chwilach mam to miejsce przed oczami:

„Zdenerwowany motyl latał tam i z powrotem, pomiędzy ścianą wystawową a znajdującym się za nią oknem. Nie mógł się stamtąd wydostać, było za wąsko. W głowie miałam tylko jedną jedyną myśl: tutaj już nikomu nie wolno cierpieć, a w żadnym razie umierać. Weszłam za ścianę, ostrożnie złapałam motyla i wyniosłam na zewnątrz, gdzie szybko odleciał. We mnie zapanował nieopisany wprost chaos”.

Moja fragmentaryczna wiedza o mieście i historii Polski została dzięki mojemu ojcu połączona i uzupełniona. Jeśli dziś ktoś opowiada o Gdańsku – wtedy już nie tylko moja babcia i mój ojciec karmią swój uśmiech – także ja sama.

M.in. dlatego cieszyłam się na to spotkanie w Pułtusku – brakowało mi jeszcze spotkania z ludźmi stamtąd. Z opowieści mojej babci i ojca powstał obraz tego, jacy są Polacy i w czasie pobytu w Pułtusku przypominałam sobie niektóre z tych opowieści. Mój ojciec opisywał zawsze niesamowitą gościnność, to że stół uginał się pod jedzeniem w ilości nie do przejedzenia. To samo przeżyłam. Nie chodzi tylko o jedzenie, ale też o bycie z sobą i rozmowy. „To jest miejsce, gdzie odkrywają się wszystkie karty” – przyszło mi nagle do głowy – i miałam uczucie, że coś pojęłam.

Moja babcia mówiła zawsze: Polacy mają wiele do powiedzenia i czynią to, nie pomijając detali. Tego również doświadczyłam i bardzo mi się spodo-

bało. Otwartość, przyjacielskość i serdeczne ciepło są cechami, które moja babcia i mój ojciec przypisują Polakom. Kiedy byłam z koleżanką w Gdańsku, nie odczuwałam tego. Nie dziwiłam się temu, bo uznałam to za znak upływu czasu, a winą obarczałam fakt, że byłyśmy po prostu turystkami. Zostałyśmy „konkretnie” potraktowane. Naturalnie krąg ludzi, który zgłasza się na konferencję w rodzaju rozmów biograficznych, odznacza się otwartością i ciekawością. Nie dziwiło więc, że od początku panowała serdecznie otwarta atmosfera. Jednak: to nie są tylko historie i przeżycia, których wysłuchałam – jest również to „coś” niewypowiedziane, które znajduje się pomiędzy wersami i uwidacznia poprzez mowę ciała: cechy się zgadzają.

Nawet jeśli moje polskie korzenie mnie nie ukształtowały, to jednak spowodowały już we wczesnych latach, że zachowałam coś bardzo szczególnego: otwartość na wszystko, co jest nieznane i wrażliwość na śmiejące się promienie na tym świecie.

(Przełożyła: Katarzyna Gawor)

HALINA STANO

Poszukiwanie prawdy o Niemczech...

Urodziłam się w Warszawie, w listopadzie 1954 roku, w rodzinie polskiej inteligencji. Całe moje życie związane było i jest z tym miastem, jego historią i dziedzictwem z czasów okupacji i II wojny światowej. Wojnę i Niemców znałam więc przede wszystkim poprzez skutki, widoczne na ulicach mojego miasta, a także z lekcji historii, książek, filmów i opowieści rodzinnych.

W dzieciństwie mieszkalam w samym centrum Warszawy i dobrze zapamiętałam ruiny spalonych domów, podziurawione od kul elewacje starych kamienic oraz liczne miejsca pamięci i straceń ludności cywilnej i powstańców warszawskich z 1944 roku. Do dzisiaj Warszawa nosi ślady swej tragicznej historii.

Należałam do Związku Harcerstwa Polskiego i opieka nad miejscami pamięci ofiar II wojny światowej była dla nas fundamentalna. Chodziło o to, aby tragiczne losy narodu były przestrożą i nauką na przyszłość.

Najbardziej wryły mi się w pamięć :

- pusty plac Zamkowy, z jedynym ocalałym szkieletem ściany zamkowej,
- kwatery powstańcze na cmentarzach: na Powązkach i na Woli,
- Stadion X-lecia, który zbudowano na gruzach i z gruzów zburzonej Warszawy.

Moje prawdziwe i faktyczne kontakty z Niemcami zaczęły się znacznie później, w okresie studiów, w końcu lat 70. poprzedniego wieku. Wtedy poznałam swego przyszłego męża, kolegę ze studiów, który często podróżował do Niemiec, do swojej mamy. Była ona znaną artystką śpiewaczką; od 15 lat mieszkała i pracowała w Deutsche Oper am Rhein w Düsseldorfie .

Nie wspomnę już o dobrach materialnych, którymi czarował mnie w biednej Polsce, ale pamiętam przede wszystkim emocjonalne dyskusje,

jakie wówczas prowadziliśmy. Później poznałam jego mamę, a potem po-
braliśmy się. Dyskusje stały się bardziej otwarte i szczere. Ja, wychowana
w PRL, wyedukowana według propagandowego wzorca, byłam oszołomiona
ich poglądami i opowieściami. Moja teściowa – Nina – zawsze z przekona-
niem twierdziła, że Niemcy się zjednoczą, bo muszą się zjednoczyć jako
państwo. Dla mnie to była herezja, ale stało się! Albo, że ZSRR był również
okupantem, bo mordowano i wywożono na Sybir niewinnych ludzi tylko za
to, że byli Polakami. Też prawda.

Powoli, ale coraz głębiej wchodziłam w historię i coraz szerzej otwierały
mi się oczy ze zdumienia. Nie zdawałam sobie sprawy, że byłam tak naiwna.
Ale chętnie słuchałam zarówno opowieści teściowej, jak i mojej rodziny,
wujków i cioć.

Teściowa wiele opowiadała mi o swojej licznej rodzinie, ale przede
wszystkim o swoich rodzicach: Wilhelminie i Fryderyku, o ich wojen-
nych losach. O tym, jak przerażeni uciekali ze Lwowa, dosłownie z jedną
małą walizeczką. Zostawili cały majątek, by ratować życie. Jej ojciec,
były oficer Legionów Piłsudskiego i armii polskiej, wcześniej oficer armii
austriackiej, w cywilu zaś urzędnik bankowy we Lwowie, był wysoce
podejrzany dla NKWD. Długo się ukrywał, ale gdy dowiedział się o wy-
wózce na Sybir – postanowił chronić rodzinę i uciec w jedynym moż-
liwym kierunku, czyli na stronę niemiecką. Pojechali więc na granicę
radziecko-niemiecką, ale tam okazało się, że granicę mogą przekraczać
tyko uciekinierzy z centralnej Polski. Mieszkańcy z terenów wschodnie-
go brzegu rzeki Bug, ze Lwowa, należeli do ZSRR. Zdesperowany ojciec
podszedł do oficera niemieckiego. Znał doskonale język niemiecki, więc
powiedział mu wprost, że jeśli ich nie przepuści to zostaną wywiezieni
i zamordowani przez Rosjan. Oficer pomógł, uciekli przed bezduszną
sowiecką machiną.

Fryderyk jednak wkrótce zmarł, bowiem miesiące ukrywania się w piw-
nicach uaktywniły chorobę płuc. Wilhelmina przeżyła wojnę w Krakowie,
przez lata ukrywała swoją przyjaciółkę ze Lwowa, Żydówkę. Nie mogła
jednak odnaleźć się w nowej, powojennej rzeczywistości i bardzo wcześnie
zmarła, podobno z tęsknoty.

Wuj i rodzina mojego taty, którzy mieszkali pod Tarnopolem, doświad-
czyli wysyłki na Sybir. Nie spodziewali się, że będą deportowani. Ale ponie-
waż mieli gospodarstwo rolne, a wujek służył w armii polskiej, całą dziesię-
cioosobową rodzinę wywieziono w bydłowych wagonach na daleki i zimny
Sybir. Dostali godzinę na spakowanie. Ciotka nie zdążyła nawet wyjąć chle-
ba z pieca, a w drodze urodziła dziecko. Opowiadała potem o strasznym
głodzie i chłódzie, ale jakoś przeżyli.

Po wojnie, w ramach repatriacji po utraconym majątku, przyjechali na
Dolny Śląsk i objęli gospodarstwo niemieckie po deportowanych Niem-
cach. Mieszkają tam do dzisiaj...

Historia zamknęła się wbrew woli ich uczestników. „Przegrani” Niemcy zostali wysiedleni ze swoich domów, a „wygrani” Polacy również zostali wyrzuceni ze swoich domów i zmuszeni do wyjazdu. W efekcie wszyscy byli przegrani. Zwycięzcy i zwyciężeni zapłacili straszną cenę. Nigdy już nie wrócili do siebie. Historia też uczy pokory.

Pierwszy raz do RFN pojechałam w 1976 roku, będąc jeszcze studentką. Tam wszystko było inaczej, pachniały nawet opary benzyny, które docierały z podziemnego garażu na klatkę schodową kamienicy na Altstadt w Düsseldorfie. To był szok i refleksja, że nie jest tak, jak mówiono w telewizji...

Potem jeszcze wielokrotnie odwiedzałam Niemcy – sama, bądź z mężem, albo z dziećmi. Najdłuższy pobyt miałam za sprawą wprowadzenia stanu wojennego, w grudniu 1981 roku.

Ja przyjechałam 5 grudnia, a mąż miał dojechać 17 grudnia. Nie zdążył, ponieważ 13 grudnia zamknięto granice i wyłączono telefony. Nie było żadnego kontaktu. Po czterech miesiącach wróciłam do Polski z dwuletnią córką. Uznałam, że moje miejsce jest jednak w kraju, mimo że zaznałam wiele życzliwości i sympatii ze strony Niemców. Wizę również przedłużono mi na sześć miesięcy bez zbędnych formalności.

Niemcy, które zobaczyłam nijak miały się do historii, którą znałam. Ludzie życzliwi, mili i hojni. Jak mogli być tak okrutni i bezwzględni podczas wojny??? Miasta piękne i zadbane. Jak mogli wydać rozkaz likwidacji miasta i z premedytacją wysadzać dom po domu w Warszawie, by zostały tylko zgłiszcza?

Czułam żal i smutek, był jednak cel. Dlaczego ja mam być gorsza? Dlaczego biedniejsza? Można przecież skorzystać z doświadczeń innych, zbudować nową Polskę i nowe relacje. Dlatego z entuzjazmem przyjęłam wejście Polski do Unii Europejskiej i szczerze wierzę w budowę nowej, wspólnej Europy. W takim duchu wychowywałam moje dzieci. Zanudzałam je opowieściami z przeszłości po to, aby mądrość historyczna i trudna przeszłość nauczyła je patrzeć w przyszłość ponad wszelkimi podziałami i uprzedzeniami. Młodzi jednak nie interesowali się historią i nie zawsze chcieli mnie słuchać. Po latach myślę, że coś jednak zostało w ich pamięci.

Wiedziałam też, że osobiste kontakty młodych Polaków i Niemców mogą zmienić ich wzajemne relacje, zrozumieć i zaakceptować różnice, dlatego córki moje uczyły się w szkole niemieckiej w Warszawie. Poznały język, rówieśników i kulturę niemiecką. Nie było łatwo, musiały bowiem zmierzyć się z różnymi problemami narodowościowymi i to w dość trudnym czasie dla nastolatków. Równolegle, dodatkowo musiały uczyć się języka polskiego i polskiej literatury oraz historii. Poradziły sobie znakomicie. Do dzisiaj utrzymują przyjaźnię ze szkolnej ławy. Ukończyły studia, znają biegle niemiecki i angielski, więc Europa dla nich naprawdę nie ma granic.

Historia pamięcią pisana i konfrontowana, to według mnie klucz do otwierania zamkniętych drzwi, poznawania swoich nadziei i lęków oraz do porozumienia i współlistnienia.

MAGDALENA ULLRICH

*Mit jeder Sprache, die du erlernst,
befeist du einen bis daher in dir gebundenen Geist.*

Friedrich Rückert (1788–1866)

*(Z każdym nowo poznanym językiem, którego się nauczysz,
wyzwała się w tobie nowy duch, który dotąd był jedyny.)*

Moje języki...

Gdybym wówczas w liceum wiedziała, jak potoczą się moje dalsze życiowe losy, na pewno nie robiłabym wszystkiego, co w mojej mocy, aby uniknąć nauki języka niemieckiego. Tym bardziej, że zawsze lubiałam uczyć się języków, bo przychodziło mi to z łatwością. Nauka ich była dla mnie powiązana z matematyką i fizyką: „wystarczyło” poznać reguły, aby bez większego trudu znajdować różne rozwiązania, które pozwalają w ten sposób porządkować świat.

Pierwszym był oczywiście język polski. Zaczęło się to w wieku przed-szkolnym, kiedy musiałam poradzić sobie sama z bajkami, które koniecznie chciałam poznać, a rodzice nie mieli aż tyle czasu, żeby mi je czytać. Jako dziecko odkryłam, że pojedynczymi literami rządzi pewien system i że im więcej poznam znaków, tym szybciej dowiem się, co działo się dalej z książkowymi bohaterami.

W szkole podstawowej chętnie uczyłam się rosyjskiego. Potem przyszedł czas na angielski, który posiadał znacznie więcej „zalet”, można go było stosować w praktyce. Filmy, piosenki, książki były do dekodowania tego języka, a samo uczenie się go, było ciekawą zabawą w rozszyfrowywanie nowych wiadomości.

Nadszedł czas liceum. Z angielskiego miałam niezłe oceny, ale wkrótce trzeba było podjąć decyzję o wyborze drugiego języka obcego. Narzucone było, że angielski dobrze „współgra” z niemieckim. Jednak samo brzmienie tego języka budziło we mnie odrazę. Osoby z mojego pokolenia i starsze znają te skojarzenia, które nam towarzyszyły. Mimo, że absolutnie nic nie mieliśmy wspólnego z wojną, byliśmy tak nakarmieni jej obrazami i wyb-

rażeniami, że „kursowały” one jako nocne i dzienne zmy. Moja zmy była na tyle silna, że zmyśla mnie do „sterroryzowania” nauczycieli i wymuszenia zamiany niemieckiego na francuski. Niestety ten nowy język też nie przyniósł mi szczęścia.

Skąd u mnie wzięła się tak wielka awersja do języka niemieckiego? Od dzieciństwa utrwalały się emocjonalizowane czarno-białe obrazy, w pełnym tych słów znaczeniu. Filmy, książki, biografie i lekcje historii przepełnione były przykładami ponurych, okrutnych i bezwzględnych Niemców, znęcających się nad szlachetnymi, odważnymi, dumnymi i bohaterskimi Polakami. Pierwsze słowa, jakie poznałam w tym języku (dzieli ze mną tę wiedzę całe pokolenie) to: *Achtung, Achtung, Hände hoch, Halt, Schneller, schneller*, kierowane do popędzanych więźniów w obozach koncentracyjnych. Dobrze znaliśmy te obrazy z seriali i filmów („Stawka większa niż życie”, „Czterej pancerni i pies”, „Akcja pod Arsenalem”), oraz z książek dla dzieci i młodzieży (biografie Św. Maksymiliana Kolbe i Janusza Korczaka. Towarzyszyły nam one podczas kolonii i obozów harcerskich). Przy tym jest wielce zastanawiające, że w dzisiejszych Niemczech mocno podkreśla się, że prześladowania owszem były, ale kierowano je przeciwko osobom wyznania żydowskiego. Niestety, nie mogę już odszukać z okresu mojego dzieciństwa książek o wojnie; z bibliotek i ze wznawiania zostały wycofane, jako świadomie reprezentujące propagandowe treści, „ubrane” w pasjonujące akcje.

Dla wielu uczniów nauka języków była złem koniecznym, dla mnie wiązała się z poczuciem, sukcesu. W efekcie mojej „walki” z językiem niemieckim – otrzymałam to, czego chciałam: mogłam uczyć się języka francuskiego, który postrzegałam jako wyjątkowo piękny, melodyjny i tajemniczy. Spotkało mnie wielkie rozczarowanie, gdy okazało się, że nauczycielka nie dzieli ani mojego zapалу, ani zachwyty. Jej lekcje polegały na tym, że zostawiała nas – samych uczniów z podręcznikiem, abyśmy czytali i uczyli się na pamięć gramatycznych reguł. Oczywiście efekty takiego nauczania były katastrofalne. Po dwóch latach „intensywnego” uczenia się, lepiej potrafię posługiwać się językiem rosyjskim, niż francuskim.

Kolejne spotkanie z językiem niemieckim miało miejsce podczas studiów, kiedy poznałam mojego obecnego męża. Przez kilka lat wystarczała nam komunikacja po angielsku, a niemiecki był nieobecny. Nagłe zapotrzebowanie na ten język pojawiło się w momencie, gdy po studiach przeniosłam się do męża na polsko-niemieckie pogranicze, nieopodal Szczecina, tyle że po niemieckiej stronie granicy. Trzy faktory motywowały mnie do nauki niemieckiego: chciałam pójść do pracy, chciałam porozumiewać się z sąsiadami i znajomymi i chciałam „mieć” dostęp do książek z obszernej biblioteki mojego męża. Po roku, czyli w tempie błyskawicznym, nauczyłam się języka w stopniu komunikatywnym. Ale uczę się go nadal. Najważniejszymi instrumentami nauki były rozmowy, autodydaktyka i... Harry Potter.

To dzięki pięciu tomom tej książki, które znajomi podarowali mi na urodziny, mogłam w końcu mówić. Był to przełom. Tak, jak ucząc się języka ojczystego – rozszyfrowując książki – w ten sam sposób nauczyłam się języka niemieckiego. Stało się to po kilku tygodniach obcowania z literaturą, a konkretnie – z Harrym Potterem. Na początku oczywiście czytanie było ogromnie mozolne, ale z czasem przestałam podkreślać słowa i sprawdzać je w słowniku, a zaczęłam domyślać się słów z ich kontekstu. Było to o tyle lepsze rozwiązanie, że słowa utrwały się same w ich oryginalnym znaczeniu. Każdy, kto zna przynajmniej dwa języki wie, że znajomość drugiego jest powiększeniem własnego świata wyobrażeń i doznań, bo dochodzi tyle nowych słów, których najlepiej nie tłumaczyć dosłownie, bo zmienia się ich znaczenie i sens.

Po czternastu latach mojego życia w Niemczech posługuję się niemieckim na tyle sprawnie, że mogę samodzielnie wykonywać urzędową pracę. Czasem proszę o pomoc koleżanki i kolegów, aby przeczytali moje teksty, jeśli mają one bardziej literacki charakter, czyli przemówienia, teksty do prasy czy laudatia. Pewną trudność sprawiają mi jeszcze używane rzadziej rodzajniki, których po prostu trzeba nauczyć się na pamięć. Nadal mówię z polskim akcentem, nad którym mogłabym więcej pracować. Z czasem pojawił się inny, pilniejszy problem, z którym w ogóle się nie liczyłam. Rozmawiając telefonicznie z naszymi polskimi partnerami, niejednokrotnie pytano mnie o to, gdzie się tak dobrze nauczyłam polskiego? Takie pytanie powoduje u mnie duże zakłopotanie. Sama kiedyś oburzałam się na zamerykanizowanych Polaków, a dziś nie mogę zwalczyć mojego oddalania się od języka ojczystego. Nawet teraz, gdy piszę ten polski tekst, często jako pierwsze przychodzi mi do głowy sformułowania niemieckie. Najbardziej nie lubię, gdy Niemcy słysząc mój akcent i pytając się, skąd pochodzę, swoje pytania uzasadniają: *weil Sie gebrochen Deutsch sprechen*, – „bo mówi pani łamanym niemieckim”. Wtedy obruszona mówię, *ich bitte Sie, ich spreche grammatikalisch gutes Deutsch, lediglich mit polnischem Akzent* – „ależ proszę pana/pani, ja mówię dobrze po niemiecku, jedynie z polskim akcentem”.

Moją znajomość języka niemieckiego zawdzięczam książkom, a mojej znajomości niemieckiego zawdzięczam to, że mogę bez przeszkód czytać książki, co jest dla mnie bardzo ważne. Bez książek byłoby mi trudno znaleźć się w tej i jakiegokolwiek innej rzeczywistości. To one dają mi dostęp do niemieckiej historii i tutejszego świata myśli. Niemiecki rynek książek jest przebogaty i można tu czerpać z niego do woli. W Niemczech jest wydawanych około 95 000 tytułów rocznie. Na każdy dowolny temat znajdzie się publikacja. Również rynek wtórny jest bardzo przyjazny czytelnikowi.

Wracając do mojej biografii. W roku 2002 przeprowadziłam się do męża na polsko-niemieckie pogranicze, nie znając niemieckiego. Posługując się angielskim, znalazłam praktykę w pobliskiej instytucji kulturalnej, gdzie

pomagałam przy kontaktach polsko-niemieckich. Na pograniczu jest to temat zawsze obecny, a wówczas jeszcze istniała realna granica i kontakty polsko-niemieckie miały przede wszystkim charakter instytucjonalny i sporadyczny. Osoby, które znały oba języki i obie mentalności – były rzadkością. Tak „odkrył mnie” przez przypadek ówczesny manager regionalny i wkrótce przekazał mi swój wizjonerski projekt. Za jego sprawą, nie dysponując zbyt wielkim doświadczeniem, ale za to dużym zapalem, objęłam realizację projektu, w którym chodziło o ściągnięcie do niemieckich, przygranicznych pustostanów polskich studentów. Trzeba tu dodać, że to, co dzisiaj jest codziennością – czyli wspólne mieszkanie Polaków z Niemcami po niemieckiej stronie granicy, wówczas było czymś nowym, kontrowersyjnym i czyniącym wrażenie czegoś nierealistycznego. Rzeczywistość szybko skorygowała początkową wizję – studenci byli miernie zainteresowani dojeżdżaniem i dopłacaniem do kwater. Za to polskie rodziny podchwyciły szybko możliwość kupowania tam domów. Zainicjowany wówczas trend utrzymuje się i rozwija do dzisiejszego dnia. Także międzynarodowe media były zachwycone tym nieoczekiwanym zwrotem w stosunkach polsko-niemieckich.

Do tamtego momentu górowały obawy przed niemieckimi zapędami majątkowymi i przed grabieżą polskiej ziemi. Wkrótce to Polacy stali się jedną z najważniejszych grup kontrahentów w nabywaniu nieruchomości na pograniczu.

Gdy okazało się, że projekt osadnictwa polskiego przynosi owoce, mój dalszy udział w nim stał się zbędny. Dotychczasowi partnerzy pośpieszyli się, zrywając przedwcześnie umowy. Musiałam szukać czegoś nowego i z nikłą nadzieją odpowiedziałam na ogłoszenie urzędu miasta w Pasewalku. Czymś nie do pomyslenia było, aby do urzędu przyjęta została osoba mówiąca z polskim akcentem. A jednak stało się to możliwe. Na czas określony zostałam przyjęta do realizacji projektu polegającego tym razem na promocji gospodarczej miasta, przede wszystkim w Polsce. Projekt ten był kilkakrotnie przedłużany, miał kilka wzlotów, jak np. osiedlenie się polskiej firmy produkcyjnej z dwudziestoma niemieckimi pracownikami i wielu mniejszych firm, czy nawiązanie współpracy między miastami Pasewalk–Anklam–Prenzlau–Szczecin (w skrócie PAPS). Dofinansowano też z funduszy federalnych współpracę na pograniczu. Po kilku latach przeniesiono mnie do wydziału kultury, w którym pracuję obecnie. Moim miejscem działania stało się Muzeum Miasta Pasewalk. Po początkowych oporach znalazłam tutaj nowe miejsce dla realizacji swoich aspiracji. Tutaj mogę realizować coraz więcej przedsięwzięć polsko-niemieckich, takich jak np. wystawa z Książnicy Pomorskiej: „Śsąiad z papieru – Nachbar aus Papier” o wzajemnych relacjach prasowych w latach 1945–1980, czy specjalne oferty dla polskich szkół na lekcje muzealne i historyczne wyprawy, również na tłumaczenie całej ekspozycji na język polski.

Niedawno jechaliśmy pociągiem do Berlina. Zaskoczona byłam liczbą obcokrajowców, którzy pojawili się w naszym otoczeniu. W ciągu paru miesięcy Niemcy diametralnie zmieniły swoje oblicze. W pociągu jechała rodzina syryjska. Poprosiłam mojego męża, który jako „typowy” NRD-owiec – jest otwartym, wykształconym, czytającym i otwartym na świat człowiekiem¹, o nawiązanie kontaktu. W końcu, ileż razy „wysłał” mnie do osób mówiących po polsku, żeby dowiedzieć się, kim są i co myślą. Po krótkim wstępie mojego męża, sama przejęłam pałeczkę. Młoda dziewczyna z Syrii najbardziej interesowała się tym, jak szybko nauczyłam się mówić po niemiecku. Opowiedziałam jej tę samą historię, którą tu opisałam. Jej historia i jej zapał przypomniały mi mnie samą sprzed lat. Mimo ogromnych różnic kulturowych i społecznych sprawa nauki języków, a konkretnie języka niemieckiego, pozostaje uniwersalnym zagadnieniem, które dotyczy obecnie milionów obcokrajowców, przybyłych do Niemiec. Jest to też pewien marsz zwycięstwa dla tego języka i dla tej kultury. Tylko czasem jest mi żal, że język polski nie ma tak szerokiego wsparcia poza granicami swojego kraju, mimo wspaniałej literatury i dorobku myślowego, na pewno niegorszego, niż w niemieckim obszarze kulturowym.

¹ Określenie „typowy” jest ironicznie rozumiane, wobec obrazu Niemców ze Wschodu, jaki jest kolportowany w niemieckich mediach – jako ksenofobicznych, przeważnie niewykształconych i nieprzyjaznych typów.

HELMUT WAGNER

Moje spojrzenie w przeszłość

W niniejszym tekście chciałbym w czterech podrozdziałach zdać sprawę z tego, skąd pochodzę i czym w przeważającej mierze zajmowałem się w swej działalności naukowej. Ukażę moje wschodniopruskie pochodzenie; opowiem o tym, jak radziła sobie moja rodzina, jako poszukujący schronienia uchodźcy i później – w czasie swego pobytu w Turynii; opiszę swoje naukowe zainteresowania i osiągnięcia, a relację tę podsumuję wyrażeniem swojego obecnego stosunku do moich ojczyrstych stron. Będzie to bardzo osobiste spojrzenie wstecz na moją życiową drogę, jak i na dzieło całego życia. Tekst ma niejako charakter testamentalny.

1. Moje wschodniopruskie pochodzenie

Urodziłem się 21 grudnia 1929 roku w Rastenburgu (obecnie Kętrzyn – przyp. tłum.) w Prusach Wschodnich. Mój ojciec, Wilhelm Wagner, ur. w 1904 roku, odziedziczył tam po swoim ojcu, Albercie Wagnerze, firmę spedycyjną i skład węgla. Był zatem samodzielnym przedsiębiorcą, choć w niewielkim, skromnym wymiarze. W roku 1932 zakupił położone na skraju miasta Rastenburga domostwo, Wilhelmshöhe, do którego przynależały łącznie 32 morgi, tj. 8 hektarów gruntów rolnych i łąk. Tam dorastaliśmy, jego pięcioro dzieci; tam mój ojciec trzymał krowy i świny, kury i gęsi, indyki i gołębie, a ponadto hodował konie trakeńskie. Był więc jednocześnie, ubocznie rolnikiem-amatorem. Ojciec poległ w czasie II wojny światowej 30 sierpnia 1941 roku, w Borysławie na Ukrainie, podczas przeprawy przez Dniepr. Miał niespełna 37 lat.

Matka moja, Elisabeth, urodzona w 1905 roku nazywała się z domu Schlegel. Poprzez jej matkę, Annę Schlegel, której nazwisko rodowe brzmiało Rosentreter, mieliśmy powiązania rodzinne z Salzburgiem. Byliśmy z tego zawsze dumni, podobnie, jak dumni są ze swego francuskiego czy polskiego pochodzenia także inni ludzie, zwłaszcza gdy pochodziło się z warstw

wyższych. Jej rodzice byli właścicielami majątku w Julienthal (obecnie Lelek, pow. mrągowski – przyp. tłum.), pod miejscowością Nikolaiken, dzisiejszymi Mikołajkami. Tam urodziła się moja matka, zanim jej rodzice sprzedali, jeszcze przed I wojną światową, swój majątek i przeprowadzili się do Rastenburga. Moja matka zmarła w roku 1983 w wieku 79 lat w Marburgu nad Lahnem, gdzie do dziś mieszka jej córka, a zarazem moja siostra Ulrike.

Do 10 roku życia, czyli do 1939 roku w moim mieście rodzinnym Rastenburgu i w jego okolicach, nie słyszałem ani jednego słowa po polsku. Dopiero po wybuchu II wojny światowej to się zmieniło, gdy nie tylko w Prusach Wschodnich zastępowano brakujących pracowników polskimi robotnikami i służącymi oraz francuskimi jeńcami wojennymi. W naszym gospodarstwie mieliśmy okresowo dwóch polskich robotników rolnych i dwie polskie służące, zaś w firmie położonej w mieście pracowało trzech francuskich pomocników, wśród których jeden, Jean, był szoferem. To było dla nas, pięciorga dzieci – w roku 1945 miałem lat 15, zaś moja siostra Ulrike dopiero co skończyła pięć – okazją do pierwszych, jeszcze niezbyt intensywnych kontaktów językowych. Przypominam sobie, iż Waclaw, jeden z naszych polskich służących, przekomarzał się niekiedy z moim bratem Reinerem, nazywając go „karzełkiem ludkiem”.

2. Ucieczka

My, czyli moja mama z pięciorgiem dzieci, opuściliśmy Rastenburg samochodem ciężarowym marki Magirus, kierowanym przez Jeana w poniedziałek, 22 stycznia 1945 roku, po tym, jak rozpoczęła się wielka radziecka ofensywa 6 stycznia. Zostawiliśmy wszystko, z wyjątkiem kilku wartościowych przedmiotów, zegarów i obrazów. Szosy były jeszcze puste. Nocą, przed wysadzeniem w powietrze mostu na Wiśle pod Dirschau (Tczewem), w następne przedpołudnie przekroczyliśmy rzekę. Tym samym Prusy Wschodnie zostały odcięte, ucieczka była możliwa tylko przez Mierzęję Wiślaną i Bałtyk. W Berlinie, w dzielnicy Schmargendorf, na chwilę zrobiliśmy przerwę w podróży, aby powiedzieć naszym krewnym, rodzinie Schupelius, iż wyszliśmy z opresji. W trakcie dalszej jazdy zatrzymaliśmy się w Zossen, do której to miejscowości na krótko przedtem przeniesiona została kwatera główna führera z rastenburskiej „Wolfsschanze” (Wilczy Szaniec), gdzie stacjonowała od początku wyprawy wojennej Rosjan. Mojej matce udało się porozmawiać z dwoma oficerami, których знаła. Odprowadzili ją do naszego samochodu, gdzie byłem świadkiem następującej wymiany zdań. Matka powiedziała: „Czy słusznie postąpiliśmy, wyjeżdżając?” W odpowiedzi usłyszała: „Rastenburg został zajęty 26 stycznia przez oddziały radzieckie. To, co zrobiono wówczas z ludnością cywilną, jest okropne i niewyobrażalne. Uratowała Pani siebie i życie swoich dzieci”.

Wśród zabitych byli bliscy krewni. Nie wierzyli oni w nazistowską propagandę, lecz sądzili, iż będą przydatni także dla Rosjan – jeden jako aptekarz, drugi jako producent kawy. Dwóch moich wujów: Fried w Rastenburgu i Gustav w Königsbergu (Królewcu), oraz moja ciotka Adelheid w Rastenburgu stracili życie w trakcie radzieckiego wejścia do Prus Wschodnich. Brat mojego ojca – Bruno, o którym moja matka kiedyś powiedziała, iż jako producent kawy w Rastenburgu i w Memel (Kłajpeda – przyp. tłum.) jest milionerem, przeżył z ogromnym trudem 33-miesięczną niewolę w radzieckim obozie pracy w dalekiej Rosji.

W czasie ucieczki przed Armią Czerwoną dojechaliśmy po przekroczeniu Łaby aż do Turynгии. Tam, w małej wsi Ottenhausen niedaleko Erfurtu, znaleźliśmy azyl i schronienie. Wybraliśmy to miejsce sądząc, iż Łaba będzie granicą pomiędzy amerykańską a radziecką strefą okupacyjną. Jednakże przeliczyliśmy się. Zgodnie z porozumieniem zawartym między zwycięskimi mocarstwami, już we wrześniu 1944 roku – Turynгия przypadła Związkowi Radzieckiemu i mimo że została zdobyta przez Amerykanów, została mu w sierpniu 1945 roku oddana. Tym samym my, mimo przebytych ponad 1000 kilometrów, znaleźliśmy się po niewłaściwej stronie.

Ponieważ jednak już panował pokój, pozostaliśmy tam, dokąd przybyliśmy, czyli w Turynгии. Jeszcze nie zrezygnowaliśmy z myśli o powrocie w rodzinne strony. Była ona wśród nas obecna dlatego, że moja matka już raz w przeszłości uciekła z Rastenburga, a następnie do niego powróciła. Zdarzyło się jej to, gdy miała niecałe dziewięć lat. Na początku I wojny światowej, w roku 1914, wojska rosyjskie na krótko wtargnęły do Prus Wschodnich. Kiedy po miesiącu zostały z nich wyparte, ludność ewakuowana na Pomorze, w tym także moja matka, mogła powrócić do swoich niezniszczonych domów i mieszkań. Oczekiwanie to wspierane było także innym znaczącym epizodem, który do chwili obecnej mam w pamięci. Była bodajże wiosna roku 1948, kiedy to moja matka, która w Ottenhausen nabyła własne gospodarstwo, zleciła obsadzenie ogrodu młodymi drzewkami owocowymi. Dołączył do nas sąsiad Karl Gerlach i wówczas usłyszałem, jak matka z troską powiedziała do niego: „Co zrobimy z drzewkami, gdy pojedziemy do domu?” Sąsiad odrzekł rezolutnie: „Niechże Pani się nie martwi, Pani Wagner. Wykopimy je, zapakujemy na wagon i zabierze je Pani koleją do domu!”

Z biegiem czasu nadzieja na powrót w rodzinne strony rozwiała się. Teraz rzeczą pierwszorzędną dla nas było umocnienie się i przeanalizowanie ówczesnej sytuacji. Ale przywiązanie do dawnej ojczyzny utrzymywało się w nas długo. W okresie rządów Władysława Gomułki (1905–1982) i Edwarda Gierka (1913–2001), a więc po roku 1956, kiedy to stały się możliwe prywatne podróże do Polski, wiele razy jeździliśmy z mamą samochodem do Prus Wschodnich. Mogę o sobie powiedzieć, iż dopiero wówczas bliżej poznałem tę krainę; przedtem bowiem, zwłaszcza w latach wojny, niemal nie wyjeżdżaliśmy, nawet na pobliskie Mazury.

Ale mama dobrze znała Prusy Wschodnie, pokazywała nam swoje ulubione miejsca. Cieszyła się, widząc wielkie pola pełne zbóż, wypielegnowane ogródki i nowe domy, których wówczas nie było jeszcze zbyt wiele. Nie tylko podczas naszej pierwszej wizyty, ale także za każdym kolejnym razem byliśmy w naszym dawnym domu, zarówno w gospodarstwie Wilhelmshöhe, jak i w budynku naszej firmy, na Kolmarstraße 5–7, których numery telefoniczne – 425 i 624 pamiętam do dziś. Nowi mieszkańcy naszego domu w Wilhelmshöhe byli wcześniej mieszkańcami Litwy. Porozumiewanie się z nimi było trudne, ale gdy zrozumieli, że byliśmy poprzednimi właścicielami domu, okazali radosne podniecenie. Dziadek pocałował moją matkę szarmancko w rękę i powiedział coś – o ile dobrze go zrozumiałem – czym nas wszystkich zaskoczył: „Szanowna Pani, niech Pani tu przyjedzie i zadba o porządek!” Ale ona nawet nie pomyślała o tym. Według starszego pana, wówczas w Polsce sprawy nie rozwijały się tak, jak powinny.

3. Nasz azyl i nasza obczyzna w Turyngii

Nasza matka spędziła łącznie 17 lat na turyńskiej obczyźnie, dopóki nie ściągaliśmy jej w roku 1962, wraz z naszym najmłodszym bratem Ortwinem, z NRD do Republiki Federalnej. Było to dziełem jej dwojga dzieci osiadłych tymczasem na Zachodzie, mojej siostry Ulrike i moim. Po raz drugi pozostawiając wszystko, co nabyła i stworzyła tym razem w Ottenhausen, zdecydowała się na ucieczkę. Tym razem była w drodze dłużej, przejechała ponad 1000 km: podróż wiodła z Ottenhausen w Turyngii przez Czechosłowację, Węgry, Jugosławię i Austrię do Preetz pod Kilonią w Holsztynie, gdzie zamieszkiwały nasze ciotki, które przeżyły ucieczkę – moja chrzestna Traude i Dorothea. Tym razem podróż nie odbyła się ciężarówką, za kierownicą której siedział Francuz, lecz starą, nabytą w Turyngii škodą, którą kierował mój brat Ortwin.

Matka, która kupiła w Ottenhausen gospodarstwo, stała się wskutek przeprowadzonej w roku 1947 w radzieckiej strefie okupacyjnej tzw. „reformy rolnej”, polegającej na wywłaszczeniu wielkich majątków i wyodrębnieniu gospodarstw państwowych, *Neubauerin*, czyli „nową chłopką” z 10 ha ziemi rolnej. Grunty te uprawiała z pomocą swoich dzieci i krajan z Prus Wschodnich o nazwisku August Becker, osiągając z tego nawet zyski, aż w roku 1958, w ramach przeprowadzonej wówczas w NRD kolektywizacji rolnictwa, zakładania „rolniczych spółdzielni produkcyjnych” (*Landwirtschaftliche Produktionsgenossenschaften*, w skrócie LPG), sama została „wywłaszczona”. Wskutek tego utraciła ziemię, którą swego czasu nabyła na własność. Była osobą, która zarazem przywiązywała duże znaczenie do tego, aby jej dzieci zrobiły w pobliskim mieście Greußen, w tamtejszej szkole średniej im. Karola Marksa maturę, a następnie podjęły studia, co też się stało. Tym samym spełniła życzenie naszego ojca w nadziei, że

w ten sposób będzie mogła spowodować awans społeczny swych dzieci od robotników rolnych do zawodów i godności mieszczańskich. To też, jak pokazane będzie za chwilę, udało się jej całkiem dobrze.

Dążenie naszej matki do tego, by jej dzieci podjęły studia, przyniosło na początku lat 60. taki efekt, że wskutek kolektywizacji rolnictwa w NRD utraciła nie tylko ziemię, ale stopniowo także i wszystkie dzieci. Wyjątkiem był jej najmłodszy syn Ortwin, który studiował na Uniwersytecie im. Fryderyka Schillera w Jenie rolnictwo i od czasu do czasu ją odwiedzał. Wszystkie pozostałe dzieci były mniej lub bardziej daleko. Gdzie przebywały? I co się z nimi z biegiem czasu stało? O tym będzie mowa poniżej, w miarę krótko naświetlę losy rodziny Wagnerów w czasach ich pobytu w Turynii, będącej dla nich miejscem azylu na obczyźnie.

Będąc najstarszym spośród dzieci Wagnerów, ja **Helmut**, urodzony w 1929 roku w Rastenburgu, opuściłem dom w Ottenhausen i poszedłem w świat jako pierwszy. W 1948 roku, wówczas jeszcze w okresie Wielkanocy, zrobiłem maturę w odległym o 4 km Greußen, a następnie pracowałem dwa lata w naszym gospodarstwie rolnym – doilem krowy, siałem i zbierałem, aż zastąpił mnie mój o trzy lata młodszy brat Hartmut. W 1950 roku pojechałem do Berlina Zachodniego (co w tamtych czasach było możliwe bez większych trudności), i studiowałem najpierw w nowo założonej Wyższej Szkole Polityki (*Deutsche Hochschule für Politik*), następnie zaś na Wolnym Uniwersytecie (*Freie Universität Berlin*) nauki polityczne, historię i filozofię.

Po uzyskaniu tam w roku 1954 dyplomu w zakresie nauki o polityce, przez dwa lata byłem pomocnikiem pracownika naukowego (*Hiwi*, skrót od *wissenschaftliche Hilfskraft* – przyp. tłum.) profesora Ottona-Heinricha von der Gablentz (1898–1972). Otrzymałem wówczas moje pierwsze, skromne jeszcze pobory. Przedtem, w czasie studiów, utrzymywałem się ze stypendiów. W roku 1956 zmieniłem uczelnię i przeniósłem się na uniwersytet w Tybindze, gdzie uzyskałem w roku 1961 u profesora Theodora Eschenburga (1904–1999) promocję doktorską, działając jednocześnie w tamtejszej edukacji politycznej wśród dorosłych, która w Szwabii podlegała wówczas tzw. „służbie ojczyźnianej” (*Heimatdienst* – poprzedniczka instytucji kształcenia politycznego w różnych landach niemieckich, dzisiaj central edukacji politycznej, *Landeszentrale für politische Bildung* – przyp. tłum.), jako jej lokalny kierownik. Kolejnymi etapami mojej kariery naukowej były: stanowisko asystenta prof. Golo Manna (1909–1994) – syna Tomasza Manna w Stuttgarcie; pobyt zagraniczny w Warszawie, jako stypendysty UNESCO, a następnie powrót na Wolny Uniwersytet. Tam też, będąc znów w Berlinie, pracowałem najpierw jako wykładowca, a po habilitacji w roku 1971, uzyskanej pod kierunkiem prof. Alexandra Schwana (1931–1989), przez 24 lata, aż do przejścia na emeryturę w roku 1995, nauczałem i prowadziłem badania, jako profesor nauk politycznych przede wszystkim w dziedzinie ideologii politycznych, spraw Europy Wschodniej

i integracji europejskiej. Z moją żoną, dr Heide Wagner-Wachter, internistką pochodzącą ze Szwabii, jestem ożeniony od roku 1971 i od tamtej pory znajduję się pod jej kontrolą. Mamy trójkę dzieci i sześcioro wnuków.

Mój następny pod względem starszeństwa brat **Hartmut**, urodzony w 1932 w Rastenburgu, po maturze zdanej w 1950 roku, przez trzy lata również pracował w domu, w gospodarstwie rolnym naszej matki, zanim zastąpił go nie następny w kolejności wieku brat Reinhart, którego zawsze zwaliśmy Reinerem, lecz jego o rok młodszy brat Ortwin. Ten bowiem w jednym roku szkolnym ukończył dwie klasy i dlatego uzyskał maturę w tym samym roku co jego o rok starszy brat. Hartmut jednak, uzyskawszy zwolnienie z „prac w domu”, poszedł na ówczesną politechnikę w Dreźnie (*Technische Universität Dresden*), gdzie zapisał się na studia w dziedzinie ekonomii, a następnie, po czterech latach, w roku 1954 z powodzeniem je ukończył. Bez trudu znalazł potem stałą pracę na stanowisku kierowniczym w państwowej fabryce maszyn rolniczych w Lipsku. Było to zgodne z jego zamiłowaniem do rolnictwa, stąd też od dawna nazywaliśmy go „chłopem” (*Bauer*). Zostałby on, gdybyśmy pozostali jeszcze w Prusach Wschodnich w Wilhelmshöhe, dziedzicem majątku, czyli miałby tytuł nadawany zwykle najstarszemu synowi właściciela.

Trzeba jeszcze dodać, że on i jego żona Angela, którą poślubił w 1955 roku, byli mistrzami jeździectwa pierwszej klasy (*Reitersleute erster Klasse*) i dzisiaj także są miłośnikami koni. W ich majątku w Machern niedaleko Lipska, prócz oślicy o imieniu Katja przywiezionej z Bułgarii, znaleźć można było także klacz trakeńską zwaną Knospe. Tę ostatnią otrzymał za pośrednictwem naszej matki, jako zapis testamentowy od naszego wuja Ernsta Schlegla mieszkającego w Detmold w Niemczech Zachodnich. To spowodowało coś, co było wręcz niemożliwe, iż klacz, w dodatku żreback, mogła legalnie przekroczyć zazwyczaj hermetycznie zamkniętą granicę między oboma państwami niemieckimi i trafić do Machern w Niemczech Wschodnich. Jej córka Kriemhild, mająca tymczasem już 24 lata, pozostaje tam obecnie na łaskawym chlebie. Mój brat po zjednoczeniu Niemiec pożegnał się z pracą w enerdowskim przedsiębiorstwie państwowym, stał się udziałowcem w powstającej zachodnioniemieckiej firmie wydobywającej żwir „Wagner/Schlegel Kieswerk GmbH” i jest obecnie zamożnym i zadowolonym emerytem. Doczekał się dwójki dzieci i pięciu wnuków.

Trzeci spośród pięciorga rodzeństwa Wagnerów – **Reinhart**, urodzony w 1935 roku w Rastenburgu, miał szczęście pójść bezpośrednio po maturze w Greußen na studia do Drezna. Za radą swego berlińskiego kuzyna Heinza Schupeliusa zainteresował się tam elektrotechniką. Miał też po raz drugi szczęście, gdy pod koniec studiów, w roku 1958, wybrany został na dwuletni pobyt za granicą w Leningradzie, dzisiejszym Sankt Petersburgu. Stało się tak, mimo że nie był członkiem Niemieckiej Sojalistycznej Partii Jedności (*Sozialistische Einheitspartei Deutschlands*, skrót: SED) i miał brata na Za-

chodzie. Potem, oprócz swej aktywnej działalności w ogrodnictwie, był zatrudniony przy wielkim projekcie w Lipsku zwanym „Instytutem Energetyki” (*Institut für Energetik*). W jego ramach, zgodnie z życzeniem ówczesnego szefa SED Waltera Ulbrichta (1905–1986), chciano opracować i wdrożyć prognozę Włodzimierza Iljicza Uljanowa zwanego Leninem (1870–1924), aby socjalistyczne społeczeństwo NRD zostało zmodernizowane za pomocą elektryfikacji. W tym czasie mój brat uzyskał także promocję doktorską w dziedzinie nauk technicznych. Kiedy w roku 1989 NRD upadła, wspomniany projekt także okazał się chybiony. Reiner założył więc w Lipsku wraz z kilkoma kolegami uczestniczącymi w projekcie własną firmę pod nazwą Technika Energetyczna Lipska (*Energietechnik Leipzig – ETL*). Firma wyspecjalizowała się w doradztwie i planowaniu nowoczesnych urządzeń grzewczych i lokalnych wytwórni prądu, później zaś, gdy stało się to możliwe w nowych landach, działała też aktywnie w zakresie planowania i budowy nowoczesnych siłowni wiatrowych produkujących energię elektryczną.

Jego żona Annemarie, z którą ożenił się w roku 1960, zmarła w 2003. Była ona przez długi czas szefową dziś już nieistniejącej kawiarni *Café Kater* w centrum Lipska. Oboje mieli troje dzieci i czworo wnuków. Mój brat, mieszkający do ostatnich swoich dni ze swą koleżanką szkolną Ingeborg Ermer, która pochodziła ze Śląska, zmarł 14 lutego 2013 roku w wieku 78 lat w Dreźnie.

Nasz najmłodszy brat, **Ortwin**, urodzony w roku 1936 w Rastenburgu, zrobił w pewnym sensie największą karierę spośród nas wszystkich, mimo że zmarł jako pierwszy z rodzeństwa w roku 2007. Największą w tym sensie, że z jednej strony, idąc w ślady ojca, stworzył w nadreńskim Todenfeld pod Rheinbachem „małe Wilhelmshöhe” z końmi i maneżem. Z drugiej strony przerósł nas wszystkich, obejmując kierowniczą funkcję na szczeblu federalnym: gdy w roku 2001 odchodził w wieku 65 lat z piastowanego w Bonn urzędu, był sekretarzem generalnym 15 regionalnych niemieckich krajowych związków rolniczych. Dowiedzieliśmy się o tej jego funkcji dopiero post factum, gdyż się nią nie chwalił.

Ale po kolei. Jako najmłodszy brat najdłużej pomagał naszej matce w prowadzeniu jej „gospodarstwa nowego chłopca” w Ottenhausen, od 1954 do 1958 roku, czyli aż do kolektywizacji prywatnego rolnictwa w NRD. Później zdobywał doświadczenie praktyczne najpierw w turyńskich spółdzielniach rolniczych, a następnie podjął studia rolnicze na Uniwersytecie Jenajskim. Studia te, po opisanej krótko powyżej ucieczce z matką na Zachód w roku 1962, kontynuował na Uniwersytecie Kilońskim. Tam studia te nie tylko ukończył, ale także zrobił doktorat. Jako doktor nauk politycznych otrzymał pracę w Niemieckim Związku Chłopskim (*Deutscher Bauernverband*), który miał swą siedzibę w Bonn. Wówczas zamieszkał w leżącym po lewej stronie Renu, ale już w regionie Eifel Todenfeld i zbudował tam sobie na wysokim wzniesieniu nad Renem dom ze stajnią na konie i stodołą. Stamtąd przy dobrej pogodzie można były zobaczyć w oddali kolońską katedrę.

Będąc zatrudnionym w Niemieckim Związku Chłopskim dużo podróżował po świecie, last not least po Europie Wschodniej, gdzie po zjednoczeniu Niemiec zajmował się doradztwem nie tylko w nowych krajach związkowych, ale także w Polsce i na Węgrzech. W Związku Chłopskim awansował aż do funkcji sekretarza generalnego poszczególnych niemieckich związków krajowych, reprezentując ich interesy i koordynując ich działalność. Kiedy zupełnie niespodziewanie zmarł w 2007 roku w wieku 71 lat, pozostawił pochodzącą z Königsbergu (Królewca – przyp. tłum.) żonę Ursulę, troje dorosłych dzieci i czworo wnuków, których liczba w międzyczasie wzrosła do sześciu.

Pozostaje mi jeszcze napisać, co się stało z najmłodszą spośród dzieci Wagnerów, naszą siostrą **Ulrike**, urodzoną w 1939 roku w Rastenburgu. Kiedy opuszczaliśmy Prusy Wschodnie w styczniu 1945 roku, miała niespełna sześć lat, ma zatem skąpe wspomnienia z dawnych stron rodzinnych. Do szkoły podstawowej chodziła w turyńskim Ottenhausen i jak wszyscy jej czterej bracia – zdała śpiewająco maturę w pobliskim Greußen w roku 1957. Wtedy też od razu podjęła starania o przyjęcie na studia medyczne na Uniwersytecie im. Fryderyka Schillera w Jenie i w tym samym roku zaczęła studiować. Ponieważ w czasie budowy Muru Berlińskiego 13 sierpnia 1961 roku akurat przebywała w prywatnych, nielegalnych odwiedzinach w Republice Federalnej, dokąd dotarła przez Berlin Zachodni, kontynuowała następnie studia na Uniwersytecie Kilońskim. Gdyby powróciła do NRD, zapewne zostałaby za ten zakazany wyjazd do Niemiec Zachodnich relegowana ze studiów na Uniwersytecie Jenajskim, jeśli nie ukarana jeszcze surowiej.

Pierwotnie, po krótkim pobycie w Meklemburgii, miała zamiar zostać wiejską lekarką. Ale do tego nie doszło. Po ukończeniu studiów i uzyskaniu stopnia doktora medycyny na Uniwersytecie Kilońskim, pracowała w swym zawodzie najpierw w Nadrenii – w Bochum i w Essen, a następnie w heskim Frankfurcie nad Menem i wreszcie w Marburgu nad Lahnem, ale nie jako lekarka prowadząca prywatną praktykę, lecz w szpitalu. Wówczas zajęła się energicznie swoim doktoratem, pracując nad analizą chromosomów, po czym stała się członkinią zespołu lekarzy pod kierunkiem prof. Gerharda Wendta, który był dyrektorem Instytutu Medycyny Człowieka (*Institut für Human-Medizin*) na marburskim Uniwersytecie im. Filipa. Zespół ten opracował metodę organizacji i określił punkty ciężkości doradztwa w zakresie badań genetycznych w Republice Federalnej, które następnie mogły stać się kierunkiem studiów w zakresie medycyny człowieka, co we Francji i w Szwecji było już praktyką.

Zajmowała się tym z dużą energią i z wielkim oddaniem aż do przejścia na emeryturę w roku 2003. W mojej ocenie jej największą zasługą było i jest to, że samodzielnie utrzymywała na najwyższym poziomie swój piękny dom i wielki ogród w Marburgu, podobnie jak to czyniła nasza matka w Prusach

Wschodnich z naszą firmą i majątkiem, zaś w Turyngii – z naszym gospodarstwem rolnym. Jej mąż, urodzony w saskim Chemnitz, doktor filozofii Götz Hillig, którego poślubiła w 1967 roku, był docentem prywatnym (*Privatdozent* – stanowisko akademickie doktora habilitowanego oczekującego na profesurę – przyp. tłum.) na Uniwersytecie Marburskim. Jako specjalista od twórczości Makarenki zyskał międzynarodowe uznanie i stał się znany. Siostra z mężem mają trzech synów i doczekali się dotychczas pięciu wnuczek.

Tych pięć krótkich biografii ukazuje, co stało się z członkami rodziny uchodźców Wagnerów, którzy aż dwa razy utracili wszystko, co odziedziczyli, stworzyli i nabyli w Prusach Wschodnich i w Turyngii. Bez męża, który poległ na II wojnie światowej, matka uratowała swe dzieci, sama je wychowała i wszystkim kazała studiować. Zmarła w 1983 roku. Jej dzieci osiągnęły wysokie pozycje dzięki swej pracy, zdobyły bardzo różne, ale cieszące się szacunkiem zawody, żyją w rozproszeniu, ale trzymają się razem. Wszystkim udało się nabyć na własność domy i parcele, czworo uzyskało doktoraty, dwojgu dane było nawet wejść ponownie w posiadanie własnych koni i psów, jak to było dawniej w zwyczaju w naszym domu w Prusach Wschodnich. Można by krótko skonstatować, iż wszyscy znaleźli dla siebie nowe „małe ojczyzny”. Ich dawne strony rodzinne, Prusy Wschodnie, z pokolenia na pokolenie pograżają się w mrokach pamięci. Taka jest kolej rzeczy na świecie.

4. Moja droga życiowa

W przeciwieństwie do wszystkich moich braci i sióstr miałem i mam nadal szczególny stosunek zarówno do mojej dawnej ojczyzny, jak też do Polski. Dlaczego tak jest, trudno mi dokładnie powiedzieć. Czy pewną rolę odegrały przy tym dawne przywiązanie, żywe wspomnienia, a może życzenie, aby moja ojczyzna nadal, także w przyszłości, miała się dobrze? Czy może jest to współczucie i szacunek dla Polski, jak też życzenie zbliżenia się do jej obywateli, co skłoniło mnie do nauki języka polskiego? Mogło się też złożyć tak, że wszystkie te uczucia w połączeniu ze skłonnościami i doświadczeniami mojego życia uczyniły mnie tym, kim jestem. Jest to, jak mi się wydaje, najbardziej przekonujące wyjaśnienie właściwej mi postawy i postrzegania nie tylko kwestii niemieckiej, ale i polskiej.

Przejawia się to z jednej strony w tematach, którymi zajmowałem się w swoim życiu, z drugiej strony w moim pobycie w Warszawie w latach 60., a po trzecie – także w obu moich dziełach napisanych „u schyłku życia”.

Pragnę zwrócić uwagę na cztery rozprawy, które są dowodem na to, że dość wcześnie zacząłem zajmować się tematami polskimi. Po pierwsze – na moją pracę dyplomową kończącą studia na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie w 1954 roku, zatytułowaną: „Zaangażowanie Polaków w berlińską rewolucję marcową roku 1948” (*Das polnische Engagement in der Berliner März-Revolution 1848*). Temat ten zadał mi profesor von der Gablentz, który

wiedział o moich zainteresowaniach sprawami polskimi. W pracy tej chodziło o ustalenie, dlaczego Polacy aktywnie uczestniczyli w ówczesnych wydarzeniach berlińskich i jakimi motywami się przy tym kierowali. Po drugie – kilka lat po moim pobycie studyjnym w Warszawie, w roku 1969, przetłumaczyłem „List otwarty do Partii” Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego na język niemiecki pod tytułem *Offener Brief an die Partei* i wydałem oraz skomentowałem książkę pt. „Socjalizm monopolistyczny” (*Monopolsozialismus*). Po trzecie – w mojej rozprawie habilitacyjnej z roku 1971, zatytułowanej „Metamorfozy marksizmu w Polsce. Przemiany teoretyka Adama Schaffa” (*Marxistische Metamorphosen in Polen. Die Wandlungen des Theoretikers Adam Schaff*) (1913–2006) chciałem dowieść, jaka przemiana w ideologii komunistycznej nastąpiła bądź powinna nastąpić według tego autora – od socjalizmu leninowskiego, totalitarnego do schaffowskiego, humanitarnego. A po czwarte opublikowałem wreszcie w roku 1981 książeczkę, pt. „Podwójne społeczeństwo: Zmiana systemowa w Polsce” (*Die Doppelgesellschaft: Systemwandel in Polen*). W książeczce tej, która ukazała się w serii wraz z pracami Petera Haungsa, Eckharda Jessego, Petera Steinbacha i Hansa Fenskego w berlińskim wydawnictwie Colloquium Verlag, przeanalizowałem proces dokonującego się wówczas wewnętrznego rozkładu polskiego komunizmu.

Najśmielszym i bodaj najważniejszym krokiem w moim życiu był jednak mój pobyt studyjny w Warszawie w latach 1963–1964, a najbardziej ekscytujący był sposób, w jaki do niego doszło. Między Republiką Federalną a Polską w tamtym czasie nie było jeszcze stosunków dyplomatycznych. To czyniło legalny pobyt Niemców w Polsce rzeczą niemal niemożliwą. Niemal! Umożliwiła mi go moja osobista znajomość z założycielem i redaktorem wydawanego wówczas w Paryżu polskiego czasopisma emigracyjnego „Kultura”, Jerzym Giedroyciem (1906–2000). Na początku lat 60. ub. wieku wspomniałem w rozmowie, którą z nim prowadziłem, podczas odwiedzin w jego biurze w Maisons-Laffitte w pobliżu Paryża, że chętnie pojechałbym do Warszawy, by tam nauczyć się języka polskiego. Redaktor wziął sobie tę moją prośbę do serca i najwyraźniej wykorzystał swoje znajomości w UNESCO, mającym swą siedzibę w Paryżu. Niedługo potem zupełnie niespodziewanie trzymałem w rękach zaproszenie na dwuletni pobyt w Warszawie.

W następstwie tego szybko pożegnałem się z asystenturą u prof. Golo Manna w Stuttgarcie i przez półtora roku przebywałem nad Wisłą. Tam uczyłem się, w wieku już 33 lat, u mojej prywatnej nauczycielki Ireny Wozniowskiej z trudem języka polskiego, słuchałem wykładów historyka prof. Jerzego Holzera, a w późniejszych latach nawiązałem ściślejsze kontakty z warszawskim germanistą Tomaszem Pszczółkowskim i z krakowskimi politologami Erhardem Cziomerem i Andrzejem Młynarskim, które to kontakty utrzymuję do dziś. Zaprzyjaźniłem się z przebywającym w Warszawie w tym samym czasie i w tym samym celu Japończykiem Akiyoshi Nakayamą. Był to dla mnie okres bardzo pouczający, niezapomniany.

Dzięki nabytej w czasie mojego pobytu w Warszawie znajomości języka polskiego byłem już w stanie rozmawiać z nowymi posiadaczami Wilhelmshöhe, Panem Wiesławem i Panią Bożeną Usewicz, jak i z nowym burmistrzem Rastenburga, obecnie Kętrzyna, Krzysztofem Hećmanem, w ich języku. Dowiedziałem się także, jak doszło do zmiany nazwy mego rodzinnego miasta. Wojciech Kętrzyński, urodzony w 1838 w Lötzen, obecnie Giżycko, uczęszczał bowiem, gdy nazywał się jeszcze Adalbertem von Wincklerem, przez dwa lata do mojej szkoły, gimnazjum księcia Albrechta. To jest wszystko, co łączy go z nazwanym od jego nazwiska w roku 1947 miastem. Później poszedł na studia na Uniwersytecie Królewieckim, gdzie uczył się języka polskiego i zmienił swe nazwisko, przyjmując je po swoich przodkach. Był później bardzo uznanym profesorem w mieście po niemiecku zwanym Lemberg, po polsku: Lwów, a po ukraińsku: Lwiv, gdzie zmarł w 1919 roku. Będąc mieszkańcem urodzonym w Rastenburgu, dzięki moim ścisłym związkom z nowym Kętrzynem zostałem w roku 2008 honorowym obywatelem miasta. Uważam to za zaszczyt i jestem za to wdzięczny.

O moim zainteresowaniu Polską świadczą też moje dwie książki powstałe „u schyłku życia”. Nazywam to w ten sposób, ponieważ napisałem je po przejściu na emeryturę, a także dlatego, że zawarłem w nich swoje przemyślenia dotyczące dwóch centralnych tematów, którymi zajmowałem się przez całe życie. Tytuły obu moich książek odzwierciedlają to, co jest ich przedmiotem. W pierwszej z nich, opublikowanej w 2012 roku, idzie bowiem o „kwestię niemiecką”: „Od burzyciela pokoju do jego gwaranta. ‘Kwestia niemiecka’ w kontekście europejskim. Esej politologiczny” (*Vom Störenfried zum Bürger. Die „deutsche Frage“ im europäischen Kontext. Ein politikwissenschaftliches Essay*), zaś w drugiej książce, wydanej w roku 2016 chodzi o „kwestię europejską”: „Nasza Europa. Konstrukcja i przyszłość Unii Europejskiej. Unikat” (*Unser Europa. Die Konstruktion und Zukunft der Europäischen Union. Ein Unikat*).

W pierwszej książce pokusiłem się o nową interpretację nowszych dziejów niemieckich. Wyszedłem od perspektywy George’a F. Kennana, autora tezy, iż I wojna światowa była pierwotną katastrofą Europy, która przyniosła tragiczne skutki. Napisał on także, iż podział Niemiec jest drogą do zapobieżenia zaburzeniu europejskiej równowagi sił, zaburzenia wynikającego z ich przewagi uzyskanej w następstwie zjednoczenia, i drogą do uniemożliwienia związanej z nim groźby wojny. Kennan dodał jednak do tego, iż ten sam cel, czyli „poskromienie” Niemiec, można osiągnąć poprzez integrację państw europejskich w jakiejś formie federacji. Temu rozwiązaniu nadał priorytet. Podzielając jego opinię, zapoznałem się z jego wersją nowszej historii europejskiej i nie zgadzam się z wzajemnym kompensowaniem nieprzewidywalności Niemców i pokojowego usposobienia aliantów.

Ten punkt widzenia, reprezentowany przez historiografię w sumie bardzo długo, został niedawno skorygowany, szczególnie przez amerykańskie-

go historyka Seana Mcmeekina w książce pt. „Droga Rosji do wojny. I wojna światowa – geneza katastrofy stulecia” (*Russlands Weg in den Krieg. Der Erste Weltkrieg – Ursprung der Jahrhundertkatastrophe*). Twierdzenie, iż Niemcy były głównym winnym wybuchu I wojny światowej, które w niemieckiej nauce historycznej ma wielu zwolenników, poddał ostatnio krytyce monachijski historyk, prof. Horst Möller, wiążąc je z tym, co nazywał „narodową terapią pedagogiczną” (*nationalpädagogische Therapie*).

W mojej drugiej książce starałem się bliżej określić postulowaną przez George’a F. Kennana, ale nie wyjaśnioną ideę europejskiej federacji. Wychodząc z założenia, iż ta wspólnota polityczna nie jest ani związkiem państw, ani państwem federalnym w jego tradycyjnej formie, lecz nowego typu unią państw, której dotychczas nie było. W tego rodzaju unii państwa członkowskie są twórcami konstytucji i pozostają jej dysponentem, natomiast poszczególne kompetencje są podzielone pomiędzy państwami a unią. Do sprawnego funkcjonowania unii państw należy podejmowanie wspólnych decyzji nie tylko w sprawach gospodarczych i walutowych, ale także w kwestiach polityki zagranicznej i polityki bezpieczeństwa. „Liberum veto” państw członkowskich w jednym czy we wszystkich tych obszarach, jakie jest jeszcze możliwe i jest praktykowane w niedokończonej Unii Europejskiej, byłoby śmiercią unii państw, czego egzemplifikacją był upadek polskiej Rzeczypospolitej szlacheckiej w XVIII stuleciu.

W książce tej trzy rozdziały poświęcone są przede wszystkim polskim obawom i oczekiwaniom związanym z Unią Europejską, w szczególności następujące rozdziały: VII. Unia Europejska i Europa Wschodnia, VIII. Unia Europejska – czy leży ona w interesie Polski? oraz IX. Relacja Niemcy–Polska – podwaliny i przepaści.

Książki te pokazują, jak bardzo mnie zajmował przyszły los Polski i jak bardzo mi zależało na tym, aby w UE było miejsce zarezerwowane dla Polski. Według mojej oceny istnienie UE leży w interesie obu narodów, aby jeden z nich podlegał ograniczeniom, nie podejmował ryzykownych przedsięwzięć, zaś drugi był chroniony, nie narażony na niebezpieczeństwa.

5. Resume

Jeśli się dobrze zastanowię, to zawdzięczam moje życie, abstrahując od samych narodzin, dwóm dodatkowym działaniom mojej matki. Dwa razy uchroniła mnie pod koniec II wojny światowej przez śmiercią. Ale właściwie postrzeganie świata zawdzięczam przede wszystkim mojemu wschodnioeuropejskiemu pochodzeniu oraz wnioskom, jakie wyciągałem z niemieckiej i polskiej historii.

Co się tyczy uratowania mojego życia – mam przed oczyma dwa epizody. Jednym z nich było wyciągnięcie mnie przez matkę w czasie naszej ucieczki w Bartensteinie (obecnie Bartoszyce) z samochodu prowadzonego przez jej

francuskiego szofera, który nigdy nie dojechał do celu. Przesiadka do jej auta sprawiła, że dojechalismy do Turynii. A drugi epizod miał miejsce wtedy, gdy matka zabrała mnie i innych piętnastolatków, którzy zostali włączeni do *Volkssturmu*, czyli ostatniej formacji militarnej czasów hitlerowskich, samochodem ponownie kierowanym przez Jeana z Erfurtu do naszego nowego miejsca zamieszkania, do Ottenhausen. Jednostka *Volkssturmu*, do której przez krótki czas należałem, została w ostatnich dniach wojny użyta do działań zbrojnych. Obie te historie są same w sobie osobliwe.

Opisane tu moje przeżycia i doświadczenia, zainteresowania i przemyslenia z kolei trudno pojąć i wyobrazić sobie bez znajomości mojego wschodniopruskiego pochodzenia, bez wiedzy o zakończonym sukcesem ucieczce do Turynii i późniejszej drodze życiowej. W wymienionych powyżej trzech rozdziałach mojej drugiej rozprawy, powstałej w ostatnich latach, doszedłem do wniosku, że stosunki niemiecko-polskie mogą być znormalizowane jedynie z biegiem czasu. Zakładam, że proces ten będzie obejmował kilka pokoleń; po roku 1945 objął dotychczas dopiero dwa pokolenia. W dalszym ciągu zbyt głębokie są rany, które oba narody zadały sobie poprzez zniewolenie i wypędzenie. Rany te jeszcze się nie zagoiły i nie uległy zapomnieniu. Wielu Niemców szuka jeszcze winnych i oskarża na przemian Hitlera, Stalina czy Churchilla. Jest to dla mnie zrozumiałe, podobnie jak to, że wielu Polaków nadal nie ufa Niemcom, ponieważ czyni ich odpowiedzialnymi całościowo i zbiorczo za to, co się stało. Ale czy to coś pomoże? „Co się stało, to się nie odstanie”. Historia toczy się nadal. Wszystko, co nam pozostanie, sprowadza się do tego, aby nie przemilczać złych czynów, nazywać je po imieniu i zapobiec ich powtórzeniu się.

Jeśli dobrze się nad tym zastanowię, to ze swej strony antycypowałem takie relacje niemiecko-polskie, które są pożądane. Wiedząc, iż staną się one takimi tylko pod warunkiem, że oba nasze narody będą członkami wspólnoty europejskich państw, jaką jest UE, a nie państwami rywalizującymi ze sobą. Wiedząc także, iż nasze Prusy Wschodnie osiągnął los legendarnego miasta Wineta, które pochłonęły wody Bałtyku. Nie zostały unicestwione przez siły przyrody, lecz przemocą ludzi. Dziś istnieją już tylko w pamięci. To prawda, że jako kraina, nadal zachowują swoje uroki i piękno, bo tych zabrać się nie da. Ale będąc zamieszkałymi przez niemal całkowicie wymienioną ludność i będąc podzielonymi na trzy strefy – część polską, litewską i na rosyjską enklawę, nie są już tymi, którymi były przed pięćset laty – zrośniętą ze sobą, jedyną w swoim rodzaju wspólnotą wielu plemion i narodów, niemiecką wyspą otoczoną morzem inności. Jestem jednym z tych, którzy przeżyli ten dokonany w krótkim czasie i przemocą akt przeobrażenia. Moim życzeniem jest, aby te części naszych nieistniejących już dziś Prus Wschodnich, które pozostały, w przyszłości mogły się rozwijać i znów kwitnąć.

ECKART WEIßER

Wzloty i upadki życia pomiędzy Niemcami a Polską

Korzenie mojej rodziny pochodzą z Polski. Ojciec urodził się, jako syn nauczyciela, w roku 1898 w Inowrocławiu. Bezpośrednio po maturze pojechał walczyć na froncie w Belgii. Jego ojciec zmarł na serce w roku 1918, wówczas matka przeniosła się do krewnych, mieszkających w Lipowej nad Nysą. Tu od pokoleń znajdują się korzenie rodzinne Weißerów. Ich przodkowie prowadzili duże gospodarstwo.

Ojciec ze swoim teściem badali w latach trzydziestych losy naszych przodków. Z ksiąg kościelnych zgromadzili wiele informacji dotyczących m.in. dat życia i śmierci przodków ze strony ojca i matki, tworząc tablicę genealogiczną. Obejmowała ona okres od końca XVII wieku i była kontynuowana bez luk do roku 1935. Stąd wiem, że moi przodkowie byli albo rolnikami, albo nauczycielami. Moja matka urodziła się w roku 1904 w Siemianowicach na Górnym Śląsku, jako córka nauczyciela. Musiała wraz z rodziną opuścić swoje miejsce urodzenia po plebiscycie w roku 1921¹. Jej ojciec otrzymał posadę nauczyciela w Rudziczce. Siostra mojego ojca i siostra mojej matki chodziły razem do liceum w Nysie i serdecznie przyjaźniły się, często odwiedzały w weekendy i w czasie ferii. Pola i łąki Lipowej i Rudziczki graniczyły ze sobą. Tak poznali się moi rodzice i zostali „wciągnięci” w te wzajemne odwiedziny.

W tym czasie ojciec studiował budowę maszyn we Wrocławiu i ukończył studia (jako inżynier) w roku 1923. Był to okres inflacji i nie było łatwo dostać pracę w charakterze specjalisty budowy maszyn. Przetrwał ten czas,

¹ Plebiscyt na Górnym Śląsku (niem. *Volksabstimmung in Oberschlesien*) – jeden z dwóch plebiscytów dotyczących etnicznego pogranicza polsko-niemieckiego, które wyznaczono w 1919 w wersalskim traktacie pokojowym kończącym I wojnę światową. Plebiscyt był przeprowadzony 20 marca 1921 roku i poprzedzony dwoma powstaniem ludności Górnego Śląska, domagającej się przyłączenia regionu do Polski (powstania śląskie).

pracując w górnictwie jako podziemny ślusarz. Po dodatkowych studiach pedagogicznych został nauczycielem w Nysie w roku 1926, a w 1928. – moi rodzice pobrali się.

Urodziłem się w roku 1935 w Nysie, pięknym mieście, z którym wiąże się wiele pozytywnych wspomnień. Nysa była aż do początku XIX wieku rezydencją księcia-biskupa. Był on jednocześnie opiekunem obszarów Grodkowa, Otmuchowa i Nysy, w której znajdowało się wiele kościołów i klasztorów. Z tego powodu wielu nazywało ją „śląskim Rzymem”. Szczególnie wrażenie robił na mnie budynek wydziału finansowego na plantach, z 89-metrową gotycką wieżą ratuszową. Widziałem ją jeszcze przed zniszczeniem w roku 1945, jak również piękny kościół halowy, poświęcony świętemu Jakubowi.

Mój ojciec zajmował się nieodpłatnie przez całe lata historią Nysy i wczesną historią Śląska. Opublikował na ten temat szereg esejów. W 1941 roku powołano go na stanowisko dyrektora miejskiego archiwum. Latem 1944. został wcielony do Wehrmachtu. Ostatnią wiadomość otrzymaliśmy w lutym, z twierdzy Głogów nad Odrą. A potem czwórka mojego rodzeństwa i ja dorastaliśmy już bez ojca.

W latach osiemdziesiątych, po ponownym otwarciu muzeum w pałacu biskupim, pojechałem z żoną do mojego rodzinnego miasta, aby jej pokazać miejsca, gdzie dorastałem jako mały chłopiec. Sam się zdziwiłem, że tak wiele pamiętałem, chodząc po ulicach, które opuściłem czterdzieści lat temu. W rodzinie również często wspomniano to miasto.

Chciałem koniecznie pokazać żonie, obok innych atrakcji miasta, muzeum, do którego często chodziliśmy z ojcem. Kiedy stanęliśmy przy kasie – wytłumaczono nam, że wejście do środka jest obecnie niemożliwe, ponieważ oprowadzana jest po muzeum grupa niemieckich turystów. Przekonaliśmy kasjera, że dla wszystkich zainteresowanych najlepiej będzie, jeśli uregulujemy opłatę i dołączymy do grupy.

Pałac został zbudowany na początku XVIII wieku w stylu barokowym, a po uświęceniu go na początku XIX wieku – stał się siedzibą organu sądowego; został bardzo uszkodzony w roku 1945. Odwiedzających oprowadzał starszy kustosz, pan Pawlik, którego tłumaczyła pilotka grupy. Muzeum uczyniło na nas ogromne wrażenie. Na zakończenie zwiedzania podeszliśmy do pana Pawlika i powiedzieliśmy mu, jak bardzo podoba nam się jego muzeum i że mój ojciec dzisiaj na pewno by mu pogratulował. Opowiedziałem, że jako dziecko często towarzyszyłem ojcu, kiedy w niedzielę po południu wracaliśmy z kościoła świętego Jakuba i zachodziliśmy do dyrektora muzeum, pana Bomby. Podczas ich rozmowy, miałem możliwość uważnego rozglądania się. Pan Pawlik popatrzył mi głęboko w oczy i wyjaśnił: „W takim razie musi być pan panem Weißerem!”. To była wielka niespodzianka. Pan Pawlik nigdy nie widział mojego ojca, ale dobrze go znał z jego publikacji i napisał o tym artykuł do jednej z polskich gazet.

Ciężki cios nastąpił w styczniu 1945 roku. Armia Czerwona przebiła się w ciągu kilku dni od Wisły do Odry. Pewnego popołudnia niespodziewanie odwiedził moją matkę jej szwagier z Opola. Był tam kierownikiem zakładów zajmujących się naprawą kolei i otrzymał polecenie, aby ewakuować specjalnym pociągami ważne dokumenty i niektórych współpracowników.

Wujek Martin przekonał mamę, aby w ciągu trzech godzin spakowała to, co najważniejsze do walizek i pojechała wraz z piątką swoich dzieci (najstarsze miało 15 lat, najmłodsze 5) do Saksonii. Po kilku dniach jazdy dojechaliśmy do celu w Niemczech w okolice Lipska. Stamtąd przedostaliśmy się do Auerbach w Vogtland². Mamie i najstarszemu bratu przydzielono izbę dorożkarską u jednego ze spedytorów, a czwórkę młodszych dzieci zakwaterowano w domu dziecka. Dopiero w roku 1948 mama mogła zabrać wszystkie dzieci pod swoje skrzydła. Dostała mieszkanie przeznaczone do wynajmu u wdowy po aptekarzu, dwa małe pokoje z kuchnią oraz wspólną łazienką. Dzieci po kolei wyjeżdżały na studia, lecz to mieszkanie pozostawało miejscem powrotów rodzinnych, aż do śmierci mamy w roku 1969.

Mama znalazła pracę jeszcze w latach czterdziestych, przy zwalczaniu gruźlicy. W wieku 50 lat zdała egzamin państwowy w szkole medycznej w Lipsku. Od dłuższego czasu skarżyła się na bóle, lekarze podejrzewali kolkę wątrobową, nie chcieli jednak męczyć mamy operacją.

W sylwestra 1968 roku, bóle stały się nie do zniesienia i chirurg skierował ją natychmiast do szpitala. W czasie operacji stwierdzono zaawansowanego raka wątroby, który już nie był uleczalny. Rana została zaszyta, stan matki poprawił się ciągu 14 dni, ale my – dzieci wiedziałyśmy, że pozostało jej tylko kilka dni życia; 11 lutego 1969 roku musiała nas opuścić. Była wspaniałą kobietą i cudowną matką. Straciła na wojnie naszego ojca, którego bardzo kochała, a potem utrata ojczyzny była dla niej ostatecznym ciosem. Jako osoba przesiedlona, zupełnie nieźle radziła sobie z trudami okresu powojennego i przynajmniej moralnie wspierała nas w czasie studiów, nie doczekała jednak zasłużonej emerytury.

Od roku 1949 do 1953 chodziłem do liceum w Auerbach. Skład klasy był dobrą mieszanką: chłopcy i dziewczynki, pochodzenie społeczne, tubylcy i przesiedleni. Jednak panowała bardzo dobra atmosfera. Wszyscy nauczyciele z przeszłością nazistowską zostali zwolnieni na jesieni 1949 roku, a w trybie pilnym zostali wykształceni inni, politycznie nieobciążeni młodzi mężczyźni, aby w ciągu następnych lat wypełnić powstałe luki po zwolnionych. Moje braki, jeśli chodzi o gramatykę niemiecką, zostały wypełnione dzięki naszemu nauczycielowi łaciny, teraz rozróżniam trzy czasy przeszłe i prawidłowo ich używam. Łacina jest pięknym językiem z ujmującą logiką.

² Vogtland – pasmo górskie w Czechach i wschodnich Niemczech (Saksonia, Turyngia i Bawaria) w sąsiedztwie doliny rzeki Eger. Stanowi część Średniogórza Niemieckiego (*Deutsches Mittelgebirge*). Wzniesienia w paśmie nie przekraczają 800 m n.p.m.

Ten język pomógł mi wielokrotnie w ortografii, kiedy jeszcze nie było komputerów kontrolujących pisownię. Maturę zdałem z wynikiem dobrym.

Bardzo szybko zdecydowałem się na studia rolnicze. Czas w domu dziecka przybliżył mi tę dziedzinę, bowiem był tu wielki ogród, uprawiany przez dozorcę i dużych chłopców, który stanowił podstawę zaopatrzenia domu dziecka w owoce i warzywa. Tutaj dobrze poznałem pracę fizyczną.

W roku 1953 zostałem zarejestrowany na uniwersytecie w Lipsku, nasz rok obejmował 180 studentów, połowa z nich pochodziła z tego miasta. Dlatego przebieg studiów przewidywał po pierwszym roku studiów z przedmiotami podstawowymi: botaniką, zoologią, chemią i fizyką, m.in. rok praktyk w państwowym gospodarstwie. My – studenci przerobiliśmy wszystkie „stacje”, takie jak obora, chlewnia, kurnik; nauczyliśmy się obchodzić z końmi i traktorami. Na koniec praktyk przewidziany był egzamin. Musiałem m.in... wydoić krowę i skosić kawałek łąki kosą.

To przecież były jeszcze czasy kartek na żywność, nie było co włożyć do garnka. Tutaj w tym gospodarstwie mogłem jako dwudziestoletni mężczyzna, po raz pierwszy od 1945 roku najeść się do syta.

Na wykładach i seminariach obecność była obowiązkowa, nawet przy 180 studentach bumelanci rzucali się w oczy. Na koniec roku trzeba było zdać egzamin ustny z każdego przedmiotu. Kto nie zdał, mógł powtórzyć egzamin, przy ponownej porażce – był wydalany ze studiów. W ten sposób w ciągu pięciu lat straciliśmy jedną trzecią studentów. Dlatego studia znajdowały się zawsze w centrum uwagi, wiele weekendów spędziłem nad lekturą w jednej z największych bibliotek w Niemczech.

Otrzymałem początkowo od państwa 130 Marek stypendium, dzięki dobremu wynikowi podniesiono tę kwotę do 170 Marek, od matki nie mogłem oczekiwać wsparcia finansowego. Wykorzystałem nieliczne możliwości pracy dorywczej, aby nieco zarobić.

Podczas studiów poznałem moją późniejszą żonę, pobraliśmy się na piątym roku studiów. Po zdaniu egzaminów dyplomowych i ukończeniu pracy dyplomowej, wszyscy absolwenci byli kierowani do konkretnych miejsc pracy, nasza miejscowość nazywała się Ave, mała wieś w Meklemburgii. Tutaj tubylcy mówili jeszcze dialektem dolnoniemieckim, mieszkali tu chłopci, którzy w swoim życiu nigdy nie byli dalej niż w mieście okręgowym. Kiedy w drodze do naszej wsi zrobiliśmy sobie przerwę w małym zajeździe, trójka tubylców rozmawiała ze sobą, a my nie zrozumieliśmy z ich rozmowy ani słowa. Ale młodzi ludzie szybko się uczą. Po trzech latach pobytu w Ave mówiłem tak perfekcyjnym dialektem, że nikt nie rozpoznawał we mnie przyjeźdźcę. Do mojej lektury zaliczał się np. Fritz Reuter, który w swojej powieści „Ut mine Stromtid”³ opisywał dialektem dolnoniemieckim życie we wsiach meklemburskich w XIX wieku.

³ „Aus meiner Volontärszeit”

Pierwszym mieszkaniem dla mnie i żony była chłopska chałupa, podwójny dom rolniczy z XIX wieku. Był tutaj tylko jeden piec, który można było zacząć używać (po koniecznych reperacjach) dopiero w grudniu. Ale w październiku i w listopadzie potrafi być też bardzo zimno. Spaliśmy na siennikach. Nasza chałupa nie miała instalacji wodnej i toalety. Nasi poprzednicy używali wiadra w stodole. We wsi była studnia, czerpało się potrzebną wodę wiadrem. Gorącego lata 1959 roku studnia całkowicie wyschła i przez kilka tygodni „zastępował” ją człowiek przyjeżdżający po mleko i przywoził w bańkach wodę z mleczarni. W Ave urodził się nasz pierwszy syn.

Życie toczyło się dalej. W roku 1967 zostałem pracownikiem Wyższej Szkoły Rolniczej w Miśni, tutaj w roku 1968 obroniłem doktorat. Od 1981 r. pracowałem w LPG w okręgu miśnieńskim, aż do unii monetarnej w roku 1990. Zostałem zwolniony, jako jeden z pierwszych 150 pracowników LPG, bo koszty własne miały być drastycznie obniżone. Moje wypowiedzenie stanowił odpowiedni tekst, skopiowany na papierze DINA4, jedynie moje nazwisko zostało dopisane ręcznie długopisem. To było zakończenie mojej 32-letniej pracy, jako wykwalifikowanego w rolnictwie specjalisty. Potem przez 18 miesięcy byłem bezrobotny i otrzymywałem w tym czasie zasiłek dla bezrobotnych, w przeliczeniu 700 Euro.

Do 2009 roku pracowałem jako wolny nauczyciel, nauczając księgowości za honorarium 20 Euro brutto za godzinę lekcyjną, wliczając w to przygotowanie lekcji i koszty dojazdu. W czasie studiów otrzymałem bardzo dobre wykształcenie w dziedzinie rachunkowości i potrafiłem przekazać teorię podwójnej księgowości w teorii i w praktyce. W tej pracy odnosiłem sukcesy, nie miało to jednak wpływu na wysokość mojej emerytury, ponieważ nie byłem w stanie sfinansować składek na ubezpieczenie emerytalne z tego honorarium.

Dzięki wieloletnim kontaktom z moim przyjacielem Rudolfem Wojtachą z Tarnowskich Gór, dowiedziałem się wiele o nowej Polsce i jej mieszkańcach. Razem z żoną poznaliśmy go w 1982 roku, na urlopie w Reka koło Ostrawy w Czechach. Przyjechaliśmy już do domu wczasowego wcześniej i byliśmy przy tym, jak Rudolf z rodziną przyjechali polskim fiatem. Ze zdziwieniem patrzyliśmy, jak dużo mieści się w tak małym samochodzie. Oprócz Rudolfa i jego żony Jadwigi, wysiadły ich nastoletnie dzieci – Michał i Kasia, a potem wypakowano okazały bagaż. Wkrótce zaczęliśmy rozmawiać; Rudolf mówił perfektnie po polsku i po niemiecku. Urodził się w Polsce w pobliżu granicy niemieckiej, chodził w latach 1939–1945 do niemieckiej szkoły, a po 1945 roku studiował w Polsce i był głównym księgowym w hucie z trzema tysiącami pracowników.

Odwiedzaliśmy się co najmniej dwa razy w roku i zawsze „byliśmy w kontakcie”. Jadwiga dobrze rozumiała niemiecki. Rudolf pokazał nam przez te lata wiele atrakcji w Polsce: Katowice, zamek w Pszczynie, Kraków, kopalnię w Wieliczce, Opole, Wrocław i Warszawę. Duże wrażenie wywarła na nas Częstochowa z klasztorem na Jasnej Górze. Rudolf pokazał nam Czarną

Madonnę i wyjaśnił duże znaczenie tego symbolu dla wszystkich Polaków. Opowiedział nam, że np. co roku pielgrzymują do Czarnej Madonny, idący na piechotę z Górnego Śląska przez wiele dni, górnicy. Takiej pobożności nie spotkałem w Niemczech. Byliśmy też pod wrażeniem, odwiedzając grób świętej Jadwigi w Trzebnicy.

Było dla nas szczególnym wyróżnieniem, kiedy zostaliśmy zaproszeni przez rodzinę Wojtacha z Tarnowskich Gór na Boże Narodzenie. Jako Niemcy byliśmy dla nich niezwykle gośćmi, zostaliśmy po przyjacielsku przyjęci w krąg tej dużej rodziny.

Rudolf był najważniejszym ogniwem w łańcuchu naszego związku. Zmarł w 2007 roku po ciężkiej chorobie. I ten łańcuch został niestety zerwany.

Co uczyniło na mojej żonie i na mnie szczególne wrażenie podczas naszych pobytów w Polsce? Niezwykła gościnność i głęboka pobożność ludzi; nie widzieliśmy podobnej w żadnym innym europejskim kraju.

Po roku 1990 nauczyłem się obsługiwać komputer i mogę dla siebie i żony, która niestety cierpi na manię komputerową, korzystać z internetu. Mnie szczególnie interesują aktualne pytania dotyczące historii współczesnej.

W 2012 roku zajmowałem się przez wiele tygodni procesami transformacji w Polsce i w Niemczech Wschodnich po roku 1989. Dwadzieścia lat po zjednoczeniu Niemiec zauważyłem, że w różnych wystąpieniach z tej okazji tłumaczono społeczeństwu niedostateczne wyniki gospodarcze dziedzictwem dawnej NRD, co przy powierzchownym spojrzeniu – akceptowano, jako przekonujące. Wątpliwości powstawały, gdy pojawiało się porównanie z rozwojem Polski po roku 1989.

Po moich poszukiwaniach w internecie mogę potwierdzić, że Polska poradziła sobie doskonale z procesami transformacji i teraz dysponuje samodzielną, dobrze prosperującą gospodarką.

Wschodnie Niemcy nie sprostają ekonomicznemu procesowi transformacji. Czteroletnia działalność spółki powierniczej doprowadziła do deindustrializacji całych obszarów.

Wschodnie Niemcy nie dysponują samodzielną gospodarką, dla przykładu: obecnie budżety pięciu nowych landów nie są pokrywane nawet w 60% z własnych wpływów budżetowych.

Dziś żyjemy z żoną samotnie i skromnie, pielęgnujemy kontakty z naszym małym kręgiem przyjaciół i naszymi dziećmi. Dzięki internetowi dotarłem do wielu esejów mojego ojca, które czytam z uwagą, aby poznać go też i od tej strony.

(przełożył: Karol Czejarek)

III. Oceny

PETER BRANDT

Niemcy i Polska – moje refleksje

Nie wiem, kiedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że w Europie na wschód od Niemiec jest kraj o nazwie Polska – tak, jak Francja, Włochy i naturalnie Norwegia, kraj mojej matki. To musiało być bardziej niż powierzchowne, najpóźniej na lekcji geografii piątej i szóstej klasy, kiedy najpierw przerabialiśmy Marchię Brandenburską¹ łącznie z Neumark² na wschód od Odry, później pozostałe niemieckie regiony łącznie z Pomorzem, Śląskiem i Prusami Wschodnimi. Jeszcze później dotarliśmy do „właściwej” Polski. O tym, że duża część tych obszarów nie należała de facto od roku 1945 do Niemiec, wspomniano co prawda jako o stanie przejściowym, ale nie odgrywało to żadnej roli.

„Niemcy w granicach z roku 1937” były wówczas oficjalnym, odnoszącym się do prawa międzynarodowego, stanowiskiem Republiki Federalnej Niemiec, popieranym przez wszystkie obecne w parlamencie partie. Z całą mocą akcentowano, że całkowita bądź też daleko idąca rewizja granic musiała przebiec pokojowo. Jednakże dla każdego, względnie realistycznie myślącego było jasne, że jedynie całkowita kapitulacja dowodzonego przez Związek Radziecki bloku wschodniego mogłaby otworzyć taką perspektywę, podczas gdy ponowne zjednoczenie dwóch niemieckich państw, które było wówczas wątpliwe, stało się realne na drodze kompromisu dwóch obozów polityki światowej.

¹ Marchia Brandenburska, Margrabstwo Brandenburgii – marchia Świętego Cesarstwa Rzymskiego stworzona około 1157 roku przez Albrechta Niedźwiedzia na terenach podbitych Słowian połabskich w tym plemion Obodrytów i Związku wieleckiego. Od 1356 elektorat Rzeszy – Elektorat Brandenburgii. Od 1618 roku połączony unią personalną z księstwem pruskim (Brandenburgia–Prusy). Od 1701 główna część składowa Królestwa Prus.

² Neumark – gmina w Niemczech, w kraju związkowym Saksonia, w okręgu administracyjnym Chemnitz, w powiecie Vogtland.

Polityka zachodnioniemiecka obstawała względem granicy wschodniej na jej „prawnym punkcie widzenia”, bo żadna z konkurujących sił nie chciała odważyć się na śmiałe naruszenie prawa, ponieważ bali się, stracić popleczników spośród uciekinierów z wcześniejszych wschodnich pruskich prowincji lub przymusowo wysiedlonych i wzbudzić podejrzenie, że popadli w narodowy defetyzm.

Moje zainteresowanie Polską stało się konkretniejsze niż na lekcjach geografii, kiedy na początku roku 1963, w wieku czternastu lat wstąpiłem do stowarzyszenia Socjalistycznej Młodzieży Niemieckiej – Jastrzębie (a tak na marginesie – była to moja własna decyzja, nie miała na nią wpływu moja rodzina). Jastrzębie były lewicą berlińskiej socjaldemokracji, antykapitalistyczne, antyimperialistyczne i także antystalinowskie. Popierały ponowne zjednoczenie Niemiec jako związek RFN i NRD, ale też opowiadały się już wcześniej za uznaniem granicy na Odrze i Nysie, a było to we wczesnych latach 50. i 60. ryzykowne politycznie przedsięwzięcie.

Nawet w szeregach Socjalistycznej Partii Niemiec mniejszość uznawała wówczas granice. Wpływ wypędzonych polityków, którzy byli obecni zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz partii, odgrywał rolę tak samo, jak lęk przed nacjonalistyczną radykalizacją milionów uciekinierów ze wschodu i wypędzonych z ojczyzny, jak również resztki nadziei, że Niemcy w przypadku późniejszych pokojowych regulacji odzyskają przynajmniej część utraconego terytorium. Mój ojciec, przewodniczący Socjalistycznej Partii Niemiec od roku 1964, który należał w partii do realistów, argumentował jeszcze w latach 60. w czasie prywatnej rozmowy, że miałoby duże symboliczne znaczenie przesunięcie granicy na Odrze i Nysie o kilkaset metrów na wschód.

Wkrótce potem zmienił się pogląd socjaldemokratów w kwestii wschodniej granicy Niemiec. Chęć pojednania się z Polską została podporządkowana „stanowi prawnemu”, wyobcowanie Związku Wypędzonych i jego oddziałów, a następnie ich rozłam został zaakceptowany. Od roku 1968 stało się jasne, że rząd utworzony przez partię socjaldemokratyczną SPD uzna prowizoryczny „przebieg granic” z roku 1945 pomiędzy Niemcami a Polską również dla przyszłych zjednoczonych Niemiec.

Tę drogę poprzedzały właśnie takie organizacje, jak Jastrzębie, które regularnie podróżowały do Polski i Czechosłowacji, zwiedzając nazistowskie obozy koncentracyjne i obozy zagłady; równie ważny był też wkład liberalnej publicystyki i kościoła.

Sam przyjechałem po raz pierwszy do Polski w roku 1966, kiedy wraz z innymi młodymi aktorami-amatorami uczestniczyłem w Trójmieście Gdańsk–Gdynia–Sopot w ekranizacji noweli Güntera Grassa „Kot i mysz”. Projekt bazował na współpracy zachodniobерlińskiej firmy produkcyjnej i państwowego polskiego studia filmowego. Polska sztuka filmowa cieszyła się wówczas dużym uznaniem na Zachodzie. Kręcenie filmu trwało około dwóch miesięcy i umożliwiało wiele swobodnych kontaktów z tubylcami.

Było oczywiste, że Polska Ludowa była wolnym krajem, podobnie jak NRD, pomimo że rozczarowanie nowym, powitany z takimi nadziejami, przewodniczącym partii Gomułka, który przeciwstawił się Sowietom w roku 1956, dawało się wyczuć w rozmowach. Nawet komisarze polityczni, którzy początkowo zostali wydelegowani do tego filmowego projektu, robili przyjazne i niezbyt ponure wrażenie. To, że standard życia w Polsce był znacznie niższy niż w zachodnich, a nawet wschodnich Niemczech, było nie do przeoczenia, ale biorąc pod uwagę uwarunkowanie historyczne i sytuację polityczną – nie było to szczególnie zaskakujące.

Reasumując opuściłem te trzy polskie miasta na wybrzeżu z nowymi doświadczeniami i dużą dozą sympatii dla tych wielu serdecznych ludzi, których poznałem w środkowoeuropejskim, sąsiednim narodzie. Zafascynowała mnie naprawdę chwalona urbanistycznie odbudowa Gdańska (jak również innych miast) po ciężkich zniszczeniach wojennych. Nie spotkałem się nigdzie z antyniemiecką niechęcią, co w związku z krótkim okresem po aneksji, względnie okupacji nie było bynajmniej oczywiste, nawet ze strony młodych, nie biorących udziału w tych wydarzeniach pokoleń. Częściowo było to na pewno związane ze szczególnym statusem ekipy filmowej.

Na początku mojego wielotygodniowego pobytu zawarłem też znajomość z tamtejszą opieką medyczną. Przyjechałem z zapaleniem wątroby, które wywiązało się po drodze i początkowo rozłożyło mnie na łopatki. Najpierw podejrzewano początki żółtaczki, co się nie potwierdziło, ale musiałem spędzić kilka dni w miejscowym szpitalu: w sali z około dziesięcioma mężczyznami w różnym wieku. Wszyscy najpierw myśleli, że jestem młodym marynarzem, byli dla mnie bardzo mili, niektórzy mówili trochę po niemiecku. Jeden z lekarzy, starszy, kulturalny pan z perfekcyjną znajomością niemieckiego, zapadł mi szczególnie w pamięć. Kiedy wróciłem do Berlina Zachodniego i musiałem poddać się testom kontrolnym, tamtejsi lekarze chwalili dokładność i precyzję przeprowadzonych przez ich polskich kolegów badań medycznych, jak również podsumowującą diagnozę.

Nie jestem najlepszym świadkiem pierwszych kroków Nowej Polityki Wschodniej Republiki Federalnej Niemiec w czasie trwania pierwszej dużej koalicji (1966–69), a potem jej heroicznej fazy przełomowej następnego, socjalliberalnego rządu Brandt/Schiel. Pozostałem wówczas jako osiemnastolatek w Berlinie, podczas gdy pozostali członkowie rodziny Brandt przenieśli się na początku roku 1967 do Bonn. Ponieważ byłem dosyć radykalnym lewicującym socjalistą, dokładnie mówiąc trockistą, nie identyfikowałem się z projektami polityki wewnętrznej i międzynarodowej nowego rządu, ale miałem nadzieję na pozytywne efekty prowadzonej polityki odprężenia: ludzkiej ulgi, gwarancji pokoju, a także – co nie mniej ważne – zniesienia blokady wzajemnego wrogiego obrazu, która przyczyniła się do marginalizacji dążeń wolnościowo-socjalistycznych względnie demokratycznych po obu stronach granicy.

Nowa Polityka Wschodnia Republiki Federalnej Niemiec zawierała aspekty polityki realnej, a także niemiecko-nacjonalistycznej, ale była jednocześnie połączona z intencją, aby kontynuować osiągnięte już w znacznym stopniu pojednanie z Zachodem, w szczególności z odwiecznym wrogiem – Francją, a także ze Wschodem, szczególnie z Polską. Polska nie miała już być, jak za czasów kanclerza Adenauera, lekceważona jako „satelita Kremla” lecz doceniana jako partner mający własne znaczenie (nawet jeśli układ sił wymuszał stosowanie dewizy „najpierw Moskwa”).

Nie ma żadnego innego politycznego działania czy gestu, który jest tak bardzo związany z osobą Willego Brandta, jak padnięcie na kolana 7 grudnia 1970 roku. Kiedy ponownie ogląda się ten film, wyraźnie widoczne staje się napięcie jego aktorów: nieporuszona twarz, sztuczna, kiedy uczucia mają zostać utrzymane w ryzach, a nie uwidocznione. Ponieważ nigdy nie rozmawiałem z moim ojcem o tyjących się tego wydarzenia motywach i uczuciach, nie mogę na ten temat powiedzieć nic więcej, ponad to, co wiem od matki. Ona zapytała go po jego powrocie do Niemiec, czy zaplanował owo padnięcie na kolana (które wymagało również niezwyklej kontroli nad ciałem). Nietypową odpowiedź pozostawiła tak mądrą, jaką była pierwotnie: „Coś trzeba było zrobić”. W rozmowie ze mną wiele lat później podkreślił, że ukląkł przed pomnikiem getta, a nie pomnikiem narodowym, co jak wiadomo nie wszystkim Polakom się podobało.

Kiedy próbuję interpretować to wydarzenie, wydaje mi się również istotne, że ten głęboko chrześcijański, dokładniej zachodniochrześcijański gest padnięcia na kolana w tamtej sytuacji mógł zostać wykonany tylko przez kogoś, kto był osobiście wolny od winy, a ponadto nieobciążony niechlubną przeszłością. Jednocześnie musiał być gotowy jako reprezentant (zachodnio) niemieckiego państwa wziąć na siebie świadomie i dobrowolnie odpowiedzialność za nazistowską przeszłość. To opierało się na zawierającej zarówno negatywne, jak i pozytywne aspekty niemieckiej historii identyfikacji z narodem niemieckim. Identyfikacji, która obok odrazy знаła też wstyd z powodu potwornych zbrodni, jakich dopuścili się Niemcy, ale też dumę z kulturalnych i cywilizacyjnych osiągnięć narodu niemieckiego, jego humanistycznych i wolnościowych tradycji i jego ponownego wzlotu, tak jak i jego demokratycznego nawrócenia po roku 1945, związanego z uzasadnionymi nadziejami na przyszłość kształtowaną w oparciu o socjaldemokratyczne wartości. I nie wolno zapomnieć o tym, co wymuszało szacunek Zachodu: jego nienaganna postawa w odniesieniu do czasów nazistowskich. To umożliwiała Willemu Brandtowi zmierzyć się w sposób wiarygodny z całą zarzutów wobec Niemców.

Pod koniec lat 70. i na początku lat 80. konflikt strukturalny pomiędzy Wschodem i Zachodem ponownie się zaostriął i groził doprowadzeniem do nowej „zimnej wojny”. Hasłem było planowanie wystawienia po obu stronach nowej atomowej broni precyzyjnej i ogólnego zbrojenia się świata na

wysokim poziomie, inwazja ZSRR w Afganistanie przeprowadzona w celu obalenia wpływów USA, wojny partyzanckie i ruchy wolnościowe na półkuli południowej, jak również polska Solidarność.

Całkowicie zgadzałem się z tym, że zachodnioniemiecka socjaldemokracja – wbrew politycznoświatowemu trendowi, a szczególnie reganowskiej polityce zwiększenia zbrojeń – wspierała polityczne odprężenie, nawet życzyłaby sobie więcej samodzielności w stosunku do NATO. Ale jednocześnie uważałem, że tradycyjne nakierowane na stabilizację obydwu bloków i obliczone na podwójną hegemonię supermocarstw odprężenie w relacjach międzynarodowych jest już bliskie osiągnięcia swojego limitu i musiały zostać wdrożone nowe impulsy służące emancypacji Europy oraz daleko idącemu zbliżeniu się jej dwóch części, szczególnie obydwu części Niemiec. One napływały – nie zawsze jednomyślnie – m.in. z Ogólnogreckiego Ruchu Socjalistycznego PASOK, Solidarności w Polsce, niekiedy ze strony francuskiego rządu socjalistycznego i organizacji pokojowych z zachodnich i wschodnich Niemiec.

W każdym razie Socjalistyczna Parta Niemiec SPD nie powinna była podporządkowywać się tej samej logice dyplomatycznej, która decydowała o stosunkach międzynarodowych. Obok kontaktów z partiami rządzącymi na Wschodzie, musiały powstać też intensywniejsze kontakty z grupami i osobami nastawionymi krytycznie i opozycyjnie, szczególnie takimi, które dążyły do osiągnięcia podobnych celów politycznych, względnie byli wyrazem autochtonicznego ruchu robotniczego lub ludowego, co w przypadku Solidarności nie budziło żadnych wątpliwości. O tyle dystans dzielący decydentów SPD i Solidarności wydawał mi się zbyt odległy.

Pewien dystans był również wyczuwalny pomiędzy organizacjami pokojowymi. Obok dyskomfortu spowodowanego ścisłym powiązaniem niezależnego polskiego związku zawodowego z katolickim klerem, pojawił się strach przed potencjalnie zagrażającym pokojowi zachwianiem europejskiego status quo, podobnie jak po stronie SPD. Bądź co bądź w SPD, związkach zawodowych i wśród niezależnych lewicowców były grupy, które opowiadały się za Solidarnością i służyły praktyczną pomocą. A po drugiej stronie wielkiej polityki nie mogła zostać niedostrzeżona, godząca oba narody, fala pomocy humanitarnej z Zachodnich Niemiec w czasie zimy stanu wojennego 1981/82.

Po ogłoszeniu stanu wojennego przez generała Jaruzelskiego 13 grudnia 1981 roku, należałem do tych, którzy wzięli udział w demonstracji lewicowców w Berlinie. Ta demonstracja była potrzebna, tak myślę do dzisiaj, nawet zakładając, że wprowadzenie stanu wojennego obiektywnie i/lub subiektywnie wyprzedziło sowiecko-wschodnioniemiecką akcję militarną. Dzięki tej wspomnianej demonstracji z grudnia 1981 roku odżyło wspomnienie podobnej akcji protestacyjnej, która miała miejsce zaledwie czternaście lat wcześniej. Wówczas chodziło o stłumienie zamieszek studenckich w Polsce i wynikającą z tego kampanię antyżydowską frakcji „partyzantów”

PZPR. Dwóm protagonistom tego protestu z roku 1968, Jackowi Kurońowi i Karolowi Modzelewskiemu, autorom inspirowanego przez trockizm krytycznego wobec systemu „Listu otwartego do Partii”, przetłumaczonego na niemiecki, oddawano chóralny hołd w ulotkach. Należeli oni potem w latach 70. do założycieli Komitetu Obrony Robotników (KOR), a następnie do intelektualnych doradców Solidarności. Chociaż Kuroń, Modzelewski i inni, jak np. Adam Michnik – zmienili swoje stanowisko w latach 60. Istniał jednak, jak sądzę, związek pomiędzy dawną postawą opozycyjną a ich wzięciem udziału w rewolucji lat 80.

Mój pierwszy wykład akademicki w Polsce wygłosiłem w roku 2001 na Uniwersytecie Wrocławskim. Traktował on o ponownym zjednoczeniu Niemiec w dalszej perspektywie historycznej. We Wrocławiu tętniącym życiem, wybijającym się wśród innych miast, podczas rozmów z osobami niemieckojęzycznymi, dostrzegłem zadziwiająco pozbawiony uprzedzeń stosunek do niemieckiej przeszłości miasta. Potwierdziły to moje późniejsze przyjazdy, ale słyszałem też uprzednio o regularnych, przyjacielskich kontaktach od wypędzonych po roku 1945 i spotkałem bardzo zaangażowanego w te zagadnienia starego Wrocławianina. W samym tylko Berlinie znam trzy koła niemiecko-polskie, a to z pewnością jedynie ułamek. Sprawy zaszły już na niższym poziomie dużo dalej, niż pozwalają to przypuszczać wciąż zmieniające się, raz chłodniejsze, raz cieplejsze stosunki pomiędzy rządami.

Niemcy i Polska należą dzisiaj do najważniejszych członków Unii Europejskiej. Dzielą wspólne interesy i obydwie kraje opierają się na systemie demokracji pośredniej. Panujące od ponad dwustu lat wysoce problematyczne relacje tych sąsiadujących ze sobą państw nadal można uzdrawiać, ale są one dużo poprawniejsze, niż można było to sobie wyobrazić trzydzieści lat temu. Niemcy nie tylko uznali granicę na Odrze i Nysie, ale też z małymi wyjątkami – wewnętrznie ją zaakceptowali. Do tego zajmowali się – traktując całkowitą porażkę roku 1945 jako punkt wyjścia, początkowo wahając się i opierając, ale od lat 60. wciąż bardziej zdecydowani potępić rozmiar zbrodni nazistowskich w kraju i za granicą. Ich powrót do cywilizacji zależał i zależy od całkowitego samokrytycznego rozprawienia się z upiorami przeszłości i może być szansą na osiągnięcie narodowego porozumienia.

W Polsce patrzy się teraz również bardziej krytycznie na własną, nawet najnowszą historię niż miało to miejsce przez długi okres w przeszłości. Od roku 1939 do 1945, a w innym sensie również później, Polska była bezsprzecznie ofiarą, a Niemcy (a także Związek Radziecki) tymi, którzy uciskali i mordowali ludzi. Jednak pomimo podziału politycznego w XIX wieku i powszechnych mitów, państwo polskie nie zawsze było tylko ofiarą: coraz bardziej autorytarny reżim okresu międzywojennego dyskryminował mniejszości narodowe, także żydowską i skłaniał się do postaw agresywnych i ekspansywnych w polityce zagranicznej. Jako pierwsze państwo zawarło w styczniu 1934 roku deklarację o niestosowaniu przemocy z Niemcami hitlerowskimi i uczestniczyło

jeszcze na jesieni 1938 roku w podziale Czechosłowacji. To w niczym nie usprawiedliwia późniejszej napaści Niemiec i polityki okupacyjnej. Te nie-liczne przykłady mają jedynie pokazać, że także po polskiej stronie należy rozliczyć się z przeszłością, nie tylko w wewnętrznej, naukowo-merytorycznej dyskusji i nie tylko w odniesieniu do własnego udziału w partyjnej dyktaturze komunistycznej. Jednocześnie chciałbym zaznaczyć, że zwycięskie samowyzwolenie nie jest takim przyczynkiem do rozważań, jak wrażenie znalezienia się na katastrofalnym końcu błędnej drogi narodowej.

Podczas gdy Niemcy wciąż uświadamiają sobie zbrodnie masowe przeciwko Żydom i ludom słowiańskim – zabiega się właśnie o odpowiedni projekt pomnika w niemieckiej stolicy – Polacy powinni nieco śmieiej niż dotychczas zająć się publicznie kwestią milionów uciekinierów i wypędzonych z dawnych niemieckich ziem wschodnich, którym niekiedy towarzyszyły dramatyczne okoliczności i liczne ofiary. Oczywiście te wydarzenia nie są zrozumiałe bez bezpośrednio poprzedzającej ich historii nazistowskich Niemiec, ale nie były ich logicznym skutkiem, lecz były indukowane przez politykę mocarstwową. Dotknęło to w przeważającej części osoby, które nie ponoszą żadnej osobistej winy; one również były ofiarami „Wieku skrajności” (E. Hobsbawm), nawet do dzisiaj chętnie kultywowane w Niemczech wyobrażenie trwałej i całkowitej nazistowskiej wspólnoty narodowej jest tak odległe od prawdy, jak rozpowszechnione w dawnym RFN wyobrażenie okupowanego przez grupę gangsterów i rasistowskich ideologów mieszczańskiego społeczeństwa, którego oprócz tego pozostało nienaruszone.

Jednocześnie potrzebujemy woli i umiejętności, wczucia się w sytuację z punktu widzenia drugiej strony, nie żeby bezkrytycznie przejąć ten punkt widzenia, lecz by zrozumieć jej sposób myślenia i działania. Na pewno zarówno w przypadku Polski, jak i Niemiec wchodzi w grę społeczeństwa pluralistyczne o szerokim spektrum poglądów. Jednak można dostrzec pewne schematy myślenia, które można określić jako „typowo niemieckie” albo „typowo polskie”, w zależności od nastawienia i postawy wobec Rosji. Pomogłoby, jeśli obydwie strony postarałyby się zrozumieć przyczyny tych, czy innych preferencji leżących w najnowszej, niekiedy też nieco starszej przeszłości, niż utrudniać ten dialog przez wzajemne oskarżenia. To, że Polska jest bardziej wrażliwa niż Niemcy na wszelkie oznaki nowej rosyjskiej polityki wielkomocarstwowej, jest tak samo zrozumiałe, jak niemiecka niechęć do kolejnej zimnej wojny z Rosją, która w czasie drugiej wojny światowej stała się podobnie, jak Polska obiektem ataku nazistów, również polityki eksterminacji i zniewolenia. A bez decyzji Michaiła Gorbaczowa i jego zwolenników z dawnej Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, które uwolniły państwa układu warszawskiego spod kurateli, nie byłoby dziś prawdopodobnie ani wolnej, suwerennej Polski, ani zjednoczonych Niemiec.

(Przełożyła: Katarzyna Gawor)

JAN CHRIST

Krótkie refleksje pisarza

O ile sobie przypominam – a przekroczyłem już „osiemdziesiątkę” – ciągle słyszałem w kręgu swojej rodziny, przyjaciół i znajomych, tych bliższych i dalszych, że z Polakami musimy żyć w zgodzie! Oznacza to, że nigdy nie wolno nam w tym dążeniu stanąć, bo osiągnęliśmy już wszystko. Trzeba ciągle te dobrosąsiedzkie stosunki (mimo, że teraz wydają się być na właściwej drodze) poprawiać i doskonalić. Dlatego, aby o tym opowiedzieć i napisać (w drugiej książce, jaka – mam nadzieję – się ukaże, bo pierwszą – „Historia pamięcią pisana” – bardzo dobrą – mam), przyjechałem na Biografie polsko-niemieckie do Gödelitz. Jestem za to bardzo wdzięczny panom moderatorom – Axelowi Schmidtowi von Gödelitz, przewodniczącemu ost-west-forum Gut Gödelitz i profesorowi Karolowi Czejarkowi, sekretarzowi generalnemu Międzywydziałowego Centrum Badań Niemcoznawczych Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusk. Zainspirowali oni i od kilku lat organizują te spotkania biograficzne w Gödelitz i w Pułtusk, niedaleko Warszawy. Krótko mówiąc, trzeba być na takie inicjatywy otwartym, a to wymaga sił, chęci i... samokrytyki. Dopiero wtedy będziemy mogli PRAWDZIWIE rozumieć Polaków i żyć z nimi w zgodzie! Dodam jeszcze, nim wrócę do tematu swej wypowiedzi, że z panem Profesorem Czejarkiem od jakiegoś czasu się przyjaźnię i liczę na to, że pomoże mi w przekładzie mojej twórczości w Polsce. A może sam przełoży moją „Annę Wentscher”? I jeszcze jedno chciałbym dodać. Dziękuję Axelowi i Karolowi za to, że mimo zamkniętej listy uczestników tego seminarium zaprosili mnie na to spotkanie, z którego przebiegu jestem bardzo zadowolony. A wracając do mojej wypowiedzi...

Moje córki pytały mnie często: jak poradziście sobie (jako Niemcy) z naprawą stosunków z Polską po roku 1945? Z tym niewyobrażalnym cierpieniem, jakie zadaliście milionom Polaków? Jak poradziście sobie z rozpętaną przeciwko nim nienawiścią? A potem z własnym głodem i poniżeniem, jakie miało miejsce po przegranej wojnie i bezwzględnej kapitulacji?

Jak potraktowaliście uciekinierów i wypędzonych oraz przesiedleńców z ziem utraconych przez Rzeszę po roku 1945?

Jak pogodziliście się z tym, że to Polacy po wojnie byli górą, a czerwo-noarmiści gwałcili wasze kobiety, mordowali was i grabili waszą ojcowiznę itd. itp.?

Czy dziś mógłbyś ojcie z czystym sumieniem powiedzieć, że do końca poradziliście sobie z tym wszystkim? Jeśli tak, to w jaki sposób?

Opowiedz nam też o tym, jak w ogóle „przełknęliście” tę klęskę, straty i nienawiść, z jaką was traktowano w pierwszych miesiącach po wojnie, którą sami wywołaliście swymi zbrodnicznymi celami?

Wiemy, że musieliście się gruntownie zmienić, na nowo w tym wszystkim odnaleźć! Więc powiedz, co samemu przeżywa się, doznając TAKIEGO upokorzenia. Czy dopiero totalna klęska musiała was zmusić, byćście się zre-flektowali?

Miałybyśmy jeszcze więcej pytań, ale ustosunkuj się najpierw do tego, co nas najbardziej gnębi.

Refleksja pierwsza;

Moje kochane, nie jest łatwo odpowiedzieć na wasze pytania, tym bardziej, że jako pisarz nie wszystko rozumiałem i nie wszystko od razu uświadamiałem sobie. Dopiero z czasem stwierdziłem, jak różni są ludzie i jak różnie podchodzą do życia. Zacząłem o tym pisać. O ich psychice, dążeniach, przemianach, utopiach. Przykładem najpierw byli dla nazistów, m.in. Amerykanie, z ich koncepcją tworzenia nowego, innego państwa. (Powybijali Indian, wykorzystali Murzynów). Ale te „fantazje” początkowo prowadziły mnie donikąd, nie miałem przecież „szkół” (wykształcenia) i do wszystkiego co dotąd napisałem dochodziłem wolno, poprzez własne (i naszego narodu) doświadczenia i obserwacje, przez „wędrowki” między ludźmi, poznawanie ich życia. I dlatego tak ważne są te „biografie”. Cieszę się, że TU JESTEM, że przyjechałem do Gödelitz. Jako pisarz – stałem się przecież (tak można mnie określić) „psychoanalitycznym” reporterem, dramaturgiem i powieściopisarzem (także poetą) biografii innych ludzi.

Refleksja druga;

Na szczęście poradziłem sobie z wszystkimi problemami dotyczącymi spraw, o które pytałyście. Ale nie było to łatwe. Rozumienie tych „zagadnień” przyszło z tzw. „środowiska”. Jako reporter, czy jak to inaczej powiedzieć – dziennikarz „ZEIT MAGAZIN” – przez kilka tygodni nawet „siedziałem” w celi z różnymi przestępcami. Dzięki hrabinie DÖNHOF, mogłem rozmawiać z więźniami – zbrodniarzami nazistowskimi, pytać o motywy ich działania.

Chłonałem „życie” bez opamiętania. Na podobnej zasadzie rozmawiałem wiele lat później z pracownikami elektrowni atomowych, pływałem jako marynarz po Bałtyku, poznałem wspaniałych polskich konserwatorów zabytków w Toruniu, płynąłem przez Skagerrak i przechodziłem chorobę morską. Poddawałem się DOŚWIADCZENIU, BY ZROZUMIEĆ i w przyszłości

móc działać na rzecz pokoju i aby już nigdy – ani obozy śmierci, ani mordowanie całych narodów JUŻ SIĘ NIE POWTÓRZYŁO!

Refleksja trzecia;

Z tych „materiałów”, które zbierałem „na żywo”, tworzyłem swoje audycje radiowe, sztuki teatralne, opowiadania, powieści, wiersze. Powstawały refleksje o prawdzie, o której dowiadywałem się będąc reporterem. Wywodziły się one z obiektywnych i bardzo realnych przeżyć! (przecież kiedy wybuchła wojna, ja miałem zaledwie 5 lat i o niczym wówczas nie wiedziałem). Ale któregoś dnia moi pracodawcy mieli mnie dość i zwolnili z dziennikarskiego obowiązku śledczego. (Nie wszyscy chcieli, abym szukał PRAWDY). Ale zwolnieniem z pracy nie ostudzono mojego zapału. Przy swoim berlińskim biurku pisałem dalej, zagadywałem nadal różnych ludzi o ich przeżycia. A gdy przekonywali się, że nie jestem denuncjatorem, a robię to z czystych humanistycznych pobudek – zwierzali mi się i poszerzali moje horyzonty.

Te fragmenty ich życiorysów jeszcze bardziej poszerzałem, ale nie jako analityk, historyk czy jeszcze jakiś inny uczony. W c z u w a ł e m s i ę w ich życiowe sytuacje i zwykłe ludzkie problemy, dodając do tego własne refleksje, przeżycia i wiedzę. I tak stałem się zawodowym pisarzem, jakim jestem do dziś.

Owo poszerzanie przeżyć innych ludzi jest właśnie moją LITERATURĄ, którą nazywam **otwieraniem się na innych**.

To tak, jakby ktoś dostarczał mi tkaninę, którą mam pokryć np. leżankę czy tapczan, ale pokrywam ten „mebel” według swojej własnej, artystycznej wizji, fantazji, z całym aparatem wewnętrznych, żywych komórek, tkanek z całym systemem nerwów i niewidzialną duszą. I to jest właśnie ta moja LITERATURA! (poezja, opowiadanie, powieść, dramat czy słuchowiska radiowe). Ona jest z PRAWDZIWEGO MATERIAŁU, opisuje prawdziwe zdarzenia, autentyczne przeżycia. Jest z „ciała i krwi” i ma swoją duszę. Nie wiem, jak wam to inaczej wytłumaczyć. A na wasze trudne pytania znajdziecie wyczerpujące odpowiedzi w moich utworach! W książkach Jana Christa, a najpełniej w powieści „ANNA WENTSCHER” (Wydawnictwo „Klett-cotta”, Stuttgart 1995), którą gorąco Wam polecam.

(przekład: Karol Czejarek)

JERZY JASKIERNIA

O Niemczech i Niemcach

M yślenie o Niemczech i Niemcach było jednym z najważniejszych elementów mojego dzieciństwa. Kształtowało się ono w traumie, jaką pozostawiła II wojna światowa i w lękach, jakie niesła możliwość rewizji granic. Nie da się przecież ukryć, że jednym z kluczowych elementów ówczesnej polityki polskiej – nie tylko oficjalnie eksponowanym przez władze, ale niewątpliwie zakotwiczonym w świadomości społecznej – była obawa o los Ziem Zachodnich¹. Miałem po temu szczególny powód – urodziłem się w Kudowie-Zdroju, na Dolnym Śląsku. Rodzice, Zofia ze Stobińskich i Mieczysław Jaskiernia dostali pierwszą po studiach w Akademii Handlowej w Krakowie posadę w Kudowskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego. Choć od drugiego roku życia związany byłem z Sandomierzem, to jednak sentyment do miejsca urodzenia pozostał na zawsze.

Z tego punktu widzenia istotne znaczenie miało dla mnie podpisanie układu między Polską Rzeczpospolitą Ludową i Republiką Federalną Niemiec w grudniu 1970 r.² Byłem wówczas w połowie studiów prawniczych na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie i pamiętam, z jaką radością powitałem podpisanie tego układu międzynarodowego. Wagę tego wydarzenia przyćmiły zapewne wydarzenia grudniowe 1970 r. i upadek Władysława Gomułki. Nie ulega wszakże wątpliwości, że normalizacja stosunków polsko-niemieckich była jedną z tych kluczowych przesłanek, które torowały drogę ewolucji relacji obu państw i społeczeństw. Był to bowiem początek końca portretowania Niemiec, jako kraju zdominowanego przez ziomko-

¹ Por. H.-A. Jacobsen, M. Tomala, *Warszawa–Bonn 1945–1991. Stosunki polsko-niemieckie. Analiza i dokumenty*, PISM, Warszawa 1992.

² Zob. Układ między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Republiką Federalną Niemiec o podstawach normalizacji ich wzajemnych stosunków, podpisany w Warszawie dnia 7 grudnia 1970 r., Dz.U. 1972, Nr 24, poz. 168.

stwa, dążące do zmiany granic ukształtowanych w 1945 r., a obawa o to była jedną z eksponowanych przesłanek legitymizacji władzy w PRL, bo – jak wówczas podkreślała to oficjalna propaganda – bez rządów lewicy i sojuszu ze Związkiem Radzieckim nie byłoby powrotu na Ziemie Zachodnie i nie byłoby szansy na ich zagospodarowanie.

Niejednokrotnie zastanawiałem się, czy istnieje związek przyczynowy między podpisaniem układu polsko-niemieckiego w 1970 r. a wydarzeniami grudniowymi. Wielu obserwatorów próbowało wówczas zrozumieć, dlaczego Władysław Gomułka musiał opuścić stanowisko I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wkrótce po tym, gdy – biorąc znaczenie tego układu – odniósł największy sukces na polu polityki zagranicznej. Pozornie podpisanie układu i wydarzenia grudniowe nie pozostają w logicznym związku – na Wybrzeżu protest dotyczył przecież radykalnego podwyższenia cen mięsa, co stało się przyczyną wybuchu niezadowolenia społecznego. Można jednak – jak mi się wydaje – wskazać tu jednak na pewien logiczny związek. Strach przed Niemcami (eksponowanie Konrada Adenauera w stroju krzyżackim, nagłaśnianie żądań organizacji ziomkowskich, sianie atmosfery tymczasowości na Ziemiach Odzyskanych etc.) było istotnym czynnikiem dyscyplinowania społeczeństwa w Polsce. Nie podnosiło ono żądań politycznych w sytuacji, gdy wydawało się, że polska racja stanu jest zagrożona, a w tej sytuacji trzeba się godzić na politykę PZPR i na sojusz Polski z ZSRR, eksponowany jako gwarant zachowania status quo na Ziemiach Odzyskanych. Gdy ta przesłanka stanów lękowych – po podpisaniu układu – odpadła lub została poważnie złagodzona, społeczeństwo mogło upomnieć się o swe aspiracje polityczne. Niewątpliwie bowiem wydarzeń grudniowych nie można sprowadzić tylko do protestu społecznego o charakterze ekonomicznym. Były one bowiem – co widać znacznie ostrzej z perspektywy wydarzeń z 1989 r. – jedną z pierwszych prób zakwestionowania legitymacji władz komunistycznych w Polsce.

Pewne elementy zbliżenia polsko-niemieckiego miały miejsce jeszcze w okresie PRL. Nie lekceważyłbym z tego punktu widzenia efektów otwarcia granicy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i Niemieckiej Republiki Demokratycznej, w okresie przemian gierkowskich w latach siedemdziesiątych. Choć był to eksperyment o ograniczonym znaczeniu i polityka otwarcia była korygowana, to jednak – w kontekście generalnych ograniczeń w zakresie podróżowania wówczas „na Zachód” – dawało to pierwsze, w tak wielkiej skali, choć nie pełne, bo ograniczone tylko do NRD, pole zbliżenia narodów polskiego i niemieckiego. Nie bez znaczenia była też szeroko zakrojona wymiana młodzieżowa między PRL a NRD, organizowana w latach osiemdziesiątych.

Po 1989 roku, w nowej konfiguracji geopolitycznej, jaką niosły przeobrażenia w państwach Europy Środkowej i Wschodniej, a zwłaszcza rozpad Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, powstały warunki

do kształtowania się nowej jakościowo fazy tych stosunków. Zjednoczone Niemcy³ (uwzględniając rolę, jaką w procesie zjednoczenia odegrało powstanie „Solidarności”), a także demokratyczna Rzeczpospolita Polska mogły wreszcie ukształtować swe relacje w sposób partnerski, gdzie historycznym urazom zaczęły ustępować nowe wartości wspólnej troski o bezpieczeństwo (w ramach Paktu Północnoatlantyckiego) i rozwój ekonomiczny (w ramach Unii Europejskiej). Pamiętne spotkanie Tadeusza Mazowieckiego i Helmuta Kohla w Krzyżowej, 12 listopada 1989 r., połączone z gestem pojednania podczas mszy świętej, było tego spektakularnym dowodem. Wskazywano, że jest to kolejny gest pojednania po słynnym liście biskupów polskich do biskupów niemieckich z 1965 r.

Ukoronowaniem tego procesu był Traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaźnej współpracy między Polską a Niemcami, podpisany w 1991 roku w Bonn przez prezesa Rady Ministrów RP – Jana Krzysztofa Bieleckiego oraz kanclerza RFN – Helmuta Kohla⁴. Powróciła atmosfera zbliżenia z 1970 roku, tym razem oparta – wobec zmian w Europie Środkowej i Wschodniej – na bardziej trwałych fundamentach, pogłębionych staraniami Polski o aktywne włączenie się w proces integracji europejskiej.

Ta nowa sytuacja w stosunkach polsko-niemieckich miała nie tylko znaczenie bilateralne, umożliwiając podjęcie problemu odszkodowań dla ofiar nazistowskich⁵, m.in. w ramach Fundacji „Polsko-Niemieckie Pojednanie”⁶ czy sytuacji mniejszości polskiej w Niemczech⁷, a stanowiła też nową jakość w procesie budowy nowego ładu w Europie⁸ i kształtowania się bezpieczeństwa na kontynencie europejskim⁹. Mówiono wówczas o „nowym otwarciu” w stosunkach polsko-niemieckich¹⁰.

Niektórzy mają pretensję o to, że rocznicowe celebrowanie upadku muru berlińskiego spycha niejako na dalszy plan znaczenie powstania „Soli-

³ Por. E. Nowak, *Zjednoczenie Niemiec a stosunki polsko-niemieckie*, „Sprawy Międzynarodowe”, 1991, nr 1, s. 19.

⁴ Dz. U. Nr 14, poz. 56.

⁵ Zob. J. Barcz, *Pomoc dla ofiar prześladowania nazistowskiego (polsko-niemieckie porozumienia z 16.X.1991)*, „Państwo i Prawo”, 1992, nr 1, s. 49.

⁶ Zob. J. Kranz, *Dostęp do sądu a świadczenie Fundacji „Polsko-Niemieckie Pojednanie”*, „Państwo i Prawo”, 2006, nr 8, s. 62.

⁷ Zob. L. Laska, E. Mrozik, *Reforma prawa o obywatelstwie w Niemczech i jej wpływ na stosunki polsko-niemieckie*, [w:] *Problemy prawne w stosunkach polsko-niemieckich u progu XXI wieku*, red. W. Czapliński, B. Łukańko, Wydawnictwo Naukowe „Scholar”, s. 292.

⁸ Zob. W. Wiecezorek, Europejskie wyzwanie, „Przegląd Polityczny”, 1994, nr 24, s. 36.

⁹ Zob. J. Fiszer, *Stosunki polsko-niemieckie po roku 1989 oraz ich znaczenie dla bezpieczeństwa Europy*, „Studia Polityczne”, 1996, nr 5, s. 141.

¹⁰ Zob. B. Koszel, *„Nowe otwarcie”? Stosunki polsko-niemieckie w okresie rządów koalicji PO-PSL (2007–2009)*, „Przegląd Zachodni”, 2009, nr 4, s. 193.

darności” i jej rolę w demontażu systemu komunistycznego, a przecież – jak twierdzą – nie byłoby upadku muru bez roli, jaką przemiany w Polsce oznaczały dla zmian w Europie Środkowej i Wschodniej.

Mogłem aktywnie uczestniczyć w procesie zmian w stosunkach polsko-niemieckich, jako poseł na Sejm RP I, II, III i IV kadencji. W procesie integracji europejskiej istotne miejsce odgrywała współpraca międzyparlamentarna¹¹. Ściśle współpracowaliśmy z parlamentarzystami niemieckimi na forum Konferencji Komisji Wyszczególnionych w Sprawach Wspólnotowych i Europejskich Parlamentów Unii Europejskiej (COSAC)¹². Sprzyjał temu fakt, że przewodniczącym polskiej delegacji był były premier, pos. Tadeusz Mazowiecki, a wiceprzewodniczącymi – sen. Władysław Bartoszewski i ja. Niewątpliwie postrzeganie T. Mazowieckiego i W. Bartoszewskiego jako prominentnych rzeczników dialogu polsko-niemieckiego powodowało, że współpraca z parlamentarzystami niemieckimi na forum COSAC układała się modelowo. Trzeba przy tym pamiętać, że COSAC, jako najważniejsza forma współpracy parlamentarnej w Unii Europejskiej, odgrywał istotną rolę opiniotwórczą w procesie kształtowania polityki Unii Europejskiej, zwłaszcza w sprawach jej rozszerzenia, a przygotowywane na tym forum stanowiska brane były pod uwagę przez gremia decyzyjne Unii. Po wejściu w życie Traktatu z Lizbony nabrała szczególnego znaczenia, bo parlamenty narodowe otrzymały prawo do kontroli przestrzegania zasady pomocniczości (subsydiarności) w odniesieniu do dokumentów przygotowywanych przez Komisję Europejską¹³.

Utkwiło mi w pamięci spotkanie kierownictw Sejmu, pod przewodnictwem marszałka Józefa Oleksego i Bundestagu, pod przewodnictwem Wolfganga Thierse, jakie odbyło się w Słubicach nad Odrą, 18 października 2004 roku. Obecni byli członkami prezydium obu izb, (m.in. wicemarszałek Sejmu Donald Tusk) i przewodniczącymi grup bilateralnych: Markus Meckel i Jan Rzymek. Miało ono charakter partnerski, skoro zebrali się przedstawiciele parlamentów dwóch państw członkowskich Unii Europejskiej, zaledwie w kilka miesięcy po akcesji. Byłem aktywnym uczestnikiem toczzonej wówczas debaty o perspektywach procesu integracji europejskiej jako przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu RP. Spotkanie

¹¹ Zob. J. Jaskiernia, *Działalność parlamentu polskiego a proces integracji europejskiej*, [w:] *Traktat z Amsterdamu a polskie aspiracje prointegracyjne*, red. K. Kik, Wydawnictwo Phaenomena, Kielce 1998, s. 31.

¹² O roli tej Komisji zob. J. Jaskiernia, *Polska jako gospodarz posiedzenia Konferencji Komisji Wyszczególnionych w Sprawach Wspólnotowych i Europejskich Parlamentów Unii Europejskiej (COSAC) w ramach prezydencji w Unii Europejskiej*, [w:] *2011: Polska prezydencja w Unii Europejskiej*, red. R. Riedel, P. Klimontowski, Uniwersytet Opolski, Opole 2010, s. 193.

¹³ Zob. J. Jaskiernia, *Mechanizm kontroli przez parlamenty narodowe stosowania zasady pomocniczości w świetle prac Konferencji Komisji Wyszczególnionych w Sprawach Wspólnotowych i Europejskich Parlamentów Unii Europejskiej (COSAC)*, „Politologia i Stosunki Międzynarodowe” 2011, nr 3.

miało na celu wyjaśnienie nieporozumień, jakie pojawiły się w stosunkach polsko-niemieckich w tym okresie. Pierwszy raz w historii – jak odnotował to w swej relacji pos. Jan Rzymelka – obie izby próbowały wyjaśnić sobie bezpośrednio problemy budzące wątpliwości. Wiele z nich wynikało z niewiedzy, stereotypowego myślenia, uprzedzeń, jak i różnych doktryn prawnych. Impulsem do spotkania była irytacja strony niemieckiej na uchwałę Sejmu z 10 IX 2004 roku w „Sprawie praw Polski do niemieckich reparacji wojennych oraz w sprawie bezprawnych roszczeń”. Prezydent Bundestagu docenił wkład Polski w zjednoczenie Niemiec, zaś Marszałek podkreślił kluczowe miejsce Niemiec w polskiej polityce zagranicznej. Okazało się, że kontakty państwowe nie wyczerpują aspektu pojednania i dlatego Parlamenty wchodzi w strefę polityki zagranicznej, a proces zapominania krzywd wojny jest w Polsce wolniejszy niż w Niemczech. Podkreślono, że perspektywa europejska, polityczne i gospodarcze partnerstwo polsko-niemieckie winno dominować we wzajemnych stosunkach. Polacy podkreślali oczekiwanie, że rząd niemiecki weźmie na siebie odpowiedzialność za roszczenia cywilne wobec Polski, zaś Niemcy podkreślali, że sprawa odszkodowań jest zakończona, ale że i rząd i parlament w demokratycznym państwie nie może zabronić obywatelom składania do sądów różnych pozwów¹⁴.

Ważnym wydarzeniem była też wizyta Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu, pod moim przewodnictwem, w Berlinie, w 2005 r. Była ona dowodem na znaczenie „dyplomacji parlamentarnej”, w której członkowie Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu i Bundestagu aktywnie uczestniczyli¹⁵. Prowadzone dyskusje nie były wolne od emocji politycznej, dotyczącej oceny przeszłości i aktualnych uwarunkowań stosunków polsko-niemieckich. Jednym z aktywnych uczestników debaty o aktualnym stanie stosunków polsko-niemieckich był pos. Antoni Macierewicz. Na uczestnikach spotkania duże wrażenie robił odrestaurowany gmach Bundestagu i warunki, w jakich pracują parlamentarzyści niemieccy.

Jak można by spojrzeć na tę fazę stosunków naszych społeczeństw? W całej historii powojennej Republika Federalna Niemiec były postrzegane za lidera rozwoju ekonomicznego, kraj innowacji technologicznych, pracowitości mieszkańców. Obraz ten był jednak korygowany przez stany lękowe, jakie towarzyszyły inicjatywom „rewizjonistycznym” i niepewności co do trwałości granic. Niemcy były więc z jednej strony podziwiane, m.in. za skuteczne wykorzystanie planu Marshalla i jakość życia mieszkańców, z drugiej zaś strony Niemców się bano i nie można tego sprowadzić do prostych konsekwencji propagandy, jaką uprawiały władze PRL. Lęki powojenne były bowiem wówczas jeszcze tak znaczące, że w sposób

¹⁴ rzymelka.sejm.pl/page_type+arch,10.2004&page=52 (data dostępu: 16 sierpnia 2015).

¹⁵ Zob. J. Jaskiernia, *Charakter prawny i funkcje Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu RP*, „Polski Przegląd Dyplomatyczny” 2004, nr 6, s. 25.

istotny oddziaływały na psychikę narodu polskiego, a brak ostatecznych decyzji w sprawie granic podsycał atmosferę niepewności.

Dla postrzegania Niemiec i Niemców kluczowe znaczenie miało otwarcie granic, zwłaszcza od momentu akcesji Polski do Unii Europejskiej (1 maja 2004 r.). Spowodowało ono, że Polacy mogli się naocznie przekonać, jak pracuje się i żyje w Niemczech. Niewątpliwie członkostwo w Unii Europejskiej wywarło wielorakie skutki, o czym miałem okazję pisać na łamach periodyku niemieckiego, eksponującego kontakty polskich i niemieckich prawników¹⁶. Otworzyły się m.in. nowe możliwości dla współpracy regionów, co miałem okazję analizować z punktu widzenia doświadczeń regionu świętokrzyskiego¹⁷. Oddziaływanie środowisk ziomkowskich na politykę Niemiec nie miało już tak istotnego znaczenia, jak w przeszłości¹⁸, choć było obserwowane przez polską opinię publiczną. Przebywając w Niemczech niejednokrotnie jednak spotykałem się z tezą, że polska opinia publiczna przywiązuje zbyt dużą wagę do aktywności tego typu organizacji, np. do roli Eriki Steinbach, co nie odzwierciedla jej faktycznego znaczenia z perspektywy percepcji społeczeństwa niemieckiego i tutejszych elit. W nowych warunkach geopolitycznych ewolucji ulegały z kolei postawy mniejszości niemieckiej w Polsce¹⁹.

Z pewnością w świadomości polskiego narodu pozostanie rola, jaką Niemcy odegrały we wsparciu polskich aspiracji do członkostwa w Unii Europejskiej. Za mało eksponuje się dziś rolę SDP, a zwłaszcza kanclerza Gerharda Schrödera w tym procesie. Gdy dziś obserwujemy słabnącą rolę polskiej lewicy na scenie politycznej, to przecież nikt nie jest w stanie zaprzeczyć, że końcowa faza przedakcesyjna Polski do UE nastąpiła w okresie rządów SLD–PSL, a bezpośrednie kontakty Leszka Millera, przywódcy SLD, i kanclerza Gerharda Schrödera, przywódcy SPD, miały tu kluczowe znaczenie. Sojusz Lewicy Demokratycznej był zresztą wówczas pod wrażeniem koncepcji „trzeciej drogi”, lansowanej przez kanclerza G. Schrödera oraz brytyjskiego premiera Tony’ego Blaira i próbował ją wdrażać w Polsce.

Nie sposób pominąć faktu, że gdy lewica dochodziła w Polsce do władzy w 2001 r., stan zaległości, zwłaszcza w sferze dostosowania prawa polskiego

¹⁶ Zob. J. Jaskiernia, *Fünf Jahre Mitgliedschaft der Republik Polen in der Europäischen Union. Umgestaltungen des polnischen Rechtssystems und des Bewusstseins der Bevölkerung*, „Deutsch-Polnische Juristen-Zeitschrift” 2009, nr 2, s. 13.

¹⁷ Zob. J. Jaskiernia, *Die politik der Regionalisierung im Europarat und in der Europäischen Union*, [w:] K. Kik, S. Westermann (Hrsg.), *Europa der Regionen: Die Świętokrzyski-Region im Prozess der Integration Polens in die Europäische Union*, Kielce 1999, s. 11.

¹⁸ Por. B. Ociełka, *Związek Wypędzonych w systemie politycznym RFN i jego wpływ na stosunki polsko-niemieckie 1982–1992*, Wrocław 1997, s. 46.

¹⁹ Por. R. Kochnowski, *Mniejszość niemiecka na Górnym Śląsku w procesie polskich przemian demokratycznych lat 1989–1995*, [w:] *Stosunki polsko-niemieckie w okresie przemian ustrojowych w Polsce. Wybrane problemy*, red. P. Dobrowolski, Uniwersytet Śląski, Katowice 1997, s. 52.

do prawa europejskiego²⁰, był tak znaczący, że groził „wypchnięciem” Polski z grupy państw, które mają szansę na akcesję w zbliżającej się fali rozszerzeniowej. Należy pamiętać o roli komisarza UE ds. rozszerzenia, Günthera Verheugena, prominentnego działacza SPD. Dobre stosunki socjaldemokracji niemieckiej i Sojuszu Lewicy Demokratycznej, liczne spotkania premiera L. Millera z kanclerzem G. Schröderem i komisarzem G. Verheugenem miały kluczowe znaczenie dla budowania wzajemnego zrozumienia i pomyślnego zakończenia procesu rozszerzenia Unii Europejskiej w 2004 roku.

Najistotniejsze znaczenie ma jednak fakt, że Niemcy odegrały kluczową rolę w promowaniu członkostwa Polski w Unii Europejskiej. Eksponowały przy tym myśl, że rozszerzenie UE bez Polski będzie niepełne i nie spełni oczekiwań geopolitycznych związanych z tym procesem. Zaangażowanie rządu niemieckiego, uwzględniając zwłaszcza rolę, jaką Niemcy odgrywają w kierowaniu Unią Europejską, było więc tym czynnikiem, który zbliżeniu polsko-niemieckiemu, następującemu w nowych warunkach, jakie przyniósł przełom 1989 r., nadał nowy, trwały wymiar. Prowadziło to do poszukiwania nowego paradygmatu tych stosunków²¹.

W wyniku procesu integracji europejskiej zaczęły stopniowo dezaktualizować się stereotypy „groźnego Niemca, ulegającego hasłom rewizjonistycznym”²², a zaczął dominować obraz państwa i społeczeństwa dobrze zorganizowanego, efektywnego ekonomicznie, zaawansowanego technologicznie. Była to w pewnym zakresie konsekwencja dokonujących się ruchów migracyjnych²³.

Kluczowe znaczenie miał tu rozwój współpracy gospodarczej. Fakt, że Republika Federalna Niemiec stała się głównym partnerem gospodarczym Polski musiał rzutować na postrzeganie przez społeczeństwo polskiej racji stanu. Na to nakładały się doświadczenia setek polskich przedsiębiorstw i zatrudnionych w nich załóg, wynikające ze związków kooperacyjnych z przemysłem niemieckim. Miałem okazję obserwować ten proces i wspomagać go jako poseł na przykładzie Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Gorzycach pod Sandomierzem. Kooperacja w dziedzinie produkcji tłoków do samochodów, choć miała mikroskopijne znaczenie w skali polsko-niemieckich stosunków gospodarczych, ukazywała jednak możliwości,

²⁰ Zob. J. Jaskiernia, *Badanie zgodności projektów ustaw z prawem Unii Europejskiej w sejmowym postępowaniu ustawodawczym*, „Państwo i Prawo” 1999, z. 7, s. 19.

²¹ Zob. P. Buras, *Stosunki polsko-niemieckie: w poszukiwaniu nowego paradygmatu*, „Stosunki Międzynarodowe”, 2007, nr 1/2, s. 9.

²² Por. J. Kranz, *Polsko-niemieckie cienie przeszłości*, „Sprawy Międzynarodowe”, 2005, nr 1, s. 5.

²³ Zob. W. Tegtmeier, *Bilans współpracy polsko-niemieckiej w dziedzinie polityki społecznej i migracji* [w:] *Ład społeczny w Polsce i Niemczech na tle jednoczącej się Europy. Księga pamiątkowa poświęcona Czesławowi Jackowiakowi*, red. B. von Maydell, T. Zieliński, Wydawnictwo Polsko-Niemieckie, Warszawa 1999, s. 520.

jakie niesie taka kooperacja w zakresie postępu technologicznego, współpracy kadr technicznych, nowych zjawisk w zakresie „wymiaru ludzkiego”. Była widowym znakiem przekształceń polskiej gospodarki, zorientowanej w okresie PRL na współpracę ze wschodnim sąsiadem, która – w trudnym procesie transformacji gospodarczej – została zorientowana na współpracę z państwami Unii Europejskiej, a zwłaszcza z Niemcami.

Transformacja wolnorynkowa i otwarcie się Polski na Zachód przyniosło jednak szereg nowych konsekwencji dla polskiej gospodarki, o istotnym znaczeniu społecznym, a nawet politycznym. Zaliczyć tu należy zwłaszcza silną pozycję koncernów niemieckich na polskim rynku medialnym²⁴.

W nowych warunkach mogła nabrać większego impetu współpraca międzyludzka, m.in. w odniesieniu do miast bliźniaczych. Przez szereg lat, jako poseł z Sandomierza, miałem okazję obserwować dynamikę tej współpracy pomiędzy Sandomierzem a Emmendingen. Zakres i wielostronność tej współpracy mogła imponować. Pokazywała przede wszystkim jej autentyczność, włączanie do współpracy szerokich kręgów społeczeństwa, a nie tylko elit samorządowych. Wartości dodanych szukano poprzez wskazywanie na obszary, gdzie ta współpraca może przynieść wymierne korzyści (np. służba zdrowia, ochrona środowiska). Istotne walory – co eksponuję, jako minister sprawiedliwości i prokurator generalny w rządzie premiera Józefa Oleksego – niosła współpraca środowisk sędziowskich. Uczestniczyłem, jako poseł, w wizycie sędziów z województwa tarnobrzeskiego, w Emmendingen, połączonej z wizytą w sądach landu Badenia-Wirtembergia.

Członkostwo Polski w Unii Europejskiej i polsko-niemiecka współpraca na tym forum tworzyły więc nową jakość w stosunkach międzynarodowych, co nie oznacza jednak, że nie pojawiły się obszary konfliktu interesów, które musiały być rozstrzygane na forach współpracy bilateralnej, a niekiedy nawet multilateralnej²⁵.

Moje bezpośrednie doświadczenia kontaktów z Niemcami dotyczą w szczególności współpracy parlamentarnej i międzyparlamentarnej. Chodzi zwłaszcza o okres, gdy zasiadałem w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy w Strasburgu (1994–2005). Rada Europy odgrywała istotną rolę w promowaniu zasad demokracji, praworządności i ochrony praw człowieka²⁶. Miało to istotne znaczenie zwłaszcza dla transformacji polityczno-ustrojowej w państwach Europy Środkowej i Wschodniej²⁷. Pracowałem w dwu komisjach:

²⁴ Zob. Z. Oniszczyk, *Kapitał niemiecki w polskich mediach. Polityczne implikacje tego zjawiska* [w:] *Stosunki polsko-niemieckie ...*, s. 70; I. Kowol, *Niemcy a transformacja mediów w Polsce*, tamże, s. 61.

²⁵ Zob. J.J. Węc, *Relacje polsko-niemieckie w Unii Europejskiej. Między współpracą a konfliktem interesów*, „Przegląd Zachodni”, 2009, nr 3, s. 148.

²⁶ Zob. J. Jaskiernia, *Conceptions et évolution des droits de l'homme*, (w:) *Les droits de l'homme, aujourd'hui*, Paris – 9 décembre 1998, Assemblée Nationale, s. 27–29.

²⁷ Zob. J. Jaskiernia, *Wpływ Rady Europy na przemiany polityczno-ustrojowe w pań-*

Zagadnień Prawnych i Praw Człowieka oraz Komisji Monitoringowej, gdzie byłem m.in. sprawozdawcą w odniesieniu do Chorwacji i Armenii. Podejmowały one inicjatywy w zakresie demokracji i praw człowieka²⁸, doskonalenia systemu ochrony praw człowieka w Europie²⁹, a zwłaszcza dotyczące efektywności Europejskiego Trybunału Praw Człowieka³⁰.

Praca w Zgromadzeniu Parlamentarnym³¹ stała się dla mnie ważnym źródłem wiedzy o roli tej organizacji w przekształcaniach demokratycznych Europy Środkowej i Wschodniej³², a także umożliwiła refleksję nad wpływem doświadczeń Rady Europy na działalność Unii Europejskiej³³. Miało to o tyle ważne znaczenie, że Rada Europy oddziaływała również aktywnie na kształt systemu polityczno-ustrojowego RP³⁴.

Z aktywności w Komisji Zagadnień Prawnych i Praw Człowieka, gdzie pełniłem m.in. funkcje I wiceprzewodniczącego oraz przewodniczącego Podkomisji Praw Człowieka, szczególne wspomnienia dotyczą współpracy z niemieckim deputowanym – Rudolfem Bindigiem, który przez 29 lat zasiadał w Bundestagu, a także był aktywny w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy i Zgromadzeniu Parlamentarnym Unii Zachodnioeuropejskiej (UZE)³⁵. Może nie był on jakąś wielką gwiazdą w Bundestagu, ale wypracował sobie znaczącą pozycję w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy. Wynikała ona z faktu, że podejmował bardzo ważne tematy – był m.in. spra-

stwach Europy Środkowo-Wschodniej po 1989 roku [w:] *Świat w okresie przemian. Księga pamiątkowa dedykowana Profesorowi Longinowi Pastusiakowi na 65-lecie urodzin*, red. M.J. Malinowski, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2000, s. 107.

²⁸ Zob. J. Petaux, *Democracy and Human Rights for Europe Contribution*, Council of Europe Publishing, Strasbourg 2009, s. 24.

²⁹ Zob. J. Jaskiernia, *Czy Europie potrzebne jest General Judicial Authority?*, „Humanistyczne Zeszyty Naukowe – Prawa Człowieka”, 2000, nr 7, s. 9.

³⁰ Zob. J. Jaskiernia, *Projekty zmian struktury i kompetencji Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w celu zwiększenia efektywności systemu kontroli Europejskiej Konwencji Praw Człowieka*, „Humanistyczne Zeszyty Naukowe – Prawa Człowieka” 2003, vol. 9, s. 57.

³¹ Por. *The Parliamentary Assembly: Practice and Procedure*, eds. P. Evans, P. Silk, Council of Europe Publishing, Strasbourg 2013.

³² Por. *Rada Europy a przemiany demokratyczne w państwach Europy Środkowej i Wschodniej w latach 1989–2009*, red. J. Jaskiernia, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2010.

³³ Zob. J. Jaskiernia, *Democracy: Council of Europe experience and its meaning for the European Union – A view from the candidate countries*, [w:] *Democracy: Council of Europe Experience and its meaning for the European Union*. Roundtable organized by the International Institute for Democracy, Strasbourg – 25 September 2002, s. 3.

³⁴ Zob. J. Jaskiernia, *Oddziaływanie organizacji międzynarodowej na kształt ustroju politycznego państwa (Na przykładzie Rady Europy)*, [w:] *Konstytucja i władza we współczesnym świecie. Doktryna – prawo – praktyka. Prace dedykowane Profesorowi Wojciechowi Sokolewiczowi na siedemdziesięciolecie urodzin*. Warszawa 2002, Wydawnictwo Sejmowe, s. 210.

³⁵ *Rudolf Bindig feiert 70. Geburtstag*, SPD Weingarten, 6 September 2010.

wozdawcą w odniesieniu do Rosji³⁶. Analizował sytuację w Czeczeni. Słynął z bezkompromisowości, pracowitości i rzetelności, co dla raportów tej Komisji, jak również Komisji Monitoringowej, miało szczególne znaczenie³⁷. W pewnym momencie kandydował na stanowisko Komisarza Praw Człowieka Rady Europy. Ta najnowsza instytucja w systemie Rady Europy, utworzona w 1999 r., była ważnym wzbogaceniem europejskiego systemu ochrony praw człowieka³⁸. R. Bindig kandydował na to stanowisko w 2004 r. Popieraliśmy, jako członkowie Komisji Zagadnień Prawnych i Praw Człowieka, jego kandydaturę. Okazało się jednak, że Komitet Ministrów nie uwzględnił jej spośród kandydatur, które zostały poddane pod głosowanie w Zgromadzeniu Parlamentarnym. Czyżby zadecydowało to, że Bindig był postrzegany jako bezkompromisowy parlamentarzysta, uprzykrzający życie rządów państw członkowskich Rady Europy, a zwłaszcza Rosji? Jeszcze raz dał o sobie znać rozdziew pomiędzy wrażliwością Komitetu Ministrów (eksponującego zasady poufnej dyplomacji) i Zgromadzenia Parlamentarnego. Pragnę dodać, że istotną płaszczyzną współpracy z R. Bindingiem była też Grupa Socjalistyczna Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy, gdzie mogliśmy wspólnie współpracować – co miało istotne znaczenie zwłaszcza w odniesieniu do spraw prawnych i ochrony praw człowieka – stanowisko tej grupy w ważnych sprawach podejmowanych przez Zgromadzenie Parlamentarne³⁹.

Z okresu aktywności w Zgromadzeniu Parlamentarnym chciałbym też odnotować współpracę z zastępcą sekretarza generalnego, a zarazem sekretarzem Zgromadzenia Parlamentarnego, Heinrichem Klebesem. Był on nie tylko wielce zasłużoną postacią w Sekretariacie Generalnym Rady Europy, ale łączył te wysokie stanowiska z działalnością naukową i publicystyczną. Dotyczyła ona w szczególności międzynarodowej współpracy międzyparlamentarnej⁴⁰ i międzynarodowej aktywności parlamentarzystów⁴¹. Szczególnie istotne były

³⁶ Zob. O. Melzer, *Der Europarat und Russland 1992–2006. Demokratieförderung in Russland*, Springer, Wiesbaden 2012, s. 287. Por. J. Jaskiernia, *Влияние Совета Европы на системные изменения в государствах бывшего Советского Союза* [w:] *Problemy konstytucjonalizmu i jego судьбы в восточных государствах* [w:] *Studia Politologiczne*, vol. 32, 2014, s. 11.

³⁷ Zob. J. Jaskiernia, *Wpływ procedury akcesyjnej i monitoringowej Rady Europy na transformację systemów wymiaru sprawiedliwości w państwach Europy środkowej i Wschodniej* [w:] *Transformacja systemów wymiaru sprawiedliwości*, tom I: *Pozycja ustrojowa władzy sądowniczej i uwarunkowania transformacji*, red. J. Jaskiernia, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2011, s. 251.

³⁸ Zob. J. Jaskiernia, *Komisarz Praw Człowieka Rady Europy – dorobek i perspektywy*, „Humanistyczne Zeszyty Naukowe – Prawa Człowieka” 2008, Nr 11, s. 202.

³⁹ Zob. J. Jaskiernia, *Lewica w Parlamencie Europejskim i Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy*, „Myśl Socjaldemokratyczna” 2011, nr 1–2, s. 24.

⁴⁰ Zob. H. Klebes, *The Development of International Parliamentary Institutions*, „Constitutional and Parliamentary Information” 1990, nr 159, s. 91.

⁴¹ H. Klebes, *Les institutions parlementaires internationales*, « Revue Générale de Droit international public » 1998, nr 4, s. 820.

jego przemyslenia dotyczące Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy⁴². Miało to dla mnie szczególne znaczenie, gdy pisałem o działalności Rady Europy i jej organów. Już po przejściu na emeryturę, Klebes prezesował Międzynarodowemu Instytutowi Demokratycznemu, związanemu z Radą Europy i Parlamentem Europejskim, w którego Radzie Nadzorczej miałem okazję zasiadać z ramienia Rady Europy. Klebes dysponował nie tylko wielką wiedzą o systemie Rady Europy, ale też – jak mało kto – rozumiał uwarunkowania „dyplomacji parlamentarnej”⁴³, uprawianej przez członków parlamentarnych organów organizacji międzynarodowych⁴⁴. Przygotował ważne studium dotyczące znaczenia współpracy Rady Europy ze Stanami Zjednoczonymi w zakresie dążenia do zapewnienia bezpieczeństwa demokratycznego⁴⁵. Napisał też – wraz z prof. Benoît-Rohmer – ważną monografię dotyczącą systemu Rady Europy⁴⁶, w odniesieniu do której przygotowałem artykuł recenzyjny⁴⁷. Dla uczczenia jego dorobku ukazała się księga jubileuszowa, w której miałem zaszczyt zamieścić swój artykuł⁴⁸.

Z okresu pracy w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy mile też wspominam współpracę z Hansem Christianem Krügerem, który był sekretarzem Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, a następnie objął stanowisko zastępcy sekretarza generalnego Rady Europy. Była to osoba o wysokiej kulturze i dużej wiedzy, zwłaszcza o europejskim systemie praw człowieka. Odbyłem z nim liczne rozmowy, zwłaszcza podczas dorocznych międzynarodowych konferencji poświęconych wymiarowi sprawiedliwości. Tak się

⁴² Zob. H. Klebes, *Die Rechtsstruktur des Europarats und insbesondere der Parlamentarischen Versammlung*, Universität des Saarlandes, Saarbrücken 1996, s. 24.

⁴³ Zob. J. Jaskiernia, *Dyplomacja parlamentarna – nowe oblicze dyplomacji?* [w:] *Nowe oblicza dyplomacji*, red. nauk. Beata Surmacz, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2013, s. 165. Por. tegoż: *Aksjologia dyplomacji parlamentarnej w ujęciu Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy* [w:] *Ustroje. Historia i współczesność. Polska – Europa – Ameryka Łacińska. Księga jubileuszowa dedykowana Profesorowi Jackowi Czajowskiemu*, red. M. Grzybowski, G. Kuca, P. Mikuli, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2013, s. 554.

⁴⁴ Zob. H. Klebes, *Le Rôle de la Diplomatie Parlementaire à l'Exemple de l'Assemblée Parlementaire du Conseil de l'Europe*, « Romanian Journal of International Affairs » 1995, nr 3, s. 35–36.

⁴⁵ Zob. H. Klebes, *The Quest for Democratic Security. The Role of the Council of Europe and U.S. Foreign Policy*, United States Institute of Peace, Washington D.C. 1999.

⁴⁶ F. Benoît-Rohmer, H. Klebes, *Prawo Rady Europy. W stronę ogólnoeuropejskiej przestrzeni prawnej*, SCHOLAR, Warszawa 2007 (tytuł oryginału: *Le droit de Conseil de l'Europe. Vers un espace juridique européen*).

⁴⁷ Zob. J. Jaskiernia, *Rola Rady Europy w kreowaniu ogólnoeuropejskiej przestrzeni prawnej* (artykuł recenzyjny), „Państwo i Prawo” 2007, z. 8, s. 96.

⁴⁸ Zob. J. Jaskiernia, *Council of Europe's Activities in the Field of Setting-up Constitutional Standards*, [w:] *Law in Greater Europe. Towards a Common Legal Area. Studies in Honour of Heinrich Klebes*, red. B. Haller, H. Ch. Krüger, H. Petzold, Kluwer Law International, The Hague – London 2000, s. 22–26.

złożyło, że konkurowałem z Krügerem w walce o stanowisko sekretarza generalnego Rady Europy. Ostatecznie jednak minister spraw zagranicznych RP, Dariusz Rosati, wycofał moją kandydaturę po spotkaniu z ministrem spraw zagranicznych RFN. W zamian za to Niemcy zaoferowali poparcie Polski w staraniach o inne ważne stanowisko międzynarodowe.

Inny Niemiec, z którym przypadło mi owocnie współpracować, to Bruno Haller, zastępca sekretarza generalnego Rady Europy i sekretarz generalny Zgromadzenia Parlamentarnego. Często miałem okazję z nim rozmawiać, zwłaszcza przy okazji wyjazdowych posiedzeń Komisji Zagadnień Prawnych i Praw Człowieka w Paryżu. Cechował go profesjonalizm, wyważone sądy i wiara w to, że Rada Europy może zrobić bardzo wiele dla rozwoju demokratycznego, zwłaszcza w państwach Europy Środkowej i Wschodniej. Ceniłem jego wiedzę o Radzie Europy, którą próbował przelewać – choć nie w takiej skali, jak Klebes – na kartki papieru. Już po przejściu na emeryturę opublikował ważne opracowanie dotyczące Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy do 1989 roku⁴⁹.

Nie mogę wreszcie nie wspomnieć o innym wybitnym niemieckim parlamentarzystcie, z którym przyszło mi z kolei współpracować w Europejskim Stowarzyszeniu Byłych Parlamentarzystów Państw Członkowskich Rady Europy (FP-AP). Prof. Uwe Holtz, były członek Bundestagu (1972–1994) oraz delegat do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy (1973–1995), jest jedną z kluczowych postaci tego stowarzyszenia. Był jego prezydentem, a obecnie ma status honorowego prezydenta. Jest redaktorem istotnych prac dotyczących aktywności parlamentu niemieckiego⁵⁰. Jego aktywność ma ważne znaczenie w procesie poszukiwania sposobów ograniczenia „deficytu demokracji”, jaki ma miejsce w Unii Europejskiej, a wiąże się ze stosunkowo słabą pozycją organów wybieralnych⁵¹.

O U. Holtzu po raz pierwszy usłyszałem w okresie przygotowywania monografii o Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy⁵². Był on bo-

⁴⁹ Zob. B. Haller, *An Assembly for Europe: the Council of Europe's Parliamentary Assembly 1949–1989*, Strasbourg 2007.

⁵⁰ Zob. U. Holtz (Hg.), *Entwicklung und Rüstung. Öffentliche Anhörung des Ausschusses für wirtschaftliche Zusammenarbeit des Deutschen Bundestages*, Baden-Baden 1984; U. Holtz. (Hg.), *Verschuldungskrise der Entwicklungsländer. Anhörung im Deutschen Bundestag. Positionen der Fraktionen*, Baden-Baden 1988.

⁵¹ Zob. J. Jaskiernia, *European Constitution and National Constitutions – How to Overcome a 'Democratic Deficit' in the European Union*, [w:] *European Constitution and National Constitutions*, ed. by Z. Maciąg, Krakow Society for Education – AFM Publishing House, Kraków 2009, s. 91.

⁵² Zob. J. Jaskiernia, *Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy*, Centrum Informacyjne Rady Europy, Uniwersytet Warszawski, Warszawa 2000; tłumaczenie na język angielski: *The Parliamentary Assembly of the Council of Europe*, Warsaw 2003, Information Office of the Council of Europe, s. 436; tłumaczenie na język ormiański – Erewań 2003.

wiem, jako profesor Uniwersytetu w Bonn⁵³, redaktorem naukowym pracy zbiorowej o Radzie Europy wydanej z okazji rocznicy powstania tej międzynarodowej organizacji⁵⁴. Pozycja prof. U. Holtza wynika nie tylko z funkcji, które pełnił. Jako honorowy prezydent ma on prawo uczestniczyć w posiedzeniach zarządu i walnych zgromadzeniach FP-AP. Jest w dalszym ciągu bardzo aktywny w pracach tych organów, gdzie odpowiada za rozszerzenie współpracy z nowymi stowarzyszeniami byłych parlamentarzystów. Jego głos liczy się w toczonych debatach. W wielu momentach jest on wręcz przesądzający. Wynika to zarówno z głębokiej wiedzy U. Holtza, a także z umiejętności perswazji. Ci, którzy mieli okazję pracować w międzynarodowych gremiach parlamentarnych dobrze wiedzą, jak trudną sztuką jest wypracowywanie kompromisów i dochodzenie do konsensu w pracach nad przyjmowanymi dokumentami.

Wspomnienie U. Holtza daje mi asumpt do sformułowania szerszej refleksji o stylu aktywności delegacji Stowarzyszenia Byłych Parlamentarzystów Niemiec w pracach FP-AP. Praca tego stowarzyszenia może być uznana za modelową. Zwraca szczególną uwagę regularność pracy niemieckiego stowarzyszenia i kolegalność podejmowanych decyzji. Widać to zwłaszcza w debatach nad raportami, nad którymi pracuje FP-AP. Delegacja niemiecka wnosi szereg interesujących poprawek, a zarazem sygnalizuje, w których sprawach nie osiągnęła konsensu. Byli parlamentarzyści niemieccy odbywają regularne spotkania, podczas których dyskutują na temat przygotowywanych, w ramach FP-AP, projektów raportów. Ostatni taki raport dotyczył wyzwań demokracji w okresie globalizacji. Wzorując się na tym doświadczeniu, jako marszałek Stowarzyszenia Parlamentarzystów Polskich, wprowadziłem tę praktykę również w SPP. Muszę jednak przyznać, że w dalszym ciągu musimy wzorować się na stylu pracy byłych członków Bundestagu. Inną, aczkolwiek bardzo ważną sprawą jest to, że korzystają oni z wielorakiej pomocy ze strony Bundestagu i jego Kancelarii. Umożliwia im to szeroka reprezentacja na forach FP-AP, a także wydawanie biuletynu informacyjnego. Dajemy to jako przykład, apelując do władz polskiego parlamentu o szerszą pomoc dla SPP.

Ukoronowaniem bardzo dobrej współpracy przedstawicieli byłych parlamentarzystów Polski i Niemiec na forum Zarządu FP-AP było wysunięcie przez delegację niemiecką mojej kandydatury na prezydenta FP-AP w 2014 r. Ostatecznie zostałem wybrany na wiceprezydenta, ale ta inicjatywa delegacji niemieckiej została wyraźnie odnotowana w środowisku FP-AP. Nie sadzę przy tym, że był to tylko gest symboliczny. Delegacja niemiecka kierowała się oceną mej aktywności w pracach Zarządu FP-AP, a zwłaszcza

⁵³ Rheinisch Friedrich-Wilhelms-Universität Bonn.

⁵⁴ Zob. U. Holtz (Hrsg.), *50 Jahre Europarat*, Schriften des Zentrums für Europäische Integrationsforschung, Nomos Verlagsgesellschaft, Baden-Baden 1999.

przy redagowaniu ważnych dokumentów. Należałem, obok U. Holtza, do najbardziej aktywnych uczestników procesu redagowania uchwał i stanowisk FP-AP, a zwłaszcza deklaracji, dających wyraz poglądom FP-AP. Wielokrotnie miałem okazję wspierać inicjatywy byłych parlamentarzystów niemieckich, pomagając w nadawaniu tym projektom ostatecznych kształtów. W przypadku U. Holtza i moim procentowało niewątpliwie doświadczenie zdobyte m.in. w pracach Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy.

Forum FP-AP stało się dla mnie również okazją do kontynuowania współpracy z Leni Fischer, która była członkinią Bundestagu w latach 1976–1998, a także aktywnie działała w Zgromadzeniu Parlamentarnym Unii Zachodnioeuropejskiej (UZE) i w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy, sprawując w latach 1996–1999 funkcję przewodniczącej Zgromadzenia Parlamentarnego. Jej przewodnictwo zbiegło się więc z pierwszym etapem mojej aktywności w tym Zgromadzeniu. Mogliśmy, na forum Zarządu FP-AP, odświeżyć tę znajomość sprzed 15 lat, nawiązując do naszej wspólnej aktywności na forum Rady Europy.

W okresie mojej życiowej drogi dokonała się więc zasadnicza transformacja w stosunkach polsko-niemieckich. Wrogość i podejrzliwość ustąpiła zaufaniu i partnerskiej współpracy. Od czasu do czasu pojawiają się jednak stany lękowe wokół zbliżenia niemiecko-rosyjskiego (np. wokół budowy rurociągu „Nordstream”), ale nie są one w stanie podważyć tej zasadniczej przemiany, jaką niesie członkostwo obu państw w Unii Europejskiej i Pakcie Północnoatlantyckim, a także wielostronna współpraca bilateralna i multilateralna. Stabilne i demokratyczne Niemcy stanowią bowiem fundament budowy bezpieczeństwa we współczesnej Europie.

Obecnie mamy do czynienia z bardziej realistycznym i przyjaznym postrzeganiem Niemiec. W młodej generacji dominuje przekonanie, że nie można zapominać o bolesnych kartach historii, ale nie powinny one stanowić bariery, by we współczesnych czasach szukać wszystkiego, co łączy i co może przyczyniać się do budowania dobrobytu obu narodów i państw.

DOMINIQUE KIRSTE

Spacerem przez Pułtusk

W lipcu 2015 roku, na zaproszenie prof. Karola Czejarka – sekretarza Międzywydziałowego Centrum Badań Niemcoznawczych Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora, przebywałam przez dwa tygodnie w Pułtusk – polskim mieście powiatowym na Mazowszu, oddalonym w kierunku północno-wschodnim ok. 50 km od Warszawy. Zamieszkałam w Domu Studenta Akademii, a celem mojego pobytu i zaproszenia była nauka języka polskiego i zapoznanie się z Polską, ponieważ w stowarzyszeniu ost-west-forum Gut Goedelitz, zajmuję się „sprawami polskimi”. Jestem tu asystentką przewodniczącego zarządu p. Axela Schmidta. Lekcji polskiego udzielała mi pani dr Marta Milewska, członek zarządu MCBN AH, a „na co dzień” – wykładowczyni na Wydziale Historii Akademii. Zaproszenie mnie do Pułtuska nastąpiło za zgodą JM Rektora Akademii Humanistycznej prof. dr. hab. Adama Koseskiego (któremu – korzystając z okazji – bardzo dziękuję!).

Codziennie po południu (po „lekcji polskiego”, która codziennie trwała około 3–4 godzin, a często i dłużej), robiłam z Martą (z którą przeszłam na „Ty” i z którą się bardzo zaprzyjaźniłam) dłuższe wycieczki, szczególnie w weekendy. Tak poznałam, oprócz Pułtuska i jego najbliższych okolic, również Ciechanów oraz malownicze Mikołajki na Mazurach! Byłam też w Warszawie gościem Państwa Czejarków. Karol oprowadził mnie po Powązkach, pokazał – na moją prośbę – Muzeum Żydów Polskich, zajrzeliśmy też do muzeów: Powstania Warszawskiego, Narodowego, Chopina. Mogłam się też zatrzymać na dawnym „Umschlagplatze”, przy pomnikach Powstania Warszawskiego, Żołnierzy Niezłomnych i przy warszawskiej „Syrence”. Mogę więc śmiało powiedzieć, że przez te dwa tygodnie zobaczyłam bardzo wiele, w tym ważne miejsca związane z historią Polski. To pozwoliło mi (Niemce, która po raz pierwszy była w Polsce) choć w części poznać kulturę i zwyczaje tego pięknego kraju, którym od czasu podjęcia pracy w stowarzyszeniu ost-west-forum, szczerze się interesuję i podziwiam.

W tym artykule chciałabym jednak podzielić się głównie swoimi spostrzeżeniami na temat pobytu w Puławsku. Po tym, co zobaczyłam i czego nauczyłam się, będzie mi łatwiej realizować projekty mojego stowarzyszenia związane z tym miastem – jako siedzibą Międzywydziałowego Centrum Niemcoznawczego Akademii Humanistycznej.

Cieszę się też, że poznałam ludzi – żarliwych Polaków – a jednocześnie bezgranicznie oddanych współpracy polsko-niemieckiej, z którymi dotąd „byłam” tylko w mailowej korespondencji. Tak więc Puławsk (czyli Polska), nie będzie już dla mnie anonimowy! Jest nie tylko siedzibą Akademii Humanistycznej, ale miastem, które ma swoją atmosferę i w którym da się odczytać wiele faktów związanych z historią i współczesnością Polski. Za to wszystko, czego doświadczyłam przez ten krótki okres – bardzo serdecznie DZIĘKUJĘ!

Zanim wyruszę w swoją „podróż” po mieście, siadam na ławce ogrodowej przed Akademią przy ulicy Mickiewicza i zaglądam do kilku publikacji, by wcześniej dowiedzieć się czegoś o historii Puławsku.

Miasto zostało założone ponad 10 wieków temu i zawsze było ważnym punktem strategicznym na Mazowszu w obronie przed najeźdźcami. Szczególnie w XIII i XIV wieku Puławsk musiał się bronić przed pogańskimi Jądzwingami, a zwłaszcza przed Litwinami. Szczególnie dotkliwy był najazd Kiejstuta w 1368 roku, kiedy to miasto zostało niemal całkowicie spalone. Dopiero zawarcie polsko-litewskiej unii w Krewie w roku 1385 zakończyło ówczesne walki, po których Puławsk ponownie „stał się w XV i XVI wieku ważnym na Mazowszu (ale też dla Polski i Europy) ośrodkiem handlowym, w którym jego obywatelom żyło się stosunkowo dostatnio. To jednak było powodem dalszych „wojennych” kłopotów jego mieszkańców. W 1703 doszło do wielkiej bitwy w ramach wojny nordyckiej, po której Puławsk został ponownie niemal doszczętnie zniszczony, a miasto zajęli Szwedzi.

Potem, w roku 1806, był polem bitwy pomiędzy Francuzami a wojskami prusko-rosyjskimi, po której podobno sam Napoleon przebywał i nocował w jednym z domów, do dziś znajdujących się na puławskim rynku! Zwycięska bitwa „Napoleona” pod Puławskiem do dziś widnieje wśród zwycięskich walk Francuzów, upamiętnionych na Łuku Triumfalnym w Paryżu.

W kolejnych latach Puławszanie musieli wielokrotnie przeciwstawiać się okupacji Rosjan. Po powstaniu styczniowym w 1863 roku Rosjanie nie tylko zniszczyli miasto, ale wywieźli także wielu jego prominentnych obywateli „na Sybir”. Idąc dalej „na skróty”, dodam jeszcze do tej „historii” inne fakty: w r. 1920 Puławsk był także areną walk wojny polsko-bolszewickiej, a w roku 1939 miasto zajęli Niemcy i przemianowali je na Ostenburg.

W czasie okupacji niemieckiej – o czym z przykrością się dowiaduję – blisko 50 procent Puławszan zostało zamordowanych, albo siłą deportowanych z miasta.

Dzisiejszy Puławsk – z czego się cieszę – przeżywa znowu swój rozkwit! Jest dla mnie przede wszystkim siedzibą znanej, nie tylko w Polsce, Akademii

Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora, z którą moje Stowarzyszenie „ost-west-forum Gut Goedelitz” pozostaje w zażyłej współpracy. (Którą na pewno – także osobiście będę starała się pogłębiać i rozwijać, o czym zapewniam swoich „szefów” Axela Schmidta von Gödelitz i prof. Karola Czejarka). A wracając do „uczelni” – jak się zorientowałam – proponuje ona młodym ludziom szerokie spektrum kształcenia. Studenci mają możliwości pozyskania w niej wiedzy dla gospodarki i kultury, ale i niezbędnej w umacnianiu się demokratycznemu państwu prawa, jakim jest współczesna Polska, po przemianach dokonanych po roku 1990.

Po tym wstępie, gdy już tyle wiem o Pułtusku, wyruszam w swoją podróż po mieście, którą zaczęłam „od Akademii”.

Wokół Domu Studenta, w którym zamieszkałam, rozciąga się nowoczesna dzielnica mieszkaniowa, która może zadowolić nawet najwybredniejsze gusta. W pobliżu znajdują się też, na co zwróciłam uwagę, domy powstałe w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a nawet bloki mieszkalne z lat dwudziestych i trzydziestych ubiegłego wieku. Latem można spotkać sporo ludzi na podwórkach, które mogłyby być bardziej zadbane, gdyż bawi się na nich sporo dzieci. Wielu mieszkańców siedzi też na schodkach przed domami.

Przyznam, że kilkakrotnie z chęcią „włóczyłam się” między tymi „starymi” blokami, obserwując życie ich mieszkańców i utrwalalam, co ciekawsze momenty, jak i „architekturę” tych domów, towarzyszącym mi nieodłącznie aparatem fotograficznym.

Dziś moja „podróż” po mieście prowadzi do miejsca pamięci o szczególnym znaczeniu. Na cmentarz żydowski, który przypomina, że Pułtusk był kiedyś miastem, w którym mieszkało bardzo dużo Żydów. Idąc w jego kierunku, z chęcią przemierzam pułtuskie ulice, chłonąc życie miasta, oglądając wystawy sklepowe i czytając kolorowe reklamy.

Gdy miasto zajęli Niemcy, Pułtusk był kwitnącą gminą żydowską! Na początku lat trzydziestych ub. wieku żyło w nim ponad 6000 Żydów, co stanowiło niemal połowę ludności ówczesnego miasta. Zostali oni w sposób brutalny, już we wrześniu 1939 roku, wysiedleni i przepędzeni do zajętej przez Rosjan części Polski. Większość z nich została w 1940 roku przesiedlona jeszcze dalej na Wschód (w ramach deportacji ludności polskiej), w głąb Związku Radzieckiego; ale bardzo wielu Żydów zostało w tamtym czasie zamordowanych przez nazistów.

W 1939 roku Niemcy zniszczyli całkowicie miejscowy cmentarz żydowski, a po wojnie tylko najstarsi mieszkańcy miasta potrafili wskazać jego miejsce. Przed kilkoma laty, dzięki staraniom Akademii Humanistycznej, które to starania wsparło przedsiębiorstwo budowlane „Isbud”, miejsce dawnego cmentarza zostało zrekonstruowane w postaci pomnika, symbolizującego dawne nagrobki. Ustawiono je w trzech rzędach, pomiędzy dwiema tablicami upamiętniającymi to „święte” dla Żydów miejsce.

5 lipca 2012 roku nastąpiło oficjalne „otwarcie” tego pomnika, któremu towarzyszyła wzruszająca uroczystość. Wzięli w niej udział, oprócz mieszkańców, także delegacje przybyłe m.in. z Izraela, Nowego Jorku i innych rejonów świata. Gospodarzami uroczystości – obok rektora Akademii, profesora Adama Koseskiego – byli m.in. Michael Schudrich, naczelny rabin Polski, Joseph Malovany, kantor jednej z żydowskich gmin w Nowym Jorku i światowej sławy śpiewaczka Zafira Malovany-Shmuckler, która jest jednocześnie przewodniczącą Towarzystwa Żydowskiego w Pułtuskach. Podkreślić należy, iż przodkowie Josepha i Zafiry Malovanych mieszkali tu przed wojną.

Tego samego dnia „wędruję” jeszcze do drugiego miejsca, upamiętniającego pułtuskich Żydów. Szłam do niego ulicą Jana Pawła II, potem Adama Mickiewicza i po krótkim spacerze przez dzisiejsze „centrum”, dotarłam do brzegu odnogi rzeki Narew. Dawniej było to „historyczne” centrum miasta, „przed wojną” mieszkali tu prawie wyłącznie Żydzi. Przy ulicy Kotlarskiej trafiłam na miejsce, w którym kiedyś znajdowała się synagoga. Upamiętnia ją dzisiaj tablica na niewielkim pomniku, przypominająca także o tym, że Żydzi od wieków żyli w Pułtusku.

Stamtąd idę aleją Polonii i dochodzę do długiego na 400 metrów rynku, będącego jednym z najstarszych brukowanych rynków w Europie! To miejsce jest dziś „sercem” miasta, a Pułtuszczanie są z niego bardzo dumni. Tu znajdują się najcenniejsze zabytki, które przetrwały stulecia. Rynek jest dziś ulubionym miejscem spotkań mieszkańców oraz turystów.

Po obu stronach, na całej jego długości, znajdują się dwupiętrowe domy, które w większości mają fasady klasycystycznej architektury mieszczańskiej z pierwszej połowy XIX wieku. Dzisiaj w ich części parterowej znajdują się przeróżne sklepiki z najrozmaitszymi towarami, także kawiarenki, restauracje i sklepy spożywcze. I jak już wspomniałam, w jednych z tych domów miał nocować kiedyś sam Napoleon?!

Skręcając w lewo z północnej części rynku, trafiam na piękną, zabytkową Bazylikę – pod wezwaniem Zwiastowania Najświętszej Marii Panny (parafia św. Mateusza). Ten przepiękny gotycki kościół został wybudowany na polecenie biskupa Pawła Giżyckiego w 1443 roku. Sto lat później na zlecenie biskupa Andrzeja Nowakowskiego, Jan Baptista – architekt ściągnięty do Pułtusk z Wenecji – dobudował kaplicę i upiększył sklepienie w kościele głównym. Wszystkim, którzy kiedykolwiek będą w Pułtusku, polecam odwiedzenie tego wspaniałego zabytku, którego wnętrze pełne jest barokowego wystroju, a ponadto naliczyłam w kościele aż 15 ołtarzy! Z zewnątrz Bazylika jest koloru białego, zdobiona licznymi subtelnymi renesansowymi ozdobami.

Po kilkakrotnym obejściu kościoła, podążam do drugiego znaczącego zabytku, znajdującego się na Rynku – do Ratusza (około 200 metrów od Bazyliki). Budynek, powstały w XV wieku, połączony jest z wysoką na 30 metrów wieżą, zbudowaną z nieotynkowanej, wypalanej cegły. Tuż obok znajduje się

obiekt w stylu neoklasycystycznym, będący siedzibą burmistrza. Korzystam oczywiście z możliwości wejścia na wieżę i obejrzenia z jej szczytu panoramy miasta. We wnętrzu wieży znajduje się muzeum regionalne. Zatrzymuję się przede wszystkim przy odłamku meteorytu z 1868 roku, odnalezionego na pobliskich polach, po „meteorytowym deszczu”, podczas którego spadło wówczas ok. 9 ton tych odłamków, z dużą zawartością żelaza.

W południowej części rynku, przy jego „ujściu,” znajduje się ogromna fontanna, która w dniach takich jak dzisiaj, jest miejscem odpoczynku i „przyjemnej ochłody” nie tylko dla dzieci.

Zostawiam kolorowy i tętniący życiem rynek i udaję się na widoczny „z fontanny” zamek, stanowiący ongiś letnią rezydencję płockich biskupów. Jego początki sięgają XIV wieku, ale od tego czasu wielokrotnie był zburzony i na nowo odbudowywany. Obecnie jego klasycystyczna fasada, przypominająca podkowę, pochodzi z początków XX wieku. Do wnętrza zamku prowadzi niewielki most z XVII wieku. Za tym okazałym budynkiem rozciągają się ogrody, łagodnie opadające aż do Narwi.

W roku 1989 zamek został przekazany stowarzyszeniu „Wspólnota Polska”, by służył gościom Polakom przybywającym z zagranicy w odwiedziny do swego kraju. Dlatego nazywa się Dom Polonii.

Mieści się w nim okazały hotel i reprezentacyjna restauracja, a ponadto stanowi „centrum” dokumentacji polskiej emigracji, prowadzone przez Ośrodek Dokumentacji Wychodźstwa Polskiego.

Patrząc na Dom Polonii myślę, że przez wiele wieków ludność polska poddawana była obcej przemocy, okupacjom, gwałtom i prześladowaniom, co zmusiło wielu Polaków do opuszczenia swej ojczyzny.

Opuszczam ogrody zamkowe i docieram do przystani wodnej nad rzeką. Można tutaj bez trudu wypożyczyć różnego rodzaju sprzęt do uprawiania sportów wodnych, albo najzwyczajniej wynająć rower wodny i „pożegłować” po uroczej (nie tylko w tym miejscu) Narwi!

Dla mnie atrakcją jest gondola, którą również udaję się w „w podróż” po rzece. Podczas ostatniego spotkania biograficznego, prof. Czejarzek zorganizował taką wycieczkę wszystkim uczestnikom konferencji. Ja też dostępuję tego zaszczytu dzięki Marcie Milewskiej i dyr. Bogdanowi Mroziewiczowi – kanclerzowi Akademii Humanistycznej, który osobiście siada za sterem gondoli i „oprowadza” mnie po przepięknych okolicach, rozciągających się wokół szerokiej w tym miejscu rzeki.

W swoich myślach powracam do Polaków, którzy musieli opuścić swoją piękną ojczyznę i nie dziwię się, że tak chętnie do niej wracają. Czyni to też w swojej książce Rephael Moshe Sachs, przybliżając mi w swoim pamiętniku życie pułtuskich – polskich Żydów. Pisze m.in.:

„choć żyłem w dzielnicy zamieszkałej niemal wyłącznie przez Żydów, wszyscy czuliśmy się tutaj Polakami i tak samo jak oni, kochaliśmy piękno rozciągającego się wokół nas krajobrazu, wody, pól uprawnych i lasów. Czerpaliśmy

pełną garścią z obfitości warzyw, owoców i ryb. Nie zapomnę stojących wokół wiatraków mielących zboże, licznych tętniących życiem kuźni i innych warsztatów rzemieślniczych. Ani też „żydowskich” sklepów, które nadawały miastu szczególnego charakteru. W Pułtuskach czuliśmy się bogaci i szczęśliwi, tym bardziej, iż miasto zawsze należało do najpiękniejszych miast nie tylko na Mazowszu, ale w całej Polsce”. *Ja – Dominique Kirste – potwierdzam to i z żalem wyjeżdżam z tego gościnnego miasta, ale też z nadzieją, że jeszcze tu powrócę...*

ADAM KOSISKI

Polska – Niemcy: pamięć czy polityka historyczna?

Ponad 1000 lat sąsiedztwa Polski i Niemiec ukształtowało, i w wielu przypadkach utrzymało po obydwu stronach, stereotypy o swoich sąsiadach tak pozytywne, jak i – niestety – w większości negatywne. Niemcy w pamięci historycznej i w świadomości Polaków byli, i w niewielkim stopniu są dzisiaj, symbolem państwa i narodu agresywnego, zaborczego, imperialnego. Z kolei Polska przedstawiana była, zwłaszcza po I wojnie światowej, jako państwo sezonowe i opresyjne w stosunku do mniejszości narodowych i etnicznych, a Polacy – jako ludzie lekkomyślni, niestabilni, leniwi i nadużywający alkoholu. Pojęcie „polska gospodarka” oznaczało totalny chaos i bałagan, działania przypadkowe i nieefektywne. Zastanawiające, że określenie „państwo sezonowe” przyjął i stosował marszałek Józef Piłsudski w odniesieniu do Czechosłowacji.

Przyjmuję, że świadomość oznacza zdolność ludzi, społeczeństw i narodów do krytycznej, obiektywnej oceny przeszłości, określenie wiedzy o swoim istnieniu, własnych czynach i świecie zewnętrznym. Podejmuję tutaj tylko problem świadomości narodowej, pomijam natomiast kwestie świadomości klasowej czy społecznej, która ma, jak sądzę, trudny do sprecyzowania wpływ na tożsamość narodową czy religijną.

Nie istnieją zbiorowości, których dzieje wyznaczają wyłącznie czyny chwalebne i heroiczne. Pomija się lub wymazuje z pamięci działania agresywne, skierowane przeciwko narodom i państwom sąsiedzkim. Nie istnieją zatem państwa i narody nie popełniające błędów, rzecz jednak w tym, by tych błędów nie powtarzać, a za własne nie obciążać sąsiadów.

Stereotypy kształtowane są w procesie historycznym państw, społeczeństw i narodów; przenikają do świadomości ludzi, często kierują ich zachowaniem i postawami. Szczególnie mocno wpływają na wyobrażenie

o sąsiadach wojny i konflikty między nimi, rywalizacja o wpływy, prestiż i pozycję na arenie międzynarodowej, lecz także współpraca gospodarcza i wymiana kulturalna, sojusze mniej lub bardziej trwałe. W wielu przypadkach stereotypy przyjmują postać karykaturalną i obraźliwą, jak np. tzw. polish jokes w USA. Dowcipy o sąsiadach, zwykle mało wybredne, funkcjonują wśród Niemców i Polaków, Rosjan i Ukraińców, Litwinów i Czechów, niekiedy bezmyślnie przekazywane są z pokolenia na pokolenie.

Stereotypy o Niemcach upowszechniła polska literatura piękna, w tym również noblista Henryk Sienkiewicz, zwłaszcza w powieści historycznej *Krzyżacy*, czy też w noweli *Bartek zwycięzca* traktującej o wojnie prusko-francuskiej 1870/71 roku. Polski chłop z zaboru pruskiego Bartek, wcielony do armii kajzerowskiej, nie rozumie, że walczy z żołnierzami francuskimi i pyta: „Co to za naród Francuzi” i otrzymuje odpowiedź: „Jak ci powiedzieć: musi takie Niemcy, tylko jeszcze gorsze”. Niejako dla równowagi w powieści *Bez dogmatu* Sienkiewicz uznaje, że „Niemcy, jak również Anglicy, są to ludzie pozytywni, którzy wiedzą czego chcą”. Pozytywny obraz Niemców kreśli również Maria Rodziewiczówna (1863–1944) w powieści *Między ustami a brzegiem pucharu*.

Krytyczne sądy o Niemcach zawarte są w twórczości Teofila Lenartowicza (1822–1893), Marii Konopnickiej (1842–1910), Zygmunta Krasińskiego (1812–1859), który użył zadziwiającego zwrotu: „Tyś idealny Moskal – chybaś Niemiec”, czy Aleksander Fredro (1793–1876). Jego słowa: „Pierwej w księżycu na tronie zasiądziesz, Nim Niemiec Polakowi przyjacielem będzie” stały się niemal przysłowiem powtarzanym przez kolejne pokolenia, choć dzisiaj przechodzą już do lamusa historii.

Po zakończeniu II wojny światowej, przejmujący obraz o zbrodniach III Rzeszy przedstawiła Zofia Nałkowska (1884–1954) w zbiorze opowiadań *Medaliony* i Tadeusz Borowski (1922–1951), więzień Dachau i Auschwitz, w opowiadaniu *Kamienny świat*. Problemy ideowo-moralne zwycięzców i zwyciężonych ukazał Leon Kruczkowski (1900–1962) w dramatach *Pierwszy dzień wolności* i *Niemcy*.

Stulecia polsko-niemieckiego sąsiedztwa to czasy różnorodnych relacji politycznych i przenikania wpływów gospodarczych, kulturalnych czy religijnych. Szanse na przyjazne stosunki Polaków i Niemców stwarzała polityka cesarza Ottona III (980–1002), który pielgrzymował w 1000 roku do Gniezna na zaproszenie Bolesława Chrobrego (967–1025) do grobu świętego Wojciecha. Pielgrzymka miała nie tylko charakter dewocyjno-religijny lecz przede wszystkim polityczny. Cesarz pragnął zrealizować koncepcję uniwersalnego imperium rzymskiego, do której zamierzał zjednać przyszłego króla Polski, godząc się na jego koronację i utworzenie arcybiskupstwa gnieźnieńskiego.

Późniejsze konflikty polsko-niemieckie – aż do rozbiorów Rzeczypospolitej szlacheckiej – mieściły się w nurcie polityki międzynarodowej mocarstw

europejskich, do których zaliczała się także Polska. Prusy, aktywny uczestnik rozbiorów w latach 1772, 1793, 1795 prowadziły na zagarniętym terytorium Polski akcję germanizacyjną. To w tym czasie zaczął się tworzyć wśród Niemców, za sprawą Fryderyka II, czarny obraz Polski i Polaków, którzy odpowiadali im ukazywaniem Królestwa Prus w krzywym zwierciadle. W szczególności antypolską politykę odzwierciedlały działania kanclerza Rzeszy Niemieckiej Otto von Bismarcka (1815–1898). Zapomina się jednak, że był on twórcą i realizatorem koncepcji państwa socjalnego, a więc masowego ubezpieczenia emerytalnego i zdrowotnego, powszechnego szkolnictwa i laicyzacji życia publicznego. Jego reformy objęły także ludność polską zaboru pruskiego i wprowadzano je z dobrym rezultatem w II Rzeczypospolitej (1918–1939).

Rzadko pamiętamy, że w Polsce przyjęliśmy wiele niemieckich wzorów z zakresu gospodarki, organizacji miast (np. na prawie chełmińskim i magdeburskim), etosu pracy, kultury, języka. Świadczy o tym polszczyzna, w której do dzisiaj funkcjonuje wiele słów i terminów niemieckich.

Odzyskanie przez Polskę niepodległości i klęska Niemiec w I wojnie światowej nie wpłynęły na poprawę wzajemnych stosunków, ani na wyrażanie stereotypowych określeń Niemców o Polakach i Polaków o Niemcach. Najtragiczniejszy rozdział w dziejach obydwu narodów nastąpił wraz z dojściem do władzy Hitlera i agresją na II Rzeczpospolitą 1 września 1939 roku, co stało się początkiem II wojny światowej. Nie przeżyło jej przeszło 6 mln obywateli polskich, w tym ok. 3 mln Żydów – stanowiło to ok. 18% całej populacji mieszkańców Polski. Klęska III Rzeszy oznaczała podział Niemiec między zwycięskie mocarstwa i czas cierpień narodu niemieckiego, którego znaczna część aktywnie popierała faszyzm, albo mu się czynnie nie sprzeciwiała. Alianci, zwłaszcza ZSRR, zastosowali rzymską zasadę, że : „Gwałt gwałtem godzi się odpierać” (*Vim vi repellere fas est*). Zgodnie z nią poszkodowani i przesiedleni lub wysiedleni zostali Niemcy z Polski, Czechosłowacji, Rumunii, Węgier. Na własnej skórze odczuli słowa: „Biada zwyciężonym” (*Vae victis*). Do dzisiaj decyzje aliantów są poddawane krytyce przez niektórych niemieckich i polskich polityków i działaczy operujących pojęciem polityki historycznej.

Droga do polsko-niemieckiego pojednania trwała długo – aż do zawarcia w 1991 roku traktatu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy. Nastąpiło to w wyniku zjednoczenia Niemiec 3 października 1990 roku, po przystąpieniu NRD do RFN. Istnienie dwóch państw niemieckich uniemożliwiało ostateczne rozwiązanie problemów terytorialnych i odszkodowań dla Polski. Przykładem jest np. sprawa Szczecina, który po zakończeniu wojny trzykrotnie znajdował się w rękach niemieckich, a jeszcze w czerwcu 1945 roku zamieszkiwało w nim ok. 54 tys. Niemców i zaledwie 1,5 tys. Polaków. Ostatecznie Stalin zdecydował, że miasto należy do Polski i zostało jej przekazane 5 lipca 1945 r. Rozstrzygnięcie to kwestionowała,

powstała w 1949 roku NRD, a jej władze ciągle badały możliwości i szanse odzyskania Szczecina. Niewiele brakowało, by konflikt o Zatokę Pomorską przekształcił się w konfrontację zbrojną.

Istotny wpływ w procesie pojednania miał list biskupów polskich do biskupów niemieckich z listopada 1965 roku, którego treść nie została skonsultowana z władzami PRL. Krytyce poddano nie tyle samą inicjatywę biskupów, co słowa: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Sugerowało to, być może wbrew intencjom episkopatu, „równowagę win” niemieckich i polskich.

Ważnym krokiem na drodze zmiany świadomości Polaków miała wizyta w Warszawie w grudniu 1970 roku kanclerza RFN Willego Brandta i podpisanie przez niego układu normalizacyjnego z Polską. Aktem pokory i prośbą o wybaczenie win Niemców pozostanie na zawsze hołd złożony przez niego przy Pomniku Bohaterów Getta, upamiętniający heroiczny czyn zbrojny ludności żydowskiej w kwietniu 1943 roku. Drogę do tego aktu utorował list 36 biskupów polskich z 18 listopada 1965 roku do biskupów niemieckich z historycznymi słowami pojednania „Wybaczamy i prosimy o wybaczenie”. Odpowiedź hierarchów katolickich z 5 grudnia 1965 roku była umiarkowana aprobująca, natomiast duchowni protestanccy przyjęli list w duchu chrześcijańskiej pokory i zrozumienia.

Przystąpienie Polski do NATO (1999) i włączenie jej do Unii Europejskiej (2004) umożliwiło kształtowanie stosunków polsko-niemieckich na płaszczyźnie wzajemnego zrozumienia, chociaż przyznać trzeba – nie bez sporów i kontrowersji. Trudno za życia jednego pokolenia usunąć wszystkie oskarżenia i żale pod adresem sąsiada. Zwykle są to żale.

Złą opinię ma wśród Polaków Związek Wypędzonych (BdV), kierowany do niedawna przez Erikę Steinbach, deputowaną do Bundestagu. Nowy przewodniczący Związku Wypędzonych, urodzony w Rumunii w rodzinie siedmiogrodzkich Niemców – Bernd Fabritius, zapowiedział, że będzie dążył do wygaszania dawnych sporów i do złagodzenia kursu. Nie będzie to łatwe. W dzisiejszych realiach niemożliwa jest zmiana granic i powrót do sytuacji sprzed lat 1939–1945. Hitlerowskie zbrodnie na terytorium okupowanej Polski, masowe deportacje i eksterminacja ludności Warszawy, Gdyni, Zamojszczyzny przewyższają wielokrotnie akty bezprawia w stosunku do Niemców. Nie oznacza to jednak, że można odpowiadać tymi samymi środkami odwetu i zemsty w stosunku do nieprzyjaciela, a zwłaszcza wobec bezbronnej ludności cywilnej, kobiet i dzieci. Część z nich została wypędzona, lecz większość szukała ratunku przed nacierającą Armią Czerwoną w masowych ucieczkach, została wysiedlona lub przesiedlona na mocy decyzji wielkich mocarstw. Warto więcej uwagi poświęcić doprecyzowaniu i właściwemu używaniu pojęć: ucieczka – przesiedlenie – wysiedlenie – wypędzenie. Polska jest dzisiaj niemal jednolita pod względem narodowościowym, podczas gdy przed wojną Polacy stanowili ok. 66% mieszkańców. Można i należy rozumieć uczucia

Niemców, zwłaszcza pokolenia, które utraciło miejsca swojego urodzenia i lat młodości, gdzie żyli do 1945 roku. Dzieci przesiedlonych mają prawo do pamięci o swoich małych ojczyznach.

Trudno jednak nie sprzeciwiać się postulatom i żądaniom Powiernictwa Pruskiego – od których odciął się B. Fabritius – by Polska wypłaciła Niemcom odszkodowanie za utracone w Polsce mienie. Polacy potrafią, jak sądzę, współczuć niewinnym ofiarom po niemieckiej stronie, zwłaszcza członkom grup antyfaszystowskich. Rozumieją to także Niemcy, nie wysuwając roszczeń w stosunku do Federacji Rosyjskiej o zadośćuczynienie za Königsberg (od 1946 r. Kaliningrad).

Przedmiotem sporów i polemik jest także budowa w Berlinie Muzeum Wypędzonych. Polacy obawiają się manipulowania historią i uprawiania polityki historycznej. Nie są to niekiedy obawy bezzasadne, choć nader często wyolbrzymione.

Pojednanie, historyczna pamięć i świadomość to nie jednorazowy akt wybaczenia, lecz proces ciągły. Wymaga uważnego odczytywania uczuć i poglądów, nie może być wykorzystywany w celach koniunkturalnych przez partie polityczne. Mamy z tym, niestety, do czynienia zarówno w Berlinie, jak i w Warszawie, przy czym w ostatnim czasie bardziej w stolicy Polski, niż Niemiec.

Przeszło 1000-letnie dzieje trudnego polsko-niemieckiego sąsiedztwa znalazły się w czasach przełomu. Historyczna poprawność nie powinna polegać na dążeniu do zachowania „równowagi win”. Dobrze, że obowiązuje, (z małymi wyjątkami) zasada, by nie mówić za dużo o winach Niemców, ani zbyt mało o grzechach Polaków. Dramatyczne, często wręcz tragiczne wydarzenia z dziejów obydwu narodów nie mogą stać się bronią w rękach niektórych mało odpowiedzialnych polityków.

Kończąc swoje uwagi, pragnę podkreślić, że polityka „Drang nach Osten”, o którą przez wieki oskarżano Niemcy, nie doprowadziła do takich strat terytorialnych, jakie Polska poniosła w wyniku naporu Księstwa Moskiewskiego, carskiej Rosji i ZSRR. Zdecydowanie opowiadam się za eliminowaniem działań ukrytych pod pojęciem polityka historyczna. Nie służy ona ani wyjaśnieniu przeszłości, ani budowaniu poprawnych relacji między narodami. Posługują się nim politycy dla osiągnięcia celów doraźnych, dla korzyści wyborczych, budząc uczucia nacjonalizmu i ksenofobii. Mocno jednak popieram pojęcie pamięć historyczna, służące – w moim przekonaniu – umacnianiu tożsamości narodowej, tradycji humanizmu i porozumienia ponad istniejącymi podziałami.

MARTA MILEWSKA

Dwukulturowość w dydaktyce historii

Wielokulturowość jako zjawisko społeczne, stawia przed edukacją nowe wyzwanie – przygotowanie młodego pokolenia do dialogu z różnymi kulturami, z jednoczesnym poszanowaniem ich własnej tradycji i oswajaniem się z odmiennością różnych kultur i grup etnicznych. Zadanie to nie jest łatwe, ponieważ dla pokojowej współpracy międzynarodowej nie wystarczy integracja tylko na poziomie polityki i ekonomii, ale istotna jest również integracja kulturowa. Dialog międzykulturowy wymaga nie tylko znajomości własnych korzeni, ale też gotowości do zrozumienia innych. Otwartość społeczeństw jest koniecznym warunkiem do likwidowania źródeł konfliktów i uprzedzeń między narodami. Niezbędna jest więc „edukacja jutra” uwzględniająca problemy przyszłości świata¹. Nadrzędnym celem edukacji powinno być pokazywanie uczniom społeczeństw jako grup współistniejących, krzyżujących się oraz wchodzących na granice swej odrębności i inności².

Wielokulturowość jako idea w edukacji oraz przygotowanie młodego pokolenia do akceptacji zróżnicowanego kulturowo społeczeństwa nie może być pozostawiona własnemu biegowi³. Tam, gdzie pojawia się problem wielokulturowości, tam potrzebne jest również tworzenie odpowiednich programów nauczania. Niepokojący jest jednak fakt, że metodologiczne ulepszanie programów nauczania w polskich szkołach nie idzie w parze

¹ B. Świdorski, *Jak zmienić szkołę?*, Kraków 1998, s. 289.

² J. Nikitorowicz, *Wymiary edukacji w dobie globalizacji (edukacja regionalna, wielokulturowa, międzykulturowa)* [w:] J. Gajda (red.) *O nowy humanizm w edukacji*, Kraków 2000, s. 48.

³ K. Ferencz, *Patriotyzm i europejskość jako fundamentalne wartości w kształtowaniu nowego obywatela*, [w:] A. Szerlag (red.), *Wielokulturowość – międzykulturowość obszarami edukacyjnych odniesień*, Kraków 2005, s. 45.

z dostrzeganiem różnic kulturowych. Balastem minionej epoki jest nadal lansowane hasło o jednolitości państwa polskiego, gdy tymczasem wielokulturowość staje się czymś nieuchronnym i wpisany w nasze czasy. Edukacja powinna więc nie tylko podejmować kwestie wielokulturowości, ale również wprowadzać je do programów nauczania⁴. Niezbędne jest więc tworzenie programów edukacyjnych, które pozwolą młodemu pokoleniu przejść od monologu do dialogu kulturowego⁵. Za potrzebą uwzględniania różnic kulturowych w programach nauczania przemawia też chęć naszego uczestnictwa w świecie, w którym różnice kulturowe są nie tylko dostrzegalne, ale też tolerowane i akceptowane. W programach nauczania w oparciu o które prowadzona jest obecnie edukacja historyczna w polskich szkołach można zauważyć, że informacje dotyczące wielokulturowości dotyczą odległych epok, a im bliżej czasów współczesnych tym mniej treści i przykładów świadczących o uniwersalnym charakterze zaobserwowanych procesów historycznych. W rezultacie powierzchowne podejście do zagadnień wielokulturowości w edukacji historycznej nie daje uczniom gruntownej wiedzy w tym zakresie i nie wpływa pozytywnie na kształtowanie postawy otwartości wobec innych.

W czasie edukacji szkolnej uczniowie poznają własne korzenie i kulturę, kształtuje się ich tożsamość oraz poczucie wartości i godności. Więc istotną rolę odgrywa tu edukacja historyczna, zwłaszcza w odniesieniu do ucznia odmiennego kulturowo. Z tego powodu edukacja historyczna powinna zwrócić szczególną uwagę uczniów na: kształcenie umiejętności porozumiewania się z ludźmi o odmiennej rasie, języku i religii; pokonywanie stereotypów; przeciwstawianie się wszelkim formom dyskryminacji i rasizmu oraz na angażowanie uczniów w akcje mające na celu propagowanie pokoju i bezpieczeństwa na świecie. Nauczanie historii poprzez wskazywanie uczniom wartości tkwiących w kulturze innych narodów, uświadamianie, że inność kulturowa nie jest problemem, lecz bogactwem pozwala odkryć wspólne korzenie i dokonania. Działania te są szczególnie istotne w odniesieniu do dzieci uczęszczających do młodszych klas szkół podstawowych, ponieważ są one z reguły pozbawione uprzedzeń oraz otwarte na to co nowe i ciekawe. Fakt ten może być wykorzystany przez nauczycieli, którzy nie tylko sami muszą być otwarci, ale też umiejętnie wykorzystać swoją wiedzę, by otwierać uczniów na to co inne.

Naciski na realizację treści programów nauczania zgodnych z podstawą programową i dążenie do wyposażenia uczniów w określoną wiedzę powoduje, że nauczycielom brakuje czasu na realizację zagadnień dotyczących problematyki wielokulturowej. W tym miejscu wypada zaznaczyć, że

⁴ J. Rusaczyk, *Wielokulturowość w edukacji*, „Nowa szkoła”, 2005, nr 5, s. 4.

⁵ K. Dyba, *Szukać podobieństw, rozumieć różnice – edukacja międzykulturowa w szkole. Jakiej edukacji nam potrzeba?*, „Dyrektor szkoły”, 2002, nr 6, s. 11.

wszyscy nauczyciele odgrywają istotną rolę w kształtowaniu międzykulturowych kompetencji uczniów, ale szczególne zadanie spoczywa na nauczycielach historii. Uświadamianie uczniom własnej tożsamości narodowej, przygotowanie ich do pokojowego funkcjonowania w społeczeństwach wielokulturowych, do rozwiązywania problemów na drodze pokojowej oraz wdrażanie do postrzegania inności jako wzbogacającej, a nie zagrażającej – to umiejętności, które kształtowane są w ramach lekcji historii. Trzeba jednak pamiętać, że w obszarze edukacji międzykulturowej nie chodzi tylko o to, by odmienności tolerować, lecz by ją rozumieć, uznawać i szanować⁶. W tym celu, prowadząc lekcje historii w klasie, do której uczęszcza uczeń wywodzący się z polsko-niemieckiego małżeństwa mieszanego, można odwołać się do problemów dotyczących obie, wymienione narodowości oraz do jego własnych doświadczeń związanych z uprzedzeniami. W ten sposób można pokazać uczniom nie tylko mechanizmy rządzące stereotypami, ale też inspirować ich do nawiązywania kontaktów z innymi, odmiennymi kulturowo ludźmi⁷. Wspólna edukacja dzieci jedno- i dwukulturowych sprzyja kształtowaniu świadomości równorzędności wszystkich kultur, rozwijaniu umiejętności negocjacyjnych oraz uczy postawy tolerancji. Należy więc zwrócić uwagę na fakt, że dziecko z rodziny odmiennej kulturowo lub z małżeństwa mieszanego wnosi ze sobą do polskiej szkoły specyficzny bagaż dziedzictwa kulturowego, który nie może być pomijany.

Szkoła jako miejsce redukcji dystansów i stereotypów nie może ignorować potrzeb uczniów niewładających biegle językiem kraju, na terenie którego mieszkają. Brak określonego programu edukacyjnego dla uczniów dwujęzycznych może doprowadzić do ich wyizolowania i niedowartościowania. Zadaniem szkoły jest więc nie tylko zapewnienie uczniom właściwej edukacji językowej, ale też historycznej, z poszanowaniem kultury narodu, z którego się wywodzą. W tym celu potrzebne są dwujęzyczne programy edukacyjne, które w praktyce są skuteczniejsze, ponieważ uczniowie dwukulturowi, kształceni także w drugim, przyswojonym już przez siebie języku, uzyskują lepsze wyniki w nauce i szybciej aklimatyzują się w nowym społeczeństwie⁸. Dwujęzyczność i dwukulturowość uczniów należy jednak postrzegać jako walor, potencjał, a nie jako przeszkodę edukacyjną.

Stosunek Polaków do innych narodów kształtowany jest w znacznym stopniu przez pryzmat wiedzy historycznej zdobywanej w czasie edukacji szkolnej. Ograniczenie nauczania historii w szkołach wyłącznie do wątków politycznych może w konsekwencji doprowadzić do powstania stereotypów, nietolerancji i konfliktowych sytuacji. W edukacji historycznej

⁶ W. Żłobicki, *Wielokulturowość a szkoła. O międzykulturowych kompetencjach pedagogów*, [w:] *Wielokulturowość – międzykulturowość ...* s. 187.

⁷ I. Idziak, *Stereotyp kulturowy w edukacji*, „Edukacja i Dialog”, 2005, nr 2, s. 21–22.

⁸ S.M. Sadecka, *Dwujęzyczni uczniowie*, „Edukacja i Dialog”, 2006, nr 4, s. 50–52.

ważne jest, aby pokazywać nie tylko to, co nas dzieli od innych narodów, ale również to, co łączy – odejść od jednostronnego spojrzenia na relacje z sąsiadami. Zadaniem edukacji historycznej jest więc z jednej strony pomóc uczniom zrozumieć ludzi wywodzących się z odmiennych kultur, a z drugiej strony przybliżyć osoby o odmiennej kulturze do naszego świata wartości⁹. Ważne jest, by proces nauczania przebiegał zgodnie z prawdą historyczną – mówić o tym, co dzieliło i podkreślać to, co miało charakter uniwersalny¹⁰. Ekspozować w edukacji wątek kulturowy, zamiast rozbudowywać zagadnienia dotyczące dziejów politycznych. Należy jednak zdawać sobie sprawę, że funkcjonujące nadal stereotypy, sięgające korzeniami różnych epok historycznych, mają nadal siłę oddziaływania, dlatego nie wszystkie rozdziały naszej wspólnej polsko-niemieckiej historii zostały zamknięte. Warto jednak zastanowić się, czy aktualnym celem edukacji jest rozpamiętywanie przeszłości, czy myślenie o przyszłości? Potrzebna jest więc nie tylko refleksja, ale i koncepcja edukacji historycznej dla jednostek jedno- i dwukulturowych, odwołująca się do wydarzeń zaczerpniętych z historii obu państw i narodów.

Edukacja wielokulturowa jest procesem długofalowym. Jej celem nie jest porzucanie tego co własne, ale dostrzeganie różnic, akceptowanie ich, a w przyszłości tworzenie bezkonfliktowej rzeczywistości. Stworzenie takiego modelu edukacji historycznej, który przygotowywałby młodzież do życia w społeczeństwie zróżnicowanym narodowościowo nie jest łatwe. Działaniami edukacyjnymi powinni więc zostać objęci w równym stopniu uczniowie o jednolitej jak i złożonej kulturowości. Innowacyjność modelu kształcenia historycznego nazywanego historyczną edukacją międzykulturową, polegać powinna na prowadzeniu działań, które w równym stopniu będą wzbogacać każdą ze stron, czyli: zarówno uczniów zaliczanych do mniejszości, jak i większości narodowej. Nie ma jednak wątpliwości, co do tego, że w osiągnięciu wyżej wymienionych celów niezbędne są nie tylko odpowiednie programy do nauczania historii, ale też podręczniki szkolne, materiały uzupełniające oraz wspólna edycja tekstów źródłowych.

Istotną rolę w kształceniu wielokulturowym odgrywa też literatura autobiograficzna. Wiele fragmentów zapisów pamiętnikarskich dotyczy przenikania się kultur, ich relacji i wzajemnego wzbogacania. Autobiografie napisane są językiem przystępnym i zrozumiałym dla uczniów na wszystkich etapach edukacji historycznej. Opisane w nich przeżycia, z jednej strony uczą otwartości na problemy zbiorowości, ale z drugiej – mogą mieć charakter subiektywny, dlatego ważne jest porównywanie zawartych w nich informacji z innymi źródłami wiedzy. Zapisy pamiętnikarskie mogą pełnić

⁹ J. Maternicki, *Kryteria doboru treści nauczania historii*, „Wiadomości Historyczne”, 1992, nr 5, s. 290.

¹⁰ A. Suchoński, *Nauczanie historii na terenach zróżnicowanych etnicznie*, [w:] *Wielokulturowość w nauczaniu historii*, red. B. Burda, B. Halczak, Zielona Góra 2004, s. 28.

różną funkcję dydaktyczną, jak też mogą pojawiać się w różnych fazach lekcji – przy wprowadzaniu nowego materiału, w czasie jego rozwinięcia, podsumowania lub do wykonania zadań w ramach pracy domowej.

Analiza podręczników przeznaczonych do nauczania historii pokazuje, że proces powiększania informacji o grupach etnicznych, które miały wpływ na dorobek kulturowy naszego państwa, został dopiero zapoczątkowany. W edukacji historycznej, nadal zbyt mało uwagi poświęca się podobieństwom występującym w życiu codziennym, oraz wspólnym elementom kultury i pokojowemu współistnieniu narodów. Przeszłość wciąż pokazywana jest przez pryzmat rywalizacji między narodami i państwami¹¹. Mankament polskich podręczników do nauczania historii jest to, że przedstawiają one problemy jednostronnie – z polskiego punktu widzenia, co w konsekwencji powoduje, że uczniowie mają później kłopoty z szerszym spojrzeniem i oceną wydarzeń historycznych, np. z perspektywy innych grup etnicznych lub państw¹². Edukacja historyczna prowadzana w oparciu o podręczniki nie może ograniczać się tylko do przekazywania uczniom gotowych tez, ale powinna też znaleźć się przestrzeń do dyskusji i swobody dokonywania ocen. Z uwagi na zwiększającą się liczbę uczniów, pochodzących z polsko-niemieckich małżeństw mieszanych oraz na tragiczne wydarzenia jakie miały miejsce w historii Polski i Niemiec, szczególne znaczenie ma opracowanie, polsko-niemieckiego podręcznika wolnego od wartościowania zgodnego z przyjętymi kryteriami narodowymi. Podręcznik taki powinien zostać opracowany głównie z myślą o uczniach o złożonej kulturowości.

Nowatorskim przedsięwzięciem okazał się jednak pomysł, który pojawił się w czasie jednego ze spotkań prowadzonych w ramach projektu „Polsko-niemieckie rozmowy o biografiiach” przez Międzywydziałowe Centrum Badań Niemcoznawczych Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Puławach i niemieckie stowarzyszenie ost-west-forum Gut Gödelitz. Idea polegała na opracowaniu biografii uczestników w formie książkowej. Dziś, książkę „Historia pamięcią pisana. Biografie polsko-niemieckie”¹³ należy traktować jako doskonałe źródło, zwłaszcza dla dydaktyki historii i edukacji międzykulturowej. Teksty, które są w niej zawarte to biografie 38 uczestników. Niezwykły charakter książki wynika nie tylko z faktu, że jest ona dwujęzyczna tzn. wydana jednocześnie w języku polskim i niemieckim, ale przede wszystkim z tego, że poprzez biografie zwykłych ludzi uświadamia ona, że najlepszą drogą wiodącą do rozwoju narodów jest otwartość i dialog międzykulturowy. Jej lektura skłania nie tylko do rozważań

¹¹ M. Strzelecka, *Wybrane elementy wielokulturowości w podręcznikach historii do szkół podstawowej i gimnazjum*, [w:] *Wielokulturowość ...* s. 287.

¹² J. Rulka, *Współczesne problemy edukacji historycznej*, Toruń 2002, s. 17.

¹³ *Historia pamięcią pisana. Biografie polsko-niemieckie*, red. K. Czejarek, K. Garczewski, współpraca naukowa T.G. Pszczółkowski, wyd. Akademia Humanistyczna im. Aleksandra Gieysztora w Puławach, ost-west-forum Gut Gödelitz, Puław 2014.

na temat trudnej przeszłości Polski i Niemiec, służy pokonywaniu istniejących uprzedzeń między Niemcami a Polakami, ale wskazuje te elementy kultury, które mają charakter uniwersalny, dlatego może ona być środkiem dydaktycznym w nauczaniu historii.

Autorami poszczególnych biografii są ludzie w różnym wieku, wywodzący się z różnych środowisk: naukowcy różnych specjalności, nauczyciele, dziennikarze, lekarze, artyści, przedsiębiorcy, itp. mieszkający na terenie Polski lub Niemiec. Historie ich życia zamieszczone w książce pokazują z jednej strony wpływ czynników politycznych, gospodarczych i społecznych na jednostkę i jej losy, a z drugiej strony analiza biografii zamieszczonych w książce, często do siebie podobnych, prowadzi do tych samych wniosków i pozwala z innej perspektywy spojrzeć na historię Polski i Niemiec.

Poznanie historii naszego kraju i krajów sąsiednich poprzez biografie może znaleźć zastosowanie na każdym etapie edukacyjnym. W nauczaniu zintegrowanym fragmenty książki można wykorzystać do budzenia odpowiednich uczuć społeczno-moralnych. W praktyce okazuje się, że dzieci szybciej zapamiętują losy konkretnych osób niż losy zbiorowości ludzkiej. W większym stopniu książka, o której mowa znajduje jednak zastosowanie na drugim etapie nauczania czyli w klasach IV–VI, na przedmiocie historia i społeczeństwo. Wybranymi biografiami można posłużyć się przy omawianiu z uczniami zagadnień dotyczących II wojny światowej, zwłaszcza charakteryzując życie ludności na okupowanych terenach Polski, formy oporu społeczeństwa wobec okupantów oraz postawę ludności cywilnej. Do fragmentów książki można się też odwołać w czasie wyjaśniania uczniom zmian jakie zaszły w Polsce po 1989 roku.

Nauczyciele realizujący założenia podstawy programowej w gimnazjum, czyli trzeciego etapu edukacyjnego, mogą posłużyć się fragmentami biografii, w których jest mowa o ziemiach polskich należących do zaboru pruskiego w XIX wieku, o gospodarstwach pruskich oraz o osadnictwie niemieckim na ziemiach polskich, przy omawianiu zagadnień z zakresu historii XIX wieku. Książka zawierająca polsko-niemieckie biografie, a zwłaszcza biografie osób młodych, to doskonały materiał do pracy z gimnazjalistami na lekcjach wiedzy o społeczeństwie. Do biografii zawartych w książce można sięgnąć, charakteryzując na lekcji współczesne społeczeństwo polskie, a zwłaszcza problemy i perspektywy życiowe młodych Polaków. W oparciu o książkę można też podać przykłady, w jaki sposób Polacy mieszkający za granicą podtrzymują więź ze swoją ojczyzną.

Nie ma jednak wątpliwości, że „Historia pamięcią pisana. Biografie polsko-niemieckie” jest środkiem dydaktycznym, mogącym mieć zastosowanie głównie na lekcjach historii na czwartym etapie edukacyjnym. Fragmenty biografii zaczerpnięte z książki mogą też być przydatne w czasie omawiania z uczniami skutków politycznych, społecznych, gospodarczych i kulturowych II wojny światowej oraz metod polityki niemieckiej w okupowanej

Polsce. W opublikowanych biografiach można też znaleźć wiele informacji dotyczących wydarzeń po 1945 roku, skutków powstania NRD i RFN, zjednoczenia Niemiec, oraz rozpadu systemu komunistycznego i zmian jakie zaszły w Polsce po 1989 roku.

Biografie zamieszczone w książce „Historia pamięcią pisana” również mogą być pomocne dla nauczycieli prowadzących zajęcia w szkołach średnich w ramach przedmiotu historia i społeczeństwo. W oparciu o wybrane biografie można omówić z uczniami model rodziny i przemiany obyczajowe zachodzące w świecie zachodnim w XX wieku, jak też współczesne społeczeństwa wielokulturowe.

Podane wyżej przykłady pokazują, że książka „Historia pamięcią pisana. Biografie polsko-niemieckie” jest doskonałym środkiem dydaktycznym w nauczaniu historii, dlatego można mieć nadzieję, że jest ona nie tylko pierwszą, która powstała na bazie rozmów biograficznych, ale przede wszystkim jest pierwszą z cyklu książek, które tworzą nową jakość w myśleniu o edukacji międzykulturowej, która służy wzajemnemu wzbogaceniu kulturowemu, patrzeniu na problemy z różnych płaszczyzn, ale też lepszemu rozumieniu przeszłości jak i otaczającej nas rzeczywistości.

JÖRG PETERSEN

Biograficzna retrospekcja

Moja droga do ost-west-forum Gut Gödelitz i rozmów biograficznych miała swój początek w grudniu 2015 roku, w postaci sprawozdania z wycieczki rowerowej z Gdańska przez dawne Prusy Zachodnie, Warmię i Mazury.

Naturalnie były przepiękne zdjęcia i interesujące informacje. Jednak tym, co szczególnie poruszyło moich stu gości był opis uczuć i oczekiwań, z którymi ja i moja żona wyruszyliśmy w sierpniu 2015 roku do Gdańska i jak później te przeżycia i wrażenia z podróży odmieniły nasz „obraz Polski”.

Cytat ze wstępu do mojego wykładu:

„Ta podróż samochodem do Gdańska, a następnie dalej rowerem przez Warmię i Mazury była jednak nieco inna, niż pozostałe podróże. Zbyt mało wiedzieliśmy o Polsce i byliśmy z góry nieco uprzedzeni. Wyruszyliśmy z ciekawością i ekscytacją, aby poznać Prusy Wschodnie.

Prusy Wschodnie, które wydawały się tak odległe, stracone na wieki, opisywane przez wielkich literatów lub ludzi, dla których kiedyś były ojczyzną. Mimo że nie mieliśmy żadnych powiązań rodzinnych z tą częścią Europy, utworzył się w naszych głowach świetlany obraz Prus Wschodnich. Dzika natura, kocie łby, furmanki, piaszczyste drogi, mazurskie krajobrazy, idylliczne wioski i małe miasteczka...

Czysta idylla, obraz jak z filmu!

Natrafiiliśmy na wszystkie te elementy. Jednak odkryliśmy też z wielkim zdziwieniem kraj, który jest oddalony od nas tylko o dzień drogi samochodem i w wielu aspektach znalazł łączność z nowoczesną Europą. Piękny kraj, bardzo porównywalny ze Wschodnim Holsztynem lub Müritz w Meklemburgii. Powróciliśmy z innym obrazem niż ten, który towarzyszył nam jeszcze w drodze do Polski. Obrazem kraju, który stał się ojczyzną dla żyjących tam ludzi i który kształtowali z wysiłkiem i miłością dla siebie i swoich dzieci. Utraciliśmy obraz przeszłości, doświadczyliśmy teraźniejszości i przywieźliśmy ze sobą wyobrażenie o przyszłości tej części dawnych Prus Wschodnich.”

Ta Polska obudziła zupełnie nowe zainteresowanie dla naszych sąsiadów na wschodzie.

Na moim wykładzie była moja dobra znajoma. Już przed laty wzięła udział w rozmowach biograficznych w majątku Gödelitz i zwróciła mi uwagę, że odnoszący sukces model z Gödelitz został w międzyczasie przeniesiony na dialog niemiecko-polski. Zasięgnąłem informacji na stronie ost-west-forum na temat rozmów biograficznych. Dwa powody skłoniły mnie do zgłoszenia się drogą mailową jako uczestnika rozmów:

1. Przekonała mnie idea przewyższania przeciwności i uprzedzeń przez poznanie drugiej strony. Podekscytowanie i ciekawość tego, jak też wpasują się w ten format, towarzyszyły mi do Pułtuszka.
2. Nieliczne kontakty z Polską uświadomiły mi, jak mało wiedziałem o kraju po drugiej stronie Odry i o jego mieszkańcach. Z możliwym uczestnictwem w niemiecko-polskich rozmowach biograficznych wiązała się nadzieja dowiedzenia się czegoś więcej o naszych wschodnich sąsiadach, wniesienia mojego małego wkładu do lepszego wzajemnego zrozumienia obu narodów.

Już kilka dni po wysłaniu maila – Axel Schmidt-Gödelitz zadzwonił do mnie. Po krótkiej rozmowie chciał wiedzieć, czy chcę za cztery tygodnie pojechać do Pułtuszka koło Warszawy na niemiecko-polskie rozmowy biograficzne. Stało się tak, że niecałe osiem tygodni po tym, jak dowiedziałem się o rozmowach biograficznych, sam pojechałem do Pułtuszka. „Pozytywna ekscytacja”, którą czułem od momentu wyrażenia zgody na mój udział nie opuściła mnie ani w Polsce, ani kilka tygodni po powrocie. Przeżyłem ekscytujące dni z interesującymi ludźmi, którzy poprzez swoje biografie pozwalali na głęboki wgląd w ich życie. Jako człowiek, który chętnie opowiada i słucha historii, byłem od początku zafascynowany tymi różnymi losami i doświadczeniami. Fascynowała mnie otwartość wszystkich uczestników i byłem zaskoczony emocjami, które wywoływały we mnie te cudze biografie, a nawet moja.

Nigdy nie sądziłem, że moi rodacy czują się Europejczykami. Polscy uczestnicy zaskoczyli mnie ich uznaniem dla otwartej na świat, tolerancyjnej Europy bez granic. Mniej zdziwiony byłem ich związkami z Niemcami. Ostatecznie uczestnictwo strony polskiej w rozmowach biograficznych było związane z dobrą znajomością niemieckiego, a kto uczy się chętnie języka, jeśli nie czuje pewnej sympatii i szacunku dla kultury ludzi, których języka się uczy. Aktualna polityka nie odgrywała żadnej (dla mnie przynajmniej wyczuwalnej) roli w dialogu uczestników. W każdym razie wciąż wyrażana radość z procesu „europeizacji” Polski pozwalała wywnioskować, jak boleśnie musi być postrzegana aktualna polska polityka z jej rosnącym skupieniem się na interesach narodowych.

Ja czuję się zdeklarowanym Europejczykiem i demokratą. Z troską obserwuję wszędzie w Europie postępujący zwrot w kierunku, jak sądziliśmy,

dawno przewyżzonego myślenia kategoriami narodowymi, skoncentrowanymi na państwowym egoizmie. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że jestem gotowy, aby przeciwdziałać moimi środkami i możliwościami przeciwko tej tendencji. Niemiecko-polskie rozmowy biograficzne tworzą możliwość szerzenia idei europejskiej i życia. Te ponadnarodowe spotkania mogą ośmielić naszych polskich partnerów, aby nie ustawiali w wysiłkach w celu kształtowania umocnionej Europy, gdzie wszyscy ludzie mieliby możliwość życia w pokoju, wolności i dobrobycie.

Moim udziałem w rozmowach biograficznych uczyniłem pierwszy aktywny krok, aby pokonać przeciwieństwa i uprzedzenia. Wyruszyłem z nadziejami, które się w całości spełniły. Rozmowy biograficzne okazały się być interesującym i sensownym instrumentem przełamującym bariery i granice w ludzkich głowach z najróżniejszą socjalizacją. Chciałbym, żeby jeszcze wiele ludzi mogło wynieść tak pozytywne doświadczenia, jak ja.

Na stronach internetowych ost-west-forum czytałem, że inicjatorzy tych rozmów chcieliby, aby uczestnicy rozpowszechniali ideę rozmów biograficznych. Jeszcze będąc pod wrażeniem moich przeżyć w Pułtusk, zaprosiłem mieszkańców mojej rodzinnej wsi na spotkanie informujące o rozmowach biograficznych w naszym miejscowym domu kultury. Axel Schmidt-Gödelitz przybył ku mojej wielkiej radości z Berlina nad dolną Łabę, aby w mojej wsi Freiburg opowiadać o pracy ost-west-forum Gut Gödelitz. Oprócz mnie obecni byli jeszcze dwaj inni uczestnicy rozmów biograficznych i byli do dyspozycji publiczności, odpowiadając na pytania dotyczące ich osobistych przeżyć. Jak na wiejskie warunki, zainteresowanie tematem okazało się bardzo wielkie, bo przybyło aż 80 osób. Dyskusja i duży pozytywny odzew po imprezie pokazał mi, że udało się nam trafić z tym tematem do głów i serc naszych słuchaczy.

Na koniec chciałbym podziękować Axelowi Schmidt-Gödelitz, a szczególnie profesorowi Karolowi Czejarkowi za organizację niemiecko-polskich (lub polsko-niemieckich) rozmów biograficznych. Karol Czejarek był nie tylko wspaiałym organizatorem. On i jego współpracownicy rozpieszczali nas, uczestników z Niemiec, bezprzykładną gościnnością.

(Przełożyła: Katarzyna Gawor)

ROMAN SCHAFFNER

Polska – to kwestia punktu widzenia...

Jako Niemiec (Bawarczyk urodzony w roku 1968 i mający w jednej czwartej pochodzenie węgierskie) miałem z Polską raczej „luźny” związek. A mimo to, ten kraj towarzyszył mi w jakiś niepojęty sposób już od dzieciństwa.

Dzisiaj jest inaczej. Moja żona jest Polką i twierdzi, że prawie wszystkie pozytywne cechy są „pochodzenia” polskiego. Kocham ją, więc chcę w to wierzyć.

Nawet „blues” bez pewnego Polaka nie miałby w świecie takiego znaczenia, jakie ma.

Moje pierwsze wspomnienia dotyczące Polski sięgają lat siedemdziesiątych. Jako ośmiolatek oglądałem w telewizji film wojenny, w którym polska kawaleria walczyła przeciwko niemieckim czołgom. Byłem pod wrażeniem! Bardzo chciałem, żeby wygrał polski kawalerzysta. Przecież lubiłem także Indian, którzy na Dzikim Zachodzie również jeździli konno. Dla mnie było nie do przyjęcia, żeby wygrały blade twarze. Widziałem podobieństwo między Indianami i odważnymi Polakami, którzy lancami atakowali czołgi.

W dziecięcej refleksji tych wydarzeń sprawiedliwość zwyciężyła. Przysięgam, że zarówno Indianie, jak i polscy kawalerzyści zawsze byli niezwyciężeni.

Muszę się przyznać do pewnego błędu z dzieciństwa. Myślałem, że moi ulubieni bohaterowie bajek – Bolek i Lolek, byli wytworem czeskiej kreatywności. Dopiero moja żona wyprowadziła mnie z błędu.

Jakiś czas później widywałem bardzo regularnie w telewizji człowieka o pomiętej twarzy, przerzedzonych włosach, w zbyt dużych okularach. Był to generał Jaruzelski. Byłem rozczarowany. Ten człowiek nie miał w sobie nic heroicznego. Absolutnie nic wspólnego z kawalerzystami z tamtego filmu. Mimo, że oglądałem go teraz w kolorowej telewizji, moje rozczarowanie nadal było ogromne.

Ten człowiek nie wzbudził we mnie choćby najmniejszej sympatii. Już wówczas wiedziałem dobrze, że mieszkam w środku „zimnej wojny”, że w Berlinie postawiono mur, oraz że istnieje Układ Warszawski. Rosjanie i cały blok wschodni – to byli nasi wrogowie. My byliśmy ci „dobrzy”, a za murem byli ci „źli”.

Tylko dla Węgrów robiliśmy wyjątek. Przecież mieliśmy tam krewnych, którym wysyłaliśmy na święta paczki, m.in. z kremem nivea.

Jaruzelski był w pewnym sensie ulubieńcem i pupilem niemieckiej telewizji. Polska musiała być bardzo ważnym krajem (tak myślałem), skoro nawet powstał międzynarodowy pakt, który w nazwie miał jej stolicę.

Po latach pojawiły się nowe nazwiska i polskie nazwy: Wałęsa, Gdańsk, Solidarność. Telewizja pokazywała ludzi w Stoczni Gdańskiej i na ulicach polskich miast. A także policyjne armatki wodne i opancerzone pojazdy. I wiele, wiele kościołów. Zrozumiałem z tego wszystkiego, że Jaruzelski chce Wałęsę z jego związkiem zawodowym „przegonić do diabła”. Moja dziecięca sympatia należała od tego momentu do Solidarności i Lecha Wałęsy.

Bardzo nieswojo poczułem się, kiedy zaczęto mówić o stanie wojennym. Było dla mnie jasne, że Polska graniczy z Niemcami, choćby tylko z DDR. W 1979 roku Rosjanie najechali na Afganistan. To było jednak bardzo daleko od nas. A teraz była mowa o stanie wojennym tuż, tuż za naszą granicą.

Słowa „wojna” i „prawo” były dziwnie powiązane. Czy istnieje prawo do wojny? Dla kogo i czego jest to dobre? – Te pytania zadawałem sobie bardzo często.

Z perspektywy czasu widzę, że to stałe pokazywanie w telewizji niemieckiej Armii Czerwonej, terroryzmu, branie zakładników oraz konfliktu wschód–zachód wywarło na mnie ogromne wrażenie i miało wpływ na moje polityczne poglądy, ale też na życie prywatne.

W okresie dojrzewania zapomniałem nie tylko o Polsce, ale i o wszystkim, co się działo na świecie. Nawet polski Papież nie był w mojej pamięci zjawiskiem priorytetowym, ale już nazwisko Popiełuszki – tak! Dokładnie pamiętam jego zamordowanie. Miałem wtedy 15–16 lat. Nagle zniknęła dziecinna perspektywa widzenia świata. Ruch przeciwko energii atomowej, ruch na rzecz pokoju oraz zimna wojna były mi znane.

W Rosji sekretarze generalni podawali sobie ręce. A co z Polską? Generał w ciemnych okularach patrzył na mnie z ekranu telewizora jeszcze w latach osiemdziesiątych.

I znów w następnych latach przestałem interesować się Polską. Co najwyżej doświadczałem tego kraju w kontekście historycznym. Polska muzyka, literatura, sztuka, ludzie tu i teraz – zupełnie nie istnieli dla mnie.

Moje skojarzenia z Polską to był Oświęcim, Getto, Treblinka i Układ Warszawski, później uzupełnione przez „pozytywny element” pt. Fryderyk Chopin, o którym wtedy myślałem, że jest Francuzem. Proszę o wybaczenie! Moja muzyczna socjalizacja nie dotarła do muzyki klasycznej.

Polska była synonimem mojego niepokoju i wstydu. Stan umysłu, z którym właściwie można sobie poradzić, ponieważ nie ponosi się winy za to wszystko, co się stało.

Nawet polski Papież nie miał wpływu na to, żebym się zaczął bliżej interesować Polską. Na dodatek jego interpretacja katolicyzmu nie budziła mojego entuzjazmu.

Niestety – nawet Lech Wałęsa – według mojej oceny zmienił się. Bardzo podobał się sobie w nowej roli „patriarchy”. Smutny przykład na to, jak łatwo pozbyć się swoich ideałów i starych przyjaciół.

Życie potoczyło się dalej i temat „Polska” także powrócił. Może się to komuś wydawać banalne, ale powodem tego „powrotu” była miłość.

Kochać Polskę nie jest trudno, sami Polacy bardzo mi to ułatwiają. Tylko, dlaczego ten język jest taki... Stanowi on dla mnie ogromne wyzwanie, przed którym do dzisiaj kapituluję. Trudno jest powolnemu Bawarczykowi opanować język polski. Jest dla mnie niewytłumaczalnym zjawiskiem, że tak wiele spółgłosek obok siebie tworzy słowo możliwe do wymówienia.

Od pierwszego dnia w szkole byłem przekonany, że niemiecka gramatyka jest skomplikowana. Teraz wiem, że to założenie było niedorzeczne! Średnia objętość płuc przeciętnego Polaka musi być o wiele większa, niż np. moja. Nieskończenie długie zdania bez nabierania powietrza... Nie mam słów.

Na początku uważałem za pozytywne, że w języku polskim nie ma „umlautów”. Niestety jest za to wiele innych fonetycznych psikusów, które są ciężkie do opanowania. Uczę się tego języka z uporem, ale raczej w ślimaczym tempie. Moja żona czasem mnie krytykuje, ale muszę przyznać, że jej też nie jest łatwo. Bawarski dialekt może doprowadzić Polkę do szaleństwa.

Dzięki różnym zawodowym konstelacjom, wspólnym zainteresowaniom i niezliczonej ilości innych wydarzeń zaczęliśmy – moja żona i ja – organizować wspólnie projekty, które pozwoliły mi odbyć pierwszą podróż do Polski.

Jeszcze zanim miałem okazję poznać rodzinę Iwony (mojej żony), zostaliśmy zaproszeni przez jej wujka Aleksandra do Warszawy. W ramach Światowego Dnia Poezji mój zespół muzyczny miał zagrać kilka koncertów.

Z wujkiem żony poznałem się już wcześniej, podczas pewnego wydarzenia w Straubingu „Poeci, Sound & Vinson”, które zainicjowała Iwona. Mój zespół przygotował oprawę muzyczną. Zaproszenie do Warszawy było wielką niespodzianką. Przyjęliśmy je spontanicznie i z wielką radością. Minęło trochę czasu, zanim uświadomiliśmy sobie, co to oznacza. Nachodziło nas wiele wątpliwości, czy podołamy. Jak ludzie w Polsce nas przyjmą? Sam fakt, że koledzy z zespołu są Austriakami nie zmieniał sytuacji na lepsze. Ponadto teksty piosenek napisane były w dialekcie bawarskim, bardzo dalekim od języka niemieckiego.

Jak poradzić sobie z poczuciem winy i wstydu w kraju, który doznał od moich rodaków tyłu krzywd? Argument, że ja nie ponoszę za to bezpo-

średniej winy, uspokajał mnie tylko częściowo. Byłem pewien, że Polacy nadal mają wielki uraz do Niemców i że spotka nas z ich strony fala agresji, a wycieczka do Polski zakończy się fiaskiem. Szybko nauczyłem się paru słów po polsku, żeby przynajmniej móc przywitać się w tym języku. Stronę internetową zespołu, a także teksty kilku piosenek przetłumaczyła Iwona. Byłem bardzo zdenerwowany, kiedy wreszcie wyruszyliśmy w tę podróż.

Naszym pierwszym przystankiem był Kraków, następnego dnia mieliśmy być już w Warszawie. Kraków – oczywiście miasto z Listy Schindlera. Dotarliśmy tam już bardzo późno, ale to, co zobaczyłem sprawiło, że nabrałem ochoty, aby to miasto poznać bliżej. Spacerowaliśmy przez Rynek i byliśmy zachwyceni niemal śródziemnomorską atmosferą.

Nieznany młody człowiek doprowadził nas do lokalu, w którym mieliśmy zamiar coś zjeść. Z piwnicy dochodziły głośnie okrzyki. Ludzie oglądali Ligę Mistrzów. Dortmund grał przeciwko Maladze. Szybko zorientowaliśmy się, że to polska telewizja transmituje ten mecz. Dołączyliśmy do oglądających, nikt nie zwrócił na nas uwagi. Osobiście nie interesuję się piłką nożną, więc miałem okazję z boku obserwować ludzi. Byłem zdziwiony, że sympatia kibiców jest po stronie Dortmundu, a nie Malagi. Czy nie „wylądowaliśmy” w pubie niemieckich kibiców, sympatyków Dortmundu? Jednak nie, bo wiem rozmawiali oni ze sobą w języku polskim. Sytuacja wydawała mi się co najmniej paradoksalna. Polacy kibicują z entuzjazmem niemieckiej drużynie? Dortmund przegrywał, ale zdołał odrobić straty i w końcu wygrał. Wtedy wybuchła nieopisana radość. Ludzie cieszyli się, klaskali, śmiali się.

„Na ich miejscu nigdy bym tego nie zrobił, przecież to niemiecka drużyna”, powiedziałem sobie w duchu. „To chyba muszą być totalni ignoranci historii polsko-niemieckiej”. Jako analfabeta piłki nożnej nie wiedziałem, że Robert Lewandowski gra w Dortmundzie!

Następnego dnia udaliśmy się w podróż do Warszawy. Podczas jazdy trenowałem pilnie kilka zwrotów w języku polskim.

Aleksander i Iwona już nas oczekiwali. Harmonogram mieliśmy bardzo napięty. Poznanie poetów (grafomanów, jak Aleksander ich nazywał z przyzwyczajeniem oka), omówienie programu, koncertów, szybka kolacja, trochę rozmów i ...spać!

Następnego dnia, o godzinie 11.00 miała się odbyć uroczysta ceremonia otwarcia Światowych Dni Poezji w Muzeum A. Mickiewicza.

Byłem bardzo zdenerwowany, z tego powodu nie mogłem zasnąć. Przed godziną 8.00 wyszedłem z hotelu, aby rozejrzeć się po mieście. Byliśmy w centrum Warszawy, tuż obok Zamku Królewskiego. Postanowiłem zrobić kamerą kilkanaście ujęć, bo później na pewno już nie będę miał czasu, ze względu na napięty harmonogram zajęć.

Ulice miasta były prawie puste. W powietrzu unosiła się delikatna mgła, ale było już widać, że dzień będzie słoneczny.

Skreśliłem za rogiem w lewo, a następnie poszedłem wzdłuż Barbakanu. Gdzieś tutaj musiał być Pomnik Małego Powstańca, wiedziałem to od Iwony. Wkrótce go znalazłem, ale moje poczucie „sukcesu” było krótkotrwałe, bowiem wiedziałem, komu został on postawiony. Usiadłem, żeby to przemyśleć. To miejsce wydawało mi się stworzone do tego, abym tutaj zaoferował temu miastu moją przyjaźń. W myślach rozmawiałem z tym pomnikiem w kształcie dziecka w za dużym hełmie i z karabinem maszynowym. Po pewnym czasie ogarnęło mnie uczucie spokoju.

Oczywiście można się spierać o to, czy taka forma przekazu tamtych wydarzeń jest odpowiednia, jednak trudno uciec od emocji, jakie ten pomnik wywołuje.

Instynktownie poszedłem ulicą w górę i skreśliłem w prawo. Wkrótce pojawił się przede mną pomnik upamiętniający Powstanie Warszawskie, którego widok mną po prostu wstrząsnął.

Co my, Niemcy uczyniliśmy temu miastu i jego mieszkańcom? Wierzę w to, że ten mały dzieciak w ogromnym hełmie mnie tutaj „przysłał”, że bym umocnił się w mojej przysiędze, ofiarowując przyjaźń temu miastu.

Od momentu przyjazdu minęło ponad 12 godzin. Nie zobaczyłem wiele, ale jakimś cudem znalazłem się akurat w tych dwóch miejscach. Było to jak spełnienie przepowiedni. Dobrze, że byłem sam. Miałem czas do namysłu i uporządkowania myśli.

Czyż nie był to zbieg okoliczności?

O godzinie 9.00 poszliśmy wszyscy do Muzeum A. Mickiewicza. Przed wejściem poprosiłem o możliwość zapalenia papierosa, zanim „wszystko” się zacznie. Iwona i ja rozmawialiśmy po niemiecku. Nagle podszedł do nas obcy mężczyzna, który oczywiście słyszał, w jakim języku rozmawiamy. Pomyślałem tylko: „Teraz zdarzy się coś złego”. W myślach przygotowałem się na konfrontację. Ten mężczyzna zaatakuję mnie na pewno wiązką polskich przekleństw, a ja odpowiem mu w typowo niemieckim stylu. Ale jednak czasem zdarza się coś innego, niż sobie wymyśliły.

Ten mężczyzna był Polakiem i wielkim fanem Dortmundu. Jak nam opowiedział, był tam już na kilku meczach. Kiedy zapytał, skąd jestem, odpowiedziałem spontanicznie, że z Bawarii. Mężczyzna podniósł brwi i zamilkł. Po chwili zapytał mnie: „Jesteś fanem FC Bayern”? Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że nie i tej drużyny nie znoszę! Iwona przetłumaczyła moją odpowiedź. Na twarzy mężczyzny zaświeciło słońce. Uściskał mnie z całych sił, a ja ... byłem w szoku!

Jednak mogłem się ugryźć w język, zanim powiedziałem, że piłka nożna w ogóle mnie nie interesuje, ale było za późno. Straciłem przez to trochę sympatii fana Dortmundu, ale i tak byłem bardzo szczęśliwy. Dla samego spotkania z tym człowiekiem warto było tutaj przyjechać!! Do dzisiaj ma ono dla mnie ogromną wartość.

Do Muzeum A. Mickiewicza wróciliśmy punktualnie. Byłem ciągle oszołomiony nowymi wydarzeniami. „Jak do diabła się tutaj znaleźliśmy wśród tych wszystkich renomowanych poetów?” – to pytanie zadają sobie do dzisiaj.

Tatarska księżniczka i wiceprezydent Jakucji usiedli na honorowych miejscach. Patrzyliśmy niedowierzająco na siebie. My w tym miejscu? Z profesorami, poetami, nie znając języka polskiego, nie rozumiejąc tak naprawdę, co się tutaj mówi. Ale byliśmy też tym wszystkim rozbawieni. To wszystko było surrealne. Pomóc mogło nam tylko poczucie humoru.

Mieliśmy jednak przewagę – byliśmy zespołem pięcioosobowym, a oni muszą sami recytować swoje wiersze.

Dodało nam odwagi to, że obecny niemiecki attaché do spraw kultury był też z Bawarii. Dla dodania sobie animuszu przedstawiliśmy towarzyszącego nam Rudy’ego, jako austriackiego ministra kultury. Rudy ucieszył się z awansu, gdyż do tej pory był kierownikiem wydziału kultury w Wels. Nasza muzyczna oprawa została bardzo dobrze przyjęta.

Aleksander (nazywany przez nas carewiczem), księżniczka tatarska oraz wiceprezydent Jakucji skinęli głową nieco protekcyjnie i zaczęli klaskać.

Graliśmy jeszcze w innych miejscach, np. w Pałacu pod Błachą, w ośrodkach kultury, szkołach i przed różnorodną publicznością, w wieku od 14–75 lat.

W każdym miejscu, zarówno powitanie, jak i pożegnanie było bardzo serdeczne. Największe wrażenie zrobiła na nas szkolna publiczność w Łomiankach. Młodzież zadawała nam po koncercie bardzo wiele pytań, na które szczerze odpowiadaliśmy. Z pewnym zdziwieniem przyjęliśmy propozycję wystąpienia w jury konkursu recytatorskiego w języku niemieckim. Byliśmy tym głęboko poruszeni. Jako specjalne podziękowanie ofiarowaliśmy wszystkim jego uczestnikom naszą płytę z autografami.

Dwa ostatnie koncerty odbyły się w Staszowie i Kozienicach, gdzie znowu zostaliśmy bardzo serdecznie przyjęci. Nawet przedstawiciele telewizji regionalnej byli obecni na koncertach.

Mieliśmy za sobą pięć intensywnych dni. Tylko pięć dni, a jaki wpływ miały one na moje przyszłe życie. Był to także początek ponownego procesu rozumienia Polski. Te pięć dni – to wielki skarb: spotkania z miłymi ludźmi, momenty pełne wzruszeń i anegdoty. Wspominamy je bardzo często.

Tylko trzy miesiące dzieliły mnie od następnej wizyty w Polsce. Nadszedł wreszcie czas na spotkanie z rodzicami Iwony, z „jej” miastem oraz Ryśka Riedla, przedwcześnie zmarłego wokalisty zespołu Dżem.

Była to podróż w czasie, w przeszłość kobiety, którą kocham. Cóż może być bardziej ekscytującego?

Jednak gnębiło mnie pytanie, czy jestem w stanie spełnić oczekiwania jej rodziny. Moja znajomość języka polskiego była nadal niewystarczająca. Ale dzisiaj np. umiem już zamówić napoje i ... poprosić o popielniczkę.

Powitanie w rodzinie było wspaniałe. Chyba stałem jak idiota, który nie rozumie, co się wokół niego dzieje. Kanonady ciepłych słów spadały na mnie i nawet od czasu do czasu ktoś wtrącał słowa po niemiecku.

Zostałem zapytany, co u mnie słychać? Dzięki dwóm audiobookom Steffena Möllera powiedziałem swobodnie: „stara bieda”.

W następnych dniach zwiedzaliśmy miasto Tychy, które zostało zaprojektowane w środku zagłębia węglowego. Wcześniej oglądałem zdjęcia z lotu ptaka, które znalazłem w internecie. Ściśle geometryczne kształty miasta były łatwo rozpoznawalne. Architektura socjalistyczna, taka jak sobie ją wyobrażałem, a jednak trochę inna. Widocznie podczas planowania miasta nie zapomniano o jego mieszkańcach, podobnie jak w wielu niemieckich dużych miastach. Podobało mi się tutaj – wśród starych osiedli robotniczych z lat pięćdziesiątych i wieżowców z lat późniejszych.

Mamy z Iwoną ulubioną kawiarnię przy jednej z centralnych ulic miasta, którą nazywamy „centrala”.

Nasze pierwsze kroki po przybyciu do Tych i przywitaniu rodziny prowadzą właśnie tam.

Niestety, polskie jedzenie, a przede wszystkim wypieki – jako, że jestem diabetikiem – skrócą bardzo moje życie. Nie można się im oprzeć!

Tychy leżą zaledwie 25 km od Oświęcimia.

Po prostu musiałem zetknąć się z tym miastem, musiałem oddać cześć i szacunek ofiarom nazizmu.

Jeśli chodzi o samo miasto, to spotyka je wielka niesprawiedliwość. Nazwa Oświęcim, Auschwitz jest synonimem zamordowania milionów ludzi. Ale samo miasto przecież było i wtedy i jest teraz....Miastem, które jako takie nie jest postrzegane przez świat. Redukuje się je do obozów koncentracyjnych. Tyle.

Moja osobistą próbę zbliżenia się do tego miasta opisałem niedawno w ten sposób:

„Oświęcim–Brzezinka – to miejsce nierozzerwalnych sprzeczności. Nawet 70 lat po wyzwoleniu czuje się tutaj to nieludzkie postępowanie. Wymiar, skrupulatność i organizacja tamtej maszyny do zabijania są potworne. A przecież były opracowane przez ludzki umysł, stworzone z ludzkiej woli i mocy.

I ludzie tam przybywają. Przyjeżdżają autobusami, wloką się po obszarze obozu ze słuchawkami i rzucają spojrzenia w stronę, w którą kieruje ich przewodnik z parasolem.

Być może posilili się wcześniej w kiosku na terenie obozu lub zrobili piknik na parkingu, w cieniu. Mają ze sobą składane krzeselka, plastikowe pudełka. Pragmatyzm w Holokaust – Chopin jest strasznie wiarygodny. Czego jednak nie mogę sobie niczym wytłumaczyć, nawet pragmatyzmem, jak można patrzeć z okien nowo wybudowanego domu wprost na byłą „maszynę śmierci”.

Za każdym razem staram się wyobrazić sobie to uczucie. Nie udaje mi się. Muszę o to kiedyś zapytać. Następnym razem. Kwestia życia i śmierci

zderza się tutaj ze sobą, jak nigdzie indziej na świecie – w tej raczej spokojnej części Małopolski. Na pewno nie jest to korzystne dla gospodarki Oświęcimia. Myślę, że dewizą zwiedzających jest: „zobaczyć i uciekać stąd”.

A jednak odbieram Oświęcim jako normalne miasto. Centrum handlowe, KFC, McDonald, dworzec, śmiejący się ludzie, zdenerwowani kierowcy.

Miejscowy klub hokejowy jest jednym z najlepszych w Polsce, był kilkakrotnie jej mistrzem. Jest się prawie skłonnym zapomnieć, jakie to miejsce. Ale tylko prawie. I jeśli tak, to na krótko. Czy to typowo niemieckie podejście? Ciężar historii?

Myśli wędrują z powrotem do stawu ludzkich prochów w Brzezince. Nigdy wcześniej nie widziałem tylu żab, które tam żyją.

Włączam migacz, przy drodze stoi „ciucholand”: Musi to być jakiś rodzaj pragmatyzmu, żeby wykorzystać okazję do tanich zakupów.

Znajduję marynarkę w kratkę. Na podszewce jest napis „Made in Izrael”. Ironia losu?”

Można powiedzieć, że został we mnie uruchomiony proces wyczulenia na sprawy polskie, który oczywiście nadal trwa. Kwestionowanie własnej perspektywy, analizy stereotypów w kontekście medialnej prezentacji Polaków, daje ciekawy obraz. Z tego wynika następne pytanie: „Jak pokazuje się Polskę w niemieckich mediach?”

Osobiście widzę, że pojawiają się tutaj dwie skrajności. Z jednej strony niekończący się temat winy, wynikający z okresu narodowego nacjonalizmu. Z drugiej strony należy do standardu niemieckiej rozrywki degradowanie Polaków do roli sprzątaczek, złodziei, cwaniaków. Można niemal dojść do wniosku, że jest to jakby ukryta forma rewanżu...

Co robią jednak ci Polacy, którzy nie kradną aut, nie sprzątają u bogatych Niemców i nie oszukują? Przecież miliony Polaków wykraczają poza te stereotypy? Mimo, że nie znam wszystkich Polaków, odważę się powiedzieć, że tyle samo łotrów i złodziei jest tak wśród Polaków, jak i Niemców. Znam także kilka Polek, które zarabiają sprzątaniami, a które ukończyły uniwersytety. Niestety, ich wykształcenie nie zostało w Niemczech uznane.

Ostatnio jestem zdziwiony i zakłopotany rozwojem Polski w wielu dziedzinach, zaczynając od polityki. „Kto mieszka w szklanym domu nie powinien rzucać kamieniem”, ale nie mogę się powstrzymać od komentarza, że podobny rozwój można zaobserwować w Niemczech.

Wygląda na to, że prawo i realne spojrzenie na świat przestały być ważne. Wszechobecny nacjonalizm jest przerażający, a traktowanie uchodźców odrażające.

Ekspertci twierdzą, że jest to związane z historią Polski. Wielowiekowym nieistnieniem tego państwa. „Polska nie jest krajem, do którego się imigruje. Z Polski się zawsze emigrowało”, oto mowa znawcy.

Słowo „solidarność”, z którym się utożsamiało Polskę już nie znaczy to, co znaczyło. Egocentryzm w Europie wkroczył także do Polski, a nawet stała się Polska jego centrum.

Perfidne jest według mnie pomieszanie nacjonalizmu z gospodarczym liberalizmem i katolicyzmem. Wystarczy wspomnieć o deklaracji polskich lekarzy podpisujących się pod światopoglądem katolicyzmu, nawet wbrew przysiędze Hipokratesa.

Uważam, że każdy ma prawo być szczęśliwym w swojej wierze, ale misjonowanie ludzi, wpływanie na politykę państwa, na rozwój społeczny czy przysięgę Hipokratesa jest niemożliwe do pogodzenia z prawem do demokracji – przynajmniej dla mnie!

Zawodowo zajmuję się porozumieniem między różnymi kulturami, tworzę projekty przeciwko skrajnej prawicy i dlatego śledzę aktualny rozwój w Europie bardzo uważnie.

Antysemityzm i ksenofobia „świętują” swój powrót.

Partie, ugrupowania, organizacje skrajnie prawicowe poczuły wiatr w żagle. Kiedyś były to działania utajnione, a teraz stały się jawne. Modne stało się publiczne przejawianie nienawiści do wszystkich, którzy nie podzielają nacjonalistycznych poglądów.

Innym, irytującym mnie doświadczeniem jest fakt, że w Krakowie w każdym sklepiu z pamiątkami stoją figurki Żydów, które zostały wyposażone w typowe atrybuty, więc trudno nie rozpoznać, o kogo chodzi: czapka, krzywy nos, broda, worek pieniędzy.

Nie wiem, jak to sklasyfikować. Pragmatyzm? Antysemityzm? Zły gust? Głupota?

Polska: kocham, rozkoszuję się, cierpię, mam nadzieję, wierzę!

(Przełożyła: Iwona Roszkowski)

JANUSZ SZCZEPAŃSKI

Wszystkiemu winna wojna. Olędrzy na ziemi gostynińskiej

(od XVIII w. do końca drugiej wojny światowej)

Na przestrzeni stuleci Polska, podobnie jak większość państw europejskich, była krajem wielonarodowościowym. W ośrodkach miejskich centralnej części Rzeczypospolitej wśród mniejszości narodowościowo-wyznaniowych, dominowała społeczność żydowska, zaś na terenach wiejskich – ludność niemiecka, najczęściej wyznania ewangelicko-augsburskiego.

Rejonem Mazowsza, obejmującego znaczną część Polski centralnej, od dwóch stuleci będącym jednym z największych skupisk potomków osadników holenderskich oraz ludności niemieckiej, była ziemia gostynińska. W XVII stuleciu najpierw pojawili się tu koloniści holenderscy, przemieszczający się z Żuław Gdańskich na południe, wzdłuż Wisły. Słynęli oni ze skutecznych metod walki z wylewami rzek, a także z prowadzonej melioracji pól i łąk. Potrafili z pozoru bezużyteczne tereny doprowadzić do stanu kwitnącej kultury rolnej. Byli wyznawcami religii protestanckiej, założonej przez dawnego księdza katolickiego rodem z Niderlandów – Mennona Simmonsa (1496–1561). Zwolenników jego poglądów religijnych nazywano menonitami. Przyjmowali chrzest w wieku dojrzałym, przez zanurzenie się w wodzie, co najmniej po ukończeniu 14 roku życia. Wyznawców nowej religii cechowała nade wszystko dogmatyczna ugodowość i pacyfizm. Byli oni przeciwnikami służby wojskowej¹.

¹ P. Fijałkowski, *Menonici na Mazowszu (od połowy XVIII w. do 1945 r.)*, „Rocznik Mazowiecki”, t. XIII, Warszawa 2001, s. 233–235.

Od połowy XVIII w. na mazowieckim Powiślu, obejmującym ziemię gostynińską, zaczęli pojawiać się koloniści przybywający z Niemiec. Przez miejscową ludność zwani byli olędrami. Uchwały Sejmu Rzeczypospolitej z II połowy XVIII w. zachęcały cudzoziemców do osiedlania się w Polsce. Otrzymywali oni wiele przywilejów. Wiele wsi olęderskich nad środkową Wisłą powstało na skutek zachęty ze strony miejscowej szlachty, której zależało na podniesieniu dochodów z własnych majątków ziemskich, szczególnie tych, położonych na słabo zagospodarowanych obszarach przylegających do koryta rzeki Wisły. Olędrzy szczególnie licznie zasiedlali tereny nad Wisłą, zwłaszcza po klęskach powodzi.

Liczne rzesze niemieckich chłopów przybyły na teren ziemi gostynińskiej po II rozbiórze Rzeczypospolitej szlacheckiej, kiedy to zachodnie Mazowsze znalazło się pod zaborem pruskim. Na przełomie XVIII i XIX w., w okresie ożywionej akcji kolonizacyjnej władz pruskich, na ziemi gostynińskiej osiedliło się wiele rodzin niemieckich z przeludnionej Badenii, Meklemburgii, Szwabii, Wirtembergii i niektórzy z niemieckich osadników pełnili nawet urzędy w pruskiej administracji, m.in. w pobliskich miastach: Gąbinie i Gostyninie ².

Osadnictwo niemieckich kolonistów na ziemi gostynińskiej było kontynuowane w czasach Królestwa Kongresowego, którego władze dostrzegały duży wpływ cudzoziemców na rozwój gospodarczy ziem polskich. Duży napływ ludności niemieckiej na ziemię powiatu gostynińskiego został odnotowany w latach dwudziestych XIX w., w związku z powstaniem tu osad sukienniczych w Gąbinie i Gostyninie. W miastach tych wkrótce powstały gminy ewangelicko-augsburskie, których członkami byli niemieccy koloniści z okolicznych wiosek ³. Umowy zawierane z niemieckimi kolonistami, a także sukiennikami gwarantowały im zakładanie parafii, budowę zborów i domów parafialnych ⁴.

Wraz z osiedlaniem się ludności niemieckiej w powiecie gostynińskim były otwierane szkoły protestanckie, nazywane też religijnymi, w których nauczano wyłącznie w języku niemieckim ⁵.

Na mazowieckim Powiślu wciąż było widoczne osadnictwo menonitów, którzy tu przemieszczali się z terytorium państwa pruskiego. Warto nadmienić, że dekrety władców pruskich zmuszały menonitów do płacenia

² P/ Fijałkowski, *Ewangelicy na południowo-zachodnim Mazowszu w XVIII–XIX w.*, „Przegląd Historyczny” t. 82, 1991, zesz. 1, s. 125–126; E. Szubska-Bieroń, *Osadnictwo niemieckie na ziemi gostynińskiej w XVIII i XIX wieku*, „Rocznik Gostyniński”, tom I, red. J. Domała, Gostynin 2007, s. 260–263.

³ J. Szczepański, *Osady sukiennicze na zachodnim Mazowszu w dobie Królestwa Kongresowego*, „Rocznik Płocki”, Płock 1983, s. 11; B. Gutknecht, *Parafia Gąbińska. Z okazji stulecia poświęcenia kościoła*, Warszawa 1932, s. 9–10.

⁴ E. Szubska-Bieroń, *Osadnictwo niemieckie na ziemi gostynińskiej w XVIII i XIX wieku*, s. 274.

⁵ A. Breyer, *Die Entwicklung des deutschen Schulwesens im Gostyniner Lande (1780–1936)*, „Deutsche Monatshefte in Polen” 1937, nr 2/3, s. 105–106.

podatków, a przede wszystkim do odbywania służby wojskowej, sprzecznej z zasadami ich religii. Chętnie więc korzystali oni z zaproszenia władz Królestwa Kongresowego, które doceniały pracowitość i gospodarność menonitów, a także ich umiejętność walki ze skutkami powodzi.

Osadników w tej części Mazowsza nadal nazywano olędrami. Menonitów i niemieckich kolonistów łączyło pochodzenie z odległych krain, podobny język, kultura oraz religia – różne odmiany protestantyzmu. Osadnicy napływający z Niemiec przejmowali od holenderskich poprzedników – podobne sposoby gospodarowania na podmokłych terenach nadwiślańskich.

Na przestrzeni XIX w. nadwiślańskie wsie na obszarze ziemi gostyńskiej zatraciły swój dawny jednolity gospodarczy, a także etniczny charakter. Jak pisze znawca tej problematyki Jerzy Szałygin: *W skład kolonii wchodził jeszcze wciąż osadnicy holenderscy, ale dominować zaczęli dolnoniemieccy i polscy. Nazwa »Olęder« nabrała specyficznego znaczenia. Przestała, w spolszczonej formie, charakteryzować narodowość osadników, a zaczęła określać pewien ściśle określony model gospodarowania i organizacji społecznej*⁶.

Niemieccy koloniści nie podlegali procesowi polonizacji. Na ziemi gostyńskiej wśród rodzin niemieckich starano się o zachowanie tożsamości narodowej, kultywując wśród młodego pokolenia niemiecką kulturę, zwyczaje i obyczaje. Małżeństwa były zawierane zazwyczaj między osobami tej samej religii.

Podczas polskich powstań narodowych niemieccy koloniści z terenu ziemi gostyńskiej zajmowali lojalne stanowisko wobec władz zaborczych. W okresie insurekcji kościuszkowskiej władze pruskie podburzały osiedlonych nad Wisłą olędrów przeciwko polskim oddziałom gen. Jana Henryka Dąbrowskiego, idącym na pomoc powstaniu wielkopolskiemu. O tym fakcie 18 września 1794 r. poinformował Radę Najwyższą Narodową Józef Wybicki, przebywający w obozie wojskowym pod Gąbinem. Wybicki postanowił zwrócić się do kolonistów, aby zachowali neutralność wobec walczących stron. W tymże dniu wydał odezwę w języku niemieckim do ludności niemieckiej zamieszkałej mazowieckie Powieśle, która zaczynała się od słów: *Do obywatelów mieszkańców ziemi polskiej wyznania augsburskiego zwyczajnie Holendrami zwanych*. Wybicki nakazywał odczytać ją we wszystkich szkołach i kościołach luterańskich. Władze pruskie, zachęcając do wystąpień przeciwko oddziałom powstańczym, rozsiewali wieści, że *Polacy gorejąc fanatyzmem i okrucieństwem będą ich tępić*⁷.

⁶ J. Szałygin, *Katalog zabytków osadnictwa holenderskiego na Mazowszu*, Warszawa 2004, s. 19.

⁷ Józef Wybicki nie ukrywał, że Prusacy chcieli przez to doprowadzić „do wojny domowej i współbraci naszych na nas uzbroid”, „Gazeta Rządowa” 1794, nr 32, s. 326; J. Wąsicki, *Powstanie Kościuszkowskie w Wielkopolsce*, Poznań 1957, s. 126; M. Chudzyński, *Płock i ziemia płocka w Insurekcji Kościuszkowskiej*, [w:] *Powstanie*

Powyższa odezwa była przykładem tolerancji religijnej i narodowościowej. Nie wspominała jednak o tak ważnym problemie dla olędrów, jak uregulowanie powinności i wysokości świadczeń względem właścicieli, a problem ten, jak się okazało, był *głównym i zasadniczym motywem wystąpień olędrów w czasie insurekcji*⁸.

Niemieccy koloniści z terenu powiatu gostyńskiego prezentowali niechętnie stanowisko wobec powstania listopadowego (1830–1831). Kilku z nich, pochodzących ze Świniar, poraniła Straż Bezpieczeństwa zwołana przez burmistrza z Iłowa⁹.

Wielu niemieckich kolonistów mieszkających nad Wisłą prezentowało wrogi stosunek wobec powstania styczniowego, współpracując z władzami zaborczymi. Są liczne dowody na to, że miało to istotny wpływ na klęskę oddziałów powstańczych, toczących bitwy i potyczki z wojskiem rosyjskim. Powstańcy wiedząc o tym, niektórych niemieckich kolonistów skazali na karę śmierci przez powieszenie¹⁰.

Pewna stabilizacja życia gospodarczego Królestwa Polskiego nastąpiła w okresie popowstaniowym (1865–1914). Zamieszkali na ziemi gostyńskiej olędrzy specjalizowali się w hodowli bydła i w serowarstwie, znani byli przede wszystkim z wyrobu serów holenderskich. Niektórzy z nich później zaniechali produkcję serów i zajmowali się mleczarstwem. Produkty mleczne wywożono zazwyczaj do pobliskiego Płocka. Koloniści z terenów położonych nieco dalej od Wisły uprawiali głównie pszenicę oraz buraki pastewne i cukrowe. Buraki cukrowe wywożono barkami wiślanymi przeważnie do cukrowni Leonów w Duninowie nad Wisłą. Wielu z nich, zwłaszcza menonici, specjalizowali się w sadownictwie. Owoce sprzedawano głównie w Płocku i w Warszawie. Transportowano je wozami wzdłuż Wisły bądź też spławiano barkami. Owoce przetwarzano na marmolady, dżemy, konfitury lub suszono. Świeże i suszone sprzedawano na targach w Warszawie lub dostarczano stałym odbiorcom – warszawskim cukiernikom. Masowo uprawiano też wierzbę; z jej gałęzi wyplatano koszyki potrzebne do zbioru buraków, ziemniaków oraz owoców. Wykorzystywano je także do wykonywania charakterystycznych płotów, ogradzających domostwa ludzkie oraz pastwiska dla zwierząt¹¹.

1794 roku. *Dzieje i tradycja. Studia i szkice w dwustulecie*, red. H. Szwankowska, Warszawa 1996, s. 11–42.

⁸ J. Wąsicki, *Powstanie Kościuszkowskie...*, s. 126.

⁹ AGAD, Władze Centralne Powstania Listopadowego, sygn. 494 b, s. 86.

¹⁰ J. Szczepański, *Dzieje Gąbina i okolic*, Gąbin–Pułtusk 2013, s. 140.

¹¹ W. Marchlewski, *Przyczynek do dziejów osadnictwa olęderskiego w środkowym biegu Wisły w XIX–XX w. (do 1945 r.)*, „Kwartalnik Historii Kultury Materialnej”, t. XXXVI, 1988, nr 3, s. 505–506; M. Chudzyński, *Kolonizacja holendersko-olęderska (olenderska) i niemiecka nad środkową Wisłą*, [w:] Polska – Mazowsze. Dzieje polityczno-militarne, gospodarcze i kultura, red. A. Koseski i R. Turkowski, Pułtusk 2013, s. 174–175.

Wawrzyniec Sikora, baczny obserwator gospodarstw niemieckich kolonistów, odnotował: *Koło domu musi być ogródek kwiatowy i sad owocowy, niektórzy nawet mają po kawale pola wysadzanego drzewami owocowymi. Wszystkie drogi, miedze, a nawet podzielone w kwadraty pole, [są] wysadzone drzewami dzikimi, przeważnie wierzbami, które im dostarczają drzewa na opał i materiału na parkany, toteż niemieckie osady w większej części są wyparkanione. Jest to godne pochwały i naśladowania, raz, że niemiecki kolonista letnią porą nie potrzebuje pastucha, po wtóre, mając wszystko wyгородzone, mniej sobie robią szkody. Dlatego większa pomiędzy nimi jest zgoda*¹².

Menonici zamieszkujący nad Wisłą wznosili domy na sztucznie usypanych wzgórkach. Miało to chronić ich domostwa przed zalaniem w czasie powodzi¹³. Znamienne, że sposób budowy zabudowań gospodarczych niemieckich kolonistów, trudny był do zaakceptowania przez ich polskich sąsiadów. Cytowany już Sikora pisał: *Charakter niemieckich osiedli zupełnie różni się od polskich. Domy mieszkalne jak zaczęli budować, tak i budują [nadal]. Pod jednym dachem mieszczą się dom mieszkalny wraz z budynkiem inwentarskim, tylko stodoła oddzielnie [...] Bodaj, że nie ma tu niemieckiego gospodarstwa, w którym by stał dom mieszkalny oddzielnie. Jest to wygodne, ale niehigieniczne, bo nie tylko latem, ale i zimą w mieszkaniu rozchodzi się woń stajenna*¹⁴.

Taki sposób wznoszenia zabudowań gospodarczych przez olędrów był jednak bardzo praktyczny. Podczas krótkiego okresu powodzi, cały ich dobytek znajdował się pod jednym dachem, na strychu. Nurt Wisły, przepływający przez zalane budynki wypłukiwał nieczystości z obór, stajni, chlewni, nie zanieczyszczając jednak części mieszkalnej. Użyźniał jednocześnie okoliczne pola. Nic dziwnego, że menonici przeciwni byli decyzjom władz Królestwa Polskiego o konieczności budowy wałów przeciwpowodziowych.

Nawet nieprzychylni niemieckiemu osadnictwu w Królestwie Polskim publicyści podkreślali poprawne relacje między niemieckimi kolonistami a ludnością polską¹⁵. Jednakże kontakty pomiędzy ludnością polską a niemiecką na omawianym terenie były sporadyczne. Ludność niemiecka tworzyła nadal ściśle zamknięte enklawy. Dla utrzymania swej odrębności Niemcy dążyli do wykupienia gospodarstw polskich, jeśli znajdowały się na

¹² W. Sikora, *Monografia osiedli niemieckich* (przygotował do druku i przypisami opatrzył T. Kordala), „Nasze Korzenie”, nr 1, 2011, s. 38–39.

¹³ J. Szałygin, *Osadnictwo holenderskie na terenie obecnego województwa płockiego*, „Mazowsze” 1995, nr 6, s. 36.

¹⁴ W. Sikora, *Monografia osiedli niemieckich*, s. 38–39.

¹⁵ H. Wiercieński, *Niemcy w Królestwie Polskim*, „Biblioteka Warszawska”, t. 3, 1908, z. 2, s. 217 pisał: „Pomimo separatyzmu sąsiedzi ich utrzymują, że są oni pracowici, spokojni, do zatargów sąsiedzkich bynajmniej nie pochoptni [...] z ludnością miejscową utrzymują stosunki zgodne, chociaż odnoszą się do niej z pewną nieufnością i złośliwym niekiedy krytycyzmem”.

terenie wsi zamieszkaney przez kolonistów. Tak np. w Troszynie Niemieckim, gdzie mieszkał jeden tylko gospodarz narodowości polskiej, posiadający 16 mórg ziemi, tamtejsi Niemcy chcieli *usunąć go ze wsi, zaofiarowawszy za grunt bez zabudowań 9 tys. rubli. Chłop odpowiedział im, że swej ojcowizny Niemcom nie odstąpi*¹⁶.

Wielką traumę niemieccy koloniści z terenu Królestwa Polskiego, w tym także z powiatu gostynińskiego, przeżyli z chwilą wybuchu I wojny światowej. W styczniu 1915 r. władze carskie przystąpiły do wysiedlania niemieckich kolonistów w głąb Rosji, traktując ich jako „żywiol niepewny” Szczególnie zwracano uwagę, aby ich usunąć z okolic obiektów strategicznych, m.in. z miejscowości położonych niedaleko twierdzy Modlin, a do takich należały przede wszystkim wsie menonickie mazowieckiego Powiśla¹⁷. Władze carskie deportowały niemieckich kolonistów w sposób wyjątkowo brutalny: *Rozkazano im opuścić wsie w ciągu jednego dnia, pomagając nahajami*¹⁸. W jednej z kronik parafii ewangelickiej czytamy: *Drogami, które prowadzą do stacji kolejowej podążały całe szeregi wozów, pełne kobiet, dzieci, starców i chorych, lichy, nędznie nawet odzianych, często mających za jedyną osłonę od zimna słomę, którą wozy były wysłane. To też zaczęli znaczyć swój pochód licznymi grobami...*¹⁹.

Niemieccy koloniści, którzy przetrwali trudy deportacji, zaczęli powracać z Rosji na Mazowsze dopiero po wybuchu rewolucji październikowej, a najczęściej wiosną 1918 roku, po zakończeniu działań wojennych na froncie wschodnim. Zazwyczaj zastawali na swoich gospodarstwach chłopów polskich, którzy je dzierżawili, zagarnawszy pozostawione mienie. Z pomocą powracającym kolonistom przychodziły niemieckie władze okupacyjne, dostarczając im zboże na chleb, nasiona, konie, krowy, wcześniej rekwirowane od mieszkańców polskiej wsi. Często też dochodziło do procesów sądowych między niemieckimi reemigrantami z Rosji a polskimi chłopami²⁰.

¹⁶ M. Chudzyński, *Wieś południowo-zachodniego Mazowsza 1864–1907*, Warszawa 1983, s. 168.

¹⁷ J.E. Szczepański, *Działania wojenne na Mazowszu w czasie I wojny światowej*, [w:] *Dzieje Mazowsza*, t. 3. Lata 1795–1918, red. J. Szczepański, Pułtusk 2012, s. 703.

¹⁸ J. Hensel, *Evakuacja kolonistów niemieckiego pochodzenia z Królestwa Polskiego „w głąb Rosji” w latach 1914–1915*, w: *Polska między Niemcami a Rosją*, red. W. Borodziej, P. Wieczorkiewicz, Warszawa 1997, s. 42–58; J. Szczepański, *Spółeczeństwo Mazowsza wobec wydarzeń I wojny światowej* [w:] *Dzieje Mazowsza*, t. III. Lata 1795–1918, red. J. Szczepański, Pułtusk 2012, s. 764;

¹⁹ Cyt. za J. Szczepański, *Deportacja niemieckich kolonistów z Królestwa Polskiego w 1915 r. (przykład Lubelszczyzny, Mazowsza i ziemi radomskiej)*, [w] *Ludzie – władza – narody – religie. Lubelszczyzna – Polska – Europa*, red. Agnieszka Kidzińska-Król, Lublin 2015, s. 179.

²⁰ M. Przeniosło, *Chłopi Królestwa Polskiego w latach 1914–1918*, Kielce 2003, s. 304–305. Niemieccy koloniści deportowani w głąb Rosji często zdążyli jeszcze sprzedać narzędzia gospodarcze za pół darmo polskim sąsiadom. Władze zmuszały więc polskich chłopów do zwrotu narzędzi w cenie kupna.

Powyższe zatargi, a także traumatyczne przeżycia niemieckich kolonistów związane z deportacją w okresie I wojny światowej przyniosły efekt w postaci jeszcze większej izolacji wobec swych polskich „sąsiadów”. Uniezwolniały zapoczątkowany zaledwie proces ich asymilacji.

Z chwilą odzyskania niepodległości przez państwo polskie na terenie powiatu gostynińskiego zamieszkiwało 6 tysięcy niemieckich kolonistów (7% ogółu mieszkańców), w tym około 400 menonitów. Powiat ten stanowił wówczas największe skupisko ludności niemieckiej w województwie warszawskim. Podczas I Spisu Powszechnego Ludności przeprowadzonego we wrześniu 1921 r., w powiecie gostynińskim najwięcej osób narodowości niemieckiej odnotowano w gminach nadwiślańskich: Czermino, Dobrzyków, Duninów. W gminie Czermino protestanci tworzyli społeczność liczniejszą od ludności wyznania rzymsko-katolickiego; było ich 48%, zaś katolików – 45%. Najwięcej ludności wyznania protestanckiego zamieszkiwało w wioskach: Wiączemin Polski (255 osób), Świniary (241), Nowosiadło (231), Sady (216), Wiączemin Niemiecki (175) oraz Wymyśle Niemieckie (70 menonitów)²¹.

Podczas wyborów do Sejmu Ustawodawczego w 1919 r. na terenie gminy Czermino zwyciężyło Niemieckie Stronnictwo Ludowe, na które głosowało aż 47,6% wyborców²². Tłumnie zgłaszający się do urn wyborczych niemieccy koloniści zdecydowali o zwycięstwie ich listy w gminie Czermino także podczas wyborów parlamentarnych 1922 r. Na listę Bloku Mniejszości Narodowych w gminie Czermino głosowało 727 osób (56,5%)²³. Podobnie było podczas wyborów sejmowych w 1928 r.²⁴

W następnych latach niemieccy koloniści z terenu powiatu gostynińskiego wsparli obóz sanacji Marszałka Józefa Piłsudskiego. Dzięki temu w kolejnych wyborach lista Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem na terenie gminy Czermino uzyskiwała najwięcej głosów²⁵.

Warto nadmienić, iż radni narodowości niemieckiej zdominowali Radę Gminy w Czerminie. Niepokoiło to władze polskie. W jednym ze sprawozdań Urzędu Wojewódzkiego Warszawskiego czytamy: *Żywiół niemiecki na terenie pow. gostynińskiego w czasie ostatnich wyborów do ciał samorządowych wykazał znaczne postępy organizacyjne, zdobywając szereg man-*

²¹ *Skorowidz miejscowości RP*, t. I: M.st. Warszawa, województwo warszawskie (Tablica wojewódzka), Warszawa 1925, s. 26–34.

²² *Statystyka wyborów do Sejmu Ustawodawczego*, red. L. Krzywicki, Warszawa 1921, s. 12–14. Podczas wyborów sejmowych 1919 r. Niemieckie Stronnictwo Ludowe uplasowało się na 3 miejscu w większości gmin wiejskich powiatu gostynińskiego.

²³ *Statystyka wyborów do Sejmu i Senatu odbytych w dniu 5 i 12 listopada 1922 roku*, Warszawa 1926, s. 25.

²⁴ T. i K. Rzepeccy, *Sejm i Senat Rzeczypospolitej Polskiej 1928–1933*, Poznań 1938, s. 14.

²⁵ J. Szczepański, *Dzieje Gąbina i okolic*, s. 428.

*datów w Radach Gminnych (np. w gminie Cermno Niemcy posiadają 8 radnych)*²⁶.

Większość mieszkańców mazowieckiego Powiśla narodowości niemieckiej należała do utworzonego w 1924 r. Niemieckiego Związku Ludowego w Polsce – Deutsche Volkswerband in Polen (DVV). Była to organizacja nacjonalistyczna, dążąca do utrzymania niemczyzny na ziemiach polskich, przeciwstawiająca się procesowi asymilacji, przy zachowaniu form umiarkowanych.

Na wieść o sukcesach III Rzeszy w II połowie lat trzydziestych XX w. w polityce zagranicznej dochodzi do spotęgowania antypolskich nastrojów wśród niemieckich kolonistów zamieszkujących mazowieckie Powiśle. Uaktywniły swą działalność koła DVV, powstają też struktury Jung Deutsche Partei (JDP) – Partii Młodych Niemców. Organizacje te prowadziły działalność oświatową ukierunkowaną na zgłębianie historii i literatury niemieckiej. Przeciwdziałały się wprowadzeniu języka polskiego do szkół, do których uczęszczali dzieci niemieckich kolonistów. Antypolski i prohitlerowski charakter miały organizowane w 1938 r. w Borkach, Troszynie Niemieckim, Wymyśle Niemieckim i Gąbinie zebrania członków obu organizacji, na których delegaci niemieckiej centrali *nawoływali, by Niemcy witali się podniesieniem ręki w górę i pozdrowieniem Heil [...] oraz w każdym niemieckim domu winien znajdować się portret wodza narodu niemieckiego i znak swastyki*²⁷. Koloniści z mazowieckiego Powiśla masowo uczestniczyli też w zjeździe członków Niemieckiego Związku Ludowego w dniu 12 czerwca 1938 r. na Kępie Wyszogrodzkiej²⁸.

Z chwilą wybuchu II wojny światowej doszło do represji władz polskich wobec niemieckich kolonistów licznie zamieszkujących mazowieckie Powiśle. Traktowano ich jako członków niemieckiej V kolumny, specjalizujących się w szpiegostwie i dywersji na rzecz III Rzeszy. Większość niemieckich kolonistów w wieku 17–65 lat z terenu ziemi gostyńskiejskiej profilaktycznie aresztowano i wywieziono do Warszawy, a następnie do twierdzy brzeskiej lub do Berezki Kartuskiej, gdzie byli poddani licznym szykanom. Ich pozostawione gospodarstwa stały się obiektem grabieży ze strony polskich chłopów, a konie wcześniej zostały zarekwirowane przez Wojsko Polskie²⁹. Przed dalszą eskalacją działań wymierzonych przeciwko niemieckim kolonistom z okolic Gąbina, ze strony sąsiadów – Polaków, rozgorączkowanych i zde-

²⁶ Archiwum Państwowe w Warszawie (APW), Urząd Wojewódzki Warszawski (UWW), sygn. 18, k. 110.

²⁷ Ibidem, sygn. 111, k. 53; APW, Komenda Wojewódzka Policji Państwowej w Warszawie, Urząd Śledczy w Warszawie, sygn. 2, k. 11.

²⁸ J. Szczepański, *Dzieje Gąbina i okolic*, s. 438.

²⁹ Ibidem, s. 443; P. Stratenwerth, *Mieliśmy tu raj [w:] Dwa brzegi. Trochę jak sąsiedzi*, red. Z. Leszczyński, Bodzanów 2011, s. 24–25.

nerwowanych wieściami z frontu, powstrzymywał proboszcz parafii Czer-mno, ks.dr Wincenty Helenowski³⁰.

Największe represje dotknęły jednak działacze organizacji politycznych mniejszości niemieckich. W nocy z 7 na 8 września 1939 r. w lesie pod Gąbinem wyrokiem sądu polowego został rozstrzelany przez gąbińskich policjan-tów pastor kościoła ewangelicko-augsburskiego w Gąbinie – Bruno Gutknecht . Był on przywódcą lokalnej komórki Deutscher Volksverband. Podejrzewano go o organizowanie na ziemi gostynińskiej niemieckiej V kolumny³¹.

Obszar mazowieckiego Powiśla stał się wkrótce terenem zaciętych walk bitwy nad Bzurą. Podczas bitwy wojsko polskie i ludność cywilna ponosiła ogromne straty, m.in. z powodu częstych ataków Luftwaffe. W tej atmosfere, wzmaganej poczuciem bezradności i paniki, dochodziło do coraz częst-szych aktów przemocy skierowanych przeciwko niemieckim kolonistom.

Szczególnie dramatycznie potoczyły się losy menonitów ze wsi Sady i Ka-zuń, położonych stosunkowo blisko twierdzy Modlin. W dniu 7 września 1939 roku, po zbombardowaniu fortyfikacji twierdzy, starszy gminy meno-nitów Rudolf Bartel został publicznie rozstrzelany przez polskich żołnierzy. W świetle pamiętników ludności niemieckiej oskarżono go niesłusznie o na-prowadzanie niemieckich samolotów na polskie cele wojskowe. W połowie września 1939 r. w Kazuniu i Sadach zostało zabitych kolejnych 17 człon-ków menonickiej wspólnoty³².

W dniu 17 września 1939 r. oddziały niemieckie wkroczyły na mazowieckie Powiśle, zajmując wcześniej całą ziemię gostynińską, m.in. Gostynin i Gąbin. Koloniści niemieccy traktowali wkroczenie wojsk hitlerowskich jak wyzwolenie. Edna Schroeder wspominała: *Nie mogłam uwierzyć, że wojna się skończyła. Wkroczyli żołnierze niemieccy. To było cudowne. Przynieśli czekoladę, herbat-niki i postavili w naszym ogrodzie kuchnię polową. Stacjonowali u nas tydzień albo dwa. Odpoczywali. Walki na naszym terenie się zakończyły*³³.

Dla Polaków oznaczało to początek okupacji niemieckiej, charakteryzu-jącej się eksterminacją narodu polskiego. Zaraz po wkroczeniu do Gąbina 19 września, rozstrzelano 6 kolejarzy i jednego policjanta powracających do swoich domów na Pomorzu. Następnie represje dotknęły osoby, któ-re uczestniczyły w szykanach i aresztowaniu kolonistów niemieckich we wrześniu 1939 r. Już pod koniec tego miesiąca skazano na śmierć kilkanaście

³⁰ J. Szczepański, *Dzieje Gąbina i okolic*, s. 443.

³¹ Ibidem; E. Kneifel, *Die Pastoren der Evangelisch-Augsburgischen Kirche in Po-len*, [Eging 1968], s. 99.

³² W. Marchlewski, *Olędrzy podczas II wojny światowej i ich powojenna sytuacja – zagadnienia społeczne, polityczne i gospodarcze. Mennonici na Mazowszu 1939–1948*, k. 4, [w:] [http:// holland.org.pl](http://holland.org.pl).

³³ Cyt. za W. Marchlewski, *Olędrzy podczas II wojny światowej i ich powojenna sytuacja – zagadnienia społeczne, polityczne i gospodarcze*, k. 4.

osób oskarżonych o działanie na szkodę III Rzeszy. W czerwcu 1941 roku aresztowano 86 Polaków z Gąbina i okolic. Dziesięciu z nich 15 czerwca rozstrzelano pod murem gąbińskiego kościoła katolickiego, pozostałych wywieziono do więzienia w Inowrocławiu ³⁴.

Ziemia gostynińska znalazła się w granicach nowo utworzonego Kraju Warty, który został wcielony do III Rzeszy. Jego Namiestnik – Gauleiter Artur Greiser, chcąc zmienić strukturę narodowościową Kraju Warty, rozpoczął akcję wysiedlania ludności polskiej i sprowadzania na jego teren Niemców ze Wschodu – Besarabii, Wołynia, Ukrainy, Rumunii.

Zgodnie z polityką hitlerowskich władz okupacyjnych, w latach 1939–1941 z terenu powiatu gostynińskiego wysiedlono około 8 tys. obywateli polskich, zajmujących się uprawą roli³⁵. Ich gospodarstwa, realizując tajne zapisy paktu Ribbentrop – Mołotow, przekazywano m.in. kolonistom przybywającym z Wołynia lub Besarabii. Wysiedlenia z terenów mazowieckiego Powiśla dokonywał utworzony w tym celu okupacyjny aparat urzędniczy. Polskie rodziny wywożono do Generalnego Gubernatorstwa, głównie na ziemię Lubelszczyzny. Wolno im było zabrać ze sobą jedynie bagaż ręczny. Opuszczone gospodarstwa po Polakach wysiedlonych lub wywiezionych na przymusowe roboty do III Rzeszy przekazywano kolonistom niemieckim. Zdarzało się też, że Polaków przydzielano do pracy w gospodarstwach niemieckim kolonistów. Chcąc w ramach dawnych dobrych więzi sąsiedzkich zatrudnić w swoich gospodarstwach sąsiadów – Polaków, musieli oni wówczas wystąpić do władz hitlerowskich o przydział do pracy takiej osoby ³⁶.

Już pod koniec 1939 r. władze hitlerowskie przeprowadziły spis wszystkich Niemców mieszkających na terenie powiatu gostynińskiego. Wiosną 1940 r. rozpoczęto wpisywanie etnicznych Niemców na volkslistę. Dla niemieckich kolonistów wpisanie na volkslistę było czymś naturalnym – posługiwali się oni w domu językiem niemieckim, chodzili do kościoła ewangelickiego lub zboru menonickiego, gdzie językiem liturgicznym był również język niemiecki. W Gąbinie i Gostyninie mieszkali jednak etniczni Niemcy – przedstawiciele miejscowej inteligencji, częściowo spolonizowani. Nie chcąc deklарować swojej przynależności do III Rzeszy, wzbraniali się przed wpisaniem na volkslistę. Wielu Niemców ziemi gostynińskiej, którzy nie kwapili się by podpisać volkslistę, spotkały za to represje, łącznie z więzieniem i zsyłką do obozów koncentracyjnych.³⁷ W obawie przed dalszymi szukaniami, ogół ludności niemieckiej zamieszkującej ziemię gostynińską

³⁴ J. Szczepański, *Dzieje Gąbina i okolic*, s. 450–456.

³⁵ J. Matuszewski, *Okres II wojny i okupacji hitlerowskiej (1939–1945)*, [w:] *Dzieje Gostynina i ziemi gostynińskiej*, red. M. Chudzyński, Warszawa 1990, s. 543.

³⁶ W. Marchlewski, *Olędrzy podczas II wojny światowej i ich powojenna sytuacja – zagadnienia społeczne, polityczne i gospodarcze*, k. 4; Relacja Józefy Rzepeckiej z domu Król,

³⁷ J. Matuszewski, *Okres II wojny światowej...*, s. 551–553.

został jednak zmuszony do wpisania się na volkslistę. Należy podkreślić, iż ogół polskiego społeczeństwa potępiał volksdeutsche, co było szczególnie widoczne w Generalnym Gubernatorstwie³⁸.

Decyzją władz hitlerowskich miejscowi Niemcy sprawowali funkcje w administracji ziemi gostynińskiej. Wielu z nich już przed wojną należało do NSDAP i pełniło w nich kierownicze funkcje. Jesienią 1939 r. na stanowisko burmistrza Gąbina został powołany menonita Erich Ratzlaff. W zarządzie miasta Gąbina byli również etniczni Niemcy – ewangelicy; garbarz Ferdinand Schneider oraz młynarz Rhode³⁹.

Oprócz licznych przywilejów, osoby wpisane na volkslistę miały też obowiązki. Podstawowym z nich była służba wojskowa. W pierwszym okresie okupacji do Wehrmachtu powoływano mężczyzn w wieku od 18 do 25 lat. Najwięcej Niemców z terenów mazowieckiego Powiśla powołanych zostało do wojska w latach 1941–1942. Walczyli oni przede wszystkim na froncie wschodnim. Po klęsce pod Stalingradem, do armii niemieckiej wcielano również mężczyzn starszych.

Kolejnym obowiązkiem volksdeutsche było uczestniczenie w zajęciach różnego rodzaju organizacji. Młodzież wcielano obowiązkowo do Hitlerjugend lub Bund Deutscher Madel (BDM). Głównym zadaniem tych organizacji było fizyczne i duchowe wychowanie dzieci i młodzieży w duchu narodowosocjalistycznym. W ramach działalności organizacji BDM niemieckie dziewczęta pełniły funkcję pielęgniarek w szpitalach polowych oraz służyły w różnorodnych służbach pomocniczych⁴⁰. Jednocześnie nakazywano, aby członkinie BDM nosiły mundury także wówczas, kiedy wrócą do swoich miejsc zamieszkania. Część młodych Niemek dumnie nosiła te mundury, o czym zresztą wspominali polscy mieszkańcy Wymysła, którzy w czasie okupacji mieszkali we wsi.⁴¹ Inne, kiedy wracały do domu, nigdy nie pokazywały się w mundurach. Edna Schroeder wspominała: *Nie chciałam pokazywać, że jestem inna niż moi sąsiedzi koledzy Polacy i zawsze mundur trzymałam w szafie*. Jej matka upominała: *bądź dobra dla Polaków, nie rób sobie z nich wrogów*⁴².

W okresie II wojny światowej postawy etnicznych Niemców, zamieszkujących mazowieckie Powiśle, były wobec Polaków bardzo różne. Edna Schroeder wspomina, jak trudno było jej i jej rodzicom zaakceptować prawa narzucone przez hitlerowskie władze okupacyjne. Nie mogli np. pogodzić

³⁸ Szeroko na ten temat L. Olejnik, *Zdrajcy narodu? Losy volksdeutsche w Polsce po II wojnie światowej*, Warszawa 2006, s. 51–67.

³⁹ J. Szczepański, *Dzieje Gąbina i okolic*, s. 452.

⁴⁰ W. Marchlewski, *Olędrzy podczas II wojny światowej i ich powojenna sytuacja – zagadnienia społeczne, polityczne i gospodarcze*, k. 4–5.

⁴¹ Ibidem; Relacja Józefy Rzepeckiej z domu Król.

⁴² Cyt. za W. Marchlewski, *Olędrzy podczas II wojny światowej i ich powojenna sytuacja – zagadnienia społeczne, polityczne i gospodarcze*, k. 5.

się z prawem dotyczącym postępowania z polskimi robotnikami. Nie wolno im było np. jeść, jak to było w zwyczaju, przy jednym stole z gospodarzami. Rodzice Edny nie przestrzegali tego nakazu i wraz z Zosią – służącą i z dwoma polskimi robotnikami zasiadali wspólnie do posiłku⁴³.

Wiosną 1940 r. w Gostyninie miejscowi volksdeutsche wystąpili do hitlerowskich władz z petycją o zwolnienie niesłusznie – ich zdaniem – uwięzionych członków rodziny Majewskich. Przyniosło to spodziewany skutek⁴⁴.

Dzięki wstawiennictwu burmistrza Gąbina – Ericha Ratzlaffa, zezwolono proboszczowi parafii Czermno – Wincentemu Helenowskiemu, jako jednemu księdzu katolickiemu w powiecie gostynińskim, na sprawowanie posług duszpasterskich. Warto przypomnieć, iż ks. Wincenty Helenowski starał się powstrzymywać wiernych ze swojej parafii przed szykanami wobec niemieckich kolonistów w pierwszych dniach września 1939 r.⁴⁵

Niektórzy z volksdeutsche z obszaru ziemi gostynińskiej, nie tylko potajemnie pomagali Polakom, ale nawet odważyli się wspierać działalność polskiego ruchu oporu. Jednym z nich był mieszkaniec Wymysła Niemieckiego – Rainhold Wegert, który w czasie hitlerowskiej okupacji był kierownikiem młyna w Sannikach. Współpracował on z ks. Wincentym Helenowskim, pomagając mu w organizowaniu paczek żywnościowych, które były wysyłane więźniom obozów koncentracyjnych. Rainhold Wegert, mając kontakty z przedstawicielami miejscowych władz niemieckich i gestapo, często przyjeżdżających po mękę do Sannik, za pośrednictwem proboszcza parafii Czermno, ostrzegł wielu mieszkańców powiatu gostynińskiego przed aresztowaniami. Z narażeniem życia przeprowadzał też wielu Polaków przez przebiegającą w pobliżu Sannik granicę Kraju Warty z Generalnym Gubernatorstwem Z katolickim proboszczem parafii Czermno współpracowali również inni mieszkańcy Wymysła: młynarz Erich Ratzlaff i nauczyciel szkoły ewangelickiej Kuhn⁴⁶.

Hitlerowskie władze okupacyjne nie w pełni ufały miejscowym Niemcom, sprawującym urzędy w Gąbinie i okolicach. Miały zastrzeżenia podejrzewając, że zbyt łagodnie traktują ludność polską. Pod koniec 1941 r. odwołano ze stanowiska gąbińskiego burmistrza, menonitę Ericha Ratzlaffa, który wkrótce został skierowany za karę na front wschodni. Wkrótce burmistrzem Gąbina został, przybyły z Rzeszy Richard Hacke. Na front wschodni skierowano także innego menonitę z Wymysła Niemieckiego – Alberta Fotha, kierującego od jesieni 1939 r. gąbińską organizacją NSDAP. Jego miejsce zajął również Richard Hacke, znany z gorliwego wykonywania wszelkich zarządzeń władz hitlerowskich⁴⁷.

⁴³ Ibidem.

⁴⁴ J. Matuszewski, *Okres II wojny światowej*, s. 551–553.

⁴⁵ J. Szczepański, *Dzieje Gąbina i okolic*, s. 453.

⁴⁶ Ibidem, s. 478. Oświadczenie o zasługach R. Wegerta podpisane przez powojenne władze Gąbina, mieszkańców Łazisk, Sannik i Słubic

⁴⁷ J. Szczepański, *Dzieje Gąbina i okolic*, s. 452.

Obszar ziemi gostynińskiej był pod hitlerowską okupacją do połowy stycznia 1945 roku, a miejscowe władze hitlerowskie były przygotowane do ewakuacji już w grudniu 1944 roku. Przygotowano sieć stacji etapowych, w których Niemcy mieli się schronić w czasie ucieczki na Zachód. Znamienne, iż początkowo nie troszczono się o los niemieckiej ludności cywilnej, której nawet zalecano, aby nie opuszczali swoich gospodarstw nad Wisłą⁴⁸. Pod wpływem wiadomości z frontu ewakuacja rozpoczęła się na początku stycznia 1945 r. W pierwszej kolejności ewakuowano matki z małymi dziećmi, w następnej pozostała ludność niemiecką. W tym czasie we wsiach nadwiślańskich przebywali jedynie inwalidzi, kobiety, starcy i dzieci. Mężczyźni wcieleni byli do stacjonujących w pobliżu niemieckich jednostek wojskowych. Wyjeżdżający zabierali ze sobą to, co mieli najcenniejszego. Resztę dobytku pozostawiali w domach pod opieką pracujących u nich parobków. Uciekinierzy ewakuowali się drogami, po których przemieszczały się wycofywane kolumny armii niemieckiej. Często atakowani byli przez nacierające oddziały rosyjskie, w tym przez lotnictwo. Przypominało to ucieczkę ludności polskiej podczas kampanii wrześniowej 1939 r.

Niektórym uciekinierom nie udało się dotrzeć do punktów etapowych. Część mieszkańców Wymysła Niemieckiego – menonitów została zatrzymana przez oddziały Armii Czerwonej. Rosjanie ograbili ich ze wszystkiego co posiadali, ale pozwolili pieszo wrócić do swoich domów. Po 70 km marszu, w mrozie przekraczającym -30 stopni, w śnieżycy, menonici powrócili do rodzinnej wsi – Wymysła Niemieckiego. Nie powiodła się też ucieczka ludności niemieckiej z północnej części powiatu gostynińskiego. Pociąg pełen uciekinierów z Gostynina i okolic został ostrzelany przez rosyjskie czołgi⁴⁹.

W lutym 1945 r. wsie nadwiślańskie ziemi gostynińskiej były wyludnione. Po ewakuacji niemieckich kolonistów w wioskach tych pozostali tylko starzy i zniedołężniałi oraz ci, którzy nie zdołali wyjechać. Wśród nich trafiały się osoby nieobawiające się represji, ze względu na dobre relacje z Polakami podczas hitlerowskiej okupacji. Domy opuszczone przez kolonistów zaczęli zajmować Polacy – rolnicy wysiedleni ze swoich gospodarstw w ramach akcji wysiedleńczych prowadzonych przez hitlerowskie władze okupacyjne.

Nowe władze polskie, wspierane przez sowieckich komendantów wojennych, przystąpiły do aresztowań przedstawicieli dotychczasowego aparatu hitlerowskiej administracji. Wśród nich byli też sołtysi z wiosek, zamieszkałych przez niemieckich kolonistów. Dla Polaków mieszkających w pobliskich wsiach, symbolizowali oni hitlerowski system władzy. Jednym z nich

⁴⁸ W. Stankowski, *Obozy i inne miejsca odosobnienia niemieckiej ludności cywilnej w Polsce w latach 1945–1950*, Bydgoszcz 2002.

⁴⁹ P.A. Stasiak, *Nowa rzeczywistość lat 1945–1948 w powiatach: kutnowskim, gostynińskim i łowickim*, Kutno 2014, s. 39.

był ojciec Edny Schroeder, który według relacji świadków prawdopodobnie został zamordowany lub wywieziony w głąb ZSRR⁵⁰.

Plagą dla ludności niemieckiej z terenów nadwiślańskich ziemi gostynińskiej, której nie udało się ewakuować, byli najpierw sowieccy, a niekiedy i polscy żołnierze. Zabierali oni konie, bydło, świnie, drób, ale także rekwirowali sprzęt domowy. Po nich zjawili się szabrownicy, rekrutujący się z wiejskiej biedoty i małorolnych chłopów. 18-letnia wówczas Edna Schroeder wspominała: *Straciliśmy wszystko. Mama tłumaczyła nam – nie przejmujcie się. Mama w czasie I wojny światowej straciła wszystko co miała, ale przeżyła. Mama mówiła nam: zachowajcie spokój, bądźcie cicho, dajcie im zabrać, co tylko chcą. Do momentu dopóki nie będą nas krzywdzić, wszystko będzie w porządku*⁵¹.

Problem dalszych losów ludności niemieckiej był jednym z wyzwań, przed jakimi stanęły kształtujące się władze komunistyczne na terenie powiatu gostynińskiego. Zgodnie z dekretem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, tzw. rządu lubelskiego, zarządzono przymusowe internowanie wszystkich, którzy podpisali niemiecką listę narodowościową. Każdy obywatel polski, który zadeklarował swoją przynależność do narodowości niemieckiej, bądź korzystał z praw i przywilejów z tytułu tej przynależności, podlegał zatrzymaniu, umieszczeniu na czas nieokreślony w miejscu odosobnienia (obozie) i poddaniu przymusowej pracy⁵².

Po zakończeniu działań wojennych wszystkich Niemców skoszarowano. W powiecie gostynińskim taki obóz powstał w Gostyninie. Własne obozy, w których przebywali Niemcy i volksdeutsche, zakładało także NKWD. Taki obóz powstał prawdopodobnie w Studzieńcu. Deportowano z nich do ZSRR niemal wszystkich obywateli niemieckich, określanych jako „czarnomorcy”. W lutym 1945 r. radzieccy komendanci wojenni zarządzili mobilizację ludności niemieckiej w wieku 17–50 lat włącznie, w celu odbudowy zniszczonych linii kolejowych, mostów, urządzeń stacyjnych, dróg bitych, budynków. Wykonaniem zarządzenia polecono zająć się Urzędowi Bezpieczeństwa, a te zleciły bezpośrednią realizację zadania komendantom powiatowym MO⁵³.

Podczas prac przymusowych, w ramach odwetu za represje z czasów okupacji hitlerowskiej, volksdeutsche starano się przede wszystkim upokorzyć. Więźniowie obozu w Leoncinie, porządkujący plac po stacjonujących wojskach niemieckich, mieli za zadanie gołymi rękoma załadować na wozy koński nawóz i nieczystości, a następnie wywieźć je poza teren wsi.

⁵⁰ W. Marchlewski, *Olędrzy podczas II wojny światowej i ich powojenna sytuacja – zagadnienia społeczne, polityczne i gospodarcze*, k. 8.

⁵¹ Cyt. za W. Marchlewski, *Olędrzy podczas II wojny światowej i ich powojenna sytuacja – zagadnienia społeczne, polityczne i gospodarcze*, k.9.

⁵² L. Olejnik, *Zdrójcy narodu?*, op. cit., s.69–86.

⁵³ P. A. Stasiak, *Nowa rzeczywistość lat 1945–1948*, op. cit., s.42

Musieli też gołymi rękoma zasypywać okopy i inne umocnienia na terenie Leoncina i przylegających do nich obszarów⁵⁴. W kwietniu 1945 r. ludność niemiecka była zmuszona do prac podczas ekshumacji zwłok, zamordowanych przez hitlerowskiego okupanta mieszkańców Gębina i okolic⁵⁵.

Nienawiść ludności polskiej do Niemców skupiła się m.in. na menonitach, którzy pozostali na mazowieckim Powiślu. Oto jedna z relacji: „Wiele kobiet i dzieci wpędzono do głębokiej wody. Musiały zanurzać się, a następnie śpiewać pieśń *Deutschland, Deutschland – über alles* i inne pieśni hitlerowskie; musiały także po każdym wynurzeniu się wołać *Heil Hitler*. W końcu zmuszono je także, by śpiewały polski hymn narodowy *Jeszcze Polska nie zginęła*. Dopiero wówczas puszczono ich wolno. Hańbą i poniżeniem było to dla naszych ludzi, którzy starali się trzymać od polityki tak daleko, jak to tylko [było] możliwe”⁵⁶.

Wiosną 1945 r. wszyscy Niemcy z obozów zostali zabrani przez sołtysów do robót na wsiach i w folwarkach. Pracowali w majątkach ziemskich, przejętych przez państwo polskie, przeznaczonych na cele reformy rolnej, w tym często w swoich dawnych gospodarstwach. Ponadto przydzielano niemieckich robotników do pomocy obejmującym gospodarstwa repatriantom, a także miejscowym rolnikom⁵⁷.

W sytuacji braku rąk do pracy, wykorzystywanie ludności niemieckiej w pracach polowych miało ogromne znaczenie ekonomiczne. Uczestniczyła ona w odbudowie zrujnowanych gospodarstw i zagospodarowaniu pól zniszczonych zarówno przez wycofujące się wojska niemieckie, jak i przemieszczające się oddziały Armii Czerwonej. Ludność niemiecka brała także udział przy odgruzowywaniu zniszczonej Warszawy. Jak pisał Piotr Stasiak *Niemców do pracy mogły otrzymać również osoby prywatne, pod warunkiem wzięcia na siebie odpowiedzialności za powrót do miejsca skoszarowania oraz przestrzegania zakazu siadania do stołu z przydzielonym do pracy Niemcami*⁵⁸.

Ludność niemiecka zatrudniana była także w miastach powiatu gostyńskiego, Gębinie lub Gostyninie, często w urzędach państwowych, w siedzibach Urzędów Bezpieczeństwa, posterunkach Milicji Obywatelskiej, a nawet w prywatnych domach burmistrzów oraz funkcjonariuszy UB i MO⁵⁹.

Władze lokalne dla zwiększenia kontroli nad volksdeutscheami i aby zapobiec ich ucieczkom, podejmowały decyzję o „oznaczeniu” Niemców.

⁵⁴ W. Marchlewski, *Olędrzy podczas II wojny światowej i ich powojenna sytuacja – zagadnienia społeczne, polityczne i gospodarcze*, k. 10.

⁵⁵ J. Szczepański, *Dzieje Gębina i okolic*, s. 499.

⁵⁶ Cyt. za P. Fijałkowski, *Menonici na Mazowszu*, s. 251.

⁵⁷ P. Stratenwerth, *Mieliśmy tu raj*, s. 26.

⁵⁸ P.A. Stasiak, s. 41–42.

⁵⁹ *Niemcy w Polsce 19145–1950. Wybór dokumentów*, red. W. Borodziej i H. Lemberg, tom II, Polska centralna. Województwo śląskie, wybór i opracowanie dokumentów I. Eser i J. Kochanowski, Warszawa 2000, s. 258.

Władze Starostwa Powiatowego w Gostyninie zdecydowały, aby wszyscy Niemcy od 5 lat bez różnicy płci winni nosić znak na piersiach po lewej stronie z literą „N”⁶⁰.

Zdaniem władz polskich Niemcy – koloniści próbowali uniknąć „odpowiedzialności” za wpisanie na volkslistę. Jedna z mieszanek Kępiny koło Gąbina, Anna Bartel w oświadczeniu napisała: *Do winy przyznaję się. Przyjęłam obywatelstwo niemieckie, gdyż bałam się więzienia. Mąż był Niemcem i ewangelikiem. Za okupacji przesiedlono nas na wieś Troszyn, gdzie dostaliśmy osadę po Polaku, wielkości około 30 morgów, większą niż mieliśmy. Wyszliśmy z Okolusza, bo mieli tamten teren zalesić. Polaków z Okolusza nie wysiedlali. Do żadnej organizacji nie należałam. Mój ojciec nie umiał po niemiecku. Wszelkie prawa z przyjęciem obywatelstwa niemieckiego załatwił mój mąż. Nosił on Hakenkreutz od początku okupacji. Był w wojsku i chodził w żółtym mundurze. Z mężem żyłam z tego powodu źle [...] Męża i dwóch synów zabrali Rosjanie i o nich nic nie wiem*⁶¹.

Spośród 215 volksdeutsche'ów z terenu powiatu gostynińskiego, którzy w 1946 r. złożyli podanie o rehabilitację, całkowicie zrehabilitowano jedynie 6 osób (wśród nich nie było wspomnianej wyżej Anny Bartel – J.S.), zaś częściowo – także 6 osób⁶².

Byli volksdeutsche, nie widząc szans na rehabilitację, uciekali do Niemiec przez „zieloną granicę”. W 1946 r. ucieczki te były powszechnym zjawiskiem. Najczęściej próby podejmowali ci, którzy pracowali na polach u rolników. Starosta powiatu gostynińskiego pisał *wg doniesień z terenu powiatu mego wynika, że kilku Niemców zdołało zbiec poza granice Rzeczypospolitej Polski bez żadnych dowodów i zaświadczeń wydanych przez starostów na wyjazd*⁶³.

Większość tych ucieczek kończyła się tragicznie. W styczniu 1946 r. podczas podróży pociągiem z wybitymi szybami, na trasie z Kutna do Szczecina zmarło z chłodu wielu członków menonickiej rodziny Petera Stratenwertha⁶⁴.

Warto podkreślić, iż niektórzy volksdeutsche sami się oskarżali, licząc na szybkie pozbawienie obywatelstwa polskiego i deportację do Niemiec. W oświadczeniu Jana Tobera z Troszyna czytamy: [...] *Jestem narodowości*

⁶⁰ Pismo Powiatowego Urzędu Pracy dla Niemców w Gostyninie do Zarządów Gmin powiatu gostynińskiego w sprawie oznaczania Niemców z 23 kwietnia 1945 r., [w:] Niemcy w Polsce 19145–1950. Wybór dokumentów, s. 237.

⁶¹ Cyt. za W. Marchlewski, *Olędrzy podczas II wojny światowej i ich powojenna sytuacja – zagadnienia społeczne, polityczne i gospodarcze*, k. 13.

⁶² *Niemcy w Polsce 1945–1950. Wybór dokumentów*, tom II, op. cit., s. 254.

⁶³ W 1946 r. starosta powiatu gostynińskiego pisał „wg doniesień z terenu powiatu mego wynika, że kilku Niemców zdołało zbiec poza granice Rzeczypospolitej Polski bez żadnych dowodów i zaświadczeń wydanych przez starostów na wyjazd”, cyt. za P.A. Stasiak, s. 51.

⁶⁴ P. Stratenwerth, *Mieliśmy tu raj*, s. 26–27.

*niemieckiej, przed wojną miałem obywatelstwo polskie. Jestem z rodziny kolonistów niemieckich, wyrastałem w duchu niemieckim i uważam siebie za Niemca. Troszyn był wsią założoną przez kolonistów niemieckich i w większości zamieszkały przez niemieckich osadników*⁶⁵.

Władze powiatu gostynińskiego starały się osoby pozbawione polskiego obywatelstwa jak najszybciej deportować do Niemiec. Na ziemię i gospodarstwa po niemieckich kolonistach oczekiwała bezrolna biedota wiejska, oczekiwali też polscy rolnicy, liczący na powiększenie swoich gospodarstw. Z ustaleń Piotra Artura Stasiaka wynika, że na terenie powiatu gostynińskiego znajdowało się 1190 gospodarstw poniemieckich, o łącznej powierzchni 11 308 ha. Najwięcej gospodarstw po niemieckich kolonistach było na terenie gminy Gąbin (218). Do 27 lipca 1945 r. z powiatu gostynińskiego do Niemiec wyjechało 3 089 osób, w tym z samego Gąbina i okolic około tysiąc osób. Ponad 200 gostynińskich Niemców (z powiatu i miasta) wyjechało w 1945 r. do Langenfeld w Zagłębiu Ruhry. Wśród repatriowanych było bardzo dużo niemieckich dzieci. Do przewozu ludności niemieckiej wykorzystywano radzieckie pociągi jadące do Niemiec⁶⁶.

W gospodarstwach po etnicznych Niemcach w powiecie gostynińskim osiedlono 960 rodzin małorolnych, robotników rolnych i dzierżawców, 14 rodzin wojskowych, 438 rodzin repatriantów z innych terenów Polski, w tym z polskich Kresów Wschodnich przyłączonych do ZSRR⁶⁷.

W miarę upływu czasu na terenie powiatu gostynińskiego nie brakowało ludności niemieckiej chętnej na powrót do ojczyzny. Ze sprawozdania starosty gostynińskiego (za wrzesień 1947 roku) dowiadujemy się, że *Mały zaledwie procent Niemców stara się o przywrócenie obywatelstwa polskiego, większość oczekuje niecierpliwie na pozwolenie wyjazdu za Odrę, a są i tacy, którzy nie oczekując zbiegają z miejsca pracy, a poszukiwania organów MO są bezskuteczne*⁶⁸.

W kolejnym sprawozdaniu Starostwa Powiatowego w Gostyninie, tym razem z 5 listopada 1947 r., czytamy: *Niemcy w miesiącu październiku otrzymali orzeczenia od Starostwa Powiatowego o pozbawieniu obywatelstwa polskiego. Orzeczeń doręczyło starostwo ponad 1 200. Do punktu zbiorowego w Tuplicach odstawiono transport, składający się z 308 osób, przeważnie matek z drobnymi dziećmi i starców. Na terenie powiatu pozostało*

⁶⁵ Cyt. za W. Marchlewski, *Olędrzy podczas II wojny światowej i ich powojenna sytuacja – zagadnienia społeczne, polityczne i gospodarcze*, k. 13.

⁶⁶ P.A. Stasiak, *Nowa rzeczywistość lat 1945–1948*, op. cit., s. 39, s. 46. W powiecie gostynińskim pierwotnie zamierzano osiedlić w przejętych gospodarstwach poniemieckich 1350 małorolnych i bezrolnych chłopów.

⁶⁷ Ibidem, s. 46; J. Maciejewski, *Okres II wojny światowej ...*, s. 589. Dla przykładu: gospodarstwo Alberta Fotha z Wymyśla Niemieckiego przejął bezrolny wywieziony na roboty do Niemiec – Józef Zieliński.

⁶⁸ *Niemcy w Polsce 1945–1950. Wybór dokumentów*, tom II, op. cit., s. 262.

jeszcze ponad 2 000 osób. Wstrzymanie transportów z Niemcami spowodowało wśród nich wielkie rozgoryczenie, gdyż około 80% czeka niecierpliwie na wyjazd⁶⁹.

Ten sam urzędnik pisał po dwóch miesiącach: „Bardzo ważną sprawą dla powiatu jest mniejszość narodowa niemiecka w liczbie około 3 000 osób. Są to przeważnie matki z nieletnimi dziećmi, ponieważ mężczyźni od 18–45 lat, w lutym 1945 roku zostali wywiezieni z tutejszego terenu na roboty. Pozostałe siły robocze, a więc matki z dziećmi są prawie bez odzieży i obuwia – skąd więc wziąć fundusze na zakupienie? Z tego względu należałoby przyspieszyć repatriację”⁷⁰.

W 1948 r. liczba ludności niemieckiej zmuszonej do pozostania na terenie powiatu gostynińskiego zmniejszyła się nieznacznie. Wśród 2 225 przebywających na terenie tego powiatu Niemców, odnotowano 23 samotne dzieci, 92 starców, kalek i chorych oraz 157 osób im towarzyszących⁷¹.

9 listopada 1948 r. z Wymyśla Niemieckiego (zwanego Nowym) deportowano ostatnich menonitów. W grupie 52 Niemców byli członkowie dwóch menonickich rodzin; Schroeder i Prochnau z Wymyśla. Ciężarówkami wywieziono ich do stacji kolejowej Warszawa – Zachodnia, a stamtąd do obozu przejściowego w Gronau⁷².

Niewielkie możliwości wyjazdu ludności niemieckiej z terenu powiatu gostynińskiego zostały stworzone po zawarciu w 1949 r. polsko-radzieckiej umowy o przesiedleniu z Polski do radzieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech 24 tys. osób. W 1949 r. z województwa warszawskiego w 16. transportach wyjechało do Niemiec zaledwie 515 osób⁷³.

Ogromne znaczenie dla dalszych losów ludności niemieckiej z terenu powiatu gostynińskiego miała umowa o repatriacji z 2 stycznia 1950 r. podpisana już z władzami NRD. Wpisywała się ona w obraz oficjalnej przyjaźni Polski Ludowej z innymi Krajami Demokracji Ludowej. Po podpisaniu układu w Zgorzelcu, 20 lipca 1950 roku, Sejm Polski uchwalił ustawę o zniesieniu sankcji i ograniczeń w stosunku do obywateli, którzy zgłosili swą przynależność do narodu niemieckiego. Formalnie zamknięto też problem volksdeutscheów – „zdrajców” narodu polskiego. Umowa o repatriacji z 1950 r. obejmowała zarówno osoby posiadające obywatelstwo niemieckie,

⁶⁹ Ibidem, s. 262–263.

⁷⁰ J. Kochanowski, *Losy Niemców w Polsce Centralnej w latach 1945–1950 na przykładzie województw łódzkiego, warszawskiego i krakowskiego (powiat Biała)* [w:] *Niemcy w Polsce 1914–1950. Wybór dokumentów*, red. W. Borodziej i H. Lemberg, tom II, Polska centralna. Województwo śląskie, wybór i opracowanie dokumentów I. Eser i J. Kochanowski, Warszawa 2000, s. 64.

⁷¹ APW, UWW – Wydział Społeczno-Polityczny, sygn. 274, k. 26

⁷² W. Marchlewski, *Olędrzy podczas II wojny światowej i ich powojenna sytuacja – zagadnienia społeczne, polityczne i gospodarcze*, k. 1.

⁷³ J. Kochanowski, s. 68.

jak i pozbawione obywatelstwa polskiego. Znacznie też miały się polepszyć warunki wyjazdu ludności niemieckiej z Polski ⁷⁴.

Wydarzenia II wojny światowej i ich polityczne konsekwencje dla ziem polskich spowodowały całkowite wysiedlenie mieszkańców narodowości niemieckiej (nazywanych olendrami) z nadwiślańskich terenów ziemi gostynińskiej. Wśród nich byli też menonici, którzy – dzięki pomocy różnych organizacji menonickich na świecie – najczęściej osiedlali się w Kanadzie.

Mazowieccy olędrzy przez ponad dwa stulecia wpisywali się w życie społeczno-gospodarcze i religijne miejscowości środkowego biegu Wisły. Byli znakomitym przykładem zgodnego współdziałania człowieka ze środowiskiem naturalnym. Nie mieli jednak szans skutecznego przeciwstawienia się tragicznym konsekwencjom II wojny światowej i byli zmuszeni do opuszczenia swojej polskiej „małej Ojczyzny”.

Pozostałością po pobycie olędrów na terenie powiatu gostynińskiego są na ogół ich dawne podupadłe zabudowania, zbory i cmentarze. Obecny mieszkającym mazowieckiego Powiśla kojarzą się one na ogół z dramatem hitlerowskiej okupacji.

⁷⁴ Ibidem, s. 68–69; L. Olejnik, s. 210–222.

DARIUSZ WOJTASZYN

Piłka nożna, NRD i „Ziemie Odzyskane”

Dzięki zaproszeniu do udziału w projekcie – za które chciałbym bardzo serdecznie podziękować inicjatorom i redaktorom tomu – miałem okazję dokonać refleksji nad źródłami własnego stosunku do kraju zachodniego sąsiada. Po raz pierwszy zadałem sobie pytanie, w jakim stopniu został on ukształtowany przez uwarunkowania biograficzne lub geograficzne i jak przełożyły się one na ostateczne zainteresowanie tematyką niemiecką.

Od samego początku mój osobisty stosunek do Niemiec kształtowany był przez trzy, częściowo niezależne ode mnie czynniki: piłkę nożną (w niemieckim wykonaniu), bezpośrednie sąsiedztwo z jednym z państw niemieckich – NRD i dorastanie na tzw. Ziemiach Odzyskanych, czyli zachodnich obszarach Polski, które wchodziły przed II wojną światową w skład państwa niemieckiego.

Cała seria złożonych i często zagmatwanych zagadnień, która nasuwa się w tym kontekście skłoniła mnie, aby rozważania zacząć od początku, czyli od urodzenia. Urodziłem się w 1974 roku, czyli – ze sportowego punktu widzenia – roku intensywnym w wydarzenia międzynarodowe, wśród których zdecydowanie prym wiodły X Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej, których gospodarzem była Republika Federalna Niemiec. Były to pierwsze mistrzostwa, na których wystąpiła reprezentacja Polski prowadzona przez legendarnego trenera Kazimierza Górskiego. Były to pierwsze mistrzostwa, które miałem okazję oglądać w swoim życiu i choć z oczywistych powodów nie mogę pamiętać tego wydarzenia, być może jednak wpłynęło ono podświadomie na moje późniejsze zainteresowania. Według wspomnień rodziców – jako kilkumiesięczne niemowlę – przyglądałem się uważnie zwłaszcza słynnemu „meczowi na wodzie”, rozegranemu we Frankfurcie nad Menem pomiędzy drużynami Polski i RFN. Ich stawką był awans do finału imprezy.

Kołysany i przerzucany z rąk do rąk przez rozemocjonowanych spotkaniem członków rodziny, podobno nie wydałem w ciągu całych 90 minut ani jednego krzyku, płaczu, ani innych form niezadowolenia, cały czas wpatrując się w telewizor. Prawdopodobnie właśnie w ten sposób zostałem niejako „zainfekowany” futbolowym wirusem, stając się wkrótce największym kibicem piłki nożnej w rodzinie.

Kolejne mistrzostwa świata, rozgrywane w Argentynie w 1978 roku nie odcisnęły się w żaden sposób w mojej pamięci, choć i tam przecież polscy piłkarze mierzyli się z Niemcami. Pierwszym, świadomie przeżywanym wydarzeniem piłkarskim był dopiero hiszpański mundial w 1982 roku. Z wypiekami na twarzy oglądałem każdy mecz polskiej reprezentacji i do dziś pamiętam wszystkie wyniki spotkań kadry Antoniego Piechniczka. Pamiętam też doskonale dwóch niemieckich piłkarzy uczestniczących w imprezie – napastnika Karla-Heinza Rummenigge (którego nazwisko nauczyłem się bezbłędnie wymawiać, co było nie lada wyczynem dla 8-letniego chłopca) oraz bramkarza Haralda „Toniego” Schumachera (charakteryzującego się niemal równie trudnym do wymówienia nazwiskiem co niezwyklejmi umiejętnościami... bokserскими, którym dał wyraz w półfinałowym meczu z Francją). Byli to pierwsi Niemcy, którzy pojawili się w mojej świadomości, oczywiście w bardzo pozytywnym kontekście.

Drugim czynnikiem, który wpłynął na moje późniejsze zainteresowanie Niemcami, było bez wątpienia miejsce urodzenia: Trzcianka, niewielkie 17-tysięczne miasto położone w północnej Wielkopolsce, około 90 kilometrów od Poznania. Miasto, które przed wojną, jako Schönlanke, wchodziło w skład państwa niemieckiego i w którym dokonana została po II wojnie światowej niemal całkowita wymiana mieszkańców. Moi dziadkowie przybyli na te tereny (określane często w rodzinnych opowieściach jako „Dzi-ki Zachód”) z okolic Nowego Sącza i Częstochowy oraz Lwowa/Tarnopola i Czortkowa. Ich dzieci – moi rodzice – urodzili się już na Zachodzie, ja i moi bracia jesteśmy więc dopiero drugim pokoleniem, które przyszło na świat na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Samo określenie „Ziemie Odzyskane” – o ile pamiętam – w latach 80. było w praktycznym użyciu zarówno w codziennej komunikacji, jak i edukacji szkolnej.

W domu i w szkole przekazywano informację, że Trzcianka została „wyzwolona” przez wojska radzieckie 27 stycznia 1945 roku. I właśnie od tego momentu zaczynała się dla mnie i dla moich rówieśników historia naszego rodzinnego miasta. Miasta bez przeszłości...

Coś jednak nie dawało nam spokoju, inne miejscowości – o czym dowiadaliśmy się na lekcjach historii i języka polskiego – miały swoją chlubną i wielowiekową historię oraz tradycję, np. stroje ludowe (w czasie zajęć w szkole podstawowej uczyliśmy się rozpoznawać poszczególne stroje ludowe różnych regionów Polski i nikt nie mógł, lub nie chciał mi wytłumaczyć, dlaczego mój rodzinny region nie ma własnego). Nie znaliśmy nie tylko

przeszłości własnego miasta, ale też poszczególnych obiektów (kto w nich wcześniej mieszkał, co się mieściło w budynku szkoły, co oznaczają rzeźby i freski zdobiące fasadę niektórych miejskich budynków itp.), zastanawiały nas zachowane gdzieś tam niemieckie pomniki na cmentarzach. Wszystko to znacząco utrudniało tworzenie patriotyzmu lokalnego, brakowało osadzenia „małej ojczyzny” w kontekście historycznym.

Nakładał się na to fakt, że byliśmy potomkami osób przybyłych na te tereny z wszystkich zakątków przedwojennej Polski – Wielkopolski, Mazowsza, Małopolski, a zwłaszcza „zza Buga”. Szkoła milczała na ten temat, w wielu placówkach w latach 80. tzw. repatriacja i wysiedlenie ludności niemieckiej nie było wprawdzie tabuizowane, jednak nauczyciele niezbyt chętnie sięgali po te tematy, traktując wydarzenia jako naturalną konsekwencję rozpętanej przez nazistowskie Niemcy wojny. Informacje o powojennej wędrówce naszych najbliższych i jej skutkach przekazywane były głównie w relacjach rodzinnych, w fascynujących opowieściach babć i dziadków, których słuchaliśmy z wielkim zainteresowaniem. Często ciężko było kilkuletnim dzieciom pojąć, co ich dziadkowie robili na terenie ZSRR (takie adnotacje znajdowały się w dowodach osobistych, w rubryce „miejsce urodzenia”, osób przesiedlonych z Kresów Wschodnich) przed wojną...

W ten sposób otrzymywaliśmy od samego początku alternatywne – w stosunku do nauczania szkolnego – źródło informacji, a jednocześnie alternatywną wersję historii, gdyż dziadkowie często odmiennie od oficjalnego, państwowego i podręcznikowego dyskursu interpretowali wiele wojennych i powojennych faktów i wydarzeń historycznych. Wychowywani (indoktrynowany?) na popularnych w tym czasie filmach o tematyce wojennej, m.in. ukochanym przez wszystkie dzieci „Czterej pancerni i pies” oraz „Stawka większa niż życie”, nie do końca mogłem zrozumieć skrajnie negatywny, poparty dowodami z okresu wojny i powojnia, stosunek dziadka do komunizmu i Związku Radzieckiego (dziadek dokonywał przy tym wyraźnego rozgraniczenia: nie chodziło o Rosjan jako naród, tylko o ZSRR jako państwo i komunizm jako system polityczny). Tym bardziej, że stało to w sprzeczności do oficjalnego obrazu kreowanego nadal przez podręczniki szkolne.

Obraz Niemiec i Niemców w szkolnych podręcznikach, z których miałem okazję się uczyć nie odbiegał zbytnio od schematu nawiązującego do „tysiąclecia polsko-niemieckich zmagień”, czego kulminacją miała być II wojna światowa oraz jej konsekwencje w postaci „odzyskania piastowskich ziem” przez państwo polskie. Negatywny obraz dopełniała prezentacja okrucieństw, jakich dopuszczali się naziści na terytorium okupowanej Polski. Muszę jednak w tym kontekście podkreślić, że miałem szczęście, jeśli chodzi o nauczycieli historii w szkole podstawowej, a zwłaszcza w liceum, do którego uczęszczałem w okresie przełomu politycznego w kraju. Nie dzielali oni i nie przekazywali uczniom antyniemieckich resentymentów. Niestety, nauka języka obcego ograniczała się wówczas do obligatoryjnego

języka rosyjskiego (od V klasy szkoły podstawowej). Język niemiecki, poza sporadycznymi i nieobowiązkowymi zajęciami w szkole podstawowej, zaczynał się dopiero w liceum.

Zainteresowanie Niemcami – poza fascynacją (zachodnio)niemieckim futbolem – podsycały widoczne ślady niemieckiej przeszłości w rodzinnym mieście. Zaniebane, lecz jednak zachowane i czytelne pomniki na cmentarzach budziły chęć dowiedzenia się kim byli mieszkańcy przedwojennej Trzcianki. Znaleziona w piwnicy przedwojenna niemiecka mapa, stanowiła niezwykle skarby, rozbudzający dziecięcą wyobraźnię i służący jako rekwizyt do zabaw nie tylko „w wojnę”, ale także „w piratów”. Jednocześnie uczyła niemieckich nazw okolicznych miejscowości.

Kolejnym elementem kształtującym stosunek i zainteresowanie względem Niemiec były bezpośrednie kontakty z państwem i jego mieszkańcami. Niestety prawie nie pamiętam swojej pierwszej podróży zagranicznej. Miała miejsce pod koniec lat 70., a jej kierunek był wówczas oczywisty – Niemiecka Republika Demokratyczna. Był to okres zbliżenia pomiędzy PRL a NRD, po zmianie kierownictwa partyjnego w obu państwach: Władysława Gomułkę zastąpił Edward Gierek, a Waltera Ulbrichta – Erich Honecker. Symbolem zmiany była decyzja o otwarciu granicy pomiędzy Polską a NRD dla bezwizowego i bezpaszportowego ruchu podróżnych, obowiązująca od 1 stycznia 1972 roku. Stała się ona początkiem masowego ruchu turystycznego, który objął szerokie kręgi społeczeństw obu krajów. Największymi beneficjentami „otwartej granicy” byli oczywiście mieszkańcy zachodnich obszarów Polski, czyli właśnie „Ziem Odzyskanych”. Dla pokolenia mojego i moich rodziców była to pierwsza w życiu możliwość legalnego wyjazdu za granicę.

Z tej możliwości postanowili też skorzystać moi rodzice, wyruszając w podróż zagraniczną białym samochodem osobowym marki Warszawa. Jako 4- lub 5-letnie dziecko bardzo niewiele pamiętam z tej wyprawy. Wiem, że podróż była – z perspektywy dziecka – długa, przypominam sobie zdenerwowanie rodziców i dziadków na granicy. Dla dziadków, którzy przeżyli II wojnę światową był to pierwszy kontakt z dawnym wrogiem, okupantem, a uniformy strażników granicznych bardzo wówczas przypominały mundury żołnierzy niemieckich z okresu wojny. Wśród pozostałych w pamięci obrazów z tamtej wyprawy są też zakupy (jeden z najważniejszych powodów wyjazdów obywateli polskich do NRD), które, w związku z pogarszającą się sytuacją gospodarczą w Polsce, stanowiły niezwykle możliwość zaopatrzenia się w niedostępne w kraju towary. Dla mnie najważniejszy był zakup zabawek, głównie żołnierzyków. Pamiętam też białe buciki sportowe (trochę za duże, kupione „na później”), prawdziwe obuwie marki „Adidas”, jakie można było kupić w NRD, dzięki regulacjom dotyczącym handlu wewnątrznemieckiego.

Kolejna, tym razem już w pełni świadoma, wyprawa do Niemiec odbyła się w latach 80. i wiodła przez NRD do Berlina Zachodniego. Marki samo-

chodów na ulicach, widziane wcześniej jedynie w ramach serii „resorówek Matchbox” oraz w katalogach firm samochodowych, witryny sklepowe i uginające się od towarów półki z asortymentem przewyższającym polskie „Pewexy”, przepych i bogactwo – to najważniejsze wrażenie z tej podróży. Przeżyciem, które pozostało w pamięci była też możliwość podejścia i dotknięcia pokrytego graffiti muru berlińskiego oraz obserwacji (ze specjalnej platformy zamontowanej po zachodniej stronie) wraz z licznymi turystami przybyłymi z Europy Zachodniej, jak wygląda codzienność po wschodniej stronie muru. Szokujące porównanie dla młodego człowieka wychowanego w bloku wschodnim.

Bezpośrednie zetknięcie ze światem zachodnim i jego porównanie z siermiężnym realnym socjalizmem w PRL (a nawet w NRD) coraz silniej oddziaływały na świadomość i poddawały w wątpliwość zasady i nadzieje na poprawę powoli chylącego się w tym czasie ku upadkowi systemu komunistycznego.

W późnych latach 80. miało miejsce wydarzenie, które – symbolicznie – łączyło różne aspekty rodzącego się zainteresowania Niemcami. Miałem wówczas pierwszy raz w życiu możliwość uczestniczenia „na żywo” w meczu międzypaństwowym, na powstałym w latach 20. XX wieku i następnie rozbudowanym w okresie PRL do pojemności 35 tysięcy widzów, stadionie w Pile. Przeciwnikiem polskiej reprezentacji olimpijskiej była reprezentacja... NRD. Przeżywane w licznym gronie miejscowych i przyjezdnych fanów Lecha Poznań spotkanie zakończyło się wynikiem 1:1, a mnie udało się „upolować” dwa autografy znanych polskich piłkarzy. Futbolisci NRD nie zdecydowali się podejść do młodych polskich „łowców autografów”.

Ważnym elementem rozwoju zainteresowań związanych z tematyką niemiecką były studia, które podjąłem na Wydziale Historycznym Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Miałem tam możliwość rozwijania zainteresowań w tym zakresie. Już na pierwszym roku studiów uczestniczyłem w wyjazdach do Pergamonmuseum i Ägyptisches Museum w Berlinie. Istotnym punktem rozwoju była możliwość uczestnictwa w seminarium naukowym w Ost-Akademie w Lüneburgu w Dolnej Saksonii, która została urzeczywistniona dzięki doktorowi (dziś profesorowi) Jerzemu Kołackiemu. Wygłosiłem tam po raz pierwszy referat w języku niemieckim. Okres studiów sprzyjał też kontaktom ze studentami niemieckich uczelni, którzy uczestniczyli w organizowanych w Poznaniu spotkaniach i seminariach.

Uwieńczeniem rozwoju zainteresowań w toku studiów było podjęcie, w ramach seminarium magisterskiego, tematu dotyczącego zjednoczenia Niemiec w 1990 roku. W trakcie prac nad tym zagadnieniem miałem możliwość uwzględnienia m.in. coraz bardziej interesującej mnie sytuacji w NRD.

Zakończenie studiów wiązało się z podjęciem pracy w charakterze nauczyciela w różnych typach szkół w rodzinnej miejscowości. Związek uczuciowy, uwieńczony małżeństwem, skutkował natomiast przeprowadzką na

Śląsk Cieszyński, gdzie kontynuowałem pracę pedagogiczną. Odmienna, specyficzna recepcja niemieckiej i austriackiej spuścizny, której symptomy odkrywałem na Śląsku, również wpływały na moje postrzeganie kwestii niemieckiej. Praca nauczyciela przynosiła mi wiele satysfakcji, ale przez cały ten okres planowałem poświęcenie się dalszym studiom nad problematyką niemiecką.

Urzeczywistnienie tych planów możliwe było dopiero w 2003 roku, dzięki prof. dr. hab. Markowi Zyburze, który zgodził się objąć opiekę nad przygotowywaną przeze mnie dysertacją doktorską. Praca zatytułowana „Obraz Polski i Polaków w prasie i literaturze NRD w okresie powstania Solidarności i stanu wojennego” (monografia ukazała się w 2007 roku, nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Wrocławskiego), która była wyrazem moich – kształtowanych od najmłodszych lat – zainteresowań; została przyjęta i obroniona w 2007 roku w Instytucie Historii Uniwersytetu Wrocławskiego. W trakcie prac nad jej przygotowaniem miałem m.in. możliwość pobytu badawczego w Niemieckim Instytucie Polskim w Darmstadt. Nawiązane wówczas znajomości i przyjaźnie kontynuuję do dzisiaj.

Okres przygotowania dysertacji oraz kontakt i rozmowy z promotorem, a także rozmowy z małżonką jednoznacznie przekonały mnie, że badania naukowe są tym, czemu naprawdę chcę poświęcić się w życiu. Efektem tej decyzji było podjęcie pracy w Centrum Studiów Niemieckich i Europejskich im. Willy’ego Brandta Uniwersytetu Wrocławskiego. Objęcie funkcji asystenta, a później adiunkta w Katedrze Nauk Historycznych oraz współpraca z prof. dr. hab. Krzysztofem Ruchniewiczem i pracującymi w Centrum naukowcami, umożliwiła mi w pełni kontynuację zainteresowań i realizację planów badawczych. Wśród najbardziej cennych doświadczeń wskazać mogę, m.in. przyznanie stypendium Katholischer Akademischer Ausländer-Dienst na pobyt badawczy w Darmstadt, udział w licznych krajowych i międzynarodowych konferencjach i seminariach naukowych w Polsce, Niemczech, Austrii, Czechach i na Litwie, a także udział w projektach naukowych realizowanych w Centrum im. Willy’ego Brandta. Mogłem ponadto uczestniczyć w pracach (jako sekretarz naukowy) prezydium Wspólnej Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej, a także – w tej samej funkcji – byłem członkiem zespołu ekspertów realizujących projekt polsko-niemieckiego podręcznika do nauczania historii. W ramach projektu mogłem łączyć doświadczenia naukowe i teoretyczne z praktycznymi, które zebrałem, pracując w różnych typach szkół w Trzciance, Pile i Cieszynie.

Podejmowane w tym czasie projekty naukowe związane były z doświadczeniami kształtowanymi od lat najmłodszych – dziejów relacji polsko-niemieckich i historii Niemiec, ze szczególnym uwzględnieniem różnych aspektów historii NRD, badaniom imagologicznym w kontekście polsko-niemieckim oraz historii niemieckiego sportu. Wynikiem jednego z projektów była publikacja monografii „Sport w cieniu polityki. Instrumentalizacja

sportu w NRD” (Wydawnictwo ATUT, Wrocław 2011), pierwszej w Polsce monografii poświęconej funkcjonowaniu sportu w NRD. W ramach zainteresowań podjąłem też pracę nad społecznymi aspektami wschodnioniemieckiego sportu, których urzeczywistnieniem była książka „Kibice w socjalizmie. Trybuny piłkarskie w NRD – studium historyczno-społeczne” (Wydawnictwo ATUT, Wrocław 2013). Na jej podstawie przeprowadzony został, zakończony powodzeniem, przewod habilitacyjny. Opublikowanie obu monografii oraz udział w konferencjach naukowych poświęconych tej tematyce spowodowało zwrócenie uwagi niemieckiego środowiska naukowego parającego się tematyką sportową na moje badania. Efektem było zaproszenie (jako jedynego obcokrajowca) do grona ekspertów zajmujących się historią futbolu w NRD, w ramach Niemieckiego Związku Piłki Nożnej (Deutscher Fussball-Bund). Obecnie kieruję, wraz z kolegami z Münster i Berlina, projektem naukowym poświęconym tej tematyce: Kultur- und Alltagsgeschichte des DDR-Fussballs. Zostałem też członkiem międzynarodowej sieci naukowej „Integration und Desintegration: Sozial- und Kulturgeschichte des osteuropäischen Sports im internationalen Vergleich” oraz austriackiej sieci naukowej SPORHISTNET. Aktywność w tym zakresie jest – oceniając z dłuższej perspektywy – pochodną pierwszych fascynacji niemieckim futbolem: przeżywanych w dzieciństwie mistrzostw świata w 1982 roku i meczu reprezentacji olimpijskich Polska–NRD, oglądanego na pilskim stadionie.

Zdając sobie sprawę z faktu, jak ważny dla poznania i zrozumienia jest wzajemny kontakt pomiędzy przedstawicielami młodego pokolenia, staram się aktywnie działać na rzecz wspierania wyjazdów młodych adeptów nauki na pobyty badawcze do Niemiec. Od 2013 roku jestem jednym z koordynatorów programu stypendialnego KAAD oraz biorę udział w pracach komisji stypendialnej Deutscher Akademischer Austauschdienst (DAAD).

W ten sposób moje pierwsze osobiste kontakty z kulturą, sportem i historią zachodniego sąsiada przełożyły się na zainteresowania i pasję, które mam możliwość realizować w trakcie pracy badawczej. Jestem więc żywą egzemplifikacją faktu, że doświadczenia z dzieciństwa, w połączeniu z korzystnym zbiegiem okoliczności i spotkaniem na drodze życiowej i zawodowej odpowiednich osób, oddziaływać mogą na całe późniejsze życie. Dlatego obecnie, oglądając z synem mecze piłkarskie w telewizji, nie mam nic przeciwko temu, gdy – zamiast oglądać polską ligę – prosi o „przełączenie na Bundesligę”...

IV. Następne projekty

TOMASZ G. PSZCZÓŁKOWSKI

Polsko-niemieckie badania porównawcze Projekt: „Kultura pamięci w Polsce i w Niemczech”

„Kultura pamięci” jest od kilku lat pojęciem obecnym w badaniach naukowych różnych dyscyplin humanistycznych i społecznych: kulturoznawstwa, historii, literaturoznawstwa, psychologii, socjologii i in. Na „kulturę pamięci” składają się różnorakie formy odnoszenia się do przeszłości i jej przedstawiania zarówno przez pojedyncze jednostki (np. w relacjach świadków wydarzeń, we wspomnieniach i pamiętnikach), jak i przez instytucje (np. w postaci podręczników historycznych, filmów, wydawnictw okolicznościowych, działalności muzealnej). Instytucjonalnymi ekwiwalentami „kultury pamięci” są: pamięć zbiorowa, polityka historyczna i kultura historyczna. Wszystkie te pojęcia odnoszą się do obcowania jednostek i zbiorowości z przeszłością, zwłaszcza z tą najnowszą, będącą częścią pamięci ludzi, których ona jest częścią.

Polacy i Niemcy różnie postrzegają swoją najnowszą przeszłość, gdyż ich losy są bardzo odmienne. Choć sąsiadują ze sobą od ponad tysiąca lat, różnią się pod wieloma względami: językiem, w którym jednak znajdują się zapożyczenia (liczne germanizmy w języku polskim, mniej liczne polonizmy w niemieckim); ustrojem politycznym (np. istnieniem scentralizowanego Królestwa Polskiego i składającego się z setek samodzielnych władztw Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego); odmienną religijnością wynikającą z różnych nurtów chrześcijaństwa (np. dominacją religii katolickiej w Polsce i pluralizmem religijnym po Reformacji w Niemczech); strukturą społeczną i wynikającą zeń kulturą narodową (przewagą elementu mieszczańskiego i proletariackiego w Niemczech oraz szlacheckiego i chłopskiego

w Polsce). Są to tylko wybrane obszary kultury, w których widoczne są do dziś różnice między Polakami a Niemcami, choć istnieją między nimi także pewne podobieństwa. Przebadanie wpływu tych odrębności na „kulturę pamięci” jest jednym z zadań do zrealizowania w ramach prezentowanego tu projektu. Wiedza o różnicach kulturowych, wynikających z odmiennych doświadczeń historycznych, może przyczynić się do wyjaśnienia niektórych zjawisk, także z najnowszej przeszłości, której dotyczą badania nad „kulturą pamięci”. Wymienić tu można np. stosunek Niemców i Polaków do wojny i okupacji – jedni i drudzy odgrywali w tym okresie bardzo odmienne role: okres wypędzeń i przesiedleń Niemców i Polaków z ich dawnych ziem wschodnich – podobieństwa i różnice w realizacji tych nieludzkich praktyk; sposoby wprowadzania i utrwalania ustroju socjalistycznego w Polsce i w Niemczech Wschodnich oraz stosunek mieszkańców obu krajów do tego procesu, a także do systemu społeczno-politycznego w PRL i NRD; denacyfikacja w Niemczech po II wojnie światowej i dekomunizacja w Polsce po roku 1989 i w Niemczech po zjednoczeniu. Są to zagadnienia wprowadzie już częściowo przebadane, znane z literatury, publicystyki, filmu, ale warto spojrzeć na nie z perspektywy porównawczej, gdyż ich porównanie ukaże podobieństwa, to co wspólne i różne i może służyć wzajemnemu porozumieniu Polaków i Niemców.

W obu krajach badania dotyczące powyższych zagadnień prowadzone są bez uwzględnienia perspektywy obu krajów równocześnie. Tę lukę mają zapłacić badania porównawcze. Mogą je prowadzić odrębnie naukowcy polscy i niemieccy, ale ich współpraca może poszerzyć horyzonty badawcze o zjawiska niedostrzegane przez jedną ze stron. Ponadto współpraca taka przyczynić się może do znalezienia płaszczyzny zrozumienia racji każdej ze stron, a może nawet do porozumienia.

Badania porównawcze powinny dać odpowiedzi na takie kwestie, jak wpływ najnowszej historii na dzisiejsze postawy społeczne w obu krajach (jak dalece historia determinuje myślenie i działanie ludzi?); sposoby obcowania z historią (w literaturze, publicystyce, filmie); wpływ środków przekazu na postawy ludzi wobec przeszłości i ich reakcje na wyzwania wynikające z działań politycznych i medialnych (np. na wystąpienia polityków, jak Erika Steinbach czy pokazy filmów, jak „Nasze matki, nasi ojcowie”).

Refleksja humanistów i przedstawicieli nauk społecznych nad powyższymi, a także innymi zagadnieniami, zaproponowanymi przez zaproszonych do współpracy naukowców, ma nie tylko dużą wartość poznawczą, ale także praktyczną. Inicjatorzy projektu i jego realizatorzy – naukowcy z Uniwersytetu Warszawskiego i Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieyszтора w Puławach, a także ich niemieccy partnerzy – spodziewają się nie tylko zgromadzenia wiedzy o badanych zjawiskach, ale także jej przekazania zainteresowanej opinii publicznej w formie publikacji i działań edukacyjno-oświatowych, skierowanych do odbiorców w Polsce i w Niemczech w róż-

nych grupach wiekowych. Dzięki wiedzy o przebadanych i zaprezentowanych opinii publicznej zagadnieniach i zjawiskach możliwe będzie osiągnięcie kompetencji międzykulturowej Polaków i Niemców pozostających we wzajemnych relacjach: naukowych, biznesowych, kulturalnych i in.

Wymienione badania i zapoznanie z ich wynikami szerokiej opinii publicznej w obu krajach powinno być prowadzone sukcesywnie przez zespół badaczy, dla których oprócz wiedzy ważnym zagadnieniem będzie także jej popularyzacja. Aspekt praktyczny powinien być stale obecny w ich działaniach naukowych. Pierwsze rezultaty realizacji projektu, który jest obliczony na 3–4 lata, powinny być widoczne nie tylko w postaci publikacji indywidualnych w czasopiśmie i książek, ale także na utworzonej specjalnie dla potrzeb projektu stronie internetowej. Ponadto powinny być prowadzone kursy i szkolenia w zakresie badanej problematyki, jak też różnic kulturowych między oboma narodami, dając podstawę do kompetencji międzykulturowej, jakże niezbędnej we wzajemnych relacjach: naukowych, biznesowych czy kulturalnych. Kierownikiem i koordynatorem projektu będzie prof. Tomasz G. Pszczółkowski, przy współpracy zorganizowanej polsko-niemieckiej grupy naukowców i praktyków reprezentujących poszczególne dyscypliny naukowe.

Prof. dr hab. Tomasz G. Pszczółkowski
Instytut Germanistyki
ul. Dobra 55
00-312 Warszawa
tel. 22 55 20 914
t.g.pszczolkowski@uw.edu.pl

ANNA WARAKOMSKA

Zjawisko małżeństw binacjonalnych, jako przestrzeń do badania różnic międzykulturowych

1. Wprowadzenie

O potrzebie komparatystycznego badania kultur we współczesnej humanistyce nie trzeba dziś chyba nikogo przekonywać. W poszukiwaniu adekwatnych metod eksploracyjnych uczeni coraz częściej optują za interdyscyplinarnością, a więc łączeniem różnych dziedzin wiedzy i perspektyw badawczych – zarówno przy tworzeniu naukowej metodologii, jak i później w praktyce, w trakcie prowadzonych analiz¹. Podzielając podobny pogląd, spróbuję poniżej nakreślić kilka wytycznych nowego projektu badawczego, który łączyłby możliwości wielu dyscyplin naukowych oraz wysiłek badaczy różnych profili, a mógł posłużyć zdiagnozowaniu niezwykle ciekawego oraz ważnego obszaru życia współczesnych społeczeństw.

Mam na myśli projekt zatytułowany *Zjawisko małżeństw binacjonalnych jako przestrzeń do badania różnic międzykulturowych* powstały w styczniu 2015 roku, którego realizacja z wielu różnych przyczyn (głównie zobowiązań w innych przedsięwzięciach) stale przesuwawała się w czasie. Inspiracją do podjęcia takiego tematu stały się rozmowy o jego walorach i przede

¹ Por. T.G. Pszczółkowski, *Deutsche und polnische Kultur im kulturwissenschaftlichen Vergleich. Eine komparatistische Untersuchung*, Warszawa 2013, s. 117–166. Szerzej o tej pracy zob. A. Warakomska, T.G. Pszczółkowski: *Deutsche und polnische Kultur im kulturwissenschaftlichen Vergleich. Eine komparatistische Untersuchung*. Instytut Germanistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Warszawa 2013, ss. 252, w: E. Białek, K. Lisowska und J. Pacholski (ed.): „Orbis Linguarum”. Institut für Germanische Philologie der Universität Wrocław Neisse Verlag & Oficyna Wydawnicza ATUT Dresden 2015, s. 606–608.

wszystkim rekonesans badawczy dotyczący polsko-niemieckich małżeństw mieszanych, w jakim uczestniczyłam w lutym 2014 roku w Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Puławach². Wkrótce potem poproszono mnie o napisanie niniejszego projektu, co chętnie uczyniłam.

Podczas rekonesansu w Puławach wygłosiłam też referat zatytułowany *Małżeństwa turecko-niemieckie w Niemczech i ich społeczne konsekwencje. Różnice, interkulturowość, integracja*, który miał na celu zobrazowanie problemu kulturowych implikacji małżeństw binacjonalnych, a zwłaszcza zaprezentowanie statystycznej i socjologicznej perspektywy tego zjawiska. Pokazana wtedy prezentacja służyła wprowadzeniu do przedstawienia specyficznych mariaży ludzi o niekiedy bardzo od siebie odbiegających przyzwyczajeniach, poglądach, wyobrażeniach, kulturach. Jednak wydawało mi się, że na podobnym przykładzie mogę zbudować komparatystyczny model badań i zastosować go także do innych konfiguracji binacjonalnych.

Mam nadzieję, że myśl o kulturoznawczym pożytku, jaki może z takiego projektu wyniknąć, zachęci innych badaczy do współpracy, do której niniejszym serdecznie zapraszam.

2. Projekt badawczy:

Zjawisko małżeństw binacjonalnych, jako przestrzeń do badania różnic międzykulturowych

Wiek XXI to czasy globalizacji i transferu kulturowego, jaki dokonuje się przed naszymi oczami właściwie we wszystkich możliwych kierunkach i w coraz szybszym tempie. Owo tempo często utrudnia diagnozę zachodzących zmian, a także refleksję nad ich konsekwencjami. A te z kolei mogą mieć niebagatelne znaczenie dla egzystencji współczesnych społeczeństw: niewielkie z pozoru przeobrażenia mogą się przyczynić do zburzenia – wydawałoby się – ugruntowanych porządków kulturalnych czy prawnych, ale też do przyjęcia nowych rozwiązań, które mogłyby zupełnie odmienić nasze dotychczasowe pojęcie kultury w ogóle.

W tym kontekście małżeństwa osób o odmiennym pochodzeniu etnicznym czy różnych przynależnościach państwowych, które przecież nie należą współcześnie do rzadkości, zarówno w Europie Zachodniej, jak i w innych częściach globu jawią się jako istotny obszar badania wspomnianego transferu kulturowego. Ich zachowania są bowiem relatywnie statyczne – zmiany niezauważalne w skali makro stają się dostrzegalne w obrębie rodziny na przestrzeni życia mniej więcej jednego pokolenia, a formę dokonujących się

² Spotkanie zorganizowane przez Wydziały Polonistyki i Pedagogiki tejże uczelni oraz Międzywydziałowe Centrum Badań Niemcoznawczych nosiło tytuł: *Problematyka małżeństw mieszanych (polsko-niemieckich). Rekonesans badawczy*, a odbyło się 15 lutego 2014 roku w Sali Senatu AH w Puławach.

przekształceń można induktywnie odnieść do transformacji kulturowych w przestrzeni ogólnospołecznej.

W moim przekonaniu analiza kilku wybranych aspektów życia podobnych rodzin, nazywanych tu *małżeństwami binacjonalnymi*, jeśli tylko zyska odpowiednie zainteresowanie wśród badaczy, może dać bardzo ciekawe wyniki mówiące o stanie zachodzących zmian kulturowych oraz dostarczyć danych do prognoz na nieodległą przyszłość.

Germaniści w pierwszej fazie pracy mogliby się skoncentrować wyłącznie na związkach polsko-niemieckich. Gdyby projekt spotkał się z zaciekawieniem wśród badaczy wielu dyscyplin naukowych, warto by go rozszerzyć o inne nacje i mariaże wśród nich. Tu powstaje zasadnicze pytanie, czy dla teoretycznego lub merytorycznego ugruntowania analiz należy się odwołać również do czasów minionych. Wedle dezyderatów wyrażanych od lat 60. XX wieku w obrębie *Cultural Studies* warto tak czynić w jednym tylko przypadku: mianowicie po to, aby prawidłowo ocenić istotę zachodzących obecnie zmian³. Taki powód najprawdopodobniej występuje. Cały koncept proponuję zatem podzielić na trzy podgrupy czy moduły, które zostałyby zrealizowane przez reprezentantów różnych dziedzin wiedzy:

1. historia (od średniowiecza do współczesności z uwzględnieniem takich zjawisk, jak dla przykładu.: polsko-niemieckie małżeństwa dyplomatyczno-polityczne; stygmatyzacja tzw. Mischehen w czasach III Rzeszy; doświadczenia polsko-niemieckich małżeństw w obu krajach po II wojnie światowej, binacjonalne małżeństwa współczesnych Niemców i Polaków)
2. sztuka (małżeństwa polsko-niemieckie wśród sławnych artystów) i literatura (różnice międzykulturowe na przykładzie narracji o osobach ze związków mieszanych)

Drugim ogniwem projektu powinny się stać badania stanu obecnego oraz obejmować następujące zagadnienia:

3. współczesność – migracje w Europie i związki między osobami z różnych części globu
 - różnice kulturowe
 - postrzeganie kultury partnera przed i po zawarciu związku
 - tradycje (śluby, obyczaje i codzienne zwyczaje)
 - wychowywanie dzieci
 - religia
 - świadomość historyczna, stosunek do historii

³ Por. F. Schöblier unter Mitarbeit von Ch. Bähr, *Literaturwissenschaft als Kulturwissenschaft. Eine Einführung*. Tübingen und Basel: A. Francke, s. 28–36; M. Baßler, 'New Historicism, Cultural Materialism and Cultural Studies'. W: Nünning, A. und Nünning, V. (ed.): *Konzepte der Kulturwissenschaften. Theoretische Grundlagen – Ansätze – Perspektiven*. Stuttgart: Metzler 2003, s. 132–155.

- język: bilingwizm?
- hybrydowość tożsamości nowych pokoleń (nowe wzorce zachowań)
- problemy prawne: Jugendamty, rozwody, kwestie własności etc.
- inne problemy, ale też szanse/walory małżeństw binacjonalnych.

Spółeczeństwa i ich kultury można badać wedle różnych strategii. W horyzoncie prezentowanego interdyscyplinarnego projektu leży wykorzystanie osiągnięć wielu dziedzin – z jednej strony socjologii czy demografii, pedagogiki oraz prawa, a z drugiej – historii, literaturo- i kulturoznawstwa. Dziedziny te – każda w odmienny sposób – dostarczają narzędzi do analizy bardzo delikatnej tkanki społecznych uwarunkowań oraz ludzkich zachowań. Podczas gdy pierwsze z wymienionych dyscyplin starają się zdać sprawę ze zjawisk w skali makro, te drugie opisują rzeczywistość bardziej jednostkową i uwzględniają wielkości tak nieuchwytnie w naukach ścisłych, jak np. uczucia czy postawy konkretnych osób, a te w spotkaniu odmiennych kultur odgrywają znaczną – jeśli nie fundamentalną – rolę.

Polscy i niemieccy/ obcokrajowi uczestnicy projektu powinni upowszechnić wiedzę gromadzoną dzięki planowanym analizom. Praktyczne wnioski płynące z badań mogłoby udostępniać szerszej publiczności w postaci konferencji i sympozjów, publikacji naukowych i popularno-naukowych, dydaktyki na różnych poziomach nauczania oraz działań na rzecz prawidłowej edukacji w tolerancji dla kulturowych odmienności.

Wiele argumentów przemawia za tym, aby w projekcie *Małżeństw binacjonalnych* skoncentrować się wyłącznie na statystykach i pominąć aspekty kulturoznawcze czy interpretacje wytworów sztuki. Jednakże dzieła literackie, filmowe i teatralne stanowią wbrew pozorom bardzo istotny element naszej egzystencji. W odróżnieniu od statystyki czy badań socjologicznych stają się swoistym wehikułem ważnych kulturowych przekazów. To właśnie sztuka i jej artefakty (filmy, obrazy, powieści etc.), ale też literatura faktu – czy tego chcemy, czy nie – kreują, wzmacniają lub obalają stereotypy czy autostereotypy i konstruując rzeczywistość, wpływają na świadomość zbiorową, a dzięki potężnej sile oddziaływania prowokują niekiedy do ponadnarodowych dyskusji. Ich badanie dostarcza zatem konkretnej wiedzy, np. o wzajemnym postrzeganiu sąsiadów. W odniesieniu do zagadnienia małżeństw binacjonalnych widzę tu olbrzymi potencjał badawczy, jak również realne przełożenie na praktykę: badając literaturę piękną, można podobnie jak przy innych analizach życia społecznego dojść do konkluzji na temat tego, co nas (nacje, kultury, wspólnoty) różni, a co łączy. Bogatsi o tę wiedzę lepiej będziemy sobie umieli radzić w życiu pozaliterackim.

Podsumowując prezentowany projekt, należy podkreślić, iż prowadzone w jego ramach analizy za swój nadrzędny cel powinny obrać: quasi monograficzne zebranie i odświeżenie wiedzy na temat historycznych małżeństw polsko-niemieckich; zgromadzenie informacji na temat podobnych współczesnych związków; konkluzje natury komparatystycznej. Jak wspomniałam

na wstępie porównania można i należy sukcesywnie rozszerzać o inne binacjonalne konfiguracje. Rozpatrywane w ramach projektu kwestie mogą w niedalekiej przyszłości dostarczyć odpowiedzi m.in. na następujące pytania:

- czy i co zmieniło się we wzajemnym postrzeganiu kultur sąsiadów (Polaków i Niemców) na przestrzeni dziejów?
- jakie różnice kulturowe można zaobserwować między Polakami i Niemcami dzisiaj oraz co z tego wynika dla małżeństw binacjonalnych?
- co wynika z różnic ustawodawczych i wypełniania obowiązków prawnych dla osób z małżeństw binacjonalnych i ich dzieci?
- w jaki sposób odmienne kultury małżonków w związkach binacjonalnych oddziałują na siebie nawzajem?
- jak zapobiegać problemom wynikającym z odmiennych tradycji w małżeństwach wielokulturowych/ wieloetnicznych?
- jak edukować w sferze kompetencji międzykulturowych?
- jakie znaczenie mają małżeństwa binacjonalne dla rozwoju kultury?

Bibliografia

- Moritz Baßler, 'New Historicism, Cultural Materialism und Cultural Studies'. In: Nünning, A. und Nünning, V. (Hg.): *Konzepte der Kulturwissenschaften. Theoretische Grundlagen – Ansätze – Perspektiven*. Stuttgart: Metzler 2003, s. 132–155.
- Tomasz G. Pszczółkowski, *Deutsche und polnische Kultur im kulturwissenschaftlichen Vergleich. Eine komparatistische Untersuchung*, Warszawa 2013.
- Franziska Schößler unter Mitarbeit von Chrisine Bähr, *Literaturwissenschaft als Kulturwissenschaft. Eine Einführung*. Tübingen und Basel: A. Francke, s. 28–36.
- Anna Warakomska, Tomasz G. Pszczółkowski: *Deutsche und polnische Kultur im kulturwissenschaftlichen Vergleich. Eine komparatistische Untersuchung*. Instytut Germanistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Warszawa 2013, ss. 252, w: Edward Białek, Katarzyna Lisowska und Jan Pacholski (ed.): „Orbis Linguarum”. Institut für Germanische Philologie der Universität Wrocław Neisse Verlag & Oficyna Wydawnicza ATUT Dresden 2015, s. 606–608.

V. Varia

Sprawozdanie z dwóch ostatnich
„Biografii polsko-niemieckich”
odbytych w dniach 17–19 lipca 2015 r.
w Gut Gödelitz w Saksonii
oraz 31 marca–2 kwietnia 2016 r.
w Akademii Humanistycznej
im. Aleksandra Gieysztora w Puławsku

Wprowadzenie

Zgodnie z planem odbyły się dwa spotkania biograficzne. Spotkanie w Niemczech zostało przeprowadzone w lecie 2015 roku – od 17 do 19 lipca. Obok dwóch prowadzących – Axela Schmidta-Gödelitz i prof. Karola Czejkara, wzięło w nim udział pięcioro Polaków i pięcioro Niemców.

Konferencja biograficzna w Puławsku została przesunięta z jesieni 2015 r. na wiosnę: od 31 marca do 2 kwietnia 2016 r. W rozmowach biograficznych w Puławsku wzięło udział wraz z prowadzącymi jedenaście osób (sześć osób Niemców i pięcioro Polaków). W Puławsku ogółem w konferencji brało udział dziewiętnaście osób.

Współpraca i zaangażowanie partnerów

Przygotowanie i organizację konferencji biograficznych za każdym razem przejmowali gospodarze, w Puławsku prof. Czejkarek i jego współpracownicy, w Gödelitz Axel Schmidt-Gödelitz i jego team. Energiczne wsparcie osób zaangażowanych w projekt były ważnymi elementami jego realizacji. Szczególnie warto podkreślić zaangażowanie dr Marty Milewskiej (organizacja i opieka nad gośćmi), dr Katarzyny Gawor (tłumaczenia i opieka nad gośćmi) i Magdaleny Czejkarek (wsparcie merytoryczne i organizacyjne), jak również dr. Andreasa Wanga (organizacja i prezentacja książki) oraz dr. Helmuta Bauera (opieka nad gośćmi w Berlinie, m.in. odnalazł i pokazał miejsce dawnego obozu pracy przymusowej, do którego Rektor AH, będąc dzieckiem, został wywieziony z matką i siostrą w czasie drugiej wojny światowej. Odwiedziny tego miejsca były dla profesora Koseskiego bardzo ważne).

Obaj partnerzy byli odpowiedzialni za pozyskanie uczestników, a przebieg rund biograficznych był wynikiem wspólnych ustaleń.

Prof. Czejkarek i jego współpracownicy troszczyli się o to, aby wszyscy uczestnicy dotarli na czas do Puławsku, a po zakończonym spotkaniu – punktualnie dojechali na warszawskie lotnisko lub dworzec, udając się w podróż

powrotną. W czasie spotkań w Gödelitz Axel Schmidt-Gödelitz zatroszczył się, aby przewieźć polskich uczestników z berlińskiego dworca do Gödelitz, a następnie z Gödelitz ponownie na dworzec w Berlinie.

Prezentacja książki „Historia pamięcią pisana. Biografie polsko-niemieckie”

16.07.2015 roku zaprezentowaliśmy książkę „Historia pamięcią pisana. Biografie polsko-niemieckie” w polskiej księgarni w Berlinie-Neukölln. Gośćmi z Polski byli: prof. dr hab. Adam Koseski i prof. Karol Czejarek, z Berlina: Axel Schmidt-Gödelitz i doktor Andreas Wang, który poprowadził spotkanie. Około 70 uczestników wysłuchało informacji o książce i z dużym zainteresowaniem uczestniczyło w dyskusji o niej. Z radością przyjęli wiadomość, że ma powstać druga część książki nt. biografii polsko-niemieckich.

Przebieg rozmów biograficznych w Gut Gödelitz

Spotkanie biograficzne rozpoczęło się o godz. 17:00 w Gut Gödelitz. Uczestnicy zostali powitani kawą i herbatą. Po wspólnej kolacji odbyła się runda zapoznawcza; każdy uczestnik przedstawiał się, a następnie – przy lampce wina – prowadzono swobodne rozmowy. Spotkania „biograficzne” rozpoczęły się w sobotę rano. Odbyły się w czterech blokach: sobota rano, sobota po południu, sobota wieczorem i niedziela rano. Program był wypełniony 12 biografiami – uczestnicy mieli do dyspozycji po 45 minut każdy. Po przedstawieniu biografii był jeszcze czas na zadawanie pytań, umożliwiających dogłębne zrozumienie prezentowanych biografii oraz na wymianę poglądów. Pomiedzy każdą prezentacją była krótka przerwa na kawę i ewentualnie na dalsze indywidualne rozmowy.

Po obiedzie uczestnicy odbywali wspólny spacer przez pomieszczenia Gut Gödelitz. Również sobotni wieczór zakończył się rozmowami po kolacji (przy kominku). W niedzielę, zanim spotkanie zakończyło się wspólnym obiadem, odbyła się runda podsumowująca. Oficjalna część spotkania odbywała się po niemiecku – wszyscy polscy uczestnicy władali językiem niemieckim. Dwóch niemieckich uczestników wykazało się dobrą znajomością języka polskiego, którego używali podczas przerw w czasie prywatnych rozmów z Polakami.

Przebieg rozmów biograficznych w Pułtusk

Zostały one rozpoczęte powitaniem uczestników przez Rektora Adama Koseskiego oraz przemówieniami prowadzących – prof. Karola Czejarka i Axela Schmidta-Gödelitz. Po czym wszyscy uczestnicy kolejno przedstawiali się.

Pierwszy wieczór uświetnił koncert Pułtuskiej Orkiestry Młodzieżowej, otwarto też wystawę fotograficzną „Pułtusk nocą”. Po powrocie uczestników do Domu Studenta, gdzie wszyscy byli zakwaterowani, była możliwość spotkań indywidualnych przy lampce wina. Rozmowy biograficzne były prowadzone przez całą sobotę. Po obiedzie nastąpiła dłuższa przerwa pozwalająca na zwiedzenie miasta. Między innymi uczestnicy zwiedzali Bazylikę (Zwiastowania Najświętszej Marii Panny), która jest symbolem historii i rozwoju Pułtusza. Odwiedzono także Zamek, Muzeum Miasta oraz miejsce upamiętniające pomordowanych w czasie holokaustu Żydów.

Wieczorem „Akademia” zaprosiła uczestników na uroczystą kolację, w której uczestniczyli też inni współpracownicy organizatorów.

W sobotę rano uczestnicy mieli możliwość podzielić się swoimi wrażeniami, sugestiami i krytycznymi uwagami dotyczącymi spotkania. Oprócz tego wymienili opinie na temat obecnych relacji niemiecko-polskich, możliwych perspektyw i rozwoju dwustronnych stosunków. Dwóch wykładowców Akademii przedstawiło swoje projekty badawcze, które będą realizowane przez Centrum Badań Niemcoznawczych Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora i ost-west-forum Gut Gödelitz. Prof. dr hab. Tomasz G. Pszczółkowski mówił o projekcie „Kultury pamięci w Polsce i Niemczech”. Dr Krystyna Kamińska przedstawiła temat „Małżeństw mieszanych”.

Motywacja uczestników

Informacje na temat rozmów biograficznych były rozpowszechniane poprzez sieci ost-west-forum i Akademii Humanistycznej. Oprócz tego była lista oczekujących, którzy zgłosili się już na wcześniejsze spotkania, ale wskutek ograniczonej liczby miejsc – nie mogli dotąd wziąć w nich udziału. W czasie obu spotkań był równy podział na mężczyzn i kobiety, na Niemców i Polaków. Zgodnie z planem – grupy składały się z ludzi w różnym wieku. Najmłodsi uczestnicy mieli po trzydzieści lat, a najstarszy uczestnik miał ponad osiemdziesiąt.

Ośmiu polskich i troje niemieckich uczestników pracuje na uniwersytecie lub przy projektach uniwersyteckich dotyczących projektów niemiecko-polskich. Do udziału w rozmowach biograficznych akademicy zgłaszają się z własnej inicjatywy, natomiast uczestnicy spoza tego środowiska są pozyśkiwani najczęściej dzięki poleceniom wcześniejszych uczestników. Prof. Czejarek tym razem celowo zwrócił się do akademików – ponieważ mogą oni przez swoje kontakty rozpowszechniać wiedzę o niemiecko-polskich rozmowach biograficznych, także wśród studentów. W spotkaniach wzięło udział, m.in.: trzech nauczycieli, dwóch pisarzy, dziennikarz, prof. inż. rolnik, kryminolog, pracownica muzeum i urzędniczka.

Tak jak w czasie poprzednich spotkań, większość uczestników czuła się blisko związana z drugim krajem – dzięki powiązaniom rodzinnym lub dłuż-

szym pobytom w Niemczech albo w Polsce. Ale nadal odczuwają niedosyt wiedzy o sobie, jako o sąsiadach. Wypełnienie tej luki było jedną z motywacji do wzięcia udziału w spotkaniu, połączonego z nadzieją nawiązania trwalszych osobistych kontaktów.

Motywacją uczestników konferencji, jest też potrzeba bezpośredniego zaangażowania się w polsko-niemieckie biografie i pogłębiania polsko-niemieckiego dialogu w duchu porozumienia i pojednania.

Cele i rezultaty projektu

Celem spotkań biograficznych jest zbliżenie pomiędzy Polakami i Niemcami, przekazywanie wiadomości, likwidacja uprzedzeń i nawiązanie trwałych kontaktów. Uczestnicy mają za zadanie przenieść doświadczenia zdobyte dzięki rozmowom biograficznym do swojego prywatnego i zawodowego środowiska. Aby pozyskać większy krąg osób i zachować tę wiedzę dla przyszłych pokoleń – biografie zostały też opublikowane.

Jak w czasie poprzednich spotkań, uczestnicy rundy biograficznej dysponowali dużą wiedzą na temat wzajemnego sąsiedztwa, ale to spotkanie jeszcze poszerzyło ich znajomość tematu i przede wszystkim skorygowało dotychczasowe o sobie wyobrażenia.

Dzięki historiom życia niemieccy uczestnicy uświadomili sobie, że istnieją obszary w stosunkach polsko-niemieckich, którym nie poświęcali dotychczas wystarczającej uwagi lub byli niedostatecznie uwrażliwieni na te kwestie. Okres niemieckiej okupacji pomiędzy rokiem 1939 a 1945, jest nadal bardzo żywy w polskiej pamięci, także wśród młodego pokolenia. Wspomnienia z tego okresu po niemieckiej stronie są mniej wyraziste. Wśród młodych Niemców świadomość cierpień, jakich przysporzyli Polakom ich przodkowie, jest obecna jedynie u osób zajmujących się tym okresem historii.

Innym ważnym tematem, jaki uczestnicy poruszali, były animozje i nieporozumienia, powstałe pomiędzy NRD a dawną Polską Ludową, a które częściowo pokutują do dziś.

Prezentacja biografii stała się też przyczynkiem do dyskusji nad dzisiejszym obrazem Polski w Niemczech i Niemiec w Polsce.

Obraz Niemców jest w Polsce wciąż jeszcze postrzegany przez pryzmat drugiej wojny światowej i wspomnień z tego okresu. Dwóch młodszych polskich uczestników przyznało, że dopiero dzięki osobistym kontaktom udało im się pokonać negatywne nastawienie do Niemców. Wielu Niemców uważa polskiego sąsiada za kraj mało nowoczesny i mniej europejski niż ma to miejsce w rzeczywistości. W konsekwencji Polacy odnoszą wrażenie, że Niemcy nie starają się docenić polskich osiągnięć gospodarczych.

W rundzie podsumowującej stwierdzono, że dzięki poznaniu życiorysów innych uczestników, udało im się spojrzeć na relacje polsko-niemieckie z nieco innej, polskiej i niemieckiej perspektywy.

Wszyscy uczestnicy podkreślali, że rozmowy biograficzne są ważnym wkładem w stosunki polsko-niemieckie i powinny być kontynuowane. Przyszłość tych relacji będzie kształtowana przez młode pokolenia, dlatego chcemy pozyskać jeszcze więcej niż dotychczas młodych ludzi, jako uczestników rozmów biograficznych.

Uczestnicy byli zgodni co do tego, że dla relacji polsko-niemieckich istotne będzie zajmowanie się polsko-niemiecką historią. Dla postępującej bliskości ważne jest, żeby wiedzieć, jak kształtują się współczesne drogi życia i jak aktualna polityka wpływa na realizację planów.

Aby mogła tego doświadczyć jak największa liczba ludzi – biografie – wzorem książki „Historia pamięcią pisana” – będą publikowane.

Lista dotychczasowych uczestników spotkań biograficznych

Helmuth BAUER	Michał KULIK
Peter BRANDT	Frank KUTZNER
Erhard BRÖDNER	Cornelia LÖHLEIN
Maria BRYSCH	Robert MAŁECKI
Andreas BUCHWALD	Anna MASTALEREK
Jan CHRIST	Mariusz MEDEŃSKI
Lech CHYBOWSKI	Stefan MICHAELSEN
Karol CZEJAREK	Marta MILEWSKA
Dominika DEJ	Bogdan MROZIEWICZ
Iwona DOBKOWSKA	Wolfgang NICHT
Teresa GRAUER	Agnieszka OZDARSKA
Marian DYGO	Jörg PETERSEN
Katarzyna GAWOR	Christian PFEIFFER
Krzysztof GARCZEWSKI	Tomasz G. PSZCZÓŁKOWSKI
Anna GÓRAJEK	Piotr ROGUSKI
Mirosław Tadeusz GÓRNY	Ewelina SARNECKA
Kurt HEIMANN	Halina STANO
Siegfried HERZIG	Ursula SAX
Barbara HICKETHIER	Bernhard SCHAWOHL
Walter HUNGER	Axel SCHMIDT-GÖDELITZ
Beata JANKOWSKA	Julia SCHUCH
Renata KACZKOWSKA	Felicitas SÖHNER
Krystyna KAMIŃSKA	Hans Ulrich SUDEK
Rolf KARBAUM	Hartmut TOPF
Josef KRÖGER	Anna WARAKOMSKA
Adam KOSESKI	Eckart WEIßER
Albert KOTOWSKI	Dariusz WOJTASZYN

Umowa o współpracy między Stowarzyszeniem „ost-west-forum Gut Gödelitz” e.V. a Akademią Humanistyczną im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusk

Obie strony po wieloletniej już współpracy i jej rezultatach postanawiają:

1. Kontynuować i systematycznie rozszerzać wzajemne kontakty przez: organizowanie seminariów, konferencji naukowych i wydawanie wspólnych, dwujęzycznych publikacji, wzorem wcześniej wydanych książek: *Polska między Niemcami a Rosją* oraz *Historia pamięcią pisana. Biografie polsko-niemieckie*;
2. Zainicjować badania porównawcze w zakresie „Kultury pamięci w Polsce i w Niemczech”;
3. Podjąć problematykę „Małżeństw mieszanych”, jak też współczesnego rozumienia zagadnienia „Tożsamości narodowej”

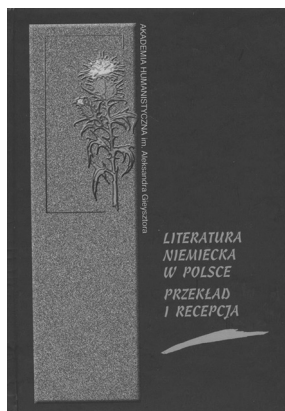
Ponadto strony postanawiają:

4. Systematycznie spotykać się w celu dokonywania oceny podjętych działań;
5. Wspólnie zdobywać dla realizacji w/w zamierzeń stosowne środki finansowe;
6. Raz w roku sporządzać bilans postępu realizacji wspólnych zamierzeń;
7. Zorganizować w roku 2015 dwa kolejne seminaria dotyczące polsko-niemieckich „Biografii” (w Gödelitz i w Pułtusk);
8. Doskonalić formy współpracy, m.in. poprzez formalne umocnienie stałego przedstawicielstwa O-W-F w Warszawie;
9. Strony postanawiają też przekazać do ost-west-forum Gödelitz 200 egz. książki *Historia pamięcią pisana. Biografie polsko-niemieckie*, celem jej sprzedaży w Niemczech (w cenie 23,00 Euro za egz.) Rozliczenie ze sprzedanych książek nastąpi do końca października 2015 r.

W przekonaniu o słuszności podjętych działań służących pogłębieniu wzajemnie korzystnych kontaktów i stosunków polsko-niemieckich – niniejszą umowę podpisują:

Axel Schmidt-Gödelitz
Adam Koseski

Pułtusk – Gut Gödelitz, styczeń 2015 r.



Literatura niemiecka w Polsce.
Przekład i recepcja. Pod redakcją Eugeniusza
 Czaplewicza i Janusza Rohozińskiego,
 Wydawnictwo Akademii Humanistycznej
 im. Aleksandra Gieysztora.
 Pułtusk, stron 335.

Karol Czejarek poleca: Książkę Eugeniusza Czaplewicza i Janusza Rohozińskiego

O baj autorzy są profesorami Akademii Humanistycznej (i mają na swoim koncie wiele innych ważnych publikacji), a ich książka ukazała się w ramach serii „Z Ostem”, ale „ostem” nie jest, gdyż napisana została z perspektywy stosunków polsko-niemieckich. Jest książką dialogu, rozszerzającą ten „dialog” także poprzez literaturę piękną, m.in. twórczość wielkiego Goethego, a także mniej znanych: Wolframa von Eschenbacha, Eduarda Mörike czy Henryka von Ofterdinden Novalisa.

Książka przybliży również twórczość takich pisarzy, jak m.in. Hölderlina, Celana, Heideggera. Nie zabrakło też analizy recepcji w Polsce dzieł Güntera Grassa, czy słynnego „Fausta” Goethego. Jeśli chodzi o Goethego – czyni to na przykładzie I części tego wielkiego dramatu, jakim jest tragedia „Fausta”, nota bene – znakomicie przełożonego prozą (!) przez profesora Uniwersytetu Warszawskiego i Akademii Humanistycznej – Andrzeja Lama.

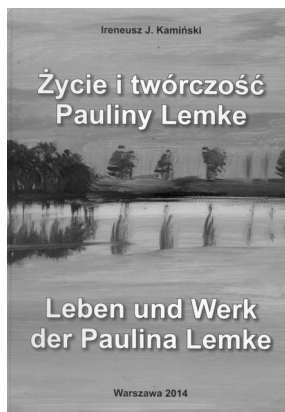
Przekładom profesora Lama chciałbym przy okazji poświęcić kilka zdań, gdyż są ewenementem w polskiej i światowej translatoryce. Andrzej Lam dokonał bowiem dzieła niezwykłego, przełożył na język polski najważniejszą (z punktu widzenia jej wkładu w literaturę światową) – całą „postępową” lirykę naszego zachodniego sąsiada. Nikt tego przed nim nie dokonał. A piszącemu te słowa marzy się, aby wszystkie te „perełki” przekładowe wydało Wydawnictwo AH, w ramach planowanej serii: „Kolekcja klasyczna poezji niemieckiej w przekładzie Andrzeja Lama”, w której już się ukazał „Faust I”. To byłoby dzieło na miarę światową. Gdyby tylko znalazł się sponsor finansowy tej serii – jest ona do zrealizowania „od ręki”. Gdyby Ktoś

z Państwa – PT Czytelników niniejszych Biografii polsko-niemieckich, był gotów na taki sponsoring, powitany będzie przez Międzywydziałowe Centrum Badań Niemcoznawczych AH z wdzięcznością, a tym samym stanie się współtwórcą niepowtarzalnego dzieła, jakiego dotąd nie było w polskim piśmiennictwie.

Ale wracając do książki „Literatura niemiecka w Polsce”. Jest ona cenną pozycją dla tych, których interesuje percepcja literatury niemieckiej w Polsce i w ogóle literatura niemiecka. Książka ukazuje także strategie translatorskie. Daje też – np. przez artykuł Eduarda Brödnера – wgląd w sytuację literatury polskiej w Niemczech. Zawiera również refleksję na temat dzieła Kafki, jako pewnego wariantu wielokulturowości.

Autorami tekstów są: Eugeniusz Czaplewicz, Eduard Brödnier, Andrzej Lam, Jan Koźbial, Anna Król, Eligiusz Szymanis, Tomasz Wójcik, Daniel Kalinowski, Piotr Roguski, Edward Kasperski, Magdalena Latkowska, Wiesław Rzońca i Bożena Karwowska. (Książka jest do nabycia w Dziale Wydawnictw AH).

Książkę wydrukowała na zlecenie Akademii „Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR”. Ta sama, która jest wydawcą niniejszych Biografii.



Ireneusz J. Kamiński:
Życie i twórczość Pauliny Lemke
 (Leben und Werk der Paulina Lemke),
 Oficyna Wydawniczo-Poligraficzna „ADAM”,
 Warszawa 2014

Album o życiu i twórczości Pauliny Lemke

Dlaczego postanowiłem w „Biografiach” o tej książce napisać? Gdyż stanowi swoisty „pomost” łączący kulturę Polaków i Niemców, łamiący stereotypy i dlatego, iż sama w sobie też jest biografią.

Paulina Lemke (osoba dziś ponad dziewięćdziesięcioletnia) nie tylko wspaniale maluje, o czym świadczy przepiękna książka/album o niej, ale w sposób niestrudzony wykazała się aktywnością w nawiązywaniu kontaktów Polaków i Niemców i to zanim nasze państwa zaczęły partnersko współpracować ze sobą w ramach Unii Europejskiej na podstawie Traktatu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy. Mimo że w r. 1943 zmuszono ją do niewolniczej pracy u Niemców. (Na marginesie podkreślę, iż tamte fakty, wciąż jeszcze czekają na rzetelny opis i ocenę, wyzbytą z uprzedzeń i politycznej zjadłości). Paulina Lemke ur. w 1924 r. w Polanówce na Lubelszczyźnie, od wielu lat mieszka w Düsseldorfie. (Książka ukazała się też w j. niemieckim – pod kierownictwem Henryka J. Dechnika – syna malarzki. Zaś jej autorem jest wybitny znawca kultury polskiej za granicą, prof. UMCS i KUL Ireneusz Kamiński).

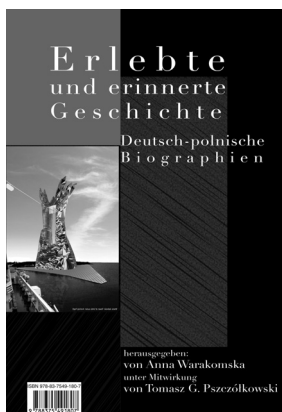
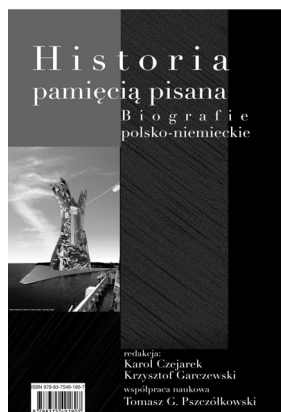
Kim jest Paulina Lemke?

To kobieta „Renesansu”! Człowiek – instytucja! Pielęgniarka, nauczycielka, rysownicza, artystka malarka, także dziennikarka i publicystka, śpiewaczka chóralna, działaczka organizacji polonijnej w Niemczech. Wychowywała w polskość także własnego syna i jego córki. Jest osobą, która na każdym kroku w Niemczech była dumna ze swej polskości. Moja żona poznała ją, jadąc pociągiem z Hannoveru do Warszawy; była także gościem w naszym

domu. Dla jednego z moich b. studentów w Instytucie Lingwistyki Stosowanej – Leszka Wróbla – jest ciocią (jaki ten świat jest mały – chciałoby się powiedzieć). To wszystko powody, dla których tak żarliwie kreślę jej człowieczy portret. Chwała Artystce nie tylko za sztukę, ale szczególnie za tę „polskość”, którą przez całe życie krzewi wśród Niemców. Zainicjowała tam wiele akcji społecznych, m.in. zbieranie pieniędzy na Centrum Zdrowia Dziecka i Zamek Królewski w Warszawie, na Szpital Matki Polki w Łodzi, czy Dom Polonii w Puławach!

Jej malarstwo to duchowa uczta. Jest piękne i wzruszające. Przemawia kolorami – zwłaszcza kwiaty i pejzaże, ale również domy i sportretowani na jej obrazach ludzie. Artystka przybliżyła nam świat, którego w codziennym zabieganiu nie dostrzegamy. Namalowała w swoim życiu setki obrazów – w tym dużo na temat jej ukochanego Krakowa, także innych miast polskich, ale również niemieckich. Mnie osobiście – z tego, co oglądałem w albumie – spodobała się „Zima w Nałęczowie”, „Kwitnące drzewa w Polanówce”, „Jezioro Krynickie i okoliczne pola”, „Jarmark w Kazimierzu Dolnym” i „Autoportret w lustrze z roku 1949”.

Jeśli prof. Ireneusz J. Kamiński (autor książki) zaliczył Artystkę do pantheonu najznakomitszych polskich kolorystów – Eibischa, Pronaszko, Rzepińskiego, to ja nie mogę już do tego dodać cokolwiek. Mogę tylko przyklasnąć! To malarstwo (i życie) wyrażające radość, zachwyt, ale także wielką tęsknotę i umiłowanie Polski.



*Historia pamięcią pisana. Biografie polsko-niemieckie * Erlebte und erinnerte Geschichte. Deutsch-polnische Biographien*, herausgegeben von Karol Czejarek und Krzysztof Garczewski (polnischsprachiger Teil) sowie von Anna Warakomska (deutschsprachiger Teil) unter Mitwirkung von Tomasz G. Pszczółkowski, Pułtusk 2014, mehr als 700 Seiten, Harteinband, Großhandel PLN 45.00.

Historia pamięcią pisana... (o I cz. biografii polsko-niemieckich)...

...to książka na pewno warta przeczytania! Zawiera 38 polsko-niemieckich biografii (w słowie wstępnym Karola Czejarka jest informacja, jak powstała). Ocenę wartości naukowej tych biografii (książki) dokonał germanista i politolog prof. Tomasz G. Pszczółkowski, a wersję niemiecką zredagowała dr hab. Anna Warakomska z Instytutu Germanistyki UW. Książka ukazała się w dwu językach: polskim i niemieckim.

Wszystkie (absolutnie wszystkie!) zawarte w niej teksty są wyjątkowym przekazem historycznych faktów, bez zrozumienia których dzisiejsze pojednanie z Niemcami (w ramach UE i dobrosąsiedzkiej współpracy) byłoby niemożliwe.

Książka ukazała w 75. rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej (jest też publikacją uświetniającą 20. rocznicę powstania Akademii Humanistycznej). We wstępie do niej czytamy, m.in., że w Polsce pamiętamy o: napaści hitlerowskich Niemiec na Polskę w roku 1939, która zapoczątkowała II wojnę światową. Pamiętamy o brutalnej eksterminacji narodu polskiego (nie tylko żydowskiego) w latach 1939–1945, o okupacji Polski, która na mocy rozkazu Hitlera została przekształcona w Generalną Gubernię i mia-

ła być zrównana z ziemią; pamiętamy o dokonaniu de facto IV rozbioru Polski (na podstawie tajnego Paktu Ribbentrop-Mołotow) i straszliwych gwałtów na ludności cywilnej w latach 1939–1945; pamiętamy o założeniu niemieckiego obozu zagłady w Oświęcimiu i obozów w innych miejscach na terenie okupowanej Polski; pamiętamy o totalnym zniszczeniu Warszawy, wypędzeniu jej mieszkańców z miasta i wywiezieniu do obozów koncentracyjnych i obozów pracy przymusowej w Niemczech (po upadku powstania warszawskiego). Co nie oznacza, że nie doceniamy dzisiejszej normalności w stosunkach między naszymi krajami.

Wyrażę też do końca swój pogląd na kwestię przebaczenia i pojednania. Niemcy, to dzisiaj inny niż przed 65 laty kraj, to przede wszystkim modelowa demokracja rzetelnie budowana od podstaw. Państwo to jest dzisiaj nie tylko największym partnerem handlowym Polski, ale też aktywnie popierało starania Polski o uzyskanie członkostwa w UE, przyczyniło się do przyznania jej środków z budżetu UE na lata 2006–2013 i 2014–2020, dzięki czemu Polska nie tylko odrobiła dystans cywilizacyjny, lecz aspiruje dzisiaj do krajów najbardziej rozwiniętych w świecie.

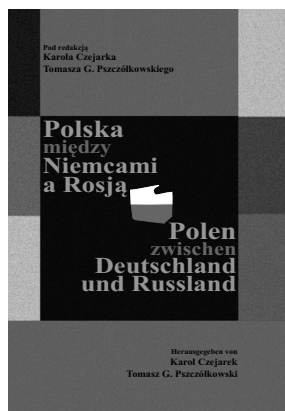
Najważniejsze jest jednak to, że książka dokumentuje, m.in., jak udaje się przełamać wielowiekowe uprzedzenia między Polakami a Niemcami, rozwijając dynamikę partnerskich kontaktów, zwłaszcza gospodarczych (ale nie tylko). Że udało się doprowadzić do normalności wzajemne relacje, zwłaszcza młodego pokolenia, nieobciążonego już przeszłością, choć daleko jeszcze do stanu idealnego, ale właśnie dlatego wydawanie takich książek, jak „Historia pamięcią pisana” ma sens, bowiem ten pozytywny proces normalizacji wzajemnie korzystnych stosunków między Polską a Niemcami – musi być kontynuowany. Ta idea legła również u podstaw spotkań biograficznych, na bazie których zrodziła się nie tylko ta książka, ale i obecna, będąca dalszą częścią poprzedniej. I dodajmy, że **POJEDNANIE NIEMCÓW I POLAKÓW JEST WAŻNE DLA POKOJU W EUROPIE I NA ŚWIECIE**.

Teksty w książce ułożone zostały alfabetycznie, a ich autorzy – to ludzie bardzo różnych zawodów (nie tylko naukowcy). To także mieszanka pokoleń. Zwierzenia poszczególnych osób są autentyczne i szczerze – przejmująco szczerze, i zostały podpisane prawdziwym imieniem i nazwiskiem. Są dokumentem historii, czasów nie tylko wojny, ale i przemian, które nastąpiły zarówno w Polsce, jak i w Niemczech. Są dokumentem wiedzy o ludziach, którzy doznali skutków najtragiczniejszej z wojen. Są głosem w obronie pokoju, budowania wzajemnych relacji opartych na tolerancji, demokracji i prawach człowieka; łamią stereotypy, które nadal są groźne i sprzyjają podziałom, gdyż nie potrzebują żadnego udowodnienia.

Jeśli chodzi o Niemców, to wypowiadają się młodzi i starsi. Ci, którzy wojnę przeżyli, ale i tacy, którzy urodzili się już po jej zakończeniu i byli świadkami dziejowych przemian od wrogości do normalności pomiędzy naszymi narodami i bez wahania stanęli na moście pojednania i współpracy,

nosząc w sobie brzemień winy. Napisali swoje artykuły zwykli ludzie i artyści, pisarze, ksiądz katolicki, nauczyciel, profesorowie wyższych uczelni. Po każdym tekście jest notka o jego autorze. Wszystkie teksty razem wzięte, czyta się jak powieść. O faktach, które przeżyli piszący.

Aby książka była dostępna zarówno na rynku polskim, jak i niemieckim, została wydana w dwóch językach. Jest bowiem źródłem wiedzy dla dalszych badań nad losami ludzi i ich przeżyć.



Polska między Niemcami a Rosją pod redakcją Karola Czejarka i Tomasza G. Pszczółkowskiego, Akademia Humanistyczna im. Aleksandra Gieysztora, stron 408, twarda oprawa, Pułtusk 2011

Polska między Niemcami a Rosją

Książka ukazała się nakładem Wydawnictwa AH we wrześniu 2011 roku, liczy ponad 400 stron i jest rezultatem kolokwii zorganizowanych w Niemczech (w Gödelitz) i w Pułtusk przez niemieckie Forum Wschód Zachód (ost-west-forum GUT Gödelitz) i Akademię Humanistyczną im. Aleksandra Gieysztora.

Nadrzędnym celem kolokwii było wypracowanie form działania poprzez naukowców i dziennikarzy, także polityków i ludzi kultury zajmujących się problematyką określoną w tytule, aby relacje w trójkącie Polska – Niemcy – Rosja były coraz lepsze, owocowały przełamaniem wciąż istniejących stereotypów i służyły budowaniu wzajemnych, wszechstronnych stosunków na zasadzie partnerstwa i zaufania. Szczególnie w zakresie wspólnych badań naukowych i dydaktyki na kierunkach humanistycznych, nauczania języków obcych, przybliżania Rosji do Unii Europejskiej, jak i obecności kultury trzech krajów zarówno w Polsce, Niemczech jak i w Rosji.

Niemcy i Rosja są największymi sąsiadami Polski, stąd w książce podjęto kompetentną próbę oceny aktualnych stosunków polsko-niemiecko-rosyjskich po roku 1990, ukazania złożonego zagadnienia „Niemcy i Rosja” w polskiej polityce historycznej, a także w aspekcie współpracy polsko-niemieckiej w UE oraz w ramach realizowanej przez Unię polityki wschodniej z Rosją.

Na książkę – ukazującą się w języku niemieckim i w polskim – składa się szereg znakomitych artykułów, oto niektóre z nich: *Polska między Niemcami a Rosją – przekleństwo historii?* (Dariusz Wojtaszyn), *Polska z rosyjskiej perspektywy historycznej od XVIII wieku do dzisiaj* (Ekaterina Makhotina), *Stosunki niemiecko-polskie do roku 1990, z uwzględnieniem relacji niemiecko*

-rosyjskich (Peter Brandt), *Polskie reperkusje polityki energetycznej Niemiec i Rosji* (Adam Koseski), *Wspólne podręczniki, jako środek do przewyższenia etnocentrycznych wizji historii* (Tomasz G. Pszczółkowski), *„Fundacja Ucieczka, Wypędzenie, Pojednanie” jako problem polityczny w stosunkach polsko-niemieckich* (Krzysztof Garczewski), *Polska–Niemcy–Rosja: nowa oś współpracy w Europie* (Nikolay Mezhevich), *O stosunkach polsko-niemieckich z perspektywy zwykłych ludzi* (Anna Górajek). W dalszym ciągu bowiem długa jest lista wzajemnych uprzedzeń, których korzenie sięgają głęboko w przeszłość, rzutując na „ich normalność” w stosunkach współczesnych. Książka próbuje ukazać całą złożoność tego zagadnienia i wskazać, co należy zrobić, aby stosunki obecne były coraz lepsze i nieobciążone mitycznym zagrożeniem przed utratą suwerenności państwa polskiego (choć miało ono miejsce w przeszłości, a szczególnie sporo złego pozostawiły po sobie tragiczne wydarzenia II wojny światowej).

Aż kilku profesorów z Akademii Humanistycznej w Puławach, z jej JM Rektorem AH prof. dr hab. Adamem Koseskim na czele, wzięło aktywny udział w kreowaniu publikacji, zamieszczając w niej rezultaty swych prze-myśleń wynikających z prowadzonych badań. Są to (oprócz już wymienionego prof. Adama Koseskiego), m.in. prof. prof.: Marian Dygo, Zbigniew Leszczyński, Tomasz G. Pszczółkowski, Piotr Roguski i Karol Czejarek. Warto też zwrócić uwagę na artykuł jednego ze współorganizatorów kolokwium Axela Schmidta – Gödelitz, który zatytułował swój wywód *Budowa mostu pomiędzy Polakami a Niemcami na przykładzie wspólnych losów i doświadczeń życiowych*. Ten „most” między Polakami a Niemcami, ale też Polakami i Rosjanami – ta publikacja próbuje dokumentować i umacniać.



Tomasz G. Pszczółkowski, *Deutschland – Polen: Eine kulturkomparatistische Untersuchung*, transcript Verlag Bielefeld 2015, 240 Seiten, kart., ISBN 978-3-8376-3273-6, Print und E-Book 32,99 €, <http://www.transcript-verlag.de/978-3-8376-3273-6/deutschland-polen-eine-kulturkomparatistische-untersuchung>

Polecamy książkę *Niemcy – Polska: Studium komparatystyczno-kulturowe*

Komparatystyka zwykle kojarzona jest z dyscyplinami filologicznymi – językoznawstwem i literaturoznawstwem. Faktycznie jednak we wszystkich naukach humanistycznych i społecznych stosowane są metody porównawcze, które zwłaszcza w studiach nad poszczególnymi krajami okazują się przydatne. Tomasz G. Pszczółkowski podjął w swej książce wydanej w Niemczech pt. *Deutschland – Polen: Eine kulturkomparatistische Untersuchung* rozważania metodologiczno-terminologiczne na temat porównywania kultur oraz o ich egzemplifikacjach w przestrzeni językowej, historycznej, społecznej i politycznej Niemców i Polaków. Opracował jedynie w swoim rodzaju systematykę pól porównywania kultur, którą można wykorzystać jako inspirację do dalszych badań porównawczych nad kulturą obu narodów.

Pojęcie komparatystyki zostało zaanektowane przez literaturoznawców i językoznawców do prowadzonych przez nich studiów porównawczych, w centrum których znajdują się badania nad literaturami i językami różnych kultur. Pojęcie komparatystyki kulturowej używane przez Pszczółkowskiego wykracza poza wąskie jej pojmowanie i obejmuje niemal wszystkie dziedziny nauk humanistycznych i społecznych, w których są prowadzone, bądź warte podjęcia, badania porównawcze dotyczące Niemiec i Polski.

Nowatorstwo książki polega na tym, że przełamuje ona ograniczoną zwykle do literaturoznawstwa perspektywę komparatystyki, a zamiast tego proponuje ujęcie jej w kontekście szeroko rozumianej kultury. Książka w swym założeniu ma być zachętą do refleksji nad rodzimymi i obcymi wartościami,

tradycjami, doświadczeniami historycznymi, procesami społecznymi oraz bieżącymi kwestiami politycznymi, istotnymi dla wszystkich, którzy nie tylko uprawiają studia porównawcze nad danymi krajami, ale również interesują się wykorzystaniem ich wyników w praktyce wzajemnych relacji Niemców i Polaków.

Podstawowa idea książki zawiera się w hasle: Uczmy się od sąsiada i inspirujmy się jego doświadczeniami! Autor nie nawiązuje do żadnych debat badawczych dotyczących komparatystyki, ponieważ te dotyczą zagadnień z kręgu literaturoznawstwa, zaś to, co stanowi istotę nieliteraturoznawczej komparatystyki kulturowej jest przez nią pomijane, czyli porównania w sferach gospodarki i społeczeństwa, polityki i wychowania, prawa i religii itd. W książce te pola porównywania kultur są właściwym tematem rozważań.

Książka adresowana jest do szerokiego kręgu czytelników: niemcoznawców i badaczy spraw polskich, nauczycieli i ogółu ludzi zainteresowanych porównaniami kulturowymi między Niemcami i Polakami, także do praktyków życia społecznego i politycznego w obu krajach, a także do decydentów politycznych, którzy często poszukują oryginalnych rozwiązań, gdy tymczasem zostały one już wypróbowane w kraju sąsiada. Uświadomienie tym ostatnim możliwości korzystania ze sprawdzonych gdzie indziej rozwiązań było jednym z głównych motywów do napisania książki.

Studium służy ukazaniu różnych aspektów polsko-niemieckich badań porównawczych w sferze szeroko rozumianej kultury.

VI. O autorach

Antonina ABRAMIUK, ur. 03.12 1928 r. we Francji, od 1932 r. mieszkająca w Polsce, skąd w 1940 r. została wywieziona do Niemiec.

Inżynier, od 1982 roku na wcześniejszej emeryturze. Tłumacz przysięgły. Niepoprawna optymistka, ciągle ciekawa świata i ludzi. Zapalona bibliofilką. Od zawsze „pożeraczka” różnych książek, zarówno polsko-, jak i niemieckojęzycznych. Zainteresowania wielorakie, dotyczące także zagadnień mało znanych, w tym np. z zakresu parapsychologii i radiestezji. Rodziny nie posiada. Mieszka w Szczecinie.

Axel SCHMIDT-GÖDELITZ, urodził się w Gödelitz 6 kwietnia 1942 roku. Po zajęciu przez Rosjan i znacjonalizowaniu majątku ziemskiego rodziców, rodzina wyemigrowała do Niemiec Zachodnich. Studiował nauki polityczne oraz ekonomię w Berlinie i we Francji. Po ukończeniu studiów pracował jako dziennikarz. W latach 1976–1981 był pracownikiem stałego przedstawicielstwa RFN w Niemieckiej Republice Demokratycznej, w Berlinie Wschodnim (stolicy NRD). Potem pracował, jako koordynator projektów w Fundacji Eberta w Egipcie i w Chinach. W latach 1990–2003 – dyrektor biura Fundacji (Friedrich-Ebert-Stiftung) w Berlinie. Założyciel Stowarzyszenia ost-west-forum Gut Gödelitz.

Żonaty, ma dwóch dorosłych synów. Wielki zwolennik niemiecko-polskiego pojednania i współpracy.

Helmuth Julius BAUER urodził się 18 czerwca 1943 roku w Ulm nad Dunajem.

Czyli latem czwartego roku wojny, już po klęsce Niemców po Stalingradem. Jego ojciec – Julius Christian Bauer – służył w stopniu sierżanta w Wehrmachcie od roku 1941 do końca wojny, w jednostce sanitarnej na froncie wschodnim. Matka – Hedwig Maria z domu Winkler – przeżyła z Helmuthem i urodzoną w 1937 r. córką – Christą Marią – ciężkie naloty na Ulm. Dzięki wcześniejszej ewakuacji z miasta, w 1946 r. urodziła jeszcze jednego syna – Friedera Waldemara. Po maturze w Ulm w 1962 r. Helmuth studiował literaturoznawstwo i praktyczną teatrologię w Freiburgu, Zurychu i Zachodnim Berlinie. Doktorat pod kierunkiem Waltera Höllera uzyskał (na Uniwersytecie Technicznym w Berlinie) na podstawie rozprawy „Obraz chłopów, rzemieślników i robotników w literaturze niemieckiej lat 1770–1850”, po czym – po odbyciu stosownych kursów – pracował w latach 1981–1985, jako ślusarz w fabryce Daimler-Benz w Stuttgarcie-Untertürkheim. W roku 1987 wydał – jako współautor – książkę o zakładach Daimler-Benz „Zakład zbrojeniowy w tysiącletniej Rzeszy”. Od 1989 r. Helmuth Bauer opracowuje filmy i wystawy poświęcone produkcji wojennej zakładów Daimler-Benz i zatrud-

nionych w nich robotników przymusowych, szczególnie filii zakładu produkującego silniki samolotowe w Ludwigsfelde/Genshagen. To w nich pracowało w latach wojny 1100 kobiet z obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, w tym 725 Polek deportowanych do fabryki po powstaniu warszawskim. Po odnalezieniu po roku 1990 pięćdziesięciu żyjących jeszcze Polek, Węgerek, obywaterek Serbii, Słowacji, Ukrainy, Francji, Anglii i Niemiec z okresu ich pracy przymusowej Helmuth Bauer, wydaje książkę – jak sam określa – „swego życia” (704 strony z 723 oryginalnymi ilustracjami, zdjęciami i dokumentami) poświęconą pracy niewolniczej tych kobiet w koncernie Daimler-Benz w Genshagen. Jego dokumentarna książka ukazała się w r. 2011 i nosi tytuł „Bauers Buch: *Innere Bilder wird man nicht los. Die Frauen im KZ-Außenlager Daimler-Benz-Genshagen*” (*Książka Bauera: tych przeżyć nie da się zapomnieć. Los kobiet w zakładowym obozie koncentracyjnym fabryki Daimler-Benz-Genshagen*). W marcu 2015 r. Helmuth Bauer zostaje odznaczony Federalnym Krzyżem Zasługi. Obecnie pracuje nad wydaniem swej książki w językach: polskim, węgierskim i francuskim. Autor od r. 1998 mieszka w Berlinie-Pankow. Jest ojcem dwóch zamężnych już córek – Leny Hedwig i Jule Lisa, które urodziły „mu” cudowne wnuki (Yumi Elisa, Nilson Yuma, Kaya Emilia). Więcej o autorze można znaleźć na stronie internetowej (webseite): www.gesichter-der-kz-zwangsarbeit.de.

Peter BRANDT, ur. w 1948 roku w Berlinie. Ukończył na Freie Universität Berlin (Wolny Uniwersytet w Berlinie) historię i politologię. Doktorat uzyskał w roku 1973 za pracę nt. odbudowy niemieckiego ruchu robotniczego w latach 1945/46 na przykładzie miasta Bremen. Habilitacja w roku 1988 nt. historii niemieckich korporacji studenckich w XIX wieku. Przez wiele lat pracował jako asystent w Instytucie Historii na Uniwersytecie Technicznym w Berlinie. Liczne publikacje nt. historii Niemiec i Europy w XVIII – XX wieku. Główne zainteresowania badań porównawczych dotyczą, m.in. europejskiego prawa konstytucyjnego, nacjonalizmu i przemian społecznych po roku 1750, historii Prus od XVIII wieku, historii ruchu robotniczego i socjalizmu oraz tzw. kwestii niemieckiej po roku 1945.

Profesor współczesnej historii Niemiec i Europy na Uniwersytecie w Hadze; członek licznych organizacji naukowych i społecznych, m.in. zarządu Fundacji im. Friedricha Eberta i członek niemiecko-rosyjskiej komisji historycznej. Od roku 1994 członek SPD – znany z mocno lewicowych poglądów, czynnie wspierający przemiany społeczno-polityczne w Europie Wschodniej. Członek władz Komisji Historycznej SPD. Żonaty, ojciec dwojga dzieci i dziadek trojga wnuków. Wydawca magazynu internetowego www.globkult.de

Erhard BRÖDNER, ur. w 1937 r. w Berlinie, matura w Polsce. W 1958 roku powrót do Berlina. Studia prawnicze ukończone w Kolonii.

Po długoletniej działalności w charakterze asesora – już jako rencista – ukończył drugie studium: historii wschodnioeuropejskiej i nowoczesnej oraz slawistyki, zdobywając tytuł magistra. Następne pięć lat współpracuje w Instytucie Sławistyki Uniwersytetu w Kolonii (do 2010 r.).

Publikacje w języku polskim i niemieckim: w polsko-niemieckim magazynie kulturalnym „Zarys” oraz w polskim dwumiesięczniku historyczno-socjologicznym „Bunt młodych duchem”. Autor licznych przekładów z języka polskiego.

Maria BRYSCH, urodziła się 11.03.1978 w Bytomiu. W roku 1988 wyemigrowała z rodziną do Niemiec. Pracuje od roku 2008 w charakterze nauczycielki języka niemieckiego (jako języka obcego). Obecnie mieszka i pracuje m. in. na Uniwersytecie w Paderborn.

Andreas H. BUCHWALD, ur. w 1957 r., pisarz; dorastał w nieistniejącej już wiosce, na południe od Lipska. Z wykształcenia jest zecerem. Od 1975 roku – do 2000. był zatrudniony i doskonalony w tym zawodzie w różnych systemach drukarskich w „Interdruck und Offizin Andersen Nexö”, w międzyczasie – od listopada 1983 – do kwietnia 1985 odbył zastępczą służbę wojskową w Armii Ludowej NRD jako budowlaniec; od r.1991 do 1996 był społecznym współpracownikiem *amnesty international*. W latach 2000–2008 bezrobotny i uczestnik kilku kursów przekwalifikujących do innych zawodów. W tym okresie przypadają też początki jego pracy literackiej.

Od r. 2001 prowadzi samodzielną działalność gospodarczą w różnych dziedzinach. Publikuje także swoje pierwsze powieści i opowiadania w wydawnictwie „Engelsdorfer Verlag Leipzig”. I tak w: 2002 r. wydaje „Stiefel Stuben Stoppelfelder” (Buty na rżysko) – była to 1. książka trylogii pt. „Die Kohle ist es nicht allein ...” (Nie tylko o węgiel chodzi...); trylogii, która z czasem została przekształcona przez autora w cykl powieściowy pt. „Die Kohle Saga” (Saga węglowa);

W r. 2003 ukazują się kolejne powieści „sagi węglowej”. W r. 2004 wydaje „Soldaten unterm Spaten – Ein Abenteuer wider Willen” (Żołnierz z łopatą. Przypoda wbrew woli).

W 2010 roku zakłada wydawnictwo „AndreBuchVerlages”, w którym ukazują się jego dalsze powieści: tom I „Geschichten aus der Jakobsmuschel” (Historie z muszli Jakuba), potem cz.II; i w roku 2013 t. III tego cyklu: „Das Labyrinth der rasenden Zeit/Wo einst das Land der Kohle war” (Labirynt przemijającego czasu. Tam, gdzie kiedyś była kraina życiodajnego węgla);

w 2016 ukazuje się tom pt. „Wo das Gras grüner ist/Der Tangozigeuner/ brahams Irrtum” (Gdzie trawa jest jeszcze zieleńsza. Cygański król tanga. Pomyłka Abrahama; Herausgabe von Werken anderer Autoren.

Od roku 2015 autor dodatkowo pracuje jako nauczyciel j. niemieckiego (jako języka obcego) dla cudzoziemców. Obecnie mieszka w Greith, Gemeinde Halblech, w Ostallgäu.

Jan CHRIST, urodził się 28 czerwca 1934 r. w Genthin jako Christian Hoffmann. Jest pisarzem niemieckim. Lata drugiej wojny światowej spędził w Polsce, a po roku 1945 – w Niemczech Wschodnich. Do czasu jego ucieczki w roku 1957 do Niemieckiej Republiki Federalnej, pracował w NRD jako aktor i księgarz. W RFN ukończył studia II stopnia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Göttingen, po których pracował w latach 1962–1974, jako nauczyciel w szkołach Dolnej Saksonii.

Od roku 1974 uprawia wolny zawód pisarza pod pseudonimem Jan Christ, publikując opowiadania, powieści, słuchowiska radiowe, wiersze i sztuki teatralne. Swoją powieść pt. „Anna Wentscher” (Klett-Cotta Verlag, Stuttgart 1995), rozgrywającą się na Mazurach i w Toruniu, ma nadzieję wydać w Polsce.

Krzysztof CZAJKA, ur. w 1949 roku w Warszawie, niedaleko Sejmu, co wywarło duży wpływ na jego dzieciństwo i młodość, które spędził w cieniu wielkiej polityki. Będąc dzieckiem, biegał z blaszanym coltem jako kowboj po ogrodach socjalistycznego wówczas, polskiego parlamentu. W liceum jego koleżankami były córki prominentów ówczesnej nomenklatury, z którymi spędzał miłe popołudnia we włoskiej lodziarni „Palermo”. Od wczesnej młodości chciał robić filmy, ale rodzice przekonali go, by studiował kierunek zapewniający bezpieczeństwo finansowe, czyli prawo. W czasie wolnym od studiowania chodził na wykłady z socjologii, historii literatury, historii sztuki, historii teatru, co skutecznie zniechęciło go do zostania prawnikiem. Idąc za głosem powołania, zdał na Wydział Reżyserii w Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi. Zadebiutował w 1981 r. filmem fabularnym „Książę”, zrealizowanym dla Telewizji Polskiej. Wielka polityka spowodowała, że od czasu wprowadzenia stanu wojennego w Polsce, pracuje głównie dla niemieckich stacji telewizyjnych. Jest autorem wielu filmów dokumentalnych, takich jak m.in. „Nicht irgendeine Reise”, „Von Waldbröl nach Majdanek”, „Brückenbau”, „Polen im Umbruch”, „Der Papst, die Polen und die Freiheit”, „Tschüss DDR”. Z Warszawy – Śródmieście przeniósł się do Śródmieścia Berlina, gdzie od ponad 30 lat mieszka i pracuje, jako redaktor polsko-niemieckiego magazynu „Kowalski & Schmidt”, produkowanego przez Rundfunk Berlin-Brandenburg i Telewizję Polską. Nie zrezygnował przy tym nigdy z mieszkania nad Wisłą. Od wielu lat przekracza granice, również tę polską i niemiecką i jest wdzięczny działaczom różnych partii politycznych, że umożliwili mu to transgraniczne życie. Tylko Sejm (niestety) jest dzisiaj otoczony silnie strzeżonym płotem i lodziarni „Palermo” też już nie ma. Ale jest tyle innych możliwości...

Karol CZEJAREK, Doktor, profesor nadzwyczajny Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Puławach; przedstawiciel Forum Wschód Zachód Gödelitz (ost-west-forum Gut Gödelitz) w Warszawie. Sekretarz Międzywydziałowego Centrum Badań Niemcoznawczych AH. Przez wiele lat wykładowca, starszy wykładowca i adiunkt w Instytucie Lingwistyki Stosowanej Uniwersytetu Warszawskiego, b. kierownik Zakładu Kulturoznawstwa Stosowanego w tym Instytucie. Tłumacz przysięgły i literacki, m.in. Hansa Hellmuta Kirsta (także redaktor jego dzieł zebranych, Warszawa 1991–1995), Güntera Kunerta, Hansa Walldorfa, Christy Grasmeyer, Georga Heyma, Heinego Müllera, Güntera de Bruyna; autor, m.in. „Polska między Niemcami a Rosją” (wspólnie z Tomaszem G. Pszczółkowskim), Pułtusk 2011, Biografii polsko-niemieckich „Historia pamięcią pisana” (wspólnie z: Anną Warakomską, Krzysztofem Garczewskim i Tomaszem G. Pszczółkowskim) oraz I części „Nazizm, wojna i III Rzesza w powieściach Hansa Hellmuta Kirsta” (Wrocław 2003), „Gramatyka języka niemieckiego dla Ciebie” (wspólnie z Joanną Słocińską), Poznań 1999. Spolszczenia (wraz z synem Hubertem „Collins German Grammar” i „Collins German Verb Tables”; liczne artykuły i recenzje w pismach naukowych, czasopismach i prasie. Działacz społeczny, członek Komitetu Naukowego Międzynarodowej Konferencji na temat „Rozwoju demokracji i ochrony praw człowieka,” organizowanej od kilku lat przez Sejmową Komisję Sprawiedliwości oraz Instytut Ekonomii i Administracji Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach.

Dominique KIRSTE. W latach 2001–2008 studiowała historię nowożytną i historię sztuki na Uniwersytecie Technicznym w Berlinie. Jej szczególne zainteresowania dotyczą następstw antysemityzmu od średniowiecza po współczesność. Interesuje się też malarstwem i architekturą włoskiego renesansu. Studia ukończyła z tytułem magistra. Od roku 2009 była pracownikiem, a od roku 2016 pełni tę funkcję społecznie, koordynując pracę biura ost-west-forum Gut Gödelitz w Berlinie. Studiuje organizację i zarządzanie przedsiębiorstwami (Betriebswirtschaftslehre) w Technische Hochschule w Brandenburgii.

Katarzyna GAWOR. Jej przygoda z językiem niemieckim rozpoczęła się przed trzydziestu laty czteroletnim pobytem w niemieckiej szkole podstawowej. Jest absolwentką studiów germanistycznych na Uniwersytecie Warszawskim. Od dwudziestu lat zajmuje się nauczaniem języka niemieckiego, ponadto wykonuje tłumaczenia (dzięki prof. Karolowi Czejarkowi, także dla niniejszej książki) oraz pisze teksty o tematyce historycznej, często odwołując się do dziejów Niemiec i Austrii.

Niedawno ukończyła doktorat pt. „Habsburżanki na polskim tronie w narracji historycznej i literackiej”.

Matka ośmioletniego syna.

Teresa GRAUER, ur. w 1984 roku w Tübingen, gdzie spędziła dzieciństwo i chodziła do szkoły. Po rocznym pobycie w Szwecji i zdanej tam maturze w 2003 roku – przez następne sześć miesięcy przebywała w Gdańsku. Studiowała politologię i skandy-nawistykę w Greifswaldzie i w Krakowie. Następnie przez dwa lata (2010–2011) pracowała w Bydgoszczy jako menedżer kultury. Obecnie mieszka we Frankfurcie nad Menem, pracując w administracji szkolnej. Rozbudzone pracą magisterską zainteresowania przeszłością polsko-niemiecką stara się kontynuować i zgłębiać. Jest to dla niej bardzo ważny temat.

Harald GRÖHLER, ur. w 1938 r. w Cieplicach Zdrój (d. Bad Warmbrunn) na Śląsku, aktualnie mieszka w Berlinie. W przeszłości jako tramp, przemierzył auto-stopem Europę wzdłuż i wszerz, był także w wielu rejonach Azji. Studiował psychologię i filozofię. Wykładał socjologię literatury na dwóch uniwersytetach stanowych w USA. Był twórcą Grupy „*Intermedia*”, składającej się z dwóch pisarzy, jednego kompozytora, dwóch muzykologów, jednej fotografi, jednego artysty malarza i jednego grafika. Grupa przez dwa lata organizowała spotkania z publicznością.

Autor jest kawalerem Orderu Zasługi Republiki Federalnej Niemiec oraz nagród, m.in. za sztukę teatralną. Dwukrotnie nagrodzone zostały jego tomiki poetyckie. Otrzymał szwedzkie stypendia twórcze: „Worpswede”, „Bettine Arnim”, „Wienpersdorf” i patronowane przez UNESCO – „Baltic Centre Visby”.

Jest członkiem niemieckiego PEN-Clubu, Niemieckiego Stowarzyszenia Filozoficznego (Gesellschaft für Philosophie), francuskiej „Unii Poetów” (Union des poètes), Europejskiego Stowarzyszenia Autorów (Europäische Autoren-vereinigung Kogge) i Niemieckiego Związku Pisarzy (Verband Deutscher Schriftsteller).

Opublikował dotąd 17 książek (w tym sześć tomików poetyckich); cztery spośród tych książek miały po 2 wydania. Jest też autorem ponad 100 swoich utworów w wydaniach zbiorowych, w tym – w wielu obcojęzycznych antologiach. Jego

książki zostały przetłumaczone i wydane w dziesięciu językach narodowych, także po polsku i nawet w języku gruzińskim. Jest też długoletnim współpracownikiem francuskiego czasopisma „Documents”.

Jego wiersze zostały też opracowane muzycznie przez dwóch kompozytorów, a jeden z wierszy nawet sfilmowany na video, wyświetlanym w niemieckich pociągach ICE. Nazwisko Gröhlera znajduje się również w niemieckim i międzynarodowym Who's Who's?

Tytuły publikacji autora w języku polskim: „Samobójczyni” (Eine Selbstmörderin). Opowiadania w języku polskimi i niemieckim, pod red. Kaliny Mróz-Jabłeckiej, Oficyna Wydawnicza ATUT, Wrocław 2015, s. 296

„Wytracony ze snu” (Schlafgestört), przekład Małgorzata Płoszewska, Oficyna Wydawnicza Ars pro Memoria, Starachowice 2013.

Olaf HERRMANN, ur. 3 lutego 1942 r. w Gdyni (wtedy Gotenhafen). W tym czasie jego rodzice nie byli małżeństwem. Matka, chcąc zachować pracę w dowództwie wojsk lotniczych, zataiła jego przyjsie na świat. Stąd wychowywał się w Domu Dziecka, okresowo też u dziadków w Turynii. W dowodzie osobistym matki nie figurował do końca wojny. Lata młodości spędził w Górnej Bawarii. Swojego miasta urodzenia długo nie mógł zlokalizować na mapie. Według relacji matki – po wojnie zajęli je Polacy. Po maturze odbył półtoraroczną zastępczą służbę wojskową, pracując na sali operacyjnej w Klinice Uniwersyteckiej w Bonn. Uniwersyteckie kwalifikacje do pracy z niepełnosprawnymi w charakterze pedagoga zdobył w Kolonii i w Bonn. Następnie przez kilka lat pracował w szkole specjalnej w Bitburgu, w tym ostatnie lata jako wicedyrektor. To, że Polacy nie są wrogo nastawieni do Niemców przekonał się wielokrotnie, doznając niebywalej gościnności podczas licznych podróży do tego kraju. Pozwolili mu też wiele zrozumieć z tego, co wydarzyło się między naszymi narodami.

Barbara HICKETHIER, ur. 25 grudnia 1943 r. we Wrocławiu (wówczas Breslau), rodzina ze strony matki mieszkała w Beuthen (dzisiaj Bytom). Przesiedlenie (ucieczka jej rodziny) w styczniu 1945 r. prowadziła przez Czechosłowację i Austrię, by zakończyć się w Bawarii, gdzie Günzburgu nad Dunajem ukończyła przyklasztorną szkołę podstawową i średnią. Następnie odbyła zawodowe studia artystyczne na kierunku grafiki i malarstwa w Dortmundzie, podejmując po nich pracę w tych zawodach. Od r. 1966 mieszka i pracuje w Berlinie, gdzie ukończyła podyplomowe studia pedagogiczne w zakresie wychowania plastycznego. Do dziś pracuje w gimnazjum muzycznym w Berlinie, prowadząc dla młodzieży zajęcia ze sztuki, architektury, fotografii, plakatu, tkactwa artystycznego i scenografii teatrów szkolnych.

Od roku 1973 jest zamężna z mediewistą Knutem Hickethierem; jest matką dwóch synów i córek, pracujących dziś także w zakresie grafiki i sztuki użytkowej. W czasie wolnym poświęca się pracy artystycznej, uczestnicząc w różnych projektach dotyczących, m.in. spotkań teatrów szkolnych i prowadząc letnią akademię sztuki dla młodzieży. Inicjuje różne przedsięwzięcia w zakresie wystawiennictwa i propagowania aktywnego życia kulturalnego i wychowania fizycznego wśród młodzieży (i nie tylko).

Klaus HOHMANN, ur. 10. 12. 1938 r., emerytowany dyrektor szkoły średniej, działacz społeczny, zasłużony dla niemiecko-polskiej wymiany młodzieży szkolnej, w szczególności pomiędzy Liceum Reismanna w Paderborn a Liceum im. Św. Augustyna w Warszawie.

Autor licznych lokalnych publikacji na temat, m.in. postaci kultury Paderborn z XIX i XX wieku oraz zabytków miasta. Autor monografii o cmentarzach paderbońskich i historii szkoły Reismann-Gymnasium, w której przez wiele lat pracował.

Ważniejsze publikacje: *Bauten des Historismus in Paderborn 1800–1920* (Budowle historyczne w latach 1800–1920), Paderborn 1990; *Stadt im Aufbruch. Der lange Weg Paderborns zur modernen Stadt* (Miasto Paderborn na drodze do nowoczesności), (Książka napisana wspólnie z uczniami Reismann-Gymnasium), Paderborn 1998; *Die Paderborner Friedhöfe von 1800 bis zur Gegenwart* (Paderbońskie cmentarze od r. 1800 do współczesności), Paderborn 2008; *Der Heimatverein Paderborn 1888–2013* (Towarzystwo Miłośników Paderborn w latach 1888–2013), Paderborn 2013

Michał Jerzy JAMIOŁKOWSKI, ur. w 1975 roku w Warszawie. Dr nauk humanistycznych, związany z Instytutem Germanistyki Uniwersytetu Warszawskiego od 1999 r., najpierw jako student, następnie doktorant, a od roku 2008 – jako pracownik. W latach 2008–2013 zatrudniony w Zakładzie Praktycznego Nauczania Języka Niemieckiego, następnie w Zakładzie Studiów nad Krajami Niemieckiego Obszaru Językowego. Jego zainteresowania badawcze obejmują zagadnienia relacji polsko – niemieckich, wzajemne przenikanie się różnic i wspólnot kulturowych, teatr i film niemieckojęzyczny, także wiedza o realiach krajów niemieckiego obszaru językowego. Ponadto od roku 1998 do chwili obecnej jest czynnym nauczycielem licealnym, zatrudnionym nieprzerwanie w IV LO im. Adama Mickiewicza w Warszawie.

Beata JANKOWSKA, ur. w 1986 w Mrągowie. Ukończyła kierunek: Nauczanie Języka Niemieckiego w Kolegium Nauczycielskim w Szczytnie w 2010 roku. Następnie podjęła studia magisterskie w Akademii Humanistycznej w Puławach na kierunku: pedagogika, specjalność – Dydaktyka Języków Obcych. Ukończyła studia magisterskie na germanistyce Uniwersytetu Warszawskiego w 2014 roku. Stypendystka programu Erasmus w Bambergu. Obecnie także studentka Filologii Angielskiej.

Jerzy JASKIERNIA, ur. 21 marca 1950 r. w Kudowie Zdroju, absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie (magister prawa – 1972 r.; doktor nauk prawnych – 1977 r.), habilitacja w Instytucie Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk w Warszawie (1994 r.), tytuł profesora nauk prawnych – 2000 r. (decyzja Prezydenta RP); profesor zwyczajny Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach na Wydziale Prawa, Administracji i Zarządzania, dyrektor Instytutu Prawa, Ekonomii i Administracji oraz kierownik Zakładu Prawa Konstytucyjnego, Europejskiego i Międzynarodowego Publicznego; członek Komitetu Nauk Politycznych Polskiej Akademii Nauk; marszałek Stowarzyszenia Parlamentarzystów Polskich (od 2012 r.) i wiceprezydent Europejskiego Stowarzyszenia Byłych Parlamentarzystów Państw Członkowskich Rady Europy (European Association of the Former Members of Parliament of the Council of Europe Member States) – od 2014 r.; poseł na

Sejm I, II kadencji, (przewodniczący Komisji Ustawodawczej), III (wiceprzewodniczący Komisji Integracji Europejskiej) i IV kadencji (przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych), wiceprzewodniczący (1996–2001) i przewodniczący (2001–2004) Klubu Parlamentarnego Sojuszu Lewicy Demokratycznej, przewodniczący Polsko-Brytyjskiej Grupy Parlamentarnej 1994–2005; delegat do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy 1994–2005, I wiceprzewodniczący Komisji Zagadnień Prawnych i Praw Człowieka, sprawozdawca w procedurze monitoringowej w odniesieniu do Chorwacji i Armenii; obserwator (2003–2004) i poseł do Parlamentu Europejskiego (2004); minister sprawiedliwości – prokurator generalny w rządzie premiera Józefa Oleksego 1995–1996. Autor ponad 400 prac naukowych z zakresu prawa konstytucyjnego i nauk politycznych, m.in. Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy, Warszawa 2000 (tłumaczenie na język angielski – 2002). Organizator międzynarodowych konferencji naukowych poświęconych systemom ochrony praw człowieka (2009–2016). Zainteresowania badawcze: federalizm; proces ustawodawczy; ochrona praw człowieka; prawo wyborcze; proces integracji europejskiej; międzynarodowe standardy demokratyczne.

Rolf KARBAUM, Prof. dr inż., studia w zakresie teleelektryki i akustyki budowlanej na Uniwersytecie Technicznym w Dreźnie; liczne badania w tych dziedzinach; pracował m.in. w liniach lotniczych „Interflug” w Berlinie, jako specjalista do zwalczania hałasu. Od r. 1972 – docent w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Görlitz na kierunku automatyzacji, elektroniki i technik informacyjnych. Doktorat obronił w 1983 r. w Wyższej Szkole Technicznej w Zittau, w dziedzinie techniki informatycznej za pomocą energii świetlnej (Lichtwellenleiter-Technik). Po rozpadzie NRD – współzałożyciel Wyższej Szkoły Technicznej (Hochschule für Technik, Wirtschaft und Sozialwesen) Zittau-Görlitz, w niej w r. 1993 powołany na profesora w zakresie elektroniki (Elektronische Schaltungstechnik). Od roku 1990 w Radzie Miejskiej Görlitz, w latach 1998–2005 Nadburmistrz (Oberbürgermeister) Görlitz. W roku 2005 przeszedł na emeryturę, Wtedy też otrzymał m.in. legię honorową „Ritter der Ehrenlegion” za zasługi dla Republiki Francuskiej; w latach 2010–2014 bierze aktywny udział w budowie i uruchomieniu w Zgorzelcu „Europejskiego Centrum Kultury” (Meetingpoint Music Messiaen) na terenie b. Stalagu VIIIA. Liczne publikacje naukowe w zakresie swej specjalności; ostatnio np. (w 2016 r.) wydał książkę „Bądźcie ostrożni z masłem” (Seid vorsichtig mit der Butter”); w dalszym ciągu ma liczne kontakty z Polską i Polakami.

Adam Waldemar KOSESKI, ur. 12 października 1939 r. w Warszawie. Po Powstaniu Warszawskim w 1944 r. wywieziony wraz z matką i siostrą do obozu w Berlinie, skąd powrócił na początku maja 1945 r. Rektor Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusku, prof. zw. dr hab., historyk i politolog. Studia wyższe ukończył na Uniwersytecie Warszawskim (1963 r.), doktorat w 1972 r. na Wydziale Nauk Politycznych UW; habilitacja w 1979 r., profesor zwyczajny (tytułarny) od 1987 r. Współzałożyciel Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora (1994). Pierwszy prorektor AH (1994–2004) i rektor od 2004 r. Doktor honoris causa Moskiewskiej Akademii Ekonomiki i Prawa (2008) i Uniwersytetu im. Immanuela Kanta w Kaliningradzie (2009). Członek Komitetu Monitorującego Regio-

nalnego Programu Operacyjnego Województwa Mazowieckiego na lata 2007–2013. Przewodniczący Rady Programowej Muzeum Mazowieckiego w Płocku i Muzeum Szlachty Mazowieckiej w Ciechanowie. Promotor 29 prac doktorskich, recenzent 11 rozpraw habilitacyjnych i wielu prac doktorskich. Autor 21 książek i prac zbiorowych, ponad 250 artykułów naukowych i popularnonaukowych, tłumacz literatury bułgarskiej. Odznaczony: Złotym Krzyżem Zasługi (1974), Krzyżem Kawalerskim (1983) i Krzyżem Oficerskim OOP (2003), bułgarskim Orderem Cyryla i Metodego I stopnia (Złoty; 1976), Medalem Komisji Edukacji Narodowej (2000), Honorowy Obywatel Pułtusza (2004), Odznaka Honorowa „Zasłużony dla Mazowsza” (2009), Złoty Medal Akademii Polskiego Sukcesu (2010).

Michał Władysław KULIK, ur. 27 września 1954 r. w Szczecinie, doktor nauk technicznych, Politechnika Szczecińska, od 1990 r. dyrektor Polsko-Niemieckiej Firmy Informatycznej (do 1995 r.), w latach 2000–2010 wykładowca na Uniwersytecie Szczecińskim. Od 2010 r. urzędnik w Akademii Sztuki w Szczecinie odpowiedzialny za europejski program Erasmus. Fotograf. Z bratem Pawłem – autor filmów dokumentalnych: „Złodoże – Britta Wuttke” 1998, „Manfred Schatz – fascynacja ruchem” 2000, „Stanisław Lem – Kosmos Literacki” 2002, „Dyfuzja” 2010, „Sploty jednego warkocza” 2012, „Ogród po drugiej stronie rzeki” 2014, „Art location” 2016.

Ryszard LIPCZUK, Prof. zw. dr hab., ur. w 1948 roku. Studia germanistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. 1970–1993 w Katedrze Filologii Germańskiej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, 1990 prof. ndzw., 2002 profesor tytularny. Od roku 1993 na Uniwersytecie Szczecińskim, 1993–1997 i 2005–2012 dyrektor Instytutu Filologii Germańskiej US, od 1993 kierownik Zakładu Języka Niemieckiego w Instytucie. Tematyka badań naukowych: historia puryzmu językowego (walka z wyrazami obcymi) w Niemczech i w Polsce, leksykografia wyrazów obcych, słowniki niemiecko-polskie, „fałszywi przyjaciele tłumacza”. Autor wielu publikacji książkowych (monografie naukowe, artykuły, recenzje, autor/współautor/redaktor słowników niemiecko-polskich, leksykonów i podręczników do nauki języka niemieckiego. Redaktor/współredaktor czasopisma „*Colloquia Germanica Stettinensia*” (Szczecin) i serii „*Stettiner Beiträge zur Sprachwissenschaft*” (Hamburg).

(Więcej o autorze: <http://lipczuk.univ.szczecin.pl>)

Ewa ŁASTOWIECKA, ur. w 1940 roku w Cieszynie. Odbierając dyplom lekarza w Akademii Medycznej w Warszawie, była matką dwóch synów. Kilkanaście lat pracowała w Przychodni dla Studentów Uniwersytetu Warszawskiego, a potem w Szpitalu dla Szkół Wyższych. „Jedynymi” osiągnięciami z tego okresu zmagania z niezliczonymi trudnościami były: specjalizacja I stopnia z interny i książki: „Zemsta Skorpiona” oraz „Limba”. W 1982 roku wyjechała wraz z mężem na kontrakt do Iraku. Owocami tej podróży były książka „Na scenie Szpitala Al Kindi w Bagdadzie” i II stopień specjalizacji z interny. W 1986 roku otrzymała angaż w Instytucie Kardiologii, gdzie uzyskała specjalizację z kardiologii i obroniła doktorat. Nadal jest czynna zawodowo. Czasami ogarnia ją zazdrość, obserwując życie młodych, liczne udogodnienia i otwarcie świata, których doświadcza. Lecz śledząc mapę aktualnych wydarzeń i rozpacz wśród ruin miast, czuje wobec losu niewystarczającą wdzięczność.

Marta MILEWSKA, ur. 7 kwietnia 1979 roku, doktor nauk humanistycznych w zakresie historii. Ukończyła studia magisterskie na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie oraz studia podyplomowe w zakresie geografii w Szkole Wyższej im. Pawła Włodkowica w Płocku. Rozprawę dokorską obroniła na Wydziale Historycznym Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztor w Pułtusk w 2010 roku. Jako doktor nauk humanistycznych prowadzi zajęcia ze studentami, jest adiunktem w tej uczelni. Przedmiotem jej naukowych zainteresowań są dzieje społeczno-gospodarcze w XIX i XX wieku, stosunki polsko-niemieckie oraz dydaktyka historii. Jest autorką wielu artykułów dotyczących ochrony zdrowia i opieki medycznej.

Halina OKOŃ, ur. 2 stycznia 1947 r. w Gałęzowie (pow. chełmski, województwo lubelskie). W 1953 r. rodzice przeprowadzili się do Chełma, gdzie ukończyła szkołę podstawową i Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Czarnieckiego (1965).

W 1965 r. po rozpoczęciu nauki w Studium Kultury i Oświaty w Warszawie, podjęła pracę w Powiatowym Domu Kultury w Chełmie. Studia na Wydziale Pedagogiki i Psychologii UMCS w Lublinie, w zakresie pracy kulturalno-oświatowej ukończyła w 1979 r.

Po utworzeniu województwa chełmskiego pracowała w Chełmie: w Wojewódzkim Domu Kultury, w Klubie Garnizonowym, Lidze Kobiet, a od 1984 r. – po ukończeniu studiów podyplomowych w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie oraz studiów podyplomowych w zakresie zarządzania oświatą – w Zespole Szkół Zawodowych nr 5 im. Stanisława Staszica, jako nauczyciel historii, geografii oraz kierownik internatu. W 2003 r., po 37 latach pracy przeszła na emeryturę.

Należała m. in. do Związku Harcerstwa Polskiego (harc mistrz), Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Chełmskiej, Chóru Ziemi Chełmskiej „Hejnał” im. Mieczysława Niedźwieckiego, Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego.

Artykuły o treściach regionalnych publikowała w prasie lokalnej, m.in. w „Kulturze Chełmskiej”.

W 1969 r. wyszła za mąż za Zbigniewa Waldemara Okonia. Wychowali troje dzieci: synów Pawła i Andrzeja oraz córkę Katarzynę. Mają czworo wnucząt, które często odwiedzają w Warszawie i Piotrkowie Trybunalskim.

Natalia OŁOWSKA-CZAJKA, l. 41, adwokat, absolwentka stacjonarnego studium prawa polskiego oraz szkół prawa hiszpańskiego i angielskiego na Uniwersytecie Warszawskim. Zaznawszy życia w dużej prawniczej korporacji zagranicznej, zdecydowała się na własną drogę zawodową i od 12 już lat prowadzi małą (miłą) polską kancelarię. Włada angielskim, hiszpańskim, rosyjskim i (chyba w końcu) niemieckim, wierząc, że po pierwsze: każdy obcy język daje nowe życie i licząc, że w ten sposób mam ich już pięć, a po drugie: świat jest pełen dobrych ludzi, z którymi warto umieć się porozumieć, zwłaszcza po to, by umieć im pomóc. Czyni to także na płaszczyźnie międzynarodowej, jako członek International Academy for Family Lawyers oraz Academia Euroamericana de Derecho de Familia.

Agnieszka OZDARSKA, ur. w 1979 w Żaganiu; absolwentka Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Banacha w Żaganiu. 1998–2001 studia na filologii germańskiej w Kolegium Nauczycielskim w Ciechanowie; w 2004r. uzyskała dyplom Uniwersytetu Zielonogórskiego na Wydziale Humanistycznym w zakresie filologii germańskiej; w 2007 roku ukończyła studia podyplomowe w Wyższej szkole Lingwistycznej w Warszawie na kierunku: Teoria i praktyka tłumaczenia. Nauczycielka języka niemieckiego w liceum i technikum.

Jörg PETERSEN, ur. w 1950 r. w Neumünster, w Szlezwiku-Holsztynie. Przez pierwsze 9 lat wychowywał się w gospodarstwie na wsi, skąd trafił do wielomilionowego Hamburga, gdzie zdał maturę i udał się na dalsze studia do Getyngi. Po dwóch semestrach studiów geologicznych na uniwersytecie, przeniósł się do Wyższej Szkoły Pedagogicznej, przygotowując się do zawodu nauczycielskiego z geografii i biologii. W 1975 r. rozpoczął pracę w wyuczonym zawodzie w jednej ze szkół podstawowych (Hauptschule) we Freiburgu nad Elbą. Jako że należał zawsze do ludzi kreatywnych, którzy aktywnie chcieli współkształtować rzeczywistość, zainicjował w szkole, w której przez 12 lat był dyrektorem, model nauczania polegający na połączeniu w jednej klasie uczniów ze szkoły podstawowej z uczniami gimnazjum. Ukształtowany przez niego model uzyskał aprobatę władz szkolnych Landu Dolnej Saksonii. Dziś w regionie jest ponad 250 takich szkół.

W życiu społecznym był przez 20 lat radnym z ramienia SPD w sejmiku lokalnym we Freiburgu.

Obecnie, będąc na emeryturze, nadal pracuje społecznie w lokalnych stowarzyszeniach wyższej użyteczności publicznej. Jest m.in. współzałożycielem (w 2004 roku) stowarzyszenia ochrony zabytków w regionie, które m.in. przyczyniło się do utworzenia regionalnego centrum kultury, w uratowanym od rozbiórki zabytkowym młynie. W bieżącym roku został wybrany prezesem zarządu tego stowarzyszenia, liczącego 760 członków.

Christian PFEIFFER, ur. w 1944 roku. Prof. dr, ukończone studia: prawnicze w zakresie kryminologii na Uniwersytecie w Monachium oraz w London School of Economics and Political Science, jako stypendysta „Fundacji narodu niemieckiego” (Studienstiftung des Deutschen Volkes).

W latach 1976–1984 naukowy asystent prof. Schülera-Springorum na Uniwersytecie w Monachium. W roku 1978 inicjator stowarzyszenia „Mosty” (Vereins Brücke e. V.) dla sędziów i młodocianych przestępców, które uzyskało ogólnoniemiecki rozgłos i przychyłność.

W r. 1983 – doktorat nt.: „Prewencja kryminalna młodocianych” (summa cum laude).

W latach 1984/85 – stypendium „Heisenberga” dla badaczy prawa niemieckiego.

Od r. 1985 najpierw zastępca dyrektora Instytutu Kryminologii Dolnej Saksonii (Direktor des Kriminologischen Forschungsinstituts Niedersachsen (KFN), a od 1987 do 2014 – jego dyrektor.

Od r. 1987 Profesor Kryminologii w zakresie przestępstw młodocianych oraz prawa karnego na Uniwersytecie w Hannoverze; w latach 2000–2003 minister sprawiedliwości Dolnej Saksonii, a w r. 2015 gościnnie wykłada jako „Gastprofessor” w John Jay College w Nowym Jorku, po czym wraca do pracy w Instytucie Kryminologii

(KFN). W r. 1976 założyciel i społeczny przewodniczący „Fundacji Obywatelskiej” (Bürgerstiftung) w Hannoverze, pierwszej tego rodzaju fundacji (praca z młodzieżą trudną) w Niemczech. Dziś jest ich ponad 320 w całej Republice Federalnej Niemiec.

Tomasz G. PSZCZÓŁKOWSKI, ur. w 1951 r. w Warszawie, germanista i politolog, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, od 1974 roku związany z Instytutem Germanistyki. W latach 1998–2011 był profesorem w Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusk, w roku akademickim 2005/2006 profesorem w Katedrze Business Communication w Szkole Głównej Handlowej, w latach 2007–2013 – profesorem we Wszechnicy Polskiej w Warszawie.

Od 1980 do 1990 pracował jako tłumacz i kierownik mutacji niemieckiej czasopisma *Polnische Neuerscheinungen* („Nowości Wydawnictw Polskich”, wydawnictwa Agpol w Warszawie). Członek kolegium redakcyjnego czasopism: „Studia Niemcoznawcze * Studien zur Deutschkunde” (Instytut Germanistyki UW) i „Rocznika Katedry Badań Niemcoznawczych Uniwersytetu Łódzkiego”.

Autor ponad 150 publikacji, w tym książek: *Ordoliberalizm. Społeczno-polityczna i gospodarcza doktryna neoliberalizmu w RFN*, Warszawa–Kraków 1990; *Zur Methodologie der Interpretation des Politischen bei Friedrich Nietzsche*, Frankfurt am Main 1996; *Deutsche und polnische Kultur im kulturwissenschaftlichen Vergleich*, Warszawa 2013, *Deutschland – Polen: Eine kulturkomparatistische Untersuchung*, Bielefeld 2015. Współredaktor kilku książek, m.in. następujących pozycji: *Teksty liberalne*, Warszawa 1993; *Nowoczesny liberalizm i Moderner Liberalismus* (współ z Hansem-Georgiem Fleckiem, Warszawa 1997); *Polska między Niemcami a Rosją * Polen zwischen Deutschland und Russland* (wraz z Karolem Czejarkiem, Pułtusk 2011); *Erlebte und erinnerte Geschichte * Historia pamięcią pisana*, pod redakcją Karola Czejarka, Krzysztofa Garczewskiego i Anny Warakomskiej, Pułtusk 2014.

Tłumacz literatury z zakresu filozofii, nauk o polityce i religioznawstwa, w tym książek: Heinrich i Marie Simon, *Filozofia żydowska*, Warszawa 1990; Claus Menze, *Wilhelm von Humboldt*; Warszawa 1993; Barthold C. Witte, *Friedrich Naumann. Człowiek i dzieło*, Warszawa 1998; Gerhard J. Bellinger, *Leksykon religii świata*, Warszawa 1999 (współtłumacz: Tadeusz Kachlak); Dietrich von Hildebrand, *Spułoszona winnica*, wyd. I Warszawa 2000, wyd. III Warszawa 2013.

Piotr ROGUSKI, rocznik 1945. Profesor Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusk, emerytowany profesor w Instytucie Sławistyki Uniwersytetu Kolońskiego (Universität zu Köln). Autor licznych prac w zakresie literackich związków polsko-niemieckich i niemiecko-polskich. Opublikował, m.in. książki: *Tułaczkowski nad Renem. Literatura i sprawa polska w Niemczech w latach 1831–1845* (Warszawa 1981), *Kuszenie Polaków. Diabeł w świecie dramatów romantycznego* (Warszawa 1993), *Aufsätze zur polnischen und deutschen Romantik* (München 1996), *Cmentarz polski w Dreźnie* (Katowice 2000), *Dzielny kosynier i piękna Polka. Powstanie listopadowe w poezji niemieckiej* (Katowice 2004), *Do przyjaciela uroga. Niemcy w poezji polskiej. Antologia* (Katowice 2010), *Polnische Literatur als Mentalitätsgeschichte* (Nümbrecht 2011), *Słodkie imię wolności... Przejście Polaków przez Niemcy po upadku powstania listopadowego* (Warszawa 2011). Autor 5 tomików poetyckich. Współwydawca dwujęzycznego pisma społeczno-literackiego w Niemczech „Zarys”.

Iwona ROSZKOWSKI, ur. w Tychach. Matka dwóch córek. Z wykształcenia nauczycielka nauczania początkowego. W roku 1988 wyemigrowała do Niemiec, gdzie mieszka do dziś i upowszechnia polską kulturę. W swoim obecnym miejscu zamieszkania – Straubingu – zainicjowała, m.in. interkulturowe spotkania pod nazwą „Poetry, Sound & Vision”, jak np. w 2012 r. pierwsze „Spotkanie z polską poezją” z udziałem Aleksandra i Barbary Nawrockich, organizatorów Światowego Dnia Poezji UNESCO w Warszawie. W roku 2013, jako bezpartyjna, kandydowała w wyborach do Rady Miasta Straubingu. Od roku 2014 jest kierownikiem projektu o Januszu Korczaku. Aktualnie pracuje w ośrodku dla dzieci i młodzieży z ograniczoną sprawnością umysłową, pełniąc funkcję kierownika Grupy.

Roman SCHAFFNER, ur. w 1968 r w Straubingu (Dolna Bawaria), jest z wykształcenia pedagogiem, a od r. 2000 (po dodatkowych studiach i egzaminie państwowym) – pedagogiem socjalnym. Pracuje w internacie z trudną młodzieżą, a od roku 2009 – w Urzędzie do Spraw Dzieci i Młodzieży jako pedagog socjalny, zaś od r. 2011 jest koordynatorem ochrony dzieci w Urzędzie Miejskim w Straubingu i pełnomocnikiem miasta do spraw integracji. Jest również koordynatorem lokalnego programu „*Tolerancję popierać – kompetencje wzmacniać*”. Od r. 2014 – odpowiedzialny za realizację federalnego programu „*Żyć w demokracji. Wspólnie przeciwko nacjonalizmowi, przemocy i ksenofobii*”.

Julia SCHUCH (z domu Sudek), urodziła się 25.10.1972 w Lingen/Ems. Wychowała się jako „środkowa” z trojga dzieci „w styczności” z Polakami i Polską, jako że jej babcia ze strony ojca pochodziła z Gdańska, a ojciec organizował transporty pomocy Gdańszczanom w stanie wojennym. (Realizował też – jako nauczyciel – wspólny projekt teatralny szkoły, w której pracował w Meppen – Ludwig-Windhorst Gymnasium – z XX Liceum Ogólnokształcącym im. Zbigniewa Herberta w Gdańsku, na temat niemieckich obozów koncentracyjnych). Ona sama nie miała wcześniej bezpośrednich kontaktów z Polską. Nawiązała je dzięki udziałowi w Biografiach niemiecko-polskich, organizowanych przez ost-west-forum Gut Gödelitz i Akademię Humanistyczną im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusk.

W 1992 r. rozpoczęła na Uniwersytecie w Koblencji studia pedagogiczne w zakresie nauczania początkowego. Pracowała jako nauczycielka najpierw w Vallendar, następnie w Koblencji. Od roku 2012 mieszka i pracuje w Bonn. Ukończyła też w studia podyplomowe (w latach 2005/2006) w zakresie pracy z młodzieżą „trudną”. Od listopada 2014 r. jest zastępcą dyrektora szkoły ds. wychowania.

Halina STANO, urodzona w Warszawie w roku 1954 i związana z Warszawą przez całe swoje życie. Ukończyła renomowane liceum T. Rejtana w Warszawie oraz studia ekonomiczne w Szkole Głównej Handlowej.

Pracowała w Przedsiębiorstwie Handlu Zagranicznego Elektrim w Warszawie i w jego Delegaturze w Pekinie. Nadal czynna zawodowo, pracuje w WELCOME Airport Services Sp. z o.o. na lotnisku w Warszawie.

Ma 3 córki, jest babcią 4 wnuków. Lubi podróże i historię. Ciągłe szuka i próbuje zrozumieć historię swojego miasta...

Janusz SZCZEPAŃSKI, ur. w 1947 roku. Profesor zwyczajny w Instytucie Historii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie i na Wydziale Historycznym Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusk. Historyk dziejów Polski XIX – XX wieku, w tym także historii Mazowsza. Autor ponad dwustu artykułów naukowych i popularno-naukowych, jak również kilkunastu książek poświęconych dziejom walk o niepodległość, a zwłaszcza wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku, także dziejom miast, wsi, szkolnictwa, emigracji zarobkowej i mniejszości narodowościowo-wyznaniowych. Redaktor tomu III (lata 1795–1918) i tomu IV (lata 1918–1939) syntezy „Dziejów Mazowsza”.

Publikacje książkowe lub ich fragmenty oraz artykuły naukowe prof. Janusza Szczepańskiego, poświęcone są historii mniejszości narodowościowo-wyznaniowych na ziemiach Mazowsza i dotyczą głównie społeczności żydowskiej i ludności niemieckiej w XIX–XX wieku (do końca II wojny światowej). Charakteryzują m.in. ich stanowisko wobec wydarzeń politycznych na ziemiach Mazowsza, relacje polsko-żydowskie i polsko-niemieckie, a zwłaszcza udział ludności żydowskiej i osadników niemieckich z terenu Mazowsza w rozwoju gospodarczym i kulturalnym ziem polskich.

Magdalen ULLRICH, rocznik 1976, pochodzi z Podkarpackiego. Jest absolwentką m.in. medioznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Od roku 2002 mieszka z mężem i dwójką dzieci nieopodal Szczecina, w polsko-niemieckim regionie przygranicznym. Również zawodowo zajmuje się powiązaniami polsko-niemieckimi.

Helmut WAGNER, ur. w 1929 roku w Rastenburgu w Prusach Wschodnich, obecnie Kętrzyn, jest emerytowanym profesorem Wolnego Uniwersytetu w Berlinie. Mieszka tam, w Berlinie, od roku 1964. Przedtem studiował nauki polityczne, historię i filozofię w Berlinie i Tybindze. W roku 1961 uzyskał pod kierunkiem prof. Theodora Eschenburga doktorat na Uniwersytecie im. Eberharda-Karola w Tybindze, następnie był asystentem prof. Golo Manna na Uniwersytecie Technicznym w Stuttgarcie, po czym przebywał na studiach w Warszawie. Po powrocie do Berlina habilitował się w roku 1971 na Wolnym Uniwersytecie i przez 24 lata nauczał tam i prowadził badania naukowe. Jego głównym obszarem zainteresowań są ideologie polityczne, Europa Wschodnia i integracja europejska.

W tym okresie swego życia wypromował 31 doktorów i opublikował ponad 100 prac naukowych. Semestralne urlopy naukowe pozwoliły mu rozejrzeć się po świecie. Przebywał w celach badawczych nie tylko w Polsce i we Francji, ale także w USA, Japonii i Korei, jak i na Tajwanie. W obu swych dziełach powstałych „u schyłku życia”, które opublikował po przejściu na emeryturę, zajął się – w pierwszym z nich, wydanym w 2012 roku pod tytułem „Od burzyciela pokoju do jego gwaranta” (*Vom Störenfried zum Bürgeren*) – „kwestią niemiecką”, w drugim natomiast, które ukazało się w 2016 roku pod tytułem „Nasza Europa – Konstrukcja i Przyszłość Unii Europejskiej” (*Unser Europa – Die Konstruktion und Zukunft der Europäischen Union*) – „kwestią europejską”. Obie, jeszcze do dziś palące kwestie, zostały zinterpretowane w sposób nowatorski, odbiegający od ustalonych reguł.

Anna WARAKOMSKA, Dr hab., od 2004 roku pracuje jako adiunkt w Zakładzie Studiów nad Krajami Niemieckiego Obszaru Językowego w Instytucie Germanistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Doktorat na temat *Państwo pruskie i jego pisarze*

1850–1870. *Od Realpolitik do realizmu mieszczańskiego*. Habilitacja na temat *Prawda wyższej instancji. O ironii na przykładzie prozy Herberta Rosendorfera*.

Była stypendystką DAAD, studia i stypendia w Niemczech (Universität zu Köln, Freie Universität Berlin), wykłady gościnne w Turcji o stereotypach w literaturze (Uniwersytet Firat w Elazığ, Uniwersytet Dicle w Diyarbakır). Współredaktorka I części publikacji (wersji niemieckiej) polsko-niemieckich biografii pt. *Erlebte und erinnerte Geschichte (Historia pamięcią pisana)*.

Zainteresowania badawcze: wzajemne oddziaływanie literatury i polityki, ironia w literaturze, polsko-niemieckie związki w polityce, kulturze, literaturze, teorie kulturoznawcze, literatura interkulturowa, literatura niemiecka autorów tureckiego pochodzenia. Autorka licznych artykułów naukowych i innych publikacji na wymienione tematy, ostatnio: Anna Warakomska/ Mehmet Öztürk (red.), *Man hat Arbeitskräfte gerufen, ... es kamen Schriftsteller. Migranten und ihre Literaturen*. Frankfurt am Main/ Bern/ New York u.a. 2015, 267s.

Eckart WEIßER, urodził się w 1935 r. w Nysie. Jego ojciec pochodzi z Inowrocławia, matka z Siemianowic. W styczniu 1945 r. matka z dziećmi uciekła przed Rosjanami i znalazła schronienie w Saksonii. Wychowywał się z trójką rodzeństwa w Domu Dziecka. Po maturze (1953) studiował rolnictwo na Uniwersytecie w Lipsku. Pierwszą pracę zawodową po studiach rozpoczął w ugrupowanym gospodarstwie rolnym LPG (odpowiednik polskiego PGR) w Mecklenburgii. Następnie pracował w Instytucie Agrotechniki w Neetzow.

Od 1967 r. jest pracownikiem naukowym Wyższej Szkoły Rolniczej w Miśni (Meißen), gdzie w r. 1968 uzyskał tytuł doktora nauk rolniczych. W r. 1981 zostaje dyrektorem w jednym z LPG, w okręgu miśnieńskim. Po roku 1990 pozostaje przez 18 miesięcy bez pracy. Pracuje dorywczo, jako nietatowy nauczyciel księgowości, z honorarium 20 euro brutto za godzinę lekcyjną, bez zwrotu kosztów podróży i ubezpieczenia.

Dziś zajmuje się hobbystycznie (za pośrednictwem internetu) różnymi tematami współczesności, m.in. napisał rozprawę o transformacji gospodarczej w Polsce i we Wschodnich Niemczech po roku 1989. Podkreśla sukcesy gospodarcze Polski po przemianach politycznych, zaś ostro krytykuje procesy transformacyjne w b. NRD.

W Polsce najbardziej fascynuje go, m.in. katolicyzm Polaków i restauracja zabytków. Ma dziś ponad 100 przyjacielskich kontaktów w Polsce.

Dariusz WOJTASZYN, Dr hab. Studiował historię na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, doktorat i habilitacja na Uniwersytecie Wrocławskim. Pracownik naukowy w Katedrze Nauk Historycznych Centrum Studiów Niemieckich i Europejskich im. Willy'ego Brandta Uniwersytetu Wrocławskiego. Do 2012 r. sekretarz naukowy Wspólnej Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej. Autor licznych publikacji na temat stosunków polsko-niemieckich po II wojnie światowej, międzynarodowych badań podręcznikowych i historii sportu (red. z T. Strobelem, 2012), *Kibice w socjalizmie* (2013), *RFN–NRD–PRL. Zbliżenia* (red. z K. Ruchniewiczem, 2014), *Ideologiczna współpraca. Władze wobec środowisk opiniotwórczych w PRL i NRD* (red. z S. Ligarskim i K. Ruchniewiczem, 2016); *Dzieje polskiego i niemieckiego sportu w XIX i XX wieku. Idee, ludzie, polityka i kultura* (red. z W. Stępińskim i J. Eiderem 2016).



Während der Konferenz im Senatsaal der Humanistischen Akademie. Von rechts unter anderem: Barbara Hickethier, Jörg Petersen
Podczas konferencji w Sali Senatu AH. Od prawej m.in.: Barbara Hickethier, Jörg Petersen



Teilnehmer der Konferenz in Pultusk (31.03. – 2.04.2016)
Uczestnicy konferencji w Pułtusku (31.03 – 2.04.2016)